REBIS

Erich Maria Remarque

Trzej towarzysze

ERICH MARIA

REMARQUE

TRZEJ TOWARZYSZE

Przełożył
Zbigniew Grabowski

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

J.R.Z.

I

Niebo było żółte jak mosiądz, nie zaciągnięte jeszcze dymami z kominów. Poza dachami fabryki lśniło już ostrym blaskiem. Niedługo wzejdzie słońce. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma. Przyszedłem o kwadrans za wcześnie.

Otworzyłem bramę i przygotowałem pompę. O tej porze przejeżdżało zwykle parę samochodów, które zaopatrywały się w benzynę. Nagle za plecami usłyszałem ochrypły skrzek, który brzmiał tak, jakby pod ziemią ktoś uparcie wiercił zardzewiałym świdrem. Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Potem przemierzyłem z powrotem podwórze i uchyliłem ostrożnie drzwi warsztatu. W mrocznym pomieszczeniu szamotało się jakieś widmo. Głowę miało owiniętą ongiś białą, a dzisiaj już tylko brudną chustką, całości stroju dopełniał niebieski fartuch i grube filcowe pantofle. Zjawisko machało ostrą miotłą, ważyło dziewięćdziesiąt kilo jak obszył, a było nie kim innym, jak naszą posługaczką, Matyldą Stoss.

Stałem przez chwilę w drzwiach i przyglądałem się jej. Poruszała się z gracją hipopotama, przeciskając się chwiejnym krokiem między chłodnicami. Dudniącym jak z beczki głosem śpiewała piosenkę o wiernym ułanie. Na stole przy oknie stały dwie flaszki koniaku, jedna z nich prawie pusta. Jeszcze ubiegłego wieczoru była pełna. Na śmierć zapomniałem zamknąć butelki w szafie.

– Ładne rzeczy, pani Stoss! – zawołałem na przywitanie.

Śpiew urwał się. Miotła legła na podłodze. Błogi uśmiech zamarł. Teraz przyszła na mnie kolej odegrania roli widma.

– Jezu najsłodszy! – wyjąkała Matylda, gapiąc się na mnie zaczerwienionymi ślepiami. – Jak Boga przy skonaniu pragnę, nie spodziewałam się pana jeszcze.

– To widzę. No, jak smakowało?

– Smakować smakowało, ale z ręką na sercu… przykro mi. – Obtarła dłonią usta. – Powiadam panu, ścięło mnie z nóg dokumentnie.

– Przesadza pani, Matyldo. Jest pani tylko zalana. Zalana jak nadbrzeżne działo.

Pani Stoss z trudem utrzymywała równowagę. Wąsik na górnej wardze drgnął, a powieki mrugały jak u starej sowy. Stopniowo jednak oprzytomniała, podeszła ku mnie zdecydowanym krokiem i rzekła:

– Pan pozwoli, panie Lohkamp… Człowiek, jak to mówią, nie z żelaza… z początku tylko powąchałam flaszeczkę i odstawiłam w porządku… potem pociągnęłam łyczek… pan wie, że rano zawsze mi tak czczo na wnętrzu… no, a potem… chyba diabeł we mnie wstąpił i tyle. Ale też pan nie ma sumienia, żeby starą kobietę na pokuszenie wodzić! Po co pan zostawia na ludzkich oczach takie cacane flaszunie?

Bogiem a prawdą, nie po raz pierwszy przydybałem panią Matyldę w takim stanie. Przychodziła co dzień rano na dwie godziny, ażeby posprzątać w garażu. Można było spokojnie zostawić na widoku każdą sumę pieniędzy, pani Matylda nie tknęła ich nigdy. Ale na alkohol była łasa jak kot na szperkę.

Podniosłem flaszkę pod światło.

– Oczywiście, koniaku dla gości pani nie ruszyła, ale ten dobry, pana Köstera, wygoliła pani do ostatniej kropelki.

Uśmiech przemknął po zniszczonej twarzy Matyldy.

– Co prawda, to nie wstyd. Na wódeczności znam się. Ale chyba mnie, biednej wdowy, pan nie zdradzi, złociutki panie?

Potrząsnąłem głową.

– Wyjątkowo dzisiaj nie pisnę ani słówka.

Opuściła zawiniętą spódnicę.

– W takim razie zmykam. Gdyby tak przyłapał mnie pan Köster, zrobiłby awanturę jak jasna cholera!

Podszedłem do szafy i otworzyłem ją.

– Matyldo!

Przydreptała spiesznym truchtem. Podniosłem w górę brunatną czworokątną butelkę.

– To już stanowczo nie ja! – Uniosła ręce na znak protestu. – Najświętsze słowo! Nie ruszyłam tej flaszki!

– Wiem, wiem – rzekłem i nalałem pełny kieliszek. – Ale pani zna ten specjał, hę?

– Też pytanie! – Oblizała łakomie wargi. – Rum! Stary rum Jamajka!

– Znakomicie. No, a teraz do dna, a żywo!

– Niby ja? – Odskoczyła jak oparzona. – Panie Lohkamp, to naprawdę za wiele dobrego! Chyba mnie pan chce zawstydzić! Widziane to rzeczy… matka Stoss wypija panu ukradkiem koniak, a pan jeszcze na dokładkę częstuje ją rumem! Niech pan mówi, co chce, ale święty z pana człowiek! Prędzej mnie szlag trafi, aniżeli tknę tego kilonka!

– No, więc? – spytałem i zrobiłem taki ruch, jak gdybym chciał cofnąć kieliszek.

– Niech już będzie! – Szybkim ruchem sięgnęła po trunek. – Trzeba brać, co dają. Nawet jeśli człowiek tego nie rozumie. Na zdrowie! Czy to aby przypadkiem nie pańskie urodziny?

– Tak, Matyldo. Zgadła pani.

– Co, naprawdę? – Schwytała oburącz moją dłoń i potrząsnęła nią wylewnie. – Serdeczne życzenia! Pełnej kiesy, to grunt! Wie pan – obtarła ręką usta – takem się wzruszyła na stare lata… że przydałby się jeszcze jeden kilonek… Pan wie przecież, że pana kocham jak rodzonego syna.

– Dobra!

Nalałem drugi kieliszek. Wychyliła, nie mrugnąwszy okiem, i opuściła warsztat, piejąc hymny pochwalne na cześć mojej wspaniałomyślności.

Odstawiłem butelkę i usiadłem przy stole. Blade promienie słońca padały przez szyby na moje ręce. Urodziny! Zabawne uczucie ogar-

nia człowieka, nawet jeżeli nic sobie nie robi z takich uroczystości. Trzydziestka, przyjacielu… A był przecież czas, kiedy myślałem, że nigdy nie dożyję do dwudziestu lat… takie to wtedy wydawało się odległe. A potem…

Wyciągnąłem z szuflady arkusz papieru listowego i zacząłem liczyć. Dzieciństwo, szkoła – to był osobny kompleks, daleki, zapodziany gdzieś, dzisiaj już nierealny. Prawdziwe życie zaczęło się dopiero w roku 1916. Wtedy właśnie zostałem rekrutem; chudy jak zapałka, wystrzeliłem w górę, jakby mnie kto o to prosił, skończyłem osiemnaście lat. Ćwiczyłem „powstań!" i „padnij!" pod komendą podoficera, skończonego chama, na placu za koszarami. Jednego z pierwszych wieczorów przyszła do mnie w odwiedziny matka. Musiała na mnie czekać, biedula, z górą godzinę. Zapakowałem tornister nieprzepisowo i za karę kazano mi szorować ustępy. To było moje „wolne popołudnie". Matka chciała mi pomóc, ale takie rzeczy były zakazane. Matczysko się spłakało, a ja byłem tak skonany, że zasnąłem jeszcze w czasie jej wizyty.

1917. Flandria. Kupiliśmy do spółki z Middendorfem w kantynie butelczynę czerwonego wina. Chcieliśmy ją wypić z okazji urodzin. Ale nie doszło do tego. Już o świcie Anglicy obłożyli nas ciężkim ogniem. Köster został ranny w południe, Meyer i Deters padli po południu. A wieczorem, kiedyśmy już byli przekonani, że dadzą nam spokój, i otworzyliśmy flaszkę, gaz zaczął wpełzać do ziemianki. Zdążyliśmy jeszcze na czas założyć maski, ale maska Middendorfa okazała się zepsuta. Zanim to spostrzegł, było za późno. Zdarliśmy z niego dziurawe draństwo i wydostaliśmy nową maskę, ale wszystko to trwało za długo. Łyknął zbyt wiele gazu i rzygał już krwią. Umarł następnego dnia rano, z twarzą zieloną i czarną. Całą szyję miał poranioną… próbował paznokciami rozorać grdykę, aby złapać tchu.

1918. W szpitalu polowym. Parę dni przedtem przybył nowy transport rannych. Bandaże z papieru. Ciężko ranni. Cały dzień wjeżdżały i wyjeżdżały płaskie wózki operacyjne. Niektóre wracały puste na salę. Koło mnie leżał Józef Stoll. Amputowano mu obie nogi, ale on o tym jeszcze nie wiedział. Nie było tego widać, gdyż kołdrę ułożono na drucianym pałąku. Stoll nie uwierzyłby, że

mu obcięli nogi, bo ciągle odczuwał w nich ból. W nocy umarli w naszej izbie dwaj żołnierze. Jednemu z nich konanie szło ciężko.

1919. Z powrotem w domu. Rewolucja. Głód. Na ulicach ustawiczny klekot karabinów maszynowych. Żołnierze przeciwko żołnierzom. Towarzysze broni przeciwko dawnym kolegom.

1920. Zamach stanu. Zastrzelono Karola Brögera. Köster i Lenz aresztowani. Moja matka w szpitalu. Rak w ostatnim stadium.

1921...

Wytężyłem myśli. Nie mogłem sobie przypomnieć. Cały rok osunął się gdzieś, zapadł. W roku 1922 pracowałem jako robotnik kolejowy w Turyngii, w 1923 byłem szefem reklamy fabryki wyrobów gumowych. Inflacja trwała w najlepsze. Zarabiałem miesięcznie dwieście bilionów marek. Dwa razy dziennie wypłacano gażę, a zaraz potem zwalniano nas na pół godziny, abyśmy mogli skoczyć do sklepów i kupić, co się dało. Trzeba było zdążyć przed ogłoszeniem nowego kursu dolara. Potem otrzymane pieniądze były warte tylko połowę.

A później? Następne lata? Odłożyłem ołówek. Nie miało sensu ich liczyć. Nie pamiętałem tego zresztą tak dokładnie. Zanadto się wszystko poplątało. Ostatnie urodziny obchodziłem uroczyście w „Café International". Cały rok pracowałem tam jako pianista od nastrojowych kawałków. Potem spotkałem znów Köstera i Lenza. Tak oto wylądowałem w AUREWE, inaczej „Auto-Reperacje, Warsztaty O. Köster i S-ka". Owa S-ka to Lenz i ja, ale w rzeczywistości cały garaż i warsztat należał do Köstera. Był ongi naszym kolegą z ławy szkolnej, a potem dowódcą kompanii. Z kolei latał jako pilot, później pewien czas studiował, jeszcze później został kierowcą wyścigowym. W końcu kupił tę oto budę. Jako pierwszy wspólnik zgłosił się Lenz, który przez parę lat obijał się po Ameryce Południowej. Potem przystałem i ja do tego interesu.

Wyjąłem papierosa z kieszeni. Właściwie powinienem był być zupełnie zadowolony ze swojego losu. Powodziło mi się nie najgorzej, miałem robotę, byłem mocny jak tur, trzeba było nie lada wysiłku, ażebym poczuł się zmęczony, ot, zdrów jak ryba. A jednak lepiej było nie rozmyślać zanadto nad tym wszystkim. Szcze-

gólnie kiedy człowiek był sam. A także wieczorem. Raz po raz nachodziły człowieka zwidy z wczoraj i uparcie patrzyły martwymi oczyma. No, ale na tę biedę miało się wódkę.

Brama wejściowa zapiszczała w zawiasach. Podarłem kartkę papieru zapisaną datami z mego życia i cisnąłem ją do kosza. Drzwi rozwarły się szeroko. Stanął w nich Gotfryd Lenz – długi, chudy, z jasną grzywą koloru słomy i nosem, który nadawałby się do całkiem innej twarzy.

– Robby! – ryknął wielkiem głosem. – Wstawaj, baryłko sadła, zbierz swoje grzeszne kości! Baczność! Przełożeni chcą z tobą mówić!

– Tam do licha! – zawołałem, zrywając się na równe nogi. – Miałem nadzieję, że zapomnieliście o tym. Nie znęcajcie się nade mną, dziatki!

– Oczywiście, ty myślisz tylko o sobie! – Gotfryd położył na stole paczkę, w której coś zabrzęczało. Za Lenzem wszedł do garażu Köster. Lenz ustawił się przede mną w całej okazałości. – A teraz, Robby, gadaj, kogo pierwszego spotkałeś dzisiaj z rana?

– Pierwszą osobą spotkaną dzisiaj była stara pląsająca baba.

– Święty Ekspedycie! To zły znak. Ale doskonale pokrywa się z twoim horoskopem. Postawiłem go wczoraj. Urodziłeś się pod znakiem Strzelca – człowiek nieobliczalny, niepewny, trzcina na wietrze, pod podejrzanym wpływem Saturna z Jowiszem widocznym w tym roku pod małym kątem. Ponieważ Otto i ja jesteśmy dla ciebie ojcem i matką, wręczam ci, solenizancie, przede wszystkim coś, co będzie cię chronić od zła. Przyjm ten amulet! Pewna potomkini Inków przekazała mi tę pamiątkę. Miała błękitną krew, platfusy, wszy i boski dar widzenia przyszłości. „Białoskóry cudzoziemcze – powiedziała mi – królowie nosili ten amulet, jest w nim zaklęta siła Słońca, Księżyca i Ziemi, nie mówiąc o pomniejszych planetach. Daj mi srebrnego dolara na wódkę, a amulet będzie twoim!" Wręczam ci go, aby podtrzymać ciągłość łańcucha szczęścia. Amulet ten będzie cię osłaniał i zniweluje wpływ niechętnego ci Jowisza.

Zawiesił mi na szyi małą czarną figurkę na cienkim łańcuszku.

– W porządku! Amulet jest przeciwko nieszczęściom większego kalibru. Na codzienne zaś frasunki: sześć flaszek rumu od Ottona! Proszę z szacunkiem, bo są dwa razy starsze od ciebie!

Otworzył pakunek i ustawił butelki jedna za drugą w porannym słońcu. Migotały złoto jak bursztyn.

– Wyglądają cudownie – przyznałem. – Skądeś je wytrzasnął, Otto?

– O, to bardzo zawiła historia – zaśmiał się Köster. – Zbyt długa do opowiadania. Ale powiedz, stary, jak się dziś czujesz? Jak człowiek trzydziestoletni?

Potrząsnąłem głową.

– Równocześnie jak szesnastolatek i jak pięćdziesięcioletni pryk. Słowem, nic szczególnego.

– Co, śmiesz to nazywać niczym szczególnym? – zareplikował Lenz. – To przecież najpiękniejsze uczucie pod słońcem. Zwyciężyłeś czas i żyjesz przecież podwójnie.

Köster spojrzał na mnie uważnie.

– Daj mu spokój, Gotfrydzie – rzekł po chwili. – Urodziny źle działają na samopoczucie. Szczególnie o świcie. Już on przyjdzie powoli do siebie.

– Im mniej tego samopoczucia kołacze się w człowieku – Lenz mrugnął szelmowsko – tym więcej jest on wart, Robby. Czy cię to choć trochę pociesza?

– Nie – odpaliłem – ani odrobiny. Zanim człowiek stanie się coś wart, robi się własnym pomnikiem. Uważam to za zbyt nudne i męczące.

– Patrz, Otto, on już filozofuje, a więc jest uratowany – zawołał Lenz. – Przemógł w sobie ten martwy punkt. Tak, martwy punkt urodzinowy, kiedy to człowiek gapi się we własne źrenice i nagle dokonuje odkrycia, że jest nędznym pętakiem. Teraz możemy pokrzepieni na duchu zabrać się do naszej pracy powszedniej i naoliwić bebechy staremu cadillacowi.

Pracowaliśmy, dopóki się nie ściemniło. Potem umyliśmy się i przebrali. Lenz zerknął pożądliwie na butelki.

– Co, może by tak ukręcić jednej szyjkę?

– Robby ma głos w tej sprawie – rzekł Köster. – Niezbyt to wytwornie, Gotfrydzie, jedną ręką dawać, a drugą dobierać się do prezentu.

– Jeszcze mniej wytwornie jest pozwalać, aby ofiarodawcy umierali z pragnienia – odparował Lenz i otworzył jedną z butelek.

Smakowita woń rozniosła się w mig po całym warsztacie.

– Święty Ekspedycie! – mruknął Gotfryd.

Pociągnęliśmy wszyscy nosami.

– Fantastycznie pachnie, Otto. Trzeba by sięgnąć w najwyższe rejony poezji, ażeby znaleźć godne porównanie.

– Szkoda tego trunku na naszą ponurą budę! – zadecydował Lenz. – Wiecie co? Pojedziemy gdzieś za miasto na kolację i zabierzemy butelczynę ze sobą. Na łonie przyrody wydoimy to cudo!

– Świetnie!

Odsunęliśmy na bok cadillaca, nad którym mozoliliśmy się po południu. Za nim stał dziwny stwór na kołach. Był to wóz wyścigowy Ottona Köstera, duma naszego przedsiębiorstwa.

Köster kupił ten wóz – stare pudło o wysokiej karoserii – na licytacji za psie pieniądze. Znawcy, którzy go oglądali wtedy, określali go bez chwili wahania jako interesujący eksponat do muzeum komunikacji. Znajomy Ottona, Bollwies, branża konfekcyjna, właściciel fabryki płaszczy damskich i namiętny amator wyścigów samochodowych, doradzał Kösterowi, ażeby przerobił zabytek na maszynę do szycia. Ale Köster nic sobie nie robił z tych kpin. Rozłożył wóz na części jak zegarek i pracował nad nim miesiącami, nieraz do późnej nocy. Potem któregoś wieczoru zjawił się swoim gruchotem przed barem, gdzieśmy zwykle wysiadywali. Bollwiesa skręcało ze śmiechu, gdy ujrzał klekota. Trzeba przyznać, że wyglądał on w dalszym ciągu diabelnie śmiesznie. Dla kawału Bollwies zaproponował Kösterowi zakład. Oświadczył, że stawia dwieście marek przeciwko dwudziestu, jeżeli Köster przyjmie wyścig z jego nowym sportowym wozem. Trasa dziesięć

kilometrów, kilometr forów dla samochodu Ottona. Köster przyjął zakład. Wszyscy zanosili się od śmiechu i obiecywali sobie królewską zabawę. Ale Otto zrobił coś więcej: odrzucił fory i z niewzruszoną miną podwyższył zakład na tysiąc przeciw tysiącowi. Zdumiony Bollwies spytał, czy ma go zaraz odwieźć do najbliższego szpitala dla wariatów. W odpowiedzi na to Otto zapuścił motor. Obaj zawodnicy ruszyli, aby natychmiast zmierzyć swe siły. Bollwies wrócił po półgodzinie do baru tak spłoszony, jakby zobaczył węża morskiego. W milczeniu wypisał jeden czek, a potem zaraz drugi. Chciał kupić z miejsca wóz Ottona. Ale Köster wyśmiał jego ofertę. Nie sprzedałby wozu za żadne skarby świata. Chociaż auto było wewnątrz bez zarzutu, to jednak z zewnątrz prezentowało się okropnie. Na codzienny użytek nakładaliśmy na podwozie osobliwie staromodną karoserię, która pasowała jak ulał. Lakier na niej zmatowiał, błotniki miały szramy i zagięcia, a buda liczyła sobie dziesięć wiosen z okładem. Mogliśmy to wszystko odnowić, ale mieliśmy ważny powód, ażeby tego nie robić.

Wóz zwał się Karl. Karl, widmo szos.

I teraz Karl węszył na drodze.

– Otto! – zawołałem. – Jedzie ofiara!

Za nami trąbił niecierpliwie zwalisty buick. Doganiał nas szybko. Niebawem chłodnice się zrównały. Mężczyzna za kierownicą spojrzał na nas obojętnie. Wzrok jego zlustrował z góry na dół naszego obdartusa. Po czym właściciel buicka odwrócił się i zapomniał o naszym istnieniu.

W kilka sekund później musiał jednak stwierdzić, że Karl nie ustąpił mu ani kroku. Poprawił się w fotelu, spojrzał na nas rozbawionym wzrokiem i dał gazu. Nie, Karl nie odpadł. Jak uparty terier ścigający wspaniałego doga trzymał się nasz Karl, mały i zwinny, boku błyszczącej lokomotywy z niklu i lakieru.

Mężczyzna ujął mocniej kierownicę. Nic nie podejrzewał i ściągnął drwiąco wargi. Widać było od razu, że teraz chce nam pokazać, co potrafi jego karoca. Nacisnął tak mocno pedał, że rura wydechowa rozświergotała się jak łąka latem od skowronków. Nic

nie pomogło. Nie mógł nas minąć. Karl, brzydki i niepozorny, jak zaklęty trzymał się buicka. Kierowca spoglądał ku nam zdumiony. Nie mógł pojąć, dlaczego przy szybkości ponad sto kilometrów nie potrafił zgubić tego przedhistorycznego pudła. Skonsternowany patrzył na tachometr, jak gdyby ten musiał się mylić. Wreszcie dał pełny gaz.

Oba wozy gnały teraz tuż obok siebie po prostej szosie… Po kilkuset metrach zadudniło z przeciwka auto ciężarowe. Buick musiał schować się za nas, ażeby przepuścić ciężarówkę. Zaledwie zrównał się z Karlem, a już zaszumiał zmotoryzowany karawan, powiewając szarfami od wieńców. Buick znów musiał dać nura za Karla. Potem tor był już wolny.

Mężczyzna przy kierownicy stracił tymczasem swoją pychę. Siedział gniewny, z zaciśniętymi wargami, pochylony do przodu. Owładnął nim demon wyścigu. Cały honor jego życia zależał od tego, ażeby za żadną cenę nie ustąpić kundlowi.

My natomiast rozpieraliśmy się pozornie obojętnie na naszych siedzeniach. Buick nie istniał dla nas. Köster patrzył spokojnie na drogę, ja spozierałem znudzony w powietrze, a Lenz – chociaż kipiał od napięcia – wyciągnął z kieszeni gazetę i udawał, że nie ma w tej chwili nic ważniejszego do roboty, jak czytać.

W parę minut później Köster mrugnął do nas. Karl stracił niepostrzeżenie na tempie i buick zaczął nas powoli mijać. Jego szerokie, lśniące błotniki przesunęły się koło nas. Rura wydechowa zionęła nam w twarze niebieskim dymem. Stopniowo zyskał około dwudziestu metrów przewagi. Zaraz też, czego się spodziewaliśmy, wychyliła się z okna gęba właściciela. Uśmiechnął się z wyraźnym triumfem. Był przekonany, że wygrał.

Ale właściciel buicka pozwolił sobie jeszcze na coś więcej. Nie mógł zdusić w sobie żądzy rewanżu. Dawał nam ręką znak, ażebyśmy go doścignęli. Machał łapą szczególnie natarczywie i zwycięsko.

– Otto! – upominał Lenz.

Ale było to zbyteczne. W tej samej bowiem sekundzie Karl skoczył naprzód. Kompresor gwizdnął przeciągle. I nagle zapraszająca ręka w oknie znikła – Karl przyjął wyzwanie. Nadciągał jak

burza. Nic nie potrafiło go powstrzymać. Odrobił różnicę dzielącą oba wozy i wtedy dopiero po raz pierwszy łaskawie zauważyliśmy obce auto. Pytającym, niewinnym wzrokiem obrzuciliśmy kierowcę. Chcieliśmy się dowiedzieć, dlaczego machał ręką. Tamten jednak patrzy uporczywie w bok. Karl teraz dopiero zachłysnął się pełnym gazem, mknął brudny, z klekocącymi błotnikami – nasz zwycięski grat.

– Pięknieś go zrobił! – pochwalił Lenz Köstera. – Temu gościowi nie będzie smakowała kolacja.

Takie polowania stanowiły ukryty powód, dla którego nie zmienialiśmy karoserii Karla. Wystarczyło, ażeby pojawił się na szosie, a zaraz ktoś próbował go pognębić. Karl działał na inne samochody jak wrona ze złamanym skrzydłem na bandę głodnych kocurów. Prowokował do wymijania najspokojniejsze familijne karety. Najdostojniejszych brodaczy i ojców rodzin opętanych niezawodnie demonem szybkości, gdy zobaczyli grzechoczący zad Karla podskakujący w górę i w dół przed ich nosem. Któż mógł podejrzewać, że w tej śmiesznej obudowie bije wspaniałe serce wyścigowego silnika!

Lenz utrzymywał stale, że Karl działa wychowawczo. Uczy ludzi szacunku dla ducha twórczego, który zawsze kryje się w niepozornej skorupie. Tak mówił Lenz, który głosił o sobie samym, że jest ostatnim romantykiem.

Zatrzymaliśmy się przed małym zajazdem i wyleźliśmy z wozu. Wieczór był piękny i cichy. Bruzdy zoranych pól miały fioletowy połysk. Krawędzie ich płonęły złoto i brunatno. Niby wielkie flamingi płynęły chmury po niebie zielonkawym jak skórka jabłek, ukrywających wąski sierp przybierającego księżyca. W gałęziach leszczyny zaplątał się zmierzch i jakieś drżące przeczucie. Krzak był wzruszająco nagi, a jednak pełen nadziei zawiązujących się pączków. Z gospody snuł się zapach smażonej wątróbki. Z cebulką, ani chybi. Serca nasze wezbrały radością.

Wiedziony zapachem rzucił się Lenz ku zajazdowi. Wrócił z rozjaśnionym obliczem.

– Żebyście widzieli, jak się smażą ziemniaczki! Szybko, bo inaczej zmiotą nam, co najlepsze!

W tej samej chwili zaszumiał na szosie jakiś wóz. Staliśmy jak przykuci do miejsca. Jako żywo – nasz przyjaciel buick! Z ostrym zgrzytem zahamował tuż przy Karlu.

– Masz babo placek – mruknął Lenz.

Nieraz już z powodu naszych polowań wynikały bijatyki.

Kierowca wysiadł z auta: ciężki, zwalisty chłop, w szerokim, brązowym raglanie z wielbłądziej wełny. Spojrzał wściekłym zezem na Karla, zdjął grube żółte rękawiczki i zbliżył się do naszej grupy.

– Cóż to za model, ten pański wóz? – spytał najbliżej stojącego Köstera z miną kwaśną jak ocet siedmiu złodziei.

Chwilę patrzyliśmy na niego w milczeniu. Oczywiście brał nas za monterów, którzy wystrychnęli się w świąteczne ubrania i wypożyczyli sobie chyłkiem auto.

– Czy mi się zdaje, czy też pan coś powiedział? – zagadnął w końcu ociągającym się głosem Otto. Chciał dać gościowi nauczkę, że powinien odezwać się nieco uprzejmiej.

Mężczyzna poczerwieniał jak burak.

– Pytałem o ten tam wóz – burknął w tym samym tonie co przedtem.

Lenz wyprostował się w całej swej długości. Jego wielki nos zmarszczył się. Był niezmiernie czuły na uprzejmość ze strony innych. Ale zanim zdążył otworzyć usta, otworzyły się – jakby za dotknięciem niewidzialnej ręki – drugie drzwiczki buicka. Wyśliznęła się z nich wąska stopa, potem szczupłe kolano, wreszcie z wozu wysiadła dziewczyna i zaczęła iść z wolna w naszym kierunku.

Spojrzeliśmy po sobie zdumieni. Nie dostrzegliśmy przedtem, że ktoś jeszcze siedział w aucie. Lenz zmienił momentalnie postawę. Uśmiech od ucha do ucha pojawił się na jego usianej piegami twarzy. I oto cała nasza trójka zaczęła się uśmiechać, diabli wiedzą dlaczego.

Grubas gapił się na nas skonsternowany. Stracił pewność siebie i najwidoczniej nie wiedział, co ma zrobić z tym fantem.

– Binding – przedstawił się wreszcie z półukłonem, jak gdyby nazwisko było podporą, której mógł się przytrzymać.

Dziewczyna znalazła się już przy nas. Staliśmy się jeszcze uprzejmiejsi.

– Pokaż panu wóz, Otto – bąknął Lenz, rzucając Kösterowi szybkie spojrzenie.

– Proszę bardzo – rzekł Otto, odpowiadając Lenzowi rozbawionym wzrokiem.

– Bardzo chętnie obejrzę sobie wóz panów. – Binding nastrojony był już bardziej ugodowo. – Musi być diabelnie szybki. Minął mnie, jak gdyby nigdy nic.

Obaj panowie skierowali się ku parkingowi i Köster uniósł maskę Karla.

Dziewczyna nie podążyła za swoim towarzyszem. Przystanęła między mną a Lenzem, szczupła i milcząca w narastającym zmierzchu. Oczekiwałem, że Gotfryd wykorzysta okazję i ruszy z kopyta. Był przecież specjalistą od takich sytuacji. Ale nie do wiary – Lenz zaniemówił. Zwykle tokował w takich wypadkach niby głuszec – teraz stał skromnie jak kapucyn na urlopie i nie otwierał gęby.

– Proszę nam wybaczyć – odezwałem się wreszcie. – Nie widzieliśmy, że pani siedzi w aucie. Inaczej nie robilibyśmy na pewno takich kawałów.

Dziewczyna zwróciła ku mnie oczy.

– Dlaczego? – odpowiedziała spokojnie. Głos jej miał zdumiewająco ciemną barwę. – Przecież nie było w tym nic złego.

– Oczywiście, to żaden grzech, ale też i niezbyt przyzwoicie. Nasz wóz wyciąga mniej więcej dwieście kilometrów na godzinę.

Pochyliła się nieco ku przodowi i wsadziła ręce w kieszenie płaszcza.

– Co, dwieście kilometrów?

– Dokładnie sto dziewięćdziesiąt osiem i dwie dziesiąte. Urzędowo stwierdzone na stoperze – wypalił z dumą Lenz.

Dziewczyna zaśmiała się.

– A myśmy przypuszczali, że mniej więcej sześćdziesiąt do siedemdziesięciu.

– Oczywiście – wtrąciłem – nie mogła pani tego wiedzieć.

– Nie, tego żadną miarą nie można było przypuszczać. Byliśmy przekonani, że buick jest dwa razy szybszy od wozu panów.

– Tak. – Kopnąłem złamaną gałąź plączącą się po ziemi. – Mieliśmy zbyt dużą przewagę. Zdaje mi się, że pan Binding zły był na nas co się zowie.

– Tak, przez chwilę na pewno był zły – zaśmiała się. – Ale trzeba umieć także przegrywać. Inaczej nie można by żyć.

– Naturalnie.

Zapadło milczenie. Spojrzałem na Lenza. Ale ostatni romantyk uśmiechnął się tylko, ruszył nosem i zostawił mnie na pastwę losu. Brzozy szumiały. Za domem gdakała kura.

– Wspaniała pogoda – wydusiłem z siebie w końcu, ażeby przerwać milczenie.

– Tak, cudowna – potwierdziła dziewczyna.

– I taka łagodna – dorzucił Lenz.

– Doprawdy niezwykle łagodna – uzupełniłem od siebie.

I znowu przerwa. Dziewczyna uważała nas z pewnością za nieobytych durniów. Ale mimo wszelkich wysiłków nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Lenz zaczął węszyć.

– Duszone jabłka – szepnął z uczuciem – zdaje się, że do wątróbki będą także duszone jabłuszka. Specjał, palce lizać.

– Niewątpliwie – przyznałem, przeklinając w duchu nas obu.

Köster z Bindingiem wrócili do naszej gromadki. Binding stał się w ciągu tych paru minut zgoła innym człowiekiem. Zdawał się należeć do rasy wariatów samochodowych, którzy są w siódmym niebie, jeżeli natkną się gdzieś na fachowca i mogą z nim porozmawiać.

– Zjemy razem kolację? – zaproponował.

– Naturalnie – skłonił się Lenz.

Weszliśmy do gospody. W drzwiach Gotfryd mrugnął ku mnie i wskazał głową dziewczynę.

– Słuchaj, ona wyrównuje zły urok starej tańczącej baby, która zwidziała ci się dzisiaj rano, dziesięciokrotnie i z nawiązką, co?

Wzruszyłem ramionami.

– Być może, ale czemu kazałeś mi samemu bełkotać te bzdury?

Lenz parsknął śmiechem.

– Musisz się kiedyś nauczyć samodzielności, dziecinko!

– Nie mam już ochoty uczyć się czegokolwiek – odpaliłem.

Weszliśmy za innymi do wnętrza. Siedzieli już przy stole. Gospodyni wkroczyła właśnie z wątróbką i smażonymi ziemniaczkami. Poza tym jako wstęp do uczty przyniosła dużą flaszkę żytniówki.

Binding okazał się niezmordowanym gadułą. Trudno było uwierzyć, ile ten człowiek potrafi powiedzieć na temat samochodów. Gdy usłyszał, że Otto brał także udział w wyścigach, jego sympatia nie miała już żadnych granic.

Przyglądałem mu się uważnie. Ciężki mężczyzna o rumianej twarzy i szerokich brwiach. Trochę bufon, za głośny i hałaśliwy, ale przypuszczalnie dobroduszny, jakimi często bywają ludzie, którym się w życiu powodzi. Mogłem sobie doskonale wyobrazić, że przed pójściem spać ogląda co wieczór w lustrze swoje odbicie z powagą, godnością i szacunkiem.

Dziewczyna siedziała między mną i Lenzem. Zdjęła płaszcz; miała na sobie szary angielski kostium. Na szyi zawiązała biały szalik, który wyglądał jak krawat noszony przez amazonki. Jedwabiste ciemnoblond włosy nabierały w świetle lampy bursztynowego blasku. Ramiona miała bardzo proste, lecz trzymała się nieco pochylona. Wąskie, nadmiernie długie ręce, raczej kościste aniżeli miękkie. Twarz jej była szczupła i blada, ale duże oczy nadawały jej wyraz niemal namiętnej siły. Uważałem, że jest bardzo przystojna, ale nie myślałem przy tym nic więcej.

Natomiast Lenz palił się jak pochodnia. Uległ całkowitej odmianie. Żółta strzecha na jego głowie jaśniała jak czub u dudka. Sypał dowcipami niby z rękawa, do spółki z Bindingiem zawojował cały stół. Siedziałem jako skromny świadek tej przewagi i nie miałem pola do popisu. Pozostawiono mi najwyżej przywilej podania półmiska albo poczęstowania papierosem. Aha, no i trącania się kieliszkiem z Bindingiem. Czyniłem to – prawdę mówiąc – wcale gęsto.

Nagle Lenz uderzył się dłonią w czoło.

– Rum! Robby, skocz i przynieś urodzinowy rum!

– Urodzinowy? Któryż z panów ma dziś urodziny? – spytała dziewczyna.

– Ja – bąknąłem. – Z tej racji jestem prześladowany przez cały dzień.

– Prześladowany? A więc nie chce pan, żeby mu składano życzenia?

– Owszem. Życzenia to co innego.

Przez chwilę trzymałem w ręce jej dłoń i czułem ciepły, suchy uścisk. Potem wyszedłem po rum.

Wielka milcząca noc okalała dom. Skórzane siedzenia w samochodzie były wilgotne. Przystanąłem i patrzyłem na linię horyzontu, nad którą unosił się czerwony blask miasta. Chętnie bym został na dworze, ale z gospody dochodziło już wołanie Lenza.

Binding źle znosił rum. Widać to było już po drugim kieliszku. Chwiejnym krokiem wyszedł do ogródka. Podniosłem się od stołu i stanąłem z Lenzem przy bufecie. Zażądał flaszki ginu.

– Wspaniała dziewczyna, co? – zagadnął.

– Doprawdy, nie mam co do tego zdania, Gotfrydzie. Nie interesowałem się nią bliżej.

Przyglądał mi się przez chwilę swymi niebieskimi, mieniącymi się oczyma i potrząsnął rozpaloną głową.

– Powiedz mi, dziecinko, po co ty właściwie żyjesz na świecie?

– Od dawna próbuję się tego dowiedzieć i ani rusz nie mogę.

Zaśmiał się.

– Chciałbyś! Tak łatwo to nie przychodzi. Ale teraz postaram się wywąchać, co właściwie łączy dziewczynę z tym grubym katalogiem automobilowym.

To rzekłszy, udał się za Bindingiem do ogródka. Po chwili przyholował go do szynkwasu. Wywiad musiał wypaść pomyślnie, gdyż Gotfryd, który doszedł najwidoczniej do wniosku, że tor jest wolny, przypiął się do Bindinga z wielkim zapałem. Zamówił nową flaszkę ginu i po godzinie byli z Bindingiem na ty. Kiedy Lenz był w dobrym humorze, miał w sobie coś tak ujmującego, że trudno mu się było oprzeć. On także nie potrafił się oprzeć sobie samemu. Teraz całkiem podbił Bindinga i niebawem zaczęli ryczeć w alta-

nie żołnierskie piosenki. Przy tym wszystkim ostatni romantyk zapomniał o dziewczynie.

Zostaliśmy we trójkę w izbie. Zrobiło się nagle strasznie cicho. Szwarcwaldzki zegar z kukułką tykał miarowo. Gospodyni sprzątnęła ze stołu, obdarzając nas macierzyńskim spojrzeniem. Przy piecu wyciągnął się brunatny legawiec. Czasami zaszczekał przez sen cichym, żałosnym dyszkantem. Wiatr ocierał się o okna. Szmer jego zacierały raz po raz strzępy pieśni żołnierskich. Miałem wrażenie, jakby cała izba unosiła się z nami w górę i płynęła poprzez noc i lata mimo wielu wspomnień.

Osobliwy nastrój. Czas zapadł się, przestał istnieć. Nie był już rzeką, która z mroku przychodzi i w mrok odpływa, ale jeziorem, w którym odbija się bezgłośnie życie ludzkie. Ściskałem w ręku kieliszek. Rum połyskiwał. Myślałem o kartce zapisanej dzisiaj rano w warsztacie. Byłem wtedy trochę smutny. Teraz już nie. Ostatecznie, wszystko jedno – dopóki człowiek żyje. Spojrzałem na Köstera. Słyszałem, że rozmawia z dziewczyną, ale nie zważałem na słowa. Czułem miękki opar pierwszego oszołomienia alkoholem, który rozgrzewał powoli krew. Lubiłem tę mgiełkę, albowiem rzucała ona na niewiadome jakąś iluzję przygody. W altanie Lenz z Bindingiem zawodzili pieśń o Lesie Argońskim. Obok mnie rozmawiała nieznana dziewczyna. Mówiła cicho i powoli, głosem ciemnym, podniecającym, nieco ochrypłym. Wychyliłem kieliszek.

Tamci wrócili do izby. Wytrzeźwieli nieco na świeżym powietrzu. Zabieraliśmy się do domu. Podałem dziewczynie płaszcz. Stała blisko mnie, przeciągając się miękko w ramionach. Głowę przechyliła skośnie w tył, na lekko rozwartych ustach zaigrał uśmiech skierowany do sufitu, do nikogo. Opuściłem na chwilę okrycie. Gdzież ja, u licha, cały ten czas miałem oczy? Spałem, czy co? Zrozumiałem nagle zachwyt Lenza.

Obróciła się do mnie pytająco. Podniosłem szybko płaszcz na wysokość jej ramion i wskazałem oczyma Bindinga, który stał przy stole czerwony jak wiśnia, ze szklistym jeszcze wzrokiem.

– Czy pani uważa, że on może prowadzić?

– Sądzę, że tak.

Nie spuszczając z niej wzroku, powiedziałem:

– Jeżeli nie jest go pani zupełnie pewna, jeden z nas może siąść przy kierownicy.

Wydobyła puderniczkę i otworzyła wieczko.

– Jakoś to będzie. Nawet lepiej prowadzi, jak sobie podchmieli.

– Lepiej i prawdopodobnie mniej ostrożnie – wtrąciłem.

Spojrzała na mnie ponad brzegiem lusterka.

– Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze – uciąłem.

Moja troska brzmiała nieco przesadnie, albowiem Binding trzymał się mocno na nogach. Chciałem po prostu wymyślić jakiś pretekst, ażeby jej całkiem nie stracić z oczu.

– Czy pozwoli pani zadzwonić do siebie jutro i dowiedzieć się, jak się udał powrót? – Nie odpowiedziała od razu. – Ciąży na nas przecież odpowiedzialność za to pijaństwo – nastawałem. – Szczególnie na mnie z powodu urodzinowego rumu.

– A więc dobrze – zaśmiała się. – Jak pan chce. Zachód 2796.

Zapisałem sobie numer, gdy tylko wyszliśmy z gospody. Dopilnowaliśmy odjazdu Bindinga i wypiliśmy jeszcze strzemiennego. Potem spuściliśmy Karla ze smyczy. Zawył i zaczął śmigać przez lekką mgłę marcową. Oddychaliśmy szybko, ogniste i rozkołysane w oparach miasto leciało ku nam, a z mgły wyrósł jak oświetlony, kolorowy okręt bar Freddy'ego. Zakotwiczyliśmy Karla. Złotem ciekł koniak, gin jaśniał jak akwamaryna, a rum był samym życiem. Siedzieliśmy kamieniem na wysokich taboretach przy barze, muzyka szemrała jak wodotrysk, życie było jasne i mocne. Potężnie tętniło w naszych piersiach, spłukiwało beznadziejność nędznych, umeblowanych pokoi, które czekały na nas, smutek naszego bytowania poszedł w kąt, bar zmienił się w mostek kapitański życia, i oto odpływaliśmy z szumem w przyszłość.

II

Następnego dnia była niedziela. Spałem długo i obudziłem się dopiero wtedy, gdy słońce padło na łóżko. Zerwałem się i otwarłem na oścież okno. Na dworze było świeżo i pogodnie. Ustawiłem maszynkę spirytusową na ławce i wyciągnąłem puszkę z kawą. Moja gospodyni, pani Zalewska, pozwoliła mi gotować w pokoju kawę. Jej kawka była zbyt lurowata. Szczególnie gdy się popiło wieczorem.

Mieszkałem już od dwóch lat w pensjonacie pani Zalewskiej. Dzielnica przypadła mi do smaku. Zawsze coś się tu działo, albowiem tuż obok siebie mieściły się: dom Związku Zawodowego, „Café International" oraz lokal Armii Zbawienia. Naprzeciw domu rozciągał się poza tym stary cmentarz, który od dawna już był zamknięty. Drzewa stały tam gęsto jak w parku, a gdy nocą uspokajał się tumult uliczny, można było się łudzić, że się mieszka na wsi. Inna sprawa, że cisza zapadała późno, albowiem tuż przy cmentarzu rozłożyło się wesołe miasteczko, w którym kręciły się niestrudzenie karuzele i kołysały napowietrzne łódki.

Dla pani Zalewskiej cmentarz był nieocenioną reklamą. Powoływała się stale na świeże powietrze i rozległy widok z okien, za co mogła brać wyższe ceny. Przy wszelkich skargach replikowała stałym argumentem: „Ależ, moi państwo, weźcie tylko pod uwagę położenie domu!"

Ubierałem się bez pośpiechu. Wzmagało to we mnie poczucie niedzieli. Umyłem się, połaziłem sobie po pokoju, przeczytałem

gazetę, zaparzyłem kawę, stanąłem przy oknie i przypatrywałem się, jak polewano ulicę, słuchałem, jak ptaki śpiewają w wysokich drzewach na cmentarzu – ich głosy akompaniowały niby maleńkie srebrne piszczałki boże cichemu, sentymentalnemu pomrukowi melancholijnej katarynki z wesołego miasteczka – grzebałem w moich paru koszulach i skarpetkach, jakbym ich miał dwadzieścia razy więcej do wyboru, gwiżdżąc, opróżniłem kieszenie: groszaki, scyzoryk, klucze, papierosy – i karteczka z wczoraj, z nazwiskiem dziewczyny i numerem telefonu. Patrycja Hollmann. Osobliwe imię – Patrycja. Położyłem karteluszek na stole. Czy to doprawdy działo się wczoraj? Jakże odległe już było, niemal zapomniane w perłowoszarych oparach alkoholu. Właśnie to było wspaniałe w piciu: szybko przenosiło ono człowieka nad czasem, ale między wieczorem a rankiem tworzyła się znów przestrzeń, jakby to były lata.

Włożyłem kartkę pod stos książek. Zadzwonić? Może tak, a może nie. Za dnia wyglądały te sprawy zawsze inaczej aniżeli wieczorem. Właściwie byłem bardzo zadowolony z mojego spokoju. W ostatnich latach było wokół mnie dosyć zgiełku. Grunt nie przywiązywać się do niczego – mawiał Köster. Do czego się przywiążesz, to chciałbyś zatrzymać. A zatrzymać w życiu nie można nic.

W tym momencie rozmyślań w sąsiednim pokoju wybuchła awantura, jak co niedziela przed południem. Szukałem kapelusza, który musiałem posiać gdzieś wczoraj wieczorem, i przysłuchiwałem się przez chwilę odgłosom zza ściany. Staczało tam boje małżeństwo Hasse. Od pięciu lat gnietli się w małej ciupce. Nie byli to, broń Boże, źli ludzie. Gdyby dochrapali się trzech pokoi z kuchnią, w której mogłaby królować pani Hasse, gdyby na dodatek mieli dziecko, małżeństwo ich byłoby zapewne szczęśliwe. Ale mieszkanie kosztowało zbyt wiele grosza, no a dziecko – któż może sobie na to pozwolić w tych niepewnych czasach! Toteż obijali się o siebie w tej ciasnocie, żonę opętała histeria, a mąż był w ciągłej trwodze, że straci swoją skromną posadkę. Jeżeli go zwolnią – to koniec. Miał czterdzieści pięć lat. Skoro raz zostanie bezrobotnym, nikt go nie przyjmie do pracy. W tym właśnie tkwiło

nieszczęście: za dawnych czasów człowiek tracił powoli grunt pod nogami i zawsze miał jeszcze możliwość wypłynięcia na powierzchnię. Dzisiaj za każdym wypowiedzeniem czaiła się otchłań wiecznego bezrobocia.

Usiłowałem wymknąć się po cichu z mego pokoju, ale już zapukano do drzwi i wpadł, potykając się na progu, Hasse. Runął na krzesło.

– Nie zniosę tego dłużej.

Był to w rzeczywistości łagodny człowiek o opuszczonych ramionach i małym wąsiku. Skromny, obowiązkowy urzędnik. Ale właśnie takim ludziom powodziło się teraz najgorzej. Chyba zawsze takim było najgorzej. Skromność i obowiązkowość nagradzana jest tylko w powieściach. W życiu jednostki tego typu wykorzystuje się do ostatnich granic, a potem wyrzuca na bruk. Hasse podniósł ręce.

– Niech pan pomyśli, w naszym biurze były znowu dwa wypowiedzenia! Następnym będę ja, zobaczy pan, ja!

W tej trwodze żył od pierwszego do pierwszego każdego miesiąca. Nalałem mu kieliszek wódki. Drżał na całym ciele. Któregoś dnia poczciwina załamie się zupełnie, to było jasne. Nie miał żadnych rezerw.

– A na domiar złego ciągle te wymówki – szepnął.

Przypuszczalnie żona czyniła mu wymówki. Miała czterdzieści dwa lata, była nieco gąbczasta i przekwitła, ale naturalnie nie tak zużyta jak jej mąż. Cierpiała na typową dla jej wieku psychozę, że nie zdąży już użyć życia.

Nie miało żadnego sensu mieszać się do tych porachunków małżeńskich.

– Niech pan posłucha mojej rady, Hasse – odezwałem się. – Proszę posiedzieć u mnie, jak długo się panu spodoba. Muszę wyjść. Jeżeli pan woli koniak, to stoi w szafie. Tu na stole ma pan rum. Tam leżą gazety. A dziś po południu niech pan gdzieś pójdzie z żoną. Może do kina? Kosztuje tyle samo co dwugodzinne siedzenie w kawiarni, a daje znacznie więcej uciechy! Hasłem dnia dzisiejszego jest zapomnieć, nie rozmyślać!

Poklepałem go po ramieniu, ale miałem lekkie wyrzuty sumienia. Chociaż kino to zawsze dobra rzecz. Człowiek może sobie trochę pomarzyć.

Drzwi obok stały otworem. Pani Hasse szlochała, aż rozległo się dokoła. Powędrowałem korytarzem. Następne drzwi były uchylone. Podsłuchiwano. Woń perfum buchała z pokoju. Mieszkała w nim Erna Bönig, z zawodu sekretarka. Stanowczo za elegancka jak na swoje pobory. Ale raz na tydzień szef dyktował jej pilne listy aż do rana. Nazajutrz była zawsze zła jak osa. Za to co wieczór chodziła na dansing. Głosiła otwarcie, że jak nie będzie mogła tańczyć, życie się dla niej skończy. Miała dwóch przyjaciół. Jeden kochał ją i przynosił kwiaty. Drugiego ona kochała i dawała mu pieniądze.

Koło niej gnieździł się rotmistrz hrabia Orłow, rosyjski emigrant, fordanser, kelner, statysta filmowy i żigolo z siwymi skroniami. Cudownie grał na gitarze. Co wieczór modlił się do Matki Boskiej Kazańskiej o posadę głównego portiera w pomniejszym hotelu. Gdy sobie podpił, był skłonny do płaczu. Następne drzwi: pani Bender, pielęgniarka w żłobku. Dwoje dzieci zmarło z niedożywienia w roku 1918. Hodowała pstrokatego kocura. Jedyne, co miała.

Obok – pan Müller, emerytowany radca skarbowy. Sekretarz związku filatelistów. Chodzący zbiór znaczków pocztowych, poza tym nic. Szczęśliwy człowiek.

Zapukałem do ostatnich drzwi.

– No, Jerzy – zawołałem – co słychać? Wciąż jeszcze nic?

Jerzy Block potrząsnął głową. Był słuchaczem czwartego semestru. Ażeby przebrnąć przez te cztery półrocza, pracował dwa lata w kopalni. Teraz przejadł już niemal wszystkie oszczędności; pozostało mu jeszcze na dwa miesiące utrzymania. Do kopalni nie mógł już wrócić. Iluż górników było dzisiaj bez pracy! Próbował na wszelkie sposoby znaleźć jakiś zarobek. Przez tydzień rozdawał reklamowe ulotki pewnej fabryki margaryny; ale firma zbankrutowała. Wkrótce potem złapał stanowisko roznosiciela gazet i ode-

tchnął swobodniej. Lecz w trzy dni później zatrzymało go o świcie na ulicy dwóch drabów w oprychówkach. Wyrwali mu paczkę gazet, podarli je i zapowiedzieli, żeby nie ważył się pchać do nie swojego rzemiosła. Dosyć już bezrobotnych roznosicieli. Block zaryzykował jednak i zjawił się następnego dnia na ulicy, chociaż musiał przedtem zapłacić z własnej kieszeni za podarte gazety. Ktoś wpadł na niego na rowerze. Gazety upadły w błoto. Kosztowało go to dwie marki. Uparł się i trzeciego dnia stanął znowu na rogu. Wrócił do domu w podartym ubraniu i z posiniaczoną twarzą. Wtedy dał za wygraną. Teraz siedział kamieniem w domu, zgnębiony i zrozpaczony. Kuł jak wariat, jakby to miało jakiś cel. Jadł raz dziennie. Przy tym wszystkim było rzeczą obojętną, czy skończy studia czy nie. Nawet po zdaniu egzaminów na posadę mógł liczyć najwcześniej za dziesięć lat. Wsunąłem mu w rękę pudełko papierosów.

– Pluń na to wszystko, Jerzy! Ja też to zrobiłem. Możesz później zawsze zacząć na nowo.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Już wtedy, po pracy w kopalni, wiedziałem, że nic z tego. Wychodzi się zupełnie z wprawy, jeżeli nie ma się co dzień do czynienia z książkami. Drugi raz nie zdobędę się na taki wysiłek.

Blada twarz z odstającymi uszami i krótkowzrocznymi oczami, szczupła postać, zapadnięte piersi – niech to diabli porwą!

– No, to powodzenia, Jerzyku.

Rodziców także już nie miał.

Kuchnia. Wypchana głowa dzika. Wspomnienie po nieboszczyku Zalewskim. Telefon. Półmrok. Woń gazu i kiepskiego tłuszczu. Drzwi wejściowe z wizytówkami przypiętymi wokoło dzwonka. Jest i moja. „Robert Lohkamp, stud fil. Dwa razy długo dzwonić". Wizytówka była zżółkła i brudna. „Stud. fil.". Dużo mi z tego przyszło! Jakże to dawno temu. Zszedłem po schodach do „Café International".

„International" była wielką, ciemną i zadymioną kichą z szeregiem salek od tyłu. Z przodu, koło szynkwasu, stało pianino. Było

rozstrojone, kilka strun pękło, brakowało także paru klawiszy z kości słoniowej. Lubiłem jednak dzielne, wysłużone pudło. Dzieliło ze mną rok życia, kiedy byłem zaangażowany jako pianista od nastrojowych kawałków w „Internationalu".

W tych pokoikach kawiarni odbywali swoje zebrania handlarze bydła. Niekiedy schodzili się także przedsiębiorcy z wesołego miasteczka. We frontowej sali przesiadywały dziwki.

Lokal ział pustką. Tylko dotknięty platfusem kelner Alojzy trzymał straż za ladą.

– Jak zwykle? – spytał.

Kiwnąłem głową. Przyniósł mi kieliszek portwajnu zmieszany pół na pół z rumem. Usiadłem przy stoliku i zapatrzyłem się bezmyślnie przed siebie. Szare pasmo słoneczne padało ukośnie przez okno. Zaplątało się i uwięzło we flaszkach z wódką, ustawionych na półkach. Cherry-brandy płonęła jak rubin.

Alojzy płukał szklanki. Kot gospodarza siedział na pianinie i mruczał. Wypaliłem powoli papierosa. Stęchłe powietrze nastrajało sennie. Dziwny głos miała ta dziewczyna wczoraj. Ciemny, nieco chropawy, prawie zachrypnięty, a jednak miękki.

– Daj mi parę pism ilustrowanych, Alojzy – zawołałem do kelnera.

Skrzypnęły drzwi. Weszła Róża. Róża, kurwa spod cmentarza, zwana „żelazną kobyłą". Zdobyła sobie to przezwisko, albowiem była niespożyta. Zamierzała wypić filiżankę czekolady. Pozwalała sobie co niedziela na taki luksus, po czym jechała do Burgdorf odwiedzić swoje dziecko.

– Jak się masz, Robert!

– Dzień dobry, Różo. Jak się miewa mała?

– Właśnie chcę do niej zajrzeć. Popatrz, co jej wiozę. Wyjęła z papieru pyzatą lalę z czerwonymi policzkami i nacisnęła jej brzuszek. „Ma-ma", skrzeknęła lala. Róża promieniała.

– Bajeczne! – pochwaliłem.

– To nie koniec. Uważaj! – Przechyliła lalę w tył. Zamknęła oczy jak na komendę.

– Niesłychane, Różo!

Była zadowolona i zapakowała z powrotem pieczołowicie swój prezent.

– Ty rozumiesz się na takich figlach. Będziesz kiedyś idealnym mężem.

– E, tam – rzekłem powątpiewająco.

Róża była ogromnie przywiązana do dziecka. Jeszcze trzy miesiące temu, dopóki bobo nie umiało chodzić, trzymała je w swoim pokoju. Udawało się to pomimo zawodu Róży, bo przy pokoiku znajdowała się mała komórka. Gdy wieczorem Róża przychodziła z klientem, kazała mu pod jakimkolwiek pozorem czekać chwilę pod drzwiami, a sama wpadała do pokoju i przesuwała wózek do komórki, zamykała drzwi od schowka i wpuszczała gościa. Jednakże w grudniu dziecko musiało wędrować zbyt często z ogrzanego pokoju do zimnej komórki. Nic dziwnego, że się zaziębiało i często płakało, kiedy był ktoś u matki. Róża musiała rozstać się z córeczką, chociaż przyszło jej to bardzo ciężko. Oddała dziecko do drogiej ochronki. Uchodziła tam za uczciwą wdowę. Inaczej nie przyjęto by bąka.

Róża podniosła się.

– Przyjdziesz w piątek?

Kiwnąłem głową.

Spojrzała na mnie.

– Wiesz już, o co chodzi?

– Oczywiście.

Nie miałem zielonego pojęcia, o co chodzi. Nie chciałem jednak wypytywać o to. Nauczyłem się tego przez rok mojego grania w knajpie. Tak było najwygodniej. Podobnie jak mówienie „ty” wszystkim dziewczynom. Nie można było inaczej.

– Serwus, Robert.

– Serwus, Różo.

Zostałem jeszcze przez chwilę. Nie mogłem jednak zaznać właściwego, sennego spokoju, który spływał na mnie stale w tej knajpie, będącej dla mnie rodzajem niedzielnego przytułku. Wychyliłem jeszcze jeden kieliszek rumu, pogłaskałem kota i opuściłem lokal.

Przez cały dzień włóczyłem się bez celu. Nie bardzo wiedziałem, co z sobą począć, i nigdzie nie potrafiłem zagrzać miejsca. Późnym popołudniem zawędrowałem do naszego warsztatu. Zastałem tam Köstera. Majstrował przy cadillacu. Kupiliśmy go niedawno jako stary grat za śmiesznie niską cenę. Wyremontowaliśmy wóz gruntownie, a Köster dodawał mu właśnie ostatniego szlifu. Była to spekulacja. Spodziewaliśmy się dużo na niej zarobić. Osobiście powątpiewałem, czy będzie to taki świetny interes. W tych kiepskich czasach ludzie woleli małe wozy, nikt nie miał ochoty na takiego smoka.

– Zdaje mi się, Otto, że wpadniemy na tym autobusie.

Köster nie tracił jednak otuchy.

– Traci się na średnich wozach, Robby – oświadczył. – Dzisiaj kupują albo tanie wózki, albo bardzo drogie. Ciągle jeszcze są ludzie, którym nie brak grosza. Albo też udają, że mają.

– Gdzie Gotfryd?

– Na jakimś zebraniu politycznym.

– Wariat! Czego on się tam pcha?

Köster zaśmiał się.

– Sam dobrze nie wie. Być może, że wiosna wlazła mu w kości. Na wiosnę musi sobie zawsze wymyślić coś nowego.

– Możliwe. Poczekaj, pomogę ci.

Dłubaliśmy razem, dopóki się nie ściemniło.

– No, zmykamy – rzekł Köster.

Umyliśmy się pod kranem.

– Wiesz, co ja tu mam? – spytał, uderzając się po portfelu.

– No?

– Bilety na zawody bokserskie na dziś wieczór. Dwa. Pójdziesz ze mną, co?

Zrobiłem niewyraźną minę. Obrzucił mnie zdumionym wzrokiem.

– Stilling walczy z Walkerem. Zapowiada się doskonała walka.

– Zabierz Gotfryda – zaproponowałem, czując, jak śmiesznie postępuję, nie chcąc towarzyszyć Kösterowi. Ale nie miałem ochoty. Nie wiedziałem, dlaczego.

– Masz jakieś inne plany? – spytał Köster.

– Nie.

Przyglądał mi się uważnie.

– Wrócę do domu – powiedziałem. – Będę pisał listy i takie tam rzeczy. Od czasu do czasu to trzeba także załatwić.

– Możeś chory? – spytał zatroskany.

– Ale gdzie tam, ani mi się śni chorować. Być może i mnie wiosna wlazła w kości.

– Dobra. Jak chcesz.

Powlokłem się ku domowi. Ale gdy znalazłem się w moim pokoju, nie wiedziałem, co ze sobą począć. Łaziłem z kąta w kąt niezdecydowany. Nie mogłem teraz pojąć, dlaczego upierałem się, żeby wrócić do domu. W końcu wyszedłem na korytarz z zamiarem odwiedzenia Jerzego. Tam wpadłem na panią Zalewską.

– Czy mnie oczy mylą? – spytała zdumiona. – Pan w domu?

– Trudno byłoby zaprzeczyć – odpowiedziałem nieco podrażnionym tonem.

Pokiwała głową z siwymi loczkami.

– Nie na mieście? Cuda, moi państwo!

Nie zabawiłem długo u Jerzego. Po kwadransie opuściłem jego pokój. Zastanawiałem się, czy nie należałoby czegoś wypić. Ale nie, nie ciągnęło mnie do wódki. Usiadłem przy oknie i gapiłem się na ulicę. Mrok na skrzydłach nietoperza przelatywał nad cmentarzem. Niebo za domem Związku Zawodowego było zielonkawe jak niedojrzałe jabłko. Na ulicach paliły się już latarnie. Nie było jednak jeszcze ciemno, latarnie wyglądały jakby zziębnięte. Wygrzebałem spod książek kartkę z numerem telefonu. Ostatecznie raz mogę zatelefonować. Właściwie nawet obiecałem zadzwonić. Prawdopodobnie nie zastanę dziewczyny w domu.

Poszedłem do sionki, w której stał telefon, podniosłem słuchawkę i podałem numer. Gdy tak czekałem na odpowiedź, czułem, jak z czarnej muszli słuchawki unosi się jakaś miękka fala, jakieś delikatne oczekiwanie. Dziewczyna była w domu. I kiedy usłyszałem jej ciemny, nieco zachrypnięty głos w przedpokoju pani Zalewskiej, między wypchaną głową dzika, wonią tłuszczu i brzękiem naczyń kuchennych, kiedy zaczęła mówić cicho i powoli,

jakby zastanawiała się nad każdym słowem, nagle opadło ze mnie całe niezadowolenie. Powiesiłem słuchawkę. Zamiast dowiedzieć się tylko, jak się udał powrót, umówiłem się z dziewczyną na pojutrze. Nagle wszystko wydało mi się mniej nudne. „Dureń ze mnie" – pomyślałem i pokiwałem nad sobą ze współczuciem głową. Podniosłem na nowo słuchawkę i zatelefonowałem do Köstera.

– Czy masz jeszcze wolny bilet, Otto?

– Tak.

– Dobra. Pójdę z tobą na mecz.

Potem włóczyliśmy się jeszcze długo w nocy po mieście. Ulice były oświetlone i puste. Szyldy sklepów jaśniały blaskiem. W oknach wystawowych paliło się bezużytecznie światło. Na jednej z wystaw stały nagie manekiny o jaskrawo pomalowanych twarzach. Wyglądały upiornie i perwersyjnie. Obok jarzyły się klejnoty. Z kolei minęliśmy dom towarowy, zalany białym światłem jak katedra. W oknach przelewało się i pieniło od kolorowych, lśniących jedwabiów. Przed wejściem do kina przycupnęły blade, wygłodniałe postacie. Tuż obok pyszniła się wystawa sklepu spożywczego. Konserwy piętrzyły się dumnie, ustawione w blaszane wieże, otulone watą leżały dojrzałe kalwile, rząd tłustych gęsi kołysał się na sznurze jak susząca się bielizna, brązowe krągłe bochenki spoczywały wśród suszonych kiełbas, lśniły nadkrojone, delikatnej różowej i kremowej barwy szynki i pasztety.

Usiedliśmy na ławce w pobliżu parku. Było chłodno. Księżyc świecił nad domami jak lampa łukowa. Północ już dawno minęła. Nieopodal robotnicy zajęci przy naprawie szyn tramwajowych robili mały namiot na jezdni. Świdry syczały jadowicie, a snopy iskier sypały się na pochylone z uwagą, ciemne postacie. Obok dymiły kotły ze smołą jak kuchnie polowe.

Pozwoliliśmy płynąć myślom.

– Zabawna taka niedziela, co, Otto?

Przytaknął.

– Człowiek właściwie rad jest, kiedy minie – mruknął zadumany, wzruszając ramionami.

– Może tak przywykliśmy do kieratu, że ta odrobina wolności wytrąca nas z równowagi.

Postawiłem kołnierz płaszcza.

– Nie świadczy to dobrze o naszym życiu, Otto!

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Całkiem inne rzeczy już o mnie nie świadczyły dobrze, Robby.

– Racja – zgodziłem się. – A jednak…

Ostry płomień świdra ze sprężonym powietrzem trysnął zielenią nad asfaltem. Oświetlony od wewnątrz namiot robotników wyglądał jak ciepły własny kąt.

– Czy myślisz, że cadillac będzie gotów do wtorku? – zagadnąłem.

– Być może. Dlaczego o to pytasz?

– Ach, tak tylko…

Wstaliśmy z ławki i poszliśmy do domu.

– Jestem dzisiaj jakiś na opak, Otto.

– Każdemu się zdarza. Śpij dobrze, Robby.

– I ty, Otto.

Siedziałem jeszcze przez chwilę w pokoju. Naraz moja buda wydała mi się dziwnie nędzna. Żyrandol był obrzydliwy, światło zbyt jaskrawe, krzesła wysiedziane, linoleum beznadziejnie oschłe. A ta umywalka, a to łóżko z wiszącym nad nim obrazem przedstawiającym bitwę pod Waterloo! „Właściwie – pomyślałem – nie można do takiej dziury wprowadzić żadnego przyzwoitego człowieka. O kobiecie nie ma już w ogóle mowy. Najwyżej można sprowadzić kurwę z »Internationalu«”.

III

We wtorek przed południem siedzieliśmy na podwórzu przed warsztatem i jedliśmy śniadanie. Cadillac był gotów. Lenz trzymał w ręku arkusz papieru i patrzył na nas wzrokiem triumfatora. Był on naszym szefem reklamy i właśnie odczytał mnie i Kösterowi projekt ogłoszenia o sprzedaży wozu. Zaczynało się ono od słów: „Urlop na południowym wybrzeżu w luksusowej limuzynie", a stanowiło coś pośredniego między wierszem a hymnem.

Obaj z Kösterem milczeliśmy przez chwilę. Musieliśmy naprzód ochłonąć z tego potopu kwiecistej fantazji. Lenz uznał nas za pokonanych potęgą swej wymowy.

– To ma w sobie wiew poezji i polot, hę? – spytał z dumą. – W epoce trzeźwości należy być romantycznym! W tym leży cały dowcip. Kontrasty przyciągają się.

– Nie wtedy, gdy chodzi o pieniądze – zaoponowałem.

– Samochodów, mój chłopcze, nie kupuje się dla lokaty kapitału – odparował Gotfryd. – Kupuje się je, ażeby wydać forsę. I tu właśnie zaczyna się romantyzm, przynajmniej dla człowieka interesu. Dla zwykłych śmiertelników właśnie wtedy romantyzm się kończy. Co ty o tym myślisz, Otto?

– Wiesz co… – zaczął ostrożnie Köster.

– Co tu długo gadać – przerwałem mu. – To ogłoszenie byłoby dobre dla zdrojowiska albo kremu piękności, ale nie dla samochodu.

Lenz otworzył usta.

– Chwileczkę, mój drogi – ciągnąłem dalej. – Nas uważasz za nie dość bezstronnych. Stawiam więc wniosek: spytajmy Juppa. To jest głos ludu!

Jupp był jedynym naszym pracownikiem, miał piętnaście lat i zajmował stanowisko praktykanta. Obsługiwał pompę benzynową, przynosił śniadanie i wieczorem sprzątał. Mały, z twarzą usianą piegami, szczycił się posiadaniem największych i najbardziej odstających uszu, jakie udało mi się oglądać. Köster twierdził, że jeśliby Jupp wypadł z samolotu, nic by mu się nie stało. Za pomocą uszu wylądowałby spokojnie lotem ślizgowym.

Sprowadziliśmy Juppa. Lenz odczytywał mu ogłoszenie.

– Czy interesowałbyś się takim samochodem, Jupp? – zagadnął go Köster.

– Jakim samochodem? – zdziwił się Jupp.

Parsknąłem śmiechem.

– Oczywiście, że samochodem! – burknął Gotfryd. – A co ty myślisz, konikiem polnym?

– Czy on ma czwarty bieg, górne sterowanie i hydrauliczne hamulce? – badał niewzruszony Jupp.

– Barania głowo, przecież to nasz cadillac! – ryknął Lenz.

– Co pan mówi? – i twarz Juppa zajaśniała uśmiechem od ucha do ucha.

– Słyszałeś, Gotfryd? – rzekł Köster. – Oto romantyka dzisiejsza.

– Zmiataj do swojej pompy, Jupp, i żebym cię na oczy nie widział, przeklęty synu dwudziestego wieku!

Strapiony Lenz zniknął w warsztacie, ażeby dodać do ogłoszenia nieco technicznych szczegółów, oczywiście z zachowaniem całego patetycznego rozmachu.

W kilka minut później zjawił się w bramie podwórza starszy inspektor Barsig. Przyjęliśmy go z wielkimi honorami. Był inżynierem i rzeczoznawcą Towarzystwa Ubezpieczeń Samochodowych „Phönix”, ważną figurą, jeżeli chodziło o przydział napraw. Byliśmy z nim w doskonałych stosunkach. Jako inżynier był psem

na usterki i nie przepuścił najmniejszego drobiazgu, ale miał swoją słabą stronę: kolekcjonowanie motyli. W tej roli był miękki jak masło. Posiadał olbrzymi zbiór motyli i ofiarowaliśmy mu kiedyś grubą ćmę, która wleciała w nocy do naszego warsztatu. Gdy wręczyliśmy okaz Barsigowi, zbladł i stał się dziwnie uroczysty. Okazało się, że była to trupia główka, niesłychana rzadkość, której mu akurat brakowało do zbioru. Nigdy nam tego nie zapomniał i jeśli tylko się dało, kierował reperacje do naszego warsztatu. Za to łapaliśmy dla niego każdą ćmę, jaką udało nam się schwytać.

– Kieliszeczek wermutu? – spytał Barsiga Lenz, który odzyskał już humor.

– Ani kropli alkoholu przed wieczorem! Jestem człowiekiem żelaznych zasad.

– Zasady należy łamać, inaczej nie sprawiają żadnej przyjemności – wystrzelił Gotfryd i nalał kieliszek. – Za pomyślność pawich oczek, zawisaka tawulca i perłowca!

Barsig wahał się przez chwilę.

– No, jak się tak do mnie kto zabiera, nie mogę odmówić – westchnął i ujął kieliszek. – Ale w takim razie powinniśmy także wypić za pomyślność małego przestrojnika. – Uśmiechnął się zażenowany, jakby powiedział coś dwuznacznego o kobiecie. – Odkryłem bowiem nowy gatunek. Ze szczeciniastymi czułkami.

– Tam do diabła! – wykrzyknął Lenz. – Cześć zasłudze! Jest pan piorunem nauki, a imię pańskie przejdzie do historii przyrody.

Wychyliliśmy wobec tego kieliszek za szczeciniaste czułki. Barsig otarł wąsy.

– Przynoszę panom pomyślną wiadomość. Możecie zabrać forda do warsztatu. Dyrekcja zgodziła się, żebyście wy dokonali naprawy.

– Wspaniale – rzekł Köster. – Spada nam jak z nieba. No, a jak stoi sprawa z naszym kosztorysem?

– Także zatwierdzony.

– Bez potrąceń?

Barsig przymrużył oko.

– Nasi panowie nie chcieli się z początku zgodzić, ale w końcu…

– Jeszcze jednego za pomyślność Towarzystwa Ubezpieczeń „Phönix”! – zaproponował Lenz i nalał nową kolejkę.

Barsig wstał i pożegnał się z nami.

– Pomyślcie, panowie – rzucił, idąc już ku wyjściu – kobieta, która jechała tym fordem, umarła jednak przed paru dniami. Odniosła tylko cięte rany. Widocznie z nadmiernego upływu krwi.

– Ile lat miała? – spytał Köster.

– Trzydzieści cztery – odpowiedział Barsig. – W czwartym miesiącu ciąży. Ubezpieczona na dwadzieścia tysięcy marek.

Pojechaliśmy natychmiast po wóz. Stał u pewnego piekarza. Gość, trochę podchmielony, wpakował się nim w nocy na mur. Tylko żona piekarza odniosła rany. On sam wyszedł bez zadrapania.

Gdy uwijaliśmy się w garażu, chcąc uszkodzony wóz wziąć na linę, zjawił się piekarz we własnej osobie. Przez chwilę przypatrywał się nam w milczeniu i stał w kącie skulony, z pałąkowatym grzbietem, krótką szyją i pochylonym jak u tura łbem. Z niezdrową, szarobiałą cerą, charakterystyczną dla piekarzy, wyglądał w półmroku jak wielki, smutny robak mączny. Zbliżył się do nas powolnym krokiem.

– Kiedy wóz będzie gotów? – zagadnął.

– Mniej więcej za trzy tygodnie – wyjaśnił Köster.

Piekarz wskazał paluchem na dach.

– To już wliczone w rachunek, co?

– Jak to? – spytał Otto. – Przecież dach jest nie uszkodzony.

Piekarz żachnął się niecierpliwie.

– Oczywiście. Ale przy ogólnej naprawie można dać nowy dach. Przecież to dla panów duże zamówienie. Rozumiemy się, hę?

– Nie – rzekł Köster.

Rozumiałem go doskonale. Gość chciał za darmo przemycić nową budę, za którą ubezpieczenie nie odpowiadało. Kłóciliśmy się przez chwilę. Piekarz groził, że odwoła zamówienie i zażąda kosztorysu od uprzejmiejszego zakładu. Wreszcie Köster ustąpił.

Nie byłby tego uczynił, gdyby nie zależało nam tak bardzo na robocie.

– No, więc po co tyle hałasu? – bryznął piekarz z drwiącym uśmiechem. – Zajdę do panów w tych dniach, żeby wybrać materiał. Myślę, że beżowy. Delikatne kolory.

Odjechaliśmy. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, Lenz wskazał siedzenia samochodu. Miały wielkie czarne plamy.

– Krew jego zmarłej żony. I wyszachrował od nas nową budę, beżową. Delikatne kolory. No, no. Gotów jestem przypuszczać, że ten typ wydusi ubezpieczenie za dwie osoby. Żona była przecież w ciąży.

Köster wzruszył ramionami.

– Mówi sobie widocznie, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Wszystko możliwe – potwierdził Lenz. – Podobno są ludzie, dla których jest to pociecha w nieszczęściu. My tracimy na tym pięćdziesiąt marek jak uciął z naszego zarobku.

Po południu wymknąłem się pod jakimś pozorem do domu. Umówiłem się z Patrycją Hollmann na piątą, ale nie pisnąłem o tym słówkiem w warsztacie. Nie dlatego, ażebym chciał zataić tę historię. Ale wydała mi się ona nagle całkiem nieprawdopodobna.

Dziewczyna wyznaczyła na nasze spotkanie pewną cukiernię. Nie znałem jej, wiedziałem tylko, że jest to mały, elegancki lokal. Wszedłem, nic nie przeczuwając, i cofnąłem się przerażony od progu. Salka przepełniona była rozgadanymi paniusiami. Wpakowałem się do typowej babskiej kawiarni.

Z trudem zdobyłem stolik, który się właśnie zwolnił. Obejrzałem się, czując się mocno nieswojo. Oprócz mnie było tu jeszcze dwóch mężczyzn, którzy nie bardzo mi się podobali.

– Kawa, herbata, czekolada? – spytał kelner, machnięciem serwetki strząsając cały rój okruchów ze stołu na moje ubranie.

– Duży kieliszek koniaku – burknąłem.

Za chwilę zjawił się z koniakiem. Równocześnie jednak przyprowadził wianuszek dam, które przyszły tu na swoją kawę i szu-

kały miejsca. Na czele ekspedycji kroczyła atletka w dojrzałym wieku, w kapeluszu z piórami.

– Cztery miejsca, proszę – zaanonsował kelner, wskazując na mój stolik.

– Powoli – zaprotestowałem – stolik nie jest wolny. Czekam na kogoś.

– Niestety, to niemożliwe, proszę pana. O tej porze nie można rezerwować stolików.

Rzuciłem na niego spojrzenie, po czym przeniosłem wzrok na atletkę, stojącą przy stoliku i dzierżącą już oparcie krzesła. Zobaczyłem jej oblicze i zrezygnowałem z dalszego oporu. Nawet za pomocą dział nie można by odwieść tej osoby od postanowienia zdobycia tego stolika.

– Może mi pan przynajmniej podać jeszcze jeden koniak? – warknąłem pod adresem kelnera.

– Proszę bardzo. Znowu duży kieliszek?

– Tak.

– Słucham pana. – Skłonił się. – Pan rozumie, to jest stolik na sześć osób – starał się usprawiedliwić.

– W porządku. Proszę przynieść koniak.

Atletka zdawała się należeć także do klubu abstynentów. Patrzyła na mój kieliszek, jakby to była śmierdząca ryba. Żeby jej dokuczyć, zamówiłem jeszcze jeden kieliszek i odpowiedziałem jej wymownym spojrzeniem. Cała ta eskapada nabrała dla mnie nagle jakiegoś śmiesznego posmaku. Co ja tu właściwie robię? I czego chcę od tej dziewczyny? Nie byłem nawet pewny, czy poznam ją w tym zgiełku i zamęcie. Z wściekłością łyknąłem koniak.

– Salute! – zawołał ktoś za moimi plecami.

Zerwałem się z krzesła. Przede mną stała dziewczyna. Śmiała się.

– No, ale pan wcześnie zaczyna.

Postawiłem na stoliku kieliszek, który wciąż jeszcze trzymałem w ręce. Byłem zmieszany jak żak. Dziewczyna wyglądała zupełnie inaczej, aniżeli ją zachowałem we wspomnieniu. Wśród tych licznych zajadających ciastka, dobrze odżywionych kobiet robiła wra-

żenie smukłej młodej amazonki, chłodnej, promiennej, pewnej siebie i niedostępnej. „Ty nie będziesz zadawać się z takimi jak ja” – pomyślałem i głośno rzekłem:

– Zjawiła się pani jak duch. Którędy? Przecież cały czas obserwowałem wejście.

Wskazała ręką na prawo.

– Tam jest jeszcze jedno wejście. Spóźniłam się. Czy pan długo czeka?

– Nie. Najwyżej dwie czy trzy minuty. Ja także dopiero co przyszedłem.

Wianuszek pań przy stoliku nagle zaniemówił. Czułem na karku taksujące spojrzenia czterech solidnych matek dzieciom.

– Czy zostaniemy tutaj? – spytałem.

Dziewczyna szybko przesunęła wzrokiem po stole. Wargi jej drgnęły. Spojrzała na mnie ubawiona.

– Obawiam się, że wszystkie kawiarnie są do siebie podobne.

Potrząsnąłem głową.

– Kiedy są puste, jest znacznie przyjemniej. To jest straszliwy lokal, w którym człowiek dostaje kompleksu niższości. Lepiej chodźmy do baru.

– Do baru? Czy są bary otwarte w biały dzień?

– Znam jeden taki. Co prawda jest bardzo spokojny. Jeżeli pani to lubi…

– Czasami owszem.

Zajrzałem jej w oczy. Nie mogłem się zorientować, co przez to chciała powiedzieć. Nie miałem nic przeciwko ironii, dopóki nie trafiała we mnie; ale miałem nieczyste sumienie.

– No, to chodźmy – zdecydowała.

Skinąłem na kelnera.

– Trzy duże koniaki – ryknął takim głosem, jak gdyby wystawiał rachunek gościowi leżącemu w grobie. – Trzy marki trzydzieści!

Dziewczyna odwróciła się ku mnie.

– Trzy koniaki w trzy minuty? Całkiem ładne tempo!

– Dwa zostały z wczoraj.

– Ależ kłamie jak najęty! – syknęła atletka za moimi plecami. Zbyt długo musiała zachowywać milczenie.

Stanąłem frontem do dam i złożyłem im ukłon.

– Wesołych świąt życzę paniom! – Po czym szybko pierzchnąłem.

– Posprzeczał się pan? – spytała dziewczyna, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

– Ach, nic szczególnego. Wywieram tylko niekorzystny wpływ na panie domu żyjące w unormowanych stosunkach.

– Ja także – odpowiedziała.

Spojrzałem na dziewczynę. Wydawała mi się istotą z innego świata. Zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, jaka jest naprawdę i jak żyje.

W barze czułem się pewniej. Gdy weszliśmy, barman Fred stał za ladą i przecierał duże kieliszki do koniaku. Pozdrowił mnie, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy w życiu i jakby przedwczoraj nie odprowadzał mnie po ojcowsku do domu. Fred miał dobrą szkołę i ogromne doświadczenie.

Lokal świecił pustką. Tylko jeden stolik był zajęty. Tkwił przy nim, jak niemal zawsze, Valentin Hauser. Znałem go jeszcze z czasów wojny. Służyliśmy w tej samej kompanii. Raz przeniósł mi pod ogniem zaporowym list do pierwszej linii okopów. Przypuszczał bowiem, że jest to list od mojej matki. Wiedział, że czekam na wiadomość, bo matka właśnie przeszła operację. Ale omylił się, w kopercie znajdowała się tylko reklama ciepłych ochraniaczy na głowę, wyrabianych z pokrzyw. W drodze powrotnej dostał postrzał w nogę.

W kilka lat po wojnie Valentin odziedziczył spadek. Od tej chwili przepijał go metodycznie. Twierdził, że musi oblać wielką okazję: czyż nie było cudem, że wyszedł żywy? Nie zważał zupełnie na to, że od tego czasu upłynęło już parę latek. Na zarzuty tego rodzaju odpowiadał, że podobnej okazji nie oblewa się nigdy za długo. Był jednym z ludzi, którzy wypadki wojenne zachowali wprost niesamowicie dokładnie w pamięci. My zdążyliśmy już

wiele zapomnieć. Valentin pamiętał każdy dzień i każdą godzinę na froncie.

Zmiarkowałem od razu, że użył już sobie jak się patrzy. Siedział w kącie otępiały, nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje. Pozdrowiłem go podniesieniem ręki.

– Cześć, Valentin!

Podniósł oczy i kiwnął głową.

– Jak się masz, Robby?

Usiedliśmy pod ścianą. Barman zbliżył się do nas.

– Czym pani można służyć? – zapytałem dziewczynę.

– Może martini. Wytrawne.

– To specjalność Freda – objaśniłem.

Fred pozwolił sobie na uśmiech.

– Dla mnie jak zwykle – rzuciłem.

W barze było chłodno i mroczno. Zalatywało rozlanym ginem i koniakiem. Był to mocny zapach korzenny jak woń jałowca i chleba. U sufitu zwisał wyrzeźbiony w drewnie model okrętu żaglowego. Ściana za ladą obita była blachą miedzianą. Przytłumione światło lampy rzucało na ścianę czerwone refleksy, jakby się w niej odbijał ogień podziemny. Z małych, kutych w żelazie lichtarzy przytwierdzonych do ściany paliły się tylko dwa: jeden nad stolikiem Valentina, drugi nad naszym. Miały abażurki z żółtego pergaminu, zrobione ze starych map. Wyglądały jak małe, oświetlone wycinki świata.

Czułem się nieco onieśmielony i nie bardzo wiedziałem, jak zacząć rozmowę. Nie znałem przecież w ogóle dziewczyny, a im dłużej się jej przyglądałem, tym bardziej wydawała mi się obca. Dawne to czasy, kiedy siedziałem tak ostatni raz z kobietą. Wyszedłem całkowicie z wprawy. Nawykłem do towarzystwa męskiego. Przedtem w cukierni było za gwarno – teraz znowu było mi tu za cicho. Każde słowo nabierało wskutek tej ciszy jakiejś osobliwej wagi, tak że trudno było mówić swobodnie. Chwilami pragnąłem wrócić do tamtej cukierni.

Fred przyniósł kieliszki. Wypiliśmy. Rum był mocny i świeży, smakował słońcem. Był przynajmniej czymś, czego można się było

uchwycić. Wychyliłem kieliszek i od razu postawiłem go Fredowi na tacy.

– Podoba się pani tutaj? – spytałem.

Przytaknęła.

– Bardziej niż w tej cukierni?

– Nienawidzę cukierni.

– To czemu tam właśnie naznaczyła pani spotkanie? – zagadnąłem zdumiony.

– Nie wiem. – Zdjęła czapeczkę. – Po prostu nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Tym lepiej, że się pani tutaj podoba. Przychodzimy tu często. Wieczorami ta buda jest jakby naszym domem.

Zaśmiała się.

– Czy to właściwie nie jest smutne?

– Nie. Odpowiada duchowi dzisiejszych czasów.

Fred przyniósł mi drugi kieliszek. Położył równocześnie na stole zieloną hawanę.

– Od pana Hausera.

Valentin skłonił się w swoim kącie i podniósł kieliszek:

– 31 lipca 1917, Robby! – zawołał.

Kiwnąłem w jego stronę i podniosłem także mój kieliszek.

Musiał stale do kogoś przepijać. Spotykałem go już wieczorem w wiejskiej gospodzie, jak przepijał do księżyca albo do krzaku bzu. Wreszcie wyłuskiwał wspomnienie jakiegoś dnia w okopach, kiedy było trzy ćwierci do śmierci, i odczuwał wdzięczność za to, że żyje jeszcze i może przesiadywać w knajpie.

– To mój przyjaciel – wyjaśniłem dziewczynie. – Towarzysz z wojny. Jest to jedyny znany mi człowiek, który nieszczęście potrafił obrócić w małe szczęście. Nie wie już, co począć ze swoim życiem. Dlatego cieszy się prostym faktem, że jeszcze żyje.

Spojrzała na mnie w zamyśleniu. Smuga światła padała skośnie na jej czoło i usta.

– Rozumiem to doskonale.

Podniosłem oczy.

– Nie powinna pani rozumieć. Jest pani na to stanowczo za młoda.

Uśmiechnęła się. Był to lekki, przenikliwy uśmiech, który zagarnął tylko oczy. Twarz nie zmieniła się przy tym zupełnie. Stała się tylko jaśniejsza od wewnątrz.

– Za młoda. To także takie zdawkowe słówko. Uważam, że za młodym nie jest się nigdy. Tylko zawsze za starym.

Milczałem przez chwilę.

– Można by wytoczyć przeciwko temu szereg argumentów – rzekłem i dałem znak Fredowi, ażeby przyniósł mi jeszcze coś do picia.

Dziewczyna była taka pewna siebie, taki miała jasny sąd. Czułem się przy niej niezgrabny jak kloc. Chętnie poprowadziłbym z nią lekką rozmowę, pełną igraszek słownych. Zwykle pomysły do niej przychodzą człowiekowi do głowy, gdy się pożegna już z kobietą. Lenz był w tym mistrzem. U mnie jednak rozmowa staczała się zaraz na poważne tory, stawała się niezdarna i kulała na obie nogi. Nie bez słuszności głosił o mnie Gotfryd, że jako partner do rozmowy stoję na poziomie urzędnika pocztowego.

Na szczęście Fred był przewidujący. Zamiast małego naparstka przyniósł mi teraz uczciwy kieliszek do wina. W ten sposób oszczędzał sobie ustawicznego biegania, a równocześnie nie rzucało się nikomu w oczy, ile piję. Musiałem pić, inaczej nie mógłbym się pozbyć tego uczucia gniotącego mnie ciężaru.

– Wypije pani jeszcze jedno martini? – spytałem dziewczynę.

– A co pan pije?

– Rum.

Przyjrzała się mojemu kieliszkowi.

– Pan to pił wtedy wieczorem.

– Tak, najbardziej lubię rum.

Potrząsnęła głową.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to smakuje.

– Sam już nie wiem, jaki to ma smak.

Spojrzała na mnie.

– Więc czemu pan pije?

– Rum – zacząłem, rad, że nareszcie znalazłem temat, o którym mam coś do powiedzenia – rum, trzeba pani wiedzieć, nie ma wiele wspólnego ze smakiem. Nie jest to właściwie trunek, przy-

pomina już raczej przyjaciela. Przyjaciela, który nam wszystko ułatwia. Odmienia świat. A dlatego się pije w ogóle. – Odsunąłem kieliszek. – Czy rzeczywiście nie chce pani jeszcze jednego martini?

– Wolałabym kieliszek rumu. Chcę także spróbować.

– Dobrze, ale nie tego. Jest za ciężki dla początkujących. Przynieś no Bacardi-cocktail! – zawołałem do Freda.

Fred zjawił się z kieliszkiem. Postawił obok talerzyk z solonymi migdałami i uprażonymi na czarno ziarnkami kawy.

– Najlepiej zostaw tu od razu moją flaszkę – powiedziałem.

I powoli wszystko nabrało polotu i blasku. Niepewność znikła, słowa przychodziły same z siebie i nie zważałem już tak bardzo na to, co mówię. Piłem i czułem, jak nadlatuje wielka, miękka fala i zagarnia mnie, jak pusta godzina zmierzchu wypełnia się obrazami, jak bezgłośny pociąg-widmo moich marzeń wynurza się i mknie przez beznadziejne, szare peryferie mojej egzystencji. Ściany baru rozszerzyły się i oto nagle przestał on być barem – był jakimś kątem w tym świecie, schronieniem, półmroczną ziemianką, wokół której szalała odwieczna walka chaosu. Przycupnęliśmy bezpieczni w tym okopie, w tajemniczy sposób przywiani na to miejsce skroś półmrok czasu i przestrzeni. Dziewczyna siedziała skulona na krześle, obca i tajemnicza, jak gdyby przeniesiona z drugiego stoku życia. Słyszałem własne słowa, ale było tak, jakby mówił ktoś inny, ktoś, kim chciałbym być. Słowa nie miały już znaczenia, zmieniały sens, nasuwały się jedne na drugie, tłoczyły się, chcąc wkroczyć w inne, bardziej kolorowe światy niż te, które mogły wytyczyć małe zdarzenia mojego życia. Wiedziałem, że to, co mówię, przestało być prawdą, że słowa zmieniły się w fantazję i kłamstwo, ale było mi wszystko jedno. Prawda wyglądała zbyt beznadziejnie i szaro, tylko odblask marzeń był życiem…

W miedzianej niecce baru żarzyło się światło. Raz po raz podnosił Valentin kieliszek i mamrotał jakąś datę. Na zewnątrz toczyła się rzeka ulicy, sygnały samochodów brzmiały jak krzyki drapieżnych ptaków. Gdy ktoś otwierał drzwi, ulica wdzierała się wrzaskiem do baru. Darła się jak swarliwa, zazdrosna stara baba.

Było już ciemno, gdy odprowadziłem do domu Patrycję Hollmann. Wracałem wolnym krokiem. Poczułem się nagle samotny. Pusty. Mżył drobny deszczyk. Przystanąłem przed jedną z wystaw. Teraz dopiero czułem, że wypiłem za dużo. Nie, żebym się chwiał na nogach. Czułem jednak, że przekroczyłem granicę.

I naraz oblało mnie gorąco. Rozpiąłem płaszcz i zsunąłem kapelusz na tył głowy. Do diabła, a więc znowu mnie to wzięło! Co ja też mogłem naopowiadać tej dziewczynie? Nie śmiałem się nawet nad tym zastanawiać. Nie bardzo zresztą pamiętałem, i to było chyba najgorsze. Teraz, gdy znalazłem się sam jak palec na zimnej, dudniącej autobusami ulicy, wszystko wydawało mi się zupełnie inne aniżeli w półmroku baru. Przeklinałem sam siebie. Piękne wrażenie musiałem wywrzeć na dziewczynie! Musiała przecież zauważyć, że jestem zalany. Sama nie piła prawie zupełnie. Przy pożegnaniu patrzyła też na mnie tak dziwnie…

– Niech to cholera! – Odwróciłem się na pięcie i zderzyłem się przy tym z małym grubasem.

– Co jest? – warknąłem wściekły.

– Nie spaceruj pan, śpiąc na ulicy! Wali się na człowieka jak kopa siana! – ryknął grubas.

Spiorunowałem go wzrokiem.

– Chyba nie za często widywał pan ludzi, hę? – trajkotał dalej tłuścioch.

Napatoczył mi się w sam raz!

– Ludzi to już widziałem, ale nie spotkałem jeszcze beczki piwa na dwóch nogach.

Gruby nie pozostał mi dłużny ani na chwilę. Nadął się, rozkraczył się i odpalił:

– Wie pan co? Radzę panu nająć się do ogrodu zoologicznego! Dla zaspanych kangurów nie ma miejsca na ulicy.

Zmiarkowałem, że mam przed sobą pyskacza wysokiej klasy. Trzeba było jednak mimo depresji bronić swojego honoru.

– Idź w spokoju, obłąkany wcześniaku! – rzekłem, podnosząc błogosławiąco dłoń.

Nie usłuchał mojego wezwania.

– Każ sobie wypompować wodę z głowiny, kudłaty małpoludzie! – ryknął.

Cisnąłem weń w odpowiedzi rozdeptanym platfusem. Poczęstował mnie wyleniałą papugą. Ja jego bezrobotnym obmywaczem trupów. On znów nazwał mnie – ale już z pewnym szacunkiem – dupą wołową. Wtedy ja jego, żeby skończyć serię, chodzącym ścierwim kirkutem.

Gęba jego rozjaśniła się w zachwycie.

– Ścierwi kirkut, to świetne! Nie znałem tego przekleństwa. Muszę je włączyć do mojego repertuaru. Tymczasem! – Uniósł kapelusza i rozstaliśmy się pełni wzajemnego szacunku.

Wymyślanie odświeżyło mnie. Ale wściekłość nie minęła. Przeciwnie, rosła we mnie, im bardziej trzeźwiałem. Wydałem się sobie wyżętą mokrą ścierką. Ale powoli moja złość poczęła się rozlewać dalej i dalej: byłem zły już nie tylko na siebie, ale na cały świat, a także na dziewczynę. To przez nią przecież tak się zalałem. Podniosłem kołnierz palta. Niech sobie myśli o mnie, co jej się żywnie podoba, gwiżdżę na to. Przynajmniej wie, z kim ma do czynienia. Jeżeli o mnie chodzi, to nic mi na tym nie zależy. Niech to licho weźmie, co się stało, to się nie odstanie. Nic nie można poradzić. Kto wie, może i lepiej.

Wróciłem do baru i teraz dopiero zalałem się w pestkę.

IV

Na dworze było ciepło i wilgotno; kilka dni z rzędu siąpiło bez przerwy. Potem przetarło się nagle, słońce zaczęło dopiekać, a gdy w piątek rano zjawiłem się w warsztacie, ujrzałem osobliwe widowisko: na podwórzu, z miotłą wciśniętą pod pachę, stała Matylda Stoss i gapiła się na coś z miną wzruszonego hipopotama.

– Niech no pan spojrzy, panie Lohkamp! Czyż to nie śliczne? Co rok się wydaje cudem!

Przystanąłem zdumiony. Stara śliwa przy pompie benzynowej zakwitła w ciągu nocy.

Przez całą zimę stała krzywa i naga, zawieszaliśmy na gałęziach stare opony i kanistry, żeby wyschły. Drzewo było dla nas tylko wygodnym wieszakiem na wszystkie możliwe przedmioty: od szmaty do czyszczenia metalu po miskę od motoru. Jeszcze przed paru dniami trzepotały się na śliwie nasze świeżo wyprane niebieskie spodnie płócienne, jeszcze wczoraj nie można było nic dostrzec. I oto nagle w ciągu nocy drzewo zamieniło się jak zaczarowane w lśniący obłok różowości i bieli, w chmurę jasnego okwiatu, jakby na nasze brudne i smętne podwórko zabłąkał się rój motyli.

– A ten zapach! – szeptała marząco Matylda, wywracając w zachwyceniu oczy. – Zupełnie jak pańskiego rumu…

Nie czułem żadnego zapachu. Pojąłem jednak w lot metaforę.

– Czuć raczej koniakiem przeznaczonym dla naszych klientów.

– Proszę pana – broniła się energicznie – pan chyba jest przeziębiony? A może ma pan polipa w nosie? Prawie każdy ma dzisiaj

takiego polipa. Nie, stara matka Stoss ma nos jak wyżeł, może pan mi uwierzyć na słowo: to pachnie rum, stary rum.

– No, już dobrze, Matyldo.

Poczęstowałem ją kieliszkiem rumu i polazłem do pompy. Jupp był już na posterunku. W zardzewiałą puszkę od konserw włożył wiązankę obsypanych kwiatami gałązek.

– Cóż to ma znaczyć? – spytałem.

– To dla pań – oświadczył z dumą. – Jak biorą u nas benzynę, to dostają za darmo gałązkę. Dzięki temu sprzedałem już o dziewięćdziesiąt litrów więcej. Powiadam panu, to drzewo to kopalnia złota. Gdybyśmy go nie mieli, trzeba by było je namalować.

– Masz głowę do interesów.

Uśmiechnął się. Słońce prześwietliło jego uszy, tak że wyglądały jak witraże w kościele.

– Dwa razy sfotografowano mnie już dzisiaj – opowiadał. – Na tle drzewa.

– Zobaczysz, jeszcze się wykierujesz na gwiazdę filmową – rzuciłem mu i poszedłem do garażu, gdzie Lenz majstrował przy fordzie, leżąc na ziemi.

– Robby – rzekł, wyłażąc spod wozu. – W tej chwili przyszła mi do głowy światła myśl. Musimy się zająć tą dziewczyną od Bindinga.

Zdębiałem.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Chyba mówię wyraźnie, hę? Czemu się gapisz jak sroka w gnat?

– Ja się wcale nie gapię.

– Owszem, wybałuszasz na mnie gały. Jak się właściwie wabiła ta dziewczyna? Pat na imię, ale jak dalej?

– Nie mam pojęcia.

Wyprostował się teraz w całej swej okazałości.

– Jak to, kochasiu? Przecież zapisałeś sobie jej adres! Widziałem na własne oczy.

– Zgubiłem gdzieś kartkę.

– Zgubił kartkę! – Lenz chwycił obiema rękami płowy łan na głowie. – I po to wywabiłem tego Bindinga na całą godzinę! Zgu-

bił! No, jedyna nadzieja w Ottonie, może on będzie pamiętał.

– Otto także nie wie.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Cóż za żałosny dyletant! Tym gorzej dla ciebie! Czyż nie wiesz, że to była klasa dziewczyna? Skaranie boskie i tyle! – Podniósł oczy ku niebu. – Przeleci nam wreszcie coś cacanego przez drogę, to takie rozchwierutane sprzęgło musi zgubić adres!

– Nie uważałem, żeby była znowu taka nadzwyczajna.

– Boś osioł. Jesteś durniem, który nie zna się na niczym, co wyrasta ponad poziom smętnych kurwiszonów z „Café International". Ty rzewny rzępoło od cygańskich romansów! Powtarzam ci raz jeszcze: to był los szczęścia, niezwykły los ta dziewczyna! Oczywiście, ty nie znasz się na tego rodzaju kobietach! Czy przyjrzałeś się, jakie ona miała oczy? Gdzie tam, ty gapiłeś się w swój kieliszek…

– Zamknij paszczę! – przerwałem mu, albowiem aluzją o kieliszku dotknął mojej otwartej rany.

– A te rączki – ciągnął, nie zwracając na mnie uwagi. – Wąskie, długie ręce jak u mulatki, twój przyjaciel Gotfryd zna się trochę na tym, możesz mu wierzyć! Jasny gwint! Nareszcie dziewczyna jak się należy, ładna, naturalna i co najważniejsze z pewną atmosferą… – tu zatrzymał potok wymowy – czy ty w ogóle wiesz, co to jest atmosfera?

– Powietrze, które pompuje się do dętki – mruknąłem przez zęby.

– Oczywiście – westchnął ze współczuciem i pogardą. – Dla ciebie to powietrze! Atmosfera, aura, promieniowanie, ciepło, tajemnica – oto, bracie, składniki, które uduchawiają i ożywiają piękno. Ale do kogo ja to mówię? Twoją atmosferą są przecież opary rumu.

– No, teraz dość tego albo dostaniesz czymś ciężkim w głowę! – warknąłem.

Ale Gotfryd gadał dalej jak najęty, a ja mu nic nie zrobiłem. Nie podejrzewał, że spotkałem się z dziewczyną i że każde jego słowo trafia mnie celnie. Szczególnie każde słowo na temat picia. Zdołałem to już przezwyciężyć, ale teraz wszystko zaczęło mnie

piec na nowo. Wychwalał dziewczynę pod niebiosy, a mnie robiło się na sercu tak, jakbym istotnie stracił coś niezwykłego raz na zawsze.

Wściekły polazłem o szóstej do „Internationalu". To była moja przystań. Lenz utwierdził mnie w tym przekonaniu. Ku memu zdumieniu stwierdziłem, że w lokalu panuje niesłychany ruch. Na ladzie wdzięczyły się torty i babki, a pokarany platfusem Alojzy, z tacą pełną szczękających wesoło filiżanek do kawy, biegał do utajonej na tyle lokalu salki. Przystanąłem zdumiony. Kawa w dzbankach? Chyba cały związek handlarzy bydłem leży spity pod stołami.

Gospodarz lokalu uświadomił mnie jednak natychmiast. Dzisiaj w salce od tyłu uroczyście obchodzono pożegnanie przyjaciółki Róży, Lili. Uderzyłem się w czoło. Oczywiście, zaproszono mnie przecież! Co więcej, jako jedynego mężczyznę, jak mnie znacząco poinformowała Róża. Naturalnie pedzio Kiki, który miał być także, nie liczył się jako mężczyzna. Wysunąłem się z knajpy i kupiłem bukiet kwiatów, ananasa, dziecinną grzechotkę i tabliczkę czekolady.

Róża przyjęła mnie z łaskawym uśmiechem wielkiej damy. Ubrana była w czarną wydekoltowaną suknię i prezydowała na honorowym miejscu. Jej złote zęby połyskiwały. Spytałem, jak powodzi się jej małej, wręczyłem dla bąka celuloidową grzechotkę oraz tabliczkę czekolady. Róża promieniała. Teraz zwróciłem się z bukietem i ananasem w ręku do Lili.

– Najserdeczniejsze życzenia!

– Był i pozostał szykowny! – zaopiniowała Róża. – Chodź, Robby, usiądziesz między nami panienkami.

Lili była Róży przyjaciółką od serca. Miała za sobą świetną karierę. Była bowiem tym, co stanowi nieziszczalną tęsknotę każdej małej kurewki: była hotelową. Hotelowa nie szlifuje bruku. Mieszka w hotelu i tam zawiera znajomości. Rzadko która dziewczyna może się dochrapać tej pozycji. Nie mają nigdy odpowiedniej ilości szmatek ani też gotówki, pozwalającej im czekać na klienta.

Lili pracowała wprawdzie tylko w prowincjonalnych hotelikach, niemniej w ciągu lat uciułała prawie cztery tysiące marek. Teraz postanowiła wyjść za mąż. Jej przyszły był właścicielem małego przedsiębiorstwa instalacyjnego. Wiedział o niej wszystko, ale nic sobie z tego nie robił. Mógł spokojnie patrzeć w przyszłość. Kiedy któraś z tych dziewcząt wychodziła za mąż, można było mieć do niej zaufanie. Przechodziły one burzliwe koleje i miały ich wyżej uszu. Były wierne.

Ślub Lili miał się odbyć w poniedziałek. Dzisiaj Róża wydawała na jej cześć kawę pożegnalną. Wszystkie panienki zjawiły się gremialnie, ażeby raz jeszcze pobyć z Lili. Po ślubie nie będzie już mogła zjawiać się w knajpie.

Róża nalała mi filiżankę kawy. Alojzy przykłusował do stołu z olbrzymią babką, nadziewaną rodzynkami, migdałami i pistacją. Róża nałożyła mi na talerz potężny kawał. Wiedziałem, czego oczekiwano po mnie. Z miną znawcy skosztowałem kęs i udałem niebywałe zdumienie.

– Tam do licha, to na pewno nie kupione w sklepie.

– Upieczone w domu – przyznała Róża uszczęśliwiona. Umiała doskonale gotować i lubiła, żeby doceniano jej zdolności. Szczególnie w przyrządzaniu gulaszu i pieczeniu babki była niedościgniona. Nie na darmo pochodziła z Czech.

Obejrzałem się wokół. Oto siedziały przy stole robotnice w winnicy Pańskiej, niezawodne znawczynie mężczyzn, żołnierze miłości: piękna Wally, której niedawno w czasie nocnej eskapady samochodem skradziono białego lisa; Lina z drewnianą nogą (znajdowała wciąż jeszcze amatorów); hultajka Fritzi, szalejąca za pognębionym platfusem Alojzym, chociaż dawno już mogła mieć własne mieszkanko i przyjaciela, który by ją utrzymywał; pyzata i rumiana Margot, która włóczyła się stale w wiejskim przebraniu i łapała na to eleganckich frajerów; Marion, najmłodsza, promienna i nie myśląca o jutrze. Kiki, który nie zaliczał się do mężczyzn, ponieważ malował się i nosił kobiece kiecki; Mimi, biedne zwierzę pociągowe, której coraz ciężej przychodziło łażenie po ulicy – miała czterdzieści pięć lat i żylaki. Było jeszcze parę barmanek i panienek przysiadających się do stolików w nocnych

lokalach – same nieznane twarze. Wreszcie, jako drugi honorowy gość zebrania, mała, szara i pomarszczona jak zimowe jabłko mateczka, powiernica wszystkich, pocieszenie i opiekunka nocnych wędrowców, babcia sprzedająca kiełbaski na rogu Nicolaistrasse, latający bufet nocny, a także kantor wymiany, w którym obok frankfurckich parówek można było dostać chyłkiem papierosy i prezerwatywy, a w razie potrzeby i pożyczyć parę groszy.

Wiedziałem, jak się tu należy zachować. Ani słówka o zawodowej pracy, nie wolno sobie pozwolić na żadną grubiańską aluzję. Trzeba zapomnieć o niezwykłych wyczynach Róży, które zdobyły jej przydomek „żelaznej kobyły"; trzeba wymazać z pamięci rozmowy o miłości Fritzi z handlarzem bydła Stefanem Grigoleitem, zapomnieć o szatańskich tańcach Kikiego o świcie wokoło kosza z solankami. Rozmowa, która się toczyła przy tym stole, mogła przynieść zaszczyt każdemu gronu pań w kawiarni.

– Wszystko już przygotowane, Lili? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Wyprawę mam już od dawna.

– Cudowna wyprawa! – powiedziała Róża. – Nie brakuje nawet najmniejszej koronkowej serweteczki.

– A na co są koronkowe serweteczki? – wyrwałem się nieopatrznie.

– No, wiesz, Robby – oburzyła się Róża, patrząc na mnie z takim wyrzutem, że pospieszyłem dodać, iż wiem, już sobie przypomniałem. Szydełkowe serwetki na meble, oczywiście – przecież to symbol drobnomieszczańskiego dobrobytu, uświęcony symbol małżeństwa, utraconego raju. Żadna z tych dziewcząt nie była przecież zdzirą z zamiłowania. Nie, one były wykolejeńcami z mieszczańskiego bytowania. Ich tajemną tęsknotą było łoże małżeńskie, nie grzech. Do tego jednak nigdy by się nie przyznały.

Zasiadłem przy fortepianie. Róża czekała na ten moment. Kochała muzykę, jak te wszystkie rogówki. Zagrałem na pożegnanie po kolei wszelkie ulubione melodie Róży i Lili. Na początek: *Modlitwę dziewicy*. Tytuł nie był może odpowiednio dobrany do lokalu, ale był to brawurowy kawałek z głośnymi pasażami. Z kolei poszły: *Pieśń wieczorna ptaszka*, *Zachód słońca w Alpach*,

Gdy miłość umiera, *Miliony arlekina*, a na zakończenie *Pragnę wrócić do ojczyzny*… Tę piosenkę lubiła Róża szczególnie. Zdziry są bowiem jednocześnie najtwardszymi i najbardziej sentymentalnymi stworzeniami. Wszystkie panienki śpiewały. Pedzio Kiki oczywiście drugim głosem.

Lili wstała od stołu. Musiała iść po narzeczonego. Róża ucałowała ją czule.

– Powodzenia, Lili! A nie daj się mężowi zawojować!

Lili wyszła objuczona podarunkami. Tam u kata, twarz jej wyraźnie się odmieniła. Surowe linie, które życie wykuwa na twarzy każdego, kto ma do czynienia z ludzkim chamstwem, gdzieś znikły. Rysy jej stały się miększe, miała w sobie naprawdę coś z młodej dziewczyny.

Stanęliśmy w drzwiach i machaliśmy rękami ku oddalającej się Lili. Nagle Mimi zaczęła beczeć. Była kiedyś zamężna. Mąż jej zmarł podczas wojny na zapalenie płuc. Gdyby poległ na froncie, dostałaby małą rentę i nie musiałaby się włóczyć po ulicy.

Róża poklepała ją po plecach.

– No, Mimi, tylko się nie rozklejaj! Chodź, wypijemy jeszcze łyk kawy.

Całe towarzystwo cofnęło się do ciemnego wnętrza „Internationalu", jak gromada kur do kojca. Ale nastrój prysł.

– Zagraj nam coś jeszcze na zakończenie, Robby – zaproponowała Róża. – Dla poprawienia humoru.

– Dobra – zgodziłem się. – Może *Marsz starych towarzyszy broni*?

Potem i ja się pożegnałem. Róża wetknęła mi jeszcze paczkę z ciastem. Podarowałem je synowi babci, który ustawiał już na ulicy kociołek z kiełbaskami.

Zacząłem się zastanawiać, co zrobić z resztą wieczoru. Nie, do baru nie chciałem iść; do kina także nie. Może do warsztatu? Niezdecydowany spojrzałem na zegar. Była ósma. Köster wrócił chyba do naszej budy. Jeżeli tam siedzi, to Lenz nie będzie sobie strzępił języka na temat dziewczyny. Polazłem do warsztatu.

W szopie paliło się światło. I to nie tylko w warsztacie, całe podwórze zalane było światłem. Köster był na szczęście sam.

– Co się stało, Otto? Sprzedałeś może cadillaca?

Zaśmiał się.

– Nie. To Gotfryd zrobił małą iluminację.

Oba reflektory cadillaca płonęły. Wóz tak ustawiono, że snop światła padał przez okna na podwórze, akurat na biało kwitnącą śliwę. Kredowa biel drzewa w blasku wyglądała cudownie. Po obu stronach ciemność zdawała się szumieć jak morze.

– Boskie – wyznałem. – Gdzie Gotfryd?

– Pobiegł po coś do jedzenia.

– Doskonała myśl. Czuję się jakoś dziwnie. Być może jednak, że to tylko głód.

Köster przytaknął.

– Jedzenie nigdy nie zaszkodzi. Stara zasada wszystkich żołnierzy. Ja dokonałem dziś po południu dziwnego czynu. Zapisałem Karla do wyścigu.

– Co? Na szóstego?

Kiwnął głową.

– Tam do licha, Otto, przecież startują same grube ryby!

– Tak – przyznał. – W klasie wozów sportowych Braumüller.

Zakasałem rękawy.

– A więc żywo, Otto! Musimy naszego jedynaka naoliwić jak się patrzy.

– Stój! – ryknął ostatni romantyk, który wychynął nagle z ciemności. – Najpierw wyżerka!

Wyładował naszą kolację: ser, chleb, twardą jak kamień wędzoną kiełbasę i szproty. Popijaliśmy te specjały dobrze ochłodzonym piwem. Wcinaliśmy jak wygłodzeni parobcy po młócce. Potem zabraliśmy się z zapałem do Karla. Mozoliliśmy się nad nim dwie godziny, wysmarowaliśmy wszystkie łożyska. Następnie ja i Lenz spałaszowaliśmy drugą kolację. Gotfryd oświetlił teraz i forda. Jakimś cudem jeden z reflektorów ocalał przy zderzeniu. Teraz gapił się skosem w niebo na tle zgiętego podwozia.

Lenz zwrócił się zadowolony ku mnie.

– No, a teraz, synu, przynieś butelczyny. Musimy uczcić „święto kwitnącej śliwy”.

Postawiłem na stole koniak, gin i dwa kieliszki.

– A ty? – zagadnął Gotfryd.

– Nie będę pił.

– Co? Dlaczego, jeśli łaska?

– Nie mam najmniejszej ochoty na to przeklęte trąbienie.

Lenz gapił się na mnie przez chwilę.

– Nasze bobo się przepiło – rzekł do Köstera.

– Daj mu spokój, jeżeli nie chce.

Lenz nalał sobie kieliszek.

– Nasze chłopię już od dłuższego czasu zdradza objawy fioła.

– To żadne nieszczęście – mruknąłem.

Księżyc wyszedł wielki i czerwony zza dachu przeciwległej fabryki. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

– Słuchaj, Gotfryd, ty jesteś przecież specem od miłości?

– Specem? Jestem mistrzem seniorów – odparł skromnie Lenz.

– Doskonale. Chciałbym wiedzieć, czy każdy człowiek zachowuje się głupio, kiedy jest zakochany.

– Co to znaczy głupio?

– No tak, jakby był na wpół zawiany. Baje brednie, bzdurzy i buja ludzi.

Lenz parsknął gromkim śmiechem.

– Ależ, dziecinko, to wszystko jest przecież wielkim oszukaństwem, cudownym bujaniem mamy natury. Spójrz na tę śliwę! I ona buja. Robi się piękniejsza, niż jest naprawdę. To byłoby straszne, gdyby miłość miała coś wspólnego z prawdą. Chwała Bogu, przeklęci moraliści nie potrafili wszystkiego poddać swoim nakazom.

Wyprostowałem się.

– Uważasz zatem, że bez odrobiny blagi nie można w ogóle prowadzić tej gry?

– Stanowczo nie, dziecinko.

– Ale można diabelnie się ośmieszyć przy tej okazji?

Lenz roześmiał się całą gębą.

– Zapamiętaj sobie, chłopcze, raz na zawsze: nigdy, ale to nigdy, po trzykroć nigdy nie ośmieszysz się w oczach kobiety, jeżeli będziesz coś robił dla niej. Możesz wyczyniać najgłupsze historie. Rób, co ci się żywnie podoba – stawaj na głowie, gadaj duby smalone, pusz się jak paw, śpiewaj pod jej okienkiem, tylko nigdy nie rób jednego: nie bądź rzeczowy! Nie bądź rozsądny!

Ożywiłem się.

– Co ty o tym sądzisz, Otto?

Köster zaśmiał się.

– Chyba to prawda.

Wstał i podniósł maskę Karla. Przyniosłem flaszkę rumu, kieliszek i postawiłem na stole. Otto zapuścił motor. Huczał głębokim, opanowanym basem. Lenz oparł nogi na parapecie okna i gapił się w przestrzeń. Przysiadłem się do niego.

– Czy zdarzyło ci się zalać, gdy byłeś w towarzystwie kobiety?

– Nieraz – rzekł, nie ruszając się z miejsca.

– No i?

Spojrzał na mnie zezem.

– Masz na myśli, jeśli coś się przy tej okazji przeskrobało, hę? Nigdy się nie tłumacz, dziecino. Nic nie gadaj. Poślij kwiaty. Bez listu. Tylko kwiaty. Pokrywają każde nieporozumienie. Nawet grób.

Obserwowałem Lenza. Siedział nieruchomy. Oczy jego błyszczały w odbiciu białego światła, zalewającego podwórze. Motor szedł dalej, lekko dudniąc, jakby drżała pod nami ziemia.

– Właściwie można by się teraz spokojnie czegoś napić – skonstatowałem i otworzyłem butelkę.

Köster zatrzymał motor. Zwrócił się do Lenza i rzekł:

– Księżyc świeci dość jasno, aby trafić do kieliszka, Gotfrydzie. Zgaś iluminację. Szczególnie w fordzie. To wykrzywione bydlę zanadto mi przypomina reflektory podczas wojny. Wcale nie było zabawnie, kiedy macały w nocy po niebie, szukając samolotów.

Lenz przytaknął:

– A mnie przypomina to… ale mniejsza z tym.

Wstał i zgasił reflektory.

Księżyc wspiął się nad dach fabryki. Stawał się coraz jaśniejszy i wisiał teraz jak żółty lampion w konarach śliwy. Gałęzie kolebały się wolno na słabym wietrze.

– To dziwne – powiedział Lenz po chwili – dlaczego stawia się pomniki wszelkim możliwym ludziom… Dlaczego nie postawi się raz pomnika księżycowi albo kwitnącej śliwie?

Poszedłem wcześnie do domu. Kiedy otworzyłem drzwi na korytarz, dobiegły mnie dźwięki muzyki. Był to gramofon Erny Bönig, sekretarki. Śpiewał cichy, czysty głos kobiecy. Potem odezwało się stłumione zawodzenie skrzypiec i perliste pizzicato bandża. I znowu głos kobiecy, przenikający na wskroś, miękki, jakby nasycony szczęściem. Słuchałem, chcąc pochwycić słowa. Ten cichy głos kobiety brzmiał dziwnie wzruszająco tutaj, w ciemnym korytarzu, między maszyną do szycia pani Bender i kuframi państwa Hasse. Spoglądałem na wypchaną głowę dzika nad drzwiami kuchni. Słyszałem, jak dziewczyna w kuchni bezceremonialnie brzęka naczyniami. „Jak mogłem żyć bez ciebie” – śpiewał głos o parę kroków ode mnie, w pokoju Erny.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem do siebie.

Z sąsiedniego pokoju dochodziły odgłosy gwałtownej kłótni. Po paru minutach rozległo się stukanie do drzwi i wszedł Hasse.

– Nie przeszkadzam panu? – spytał znużony.

– Nie – odpowiedziałem. – Napije się pan czegoś?

– Chyba nie. Chciałbym tylko trochę tu posiedzieć. – Wpatrywał się tępo przed siebie. – Panu dobrze – rzekł wreszcie – pan jest sam…

– Bzdura – odpowiedziałem. – Nic przyjemnego tkwić tak zawsze samemu, niech pan mi wierzy…

Siedział skulony na krześle. Oczy błyszczały mu szkliście w słabym świetle latarni ulicznej. Miał wąskie, opuszczone ramiona.

– Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie życie – rzekł po chwili.

– Wszyscyśmy je sobie inaczej wyobrażali – powiedziałem.

Po półgodzinie Hasse poszedł pogodzić się z żoną. Dałem mu parę gazet i pół butelki curaçao, który od nie wiem jak dawna stał

na mojej szafie – niesmaczny słodki trunek, ale dla niego w sam raz. Nie znał się na tym przecież ani trochę.

Wyszedł cicho, niemal bezszelestnie, cień na tle cienia, jak gdyby życie w nim zgasło. Zamknąłem drzwi. Z korytarza doleciał jak barwna jedwabna chustka strzęp melodii – skrzypce, przytłumiony głos bandża – „jak mogłam żyć bez ciebie…"

Usiadłem przy oknie. Za nim rozciągał się cmentarz w błękitnym świetle księżyca. Kolorowe plamy reklam świetlnych wspinały się ku wierzchołkom drzew, płyty grobowców lśniły w mroku. Były ciche i nieulękłe. Tuż koło nich trąbiły samochody, a światło ich reflektorów przemykało po zatartych napisach.

Siedziałem tak dość długo i myślałem o różnych rzeczach. Także o tym, jak wróciliśmy wtedy z wojny, młodzi, pozbawieni wiary, jak górnicy z zawalonego szybu. Chcieliśmy wydać walkę kłamstwu, egoizmowi, chciwości, lenistwu serca, które winne były temu, co zostało za nami – byliśmy twardzi, nie mieliśmy zaufania do nikogo, prócz towarzyszy broni, i innego jeszcze rodzaju zaufania, które nas nigdy nie zawiodło: zaufania do rzeczy – do nieba, tytoniu, drzewa, chleba i ziemi… Cóż nam z tego pozostało? Wszystko rozpadło się w gruzy, okazało się fałszem, pogrążyło w zapomnieniu. A temu, kto nie mógł zapomnieć, pozostała tylko bezsilność, rozpacz, obojętność i wódka. Czas wielkich ludzkich i męskich ideałów minął. Tryumfowali zapobiegliwi. Korupcja. Nędza.

„Panu dobrze, pan jest sam", powiedział Hasse. Wszystko pięknie, kto jest sam, nie może zostać opuszczony. Czasem jednak wieczorem rozpadała się sztuczna budowla, życie zmieniało się w łkającą, rozszalałą melodię, w wir pożerającej tęsknoty, pożądania, smutku i nadziei, że uda się wydobyć z tego bezsensownego ogłuszenia, z bezsensownego trajkotu wiecznej katarynki, wszystko jedno dokąd. Ach, ten żałosny głód odrobiny ciepła – czyż nie można było mieć koło siebie dwóch rąk i pochylonej twarzy? A może i to jest tylko złudzeniem, rezygnacją i ucieczką? Czy istnieje coś innego niż samotność?

Zamknąłem okno. Nie, nie istnieje nic innego. Na cokolwiek innego ma człowiek za mało gruntu pod nogami.

Ale następnego ranka zerwałem się wcześnie i przed pójściem do warsztatu zbudziłem pukaniem właściciela małej kwiaciarni w pobliżu. Wybrałem pęk róż i poleciłem, żeby posłał je zaraz. Było mi nieco dziwnie na sercu, kiedy pisałem wolno na bilecie adres i nazwisko: Patrycja Hollmann.

V

Köster pojechał w swoim najstarszym ubraniu do urzędu skarbowego. Zamierzał spróbować, czy nie uda mu się uzyskać obniżki podatków. Zostaliśmy w garażu we dwójkę z Gotfrydem.

– No, do roboty, bracie! – zawołałem. – Zabierajmy się do naszego zwalistego cadillaca.

Poprzedniego dnia wieczorem ukazało się w pismach nasze ogłoszenie. Można zatem było liczyć już dzisiaj na pojawienie się reflektantów, jeżeli w ogóle ktoś miał się złakomić na nasz wóz. Należało doprowadzić go do należytego stanu.

Przede wszystkim przejechaliśmy po lakierze szmatą umaczaną w płynie wywołującym połysk. Cadillac błyszczał niby lustro i wyglądał tak, jakby kosztował o sto marek więcej. Nasmarowaliśmy silnik najcięższą oliwą, jaka istnieje. Tłoki nie były już pierwszej klasy i trochę hałasowały. Ciężka oliwa wyrównała ten brak i silnik szedł przedziwnie równo. Także tryby i dyferencjał wysmarowaliśmy najcięższym olejem, aby pracowały cicho.

Wyjechaliśmy z garażu. W pobliżu mieliśmy kawałek bardzo lichej nawierzchni. Przejechaliśmy go z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Karoseria klekotała. Wypuściliśmy ćwierć atmosfery powietrza z opon i spróbowaliśmy raz jeszcze. Tym razem było lepiej. Jeszcze ćwiartka powietrza z gum i nie słychać już było klekotania.

Wróciliśmy do warsztatu, naoliwiliśmy piszczącą maskę, wkleiliśmy pasek gumy między brzegi blachy, napełniliśmy chłodnicę gorącą wodą, żeby silnik szybko zaskoczył, i opryskaliśmy wóz

naftą od spodu za pomocą rozpylacza, ażeby i tam błyszczał. Po tych zabiegach Gotfryd uniósł ręce do nieba.

– A teraz zjaw się, upragniony kliencie! – przemówił. – Przybądź, umiłowany właścicielu pękatego portfela! Czekamy na ciebie w tęsknocie, jak oblubieniec na oblubienicę!

Oblubienica kazała jednak na siebie czekać. Wobec tego przesunęliśmy smoka naszego piekarza z głębi garażu nad kanał i zabraliśmy się do wymontowywania przedniej osi. Pracowaliśmy parę godzin spokojnie, niewiele nawet rozmawiając. Nagle usłyszałem, jak nasz urwis Jupp, stróżujący przy pompie benzynowej, gwiżdże piosenkę: „Patrz, cóż za gość do domu się przybliża…”

Wypełzłem spod wozu i wyjrzałem przez okno. Jakiś mały, przysadkowaty mężczyzna obchodził naszego cadillaca. Wyglądał solidnie, po mieszczańsku.

– Spójrz, Gotfrydzie – szepnąłem – czyżby to była oblubienica?

– Jasne jak słońce – zawyrokował Lenz od pierwszego spojrzenia. – Przypatrz się no tylko tej twarzy. Gość przybiera nieufną minę, zanim zdążył otworzyć do nas gębę! Naprzód do ataku! Ja pozostanę tu jako rezerwa. Zjawię się z odsieczą, jeżeli nie dasz sobie rady, pamiętaj o wszystkich moich chwytach.

– Dobrze – przyrzekłem, wychodząc z garażu.

Mężczyzna spojrzał na mnie mądrymi czarnymi oczkami. Przedstawiłem się.

– Lohkamp.

– Blumenthal.

To był pierwszy chwyt Gotfryda: przedstawić się. Twierdził, że momentalnie wytwarza się dzięki temu bardziej intymna atmosfera. Druga jego sztuczka polegała na tym, aby zaczynać rozmowę z rezerwą, dać się wygadać klientowi i dopiero zahaczyć go tam, gdzie jest najwygodniej.

– Przychodzi pan w sprawie cadillaca?

Kiwnął głową.

– Stoi tu właśnie – pokazałem ręką.

– Widzę.

Obrzuciłem go krótkim spojrzeniem. „Uwaga! – pomyślałem. – To wyga kuty na cztery nogi”.

Przeszliśmy przez podwórze. Otworzyłem drzwiczki wozu i zapuściłem silnik. Następnie zrobiłem pauzę, ażeby dać Blumenthalowi czas na obejrzenie wozu. Na pewno znajdzie coś, co mu się nie będzie podobało; wtedy przejdę do kontrataku.

Ale Blumenthal nie oglądał wozu. Nic nie krytykował. Milczał tak jak ja i stał bez ruchu jak posąg bożka. Nie pozostawało mi nic innego, jak zacząć na chybił trafił.

Zacząłem więc opisywać cadillaca spokojnie i systematycznie, jak matka dziecko, i usiłowałem wysondować przy tym, czy gość zna się w ogóle na samochodach. Jeżeli jest fachowcem, to trzeba skupić się przede wszystkim na silniku i podwoziu, jeżeli laikiem, to na komforcie i ozdóbkach.

Ale i teraz nie zdradził się ani jednym słowem. Pozwolił mi gadać, aż doznałem uczucia pustki, jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

– Do jakich celów potrzebuje pan wozu? Do jeżdżenia po mieście czy do podróży? – zagadnąłem po chwili, ażeby znaleźć wreszcie jakiś punkt zaczepienia.

– Do wszystkich możliwych celów.

– Aha! Czy pan sam będzie prowadził, czy też szofer?

– To zależy.

To zależy. Gość odpowiadał jak papuga. Zdawał się należeć do zakonu kamedułów.

Ażeby go nieco ośmielić, starałem się nakłonić go, ażeby sam coś wypróbował. Zwykle klienci stawali się wówczas przystępniejsi. Obawiałem się, że inaczej mi zaśnie.

– Jak na tak duży kabriolet, buda otwiera się i zamyka nadzwyczaj lekko. Niech pan sam ją spróbuje zamknąć. Można to zrobić jedną ręką.

Blumenthal uznał jednak, że nie warto próbować. On to zna. Strzelałem drzwiczkami jak z procy i szarpałem za klamki.

– Wszystko mocne, trzyma się jak mur. Niech pan spróbuje.

Blumenthal nie spróbował. Uważał to za rzecz samą przez się zrozumiałą. Diabelnie twarda sztuka! Pokazałem mu szyby.

– Opuszczanie ich jest zabawką. Trzymają się doskonale na każdej wysokości.

Blumenthal ani drgnął.

– Do tego nierozpryskujące się szkło – jechałem dalej, nieco już zrozpaczony. – Nieoceniona zaleta! Właśnie w warsztacie mamy forda.

Tu opowiedziałem wypadek żony piekarza i podbarwiłem go jeszcze trochę, dodając dziecko, któremu kazałem również zginąć w katastrofie.

Ale Blumenthal był zamknięty jak kasa pancerna.

– W nietłukące się szkło wyposażone są przecież wszystkie wozy – przerwał mój wykład. – To nic szczególnego.

– Nietłukące się szkło nie należy do wyposażenia seryjnych wozów – odpowiedziałem z łagodnym zaostrzeniem w głosie. – Najwyżej w niektórych typach aut przednia szyba jest z takiego szkła. Nigdy jednak boczne okna.

Zahuczałem klaksonem, po czym przeszedłem do opisu wewnętrznego komfortu wozu – kufra, siedzeń, kieszeni, tablicy rozdzielczej. Wchodziłem w każdy szczegół, podałem Blumenthalowi zapalniczkę i wykorzystałem tę okazję do poczęstowania go papierosem, żeby go może w ten sposób rozruszać. On jednak odmówił.

– Dziękuję, nie palę – odpowiedział i spojrzał na mnie tak znudzonym wzrokiem, że nagle przeleciało mi przez mózg straszliwe podejrzenie: może ten typ nie miał do nas w ogóle interesu, może pomylił się w adresie i chciał kupić coś zupełnie innego: maszynę do obrabiania dziurek do guzików albo aparat radiowy? Sterczy sobie niezdecydowanie przy wozie, a potem pójdzie dalej.

– Zróbmy próbną jazdę – zaproponowałem wreszcie, mocno wyczerpany.

– Próbną jazdę? – spytał takim tonem, jakbym powiedział słowo „dworzec".

– Tak, próbną jazdę. Musi pan przecież zobaczyć, jak wóz się sprawia. Powiadam panu, trzyma się drogi jak przymurowany. Jakby szedł po szynach. A silnik ciągnie, jakby to nie był ciężki kabriolet, tylko piórko.

– Ach, te jazdy próbne. – Machnął pogardliwie ręką. – Niczego nie dowodzą. Dopiero później okazuje się zawsze, czego wozowi

brak.

„Oczywiście, ty szatanie z żelaza – pomyślałem wściekły – czy przypuszczasz, że będę cię pakował nosem na to, czego brak wozowi?"

– Doskonale, wobec tego nie – powiedziałem i przekreśliłem już wszelkie nadzieje. Przecież to jasne, że typ nie kupi.

Ale oto Blumenthal obrócił się ku mnie, spojrzał prosto w oczy i spytał cicho, ostro i szybko:

– Ile kosztuje wóz?

– Siedem tysięcy marek – wystrzeliłem jak z procy, nie mrugnąwszy powieką. Wiedziałem, że gość nie powinien zauważyć, iż choćby przez mgnienie oka zastanawiałem się nad odpowiedzią. Każda sekunda wahania kosztowałaby tysiąc marek, które próbowaliśmy wytargować. – Siedem tysięcy marek netto – powtórzyłem twardym głosem i pomyślałem sobie: „Jeżeli zaproponujesz mi pięć tysięcy, to możesz sobie zabrać pudło".

Blumenthal nic nie zaproponował. Wyrzucił z siebie krótkie sapnięcie.

– Grubo za wiele!

– Oczywiście! – powiedziałem i zrezygnowałem z transakcji.

– Dlaczego „oczywiście"? – spytał Blumenthal, zdradzając nareszcie ślad ludzkiego zaciekawienia.

– Drogi panie Blumenthal, czy spotkał pan w dzisiejszych czasach kogoś, kto by inaczej odpowiedział na wymienioną cenę?

Przyjrzał mi się uważnie, po czym przez twarz jego przeleciało coś jakby odblask uśmiechu.

– Ma pan rację. Ale wóz jest naprawdę za drogi.

Nie wierzyłem własnym uszom. Nareszcie właściwy ton! Ton prawdziwego klienta! A może to jeszcze jeden przeklęty wybieg?

W tej chwili wszedł przez bramę elegancki fircyk. Wyciągnął z kieszeni gazetę, porównał raz jeszcze numer domu i podszedł do mnie.

– Czy tu jest do sprzedania cadillac?

Kiwnąłem głową i patrzyłem na żółtą bambusową laseczkę i rękawiczki ze świńskiej skóry. Zatkało mnie.

– Czy mógłbym obejrzeć wóz? – zapytał elegancik, ani drgnąwszy.

– To ten, ale może pan zechce chwileczkę zaczekać, jestem zajęty. Może pan tymczasem spocznie w garażu?

Fircyk przysłuchiwał się przez chwilę mruczeniu motoru, przybrał naprzód krytyczną minę, a potem na twarzy jego pojawił się wyraz uznania. Odholowałem go do warsztatu.

– Idiota! – warknąłem i wróciłem szybko do Blumenthala.

– Jeżeli przejedzie się pan raz wozem, będzie się pan zapatrywał inaczej na cenę – powiedziałem. – Może pan wypróbowywać wóz tak długo, jak się panu podoba. Jeżeli panu wygodniej, to mogę zajechać po pana wieczorem.

Ale chwilowe ożywienie Blumenthala pierzchło bez śladu. Stał przede mną jak granitowy pomnik prezesa prowincjonalnego koła śpiewaczego.

– Na razie dajmy temu spokój. Muszę już iść. Jeżeli będę chciał odbyć jazdę próbną, mogę do pana zatelefonować.

Zrozumiałem, że chwilowo nic się nie poradzi. Tego bubka nie można było przekonać.

– Doskonale – powiedziałem – ale może da mi pan swój numer telefonu, żebym mógł się porozumieć z panem, jeżeli bym miał innego reflektanta.

Blumenthal spojrzał na mnie osobliwym wzrokiem.

– Reflektanci to jeszcze nie kupcy.

Wyciągnął papierośnicę i podał mi ją. Nagle zaczął palić. I do tego cygara corona. Corona! Musiał mieć forsy jak lodu. Ale mnie było już wszystko jedno. Wziąłem cygaro.

Podał mi rękę przyjaznym gestem i poszedł. Patrzyłem za nim długo i przeklinałem go po cichu, ale gruntownie. Potem wróciłem do warsztatu.

– No i co? – spytał elegant, którym był Gotfryd Lenz. – Odstawiłem rolę pierwsza klasa, co? Widziałem, że wiercisz się i pleciesz jak na mękach, i postanowiłem ci pomóc. Szczęście, że Otto przebrał się tu w stare łachy, idąc do urzędu skarbowego. Zobaczyłem, że zawiesił na kołku swoje odświętne ubranie, przebrałem

się galopem, potem wio przez okno i okólną drogą na podwórko, jako poważny kupiec. Dobra sztuczka, co?

– Idiotyczna sztuczka! Ten jegomość jest sprytniejszy od nas obu razem wziętych. Przypatrz się temu cygaru. Marka pięćdziesiąt za sztukę. Przepłoszyłeś mi miliardera, durniu!

Gotfryd wziął mi cygaro z ręki, powąchał i zapalił.

– Przepłoszyłem ci pospolitego oszusta. Miliarderzy nie palą takich cygar. Palą sztuka za dziesięć fenigów.

– Bzdury opowiadasz. Oszust nie nosi nazwiska Blumenthal. Przedstawia się jako hrabia Blumenau albo coś w tym guście.

– Nie bój się, facet wróci – uspokajał Lenz, optymista z zasady, i dmuchał mi dymem z mojego cygara prosto w nos.

– Nie, ten się już nie zjawi – rzekłem z głębokim przekonaniem. – Ale jakim sposobem doszedłeś do laseczki bambusowej i rękawiczek?

– Pożyczone. Naprzeciwko, w sklepie Benn i Ska. Znam tamtejszą sprzedawczynię. Być może zresztą, że laseczkę zatrzymam. Podoba mi się. – I z wyraźnym zadowoleniem zaczął wywijać w powietrzu grubą trzciną.

– Doprawdy, szkoda ciebie do warsztatu, Gotfrydzie! Marnujesz się. Wiesz co? Najmij się do kabaretu. Tam twoje miejsce.

– Był telefon do pana – powiedziała Fryda, zezowata służąca pani Zalewskiej, kiedy wpadłem w południe do domu. Okręciłem się na pięcie.

– Kiedy?

– Przed półgodziną. Jakaś pani.

– Co powiedziała?

– Mówiła, że zadzwoni jeszcze raz wieczorem. Ale ja jej zaraz powiedziałam, że nie ma po co, bo pana, powiedziałam, wieczorami nigdy nie ma w domu.

Spiorunowałem ją wzrokiem.

– Co? Tak Fryda powiedziała? Na Boga, kiedyż nareszcie ktoś nauczy Frydę rozmawiać przez telefon!

– Ja umiem telefonować, proszę pana – rzekła tonem słodkim jak cukierek. – A wieczorami nie siedzi pan przecież prawie nigdy w domu.

– To Frydę nic a nic nie obchodzi, do licha! – zakląłem. – Na drugi raz może Fryda opowie jeszcze, że noszę dziurawe skarpetki.

– Mogę i to powiedzieć – odparła Fryda i złośliwie spojrzała na mnie czerwonymi, zaognionymi oczyma. Od dawna byliśmy z sobą na noże.

Najchętniej utopiłbym ją na poczekaniu w garnku z zupą, ale opanowałem się, sięgnąłem do kieszeni, wcisnąłem jej markę w łapę i rzekłem pojednawczym tonem:

– Czy ta pani nie powiedziała swojego nazwiska?

– Nieee.

– A jaki miała głos? Może odrobinę ciemny… to jest głęboki, taki jakby była trochę zachrypnięta?

– Nie wiem – odpowiedziała Fryda tak flegmatycznie, jakbym jej nigdy nie dał marki w łapę.

– Masz ładny pierścionek na palcu, Frydo… naprawdę śliczny… Zastanów się, pomyśl, może sobie coś przypomnisz.

– Nieee – beknęła Fryda, a paskudna radość, że mi dopiekła, jaśniała na jej szpetnej gębie.

– Możesz się powiesić, pomiotło szatańskie – parsknąłem wściekły i zostawiłem ją na korytarzu.

Punktualnie o szóstej byłem w domu. Gdy otworzyłem drzwi, oczom moim przedstawił się niezwykły widok. Na korytarzu stała pielęgniarka, pani Bender, otoczona wszystkimi niewiastami mieszkającymi w pensjonacie.

– Niech pan zobaczy! – zawołała pod moim adresem pani Zalewska.

Powodem zebrania było ustrojone we wstążeczki niemowlę, liczące sobie może pół roku. Pani Bender przywiozła bąka w wózku z przytułku dla dzieci. Dziecko było idealnie normalne. Ale kobiety wariowały po prostu z zachwytu na widok bachora,

jakby to było pierwsze niemowlę, które przyszło na świat. Na domiar złego wydawały bulgocące dźwięki, wyczyniały dziwne znaki palcami przed oczyma małego stworzenia i składały usta w ciup, cmokając w powietrzu. Nawet Erna Bönig w swoim kimonie w haftowane smoki brała udział w tej orgii platonicznej miłości macierzyńskiej.

– Czy to nie rozkoszny drobiazg? – spytała mnie pani Zalewska z rozanielonym wzrokiem.

– Będzie to można ocenić dopiero za jakieś dwadzieścia albo trzydzieści lat – odparłem i zacząłem zezować w stronę telefonu. Miałem nadzieję, że nie zadzwonią do mnie, gdy cała zgraja będzie się tłoczyła w korytarzu.

– Ale niech pan się lepiej przypatrzy maleństwu – upomniała mnie pani Hasse.

Spojrzałem na zawiniątko. Niemowlę jak wszystkie inne, ani lepsze, ani gorsze. Nie potrafiłem odkryć w nim żadnych specjalnych walorów ani uroku. Najwyżej to, że bobas miał strasznie drobne rączyny i dziwnie było pomyśleć, że kiedyś człowiek sam był taką kruszyną.

– Biedny robaczek, nie wie jeszcze, co go czeka. Ciekawe, na jaką wojnę trafi, akurat kiedy dorośnie.

– Gbur! – oburzyła się pani Zalewska. – Czy nie ma w panu cienia uczuć?

– O wiele za dużo, droga pani. Inaczej nie przychodziłyby mi takie myśli do głowy.

To rzekłszy, wycofałem się do mego pokoju.

W dziesięć minut później zadzwonił telefon. Usłyszałem moje nazwisko i wyszedłem z pokoju. Oczywiście całe zgromadzenie zalegało jeszcze korytarz! Nie rozproszyło się też, gdy podniosłem słuchawkę do ucha i usłyszałem głos Patrycji Hollmann, która dziękowała mi za kwiaty. Przeciwnie, niemowlę, które zdawało się być najrozsądniejsze z obecnych i miało dosyć błazeństw, zaczęło nagle ryczeć wniebogłosy.

– Przepraszam panią – powiedziałem zrozpaczony w telefon – nic nie słyszę, wrzeszczy tu akurat niemowlę, ale to nie moje.

Damy poczęły syczeć jak gniazdo węży dużego kalibru, ażeby uspokoić krzyczące zawiniątko. Osiągnęły natychmiast to, że bobas zaczął drzeć się jeszcze donośniej. Dopiero teraz mogłem stwierdzić, że jest to istotnie wyjątkowe niemowlę. Musiało mieć płuca do samych pięt, inaczej nie można by sobie wytłumaczyć, skąd dobywa się ten przeraźliwy głos. Znajdowałem się w fatalnej sytuacji: oczyma rzucałem wściekłe spojrzenia na zebrany koło mnie kompleks macierzyński, ustami próbowałem szeptać uprzejme słowa w czarną słuchawkę. Od czubka głowy po nos byłem szalejącą burzą, od nosa po brodę słonecznym krajobrazem. Doprawdy dla mnie samego było zagadką, w jaki sposób udało mi się umówić na następny wieczór.

– Powinna pani zamówić izolowaną od dźwięków budkę telefoniczną – powiedziałem do pani Zalewskiej.

Nasza gospodyni nie zapomniała jednak języka w gębie.

– A co? – odparła błyskawicznie. – Ma pan tyle tajemnic?

Przemilczałem odpowiedź i zwiałem. Nie należy zaczynać sprzeczki z kobietami o pobudzonych uczuciach macierzyńskich. Mają za sobą moralne poparcie całego świata.

Wieczorem mieliśmy się spotkać u Gotfryda. Przekąsiłem coś w małej knajpie i powędrowałem do niego. Po drodze, dla uczczenia tego dnia, kupiłem wspaniały nowy krawat w najelegantszym sklepie z konfekcją męską. Ciągle jeszcze zdumiony byłem tym, że wszystko tak łatwo poszło, i uroczyście ślubowałem w duchu, że nazajutrz będę poważny jak naczelny dyrektor przedsiębiorstwa pogrzebowego.

Pokój Gotfryda był nie lada osobliwością. Zapełniały go pamiątki z podróży do Ameryki Południowej. Na ścianach wisiały barwne maty z łyka, kilka masek, zasuszona mumia ludzkiej głowy, dziwaczne gliniane naczynia, dzidy, główną zaś atrakcję stanowiła bogata kolekcja zdjęć, zajmująca całą jedną ścianę: fotografie Indianek i Kreolek, ładnych, brązowych giętkich zwierząt o niepojętym leniwym wdzięku.

Oprócz Lenza i Köstera zastałem także gości: Braumüllera i Graua. Theo Braumüller, o czaszce opalonej na brąz, przysiadł na oparciu kanapy i z zachwytem oglądał kolekcję zdjęć. Był on

wyścigowym kierowcą w jednej z fabryk samochodów i od dawna przyjaźnił się z Kösterem. Szóstego miał brać udział w wyścigu, do którego Otto zgłosił swego Karla.

Ferdynand Grau, ciężki i nalany, siedział nieźle podpity przy stole. Kiedy wszedłem, wyciągnął ku mnie swą wielką łapę.

– Robby – powiedział ochrypłym głosem – czego szukasz wśród tych zgubionych typów? Nie masz tu nic do roboty. Uciekaj stąd. Ratuj się. Jeszcze czas!

Spojrzałem na Lenza. Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Ferdynand jest na dobrym gazie. Od dwóch dni zalewa się na rachunek jakiejś ukochanej nieboszczki. Sprzedał portret i od razu wybulili mu gotówkę.

Ferdynand Grau był malarzem. Od dawna już umarłby z głodu, gdyby nie jego cenna specjalność: malował według fotografii świetnie uchwycone portrety nieboszczyków na zamówienie pragnących uczcić ich pamięć krewnych. Żył z tego, i to wcale nieźle. Jego znakomitych pejzaży nie kupował pies z kulawą nogą. Okoliczność ta nadawała rozmowom z Grauem ton pesymizmu.

– Tym razem był to właściciel szynku, Robby – rzekł – właściciel szynku z ciocią, która handlowała octem i oliwą i po której odziedziczył majątek. – Wzdrygnął się. – Potworność!

– Nie powinieneś używać takich mocnych określeń – odezwał się Lenz. – Bądź co bądź żyjesz z jednego z najpiękniejszych ludzkich uczuć: czci dla pamięci zmarłych.

– Bzdura! – zaprzeczył Grau. – Żyję z poczucia winy wobec zmarłych. Czczenie ich pamięci to tylko poczucie winy. Taki krewny chce drogiemu nieboszczykowi wynagrodzić wszystkie przykrości i złe życzenia, jakich mu nie szczędził za życia. – Przeciągnął ręką po rozpalonym czole. – Wyobrażasz sobie, jak często mój szynkarz życzył cioci nagłej śmierci? Za to zamówił teraz jej piękny kolorowy portret i zawiesił go nad kanapą. Woli ciocię w tej postaci. Czczenie pamięci zmarłych! Człowiek zawsze przypomina sobie o swych nielicznych zaletach, kiedy jest już za późno. Wtedy wzrusza się na myśl, jaki to on mógł być szlachetny i uważa się za wzór cnót. – Pogardliwie machnął olbrzymią łapą.

– Cnoty, dobroć, szlachetność każdy chciałby widzieć w innych, bo łatwiej mu ich wtedy nabierać.

Lenz uśmiechnął się.

– Próbujesz zatrząść filarami ludzkiego społeczeństwa, Ferdynandzie!

– Filarami ludzkiego społeczeństwa są: chciwość, strach i przekupstwo – odparł Grau. – Człowiek jest zły, ale lubi dobroć w innych. – Podał swój kieliszek Lenzowi. – Tak, a teraz nalej mi i nie gadaj przez cały wieczór, daj innym dojść do słowa.

Przedostałem się po kanapie do Köstera. Raptem przyszedł mi pewien pomysł do głowy.

– Otto, zrób mi przysługę. Potrzebuję na jutro wieczór cadillaca.

Braumüller przerwał mu na chwilę intensywne studia nad zdjęciem skąpo przyodzianej kreolskiej tancerki.

– Nauczyłeś się już zakręcać? – spytał. – Zdawało mi się, że umiesz jechać tylko prosto, i to kiedy ktoś za ciebie trzyma kierownicę.

– Siedź cicho, Theo – odciąłem się. – Szóstego zrobię cię na szaro podczas wyścigu.

Braumüller aż zagulgotał ze śmiechu.

– Więc jak, Otto? – nastawałem.

– Wóz nie jest ubezpieczony – powiedział Köster.

– Będę się wlókł jak ślimak i trąbił jak autobus. Tylko parę kilometrów po mieście.

Otto zmrużył oczy, tak że widać było tylko wąziutkie szparki, i uśmiechnął się.

– Dobrze, Robby, niech tam.

– Czy potrzebujesz wozu do nowego krawata? – spytał, podchodząc do nas, Lenz.

– Zamknij twarz! – burknąłem i odsunąłem go na bok.

Ale Lenz nie dał za wygraną.

– Pokaż no, dziecinko. – Pomacał mój krawat. – Wspaniały jedwab! Nasze dzieciątko w roli żigolaka. Coś mi się zdaje, że szukasz narzeczonej.

– Nie uda ci się obrazić mnie dzisiaj, ty marny sztukmistrzu – odparłem.

– Szuka narzeczonej? – Ferdynand Grau podniósł głowę. – A dlaczego by nie miał szukać? – Ożywił się i zwrócił się ku mnie. – Szukaj spokojnie, Robby! Jesteś jeszcze zdatny do tego. W miłości niezbędna jest pewna doza naiwności. Ty ją masz. I zachowaj ją! To dar bogów. Kiedy się ją raz utraci, nie można jej odzyskać.

– Nie bierz sobie tego zbytnio do serca – kpił Lenz. – Urodzić się głupcem to nie wstyd. Wstyd tylko głupcem umierać.

– Milcz, Gotfrydzie! – Grau zmiótł go na bok jednym ruchem olbrzymiej łapy. – Nie chodzi o ciebie, ty romantyku z taborów. Ciebie nie szkoda.

– Wygadaj się, Ferdynandzie – odpowiedział Lenz. – To zawsze przynosi ulgę.

– Ty jesteś dekownikiem – oświadczył Grau. – Patetycznym dekownikiem.

– Wszyscy się dekujemy – sprostował Lenz. – Żyjemy wyłącznie złudzeniami i kredytami.

– Masz rację – potwierdził Grau i spod krzaczastych brwi spojrzał po nas kolejno.

– Żyjemy złudzeniami z przeszłości i kredytami na przyszłość. – Potem znów zwrócił się do mnie. – Powiedziałem naiwność, Robby. Tylko ludzie zazdrośni nazywają ją głupotą. Nie martw się tym. To nie wada, to zaleta.

Lenz usiłował coś wtrącić, ale Ferdynand ciągnął dalej:

– Wiesz, co mam na myśli. Prostotę ducha nie przeżartego sceptycyzmem ani superinteligencją. Parsifal był głupi. Gdyby był mądry, nigdy by nie zdobył Świętego Graala. W życiu zwycięża tylko głupi; mądry widzi przed sobą zbyt wiele trudności i traci pewność siebie, zanim zacznie działać. W ciężkich czasach naiwność jest najcenniejszym dobrem – czarodziejskim płaszczem, osłaniającym niebezpieczeństwa, w które pakuje się jak w hipnozie.

Wypił łyk i spojrzał na mnie dużymi, błękitnymi oczami, które wyglądały w jego pooranej bruzdami twarzy jak kawałek pogod-

nego nieba.

– Nie staraj się wiedzieć za dużo, Robby! Im mniej człowiek wie, tym łatwiej mu żyć. Wiedza daje wolność, ale unieszczęśliwia. Chodź, wypijemy za naiwność, głupotę i wszystko, co się z nią wiąże – miłość, wiarę w przyszłość, marzenia o szczęściu – za cudowną głupotę, raj utracony…

Siedział ciężki, zwalisty, nagle pogrążony we własnych myślach i pijackim oszołomieniu, jak osamotnione melancholijne wzgórze. Jego życie leżało w gruzach i wiedział, że nic go już nie odbuduje. Mieszkał w dużej pracowni malarskiej i żył ze swoją gospodynią. Kobieta była tęga i rubaszna, Grau natomiast, mimo swej ciężkiej budowy, wrażliwy i nieopanowany. Nie mógł się pozbyć niewiasty i zapewne nie zależało mu już na tym. Miał czterdzieści dwa lata.

Wiedziałem, że jest pijany, mimo to przejmowała mnie na jego widok w tym stanie lekka groza. Rzadko odwiedzał któregoś z nas i pił przeważnie sam w pracowni. To szybko wykańcza człowieka.

Po jego twarzy przemknął lekki uśmiech. Wcisnął mi kieliszek w rękę.

– Pij, Robby. I ratuj się, póki czas. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem.

– Dobrze, Ferdynandzie.

Lenz nakręcił gramofon. Miał cały stos płyt z murzyńskimi piosenkami – o Missisipi, o zbieraniu bawełny i parnych nocach nad szafirowymi rzekami tropikalnymi.

VI

Patrycja Hollmann mieszkała w wielkim żółtym bloku, oddzielonym od ulicy wąskim pasmem trawnika. Przed bramą stała latarnia. Zaparkowałem cadillaca tuż przy niej. W migającym świetle wyglądał jak zwalisty słoń z płynnej czarnej laki.

Dokonałem wielu uzupełnień w mojej garderobie. Poza krawatem kupiłem sobie jeszcze nowy kapelusz oraz parę rękawiczek. Miałem na sobie pożyczony od Lenza płaszcz, wspaniały szary łach z najlepszej szkockiej wełny. Tak uzbrojony chciałem zatrzeć wrażenie pijaczyny, jakie mogłem wywrzeć na dziewczynie.

Zatrąbiłem. Zaraz potem rozbłysło jak rakieta na wszystkich pięciu piętrach po kolei światło w klatce schodowej. Zaszumiała winda. Widziałem, jak zjeżdża niby świetlisty kosz opuszczający się z nieba. Patrycja Hollmann otworzyła drzwi wejściowe i zeszła szybko po schodach. Ubrana była w krótką, brązową kurtkę futrzaną i wąską, brązową spódniczkę.

– Halo! – Wyciągnęła do mnie rękę. – Cieszę się strasznie, że odetchnę świeżym powietrzem. Przez cały dzień siedziałam w domu.

Lubiłem jej sposób podawania ręki. Uścisk jej dłoni był znacznie silniejszy, aniżeli można by się spodziewać. Nie cierpiałem ludzi, którzy podawali rękę wiotką, jakby to była śnięta ryba.

– Czemu mi pani nie powiedziała o tym wcześniej? – spytałem. – Mógłbym przyjechać po panią już w południe.

– Czy ma pan tyle wolnego czasu?

– Nie, ale mógłbym się jakoś urządzić.

Odetchnęła głęboko.

– Cudowne powietrze! Pachnie wiosną!

– Jeżeli ma pani ochotę, możemy nałykać się powietrza do woli gdzieś za miastem, w lesie; mam ze sobą wóz.

Tu wskazałem na cadillaca tak lekceważącym ruchem, jakby to był sterany ford.

– Ten cadillac? – Spojrzała na mnie zdumiona. – Czy to pana wóz?

– Dzisiaj wieczorem należy do mnie. A w ogóle jest własnością naszego warsztatu. Napracowaliśmy się nad tą bestią i chcemy zrobić na niej kokosy. – Otworzyłem drzwiczki wozu. – Czy pojedziemy najprzód do „Winnicy" na kolację? Co pani o tym myśli?

– Na kolację… doskonale, ale dlaczego właśnie do „Winnicy"?

Spojrzałem na nią speszony. „Winnica" była jedyną znaną mi elegancką restauracją.

– Jeżeli mam wyznać szczerze, to nie znam innego lokalu. Myślałem, że cadillac do czegoś zobowiązuje.

Zaśmiała się.

– W „Winnicy" jest na pewno nudno i sztywno. Pojedziemy gdzie indziej.

Stałem całkiem bezradny. Moje marzenia o powadze rozpierzchły się jak mgła.

– Jeżeli tak, to może pani coś zaproponuje. Lokale bowiem, które ja znam, dostarczają trochę zbyt mocnych wrażeń. Przypuszczam, że to nie dla pani.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Przecież takie rzeczy się mniej więcej widzi.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

– Możemy raz spróbować.

– Dobra. – Przekreśliłem cały z trudem wypracowany program wieczoru. – Jeżeli się pani nie boi, to już wiem, gdzie pojedziemy. Do Alfonsa.

– Alfons brzmi nieźle, a poza tym nie jestem dzisiaj nastrojona lękliwie.

– Alfons ma piwiarnię i jest przyjacielem Lenza.

Zaśmiała się.

– Pan Lenz ma, zdaje się, wszędzie przyjaciół?

Przytaknąłem.

– Przychodzi mu to z łatwością. Widziała pani wtedy z Bindingiem.

– Ma pan rację. Poszło wtedy piorunem.

Ruszyliśmy.

Alfons był ciężkim, spokojnym człowiekiem. Wystające kości policzkowe. Małe oczki. Zawinięte rękawy koszuli. Ramiona jak u goryla. Wyrzucał własnoręcznie każdego gościa, jeśli zachowywał się w jego knajpie niestosownie. Nawet członków związku sportowego „Wierni Ojczyźnie". Dla szczególnie upartych gości miał pod ladą młotek. Lokal położony był bardzo wygodnie: o kilka kroków od szpitala. W ten sposób Alfons oszczędzał sobie kosztów transportu.

Owłosionym łapskiem ścierał właśnie jasny blat sosnowego stołu.

– Co podać? Piwko?

– Żytniówkę i coś do zjedzenia.

– A dla pani? – spytał Alfons.

– Pani pragnie się także napić żytniówki – powiedziała Patrycja Hollmann.

– Byczo, byczo – rzekł Alfons. – Są żeberka wieprzowe z kapustą.

– Wieprzek ubity własnoręcznie? – indagowałem.

– Oczywiście.

– Ale pani pewnie chciałaby zjeść coś lżejszego, Alfonsie.

– Chyba pan żartuje. Niech pan najprzód przyjrzy się żeberkom.

Kazał kelnerowi przynieść porcję mięsa.

– Powiadam panu, to była wspaniała sztuka. Premiowana. Dwie pierwsze nagrody.

– Takiej pokusie nikt się nie potrafi oprzeć – odpowiedziała Patrycja Hollmann ku mojemu zdziwieniu, z taką pewnością i swobodą, jakby od lat odwiedzała tę budę.

Alfons mrugnął.

– A więc dwie porcyjki?

Kiwnęła głową.

– Doskonale! Dopilnuję osobiście. – Skierował się w stronę kuchni.

– Cofam moje wątpliwości co do tej knajpy. Zdobyła pani szturmem serce Alfonsa. Tylko stałym gościom osobiście wybiera porcje.

Alfons zjawił się z powrotem.

– Kazałem dodać państwu do kapusty świeżej kiełbasy.

– Niezły pomysł – pochwaliłem go.

Alfons spoglądał na nas z zadowoleniem. Przyniesiono żytniówkę. Trzy kieliszki. Dodatkowy dla Alfonsa.

– A więc na zdrowie! – obwieścił. – I żeby nasze dzieci miały bogatych rodziców.

Wychyliliśmy kieliszki duszkiem. Dziewczyna nie zamoczyła ostrożnie warg, wypiła jednym haustem.

– Byczo, byczo, ani słowa – rzekł Alfons i poczłapał z powrotem za ladę.

– Smakuje pani żytniówka?

Otrząsnęła się z lekka.

– Trochę za mocna jak na mój gust. Nie mogłam się jednak zblamować w oczach Alfonsa.

Żeberka wieprzowe były prawdziwym poematem. Spałaszowałem dwie potężne porcje, a Patrycja Hollmann zjadła także więcej, aniżeli się mogłem spodziewać. Podobało mi się ogromnie, że była dobrym kompanem i tak dostosowała się do atmosfery lokalu. Bez wielu ceregieli wypiła jeszcze jeden kieliszek żytniówki z Alfonsem.

Alfons mrugnął ku mnie ukradkiem; dziewczyna jest jak należy. Alfons zaś był znawcą. Może nie tyle co do piękności i kultury, ale co do wewnętrznej wartości kobiety.

– Przy odrobinie szczęścia może pani pozna ludzką słabostkę Alfonsa.

– Chciałabym. Ale nasz gospodarz wygląda, jakby jej nie posiadał.

– A jednak! – Wskazałem na stolik przy barze. – Tam mieści się jego słabostka.

– Co? Gramofon?

– Nie tyle gramofon, ile śpiew chóralny. Alfons ma bzika na punkcie chórów. Nie uznaje żadnych tańców ani muzyki klasycznej, tylko chóry – chóry męskie i mieszane. Wszystkie płyty, które leżą na stoliku, to chóry. Widzi pani, idzie tu.

– Smakowało? – spytał Alfons.

– Jak za dawnych czasów u mamusi – odpowiedziałem.

– Pani też?

– Najlepsze żeberka wieprzowe, jakie jadłam w życiu – oświadczyła pani zdecydowanym tonem.

Alfons kiwnął głową zadowolony.

– A teraz zagram wam nową płytę. Zdumiewająca!

Podszedł do gramofonu. Zazgrzytała igła i rozbrzmiał niby huragan chór męski. Potężne głosy śpiewały *Milczenie leśne*. Diablo głośne było to milczenie.

Od pierwszego taktu w lokalu zapadła cisza jak makiem zasiał. Alfons potrafił być niebezpieczny, jeżeli ktoś nie okazywał w takich chwilach stosownego nabożeństwa. Stał za ladą wsparty na owłosionych łapach. Twarz odmieniła mu się pod wpływem muzyki. Stała się rozmarzona – tak właśnie, jak rozmarzona gęba goryla. Śpiew chóralny działał z niezwykłą siłą na tego człowieka. Stawał się wtedy łagodny jak sarenka. Mógł szaleć w samym wirze bijatyki – gdy zabrzmiał chór męski, opuszczał ręce jak dotknięty różdżką czarodziejską, słuchał i gotów był do pojednania się z najgorszym wrogiem. Dawniej, gdy był jeszcze popędliwszy, jego żona miała zawsze pod ręką ulubione płyty Alfonsa. Kiedy robiło się gorąco i Alfons wychodził już zza lady z młotkiem, żona nastawiała płytę, a Alfons opuszczał groźne narzędzie, słuchał i łagodniał jak baranek. Od wielu lat metoda ta poszła w niepamięć, albowiem żona Alfonsa umarła. Portret jej – podarunek Ferdynanda Graua, za który bezpłatnie jadał w lokalu – wisiał nad barem, a Alfons zdołał się postarzeć i ostygł w swoich porywach gniewu.

Śpiew urwał się. Alfons podszedł do naszego stolika.

– Cudowne! – pochwaliłem.

– Szczególnie pierwszy tenor – uzupełniła Patrycja Hollmann.

– Słusznie – uznał Alfons i po raz pierwszy ożywił się wyraźnie. – Pani zna się na chórze! Pierwszy tenor to naprawdę wysoka klasa.

Pożegnaliśmy się z Alfonsem.

– Pozdrówcie Gotfryda. Niech się kiedy u mnie pokaże.

Staliśmy na ulicy. Latarnie przed domem rzucały niepewne światła i cienie w górę, na poskręcane konary starego drzewa. Gałęzie pociągnięte były już lekkim zielonym połyskiem. Kolebiące się, niepewne światło z dołu sprawiało, że drzewo wydawało się znacznie potężniejsze i wyższe. Wyglądało tak, jakby korona drzewa, gubiąca się het w mroku, była olbrzymią, rozpostartą ręką, sięgającą ze straszliwą tęsknotą ku niebu.

Patrycja Hollmann lekko drżała.

– Zimno pani? – spytałem.

Uniosła ramiona i wsadziła ręce w rękawy futrzanej kurtki.

– To tylko chwila. W lokalu było ciepło.

– Jest pani za lekko ubrana. Wieczory są jeszcze chłodne.

Potrząsnęła głową.

– Nie cierpię nosić ciężkich rzeczy. Chciałabym, żeby nareszcie pocieplało. Nie znoszę zimna. Szczególnie w mieście.

– W wozie będzie nam cieplej. Jako człowiek przewidujący zabrałem pled.

Pomogłem jej wsiąść do samochodu i okryłem jej kolana pledem. Podciągnęła go wyżej.

– Cudownie! Teraz jest doskonale. Zimno nastraja mnie smutnie.

– Żeby to tylko zimno. – Usiadłem za kierownicą. – Chce pani pojechać trochę na spacer?

Kiwnęła głową.

– Chętnie.

– Dokąd?

– Po prostu przed siebie, wolno, ulicami. Wszystko jedno dokąd.

– Dobrze.

Zapuściłem motor. Jechaliśmy wolno i bez celu przez miasto. Była to pora największego ruchu wieczornego. Prześlizgiwaliśmy się niemal bezszelestnie, tak cicho pracował silnik. Wydawało się, że nie jedziemy wozem, lecz okrętem, który sunie łagodnie przez kolorowe arterie życia. Ulice przewiewały koło nas, rozjaśnione portale, światła, sznury latarń, słodkie, miękkie burzenie się życia, łagodna gorączka oświetlonej nocy, a ponad wszystkim, między dachami, stalowosine, bezmierne niebo, na które miasto rzucało swe światła.

Dziewczyna siedziała koło mnie w milczeniu. Jasność i cienie przesuwały się po jej twarzy. Od czasu do czasu spoglądałem na nią. Teraz przypominała mi znowu nasze pierwsze spotkanie. Twarz jej spoważniała, wydawała się bardziej obca niż przed chwilą, ale naprawdę piękna. Piękność jej tknęła mnie wtedy i nie chciała wypuścić ze swej władzy. Zdawało mi się, że jest w niej coś z tajemnicy owej ciszy, którą tają rzeczy wrosłe w przyrodę: drzewa, obłoki, zwierzęta. A niekiedy kobieta.

Dotarliśmy do spokojnych ulic podmiejskich. Wiatr uderzał silniej. Zdawał się pędzić przed sobą noc. Na obszernym placu, wokół którego spały małe domki w ogródkach, zatrzymałem auto.

Patrycja Hollmann drgnęła, jakby przebudziła się ze snu.

– To piękne – powiedziała po chwili. – Gdybym miała wóz, jeździłabym tak co wieczór powoli po mieście. Ma to w sobie coś nierealnego – przesuwać się cicho jak duch przez ulice. Człowiek ma wyostrzone zmysły, a równocześnie marzy. Wyobrażam sobie, że wtedy człowiek może się obejść wieczorem bez ludzi.

Wyciągnąłem z kieszeni paczkę papierosów.

– A wieczorem potrzebni są ludzie, prawda?

Przytaknęła.

– Wieczorem tak. To taka dziwna historia, kiedy robi się zmierzch.

Rozerwałem paczkę papierosów.

– Amerykańskie. Lubi pani?

– Tak. Wolę je od innych.

Podałem jej ogień. Przez chwilę gorący, przytulny płomień zapałki oświetlił jej twarz i moje ręce i oto nagle przeleciała mi przez głowę zwariowana myśl, że należymy do siebie już od dawna.

Opuściłem szybę w wozie, ażeby dym mógł uciekać swobodnie.

– Czy chciałaby pani poprowadzić wóz? Na pewno spodoba się to pani.

Odwróciła się ku mnie.

– Chciałabym bardzo, ale nie umiem.

– Naprawdę?

– Nie. Nigdy nie uczyłam się tej sztuki.

Spostrzegłem, że oto nadarza się doskonała okazja.

– Przecież Binding mógł pani już dawno pokazać, jak się prowadzi.

Zaśmiała się.

– Binding jest zanadto zakochany we własnym wozie. Nie dopuszcza nikogo do kierownicy.

– To śmieszne – oświadczyłem zadowolony, że mogę pognębić grubasa. – Ja pani pozwolę prowadzić bez wahania. Proszę.

Rzuciłem w kąt ojcowskie ostrzeżenie Köstera. Wysiadłem, żeby zrobić dziewczynie miejsce przy kierownicy. Była wyraźnie podniecona.

– Kiedy ja naprawdę nie umiem prowadzić!

– Ależ owszem. Umie pani. Tylko pani jeszcze o tym nie wie.

Pokazałem jej, jak się używa sprzęgła i zmienia biegi.

– Oto i cała mądrość. A teraz naprzód!

– Chwileczkę! – Wskazała autobus, który sunął samotnie pustą ulicą. – Czy nie lepiej przepuścić go najprzód?

– Nie ma mowy!

Włączyłem szybko sprzęgło.

Trzymała kurczowo kierownicę, wpatrzona uważnie przed siebie.

– O Boże, jedziemy o wiele za prędko!

Spojrzałem na szybkościomierz.

– Jedzie pani teraz dokładnie z szybkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. A w rzeczywistości tylko dwudziestu. To jest tempo biegacza na dalekie dystanse.

– A mnie się wydaje, że jedziemy osiemdziesiąt.

Po kilku minutach przezwyciężyła pierwszy lęk. Jechaliśmy szeroką, prostą ulicą. Cadillac zawijał nieco na prawo i na lewo, jak gdyby zamiast benzyny miał w zbiorniku koniak. Chwilami ocierał się podejrzanie blisko o krawężnik. Ale powoli szło coraz lepiej. Stało się to, com sobie obiecywał: zyskałem pewną przewagę nad dziewczyną, jak nauczyciel nad uczennicą. Wyzyskiwałem tę profesorską władzę.

– Uwaga, tam stoi policjant!

– Czy mam zahamować?

– Już za późno.

– A co się stanie, jeżeli mnie zatrzyma? Nie mam przecież prawa jazdy.

– Wtedy wsadzą nas razem do ciupy.

– Mocny Boże! – zawołała z przerażeniem, szukając nogą hamulca.

– Gazu! – zawołałem. – Gazu! Przycisnąć mocno! Musimy przejechać szybko i dumnie. Najlepszym środkiem przeciw prawu jest bezczelność.

Policjant nawet na nas nie spojrzał. Dziewczyna odetchnęła.

– Nie wiedziałam dotychczas, że policjanci regulujący ruch mogą wyglądać jak smoki ziejące ogniem – powiedziała, gdy pozostawiliśmy policjanta o dobrych paręset metrów w tyle.

– Są nimi dopiero, kiedy się na nich najedzie. – Nacisnąłem powoli hamulec. – Doskonale. Mamy teraz cudownie pustą ulicę. Poćwiczymy sobie trochę. Najpierw start i zatrzymywanie wozu.

Patrycja Hollmann zdławiła parę razy silnik. Rozpięła futrzaną kurtkę.

– Uf, człowiek rozgrzewa się przy tej robocie! Niech będzie, co chce, muszę się nauczyć!

Siedziała przy kierownicy, śledząc gorliwie i z uwagą wszystkie moje poruszenia i objaśnienia. Po czym, wydając z przejęcia lekkie okrzyki, wzięła po raz pierwszy kilka łagodnych zakrętów.

Lękała się jak diabła reflektorów nadciągających z przeciwka wozów i była dumna jak paw, kiedy mijała je szczęśliwie. Wkrótce w ciasnej przestrzeni, na wpół oświetlonej blaskiem sączącym się z tablicy rozdzielczej, wytworzyło się poczucie koleżeństwa, które powstaje szybko przy wspólnym zajmowaniu się sprawami technicznymi. Gdy po upływie pół godziny zamieniliśmy się miejscami i ruszyłem do miasta, czuliśmy się sobie bliżsi, niż gdybyśmy opowiedzieli sobie nawzajem dzieje życia.

W pobliżu Nikolaistrasse zatrzymałem znowu wóz. Staliśmy właśnie pod czerwoną reklamą kinową. Asfalt lśnił jak spłowiała purpura. Tuż przy krawężniku jaśniała wielka, czarna plama od oliwy.

– Tak – oświadczyłem. – Zasłużyliśmy sobie rzetelnie na kieliszek trunku. Gdzie pójdziemy?

Patrycja Hollmann zastanawiała się chwilkę.

– Pojedziemy do tego miłego baru z okrętami – zaproponowała.

Ogarnęła mnie trwoga nie na żarty. W barze urzędował teraz na pewno ostatni romantyk. Widziałem już jego minę.

– Ach – wtrąciłem pośpiesznie. – To przecież nic szczególnego. Są ładniejsze lokale.

– Nie wiem. Mnie ten wydał się bardzo sympatyczny.

– Rzeczywiście? – spytałem zdumiony. – Spodobał się pani wtedy?

– Tak – odparła, śmiejąc się. – I to bardzo.

Patrzcie państwo! A ja robiłem sobie takie wyrzuty!

– Przypuszczam – spróbowałem z innej beczki – że o tej porze będzie tam straszny tłok.

– Możemy zajrzeć.

– Oczywiście, możemy.

Zastanawiałem się, co robić.

Gdy zajechaliśmy przed bar, wyskoczyłem szybko.

– Zajrzę tylko, czy jest miejsce, i zaraz wracam.

W lokalu nie było znajomej twarzy poza Valentinem.

– Powiedz no – spytałem go – czy Gotfryd był tutaj?

Valentin przytaknął.

– Byli z Ottonem i wyszli jakieś pół godzinki temu.

– Szkoda! – mruknąłem, oddychając z ulgą. – Chętnie bym ich zobaczył.

Wróciłem do wozu.

– Możemy zaryzykować – oświadczyłem. – Przypadkowo nie jest dzisiaj tak źle jak zwykle.

Przezornie zaparkowałem cadillaca za rogiem sąsiedniej ulicy, i to w najgłębszym cieniu drzew.

Nie siedzieliśmy jednak ani dziesięciu minut w lokalu, gdy słomianoblond głowa Lenza wynurzyła się przy barze. „Do diabła – zakląłem w duchu – wpadłem jak śliwka w kompot". Byłoby mi znacznie bardziej na rękę, gdyby to spotkanie wypadło w parę tygodni później.

Wyglądało na to, że Gotfryd nie zamierza długo popasać. Już łudziłem się, że jestem uratowany z opresji, gdy Valentin wskazał mnie Gotfrydowi. Miałem za swoje kłamstwo! Twarz Gotfryda, gdy ujrzał nas siedzących w kącie, byłaby wspaniałym studium dla aktora filmowego pragnącego pogłębić swe umiejętności. Oczy wyskoczyły mu z orbit i wyglądały jak jajka sadzone na patelni, zdjął mnie też szczery lęk, że szczęka mu opadnie. Szkoda doprawdy, że w tej chwili nie było w barze jakiegoś reżysera. Daję głowę, że z miejsca zaangażowałby Gotfryda do filmu, na przykład do roli rozbitka-marynarza, przed którym z sykiem wynurza się wąż morski.

Gotfryd opanował się szybko. Rzuciłem mu wzrokiem rozpaczliwe zaklęcie, ażeby wynosił się natychmiast. Odpowiedział na nie nikczemnym uśmiechem, obciągnął marynarkę i podszedł do nas.

Czułem, co mnie czeka, i dlatego uprzedziłem atak natarciem.

– Odprowadziłeś już pannę Bomblatt do domu? – spytałem, ażeby go z punktu unieszkodliwić.

– Tak – odparł, nie zdradzając ani jednym mrugnięciem, że jeszcze przed sekundą nie wiedział o istnieniu panny Bomblatt. – Kazała cię pozdrowić i prosiła, żebyś zadzwonił do niej jutro z samego rana.

Doskonale się odgryzł. Kiwnąłem głową.

– Dobrze. Mam nadzieję, że kupi wóz.

Lenz rozdziawił na nowo gębę. Kopnąłem go w łydkę i spiorunowałem takim wzrokiem, że zaniemówił i zaczął się głupawo uśmiechać.

Wypiliśmy parę kieliszków. Ja pozwoliłem sobie na lekki „sidecar" z dużą ilością soku cytrynowego. Nie chciałem znowu przeholować.

Gotfryd był w świetnym humorze.

– Byłem właśnie u ciebie – rzekł. – Chciałem cię zabrać. Potem zajrzałem do wesołego miasteczka. Ustawili cudowną nową karuzelę. Może pójdziemy?

Spojrzał na Patrycję Hollmann.

– Ależ tak, natychmiast! – odparła. – Przepadam za karuzelą!

– W takim razie chodźmy – orzekłem.

Byłem rad, że się wynosimy z baru. Na powietrzu czułem się raźniej.

Kataryniarze – pierwsza forpoczta wesołego miasteczka. Melancholijnie słodkie zawodzenie. Na wyszytych pluszowych nakryciach katarynek niekiedy papuga, czasami zziębnięta chuda małpka, ubrana w czerwony kubraczek. Potem ostre nawoływania sprzedawców kleju do porcelany, diamentów do krajania szyb, rachatłukum, kolorowych baloników i materiałów na ubrania. Zimne błękitne światło i swąd lamp karbidowych. Wróżbiarze, astrologowie, namioty ze stertami pierników, łódki wylatujące wysoko w niebo, budy z atrakcjami – i wreszcie huczące muzyką, barwne, pyszne, oświetlone jak bajeczne pałace, wirujące wieżyczki karuzel.

– Naprzód, dzieci!

Lenz rzucił się z rozwianym włosem na kolejkę górską. Miała największą orkiestrę. Przy każdej budzie z pozłacanych nisz występowało sześciu trębaczy, zwracali się kolejno na wszystkie strony świata, dęli w trąby, machali instrumentami i znikali. Było to po prostu wspaniałe.

Usadowiliśmy się w rozłożystym łabędziu i pognaliśmy na złamanie karku z góry na dół i z dołu na górę. Świat osuwał się

błyszczący spod nóg, kolebał jak pijany, wpadał w czerń tunelu, którym pędziliśmy przy wtórze werbli, ażeby wychynąć znowu na światło, witani surmą trąb.

– Dalej!

Gotfryd posterował ku latającej karuzeli z okrętami powietrznymi i samolotami. Pochwyciliśmy jakiegoś zeppelina i odrobiliśmy na nim trzy rundy.

I znowu znaleźliśmy się bez tchu na ziemi.

– A teraz na diabelskie koło! – zawołał Lenz.

Diabelskie koło było wielkim, gładkim jak lustro, ku środkowi nieco wypiętrzonym kręgiem, kręcącym się z coraz większą szybkością. Trzeba się było utrzymać na wirującej płaszczyźnie. Gotfryd wszedł na nią wraz z dwudziestoma śmiałkami. Dreptał w miejscu jak szalony i otrzymał specjalne brawa. Został wreszcie we dwójkę z pewną kucharką z zadem na dwie morgi. Gdy koło poczęło wirować jeszcze szybciej i utrzymanie się na nim było zbyt trudne, sprytna niewiasta złożyła swój ciężar w środku kręgu, a Gotfryd zamiatał przed nią nogami, aż się kurzyło. Wszyscy inni zsunęli się już z koła. Wreszcie los dosięgnął i ostatniego romantyka: runął jak kłoda w ramiona kucharki i stoczył się w jej objęciach z koła. Wrócił do nas trzymając kuchtę pod rękę. Mówił do niej bez żenady – Lina. Lina chichotała nieco zawstydzona. Spytał, czym może jej służyć. Lina oświadczyła, że na pragnienie najlepsze jest piwko. Po czym przepadli oboje w namiocie, w którym popisywali się bawarscy tancerze.

– A co z nami? Dokąd pójdziemy? – spytała Patrycja Hollmann z błyszczącymi źrenicami.

– Do labiryntu duchów – odparłem i wskazałem na wielką budę.

Labirynt obfitował w niespodzianki. Po kilku krokach podłoga zaczynała kołysać się pod nogami, w ciemności dotykały cię czyjeś ręce, zza węgła wyskakiwały straszliwe maski, widma zawodziły. Śmialiśmy się jak szaleni, ale w pewnej chwili – przed zielono oświeconą trupią czaszką – dziewczyna cofnęła się ze strachem. Przez chwilę trzymałem ją w objęciach, oddech jej muskał moją

twarz, czułem jej włosy na wargach. Zaraz potem parsknęła śmiechem i wypuściłem ją z ramion.

Wypuściłem ją z ramion. Ale jakieś coś we mnie nie chciało jej puścić. Dawno już byliśmy z powrotem na dworze, a ja ciągle jeszcze czułem jej piersi na swoich, czułem jedwabistość jej włosów, delikatny morelowy zapach jej skóry. Unikałem jej spojrzenia. Stała się dla mnie nagle kimś innym.

Lenz czekał już na nas. Był sam.

– A gdzie Lina? – spytałem.

– Popija – odparł, wskazując ruchem głowy namiot. – Znalazła sobie jakiegoś kowala.

– Wyrazy współczucia – mruknąłem.

– Głupstwo! A teraz zabierzemy się do roboty godnej męskiej dłoni.

Poszliśmy do budy, w której rzucało się pierścieniami z twardej gumy na haki i można było wygrać różne różności.

– Dobra nasza! – Lenz zsunął kapelusz na tył głowy i rzekł do Patrycji Hollmann: – Teraz wygramy dla pani całą wyprawę.

Cisnął kółkiem pierwszy i wygrał budzik. Za nim ruszyłem ja i zdobyłem pluszowego niedźwiadka. Właściciel budy wręczył nam obie nagrody, robiąc przy tym dużo szumu, aby zwabić więcej gości.

– Poczekaj, odechce ci się reklamy, kochasiu! – mruknął Gotfryd i wygrał patelnię. Ja znów drugiego niedźwiadka.

– No, no, ależ szczęście… – zauważył właściciel budy, wręczając nam nagrody.

Poczciwina nie wiedział, z kim ma do czynienia. Lenz był mistrzem kompanii w rzucaniu granatem, a w zimie, gdy nie było nic lepszego do roboty, ćwiczyliśmy się całymi miesiącami w ciskaniu kapeluszy na wszelkie możliwe kołki. W porównaniu z tym gumowe kółka były dziecinną zabawką. Jako następną nagrodę wygrał Gotfryd bez wysiłku kryształowy wazon. Ja pół tuzina płyt gramofonowych. Właściciel budy podsunął nam w milczeniu wygrane i sprawdził swoje haki. Lenz wycelował, rzucił i wygrał serwis do kawy – drugą nagrodę. Za naszymi plecami zebrała się już gromadka widzów. Cisnąłem szybko jedno za drugim trzy

kółka na jeden kołek. Wynik: święta Magdalena pokutnica w złoconych ramach.

Właścicielowi budy wydłużyła się mina, jak gdyby wyszedł od dentysty. Nie chciał pozwolić, ażebyśmy w dalszym ciągu rzucali. Chcieliśmy zaprzestać zabawy, ale widzowie zaczęli się awanturować. Domagali się głośno od właściciela, żeby pozwolił nam na dalsze rzuty. Chcieli oglądać jego bankructwo. Najgłośniej pyskowała Lina, która nagle zjawiła się ze swoim kowalem u boku.

– Tak, tak, ludzie mogą chybiać do sądnego dnia – skrzeczała – ale trafiać to nie, panie ładny?

Kowal potakiwał jej groźnym pomrukiem.

– Dobra – rzekł Lenz. – Każdy jeszcze po rzucie.

Cisnąłem pierwszy i wygrałem balię, dzbanek i mydelniczkę. Potem przyszła kolej na Lenza. Wziął do ręki pięć krążków. Rzucił szybko cztery kolejne na ten sam haczyk. Przed piątym zrobił efektowną pauzę artystyczną i wydobył papierosa. Trzech mężczyzn pospieszyło z ogniem. Kowal poklepał Lenza po ramieniu. Lina gryzła z podniecenia chustkę do nosa. Gotfryd wycelował i rzucił ostatnie kółko całkiem lekko, żeby nie zeskoczyło, na cztery poprzednie. Zawisło. Ogłuszający ryk tłumu. Zagarnął pierwszą nagrodę: wózek dziecinny z różową kołderką i koronkami przybraną poduszką.

Właściciel budy wypchnął wózek, mieląc w ustach przekleństwa. Zapakowaliśmy wszystko do środka i pociągnęliśmy do najbliższej budy. Lina popychała wózek. Kowal robił z tej racji takie dowcipy, że wolałem zostać z Patrycją Hollmann parę kroków w tyle. W sąsiedniej budzie trzeba było rzucać krążki na szyjki butelek. Jeżeli kółko trafiło na flaszkę wina, mogłeś ją sobie zabrać. Wynieśliśmy stamtąd łup w postaci sześciu butelek. Lenz obejrzał etykiety i podarował flaszki kowalowi.

Obok była jeszcze jedna buda w tym rodzaju. Ale jej właściciel zwąchał pismo nosem i gdy zjawiliśmy się, oznajmił, że przedsiębiorstwo jest nieczynne. Kowal rwał się do bitki, albowiem widział na własne oczy, że w budzie wygrywało się butelki piwa. Wycofaliśmy się jednak bez słowa. Facet, do którego należała buda, był inwalidą o jednej ręce.

Do cadillaca odprowadziła nas gromada widzów.

– Co teraz zrobimy z tym wszystkim? – spytał Lenz, drapiąc się w głowę. – Najlepiej będzie uwiązać wózek do samochodu.

– Doskonale – przytaknąłem. – Musisz jednak wleźć do wózka i kierować nim, żeby się nie przewrócił.

Patrycja Hollmann zaprotestowała. Bała się, że Lenz gotów jest to zrobić.

– W takim razie – zawołał Gotfryd – musimy podzielić wygrane. Oba niedźwiadki musi pani zatrzymać. Także płyty gramofonowe. Co zrobimy z patelnią?

Dziewczyna pokręciła głową.

– A więc patelnia przechodzi na własność warsztatu – oznajmił Gotfryd. – Weź ją pod swoją opiekę, Robby, stary mistrzu w smażeniu jajek sadzonych. Serwis do kawy?

Patrycja wskazała na Linę. Kucharka spłonęła rumieńcem. Gotfryd wręczył jej filiżanki tak uroczyście, jakby to było rozdanie nagród w konkursie. Po czym sięgnął po kamienną miskę.

– Przybory do prania? Dla pana sąsiada, co? Przyda się w zawodzie. Budzik także. Kowale słyną z twardego snu.

Wręczyłem Gotfrydowi wazon. Ofiarował go szarmancko Linie. Usiłowała, jąkając się, odmówić. Oczy jej pożerały Magdalenę pokutnicę. Obawiała się, że jeżeli weźmie wazon, to kowal zagarnie obraz.

– Bo ja strasznie jezdem za sztuką… – wymamrotała wreszcie. Stała przed nami wzruszająca w swojej żądzy posiadania i gryzła z podniecenia czerwone paluchy.

– Proszę pani – rzekł Gotfryd, czyniąc wspaniałomyślny gest i zwracając się do Patrycji. – Co pani sądzi na ten temat?

Patrycja Hollmann wzięła obraz i podała go kocmołuchowi.

– To bardzo piękny obraz, Lino – rzekła z uśmiechem.

– Powieś nad łóżkiem i bierz sobie z niego przykład – dopełnił Lenz.

Lina pochwyciła mocno zdobycz. W oczach jej pojawiły się łzy. Z wdzięczności napadła ją potężna czkawka.

– A teraz ty, skarbie – rzekł w zamyśleniu Lenz pod adresem wózka dziecinnego. W oczach Liny, pomimo całego upojenia Mag-

daleną, pojawił się znowu błysk chciwości. Kowal zauważył, że nigdy nie wiadomo, kiedy się podobny mebel może przydać, i tak rechotał z własnego dowcipu, że upuścił na ziemię jedną z flaszek. Ale Lenz nie miał zamiaru podarować wózka Linie.

– Chwileczkę, moi państwo, coś przed chwilą widziałem – rzucił i przepadł.

W kilka minut potem wrócił po wózek i popchnął go ku wyjściu.

– Załatwione! – zawołał, zjawiając się z powrotem.

Wsiedliśmy do cadillaca.

– Jak Bozię kocham, prawdziwa Gwiazdka! – rzekła Lina, patrząc rozanielona na swój łup i podała nam na pożegnanie czerwone łapsko.

Kowal odprowadził nas na chwilę na bok.

– Słuchajcie – rzekł – jeżeli będzie trzeba skuć komuś mordę jak się patrzy, to mieszkam przy Leibnizstrasse 16, w podwórzu, drugie piętro na lewo. Ewentualnie, jeżeli będzie więcej typów do obrychtowania, to przyjdę z całą ferajną.

– Zrobione! – odparliśmy chórem i pojechaliśmy.

Gdy skręcaliśmy z wesołego miasteczka, Gotfryd pokazał ręką na okno. Przy wejściu stał nasz wózek, w środku siedziało prawdziwe dziecko, a koło wózka stała blada, ciągle jeszcze oszołomiona kobieta, oglądająca cudowny dar.

– Dobrze, co? – spytał Gotfryd.

– Niech pan jej da jeszcze i niedźwiadki! – zawołała Patrycja Hollmann. – Należą do kompletu.

– Może jeden wystarczy? – spytał Lenz. – Jednego powinna pani zachować.

– Nie, oba!

– Według rozkazu! – Lenz wyskoczył z auta, rzucił w ramiona kobieciny oba pluszowe niedźwiadki i uciekł, zanim zdołała coś wykrztusić, jakby go ktoś gonił.

– No, nareszcie! – zawołał, oddychając z ulgą. – Doprawdy, mdli mnie od własnej szlachetności. Wysadźcie mnie przy „Internationalu", muszę łyknąć kieliszek koniaku.

Wysiadł z wozu, a ja odwiozłem dziewczynę do domu. Było inaczej niż ostatnim razem. Stała w drzwiach, a blask latarni drgał na jej twarzy. Wyglądała cudownie. Jakże chętnie poszedłbym z nią na górę.

– Dobranoc – powiedziałem. – Niech pani śpi dobrze.

– Dobranoc.

Patrzyłem na nią, aż zgasło światło na schodach. Potem odjechałem cadillakiem. Czułem się jakoś dziwnie. Nie było tak jak zwykle, kiedy człowiek pali się wieczorem do dziewczyny. Była w tym jakaś osobliwa tkliwość. Tkliwość i pragnienie, ażeby raz puścić sobie wodze. Upaść gdzieś i…

Wróciłem do Lenza do „Internationalu”. Lokal był niemal pusty. W jednym kącie siedziała Fritzi ze swoim przyjacielem, kelnerem Alojzym. Sprzeczali się. Gotfryd rozgościł się na kanapie koło baru z Mimi i Wally. Potrafił być dla nich obu czarująco szarmancki, także dla Mimi, biednego starego stworzenia.

Dziewczynki poszły niebawem na ulicę. Musiały dbać o interesy, była to najlepsza pora. Mimi stękała i narzekała na żylaki. Usiadłem przy Gotfrydzie.

– No, wal teraz – zachęciłem go.

– Po co, dziecinko? – odpowiedział ku memu zdziwieniu. – Masz zupełną rację w tym, co robisz.

Ulżyło mi, że Gotfryd tak prosto zapatruje się na wszystko.

– Ale mogłem już przedtem pisnąć słówko – zaoponowałem.

Machnął ręką.

– Bzdury!

Zamówiłem dla siebie kieliszek rumu.

– Wiesz – powiedziałem – nie mam zielonego pojęcia, kim ona jest i jaka jest naprawdę. Nie wiem także, co ją właściwie łączy z Bindingiem. Czy on ci wtedy coś na ten temat powiedział?

Lenz zajrzał mi w oczy.

– Czy cię to niepokoi?

– Nie.

– Tak i ja myślałem. A w płaszczu jest ci diabelnie do twarzy.

Spiekłem raka jak sztubak.

– Nie masz się czego rumienić! Masz świętą rację. Chciałbym umieć być takim.

Milczałem przez chwilę.

– Jak to rozumiesz, Gotfrydzie? – spytałem wreszcie.

Popatrzył na mnie.

– Bo wszystko inne to gówno, Robby. Bo nie ma dzisiaj nic, co by się opłacało. Pomyśl o tym, co ci wczoraj mówił Ferdynand. Wcale niegłupi jest nasz stary malarz nieboszczyków. No, a teraz usiądź przy tym pudle i zagraj parę naszych piosenek żołnierskich.

Zagrałem *Trzy lilie* i *Las Argoński*. Piosenki brzmiały jakoś upiornie w pustym lokalu, gdy człowiek przypomniał sobie, kiedy śpiewaliśmy je chórem.

VII

W dwa dni później Köster wpadł do warsztatu.

– Robby, dzwonił twój Blumenthal. Masz stawić się u niego z wozem o jedenastej. Chce zrobić próbną jazdę.

Cisnąłem w kąt śrubokręt i klucz francuski.

– Człowieku! Jeżeliby z tego naprawdę coś wynikło…

– A co wam mówiłem? – wtrącił swoje trzy grosze Lenz rozciągnięty pod fordem. – Powiedziałem wam, że ptaszek wróci. Zawsze słuchajcie Gotfryda!

– Zamknij twarz, sytuacja jest poważna! – wrzasnąłem na Lenza. – Słuchaj, Otto, ile mogę ostatecznie ustąpić z ceny?

– Najwyżej dwa tysiące. W ostatecznej ostateczności dwa dwieście. Jeżeli i wtedy nie chwyci, dwa i pół. Jeśli przekonasz się, że masz przed sobą szaleńca, dwa sześćset. Ale wtedy musisz mu powiedzieć, że będziemy go przeklinali aż do sądnego dnia.

– Dobra!

Wyczyściliśmy wóz do połysku. Usiadłem za kierownicą. Köster położył mi rękę na ramieniu.

– Pamiętaj, Robby, że jako żołnierz przeszedłeś gorsze opresje. Broń honoru naszego warsztatu aż do ostatniej kropli krwi. Umrzyj z podniesionym czołem, z ręką na portfelu Blumenthala.

– Zrobione! – Uśmiechnąłem się.

Lenz wygrzebał z kieszeni jakiś medalik i podsunął mi go pod oczy.

– Dotknij mojego amuletu, Robby!

– Niech będzie. – Dotknąłem blaszki.

– Abrakadabra, wielki Sziwo – modlił się Gotfryd – pobłogosław tego wiernego mułłę, ześlij mu odwagę i siłę! Stój, lepiej zabierz amulet ze sobą! Tak, a teraz spluń trzy razy!

– W porządku – odrzekłem, splunąłem pod nogi Gotfrydowi i odjechałem, mijając Juppa, który przejęty ważnością chwili zasalutował mi wężem od pompy benzynowej.

Po drodze kupiłem parę goździków i ułożyłem je kunsztownie w kryształowych flakonikach wozu. Spekulowałem na obecność pani Blumenthal.

Niestety, Blumenthal przyjął mnie w biurze, a nie w mieszkaniu. Musiałem czekać na niego kwadrans.

„Kochasiu – myślałem sobie – znam się na tym chwycie, ale mnie na niego nie weźmiesz". Zacząłem wypytywać w sekretariacie przystojną stenotypistkę, którą przekupiłem goździkiem z mojej butonierki, o przedsiębiorstwo Blumenthala. Fabryka trykotaży, duże obroty, dziewięć osób personelu biurowego, jeden cichy wspólnik, najgroźniejsza konkurencja: Meyer i Syn, Meyersyn rozbija się czerwonym dwuosobowym essexem. Tyle właśnie zdołałem wyciągnąć od dziewoi, kiedy Blumenthal kazał mnie prosić.

Wystrzelił do mnie od razu najgrubszym pociskiem.

– Młody człowieku, mam niewiele czasu. Podana ostatnio przez pana cena wyrażała pańskie niedościgłe marzenia. A więc z ręką na sercu: ile kosztuje wóz?

– Siedem tysięcy – odparłem.

Odwrócił się energicznym ruchem.

– W takim razie nie mamy po co rozmawiać.

– Niech pan obejrzy jeszcze raz dokładnie wóz…

– Nie potrzeba! – przerwał mi. – Obejrzałem go wtedy gruntownie.

– Oglądanie oglądaniu nierówne – wywodziłem. – Powinien pan zaznajomić się ze szczegółami. Pierwszorzędny lakier z firmy Voll i Ruhrbeck, koszt własny dwieście pięćdziesiąt marek i nowe

opony – cena katalogowa sześćset marek. To wynosi już razem osiemset pięćdziesiąt. Robota tapicerska, najlepszy kort…

Blumenthal machnął ręką. Zacząłem namawiać go do obejrzenia luksusowego kompletu narzędzi, wspaniałego skórzanego pokrycia budy, chromowanej chłodnicy, nowoczesnych zderzaków para sześćdziesiąt marek. Jak przerażone dziecię matki, tak ja czepiałem się cadillaca i próbowałem przekonać Blumenthala, by zszedł ze mną na dół. Wiedziałem, że wtedy jak Anteusz zaczerpnę nowych sił z ziemi. Ceny tracą wiele z abstrakcyjnej grozy, jeśli pokaże się, co za nie można mieć.

Ale Blumenthal wiedział równie dobrze, że jego siła tkwi za jego biurkiem. Zdjął okulary i teraz dopiero zabrał się do mnie. Walczyliśmy jak tygrys z pytonem. Blumenthal był pytonem. Zanim się obejrzałem, wytargał ode mnie piętnaście stówek.

Zrobiło mi się słabo i niewyraźnie. Sięgnąłem ręką do kieszeni i ścisnąłem w dłoni amulet Gotfryda.

– Proszę pana – rzekłem nieco wyczerpany – jest godzina pierwsza, pan na pewno śpieszy się na obiad.

Chciałem za wszelką cenę wyrwać się z tego pokoju, w którym cena topniała jak śnieg.

– Jadam dopiero o drugiej – oświadczył z niewzruszonym spokojem Blumenthal. – Ale wie pan co? Możemy teraz zrobić jazdę próbną.

Odetchnąłem.

– A potem, oczywiście, porozmawiamy dalej.

Zaparło mi na nowo dech w piersiach.

Pojechaliśmy do jego mieszkania. Ku mojemu zdumieniu odmienił się w wozie nie do poznania. Dobrodusznie opowiedział mi kawał o cesarzu Franciszku Józefie, który od dawna znałem. Poczęstowałem go w zamian historią o konduktorze tramwajowym. Zrewanżował mi się anegdotą o zwariowanym Sasie, która miała brodę do ziemi. Nie pozostawałem mu dłużny i zaprodukowałem kawał o szkockiej parze zakochanych. Dopiero tuż przed domem obaj spoważnieliśmy. Poprosił, żebym zaczekał na niego. Sprowadzi żonę.

– Kochany grubasie – mruknąłem, klepiąc cadillaca po chłodnicy – za tymi wszystkimi kawałami czai się na pewno jakiś nowy diabelski podstęp. Ale nie bój się, już ja cię ulokuję. Gość kupi. Jeżeli Żyd wraca, to kupi. Jeśli chrześcijanin wraca do sprzedawcy, to wcale nie znaczy, że coś będzie z kupna. Robi pół tuzina jazd próbnych, żeby oszczędzić na taksówce, a potem przypomina sobie nagle, że potrzebuje właściwie nie samochodu, lecz mebli do kuchni. Nie, nie, mówię ci. Żydzi są pod tym względem lepsi, wiedzą, czego chcą. Ale przysięgam ci, mój zacny grubasie: jeżeli temu potomkowi w prostej linii sławnego Judasza Machabeusza popuszczę jeszcze choćby sto marek, to przez całe życie nie wezmę do ust kieliszka wódki.

Zjawiła się pani Blumenthalowa. Przywołałem na pamięć wszelkie dobre rady Lenza i z zapaśnika zmieniłem się w szarmanta. Blumenthal pokwitował oczywiście te moje zabiegi pogardliwym uśmiechem. Ten człowiek był doprawdy z żelaza. Powinien był sprzedawać lokomotywy, a nie trykotaże.

Postarałem się o to, żeby jego żona usiadła koło mnie, a on na tylnym siedzeniu.

– Gdzie szanowna pani życzy sobie jechać? – spytałem, rozpływając się w słodyczy.

– Gdzie pan chce – odparła z macierzyńskim uśmiechem.

Zacząłem z nią gawędzić. Było to doprawdy dobrodziejstwo, mieć koło siebie kogoś nieszkodliwego. Mówiłem tak cicho, że Blumenthal nie mógł wiele dosłyszeć. W ten sposób czułem się swobodniejszy. Wystarczyło, że tkwił za moimi plecami.

Zatrzymałem samochód. Wysiadłem i spojrzałem wrogowi prosto w oczy.

– Musi pan przyznać, panie Blumenthal, że wóz jedzie jak po maśle.

– Cóż mi po maśle, młodzieńcze – odpowiedział dziwnie przyjaznym tonem – jeżeli podatki wszystko zżerają. Za taki wóz trzeba płacić wysoki podatek. To oczywiście między nami.

– Panie Blumenthal – ciągnąłem, starając się utrzymać rozmowę w tym samym tonie – jest pan przecież kupcem, mogę więc mówić z panem szczerze. To nie są podatki, to są koszty reprezen-

tacji. Niech pan sam przyzna: czego potrzebuje dzisiaj przedsiębiorstwo? Pan wie przecież, już nie kapitału, jak to było dawniej, ale kredytu! A jak uzyskać kredyt? Zawsze przez odpowiednią reprezentację. Cadillac to wóz solidny i szybki – wygodny, a nie staroświecki – mieszczański w najlepszym znaczeniu tego słowa, żywa reklama dla przedsiębiorstwa.

Blumenthal zwrócił się ubawiony do żony:

– Ma iście żydowskie kiepełe, co? Młody człowieku – dodał tym samym tonem – najlepszą reklamą dla solidności firmy jest dzisiaj wyświecone ubranie i jazda autobusem. Gdybyśmy mieli do spółki te pieniądze, których nie zapłacono jeszcze za eleganckie wozy szwendające się po ulicach, moglibyśmy siedzieć w domu z założonymi rękami. To oczywiście między nami. W zaufaniu.

Zerknąłem na niego podejrzliwie. Co kryło się za jego przyjaznym tonem? A może obecność żony hamowała jego ducha walki? Postanowiłem wystrzelić ostatni ładunek.

– Taki cadillac to zupełnie co innego niż jakiś tam essex, prawda, szanowna pani? Młody Meyer z firmy Meyer i Syn rozjeżdża się takim samochodem, ale nie wziąłbym nawet za darmo tego jaskrawego, wpadającego w oko wózka…

Usłyszałem, że Blumenthal chrząka, i plotłem dalej jak najęty:

– Ten wóz natomiast harmonizuje doskonale z pani kolorytem: łagodny kobalt do blond włosów…

I nagle ujrzałem, że Blumenthal uśmiecha się jak cała czereda małp.

– Meyer i Syn, sprytnie, bardzo sprytnie… A teraz jeszcze szmonces… szmonces… – sapał.

Spojrzałem na niego. Nie wierzyłem własnym oczom. Zadowolenie Blumenthala było szczere! Uderzyłem raz jeszcze w tę samą strunę.

– Panie Blumenthal, niech pan pozwoli, że sprostuję. W stosunku do kobiety szmoncesy nie są nigdy szmoncesami. Są to komplementy, które niestety w naszych smutnych czasach stają się coraz rzadsze. Kobieta nie jest meblem stalowym. Jest kwiatem, lęka się wszelkich rzeczowości. Pragnie słońca pochlebstw. Lepiej powiedzieć jej co dzień parę miłych słówek, aniżeli przez

całe życie pracować dla niej z ponurą powagą. To oczywiście między nami. I także w zaufaniu. A poza tym nie pozwoliłem sobie na szmonces, jak pan powiada, ale na stworzenie zasadniczego prawa fizyki. Kolor niebieski doskonale harmonizuje z blond włosami.

– Świetnie to pan wykalkulował – rzekł, promieniejąc, Blumenthal. – Niech pan posłucha. Wiem, że mógłbym wytargować od pana jeszcze z łatwością tysiąc marek…

Cofnąłem się krok. „Podstępny szatanie – pomyślałem – a więc to jest ów oczekiwany cios!" Oczyma ducha widziałem już, jak wlokę się przez życie pozbawiony na zawsze pociechy alkoholu. Rzuciłem pani Blumenthal spojrzenie zranionej sarny.

– Ależ, tatusiu! – wtrąciła.

– Zaraz, mamusiu, zaraz. A więc, jak już powiedziałem, mógłbym, ale nie zrobię tego. Doprawdy, jako człowiekowi interesu podobała mi się pańska robota. Jeszcze trochę zanadto popuszcza pan cugle fantazji, ale bądź co bądź… ta historia z Meyerem i Synem była wybornym chwytem. Czy mamusia pana nie była przypadkiem z naszych?

– Nie.

– Pracował pan w konfekcji?

– Tak.

– Widzi pan, stąd wziął się pański styl. W jakiej branży?

– W branży dusz. Chciałem zostać nauczycielem…

– Moje uznanie. Jeżeli będzie pan kiedy bezrobotny, niech pan do mnie zadzwoni.

Wypisał czek i podał mi go. Nie wierzyłem własnym oczom! Płacił z góry! Istny cud!

– Panie Blumenthal – palnąłem zupełnie podbity – pozwoli pan, że dodam gratis do wozu dwie kryształowe popielniczki i pierwszorzędną matę gumową pod nogi.

– Doskonale, stary Blumenthal dostanie przynajmniej raz coś w prezencie.

Po czym zaprosił mnie na następny dzień wieczorem. Pani Blumenthal uśmiechnęła się do mnie macierzyńsko.

– Będzie faszerowany szczupak – powiedziała miękko.

– Rarytas – oświadczyłem. – Od razu dostarczę państwu jutro wóz. Rano zarejestrujemy go.

Poleciałem jak na skrzydłach do warsztatu. Ale Lenz i Köster akurat wynieśli się na obiad. Musiałem pohamować jeszcze na jakiś czas wybuch mojego tryumfu. Tylko Jupp trwał na straży.

– Sprzedany? – spytał.

– Oczywiście chciałbyś się tego dowiedzieć, nicponiu! Masz tu dwa marony i zbuduj sobie za to samolot.

– A więc sprzedany! – rozpromienił się Jupp.

– Jadę teraz coś przetrącić. Ale biada ci, jeżeli piśniesz tamtym słówko, zanim wrócę.

– Proszę pana – zapewnił uroczyście i cisnął talara w górę – pan wie, że umiem milczeć jak grób.

– Właśnie na to wyglądasz, kochasiu! – mruknąłem i dałem gazu.

Gdy zjawiłem się z powrotem na dziedzińcu, Jupp dał mi znak ręką.

– Co się stało? – spytałem. – Nie potrafiłeś utrzymać języka za zębami.

– Panie Lohkamp, jak pan może! Nie puściłem pary z ust. Tylko… przylazł ten gość od forda.

Zostawiłem cadillaca na podwórzu i wszedłem do warsztatu. Piekarz był tam istotnie i właśnie pochylał się nad wzorami farb. Miał na sobie płaszcz w kratę, ściągnięty paskiem, a na rękawie szeroką opaskę z krepy. Koło niego wierciła się przystojna osóbka o żywych, czarnych oczach; miała na sobie rozpięty płaszczyk z kołnierzem z wytartych królików i za ciasne nowe lakierki. Czarnula głosowała za lśniącym cynobrem, ale piekarz wyrażał zastrzeżenie co do czerwonego, albowiem był w żałobie. Zaproponował niewyraźny żółtoszary kolor.

– Też coś! – pyskowała czarnula. – Ford musi być pomalowany tak, żeby wpadał w oko. Inaczej wygląda niepozornie.

Damulka posyłała nam porozumiewawcze spojrzenia, wzruszała ramionami, a gdy piekarz pochylił się nad próbkami, ściągnęła buzię w ciup i strzelała do nas oczkiem, aż miło. Odważna sztuka! Wreszcie zgodził się na kolor rezedowy. Dziewczyna

chciała mieć do tego jasną budę. Tu jednak piekarz okazał się twardy jak skała: gdzieś trzeba było zaznaczyć żałobę! Przeforsował więc czarne skórzane pokrycie. Zrobił przy tym mimochodem interes. Budę dostawał za darmo, a skóra była przecież droższa niż materiał.

Para opuściła garaż. Ale na podwórzu wypadł jeszcze jeden postój. Ledwo brunetka ujrzała cadillaca, a już rzuciła się na niego.

– Patrz, kotku, to jest dopiero wóz. Cudowny! Ten mi się podoba!

W następnej chwili otworzyła drzwiczki auta i wpakowała się do wnętrza. Aż zezowała z zachwytu.

– To są siedzenia! Wspaniałe! Jak fotele klubowe! To jednak zupełnie co innego niż fordziak!

– No, chodź już, chodź! – mruknął skonsternowany kotek.

Lenz dał mi kułaka w bok. Oznaczało to, żebym wszedł do akcji i spróbował wkręcić wóz piekarzowi. Zmierzyłem Gotfryda spojrzeniem od stóp do głów i nie odezwałem się ani słowem. Szturchnął mnie jeszcze silniej. Odwzajemniłem mu się kuksańcem i odwróciłem plecami.

Z trudem wyłowił piekarz swoją czarną perłę z wnętrza wozu i opuścił podwórko nieco zgarbiony i mocno zły.

Patrzyliśmy za znikającą parą.

– Oto mężczyzna o szybkiej decyzji – rzekłem. – Zreperowany wóz, nowa kobieta, to rozumiem!

– No – mruknął Köster – ta mu jeszcze da bobu!

Ledwie zniknęli za węgłem, Gotfryd wybuchnął:

– Czyś rozum postradał, Robby? Jak można wypuścić taką okazję! Przecież to był klasyczny przykład sytuacji, w której należy szybko działać!

– Podoficerze Lenz – odparłem. – Stańcie na baczność, kiedy mówicie z przełożonymi! Czy myślicie, że jestem bigamistą i ożenię wóz po raz drugi?

Była to nie lada zabawa widzieć osłupiały wyraz twarzy Gotfryda. Oczy zrobiły mu się wielkie jak talerze.

– Nie żartuj sobie ze świętości – wyjąkał.

Nie spojrzałem nawet na niego i zwróciłem się do Köstera.

– Otto, pożegnaj się z naszym dziecięciem! Cadillac nie należy już do nas. Odtąd będzie dodawał blasku branży kalesonowej. Mam nadzieję, że będzie prowadził wygodne życie. Nie tak bohaterskie jak u nas, ale za to pewniejsze.

Wydobyłem z kieszeni czek. Lenz był bliski omdlenia.

– Chyba nie… co? Czyżby… zapłacony? – wyszeptał ochrypłym głosem.

– A coście wy myśleli, nowicjusze? – odparłem, machając czekiem. – Zgadnijcie, na ile?

– Cztery! – krzyknął Lenz, zamykając oczy.

– Cztery i pół – licytował Köster.

– Pięć! – ryknął Jupp od pompy.

– Pięć i pół! – rąbnąłem.

Lenz wyrwał mi czek z ręki.

– Niemożliwe! – Na pewno nie będzie pokrycia!

– Panie Lenz – rzekłem z godnością – czek jest tak pewny, jak pan jest niepewny. Mój przyjaciel Blumenthal może wystawić murowany czek na dwadzieścia razy większą sumę. Mój przyjaciel, rozumiecie, u którego jutro wieczorem będę zawijał faszerowaną rybkę. Bierzcie sobie ze mnie przykład, panowie! Zawrzeć przyjaźń, otrzymać zapłatę z góry i na dokładkę zostać zaproszonym na kolację – to znaczy umieć sprzedawać! No, a teraz możecie spocząć!

Gotfryd z trudem odzyskiwał przytomność. Wreszcie zdobył się na ostatni strzał.

– A wszystko zawdzięczamy mojemu ogłoszeniu i amuletowi!

Wcisnąłem mu w rękę blaszkę.

– Masz tu swoją psią markę. Zapomniałem zupełnie o jej istnieniu.

– Sprzedałeś naprawdę znakomicie – pochwalił Köster. – Chwała Bogu, że pozbyliśmy się tej karocy. Cholernie potrzebujemy forsy.

– Dasz mi pięćdziesiąt marek zaliczki? – spytałem.

– Sto. Zasłużyłeś na nie.

– Czy nie masz ochoty wziąć także jako zaliczki mojego szarego płaszcza? – spytał Gotfryd, mrużąc łajdacko oczy.

– A ty chciałbyś zajechać gratis do szpitala, smutny, niedyskretny bękarcie? – odpaliłem.

– No, dzieci, koniec na dzisiaj, zamykamy budę! – zaproponował Köster. – Zarobiliśmy dosyć jak na jeden dzień. Nie trzeba kusić Pana Boga. Wyjedziemy sobie Karlem i potrenujemy do wyścigu.

Jupp już dawno zszedł z posterunku przy pompie benzynowej. Podniecony wycierał łapy ręcznikiem.

– Panie Köster, to ja znaczy się… obejmuję tutaj komendę, co?

– Nie, Jupp – rzekł Otto, śmiejąc się. – Pojedziesz z nami!

Wstąpiliśmy naprzód do banku i przedstawiliśmy czek. Lenz nie zaznał spokoju, dopóki nie dowiedział się, że wszystko jest w porządku. Po czym ruszyliśmy po kawalersku, aż iskry poszły z rury wydechowej.

VIII

Wpadłem na moją gospodynię.

– Co to, pali się? – spytała pani Zalewska.

– O ile wiem, to nie. Chciałem tylko zapłacić komorne.

Działo się to na trzy dni przed terminem, toteż pani Zalewska ze zdumienia o mało się nie przewróciła.

– Coś się za tym kryje! – zawyrokowała podejrzliwie.

– Nic podobnego! – odrzekłem. – Czy mógłbym na dziś wieczór wypożyczyć sobie z pani salonu te dwa brokatowe fotele?

Wsparła ręce na tęgich biodrach.

– Wylazło szydło z worka! A więc nie podoba się już panu pański pokój?

– Owszem, ale pani brokatowe fotele podobają mi się jeszcze bardziej.

Wyznałem jej, że spodziewam się wizyty kuzynki i dlatego chciałem upiększyć nieco swój pokój. Zaczęła się śmiać, aż jej okazałe piersi rozkołysały się jak morze.

– Kuzynka! – powtórzyła z przekąsem. – A kiedyż ma się zjawić ta kuzynka?

– To nie jest jeszcze takie pewne, ale jeżeli przyjdzie, to oczywiście wcześnie… wcześnie wieczorem, na kolację. Pani uważa, że kuzynki nie mogą istnieć?

– Owszem, istnieją czasem, ale dla nich nie pożycza się foteli.

– Ja pożyczam. Mam bardzo rozwinięty zmysł rodzinny.

– Właśnie, akurat! Wszyscy jesteście urwipołcie. Może pan wziąć sobie fotele brokatowe. Tymczasem niech pan ustawi czerwone pluszowe w salonie.

– Bardzo dziękuję. Jutro rano zwrócę wszystko. Razem z dywanem.

– Dywanem? – Odwróciła się do mnie. – Kto tu coś mówił o dywanie?

– Ja. A pani także, dopiero co.

Spojrzała na mnie zgorszona.

– Dywan tworzy całość z fotelami. Stoją przecież na nim.

– Panie Lohkamp, ostrzegam pana – rzekła majestatycznie pani Zalewska – niech pan nie przeciąga struny. Umiarkowanie we wszystkim, oto była dewiza mego męża nieboszczyka. Powinien pan wziąć ją sobie do serca.

Wiedziałem, że nieboszczyk Zalewski pomimo tego hasła dosłownie zapił się na śmierć. Jego żona wielokrotnie opowiadała mi o tym przy innych okazjach. Ale to jej nie przeszkadzało. Używała męża, tak jak inni używają Pisma świętego: do cytatów. Im bardziej oddalał się w czasie jego zgon, tym więcej mu przypisywała. Teraz już pasował do każdej sytuacji – zupełnie jak Biblia.

Parałem się dekorowaniem mojej kwatery. Po południu zadzwoniłem do Patrycji Hollmann. Chorowała i nie widziałem jej od tygodnia. Umówiliśmy się na ósmą wieczór, a ja zaproponowałem, żebyśmy przekąsili coś u mnie i poszli później do kina.

Fotele kryte brokatem i dywan przedstawiały się imponująco, ale oświetlenie było haniebne. Zapukałem tedy do sąsiednich drzwi, żeby pożyczyć lampę na stół od państwa Hasse. Pani Hasse siedziała znużona przy oknie. Mąż nie wrócił jeszcze z biura. Pracował co dzień dobrowolnie o dwie godziny dłużej, byle tylko nie dostać wypowiedzenia. Jego żona miała w sobie coś z chorego ptaka. W gąbczastych, starzejących się rysach twarzy można było wciąż jeszcze rozpoznać drobną twarz dziecka – rozczarowanego i smutnego dziecka.

Przedstawiłem jej swoją prośbę. Ocknęła się i przyniosła mi lampę.

– Tak, tak – rzekła z westchnieniem – kiedy sobie człowiek przypomni, jak to kiedyś…

Znałem na pamięć tę historię. Pani Hasse opowiadała w kółko, co by było, gdyby nie wyszła za Hassego. Znałem tę historię także w ujęciu Hassego. Jakaż kariera czekałaby go, gdyby się nie był ożenił. Jest to przypuszczalnie najpopularniejsza w świecie historia. I najbeznadziejniejsza.

Słuchałem przez chwilę wynurzeń pani Hasse, pocieszyłem ją kilkoma frazesami i skoczyłem do Erny Bönig, żeby pożyczyć od niej gramofon.

Pani Hasse wspominała o Ernie tylko jako „o tej osobie mieszkającej obok". Gardziła nią, albowiem jej zazdrościła. Ja natomiast lubiłem tę dziewczynę. Nie miała złudzeń i wiedziała, że trzeba się będzie nabiedzić, ażeby wyrwać dla siebie ochłap tego, co zwie się szczęściem. Wiedziała także, że trzeba za to płacić z lichwiarskim procentem. Szczęście jest najbardziej niepewnym na świecie towarem o najwyższej cenie. Erna uklękła przy kuferku i wyszukała mi cały stos płyt.

– Chce pan fokstroty?

– Nie. Nie umiem tańczyć.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Co, pan nie umie tańczyć? To co pan robi, kiedy pan idzie do jakiegoś lokalu?

– Tańczę z kieliszkiem. I doskonale się zgadzamy.

Potrząsnęła głową.

– Mężczyzna, który nie umie tańczyć, nie istnieje w moich oczach.

– Bo pani jest osobą surowych zasad. Zdaje mi się, że ma pani także inne płyty. Niedawno puszczała pani bardzo ładną – śpiew kobiecy przy akompaniamencie jakby gitar hawajskich.

– Ach, już wiem, tak, ta jest cudowna! *Jak mam bez ciebie żyć*, prawda?

– Właśnie ta. Czegóż to nie wymyślają ci autorzy przebojów! Wydaje mi się, że to są jedyni romantycy, jacy jeszcze istnieją.

Zaśmiała się.

– Pewno! Gramofon jest pewnego rodzaju albumem pamiątkowym. Dawniej wpisywało się do takiego albumu wiersze, dzisiaj darowuje się płyty gramofonowe. Jeżeli chcę sobie coś przypo-

mnieć, to wystarczy, żebym założyła płytę, którą wtedy słyszałam, a wszystko wraca jak żywe.

Spojrzałem na stosy płyt rozrzuconych na podłodze.

– Sądząc po tym, ma pani, Erno, całe legiony wspomnień.

Powstała z klęczek i odgarnęła swoje rudawe włosy do tyłu.

– Tak – rzekła, odsuwając nogą na bok stos płyt – ale wolałabym mieć jedno prawdziwe.

Rozpakowałem zapasy przyniesione na kolację i ustawiłem wszystko, jak umiałem najlepiej. Nie mogłem się spodziewać żadnej odsieczy ze strony kuchni. Z Frydą nieustannie darłem koty. Najwyżej mogłaby mi wszystko popsuć. Obeszło się jednak bez pomocy i po chwili trudno było poznać moją starą budę. Nabrała nowego blasku. Fotele, lampa, nakryty stół – czułem, jak zbiera się we mnie i rośnie niespokojne oczekiwanie.

Wyszedłem z domu, mimo że do spotkania miałem jeszcze przeszło godzinę. Na dworze hulał wiatr, długimi porywami wybiegając zza rogów ulic. Latarnie już się paliły. Mrok między domami był niebieski jak morze. „International" pływał po nim niby okręt bez ożaglowania. Zajrzałem tam na chwilę.

– Cześć, Robert! – powitała mnie Róża.

– A ty co tu robisz? – spytałem. – Jeszcze nie przy pracy?

– Trochę za wcześnie.

Przyczłapał Alojzy.

– Mały? – spytał.

– Głębszy – odparłem.

– Dobre tempo bierzesz – zauważyła Róża.

– Dla dodania sobie odwagi – odpowiedziałem i wypiłem rum.

– Zagrasz coś? – spytała Róża.

Potrząsnąłem głową.

– Dziś nie mam ochoty. Za silny wiatr. Jak tam mała?

Róża pokazała w uśmiechu złote zęby.

– Tfu, tfu, na psa urok, dobrze. Jutro do niej pojadę. Miałam dobry tydzień; stare pryki już wiosna rozbiera. Mam dla dziecka nowy płaszczyk. Z czerwonej wełny.

– Czerwona wełna to ostatni krzyk mody.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem, Robby.

– To nie takie pewne. Chodź, wypij ze mną jednego. Anyżówka, co?

Kiwnęła głową. Trąciliśmy się kieliszkami.

– Powiedz mi, Różo, co ty właściwie sądzisz o miłości? – spytałem. – Masz przecież doświadczenie w tych sprawach.

Róża wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Daj spokój – powiedziała. – Miłość! Ach, jak pomyślę o moim Arturze, o tym łajdaku, to nogi się pode mną uginają. Coś ci powiem, Robby, całkiem poważnie: życie człowieka trwa za długo dla miłości. Po prostu za długo. Wyjaśnił mi to Artur, kiedy mnie puszczał w trąbę. I miał rację. Miłość jest cudowna. Ale dla jednego z dwojga zawsze trwa za długo. A ten drugi zostaje wtedy sam i tak brak mu tamtego, że może oszaleć.

– Rozumiem – powiedziałem. – Ale bez miłości człowiek jest też właściwie trupem na urlopie.

– Zrób to, co ja – oświadczyła Róża. – Zafunduj sobie dzieciaka. Będziesz miał coś do kochania, a nie stracisz spokoju.

– Wcale niegłupia rada – odparłem. – Tylko tego mi jeszcze brak.

Róża w rozmarzeniu kołysała głową.

– Jakież ja cięgi dostawałam od Artura, a jednak, gdyby w tej chwili wszedł tutaj, w tym swoim meloniku zsuniętym na tył głowy… człowieku, aż mi się coś na wnętrzu ściska, jak o tym pomyślę.

– No, to wypijmy za zdrowie Artura.

Róża roześmiała się.

– Zdrowie starego alfonsa! Niech mu tam.

Wypiliśmy.

– Do widzenia, Różo. Powodzenia w interesach dziś wieczór!

– Dziękuję. Do widzenia, Robby.

Drzwi wejściowe trzasnęły.

– Halo! – zawołała od progu Patrycja Hollmann. – Tak głęboko zamyślony?

– Nie, wcale nie zamyślony. Ale jak pani się miewa? Już pani zdrowa? Co to było?

– Ach, nic szczególnego. Byłam zaziębiona i miałam trochę gorączki.

Nie wyglądała ani trochę na osobę chorą i wyczerpaną. Przeciwnie – nigdy oczy jej nie wydały mi się tak duże i promienne. Na policzkach miała lekki rumieniec, a ruchy sprężyste jak u szczupłego, pięknego zwierzęcia.

– Wygląda pani doskonale. Zdrowie aż tryska. Możemy hulać dzisiaj do upadłego.

– To byłoby świetnie, ale niestety nie da się zrobić. Nie mogę dzisiaj.

Spojrzałem na nią, nie rozumiejąc.

– Nie może pani?

Potrząsnęła głową.

– Niestety, nie.

Jeszcze nie mogłem pojąć. Przypuszczałem, że zmieniła zdanie i nie chciała po prostu zjeść u mnie kolacji.

– Dzwoniłam do pana – powiedziała – żeby pan na próżno nie przychodził. Ale już pana nie było.

Dopiero teraz zrozumiałem.

– Naprawdę nie może pani? Cały wieczór ma pani zajęty?

– Dzisiaj nie da się ani rusz. Muszę gdzieś pójść. Niestety, sama dowiedziałam się o tym dopiero przed półgodziną.

– Nie może pani tego przełożyć?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Widzi pan, to coś w rodzaju rozmowy o interesach.

Jakby ktoś mi dał po głowie. Liczyłem się ze wszystkim, tylko nie z tym. Nie wierzyłem jej ani słowa. Interesy! Nie wyglądała na osobę, która musi rozmawiać o interesach. Przypuszczalnie była to tylko wymówka. Nawet na pewno. Jakież to interesy można załatwiać wieczorem? Takie rzeczy robi się przed południem! Poza tym nie dowiaduje się o nich na pół godziny przedtem. Po prostu nie chce i koniec.

Byłem rozczarowany jak dzieciak. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo cieszyłem się na ten wieczór. Wściekałem się na siebie, że aż tak mnie to dotknęło, i nie chciałem za żadną cenę, ażeby dziewczyna domyśliła się tego.

– Trudno. W takim razie nic się nie da zrobić. Do widzenia.

Spojrzała na mnie badawczo.

– Mnie się tak bardzo nie spieszy. Umówiłam się dopiero na dziewiątą. Możemy przejść się trochę. Cały tydzień nie wychodziłam z domu.

– Dobrze – powiedziałem niechętnie. Poczułem nagle zmęczenie i pustkę.

Poszliśmy ulicą. Rozpogodziło się, a w przerwach między dachami widać było gwiazdy. Przechodziliśmy koło mego skweru. W cieniu chwiało się kilka krzaków. Patrycja Hollmann przystanęła.

– Bez. Pachnie bzem! Ależ to niemożliwe, przecież na to za wcześnie.

– Nic nie czuję.

– A jednak pachnie! – Przechyliła się przez barierkę.

– To *Daphne indica*, proszę pani – doszedł z mroku jakiś ochrypły głos.

Pracownik ogrodów miejskich w czapce przybranej mosiężną blaszką stał wsparty o drzewo. Zbliżył się do nas nieco chwiejnym krokiem. Z kieszeni sterczała mu szyjka butelki.

– Zasadziliśmy ją dzisiaj – oświadczył wśród potężnej czkawki. – O tam.

– Dziękuję bardzo – powiedziała Patrycja Hollmann i zwróciła się do mnie. – Czy dalej jeszcze nic pan nie czuje?

– Owszem, teraz coś czuję – odpowiedziałem przekornie. – Poczciwą starą żytniówkę.

– Jak Boga mego, zgadł pan. – Facetowi odbiło się głośno.

Czułem doskonale słodką, ciężką woń, płynącą przez miękki mrok. Ale za nic w świecie nie przyznałbym racji dziewczynie.

Zaśmiała się i przeciągnęła.

– Jakież to cudowne uczucie, kiedy człowiek tak długo był zamknięty w pokoju! Szkoda, że muszę uciekać. Ten cały Binding… zawsze mu się śpieszy, zawsze wszystko na ostatnią minutę! Doprawdy, mógł przełożyć to na jutro.

– Binding? Umówiła się pani z Bindingiem?

Przytaknęła.

– Z Bindingiem i jeszcze z kimś. Chodzi właśnie o tego trzeciego. To poważna sprawa. Może pan to sobie wyobrazić?

– Nie. Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Zaśmiała się i opowiadała dalej. Ale ja już nie słuchałem. Binding! – zajechało mi to pod siódme żebro. Nie myślałem zupełnie o tym, że przecież znała go o wiele wcześniej niż mnie, widziałem tylko wyolbrzymionego, błyszczącego buicka tego faceta, jego drogi garnitur i wypchany portfel. Moja biedna, poczciwa, odświętnie przystrojona nora! Czegóż ja sobie nie ubzdurałem! Lampa od Hassów, fotele pani Zalewskiej. Przecież ta dziewczyna w ogóle nie pasowała do mnie! Czymże ja byłem? Piechurem, który raz wypożyczył sobie cadillaca, niezdarnym pijusem i niczym więcej. Taki rarytas można znaleźć na każdym rogu ulicy. Widziałem już oczyma wyobraźni, jak wygalowany portier „Winnicy" kłania się w pas Bindingowi, widziałem jasne, ciepłe, wytworne urządzone sale, dym papierosów, elegancką publikę, słyszałem muzykę i śmiech – śmiech ze mnie. „Uciekaj, bracie – pomyślałem – uciekaj, póki czas! Trochę przeczuć, trochę nadziei, cóż to wielkiego. Nie ma sensu na coś liczyć. Tylko uciekać".

– Możemy się spotkać jutro wieczorem, jeżeli pan ma ochotę – powiedziała Patrycja Hollmann.

– Jutro wieczorem nie mam czasu – odparłem.

– W takim razie pojutrze albo innego dnia w tygodniu. Nie mam żadnych innych planów.

– To będzie trudno. Dostaliśmy dzisiaj pilne zamówienie i będziemy prawdopodobnie musieli przez cały tydzień pracować do późna w nocy.

Było to oczywiście łgarstwo, ale nie mogłem inaczej. Zebrało się we mnie naraz zbyt wiele wściekłości i wstydu.

Przecięliśmy plac i szliśmy ulicą wzdłuż cmentarza. Dostrzegłem, że od strony „Internationalu" nadciąga Róża. Jej czarne, wysokie buty połyskiwały. Mogłem skręcić i na pewno zrobiłbym to w innych warunkach, ale teraz szedłem prosto na nią. Róża spojrzała na mnie, jakby nie widziała mnie nigdy w życiu. Było to zrozumiałe; żadna z nich nie poznawała na ulicy znajomych, jeżeli byli w towarzystwie.

– Dzień dobry, Różo! – powiedziałem.

Spojrzała zdziwiona na mnie, potem na Patrycję Hollmann, kiwnęła pośpiesznie głową i poszła wyraźnie speszona dalej. O kilka kroków za nią szła, wywijając torebką, Fritzi, z mocno pomalowanymi wargami, kołysząc się w biodrach. I ona spojrzała na mnie jak przez szybę.

– Jak się masz, Fritzi! – powiedziałem.

Kiwnęła mi głową jak udzielna księżna i nie zdradziła niczym swojego zdumienia. Ale gdy tylko nas minęła, usłyszałem, że przyspiesza kroku; najwidoczniej chciała omówić z Różą ten wypadek. Jeszcze i teraz mogłem skręcić w boczną ulicę, wiedziałem bowiem, że zaraz nadciągną inne. Była właśnie pora pierwszego obchodu. Z uporem szedłem jednak dalej – dlaczego miałbym unikać tych zdzir? Znałem je przecież znacznie lepiej aniżeli tę idącą obok mnie dziewczynę z jej Bindingiem i jego buickiem. Niech się o tym przekona, i to gruntownie.

Napływały wszystkie kolejno: piękna Wally, blada, smukła, elegancka, Lina z drewnianą nogą, rozłożysta Erna, chochlikowata Marion, Margot z rumianą twarzą, pedzio Kiki w popielicowym futrze, a na samym końcu Mimi, kurewska babcia z żylakami, wyglądająca jak wyleniała sowa. Pozdrawiałem wszystkie, a gdy mijaliśmy stanowisko mateczki z kiełbaskami, uścisnąłem jej serdecznie prawicę.

– Ma pan dużo znajomych w tej okolicy – powiedziała po chwili Patrycja Hollmann.

– Takich, owszem – odburknąłem. Czułem, że przypatruje mi się bacznie.

– Zdaje mi się, że musimy już zawrócić – odezwała się po chwili milczenia.

– Tak. I mnie się tak zdaje.

Stanęliśmy przed drzwiami jej domu.

– Do widzenia i wesołego spędzenia wieczoru – wydusiłem z siebie.

Nie odpowiadała. Z pewnym trudem oderwałem wzrok od guzika dzwonka przy drzwiach i spojrzałem na jej twarz. I doprawdy – nie chciałem wierzyć własnym oczom – stała przede

mną, ale bynajmniej nie zgorszona i rozgniewana; usta jej drgały, oczy lśniły i nagle zaśmiała się szczerze i niefrasobliwie, po prostu wyśmiała mnie.

– Dzieciaku! – powiedziała. – Mój Boże, jakiż z pana dzieciak!

Wybałuszyłem oczy.

– No tak… ale bądź co bądź – i nagle zobaczyłem w innym świetle całą sytuację. – Pani uważa mnie trochę na durnia, co?

Zanosiła się ze śmiechu. Postąpiłem ku niej krok i przyciągnąłem ku sobie mocno. Niech sobie myśli o mnie, co chce. Włosy jej musnęły moje policzki, twarz jej znalazła się tuż przy mojej, wciągałem delikatny morelowy zapach jej skóry. Potem jej oczy zbliżyły się i nagle poczułem jej wargi na swoich ustach…

Znikła, zanim uprzytomniłem sobie, co się stało.

Zawróciłem i poszedłem do kotła z parówkami.

– Daj mi parę dużych kiełbasek – powiedziałem, promieniejąc radością.

– Z musztardą? – spytała mateczka, ubrana w czysty biały fartuch.

– Z pełną łyżką musztardy, mateczko!

Jadłem łapczywie kiełbaski na stojąco i kazałem Alojzemu przynieść z „Internationalu” kufel piwa.

– Człowiek to komiczne stworzenie, mateczko, co?

– Żebyś wiedział, mój drogi – odpowiedziała żwawo. – Wczoraj wieczorem zjawia się tu jakiś pan, zjada dwie pary wiedeńskich z musztardą, a potem powiada, że nie ma czym zapłacić. Dobra nasza, późna noc, wokoło ani żywej duszy, cóż miałam zrobić? To nic nowego, machnęłam więc ręką i pozwoliłam mu odejść. I wyobraź sobie, dzisiaj przychodzi do mnie, płaci za wiedeńskie i daje jeszcze napiwek.

– Przedwojenny okaz, mateczko! No, a jak idzie interes?

– Podle! Wczoraj poszło tylko siedem par wiedeńskich i dziewięć kiełbasek. Powiadam ci, żeby nie panienki, tobym już dawno poszła z torbami.

Panienki były to oczywiście kurwy, które jak mogły, popierały mateczkę. Gdy złapały frajera i mogły zboczyć z drogi do domu, przyprowadzały go do kotła z parówkami, żeby zjeść jeszcze prędko kiełbaskę i żeby kobiecina coś niecoś zarobiła.

– Chwalić Boga, niedługo już pociepleje – opowiadała dalej mateczka – ale w zimie, w tym ziąbie i wilgoci, powiadam ci, choćby człowiek nie wiem co wkładał na siebie, to i tak musi złapać jakąś grypę albo i inne paskudztwo.

– Daj mi, mateczko, jeszcze jedną parę kiełbasek. Tak mi dzisiaj dobrze na świecie. A jak tam w domu?

Spojrzała na mnie swoimi wodnistymi, przezroczystymi niemal oczkami.

– Zawsze to samo. Niedawno sprzedał łóżko.

Mateczka była zmęczona. Przed dziesięciu laty mąż jej, skacząc do wagonu kolei podziemnej, upadł i dostał się pod koła. Musiano mu amputować obie nogi. Nieszczęście to wywarło na niego osobliwy wpływ. Wstydził się tak bardzo swego kalectwa wobec żony, że przestał z nią żyć. Poza tym w szpitalu przywykł do morfiny. Zaczął staczać się szybko, dostał się do koła pedeków i oto niebawem mężczyzna, który pięćdziesiąt lat był zupełnie normalny, zaczął uganiać się za smarkaczami o homoseksualnych skłonnościach. Ich się nie wstydził, bo to byli przecież mężczyźni. W oczach kobiety – tak mu się zdawało – był tylko kaleką budzącym wstręt i współczucie, a tego nie mógł znieść. W oczach mężczyzn natomiast był człowiekiem, którego spotkało nieszczęście. Aby zdobyć pieniądze na chłopczyków i morfinę, zabierał mateczce wszystko, co mu wpadło pod rękę, i sprzedawał, co tylko było do sprzedania. Ale mateczka nie chciała go rzucić, chociaż często ją bijał. Stała ze swoim synem co noc do czwartej przy kotle z parówkami. Za dnia prała u ludzi bieliznę i szorowała schody. Miała z przeziębienia chroniczne zapalenie jajników i ważyła czterdzieści pięć kilo. Nigdy jednak nie okazywała niezadowolenia. Uważała, że jest jej jeszcze całkiem nieźle. Czasami mąż, czując się smutny i zniechęcony, przychodził do niej, żeby się wypłakać. Były to jej najpiękniejsze chwile.

– No a ty, jesteś dalej jeszcze na tej dobrej posadzie? – spytała mnie.

Przytaknąłem.

– Tak, mateczko. Zarabiam teraz dobrze.

– Trzymaj to mocno w garści.

– Będę się starał, mateczko.

Wróciłem do domu. W przedpokoju pętała się, jakby z nieba zesłana, pokojówka Fryda.

– Miła z ciebie dziewczyna, Frydo, i ładniejesz z każdym dniem! – powiedziałem, czując przemożną chęć mówienia miłych rzeczy.

Zrobiła taką minę, jakby skosztowała octu.

– Mówię serio! – jechałem dalej. – Jaki sens mają te wieczne kłótnie! Życie jest krótkie, Frydo, pełne przypadków i niebezpieczeństw. Dzisiaj wszyscy powinniśmy się trzymać kupy. No co, pogodzimy się?

Nie spojrzała na moją wyciągniętą dłoń, mruknęła coś pod nosem o przeklętych moczymordach i zniknęła, trzaskając drzwiami, aż zagrzmiało.

Zapukałem do drzwi Jerzego Blocka. Spod drzwi przenikało światło. Jerzy kuł.

– Chodź, Jerzy, na wyżerkę! – zawołałem.

Podniósł oczy znad książki. Jego blada twarz zapłonęła rumieńcem.

– Nie jestem głodny.

Myślał, że robię to z litości. Dlatego się opierał.

– Spójrz, jak wyglądasz. To się może źle skończyć. Proszę cię, zrób mi tę przyjemność.

Gdy szliśmy korytarzem, dostrzegłem, że drzwi od pokoju Erny Bönig są lekko uchylone. Słyszałem zza drzwi lekki oddech.

„Aha” – pomyślałem i w tej chwili usłyszałem, że w drzwiach pokoju Hassów szczęknął cicho zamek i drzwi uchyliły się także o centymetr. Cały pensjonat czatował widocznie na moją kuzynkę.

W jaskrawym świetle żyrandola błyszczały brokatowe fotele pani Zalewskiej. Lampa Hassów pyszniła się blaskiem, ananas

połyskiwał jak bursztyn, obok nęciły oko delikatna kiszka pasztetowa, szynka, flaszka sherry.

Gdy z oniemiałym Jerzym pałaszowaliśmy w najlepsze, zapukano do drzwi… Wiedziałem, co teraz nastąpi.

– Uwaga, Jurek! – szepnąłem, a głośno zawołałem: – Proszę wejść!

Drzwi się otworzyły i wtoczyła się, płonąc z ciekawości, pani Zalewska. Po raz pierwszy za mojej pamięci przyniosła mi osobiście pocztę: druk zachęcający do spożywania surówek. Moja gospodyni była wystrojona jak na bal. Wielka dama z dawnych, dobrych czasów, suknia z koronki, szal z frędzlami i broszka z fotografią nieboszczyka Zalewskiego w medalionie. Słodki jak cukier uśmiech przymarzł do jej warg. Zdumionym wzrokiem ogarnęła onieśmielonego Jerzyka. Ja wybuchnąłem okrutnym śmiechem. Pani Zalewska opanowała się szybko.

– Aha, zostaliśmy na lodzie – rzekła jadowicie.

– Zgadła pani! – przyznałem, ciągle jeszcze pochłonięty oglądaniem jej toalety. Jakież to szczęście, że zaproszenie na kolację się rozchwiało! Matka rodu Zalewskich zdruzgotała mnie pogardliwym wzrokiem.

– I pan jeszcze się śmieje? Zawsze mówiłam: tam, gdzie u innych jest serce, u pana tkwi butelka wódki.

– Doskonała diagnoza – odparłem. – Czy szanowna pani nie zaszczyci naszej skromnej uczty?

Wahała się. W końcu jednak zwyciężyła ciekawość: a może dowie się czegoś? Otworzyłem flaszkę sherry.

Późno w noc, gdy się już wszystko uciszyło, wziąłem płaszcz i koc i przekradłem się przez korytarz do telefonu. Ukląkłem przed stołem, na którym stał aparat, naciągnąłem na głowę płaszcz i pled, podniosłem słuchawkę, a lewą ręką przytrzymałem płaszcz. Tak miałem przynajmniej pewność, że nikt mnie nie podsłuchuje. Pensjonat pani Zalewskiej miał niezwykle długie i ciekawe uszy.

Szczęście mi sprzyjało. Patrycja Hollmann była w domu.

– Czy pani dawno wróciła ze swojej tajemniczej konferencji? – spytałem.

– Już prawie przed godziną.

– Szkoda. Gdybym wiedział…

Zaśmiała się.

– Nie, nic by to panu nie pomogło. Leżę w łóżku i znowu mam trochę gorączki. Bardzo dobrze, że wróciłam wcześnie do domu.

– Gorączki? Skądże znowu ta gorączka?

– Ach, to nic poważnego. Cóż pan robił dzisiaj wieczorem?

– Roztrząsałem z moją gospodynią sytuację w Europie. A pani? Czy udało się pani coś załatwić?

– Mam nadzieję, że tak.

W zaimprowizowanym namiocie panował upał jak w oranżerii. Toteż w czasie gdy dziewczyna mówiła, odchylałem zasłonę, wciągałem spiesznie łyk chłodnego powietrza z zewnątrz i zamykałem z powrotem wentyl, mówiąc ze słuchawką przy samych ustach.

– Czy nie ma pani wśród swoich znajomych kogoś, kto nosi imię Robert? – spytałem.

Zaśmiała się.

– Zdaje mi się, że nie.

– Szkoda. Chętnie bym posłyszał, jak pani wymawia to imię. A może mimo to spróbuje pani?

Odpowiedziała mi śmiechem.

– Tylko tak… dla żartu. A więc na przykład: Robert jest osłem.

– Robert jest dzieciakiem.

– Ślicznie to pani wymawia. A może teraz spróbujemy zdrobnienia Robby? A więc: Robby jest…

– Robby jest pijus – powiedział wolno cichy, daleki głos. – A teraz muszę spać. Wzięłam środek nasenny i w głowie mi szumi.

– Tak, dobranoc, niech pani śpi dobrze.

Odłożyłem słuchawkę, odgarnąłem płaszcz i pled. Wyprostowałem się i – zdębiałem. O krok za mną stał jak zjawa emerytowany radca skarbowy, który zajmował pokój przy kuchni. Mruknąłem pod nosem jakieś paskudne słowo.

– Pst! – szepnął tajemniczo i uśmiechnął się do mnie.

– Pst! – odwdzięczyłem mu się i wyraziłem w duszy życzenie, żeby go diabli wzięli.

Podniósł do góry palec.

– Nie zdradzę pana. Sprawa polityczna, hę?

– Co? – spytałem zdumiony.

Mrugnął.

– Niech pan będzie spokojny. Sam jestem krańcowym prawicowcem. Tajna rozmowa polityczna, hę?

Teraz dopiero zrozumiałem.

– O tak, wysoce polityczna rozmowa! – rzekłem i wykrzywiłem gębę w uśmiechu.

Nachylił się i szepnął:

– Niech żyje Jego Cesarska Mość!

– Trzykrotne hura! – oświadczyłem z powagą. – Ale teraz z innej beczki: czy pan wie, kto wynalazł telefon?

Potrząsnął zdziwiony łysą łepetyną.

– Ja także nie wiem. Ale musiał to być byczy chłop!

IX

Niedziela. Dzień wyścigów samochodowych. Przez cały ostatni tydzień Köster trenował ostro. Po każdym treningu przeglądaliśmy wieczorem Karla i do późnej nocy smarowaliśmy każdą śrubkę. Teraz siedzieliśmy przy częściach zapasowych i czekaliśmy na Köstera, który poszedł na miejsce startu.

Zebraliśmy się wszyscy: Grau, Valentin, Lenz, Patrycja Hollmann, a przede wszystkim Jupp. Jupp w paradnym kombinezonie, okularach wyścigowych i hełmie. Miał on towarzyszyć Kösterowi w wyścigu, jako najlżejszy z nas. Lenz miał co prawda duże zastrzeżenia przeciwko temu wyborowi. Twierdził, że olbrzymie, odstające uszy Juppa stawiają zbyt wielki opór. Albo wóz straci dwadzieścia kilometrów na szybkości, albo zamieni się w samolot.

– Jak to się właściwie stało, że ma pani angielskie imię? – spytał Patrycję Hollmann siedzący obok niej Gotfryd.

– Moja matka była Angielką. Nosiła to samo imię. W skróceniu: Pat.

– Ach, Pat, to zupełnie co innego. Znacznie łatwiejsze do wymówienia.

Gotfryd wyciągnął z ukrycia kieliszek i flaszkę.

– A więc za naszą przyjaźń, Pat! Ja mam na imię Gotfryd!

Spojrzałem na niego zdumiony. Podczas gdy ja ustawicznie jeszcze lawirowałem, ten bezczelny typ w jasny dzień od ręki załatwił sprawę! A dziewczyna zaśmiała się wesoło i zaczęła mu mówić po imieniu.

Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z Ferdynandem Grauem. Stracił najwidoczniej głowę i nie spuszczał wzroku z Patrycji. Recytował szumne wiersze jeden za drugim i oświadczył, że musi namalować jej portret. Istotnie przysiadł na jakiejś skrzynce i zaczął szybko szkicować.

– Słuchaj, Ferdynand, stary łapiduchu – powiedziałem, wyjmując mu blok z ręki – radzę ci nie zabierać się do żywych ludzi. Pozostań przy swoich trupiszonach. A poza tym sprowadź rozmowę na bardziej ogólne tory. Jestem bardzo wrażliwy, jeżeli chodzi o tę dziewczynę.

– Ale przepijecie ze mną później resztę spadku mojego szynkarza?

– Może nie całą, ale część na pewno.

– Dobrze, w takim razie będę cię oszczędzał.

Łoskot motorów obiegał tor wyścigu jak klekot karabinów maszynowych. Zapach spalonej oliwy, benzyny i smaru. Podniecający, cudowny zapach, podniecający, cudowny huk motorów!

Nieopodal monterzy hałasowali w swoich doskonale zaopatrzonych boksach. My mieliśmy bardzo skromne wyposażenie. Trochę narzędzi, kilka świec, parę kół z zapasowymi oponami, wyłudzonymi za darmo z fabryki, drobne części zapasowe – to był nasz cały majątek. Köster nie reprezentował żadnej fabryki. Trzeba było za wszystko zapłacić. Dlatego boks nasz nie przedstawiał się bogato.

Otto wrócił. Za nim szedł Braumüller, ubrany już do wyścigu.

– No, mój drogi – powiedział – jeżeli moje świece wytrzymają, to przepadłeś z kretesem! Pewno nie wytrzymają.

– Zobaczymy! – odpowiedział Köster.

Braumüller pogroził pięścią Karlowi.

– Radzę ci uważać na mojego dziadka do orzechów!

Dziadek do orzechów była to nowa ciężka maszyna Braumüllera. Wóz uchodził powszechnie za faworyta.

– Będziesz się musiał dobrze napocić! – zawołał Lenz pod adresem Braumüllera.

Braumüller miał już ochotę rzucić stare, uczciwe słowo żołnierskie, ale zobaczywszy Patrycję Hollmann, ugryzł się w język,

wybałuszył oczy, uśmiechnął się niezdecydowanie w przestrzeń i zniknął z pola widzenia.

– Pełny sukces! – stwierdził Lenz z zadowoleniem.

Skowyt motocykli zamiatał już asfalt toru. Köster poszedł się przebrać. Karl zameldowany był w klasie wozów sportowych.

– Nie będziemy ci mogli wiele pomóc – powiedziałem do Ottona i wskazałem oczyma nasze narzędzia.

Machnął ręką.

– Na pewno nie będzie potrzeba. Jeżeli Karl będzie miał defekt, to nie pomoże mu nawet cały skład narzędzi.

– Czy chcesz, żebyśmy ci pokazywali po każdym okrążeniu, jakie masz miejsce?

Köster potrząsnął głową.

– Nie ma sensu. Start jest zbiorowy. Będę się orientował. Poza tym Jupp będzie uważał.

Jupp potwierdził gorliwie. Drżał z podniecenia i pożerał czekoladę. Ale tak było tylko do chwili startu. Kiedy padał wystrzał, Jupp stawał się spokojny jak stuletni żółw.

– A więc jazda, na złamanie karku!

Wysunęliśmy wóz na tor.

– A nie zatkaj się przy starcie, kochasiu! – powiedział Lenz, głaszcząc chłodnicę. – Nie spraw zawodu swemu staremu ojcu!

Karl porwał się z miejsca. Patrzyliśmy za nim.

– Patrz, patrz, cóż to za śmieszny grat! – wykrzyknął jakiś głos obok. – Kręci tyłkiem jak struś!

Lenz wyprostował się w całej swej okazałości.

– Czy pan ma na myśli ten biały wóz? – spytał jeszcze spokojnie, ale czerwony z gniewu.

– Właśnie ten – odpowiedział mu olbrzymi monter z sąsiedniego boksu przez ramię i podał swemu koledze flaszkę piwa.

Lenz zaczął się jąkać z wściekłości i już miał zamiar przeskoczyć przez niskie przepierzenie z desek. Na szczęście jeszcze nie wybuchnął. Ściągnąłem go na dół.

– Nie rób awantur! – syknąłem mu w ucho. – Jesteś nam tu potrzebny. Czy masz ochotę już teraz pojechać do szpitala?

Lenz był jednak uparty jak osioł i próbował się wyswobodzić. Nie mógł znieść, żeby ktoś dworował sobie z Karla.

– Niech pani spojrzy – powiedziałem do Patrycji Hollmann. – Ten uparty kozioł ma czelność nazywać się ostatnim romantykiem. Czy może sobie pani wyobrazić, że niegdyś pisał wiersze?

To poskutkowało natychmiast. Wiedziałem, co jest piętą achillesową Gotfryda.

– Z tymi wierszami to było dawno, przed wojną – usprawiedliwiał się ze skruchą. – Poza tym, dziecinko, to nie hańba, jeżeli na wyścigach człowiekowi uderza do głowy. Prawda, Pat?

– Oczywiście, to żadna hańba!

Gotfryd zasalutował.

– Święta prawda!

Grzmot motorów zagłuszył dalszy ciąg. Powietrze drżało. Drżały niebo i ziemia. Zawodnicy mignęli przed trybunami.

– Przedostatni! – mruknął Lenz. – A jednak to bydlę musiało zająknąć się przy starcie.

– Nic nie szkodzi – uspokajałem go. – Start był zawsze słabą stroną Karla. Rozgrzewa się powoli, ale jak zacznie ciągnąć, to nie przestanie aż do mety.

W oddalający się hałas wmieszały się organowym basem megafony. Nie wierzyliśmy własnym uszom: jeden z najpoważniejszych konkurentów, Burger, pozostał na starcie.

Wozy przegrzmiały znowu. Drgały w dali jak wielkie trzmiele na szarym torze, potem zaczęły rosnąć i runęły w wiraż po przeciwległej stronie. W czołowej grupie gnało sześć maszyn, Köster trzymał się wciąż na przedostatnim miejscu. Byliśmy w pogotowiu. Potężny grzmot i echo odbijały się od bandy to silniej, to słabiej. Potem wystrzeliła znowu stawka wozów. Pierwszy silnie wysforowany, drugi i trzeci tuż za nim, potem Köster. Wysunął się na wirażu, jechał teraz jako czwarty.

Słońce wyjrzało zza chmur. Szerokie pasy światła i cienia pokryły tor, który wyglądał jak pręgowana skóra tygrysia. Cienie chmur wędrowały po ciżbie ludzkiej zalegającej trybuny. Granie motorów wnikało nam w krew jak potężniejąca melodia. Lenz wiercił się niespokojnie, ja żułem papierosa, a Patrycja Hollmann

wietrzyła nerwowo jak sarna u wodopoju. Tylko Valentin i Grau siedzieli wygodnie rozparci i wygrzewali się w słońcu.

I znowu łoskot motorów jak potężne uderzenie serca zatargał trybunami. Wbiliśmy wzrok w Köstera. Potrząsnął głową: nie chciał zmieniać opon. Po następnej rundzie podciągnął się ku przodowi. Następował na pięty trzeciemu zawodnikowi. W tej kolejności wyszli na prostą.

– Do cholery! – zaklął Lenz i pociągnął haust z flaszki.

– Köster trenował to pilnie – powiedziałem do Patrycji. – Wyprzedzanie na wirażu to jego specjalność.

– Masz ochotę pociągnąć łyczek z butelki, Pat? – zapytał Lenz.

Spiorunowałem go oczyma. Ale ten bezwstydnik wytrzymał najspokojniej mój wzrok.

– Wolałabym z kieliszka. Niestety, nie nauczyłam się jeszcze pić prosto z flaszki.

– To zaraz widać – mruknął Gotfryd i zaczął szukać kieliszka. – Oto błędy nowoczesnego wychowania.

W następnych okrążeniach zawodnicy rozciągnęli się jeszcze bardziej. Prowadził Braumüller. Pierwsza czwórka miała ze trzysta metrów forów. Köster zniknął za trybunami, jadąc chłodnica w chłodnicę z trzecim. Nagle wozy wyprysnęły zza zakrętu. Skoczyliśmy na równe nogi. Gdzie się podział trzeci? Otto szedł teraz sam za dwoma czołowymi. Jest, po chwili zabuczał bas trzeciego zawodnika. Obie tylne opony w strzępach. Twarz Lenza rozjaśnił paskudny śmiech. Wóz stanął przed sąsiednim boksem. Olbrzymi monter klął, aż uszy puchły. Po minucie maszyna zawyła znowu na betonie.

Jeszcze jedno okrążenie i żadnej zmiany w kolejności. Lenz odłożył stoper i zaczął obliczać.

– Karl ma jeszcze rezerwę czasu – obwieścił.

– Obawiam się, że inni też – mruknąłem ponuro.

– Człowieku małego serca! – zgromił mnie Lenz bazyliszkowym spojrzeniem.

W przedostatniej rundzie Köster, mijając nas, potrząsnął również głową. Postanowił rzucić wszystko na jedną kartę i nie zmieniać opon. Na szczęście nie było tak gorąco, żeby gumy nie wytrzymały.

Napięcie zawisło nad trybunami niby czające się do skoku zwierzę. Wozy gotowały się do finałowej walki.

– Zastukajmy w suche drzewo – powiedziałem i chwyciłem stylisko młotka. Lenz chciał zapukać w moją głowę. Odepchnąłem go. Zaśmiał się i objął ręką barierę.

Dudnienie nabrzmiało w przeciągły szum, potem szum przeszedł w wycie, wycie w grzmot i wreszcie w wysoki, gwiżdżący śpiew wozów idących na najwyższych obrotach. Braumüller wyleciał wysoko z krzywej, tuż za nim śmignął drugi nieco niżej. Tylne koła zapiszczały na betonie. Najwyraźniej drugi próbował przesmyknąć się dołem.

– Sknocił, jak miły Bóg! – ryknął Lenz.

W tej samej sekundzie wóz Köstera, wyjąc, wspiął się aż pod samą krawędź ściany i na chwilę krew zastygła nam w żyłach: byliśmy przekonani, że wyleci z toru. Ale nie! Przeszedł, motor warknął i wóz skręcił jak błyskawica.

– Wyjechał na pełnym gazie! – zawołałem.

Lenz przytaknął.

– Wariat z mokrą głową!

Wychyliliśmy się przez barierę, drżąc z podniecenia: uda się czy nie? Podniosłem Patrycję na skrzynię z narzędziami.

– Będzie pani lepiej widzieć! Proszę się na mnie oprzeć. Czy dojdzie go na krzywej?

– Już go ma! – zawołała dziewczyna. – Mija go!

– Dobiera się do Braumüllera! Niech go licho porwie! – wrzeszczał Lenz jak opętany. – Minął go rzeczywiście, dogania Braumüllera!

Z kotłującej się chmury wyskoczyły trzy wozy, zbliżały się, wrzeszczeliśmy, jakby nas obdzierano ze skóry, Valentin i Grau dołączyli swoje potężne basy. Kösterowi udał się szaleńczy zamiar, wyminął drugiego górą na wirażu. Przeciwnik przeliczył się z siłami, przegrał, biorąc wiraż niżej, ostrzejszym łukiem. Wóz

Köstera spadł teraz jak jastrząb na Braumüllera, który szedł już tylko o dwadzieścia metrów przed nim.

– Bierz go, Otto! Daj mu bobu! Połknij dziadka do orzechów! – krzyczeliśmy, machając rękoma.

Wozy zniknęły na ostatnim zakręcie. Lenz modlił się głośno do wszystkich bogów Azji i Ameryki Południowej i wymachiwał swoim amuletem. Wyciągnąłem i mój amulet. Patrycja wspierała się na moich ramionach, wysunęła twarz naprzód, wyglądała jak galeon na dziobie żaglowca.

Wracali. Silnik Braumüllera krztusił się i przerywał raz za razem. Zamknąłem oczy. Lenz obrócił się tyłem do toru. Chcieliśmy przekupić los.

Wrzask tłumu zmusił nas do odwrócenia głów. Pochwyciliśmy jeszcze moment, gdy Köster przechodził przez metę, z dwoma metrami przewagi nad Braumüllerem.

Lenz oszalał. Ciskał narzędziami o ziemię, a potem stanął na rękach.

– Jak to pan powiedział przedtem, panie ładny? – ryknął, stanąwszy znów na nogach, do naszego sąsiada, montera o herkulesowej budowie. – Że niby grat?

– Daj mi pan spokój! – mruknął kwaśno monter.

I po raz pierwszy, odkąd go znałem, ostatni romantyk nie nastroszył się gniewnie, lecz dostał istnej epilepsji śmiechu.

Czekaliśmy na Ottona. Musiał załatwić sprawy z kierownictwem wyścigu.

– Hej, Gotfryd! – zawołał nagle za nami ochrypły głos.

Obejrzeliśmy się. Przed nami stała góra ludzka w przyciasnych spodniach w paski, w przyciasnej marynarce marengo i w czarnym meloniku na czubku głowy.

– Alfons! – zawołała Patrycja Hollmann.

– We własnej osobie. – Skłonił się.

– Wygraliśmy, Alfonsie! – wołała podniecona.

– Byczo, byczo. Widzę, że się spóźniłem, co?

– Nigdy nie zjawiasz się za późno, Alfonsie – rzekł Lenz.

– Chciałem wam przynieść coś niecoś dla podtrzymania sił. Schab na zimno i peklowane żeberka. Wszystko już pokrojone.

– Dawaj żywo i siadaj z nami, mój złoty! – zawołał Gotfryd. – Spałaszujemy na poczekaniu. – Rozpakował zawiniątko.

– Mój Boże – zawołała Patrycja – przecież tego wystarczyłoby dla całego pułku!

– Zobaczymy za chwilę – rzekł filozoficznie Alfons. – Poza tym jest także trochę kminkówki z lodu.

Wyciągnął z kieszeni dwie flachy.

– Korki już wyciągnięte.

– Byczo, byczo – rzekła Patrycja Hollmann.

Alfons mrugnął pod jej adresem dobrodusznie. Po chwili zaparskał Karl. Köster i Jupp wyskoczyli z wozu. Jupp wyglądał jak młody Napoleon. Jego uszy jaśniały niby prześwietlone witraże. W ręku trzymał obrzydliwy, wielki srebrny puchar.

– To już szósty – rzekł, śmiejąc się, Köster. – Że też ludziom nie przychodzi nic innego do głowy.

– Co, dali ci tylko ten garnek na mleko? – spytał Alfons trzeźwo. – Żadnej forsy?

– Owszem – uspokoił go Otto. – Forsę także.

– Widzę, że pływamy w złocie – rzekł malarz Grau. – Wieczór zapowiada się wesoło.

– U mnie? – spytał Alfons.

– Murowane – rzekł Lenz.

– Dostaniecie grochówkę na świńskim żołądku, łapach i uszach – recytował Alfons i nawet na twarzy Patrycji pojawił się błysk uznania. – Oczywiście wszystko gratis – dodał.

Podszedł do nas Braumüller, klnąc na swego pecha. W rękach trzymał ociekające oliwą świece.

– Uspokój się, luby Theo! – zawołał Lenz. – Masz murowaną pierwszą nagrodę w najbliższym wyścigu wózków dziecinnych.

– Czy dacie mi rewanż w koniaku? – spytał Braumüller.

– Nawet na kufle od piwa – rzekł Grau.

– Nie ma pan żadnych szans, proszę pana – odezwał się Alfons tonem rzeczoznawcy. – Nigdy jeszcze nie widziałem Köstera zalanego.

– Ja także nie widziałem nigdy Karla przed moim wozem – odparował Braumüller – z wyjątkiem dnia dzisiejszego.

– Znieś porażkę z godnością – doradzał Grau. – Oto kieliszek. Wypijemy za upadek kultury, pognębionej przez maszynę.

Odchodząc, chcieliśmy zabrać ze sobą resztę prowiantu przyniesionego przez Alfonsa. Powinno było zostać tego jeszcze na obdzielenie paru ludzi. Ale znaleźliśmy już tylko zatłuszczony papier.

– Tam do diaska! – zaklął Lenz. – Aha! – I wskazał nam Juppa, który uśmiechał się zażenowany. Miał jeszcze pełne ręce żarcia, a brzuch napęczniał mu jak bęben. To także rekord!

Patrycja Hollmann miała jak na mój gust za duże powodzenie w czasie biby u Alfonsa. Przyłapałem powtórnie Graua, kiedy proponował, że ją będzie malował. Śmiała się i oświadczyła, że pozowanie ją nudzi. Znacznie wygodniej jest się sfotografować!

– To nawet bardziej odpowiada jego talentowi – powiedziałem kąśliwie. – Może namalować panią według fotografii.

– Spokój, Robby! – odparował Ferdynand ani trochę nie zbity z tropu i wpatrywał się dalej w Pat swoimi wielkimi niebieskimi oczami dziecka. – Pod wpływem wódki stajesz się złośliwy, ja zaś bardziej ludzki. Na tym polega różnica między naszymi pokoleniami.

– Jesteś przecież tylko o jakieś dziesięć lat starszy ode mnie – zauważyłem.

– W dzisiejszych czasach jest to różnica pokolenia – ciągnął dalej Ferdynand. – Różnica całego życia. Przedział tysiąclecia. Co wy, smarkacze, wiecie o swoim istnieniu? Boicie się przecież własnych uczuć! Nie piszecie listów – wystarcza wam telefon. Nie marzycie już – wyjeżdżacie z dziewczyną na weekend. Jesteście rozważni w miłości i nierozważni w polityce. Nędzne, politowania godne pokolenie!

Słuchałem jego tyrad tylko jednym uchem, drugim łapałem słowa Braumüllera. Właśnie klarował nieco niepewnym głosem Patrycji, że powinna koniecznie zacząć się uczyć u niego prowadzenia wozu. Pokaże jej wszystkie swoje triki.

Przy najbliższej okazji wziąłem go na bok.

– Drogi Theo, dla sportowca i zawodnika jest rzeczą bardzo niezdrową zanadto zajmować się kobietami.

– Nie dla mnie – odparł. – Mam niesłychanie wytrzymały organizm.

– Doskonale. A więc powiem ci, co może być dla ciebie bajecznie zdrowe: jeżeli dostaniesz tą butelką w łeb!

Uśmiechnął się.

– Schowaj miecz, synu. Czy wiesz, po czym poznaje się prawdziwego dżentelmena? Że się zachowuje przyzwoicie nawet wtedy, kiedy jest zalany. A wiesz, kim ja jestem?

– Samochwałą!

Nie obawiałem się ani przez chwilę, że jeden z nich mógłby mi podstawić nogę. Tego rodzaju konkurencja była między nami wykluczona. Ale nie byłem pewien, jak jest właściwie z dziewczyną. Przecież to było zupełnie możliwe, że któryś z nich może się jej spodobać. Znaliśmy się za mało, ażebym mógł być jej pewny. I kiedy w ogóle człowiek może być pewny?

– Czy chce pani wynieść się stąd po cichu? – spytałem.

Skinęła głową.

Szliśmy ulicami. Panowała wilgoć i ziąb. Na miasto opuszczała się zielona i srebrna mgła. Wziąłem rękę Pat i wsadziłem do kieszeni płaszcza. Tak wędrowaliśmy długi czas.

– Zmęczona? – spytałem.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

Wskazałem mijane po drodze kawiarnie.

– Wejdziemy gdzie?

– Nie. Nie chcę znowu do knajpy.

Szliśmy dalej i dalej, aż do cmentarza. Był jak cicha wyspa w powodzi kamiennych domów. Drzewa szumiały. Nie można było już dojrzeć ich koron. Wyszukaliśmy pustą ławkę i usiedliśmy.

Latarnie na skraju ulicy przystroiły się w drżące pomarańczowe kręgi. W gęstniejącej mgle rozpoczynała się wielka bajka światła. Chrabąszcze spadały opite z lip i okrążały latarnie, uderzając ciężko o mokre szkło. Mgła odmieniała wszystko, podnosiła w górę, rozprzęgała. Hotel naprzeciwko płynął już jak transatlantyk z oświetlonymi kabinami nad czarnym zwierciadłem asfaltu.

W głębi szary cień kościoła przypominał okręt-widmo o rozwiniętych żaglach i sterczących ku niebu masztach, gubiących się w szaroczerwonym świetle. Teraz zaczęły płynąć także holowniki-domy…

Siedzieliśmy przy sobie w milczeniu. Mgła odrealniała wszystko – nawet nas. Patrzyłem na dziewczynę: w jej szeroko rozwartych oczach błyszczał blask latarni.

– Przytul się do mnie, mocno, mocno – powiedziałem – inaczej mgła cię uniesie…

Zwróciła ku mnie twarz. Uśmiechała się, usta miała rozchylone, zęby błyszczały, oczy wpatrywały się we mnie wielkie i uważne. Ale mnie się zdawało, że nie patrzy na mnie – jak gdyby uśmiechała się ponad moją głową w szarą i srebrną mgłę, jak gdyby i ją kołysał powiew w koronach drzew, szmer kropli ściekających wzdłuż spękanej kory drzew. Zdawało mi się, że nadsłuchuje jakiegoś mrocznego, niedosłyszalnego wezwania, idącego gdzieś zza drzew, zza krawędzi świata. Bałem się, że za chwilę oderwie się ode mnie i pójdzie przez tę mgłę bez celu, a jednak pewnie, posłuszna mrocznemu, tajemniczemu wezwaniu ziemi i życia.

Nigdy nie zapomnę jej twarzy, nigdy nie zapomnę, jak pochylała się ku mnie, jak powoli nabierała wyrazu, jak w milczeniu wypełniała się czułością i tkliwością, jakąś promienistą ciszą, i rozkwitała. Nigdy nie zapomnę, jak jej usta wyszły mi naprzeciw, jak oczy poczęły zbliżać się do moich, aż wreszcie zatrzymały się i spojrzały na mnie pytająco, poważnie – ogromne i lśniące. A potem powoli zamknęły się, jak gdyby się poddając…

Mgła nadciągała i gęstniała. Krzyże na grobach sterczały z oparów, blade i niewyraźne. Zarzuciłem na nas oboje płaszcz. Miasto zapadło się. Czas zamarł…

Siedzieliśmy tak długo. Stopniowo wiatr się wzmógł, cienie kołysały się przed nami w mroku. Usłyszałem czyjeś kroki i ciche szepty. Po chwili dobiegło nas stłumione brzękanie gitary. Podniosłem głowę. Cienie zbliżyły się, nabrały zarysów ciemnych postaci i otoczyły nas półkolem. Cisza. I nagle wybuchnął śpiew: „Jezus, Jezus szuka ciebie…”

Poderwałem się, nasłuchując. Co tu się dzieje? Czy jesteśmy na Księżycu? Przecież to chór kobiecy śpiewa na dwa głosy…

– „Powstań, powstań, grzeszniku…” – rozbrzmiewało na cmentarzu w rytmie marsza wojskowego.

Spojrzałem na Pat.

– To niepojęte – rzekłem.

– „Wzbudź w swym sercu skruchę…” – ciągnął chór raźno.

Nagle zrozumiałem.

– O Boże! Przecież to Armia Zbawienia!

– „Nie dozwól pienić się grzechom…” – upominały cienie dźwięczną kantyleną.

W ciemnych oczach Pat pojawiły się iskierki. Usta jej drgały, ramiona podnosiły się i opadały w tłumionym śmiechu.

Niepowstrzymanie narastało fortissimo:

Żary piekieł, ognia męki
Oto za twój grzech udręki,
Dobry Jezus wzywa Ciebie,
Czyń pokutę, myśl o niebie!

– Milczeć, do ciężkiej cholery! – zabrzmiał nagle z mgły czyjś gniewny głos.

Na chwilę zapadła cisza. Ale Armia Zbawienia nawykła do przeszkód. Chór podjął śpiew z jeszcze większą mocą.

– „Cóż chcesz począć sam na świecie…?” – zapytywał unisono.

– Pomigdalić się z dziewczynką! – ryknął gniewny głos. – Czy już nawet tutaj nie można mieć chwili spokoju?

– „Gdzie kusi cię kłamstwo szatana…” – zabrzmiało patetyczne ostrzeżenie chóru.

– Wy, stare pudła, na pewno mnie nie skusicie! – nadeszła bez zwłoki odpowiedź.

Parsknąłem śmiechem. Pat również nie mogła się już pohamować. Zaśmiewaliśmy się z tego pojedynku na cmentarzu. Armia Zbawienia dobrze wiedziała, że tutejsze ławki dają schronienie kochającym się parom, które wśród zgiełku miasta nie mogą zna-

leźć samotności. Dlatego przypuszczano tu generalny atak. Armia Zbawienia urządziła niedzielną obławę dla ratowania dusz. Głośno i z wiarą wykrzykiwały nie wyszkolone głosy nabożny tekst pieśni. Gitary wtórowały im głośnym bzdrym-bzdrym.

Cmentarz nagle ożył. Zewsząd odezwały się we mgle chichoty i nawoływania. Wyglądało na to, że wszystkie ławki są zajęte. Samotny bunt miłości zyskał niewidocznych sojuszników. Utworzył się protestacyjny chór. Musieli uczestniczyć w nim dawni wojskowi, zagrzani do czynu rytmem marsza, gdyż po chwili zabrzmiała niezapomniana piosenka:

– „Dni piękne w Hamburgu spędziłem i czegóż więcej mógłbym chcieć…?"

– „Ach, wyzbądź się władzy grzechu…" – wybił się raz jeszcze przenikliwy chór ascetów, gdyż członkinie Armii Zbawienia, w swoich charakterystycznych kapelusikach, czuły się poważnie zaalarmowane.

Ale zło zwyciężyło.

– „Nie wyznam ci mego imienia – śpiewały szorstkie głosy – bo za forsę mnie możesz mieć…"

– Trzeba wiać! – powiedziałem do Pat. – Znam tę piosenkę. Ma kilkanaście strofek i są w nich coraz mocniejsze zwroty. Uciekajmy!

I znowu było miasto z hałasem klaksonów i piskiem opon samochodowych. A jednak i ono było zaczarowane. Mgła zmieniała autobusy w jakieś bajeczne stwory z rozświetlonymi ślepiami; a okna wystawowe stawały się kolorowymi jaskiniami oszołomienia.

Szliśmy ulicą biegnącą wzdłuż cmentarza i przecięliśmy wesołe miasteczko. Karuzele wznosiły się we mgle jak szumiące wieże muzyki i blasku, diabelskie koło tryskało purpurą, złotem i śmiechami, a labirynt lśnił błękitnym blaskiem.

– Błogosławiony labirynt – powiedziałem.

– Dlaczego? – spytała Pat.

– Byliśmy tam kiedyś razem.

Przytaknęła.

– Mam wrażenie, że było to już strasznie dawno temu.

– Pójdziemy tam jeszcze raz?

– Nie – odpowiedziałem. – Teraz już nie. Chcesz się czegoś napić?

Potrząsnęła głową. Wyglądała prześlicznie. Mgła wydawała się jakąś nieuchwytną wonią, dodającą jej jeszcze uroku.

– Nie czujesz się zmęczona?

– Nie, jeszcze nie.

Doszliśmy do namiotu z kółkami i haczykami. Na froncie wisiały lampy o biało rozpryskującym się karbidowym płomieniu. Pat spojrzała na mnie pytająco.

– Nie, dzisiaj nie rzucę ani jednego kółka. Nawet gdyby była do wygrania cała piwnica Aleksandra Wielkiego.

Wędrowaliśmy dalej, minęliśmy plac i doszliśmy do skweru.

– Tu musi być gdzieś *Daphne indica* – powiedziała Pat.

– Pachnie teraz już z daleka. Zupełnie wyraźnie. Możesz zaprzeczyć?

Zajrzała mi w oczy.

– Nie zaprzeczę.

– Przysiągłbym, że już zakwitła. W całym mieście pachnie.

Rozglądałem się ostrożnie na wszystkie strony, czy nie znajdę gdzie pustej ławki, ale czy to z powodu *Daphne indica*, czy też z powodu niedzieli, wszystkie ławki były zajęte. Spojrzałem na zegarek. Minęła już północ.

– Chodź, pójdziemy do mnie, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Nic nie odpowiedziała, ale zawróciliśmy oboje. Przy cmentarzu czekała nas niespodzianka: Armia Zbawienia otrzymała posiłki. Chór stał teraz w czterech rzędach. Były w nim nie tylko siostry, ale również dwa rzędy braci w mundurach. Śpiew rozbrzmiewał teraz nie na dwa, lecz na cztery głosy. W rytmie walca przelewały się ponad grobowcami słowa pieśni: „Niebiańska Jerozolimo…”

Opozycji nie było już słychać. Ustąpiła z placu. Już Hillermann, dyrektor szkoły, do której chodziłem, powtarzał mi zawsze: „Lepsza wytrwałość i pilność niż brak karności i geniusz”.

Otworzyłem drzwi i zastanawiałem się chwilę, co zrobić. Przekręciłem kontakt. Rura korytarza rozdziawiła się przede mną brunatna i obrzydliwa.

– Zamknij oczy – powiedziałem cicho do Pat. – Trzeba mieć zahartowane nerwy, aby znieść ten widok.

Wziąłem ją na ręce i przeszedłem przez korytarz spokojnym, równym krokiem, lawirując między kuframi aż do drzwi mojego pokoju.

– Strasznie tu u mnie, co? – spytałem onieśmielony, patrząc na rozpaczliwy garnitur mebli pluszowych. Tak, teraz brakowało brokatowych foteli pani Zalewskiej, dywanu i lampy państwa Hasse.

– Nie, wcale nie tak strasznie – powiedziała Pat.

– Nie broń tego ohydnego przybytku – odpowiedziałem, podchodząc do okna. – Ale widok jest przynajmniej piękny. Może przysuniemy fotele do okna?

Pat krążyła po pokoju.

– Naprawdę nie jest tak źle. Przede wszystkim jest cudownie ciepło.

– Zimno ci?

– Lubię ciepło – powiedziała, kuląc ramiona. – Nienawidzę zimna i deszczu. Wtedy źle się czuję.

– O Boże! Po cóż siedzieliśmy tak długo na dworze!

– Tym przyjemniej jest teraz u ciebie.

Przeciągnęła się i obchodziła znów pokój swoim lekkim, ładnym krokiem. Byłem strasznie zakłopotany, rozglądałem się dokoła. Jednym ruchem nogi kopnąłem podarte ranne pantofle pod łóżko.

Pat stanęła przed szafą i spojrzała w górę. Na szafie leżała stara walizka, którą podarował mi Lenz. Była cała oklejona kolorowymi nalepkami hoteli z jego awanturniczych podróży.

– Rio de Janeiro – odczytała Pat. – Manaos… Santiago… Buenos Aires… Las Palmas…

Odsunęła walizkę i podeszła do mnie.

– Byłeś tam wszędzie?

Mruknąłem coś niewyraźnie pod nosem. Wzięła mnie za rękę.

– Chodź, opowiedz o tym wszystkim, opowiedz mi o tych miastach. To musiało być cudowne jeździć tak daleko!

A ja? Patrzyłem, jak stoi przede mną, młoda, piękna, pełna oczekiwania, motyl, który cudownym trafem zabłąkał się do mojego zagraconego, nędznego pokoju, do mojego szarego, bezsensownego życia. Była u mnie, a jednak jak gdyby nie była. Jedno tchnienie, motyl mógł się unieść i odlecieć. Niech mnie piekło pochłonie, nie mogłem powiedzieć – nie, nie mogłem się przyznać, że nigdy nie widziałem na oczy tych krajów. Nie teraz…

Staliśmy przy oknie, mgła kłębiła się i cisnęła na szyby, a ja czułem, że tam, na ulicy, czają się wszystkie przemilczane, ukryte minione sprawy, zamglone dni szarzyzny i pustki, cały brud i strzępy naszego stratowanego istnienia, bezradność, krzątanina bezsensownie zdławionego życia. A tu, koło mnie, w cieniu, onieśmielająco blisko, był jej lekki oddech, niepojęta obecność, ciepłe, przejrzyste życie. Muszę je pochwycić, muszę je zdobyć…

– Rio – powiedziałem – Rio de Janeiro, port jak z bajki, siedmioma łukami wygina się zatoka, a ponad nią wznosi się białe, migocące miasto.

Zacząłem opowiadać o zalanych upałem miastach i nie kończących się równinach, o rzekach niosących żółty muł, o kolorowych wyspach i rozciągniętych na piasku krokodylach, o dżungli pożerającej drogi, o wyciu jaguarów w nocy, gdy statek sunie po rzece wśród oparów, woni wanilii, orchidei, butwienia i mroku. Słyszałem to wszystko od Lenza, ale teraz zdawało mi się, że sam tam kiedyś byłem, tak cudownie mieszały się wspomnienia rozmów z tęsknotą i pragnieniem, ażeby mdłemu kołowrotkowi mojego życia dodać trochę blasku, ażeby nie stracić sprzed oczu tej niepojęcie pięknej twarzy, tej nagłej nadziei i tego rozkwitu szczęścia, dla którego ja znaczyłem zbyt mało. Kiedyś jej to wytłumaczę, później, kiedy będę więcej znaczył, kiedy wszystko stanie się pewniejsze, ale nie teraz, później.

– Manaos… – mówiłem – Buenos Aires… – a każde słowo było prośbą i zaklęciem.

Noc. Za oknem deszcz. Krople spadały miękko i pieszczotliwie. Jeszcze przed miesiącem pluskały ponuro, natrafiając na nagie

konary lip. Teraz szumiały cicho w młodych, poddających się im liściach, przeciskały się do nich, ściekały w dół. Mistyczne święto, tajemnicze spływanie do korzeni, z których krople wydobędą się kiedyś, staną się liśćmi i będą czekać po nocach nowego przedwiośnia.

Było cicho. Hałas uliczny przygasł. Samotna latarnia mrugała światłem na chodniku. Delikatne liście drzew, oświetlone od dołu, wyglądały niemal biało i przezroczyście, a korony lip kołysały się pod oknami jak promieniste żagle.

– Słuchaj, Pat, deszcz pada…

– Tak.

Leżała koło mnie. Jej włosy odcinały się wyraźnie od bieli poduszki. Na tle rozburzonych włosów twarz jej wyglądała bardzo blado. Jedno ramię było uniesione, skóra lśniła jak matowy brąz, a wąska struga światła padała na jej rękę.

– Popatrz! – rzekła, wsuwając w tę smugę dłonie.

– Zdaje mi się, że to światło latarni z ulicy – powiedziałem.

Usiadła na łóżku. Teraz i twarz jej znalazła się w kręgu światła, które spływało wzdłuż ramion i piersi, żółte jak blask świec woskowych, potem zmieniło się, zbiegło razem i przeszło w odcień pomarańczowy. Niebieskie kręgi zaczęły wirować, potem nagle ciepła czerwień wytrysnęła zza jej włosów jak aureola, przesunęła się wyżej i powędrowała powoli po suficie.

– To reklama papierosów z przeciwka.

– Teraz widzisz, jak ładny jest twój pokój – powiedziała Pat.

– Jest ładny, bo ty tu jesteś. Wiem, że nie będzie już nigdy tym samym obrzydliwym pokojem, bo ty tu byłaś.

Uklękła na łóżku, cała owiana bladym błękitem.

– Ale… – odparła – ja tu będę przychodziła często, bardzo często.

Leżałem cicho i patrzyłem na Pat. Widziałem wszystko jak przez lekki, przezroczysty sen, czułem się odprężony, wyzwolony, spokojny i bardzo szczęśliwy.

– Jesteś śliczna, Pat! Znacznie ładniejsza niż w swoich sukienkach.

Uśmiechnęła się i pochyliła nade mną.

– Musisz mnie bardzo kochać, Robby. Nie wiem, co bym zrobiła bez miłości.

Oczy jej miały mnie w swojej władzy. Twarz nachylała się tuż nade mną. Była rozedrgana, otwarta, pełna namiętnej siły.

– Musisz mnie trzymać mocno przy sobie – szeptała – muszę mieć kogoś, kto mnie zatrzyma i nie puści. Inaczej zginę. Boję się.

– Nie wyglądasz na lękliwą!

– A jednak tak jest. Udaję odważną, ale często się boję.

– Nie bój się, będę cię trzymał mocno – powiedziałem, trwając w tej nierzeczywistej jawie, w rozkołysanym, promiennym śnie. – Już ja cię nie puszczę, Pat. Zobaczysz.

Ujęła moją głowę w swoje ręce.

– Naprawdę?

Przytaknąłem. Ramiona jej błyszczały teraz zielono jak w gładkiej wodzie. Pochwyciłem przeguby jej rąk i pociągnąłem ją ku sobie. Nakryła nas fala, świetlista, miękka fala, podnosząca się i pochłaniająca wszystko.

Spała w moich ramionach. Budziłem się często i spoglądałem na nią. Zdawało mi się, że ta noc nigdy się nie skończy. Płynęliśmy w jakimś nurcie, poza czasem. Wszystko przyszło tak szybko, że nie mogłem tego jeszcze pojąć. Nie pojmowałem, że ktoś może mnie kochać. Wiedziałem, że potrafię być dobrym towarzyszem dla mężczyzny, ale nie mogłem ani rusz zrozumieć, dlaczego miałaby mnie kochać kobieta. Myślałem, że pewno wszystko skończy się na tej jednej nocy, byłem przekonany, że po przebudzeniu minie cały sen.

Ciemność zaczęła szarzeć. Leżałem bez ruchu. Ramię podłożone pod głowę Pat zdrętwiało mi zupełnie i nie czułem go już wcale. Nie poruszyłem się jednak. Dopiero kiedy Pat odwróciła się przez sen i wcisnęła w poduszkę, wysunąłem powoli rękę. Wstałem cicho, umyłem się, ogoliłem i wypłukałem usta. Nabrałem w dłonie wody kolońskiej i natarłem sobie kark i włosy. Wszystko było takie dziwaczne w tym szarym pokoju, za którego oknami majaczyły ciemne zarysy drzew. Gdy się odwróciłem, ujrzałem, że Pat leży z otwartymi oczyma i przypatruje mi się. Zastygłem w oczekiwaniu.

– Chodź tu – powiedziała.

Zbliżyłem się i usiadłem na łóżku.

– Czy to wszystko jeszcze prawda?

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Może dlatego, że jest już rano.

Brzask napływał do pokoju.

– Podaj mi moje rzeczy.

Podniosłem cieniutką jedwabną bieliznę z podłogi. Była lekka i było tego tak niewiele. Trzymałem ją w ręku. „Już to jest takie inne – pomyślałem. – Kto nosi takie śliczne rzeczy, musi być inny. Nigdy nie zdołam tego zrozumieć, nigdy".

Podałem jej bieliznę. Objęła mnie ramieniem za szyję i ucałowała.

Potem odprowadziłem ją do domu. Nie mówiliśmy wiele. Szliśmy koło siebie, milcząc w srebrzystym poranku. Wozy z mlekiem turkotały po asfalcie, roznoszono poranne gazety. Jakiś starzec siedział przed bramą domu i spał. Podbródek drgał mu, jak gdyby się ledwo trzymał. Chłopcy z piekarni, z koszami pełnymi bułeczek, śmigali na rowerach. Ciepły, świeży chleb pachniał na ulicy. Wysoko nad naszymi głowami sunął w błękicie samolot.

– Dzisiaj? – spytałem Pat przed drzwiami jej domu.

Uśmiechnęła się.

– O siódmej?

Nie widać było po niej ani odrobiny zmęczenia. Była świeża, jak gdyby przespała spokojnie całą noc. Pocałowała mnie na pożegnanie. Stałem przed domem, dopóki nie zobaczyłem, że w jej pokoju rozbłysło światło.

Powędrowałem z powrotem. Po drodze przypomniało mi się wiele rzeczy, które powinienem był jej powiedzieć, wiele pięknych słów. Snułem się ulicami i myślałem nad tym, co mógłbym rzec i zrobić, gdybym był inny. Potem zaszedłem do hal targowych. Wozy z jarzynami, mięsem i kwiatami zajęły już swoje posterunki. Wiedziałem, że można tu kupić za te same pieniądze trzykrotnie więcej kwiatów niż w kwiaciarniach. Kupiłem za wszystko, co wyszperałem z kieszeni, tulipanów. Wyglądały cudownie, całkiem świeżo, w kielichach taiły się jeszcze krople

rosy. Dostałem całe naręcze. Sprzedawczyni przyrzekła mi solennie, że o jedenastej pośle kwiaty do Pat. Mówiąc to, śmiała się do mnie i dołożyła duży bukiecik fiołków.

– Pani będzie się cieszyła tymi kwiatami co najmniej przez dwa tygodnie – dowodziła. – Trzeba tylko od czasu do czasu wrzucić do wody pastylkę piramidonu.

Kiwnąłem głową i wręczyłem jej pieniądze. Potem poszedłem wolno do domu.

X

Ford stał gotowy w warsztacie. Nowej roboty nie mieliśmy. Trzeba było coś przedsięwziąć. Poszedłem z Kösterem na licytację. Chcieliśmy kupić wystawioną na sprzedaż taksówkę. Taksówkę można było stosunkowo korzystnie odsprzedać.

Hala licytacyjna znajdowała się w jakiejś oficynie, w północnej dzielnicy miasta. Oprócz taksówki było do sprzedania mnóstwo innych gratów. Część ich wystawiono na podwórzu. Łóżka, kulawe stoły, pozłacana klatka z papugą, wykrzykującą: „Szczęść Boże, kochanie!", zegar stojący, książki, szafy, stary frak, stołki kuchenne, naczynia – cała nędza jakiejś zburzonej egzystencji.

Przyszliśmy za wcześnie. Licytatora jeszcze nie było.

Zacząłem grzebać wśród rupieci, obejrzałem parę książek – były to zniszczone, tanie wydania greckich i łacińskich klasyków, z notatkami na marginesach. Na wyblakłych, rozlatujących się kartkach nie było już poezji Horacego i pieśni Anakreonta, biło z nich wołanie o pomoc, tchnęła bezradność przegranego życia. Dla człowieka, do którego te książki należały, były one jedyną ucieczką, zachował je aż do ostatka, jeśli je oddał, to znalazł się u kresu.

Köster zajrzał mi przez ramię.

– To smutne, prawda?

Kiwnąłem głową i wskazałem inne rzeczy.

– I to także smutne. Krzeseł kuchennych i szaf nie oddaje się tu dla przyjemności.

Podeszliśmy do wozu, który stał w rogu podwórza. Lakier był matowy i stary, ale wóz czysto utrzymany, nawet pod błotnikami.

Krępy mężczyzna o opuszczonych, szerokich dłoniach stał w pobliżu i patrzył na nas tępym wzrokiem.

– Obejrzałeś dokładnie maszynę? – spytałem Köstera.

– Już wczoraj – odparł. – Dosyć rozklekotana, ale utrzymana bez zarzutu.

Przytaknąłem.

– Tak wygląda. Jeszcze dzisiaj rano ją myto. Na pewno nie zrobił tego licytator.

Köster potrząsnął głową i wskazał wzrokiem krępego człowieka.

– To na pewno właściciel. Zastałem go tu wczoraj myjącego samochód.

– Tam do licha! Wygląda jak przejechany pies.

W tej chwili jakiś młodzieniec przeciął dziedziniec i podszedł do samochodu. Miał na sobie płaszcz z paskiem i był nieprzyjemnie szorstki.

– Ach, to jest ta balia – rzekł na wpół do nas, na wpół do stojącego w pobliżu człowieka i stuknął laską w maskę wozu. Widziałem, jak w oczach tamtego coś drgnęło. – Nie szkodzi, nie szkodzi – oświadczył młody człowiek z paskiem – lakier nie jest tak czy owak wart pięciu fenigów. Czcigodny grat. Nadaje się właściwie do muzeum, co? – Parsknął śmiechem, rad ze swojego dowcipu, i spojrzał na nas w oczekiwaniu aplauzu. Ale żaden z nas nie uśmiechnął się nawet. Młodzieniec zwrócił się więc spiesznie do właściciela. – Ile pan chce za tego dziadka?

Mężczyzna przełknął ślinę i milczał.

– Szmelc, stare żelastwo, co? – rechotał dalej młodzieniec w doskonałym humorze i zwrócił się znowu do nas. – Czy panowie interesują się również tym obiektem? – Po czym ściszonym głosem: – Możemy ubić wspólny interes. Kupimy wózek za parę groszy i podzielimy się zyskiem. Po co pchać ludziom niepotrzebnie forsę do kieszeni? Aha, panowie pozwolą – Gwido Thiess z firmy Augeka.

Zakręcił swoją bambusową laseczką i łypnął do nas porozumiewawczo. „Dla tego dwudziestopięciolatka – pomyślałem z pasją – nie ma widocznie żadnych tajemnic w życiu”.

Żal mi było biedaka sterczącego koło taksówki, powiedziałem więc:

– Powinien się pan nazywać inaczej niż Gwido Thiess.

– Proszę, a jak? – spytał pochlebiony. Przywykł widocznie do zbierania komplementów za swoje zdolności handlowe.

– Tak – ciągnąłem dalej. – Powinien się pan nazywać Smarkacz. Gwido Smarkacz!

Odskoczył jak oparzony.

– No, oczywiście – mruknął po chwili. – Dwóch na jednego.

– Jeżeli tylko o to chodzi, to jestem gotów wziąć pana sam na stronę.

– Dziękuję – rzekł lodowato Gwido. – Dziękuję pięknie. – Po czym odwrócił się i wycofał z placu boju.

Krępy człowiek z zatroskaną twarzą stał dalej, jakby go to wszystko nic a nic nie obchodziło, i gapił się na auto.

– Nie powinniśmy kupować tej taksówki, Otto – rzekłem.

– To kupi ją ten bydlak z paskiem. Nic nie pomożemy temu biedakowi.

– To racja. Ale przyznasz, że w tej całej sprawie jest coś przykrego.

– Gdzie są dzisiaj sprawy, w których by nie tkwiło coś przykrego? Wierz mi, dla tego biedaka będzie lepiej, jeżeli my kupimy ten wóz. Dostanie może za niego trochę więcej. Obiecuję ci jednak, że jeżeli to bydlę z paskiem nie zacznie licytować, to ja się też nie odezwę.

Zjawił się wreszcie licytator. Spieszyło mu się bardzo, widocznie miał dużo roboty. Co dzień odbywało się mnóstwo licytacji. Z okrągłymi gestami aktora zaczął licytować cały ten nędzny zbiór rupieci. Odznaczał się szubienicznym humorem i rzeczowością człowieka, który ma co dzień do czynienia z nędzą, ale nie przejmuje się jej widokiem.

Graty sprzedawano za grosze. Większość wykupiła zgraja handlarzy. Podnosili tylko niedbale palce, gdy licytujący zapytywał ich wzrokiem, albo potrząsali przecząco głową. Czasem jednak za oczyma licytatora biegło kilka innych spojrzeń: oczu udręczonej kobiety, które śledziły palce handlarzy jak wyrok boski, oczu peł-

nych nadziei i lęku. Do licytacji taksówki zgłosiło się trzech amatorów. Pierwszy Gwido, który rzucił cenę trzysta marek. Była to haniebnie niska oferta. Krępy człowiek zbliżył się do grupy licytujących. Wargi jego poruszały się bezgłośnie. Zdawało się, że chce licytować z innymi. Ale ręka jego opadła. Wycofał się.

Następna oferta brzmiała czterysta marek. Gwido podbił do czterystu pięćdziesięciu. Nastąpiła przerwa. Licytator rozejrzał się wokoło.

– Nikt nie daje więcej? Po raz pierwszy… po raz drugi…

Szofer stał z wybałuszonymi oczyma i pochyloną głową, jakby oczekując ciosu w kark.

– Tysiąc – zawołał Köster. – Spojrzałem na niego. – Warta jest trzy razy tyle – mruknął. – Nie mogę patrzeć, jak tego biedaka mordują na zimno.

Gwido dawał nam rozpaczliwe znaki. Zapomniał już ze szczętem owego smarkacza, ponieważ szło o interes.

– Tysiąc sto – beknął i mrugnął pod naszym adresem od razu obiema powiekami. Gdyby miał jeszcze jedną z tyłu, i tą by na pewno zamrugał.

– Tysiąc pięćset – powiedział Köster.

Licytator wpadł w trans. Wymachiwał młotkiem jak kapelmistrz. To były już całkiem inne liczby, aniżeli nędzne dwie albo dwie i pół marki jak przedtem!

– Tysiąc pięćset dziesięć – jęknął Gwido, a siódme poty uderzyły mu na czoło.

– Tysiąc osiemset – ciął Köster.

Gwido stuknął się palcem w czoło i ustąpił. Licytator aż podskakiwał. Pomyślałem nagle o Pat.

– Tysiąc osiemset pięćdziesiąt – powiedziałem jakby bezwiednie.

Köster odwrócił zdumiony głowę.

– Te pięćdziesiąt dodam od siebie – rzuciłem szybko. – To tak na wszelki wypadek, przez ostrożność.

Köster skinął głową. Licytator uderzył młotkiem w auto. Köster zapłacił żywą gotówką.

– To niesłychane! – rzekł Gwido, który nie mógł się ani rusz opanować, i podszedł do nas, jak gdyby nigdy nic. – Mogliśmy dostać pudło za tysiąc kawałków. Trzeciego wykiwalibyśmy w mgnieniu oka.

– Szczęść Boże, kochanie! – skrzeknął jakiś blaszany głos za jego plecami.

Była to papuga, która wraz ze złoconą klatką szła teraz pod młotek.

– Smarkacz! – rzuciłem.

Gwido wyniósł się, wzruszając ramionami.

Podszedłem do właściciela wozu. Stała przy nim blada kobieta.

– No więc tak – rzekłem.

– Już wiem.

– Wolelibyśmy nie licytować. Ale wtedy dostalibyście mniej.

Kiwnął głową i wyłamywał sobie palce.

– Wóz jest dobry – powiedział szybko, przemagając się. – Wóz jest dobry, wart jest tych pieniędzy, wart na pewno. Pan nie przepłacił, pan wie, to nie była wina wozu, wóz był w porządku, tylko to jest… to było… pan rozumie.

– Wiem, wiem.

– I tak nie dostaniemy nic z tych pieniędzy – wtrąciła kobiecina. – Wszystko zabiorą na długi.

– Jakoś to będzie, matko, jakoś to będzie – uspokajał ją mąż.

Kobiecina nie odpowiedziała.

– Przy włączaniu biegu… z pierwszego na drugi, szarpie trochę – mówił mężczyzna. – Ale to nie jest feler. Jak był nowiutki, robił to samo. – Mówił, jakby chodziło o małe dziecko. – Mieliśmy go trzy lata i nigdy najmniejszego defektu… Widzi pan, naprzód byłem chory, a potem nabrał mnie jeden taki… przyjaciel.

– Łajdak – rzekła kobieta, a twarz jej stwardniała.

– Daj spokój, matko. Jeszcze się wygrzebiemy, no nie?

Nie odpowiedziała. Człeczyna aż błyszczał od potu.

– Niech pan nam da swój adres – rzekł Köster – może będziemy kiedy potrzebowali kierowcy.

Mężczyzna gorliwie wypisywał adres ciężką, uczciwą ręką. Spojrzałem na Köstera. Wiedzieliśmy przecież obaj, że musiałby

się stać cud, żeby coś z tego mogło być. A cuda się już nie zdarzały. Chyba takie, po których spadało się na łeb, na szyję.

Mężczyzna gadał i gadał jak w gorączce. Licytacja skończyła się. Staliśmy sami na dziedzińcu. Biedak radził nam, jak zabezpieczyć starter na zimę. Raz po raz dotykał wozu. Wreszcie umilkł.

– Chodź już, Albert – powiedziała żona.

Podaliśmy mu rękę na pożegnanie. Odeszli. Poczekaliśmy, aż znikną. Potem zapuściliśmy silnik.

W bramie spotkaliśmy drobną staruszkę. Trzymała w ramionach klatkę z papugą i opędzała się natrętnej gromadzie bachorów. Köster zatrzymał się.

– Gdzie panią podwieźć? – spytał.

– Mój Boże, nie mam pieniędzy na taksówkę.

– Nie potrzeba pieniędzy – odparł Otto. – Dzisiaj są moje urodziny i wożę za darmo.

Trzymała kurczowo klatkę i spoglądała na nas nieufnie.

– A potem okaże się, że trzeba jednak coś zapłacić.

Uspokoiliśmy jej obawy i starowinka zdecydowała się wsiąść.

– Po co kupiliście tę papugę, matko? – spytałem, gdy wysadziliśmy ją przed domem.

– Tak na wieczory. Czy panowie myślą, że drogo będzie kosztować karmienie ptaka?

– Nie. Ale jak to na wieczory?

– Papuga przecież gada – powiedziała staruszka i spojrzała na mnie jasnymi, starymi oczyma. – Będzie przynajmniej w domu ktoś, kto mówi.

– Ach tak…

Po południu zjawił się piekarz, ażeby odebrać swojego forda. Wyglądał na rozgoryczonego i poszarzałego. Byłem sam na podwórzu.

– Podoba się panu kolor? – spytałem.

– Owszem, tak – mruknął niezdecydowanie.

– Buda jest teraz bardzo ładna.

– Pewno…

Kręcił się na miejscu i nie mógł się jakoś zdecydować na odjazd. Obawiałem się, że będzie się starał wytargować jeszcze coś na dodatek: lewarek, popielniczkę czy coś w tym guście.

Ale stało się zupełnie co innego. Chwilę sapał, po czym spojrzał na mnie oczyma w czerwonych obwódkach i rzekł:

– Jak sobie człowiek pomyśli… Jeszcze przed paru tygodniami siedziała kobieta zdrowa i wesoła w wozie…

Zdumiałem się, widząc, że piekarzyna tak zmiękł. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że ta zwinna czarna bestyjka, z którą był tu ostatnio, musiała mu dobrze zalać sadła za skórę. Gniew czyni ludzi prędzej sentymentalnymi aniżeli miłość.

– Dobra była kobieta – ciągnął – z kościami. Nigdy niczego nie żądała. Dziesięć lat nosiła ten sam płaszczyk. Bluzki i takie tam rzeczy zawsze szyła sobie sama. I w domu wszystko sama robiła, bez służącej.

„Aha – pomyślałem sobie – nowa nie chce ruszyć palcem". Piekarzyna zaczął się wywnętrzać. Opowiadał mi, jak oszczędna była jego nieboszczka żona. Było to doprawdy zdumiewające, jak wspomnienie zaoszczędzonego grosza wzruszyło tego zapitego kręglarza. Nigdy nie chciała pójść do przyzwoitego fotografa, uważała, że to za dużo kosztuje. Dlatego została mu wszystkiego jedna fotografia poślubna i kilka amatorskich zdjęć.

Przyszła mi do głowy świetna myśl.

– Powinien pan zamówić sobie ładny portret swojej nieboszczki żony – powiedziałem. – Będzie pan miał pamiątkę na całe życie. Fotografie blakną z czasem. Znam malarza, który robi doskonałe portrety z fotografii.

Opisałem mu malarską działalność Ferdynanda Graua. Od razu nastawił się nieufnie i powiedział, że to pewnie będzie dużo kosztowało. Uspokoiłem go; jeżeli pójdziemy razem, wytarguję dla niego specjalną cenę. Próbował się wymigać. Ale nie wypuściłem go ze swych szponów i oznajmiłem, że jeżeli istotnie tak kochał żonę, nie powinien się liczyć z wydatkiem na portret. Wreszcie się zgodził. Zatelefonowałem do Ferdynanda i powiedziałem, że przy-

wiozę mu ofiarę. Po czym pojechałem z piekarzyną do domu po fotografię jego żony.

Czarnula wypadła od razu ze sklepu. Okrążyła wokoło forda.

– A jednak czerwony byłby ładniejszy, kotku! Ale ty oczywiście musiałeś postawić na swoim!

– Daj spokój – mruknął zgnębiony kotek.

Weszliśmy do pokoju. Czarnula za nami. Jej rozbiegane oczy śledziły wszystko. Piekarz był zdecydowany. Nie chciał przy niej szukać fotografii.

– Zostaw nas samych – burknął wreszcie szorstko.

Kołysząc wyzywająco piersiami pod ciasno opiętym sweterkiem, wyniosła się z pokoju. Piekarz wydobył z albumu w zielonej pluszowej oprawie parę fotografii i pokazał mi je. Nieboszczka jako panna młoda, on koło niej z podkręconym wąsem – wtedy uśmiechała się jeszcze. Drugie zdjęcie: siedziała na brzeżku krzesła chuda, spracowana, z wylęknionymi oczyma. Tylko dwa małe zdjęcia – a przecież całe życie.

– To wystarczy – powiedziałem. – Zrobi z tego portret jak żywy.

Ferdynand Grau przyjął nas w szlafroku. Wyglądał godnie i uroczyście. To należało do jego metod handlowych. Wiedział, że dla wielu ludzi będących w żałobie ważniejszy jest szacunek dla ich bólu niż sam ból.

Na ścianach pracowni wisiały okazałe olejne portrety w złoconych ramach, a pod nimi małe fotografie, według których Grau malował. Kandydat na klienta mógł się naocznie przekonać, co można zrobić nawet z niewyraźnego amatorskiego zdjęcia.

Ferdynand oprowadził piekarza po pracowni, po czym spytał, jaki rodzaj portretu najbardziej mu się podoba. Piekarz zapytał ze swej strony pośpiesznie, czy cena jest zależna od wielkości obrazu. Ferdynand wyjaśnił, że gra rolę nie ilość metrów kwadratowych, lecz sposób wykonania. Wtedy piekarzowi spodobał się portret największego formatu.

– Pan ma dobry gust – pochwalił go Ferdynand. – Jest to portret księżniczki Borghese. Kosztuje osiemset marek z ramą.

Piekarz drgnął.

– A bez ramy?

– Siedemset dwadzieścia.

Piekarz zaoferował czterysta marek. Ferdynand potrząsnął swoją lwią głową.

– Za czterysta może pan mieć co najwyżej głowę z profilu. Ale nie portret do kolan i en face. To dwa razy tyle pracy.

Piekarz oświadczył, że właściwie wystarczy mu głowa z profilu. Wtedy Ferdynand zwrócił mu uwagę, że oba zdjęcia zrobione są en face. Z tego nawet Tycjan nie potrafiłby namalować głowy z profilu. Piekarz pocił się; można było po nim poznać, jak szczerze żałuje, że wtedy, podczas robienia tych zdjęć, nie był bardziej przewidujący. Musiał przyznać rację Ferdynandowi – przy portrecie en face trzeba było namalować o pół twarzy więcej. Wyższa cena była zatem uzasadniona. Ferdynand zachowywał się dotychczas z rezerwą; teraz zaczął obrabiać piekarza. Jego potężny bas dudnił tłumiony ścianami pracowni. Jako fachowiec musiałem w duchu przyznać, że pierwszorzędnie odwala robotę. Toteż piekarz wkrótce dojrzał do interesu, szczególnie kiedy Ferdynand odmalował wrażenie, jakie wspaniały obraz jego nieboszczki żony wywrze na nieprzychylnych sąsiadach.

– Dobrze – rzekł piekarz – ale dziesięć procent rabatu przy zapłacie gotówką.

– Zgoda – odparł Ferdynand – niech będzie dziesięć procent rabatu, ale zaliczka trzysta marek na moje wydatki: farby, płótno i tak dalej.

Targowali się jeszcze trochę, wreszcie uzgodnili wszystko i omówili szczegóły wykonania. Piekarz chciał, żeby Grau domalował darmo sznur pereł i złotą broszkę z brylantami. Tego nie było na fotografiach.

– Ależ oczywiście – zapewnił go Ferdynand. – Domaluję biżuterię pańskiej małżonki. Najlepiej będzie, jeśli pan przyniesie mi te rzeczy na parę godzin, wtedy będę je mógł ściśle odtworzyć.

Piekarz zaczerwienił się.

– Ja… ja ich już nie mam. Są… oddałem je krewnym.

– Aha. No, jakoś sobie poradzę. Czy broszka była podobna do wymalowanej na tamtym obrazie?

Piekarz skinął głową.

– Trochę mniejsza.

– Dobrze, namaluję mniejszą. Bez pereł i tak się obejdę. Wszystkie sznury pereł są do siebie podobne.

Piekarz odetchnął.

– A kiedy obraz będzie gotów?

– Za sześć tygodni.

– Dobrze.

Piekarz pożegnał się. Zostałem jeszcze chwilę z Ferdynandem.

– Potrzebujesz na to sześciu tygodni? – spytałem.

– Co znowu! Cztery, pięć dni. Ale nie mogę mu tego powiedzieć, bo zaraz by wyliczył, ile zarabiam w ciągu godziny, i czułby się oszukany. Sześć tygodni to co innego. To samo z księżniczką Borghese. Taka już jest ludzka natura, Robby. Jeślibym mu powiedział, że to portret szwaczki, obraz straciłby wartość w jego oczach. Wiesz, już po raz szósty nieboszczki mają taką samą biżuterię jak na tamtym obrazie. Ciekawy przypadek, co? Świetna reklama, ten portret poczciwej Luizy Wolff.

Rozejrzałem się po pracowni. Ze ścian spoglądały na nas twarze kobiet od dawna już butwiejących w ziemi. Były to portrety nie odebrane lub nie zapłacone przez krewnych. Portrety ludzi, którzy kiedyś oddychali, mieli jakieś nadzieje…

– Czy nie nastraja cię to chwilami melancholijnie, Ferdynandzie?

Wzruszył ramionami.

– Nie, co najwyżej cynicznie. Człowiek wpada w melancholię, kiedy rozmyśla o życiu, a staje się cynikiem, kiedy widzi, jak sobie inni z nim radzą.

– No, niektórzy odczuwają to głębiej.

– Pewno, że tak. Ale ci nie zamawiają portretów. – Podniósł się. – To zresztą dobrze, że mają jeszcze te głupie drobiazgi, które ich chronią i podtrzymują. Samotność, prawdziwa samotność bez złudzeń, to stan poprzedzający obłęd lub samobójstwo.

Duża pracownia tonęła w mroku. Z sąsiedniego pokoju dochodził odgłos kroków. To gospodyni Graua. Nigdy nie pokazywała się, kiedy u Ferdynanda był któryś z nas. Nienawidziła nas, sądziła bowiem, że podjudzamy Graua przeciw niej.

Wyszedłem. Zanurzyłem się w zgiełk i ruch uliczny jak w ciepłą kąpiel.

XI

Szedłem do Pat. Po raz pierwszy miałem być u niej z wizytą. Dotychczas albo ona przychodziła do mnie, albo zabierałem ją sprzed domu i szliśmy gdzieś. Miałem jednak ustawicznie wrażenie, że bawi tu tylko przelotnie. Chciałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Chciałem się przekonać, jak mieszka.

Przypomniałem sobie, że powinienem przynieść kwiaty. Nie było to trudne zadanie. Park miejski za wesołym miasteczkiem stał w pełnym rozkwicie. Przesadziłem ogrodzenie i zacząłem obrabowywać krzak białego bzu.

– A pan co tam robi? – zabrzmiał nagle jakiś gromki głos.

Podniosłem głowę. Przede mną stał pan o twarzy czerwonej jak od burgunda i podkręconych białych wąsikach. Patrzał na mnie z oburzeniem. Nie był to ani policjant, ani dozorca z ogrodu. Można było od razu poznać, że to emerytowany wyższy wojskowy.

– Nietrudno się zorientować, co robię – odparłem uprzejmie. – Rwę bez.

Emerytowi odebrało na chwilę mowę.

– Czy pan nie wie, że to jest park miejski? – warknął z wściekłością.

Roześmiałem się.

– Oczywiście, że wiem! A może pan przypuszcza, że to ciche ustronie biorę za Wyspy Kanaryjskie?

Oblicze emeryta nabrało tonu fioletu. Obawiałem się, że szlag go trafi.

– Natychmiast wynosić mi się, nicponiu! – ryknął pierwszorzędnym głosem używanym na podwórzu koszarowym. – Krad-

niesz, draniu jeden, dobro miejskie! Każę cię odprowadzić na policję!

Zdołałem tymczasem narwać całą naręcz bzu.

– No, to mnie łap, dziaduniu! – rzuciłem wyzwanie pod adresem staruszka, przeskoczyłem ogrodzenie i przepadłem.

Przed domem Pat zlustrowałem raz jeszcze moje ubranie. Potem dopiero wspiąłem się po schodach, rozglądając się po drodze. Dom był nowy i nowocześnie zbudowany. Jakież przeciwieństwo mojej zapchanej, pełnej fałszywej pompy budy! Schody były wyłożone czerwonym chodnikiem. Takich szyków nie znał dom mamy Zalewskiej, nie mówiąc już o luksusie windy.

Pat mieszkała na drugim piętrze. Przy drzwiach błyszczała dumna metalowa tabliczka: Egbert von Hake, płk. dypl. Przypatrywałem jej się długo. Nim zadzwoniłem, bezwiednie poprawiłem raz jeszcze krawat.

Otworzyła mi pokojówka w białym czepeczku i białym jak śnieg fartuszku. Nie można było w ogóle porównać tego stworzenia z naszym zezowatym szturmakiem Frydą. Zrobiło mi się nagle jakoś nieswojo.

– Pan Lohkamp? – spytała dziewczyna.

Kiwnąłem głową.

Przeprowadziła mnie przez mały hall i otworzyła jakieś drzwi. Nie byłbym szczególnie zdziwiony, gdybym zastał tam płk. dypl. Egberta von Hake w pełnej gali i gdyby tenże wziął mnie na spytki. Portrety całego legionu generałów obwieszonych orderami, którzy spoglądali ze ścian hallu na mnie, cywila, przygotowały mnie na najgorsze. Ale wtedy wyszła naprzeciw Pat swoim pięknym, długim krokiem i pokój zmienił się od razu w wyspę ciepła i pogody. Zamknąłem drzwi i wziąłem ją ostrożnie w ramiona. Potem dopiero wręczyłem jej kradziony bez.

– Masz! – powiedziałem. – Z pozdrowieniami od zarządu ogrodów miejskich!

Włożyła kiście do dużego, jasnego wazonu stojącego na podłodze koło okna. Rozglądałem się tymczasem po pokoju. Miękkie, stonowane kolory, nieliczne piękne, stare meble, matowoniebieski

dywan, pastelowe zasłony, wygodne niskie foteliki, obite spłowiałym aksamitem.

– Mój Boże, jak wynalazłaś taki paradny pokój, Pat? Przecież w wynajętych pokojach ustawiają ludzie tylko wyranżerowane graty oraz bezużyteczne podarunki imieninowe!

Odsunęła przezornie wazon z kwiatami pod ścianę.

Widziałem jej smukły, pochylony kark, proste plecy i nieco za szczupłe ramiona. Klęcząc, wyglądała jak dziecko, jak małe dziecko, które należy osłaniać. Ale miała ruchy sprężystego zwierzęcia i gdy się wyprostowała i oparła na mnie, przestała już być dzieckiem. Oczy jej i usta nabrały wyrazu jakiegoś pytającego oczekiwania i tajemnicy, która wprawiała moje myśli w zamęt. Nie przypuszczałem, ażeby to mogło jeszcze istnieć na tym łajdackim świecie.

Objąłem jej ramiona. Jak dobrze było czuć jej ciało tak blisko siebie.

– To wszystko należy do mnie, Robby. Mieszkanie zajmowała moja matka. Po jej śmierci musiałam je oddać i zachowałam dla siebie tylko dwa pokoje.

– A więc mieszkanie należy do ciebie? – spytałem z ulgą. – A płk. dypl. Egbert von Hake mieszka u ciebie jako sublokator?

Potrząsnęła głową.

– Już nie. Nie mogłam utrzymać mieszkania. Sprzedałam resztę mebli i oddałam mieszkanie. Teraz ja jestem tu sublokatorką. Ale co tak się uczepiłeś starego Egberta?

– Nic, nic. Mam tylko wrodzony wstręt do policjantów i oficerów sztabowych. Pochodzi to jeszcze z czasów mojej służby wojskowej.

Zaśmiała się.

– Mój ojciec był także majorem.

– Majora potrafię jeszcze znieść.

Nagle owładnęło mną złe przeczucie.

– Czy ten pułkownik nie jest przypadkiem mały, wyprostowany jak świeca, z czerwoną twarzą, białym wąsem i potężnym głosem? I czy przypadkiem nie spaceruje po parkach miejskich?

– Aha! – Spojrzała na bez i roześmiała się. – Nie, to blady drągal i nosi rogowe okulary!

– W takim razie nie miałem przyjemności.

– Masz ochotę go poznać? Bardzo miły człowiek.

– Niech mnie Bóg strzeże! Należę na razie raczej do kasty monterów i mieszkańców pensjonatu pani Zalewskiej.

Zapukano do drzwi. Pokojówka popychała przed sobą niziutki stoliczek na kółkach. Patrzyłem jak urzeczony na cienką białą porcelanę, srebrną paterę z ciastkami, drugą z nieprawdopodobnie małymi kanapkami, serwetki, papierosy i Bóg raczy wiedzieć, co tam jeszcze było!

– Litości, Pat! To przecież jak w filmie. Już na schodach zmiarkowałem, że stoimy na innych szczeblach społecznych. Pamiętaj, że nawykłem wcinać z zatłuszczonego papieru, rozłożonego na parapecie okna u pani Zalewskiej i że towarzyszy mi przy tym wiernie maszynka spirytusowa. Miejże litość nad mieszkańcem ohydnych pensjonatów, jeżeli w swoim onieśmieleniu przewróci jedną z twoich filiżanek!

Śmiała się.

– Zabraniam surowo! Nie pozwala ci na to honor specjalisty od samochodów. Musisz mieć przecież zwinne palce. – Pochwyciła ucho jednego z dzbanków. – Herbaty czy kawy?

– Herbaty czy kawy? A więc jest jedno i drugie?

– Tak. Zajrzyj!

– Cudownie! Jak w najwytworniejszych lokalach. Brakuje nam tylko muzyki.

Pochyliła się i przekręciła gałkę małego walizkowego radia, którego przedtem nie zauważyłem.

– A więc na co masz ochotę: herbata czy kawa?

– Kawa, zwykła kawa, Pat. Jestem prosty człowiek ze wsi. A ty?

– Napiję się z tobą kawy.

– Ale zwykle pijesz herbatę?

– Tak.

– No widzisz!

– Zaczynam się już przyzwyczajać do kawy. Chcesz ciastko, czy wolisz kanapki?

– I to, i to, Pat. Należy wykorzystywać takie okazje. Potem napiję się jeszcze herbaty. Skosztuję wszystkich twoich specjałów.

Śmiejąc się, nałożyła mi pełen talerz. Broniłem się, jak mogłem.

– Dosyć, dosyć! Pamiętaj, że przebywamy w pobliżu pułkownika dyplomowanego i że w wojsku zaleca się niższym szarżom umiarkowanie!

– Tylko w piciu. Stary Egbert sam namiętnie pochłania ciastka z bitą śmietaną.

– Nie tylko w piciu, ale i w wygodzie. Ci panowie odzwyczaili nas od niej gruntownie w swoim czasie. – Przesuwałem tam i z powrotem stolik na gumowych kółkach. Aż się o to prosił. Toczył się bezszelestnie po dywanie. Rozejrzałem się. Wszystko w tym pokoju harmonizowało ze sobą. – Tak, Pat, tak to żyli nasi przodkowie.

– Cóż ty za głupstwa opowiadasz!

– To nie są głupstwa! To są fakty historyczne.

– Przecież to naprawdę czysty przypadek, Robby, że mi zostało tych parę gratów.

Potrząsnąłem głową.

– To nie przypadek. I nie chodzi o graty. Chodzi o to, co z nich promieniuje. Pewność. Ty tego nie rozumiesz. Rozumie to tylko ten, kto już tego nie ma.

Spojrzała na mnie.

– Gdybyś naprawdę chciał, mógłbyś mieć to samo.

Wziąłem ją za rękę.

– W tym sęk, Pat, że ja nie chcę. Wyglądałbym we własnych oczach jak hochsztapler. Tacy jak ja czują się najlepiej w ciągłym pogotowiu alarmowym. Człowiek już nawykł do tego. To cecha naszej epoki.

– To bardzo wygodnie.

Zaśmiałem się.

– Być może. A teraz nalej mi trochę herbaty. Chciałbym jej skosztować.

– Nie. Pijmy dalej kawę. Ale zjedz coś! Na rachunek pogotowia alarmowego!

– Dobra myśl! Ale czy nasz luby Egbert, namiętny ciastkożerca, nie liczy na to, że coś dla niego zostanie?

– Być może. Musi jednak liczyć się także z zemstą niższych szarż. To także cecha naszej epoki. Sprzątnij mu wszystko.

Oczy jej promieniały, wyglądała cudownie.

– Wiesz – powiedziałem – gdzie kończy się bezapelacyjnie stan pogotowia?

Nie odpowiedziała. Pytała wzrokiem.

– U ciebie! A teraz, bez skrupułów, hajda na ciastka pułkownika!

Wypiłem w południe tylko filiżankę bulionu w jakiejś knajpie szoferskiej. Toteż nie sprawiło mi trudności spałaszowanie wszystkiego, co leżało na talerzach. Na dokładkę, zachęcony przez Pat, wypiłem do dna dzbanek kawy.

Siedzieliśmy przy oknie, paląc papierosa. Nad dachami niebo płonęło wieczorną czerwienią.

– Jak tu pięknie u ciebie, Pat. Można by całymi tygodniami nie ruszać się stąd krokiem, aż się zapomni o całym zamęcie za tymi ścianami.

Uśmiechnęła się.

– Był czas, kiedy straciłam nadzieję, że kiedyś w ogóle wyjdę z tego pokoju.

– Kiedy to było?

– Gdy byłam chora.

– To co innego. Co ci było?

– Nic poważnego. Kazano mi leżeć w łóżku. Za szybko rosłam, a za mało miałam do jedzenia. W czasie wojny i po wojnie nie przelewało się.

Przytaknąłem.

– Jak długo leżałaś?

Wahała się przez chwilę.

– Około roku.

– To strasznie długo.

Spojrzałem na nią uważnie.

– Teraz już wszystko minęło. Ale wtedy zdawało mi się, że leżę całe życie. Opowiadałeś mi raz w barze o twoim przyjacielu Valentinie. Że ani na chwilę nie mógł zapomnieć po wojnie, jakie to szczęście móc żyć. I że wszystko poza tym zupełnie mu zobojętniało.

– Jak to świetnie zapamiętałaś.

– Bo ja to doskonale rozumiem. Od tego czasu cieszę się z byle powodu. Przypuszczam, że jestem powierzchowna.

– Powierzchowni są tylko ci, którzy myślą, że tacy nie są.

– Ale ja na pewno jestem. Nie interesują mnie wielkie sprawy życia. Tylko rzeczy piękne. Wystarczy mi ten bez, żebym czuła się szczęśliwa.

– To nie jest powierzchowne. To jest krańcowa filozofia.

– Nie, nie u mnie. Jestem powierzchowna i lekkomyślna.

– Ja też.

– Nie w tym stopniu, co ja. Powiedziałeś przed chwilą coś o hochsztaplerstwie. Otóż ja jestem prawdziwym hochsztaplerem.

– Tak właśnie myślałem.

– Na pewno. Od dawna już powinnam się była wyprowadzić z tego mieszkania, nauczyć się jakiegoś zawodu i zarabiać. Ale odsuwałam to wciąż na później. Chciałam przez jakiś czas żyć tak, jak to sobie wymarzyłam. Wszystko jedno, czy rozsądnie czy nie. I żyłam tak.

Zaśmiałem się.

– Dlaczego robisz przy tym taką zatroskaną minę?

– Bo wszyscy mówili mi, że to jest niesłychanie lekkomyślne. Powinnam była raczej nie naruszać mego kapitaliku, znaleźć pracę i zarabiać. Ale ja chciałam raz czuć się wesoła i lekka, nie mieć ustawicznych trosk i robić to, co mi się podoba. Było to po śmierci mojej matki i potem, kiedy tak długo wyleżałam się w łóżku.

– Nie masz rodzeństwa?

Potrząsnęła głową.

– Nie mógłbym sobie nawet tego wyobrazić.

– Czy i ty uważasz, że byłam lekkomyślna?

– Nie. Tylko odważna.

– Ach, odwaga… nie jestem znowu tak bardzo odważna. Niejednokrotnie najadłam się w tym czasie strachu. Tak jak człowiek, który zajął w teatrze cudze miejsce, ale się z niego nie rusza.

– A więc jednak byłaś odważna. Odważnym może być tylko ten, kto się boi. Poza tym postępowałaś całkiem rozsądnie. Pieniądze rozpłynęłyby się. Tak przynajmniej użyłaś sobie za nie. Powiedz mi, co właściwie robiłaś?

– Właściwie nic. Po prostu żyłam dla siebie.

– Cześć zasłudze! Jest to największy luksus, na jaki człowiek może sobie pozwolić.

Uśmiechnęła się.

– Niestety, wkrótce się to skończy. Będę musiała zacząć zarabiać.

– Co takiego? Czy może twoja tajemnicza rozmowa z Bindingiem dotyczyła posady?

Kiwnęła głową.

– Tak, spotkałam się z Bindingiem i doktorem Matuscheitem, jednym z dyrektorów wytwórni gramofonów „Electrola". Potrzebują sprzedawczyni płyt znającej się trochę na muzyce.

– Oczywiście, nic lepszego nie mógł ci ten grubas zaproponować.

– Przeciwnie, proponował mi coś zupełnie innego, ale ja się na to nie chciałam zgodzić.

– Nie radzę mu nawet zaczynać. Powiedz mi, kiedy masz zacząć pracę?

– Pierwszego sierpnia.

– No, to mamy jeszcze trochę czasu. Może znajdzie się coś innego. W każdym razie możesz liczyć na nas jako na klientów.

– Masz w ogóle gramofon?

– Nie, ale oczywiście zaraz go sobie zafunduję. Na razie zresztą cała ta posada wyraźnie mi się nie podoba.

– A mnie bardzo. Ja przecież nic właściwie nie umiem. A poza tym znacznie łatwiej jest mi się zdecydować, odkąd jesteś przy mnie. Ale może w ogóle nie powinnam była ci tego wszystkiego opowiadać?

– Właśnie że tak! Musisz mi teraz wszystko o sobie mówić.

Patrzyła na mnie chwilę.

– Dobrze, Robby – powiedziała. Wstała i podeszła do małej szafki. – Wiesz, co tu mam? Rum dla ciebie. Zdaje mi się, że dobry rum.

Postawiła na stole kieliszek i spoglądała na mnie wyczekująco.

– Rum jest doskonały, czuję już to z daleka. Ale powiedz mi, Pat, czy nie powinnaś zacząć troszkę oszczędzać, ażeby opóźnić tę gramofonową historię?

– Nie.

– Także racja.

Już po kolorze poznałem, że rum jest domowego chowu. Pat nabrano w sklepie bez żenady. Wychyliłem kieliszek.

– Pierwsza klasa, nalej mi jeszcze jeden. Gdzie kupiłaś ten specjał?

– W sklepie na rogu.

„Aha – pomyślałem – oczywiście jeden z tych przeklętych handli delikatesami". Obiecałem sobie, że przy okazji zajdę tam i powiem właścicielowi, co myślę.

– Teraz muszę się już pewno wynosić, co?

Spojrzała na mnie.

– Jeszcze nie.

Staliśmy przy oknie. Na ulicy zapaliły się latarnie.

– Pokaż mi swoją sypialnię – powiedziałem.

Otworzyła drzwi i przekręciła kontakt. Stanąłem w drzwiach i zajrzałem do pokoju. Różne myśli przechodziły mi przez głowę.

– A więc to jest twoje łóżko, Pat? – spytałem wreszcie.

Uśmiechnęła się.

– A czyjeż by miało być, jeżeli nie moje?

– Święta racja. – Rzuciłem okiem w kąt pokoju. – A tam stoi telefon. Teraz wiem wszystko. Pójdę już. Do widzenia, Pat.

Położyła mi ręce na skroniach. Jak cudownie byłoby zostać teraz w nadchodzącym powoli wieczorze, przytulony do niej pod miękką błękitną kołdrą w jej sypialni. Ale było coś, co mnie od tego powstrzymywało. Nie były to jakieś opory ani trwoga, ani ostrożność – po prostu wielka tkliwość, czułość, która pochłonęła pożądanie.

– Do widzenia, Pat. Cudownie było u ciebie. Było znacznie piękniej, aniżeli możesz to sobie wyobrazić. A ten rum… że o nim pomyślałaś…

– Ależ to takie proste!

– Nie dla mnie. Nie przywykłem do tego.

I znowu znalazłem się w pensjonatowej norze. Siedziałem chwilę bezczynnie. Nie podobało mi się, że Pat będzie coś zawdzięczała Bindingowi. Wstałem i poszedłem naprzeciwko, do Erny Bönig.

– Przychodzę w poważnej sprawie – oświadczyłem. – Jak wygląda sytuacja na rynku pracy dla kobiet?

– Ojej – jęknęła – a cóż to za zaskakiwanie pytaniami bez żadnego przygotowania! Sytuacja jest pod psem.

– Nic nie można znaleźć? – spytałem.

– W jakiej branży?

– Posada sekretarki, asystentki…

Machnęła ręką.

– Paręset tysięcy kobiet szuka takiej pracy. Czy ta pani umie coś?

– Ma ujmującą powierzchowność – powiedziałem.

– Ile zgłosek?

– Co?

– Ile zgłosek na minutę pisze? W ilu językach?

– Nie mam pojęcia. Wie pani, myślałem, że może do reprezentacji…

– Drogi chłopcze – przerwała mi Erna – z góry wiem, co będzie dalej: osoba z dobrej rodziny, przywykła do lepszych warunków, zmuszona teraz – i tak dalej. Beznadziejna sprawa. Chyba że ktoś się nią szczególnie zainteresuje i gdzieś ją wkręci. Pan wie, dlaczego. Ale tego by pan pewno nie chciał?

– Śmieszne pytanie.

– Nie takie śmieszne, jak się panu wydaje – odparła Erna z goryczą. – Znam różne wypadki. – Przypomniała mi się sprawa jej stosunków z szefem. – Ale coś panu poradzę – ciągnęła. –

Niech pan się postara zarobić na dwoje. To najprostsze rozwiązanie. Niech pan się ożeni.

– Masz ci los! – roześmiałem się. – Chciałbym sam mieć do siebie tyle zaufania.

Erna rzuciła mi jakieś dziwne spojrzenie. Mimo swej żywości wydała mi się w tej chwili starsza i niemal zwiędnięta.

– Coś panu opowiem – rzekła. – Żyję dobrze i mam nawet więcej, niż mi trzeba. Ale niech pan mi wierzy, gdyby mi jakiś mężczyzna zaproponował, żebyśmy żyli razem, tak naprawdę, uczciwie, rzuciłabym to wszystko i zamieszkałabym z nim nawet na poddaszu, gdyby nie można było inaczej. – Twarz jej przybrała swój zwykły wyraz. – No, mniejsza z tym, każdy człowiek ma jakiś sentymentalny kącik w sercu. – Mrugnęła do mnie poprzez dym papierosa. – Zdaje się, że nawet i pan?

– Ależ skąd! – odpowiedziałem.

– No, no – powątpiewała Erna. – Najczęściej spada to na człowieka, kiedy się najmniej spodziewa…

– Nie na mnie.

Do ósmej wytrzymałem w swojej norze – potem miałem dość siedzenia w samotności i poszedłem do baru, licząc na to, że kogoś tam spotkam. Valentin był na posterunku.

– Siadaj – powiedział. – Czego się napijesz?

– Rumu – odparłem. – Od dziś mam szczególny stosunek uczuciowy do rumu.

– Rum to żołnierskie mleko – stwierdził Valentin. – Wiesz, Robby, dobrze dziś wyglądasz…

– Czyżby?

– Tak, młodziej.

– Ech! Prosit, Valentin.

– Prosit!

Odstawiliśmy kieliszki i spojrzeliśmy na siebie. Obaj jednocześnie roześmialiśmy się.

– Stary chłopie! – powiedział Valentin.

– Przeklęty nicponiu! – odrzekłem. – Czego się teraz napijemy?

– Jeszcze raz tego samego.

– Dobra.

Fred napełnił kieliszki.

– No, to prosit, Valentin.

– Prosit, Robby.

– To wspaniałe słowo, co?

– Najwspanialsze ze wszystkich.

Powtórzyliśmy je jeszcze kilkakrotnie. Potem Valentin się pożegnał.

Zostałem sam. Poza barmanem nie było w lokalu żywej duszy. Gapiłem się na oświetlone wycinki starych map, na okręty o pożółkłych żaglach, i myślałem o Pat. Chętnie bym do niej zatelefonował, ale powstrzymywałem się siłą. Nie chciałem także za dużo o niej myśleć. Pragnąłem uważać ją za nieoczekiwany dar szczęścia, który przyszedł i odejdzie. Nic więcej. Nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że mogłoby się to stać czymś więcej. Wiedziałem zbyt dobrze, że w każdej miłości tkwi pragnienie wiecznego trwania i że to właśnie jest źródłem nieustającej męki. Nie ma rzeczy, które mogłyby się ostać czasowi. Nie ma.

– Daj mi jeszcze kieliszek, Fred!

Do baru wszedł mężczyzna w towarzystwie kobiety. Wypili po cobblerze. Kobieta miała twarz zmęczoną, w rysach mężczyzny czaiła się pożądliwość. Zabawili niedługo.

Sączyłem powoli mój rum. Może byłoby lepiej, gdybym nie odwiedził Pat po południu. Teraz nie mogłem się już uwolnić od tego obrazu: zalany półmrokiem pokój, miękkie, błękitne cienie wieczoru, pochylona piękna dziewczyna, która swoim ciemnym, nieco ochrypłym głosem opowiada o życiu i pragnieniu życia. Tam do diabła, staję się sentymentalny! Czyż jednak to wszystko, co dotychczas było oszołamiającą, odbierającą dech przygodą, nie rozpływa się powoli w mgle czułości, czy nie przejmuje mnie głębiej, niż przypuszczałem i chciałem? Czyż właśnie dzisiaj nie odczułem wyraźnie, jak bardzo się zmieniłem? Dlaczego odszedłem, czemu nie zostałem z nią, tak jak tego pragnąłem? Niech to licho porwie, nie będę już o tym myślał! Niech się dzieje, co chce, choćbym miał oszaleć z rozpaczy, gdy ją stracę; teraz jest, teraz jest moją, a wszystko inne nic nie znaczy i gwiżdżę na to! Jakież znaczenie

ma ta odrobina pewności w życiu? Któregoś dnia przyjdzie fala przypływu i porwie ze sobą wszystko.

– Napijesz się ze mną jednego, Fred?

– Chętnie.

Wypiliśmy dwa absynty. Potem zagraliśmy w kości o następne dwa. Wygrałem. Nie byłem zadowolony z tego, więc graliśmy dalej. Dopiero przy piątym rzucie przegrałem i to trzy kolejki pod rząd.

– Czy jestem zalany, czy też istotnie grzmi?

Fred nadstawił ucha.

– Rzeczywiście grzmi. Pierwsza burza w tym roku.

Podeszliśmy do drzwi. Spojrzeliśmy na niebo. Ciemno choć oko wykol. Było parno. Od czasu do czasu toczył się grzmot.

– Pod tę burzę powinniśmy wypić jeszcze po jednym – zaproponowałem.

Fred poparł mój wniosek.

– Obrzydliwa lura – zawołałem, stawiając pusty kieliszek na ladzie.

Fred był również zdania, że powinniśmy skosztować czegoś uczciwego. Zaproponował wiśniówkę, ja powiedziałem, że rum lepszy. Nie chcąc się spierać o takie głupstwa, piliśmy na zmianę to jedno, to drugie. Ażeby oszczędzić Fredowi roboty z nalewaniem, wzięliśmy największe kieliszki. Wpadliśmy w bajeczny humor. Od czasu do czasu wyglądaliśmy, czy się błyska. Strasznie chcieliśmy zobaczyć te błyskawice, ale mieliśmy pecha: błyskało się akurat wtedy, kiedy byliśmy w środku. Fred powiedział, że ma narzeczoną, córkę właściciela restauracji-automatu. Chciał czekać z żeniaczką, aż stary wyciągnie kopyta, bo wtedy byłby pewny, że dostanie z dziewczyną restaurację. Więc ja mu na to powiedziałem, że jest zanadto ostrożny, ale on udowodnił mi, że stary jest nieobliczalnym draniem i gotów na łożu śmierci zapisać knajpę gminie metodystów. Ustąpiłem wobec takiego argumentu. Poza tym Fred był nastrojony bardzo optymistycznie. Papa zaziębił się podobno, więc Fred przypuszczał, że to może grypa, a więc coś poważnego. Musiałem go niestety rozczarować, że grypa nie ima się alkoholików, przeciwnie, niejeden zapity moczymorda roz-

kwita pod wpływem grypy, a nawet przybywa mu na wadze. Fred powiedział, że to wszystko jedno i może papa wpadnie pod jakieś auto. Przyznałem, że szczególnie duże szanse istnieją przy mokrym asfalcie. Fred uczepił się mojego proroctwa jak pijany płotu i zaraz poszedł sprawdzić, czy już pada. Niestety, ulica była jeszcze sucha. Grzmiało za to coraz mocniej. Wcisnąłem mu w ręce szklankę z sokiem cytrynowym, a sam podszedłem do telefonu. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, że nie chciałem przecież telefonować. Dałem znak aparatowi, żeby na mnie nie czekał, i chciałem mu się ukłonić. W tej chwili spostrzegłem, że nie mam kapelusza na głowie.

Gdy wróciłem z wyprawy do telefonu, ujrzałem w lokalu Köstera i Lenza.

– Chuchnij, trutniu – powiedział Gotfryd.

Chuchnąłem.

– Rum, wiśniówka i absynt – odrzekł tonem znawcy. – Pijesz absynt, ty świnio.

– Jeżeli myślisz, że jestem zalany, to się grubo mylisz. Skąd wracacie, rodacy?

– Z zebrania politycznego. Ale dla Ottona było za nudne. Co Fred pije?

– Soczek cytrynowy.

– Radzę ci także wypić szklaneczkę.

– Jutro. Teraz muszę coś zjeść.

Przez cały czas Köster obserwował mnie z zatroskaną miną.

– Nie gap się tak na mnie, Otto. Upiłem się z nadmiaru radości, a nie z rozpaczy.

– No, to dobrze. Mimo to chodź coś przekąsić.

O jedenastej byłem już zupełnie trzeźwy. Köster zaproponował, żeby zobaczyć, co się dzieje z Fredem. Znaleźliśmy go za barem. Leżał na podłodze jak trup.

– Weźcie go do pokoiku obok – zakomenderował Lenz – a ja tymczasem będę obsługiwał gości.

Do spółki z Kösterem przyprowadziliśmy Freda do przytomności. Wlaliśmy mu do gardła gorącego mleka. Skutek był natychmiastowy. Po tym zabiegu posadziliśmy go na krześle i powiedzie-

liśmy, żeby sobie odpoczął z pół godziny, Lenz go doskonale zastąpi.

Istotnie Gotfryd był idealnym zastępcą. Znał na pamięć wszystkie ceny i wszelkie możliwe recepty na przyrządzanie koktajli. Potrząsał shakerem z taką wprawą, jakby nic innego nie robił przez całe życie.

Po godzinie Fred zjawił się na posterunku. Żołądek miał zahartowany i przyszedł do siebie bardzo szybko.

– Bardzo mi przykro, Fred – powiedziałem. – Powinniśmy byli przetrącić coś przedtem.

– Czuję się doskonale – uspokoił mnie. – Od czasu do czasu to dobrze robi.

– Na pewno.

Poszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Pat. Machnąłem ręką na wszystkie postanowienia. W aparacie odezwał się jej głos.

– Za kwadrans będę przed twoim domem – powiedziałem i szybko odwiesiłem słuchawkę. Bałem się, że wymówi się zmęczeniem i nie będzie chciała mnie oglądać. Musiałem ją zobaczyć.

Zbiegła po schodach. Gdy otwierała drzwi, ucałowałem szybę w miejscu, gdzie widniała jej głowa. Chciała coś powiedzieć, ale nie dopuściłem jej do głosu. Pocałowałem ją, a potem pobiegliśmy w dół ulicy, żeby złapać taksówkę. Grzmiało i błyskało się.

– Prędko, prędko, inaczej złapie nas deszcz! – wołałem.

Wskoczyliśmy do samochodu. Pierwsze krople deszczu zabębniły na budzie. Wóz podskakiwał na wyboistym bruku. Było cudownie, bo za każdym podrzutem czułem przy sobie ciało Pat. Wszystko było cudowne: deszcz, miasto, pijaństwo, wszystko było odległe i oszałamiające. Znajdowałem się w stanie jasności myśli, która przychodzi na człowieka, gdy po zalaniu przezwycięży mgłę w mózgu. Wszelkie opory poszły w kąt, noc pełna była mocy i blasku, nic już nie mogło się stać, nic nie było złe.

Gdy wyskoczyliśmy z taksówki, deszcz rozpadał się na dobre. Kiedy płaciłem szoferowi, asfalt wyglądał jeszcze jak pokropiony w czarne cętki niby skóra pantery. Nim dopadliśmy bramy domu, bruk był już czarny i woda rozpryskiwała się na nim jak żywe sre-

bro. Nie zapalałem światła. Błyskawice oświetlały pokój. Burza szalała w sercu miasta. Grzmot przetaczał się za grzmotem.

– Przynajmniej raz możemy się wykrzyczeć – zawołałem do Pat. – Dzisiaj nikt nas nie usłyszy!

Okno stanęło w płomieniach. W mgnieniu sekundy mignęły czarne sylwetki drzew cmentarnych na tle białobłękitnego nieba, aby zaraz potem przepaść znów z trzaskiem w ciemności. Na ułamek sekundy zakołysało się między jednym a drugim nawrotem mroku giętkie ciało Pat, fosforyzujące na tle szyb. Objąłem ją ramieniem, przycisnęła się do mnie, czułem jej usta, jej oddech, przestałem myśleć…

XII

W naszym warsztacie wiało pustką jak w stodole przed żniwami. Postanowiliśmy więc nie sprzedawać wozu kupionego na licytacji, ale eksploatować go chwilowo jako taksówkę. Miałem zmieniać się z Lenzem przy kierownicy grata. Köster z Juppem doskonale mogli we dwójkę dać sobie radę w garażu, dopóki nie wpłynie jakaś robota.

Rzucaliśmy z Lenzem kości, na kogo padnie zaszczyt prowadzenia po raz pierwszy taksówki. Wygrałem, napełniłem kieszenie drobniakami, włożyłem do portfela papiery, po czym ruszyłem wolno ulicami, żeby wyszukać sobie najprzód jakiś dobry postój. Zabawnie się człek czuł pierwszy raz w takiej roli. Każdy dureń na ulicy mógł mnie zatrzymać i dać polecenie, by jechać, gdzie mu się żywnie podoba. Nie było to osobliwie wzniosłe uczucie.

Wypatrzyłem sobie stanowisko, na którym czekało tylko pięć wozów. Było to naprzeciwko hotelu „Waldecker Hof", w samym sercu dzielnicy handlowej miasta. Pozwalało to liczyć na dobre interesy. Wyłączyłem silnik i wysiadłem z taksówki. Od jednego z wozów stojących na przodzie zbliżył się ku mnie drab w skórzanym płaszczu.

– Odwal się stąd, a żywo – burknął.

Spojrzałem na niego spokojnie i obliczyłem sobie, że jak przyjdzie co do czego, najlepiej poczęstować gościa ciosem od dołu w szczękę. Płaszcz nie pozwoli mu na szybkie zasłonięcie się rękoma.

– Co, nie rozumiesz ludzkiej mowy? – parsknął skórzany płaszcz i wypluł mi pod nogi ogarek papierosa. – Smaruj stąd,

brachu, pókim dobry! Dosyć nas tutaj. Nie potrzeba nam jeszcze jednego do sterczenia!

Było jasne, że nie podoba mu się wpływ konkurencji. Miałem jednak prawo stanąć na postoju.

– Mogę postawić parę kolejek na dobry początek.

Normalnie sprawa powinna się była na tym skończyć. Był to uświęcony zwyczaj. Jakiś młody szofer zbliżył się do nas.

– Dobra, kolego. Daj mu spokój, Gustaw.

Ale Gustawowi coś się we mnie nie podobało. Wiedziałem co: byłem fuksem w tym zawodzie.

– Liczę do trzech – rzekł.

Był wyższy ode mnie o głowę i liczył na tę przewagę.

Zrozumiałem, że słowami niewiele tu wskóram. Miałem do wyboru: odjazd albo kucie w mordę. Było to jasne jak słońce.

– Raz… – zaczął liczyć Gustaw i rozpiął płaszcz.

– Nie rób głupstw – spróbowałem raz jeszcze. – Lepiej wlejmy sobie w gardła uczciwej wody.

– Dwa… – warknął Gustaw.

Pojąłem, że waleczny Gustaw chce mnie regularnie obrządzić jak rzeźnik.

– I raz to jest… – bryznął, zsuwając czapę na tył głowy.

– Zamknij mordę, idioto! – wrzasnąłem nagle ostro.

Gustaw rozdziawił ze zdumienia gębę i podszedł krok bliżej. Ustawił się właśnie tak, jak chciałem. Rąbnąłem, nie zwlekając. Uderzenie jak młotem, z zamachem całego ciała. Nauczył mnie tego Köster. Nie byłem zbyt mocny w boksie. Uważałem, że mi to niepotrzebne. Zwykle wszystko zależało od tego pierwszego ciosu. Muszę przyznać, że ten udał się wyśmienicie. Gustaw zwalił się na bruk jak wór.

– Nic mu nie będzie – mruknął młody szofer. – Dobrze mu tak, szarpie się do każdej bijatyki. – Wsadziliśmy go za kierownicę taksówki. – Powoli przyjdzie do siebie.

Co do mnie, byłem trochę niespokojny. W pośpiechu uderzyłem z fałszywie nastawionym kciukiem i zwichnąłem sobie palec. Jak Gustaw się obudzi, będzie mnie mógł oporządzić według swojej

woli. Powiedziałem to szczerze młodemu szoferowi i spytałem, czy może lepiej dać nura z tego stanowiska.

– Głupstwa pleciesz, sprawa załatwiona i kwita. Chodź teraz do knajpy i postaw kolejkę. Nie jesteś zawodowym kierowcą, hę?

– Nie.

– Ja też nie. Jestem z zawodu aktorem.

– No, i jak tam?

– Żyje się – odpowiedział ze śmiechem. – Teatru ma się także czasem wyżej uszu.

Było nas pięciu na postoju: dwóch starszych i trzech młodszych. Zaprosiłem całą bandę. W jakiś czas potem zjawił się w lokalu i Gustaw. Spojrzał spode łba ku naszemu stołowi i zbliżył się do nas. Lewą ręką schwyciłem w kieszeni pęk kluczy i postanowiłem bronić się w każdym razie do upadłego.

Nie doszło jednak do bójki. Gustaw przysunął nogą krzesło do naszego stołu i padł na nie ciężko. Gospodarz postawił przed nim kieliszek. Kolejka poszła. Gustaw łyknął. Nalano drugą kolejkę. Gustaw spojrzał na mnie zezem. Podniósł kieliszek.

– Na zdrowie – rzekł, ale gębę miał przy tym posępną.

– Na zdrowie! – rzekłem i wychyliłem do dna.

Gustaw wydobył pudełko papierosów. Podsunął je ku mnie, nie podniósłszy oczu. Wziąłem ćmika i poczęstowałem go w zamian ogniem. Następnie zamówiłem nową kolejkę podwójnej kminkówki. Wypiliśmy. Gustaw spoglądał na mnie dalej koso.

– Małpa – odezwał się, ale przyzwoitym tonem.

– Cielę od cycka – odparowałem z równie uprzejmym akcentem.

Zwrócił się do mnie twarzą.

– Cios był fajny.

– Przypadek. – Pokazałem mu wybity kciuk.

– A to pech – skrzywił się w uśmiechu. – Na imię mi Gustaw.

– A mnie Robert.

– Dobra. Więc, niby tego, Robert, w porządeczku? Myślałem, że wyrwałeś się mamusi spod fartuszka.

– W porządku, Gustaw.

Od tego czasu zostaliśmy przyjaciółmi.

Taksówki podjeżdżały kolejno ku przodowi. Były aktor, zwany Tommym, dostał świetny kurs na dworzec. Gustawowi przypadła paskudna tura do najbliższej restauracji za marnych trzydzieści fenigów. Roznosiła go wściekłość, gdyż musiał za dziesięć fenigów zarobku ustawić się w parę minut później na samym końcu. Mnie udało się załapać całkiem wyjątkową okazję: starą Angielkę, która chciała obejrzeć miasto. Woziłem ją prawie godzinę w zygzak. W drodze powrotnej na postój schwyciłem parę pomniejszych kursów. Gdy w południe zasiedliśmy znowu w knajpie, pożerając pajdy chleba, wydawało mi się, że już od lat jeżdżę na taksówce. Miało to posmak koleżeństwa żołnierzy. Spotykali się tu ludzie wszystkich możliwych zawodów. Najwyżej połowa jeździła od początku – reszta znalazła się za kierownicą taksówki przypadkowo.

Napuszony jak paw, zajechałem po południu na podwórze naszego warsztatu. Lenz i Köster czekali już na mnie.

– Ileście zarobili, bracia? – spytałem.

– Siedemdziesiąt litrów benzyny – odpowiedział Jupp.

– I nic więcej?

Lenz rzucił w niebo wściekłe spojrzenie.

– Deszcz nam potrzebny! I jakieś małe zderzenie na śliskim asfalcie akurat tuż przed naszą budą! Żadnych rannych, tylko taka ładna, ogólna reperacja wozu!

– Patrzcie! – Pokazałem im na wyciągniętej dłoni trzydzieści pięć marek.

– Wspaniale! – rzekł Köster. – Dwadzieścia maronów zarobionych na czysto. Przepijemy je dzisiaj do imentu. Musimy oblać dziewiczą podróż naszej bryczki!

– Wypijemy wazę bowli – oświadczył Lenz.

– Bowli? – spytałem. – Skądże znowu bowla?

– Albowiem Pat będzie z nami.

– Pat?

– Nie otwieraj zanadto paszczy – rzekł ostatni romantyk. – Wszystko już omówione. O godzinie siódmej zajedziemy po nią.

Pat już wie. Skoro ty nie myślisz o niczym, musimy się sami troszczyć. Ostatecznie, poznałeś Pat dzięki nam, trutniu!

– Otto – spytałem – czy widziałeś kiedyś bezczelniejszego typa aniżeli ta rekrucka morda?

Köster śmiał się.

– Powiedz no, Robby, co ci się stało w rękę? Trzymasz ją tak jakoś dziwnie.

– Wybiłem sobie palec. – Opowiedziałem im o awanturze z Gustawem.

Lenz obejrzał moją rękę.

– Oczywiście. Jako prawy chrześcijanin oraz słuchacz medycyny w stanie spoczynku wymasuję ci twój paluch mimo twego chamstwa. Chodź no, mistrzu bokserski.

Poszliśmy do warsztatu i Gotfryd, natarłszy mi rękę oliwą, zabrał się do masażu.

– Czy powiedziałeś Pat, że święcimy dzisiaj jednodniowy jubileusz jako taksówkarze? – spytałem.

Gwizdnął przez zęby.

– Wstydzisz się, niewinny młodzieńcze, hę?

– Zamknij gębę! – parsknąłem. Byłem wściekły, tym bardziej że Gotfryd miał rację. – Powiedziałeś czy nie?

– Miłość – rzekł Gotfryd niewzruszony – jest cudowną rzeczą. Ale wypacza charakter.

– Natomiast samotność odbiera poczucie taktu, mętny solisto!

– Takt jest milczącym układem, mającym na celu przymykanie oczu na cudze wady zamiast podkreślania ich. Jest to zatem nędzny i zgniły kompromis. Na to nie namówisz weterana wielkiej wojny, dziecino.

– Co byś ty zrobił na moim miejscu, gdyby tak cię ktoś zawołał na ulicy, a potem okazało się, że do taksówki chce wsiąść Pat?

Twarz Gotfryda rozjaśniła się uśmiechem.

– Nie przyjąłbym w każdym razie od niej pieniędzy za kurs, synu.

Dałem mu takiego kuksańca, że spadł na ziemię ze stołka o trzech nogach.

– Ty strachu na wróble! A wiesz, co ja zrobię? Po prostu dzisiaj wieczorem zajadę przed jej dom taksówką!

– Słusznie! – rzekł Gotfryd, podnosząc rękę jak do błogosławieństwa. – Byle nie wyrzekać się wolności. Jest ona cenniejsza aniżeli miłość. Niestety, człowiek przekonuje się o tym dopiero poniewczasie. Taksówki jednak nie dostaniesz; potrzebujemy jej dla transportu Ferdynanda i Valentina. Będzie to wieczór poważny, ale na wielką skalę.

Siedzieliśmy w ogródku małej gospody za miastem. Wilgotny księżyc wisiał jak czerwona żagiew nisko nad lasami. Blade kandelabry kwitnących kasztanów połyskiwały w mroku, bzy pachniały odurzająco, a przed nami na stole pyszniła się olbrzymia szklana waza, w której pachnące marzanną wino wyglądało w niepewnym świetle wczesnego mroku jak jasny opal. Zbierały się w nim błękitne i chłodne, to znowu ciepłe jak blask perłowej macicy ostatnie poblaski wieczoru. Już po raz czwarty kazaliśmy napełnić wazę.

Zebraniu naszemu przewodniczył Ferdynand Grau. Koło niego siedziała Pat. Do sukni miała przypiętą bladoróżową orchideę, którą jej Grau ofiarował.

Ferdynand wyłowił z wina komara i rozpostarł go ostrożnie na stole.

– Spójrzcie. Te skrzydła! W porównaniu z tym brokat wydaje się ścierką. I takie cudo żyje tylko jeden dzień, a potem koniec. – Spojrzał na nas kolejno. – Czy wiecie, co jest najbardziej niesamowitą rzeczą na świecie?

– Pusta szklanka – odpowiedział Lenz.

Ferdynand odpędził go ruchem ręki.

– Najmniej godnym zajęciem dla prawdziwego mężczyzny, Gotfrydzie, jest robić z siebie wesołka i błazna. – Potem zwrócił się znowu ku nam. – Najbardziej niesamowitą rzeczą na świecie, moi drodzy, jest czas. Czas. Chwila, w której żyjemy, a której przecież nigdy nie posiadamy. – Wyjął zegarek z kieszeni i podsunął Lenzowi pod nos. – To właśnie, papierowy romantyku! Tu oto jest maszyna piekielna, która idzie i tyka, niepowstrzymanie podąża-

jąc swoim miarowym tykaniem naprzeciw nicości! Możesz zatrzymać lawinę, osuwanie się góry – ale tego nie zatrzymasz.

– I nie chcę wcale zatrzymać – rzekł Lenz. – Chcę się spokojnie zestarzeć. A poza tym lubię zmiany.

– Człowiek nie znosi tego – ciągnął Grau, nie zwracając całkiem uwagi na Lenza. – Człowiek nie potrafi znieść tego. Dlatego to zmajstrował sobie marzenie. Stare, wzruszające i beznadziejne marzenie ludzkości: wieczność.

Gotfryd zaśmiał się.

– Najgorszą chorobą świata, Ferdynandzie, jest myślenie. Jest bowiem nieuleczalne.

– Gdyby to była jedyna choroba na świecie, byłbyś nieśmiertelny – odparował Grau. – Ty, zlepku węglowodanów, wapna, fosforu i odrobiny żelaza, który na przelotną chwilkę ziemskiego istnienia nosi miano Gotfryda Lenza.

Gotfryd rozpromienił się zadowolony. Ferdynand potrząsnął lwią grzywą.

– Powiadam wam, życie jest chorobą, a śmierć zaczyna się już w chwili urodzenia. Każde odetchnięcie, każde uderzenie serca jest odrobiną śmierci. Krokiem ku unicestwieniu.

– Każdy łyk z kieliszka także – odpowiedział Lenz. – Na zdrowie, Fredziu! Niekiedy śmierć przychodzi diabelnie łatwo.

Grau podniósł w górę szklankę. Przez jego twarz olbrzyma przesunął się uśmiech jak bezgłośna burza.

– Na zdrowie, Gotfrydzie, ty dzielna pchło na olbrzymim rumowisku czasu. Co myślała sobie ta nadprzyrodzona siła, która nas porusza, stwarzając ciebie?

– Powinna rozstrzygnąć to pytanie sama z sobą. Poza tym właśnie ty nie powinieneś mówić tak pogardliwie o pewnych sprawach. Gdyby ludzie żyli wiecznie, co byś malował, stary, poczciwy pasożycie śmierci?

Ramiona Graua poczęły drgać. Śmiał się. Potem zwrócił się do Pat.

– Co powiesz o nas, starych ględziarzach, mały okwiecie na roztańczonych wodach czasu?

Szliśmy potem we dwójkę z Pat przez ogród. Księżyc dźwignął się wyżej, a łąki pławiły się w szarym, ciekłym srebrze. Cienie drzew kładły się czarne i wydłużone na to srebro jak ciemne drogowskazy w niewiadome. Zeszliśmy aż nad jezioro, a potem zawróciliśmy ku gospodzie. Po drodze natknęliśmy się na Gotfryda Lenza, który zawlókł krzesełko ogrodowe w głąb krzaków bzu. Siedział tam i tylko jego blond czupryna i papieros przeświecały przez krzewy. U swoich stóp ustawił szklankę z resztką bowli.

– Wspaniałe stanowisko! – zawołała Pat. – W samym środku bzu!

– Owszem, można wytrzymać – rzekł, wstając, Gotfryd. – Proszę spróbować.

Pat usiadła na krzesełku. Twarz jej jaśniała wśród kwiatów.

– Szaleję za bzem – powiedział ostatni romantyk. – Bez to dla mnie tęsknota za domem. Na wiosnę w roku 1924 wyjechałem na złamanie karku z Rio de Janeiro, jakby mnie kto gonił. Ubzdurało mi się bowiem, że tutaj musi już kwitnąć bez. Ale zanim dojechałem, było już oczywiście grubo za późno. – Zaśmiał się. – Tak jest zawsze.

– Rio de Janeiro. – Pat przyciągnęła do siebie gałąź bzu. – Czy byliście tam razem z Robbym?

Gotfryd zająknął się. Mnie przeszedł zimny dreszcz po plecach.

– Spójrzcie na księżyc! – zawołałem szybko. Równocześnie nastąpiłem na nogę Gotfrydowi.

Papieros rozjarzył się i ujrzałem lekki uśmiech oraz porozumiewawcze mrugnięcie okiem. Byłem uratowany.

– Nie, nie byliśmy tam razem – wyjaśnił Gotfryd. – Byłem wtedy sam. Ale może pociągnięcie jeszcze łyk bowli?

– Nie mogę już – potrząsnęła głową Pat. – Nie potrafię pić tyle wina.

Usłyszeliśmy, że Ferdynand nas woła. Poszliśmy do gospody. Stał w drzwiach, zasłaniając swoją masywną postacią wejście.

– Chodźcie do wnętrza, dzieci – rzekł. – Tacy jak my nie mają czego szukać po nocy na dworze. W nocy przyroda chce być sama. Wieśniak albo rybak to zupełnie co innego. Ale to nie dla nas,

mieszczuchów, z naszymi stępiałymi instynktami. – Położył rękę na ramieniu Gotfryda. – Noc jest protestem natury przeciwko trądowi cywilizacji, Gotfrydzie! Przyzwoity człowiek nie wytrzymuje tego długo. Miarkuje szybko, że jest wyłączony z milczącego kręgu drzew, zwierząt, gwiazd i całego nieświadomego życia. – Tu zaśmiał się swoim osobliwym śmiechem, co do którego nie można było nigdy orzec, czy nie zatrąca smutkiem. – Chodźcie do środka, dzieci! Ogrzejemy sobie ręce przy ogniu wspomnień. Ach, jakże cudowne były czasy, gdyśmy jeszcze pełzali jako salamandry albo kwitli jako skrzypy, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy lat temu. Mój Boże, jakeśmy tymczasem zeszli na psy… – Ujął Pat za rękę. – Gdybyśmy nie mieli tej odrobiny zmysłu piękna, to wszystko byłoby już stracone. – Delikatnym ruchem olbrzymiej łapy objął ramiona Pat. – Srebrna gwiazdo, spadająca nad szumiącą otchłanią, czy napije się pani szklaneczkę z odwiecznym wielkoludem?

Pat przytaknęła głową.

– Owszem. Będę piła wszystko, co pan zechce.

Weszli do gospody. Gdy tak szli koło siebie, zdawało się, że Pat jest córką Ferdynanda. Smukłą, śmiałą, młodziutką córką zmęczonego olbrzyma sprzed prawieków.

O jedenastej wyruszyliśmy z powrotem. Valentin z Ferdynandem pojechali taksówką; prowadził Valentin. Cała reszta wpakowała się do Karla. Noc była ciepła, a Köster pojechał okólną drogą, przez uśpione wsie, pozdrawiając nas skąpymi światłami i odosobnionym naszczekiwaniem psów. Lenz siedział na przodzie koło Köstera i śpiewał, ja z Pat siedzieliśmy w tyle wozu.

Köster prowadził cudownie. Brał wiraże lekko jak ptak. Wszystko wydawało się zabawką, tak pewnie Köster kierował wozem. Nie jechał ostro, ze zrywami, jak większość kierowców wyścigowych. Można było spać na serpentynach, tak spokojnie zakręcał wozem. Ani na chwilę nie odczuwało się szybkości jazdy.

Po zmienionym tonie opon poznawaliśmy zmianę nawierzchni. Na asfaltowej szosie gwizdały, na kostce dudniły głucho. Reflektory parły jak widmowe psy gończe, wyciągnięte daleko przed nami i wyrywały z ciemności drżącą aleję brzóz, rząd topoli, umy-

kające słupy telegraficzne, przycupnięte domki i milczącą paradę lasu. A nad nami, w eskorcie tysiąca gwiazd, przeciągał jasny opar Drogi Mlecznej.

Nabieraliśmy szybkości. Okryłem Pat naszymi płaszczami. Uśmiechnęła się do mnie.

– Czy ty mnie właściwie kochasz? – spytałem.

Potrząsnęła przecząco głową.

– A ty mnie?

– Nie. Całe szczęście, co?

– Wielkie szczęście.

– W takim razie nie może nam się nic złego przydarzyć, co?

– Nic, zupełnie nic – odpowiedziała i pochwyciła pod okryciem z płaszczy moją rękę.

Szosa prowadziła łukiem do toru kolejowego. Szyny błyszczały. Daleko przed nami kołysało się czerwone światło. Karl ryknął i śmignął naprzód. Przed nami pędził pociąg pośpieszny z wagonami sypialnymi i jasno oświetlonym wozem restauracyjnym. Odrobiliśmy w lot różnicę i zrównaliśmy się z ekspresem. Z okien machali do nas ludzie. Nie odpowiedzieliśmy im. Minęliśmy pociąg. Obejrzałem się za siebie. Lokomotywa ziała dymem i iskrami. W błękitnej nocy tłukła się jak czarny zwid. Prześcignęliśmy ją, ale jechaliśmy do miasta, do taksówek, warsztatu samochodowego i umeblowanych pokoi. Ona zaś będzie pędziła skrajem pól i lasów, zadudni nad rzekami, rwąc w dal, w przygodę, w świat.

Zakołysały się koło nas ulice i domy. Karl przycichł, ale jego przygłuszony pomruk był pomrukiem dzikiego zwierza. Köster zatrzymał się w pobliżu cmentarza. Nie odwiózł ani Pat, ani mnie, ale zatrzymał się mniej więcej pośrodku. Przypuszczalnie myślał, że chcemy zostać sami. Wysiedliśmy. Tamci odjechali, nie oglądając się na nas. Popatrzyłem za nimi. Przez chwilę było mi dziwnie na duszy. Odjechali, odjechali moi towarzysze, a ja zostałem. Zostałem. Otrząsnąłem się z tego wrażenia.

– Chodź – powiedziałem do Pat, która spojrzała na mnie tak, jakby coś zmiarkowała.

– Jedź z nimi!

– Nie.

– Chciałbyś przecież pojechać razem z nimi.

– Ach, gdzie tam – powiedziałem, ale wiedziałem dobrze, że Pat ma rację. – Chodź.

Szliśmy wzdłuż cmentarza krokiem nieco chwiejnym, upojeni wiatrem i nocną jazdą.

– Robby, ja naprawdę wolę pójść do domu.

– Dlaczego?

– Nie chcę, ażebyś dla mnie poświęcał cokolwiek.

– Co ci przychodzi do głowy? Cóż ja poświęcam?

– Swoich towarzyszy…

– Przecież ich nie poświęcam. Jutro rano spotkam ich znowu.

– Wiesz dobrze, co mam na myśli. Dawniej przebywałeś z nimi o wiele więcej.

– Bo nie było ciebie. – Otworzyłem drzwi.

Pat potrząsnęła głową.

– To zupełnie co innego.

– Oczywiście, że co innego. Chwała Bogu.

Wziąłem ją na ręce i przeniosłem przez korytarz do pokoju.

– Ty ich potrzebujesz – powiedziała z twarzą przytuloną do mojej twarzy.

– Ciebie potrzebuję także.

– Ale nie tak bardzo.

– Zobaczymy.

Pchnąłem drzwi i pozwoliłem jej ześliznąć się na podłogę. Przywarła do mnie.

– Ja jestem bardzo marnym towarzyszem, Robby.

– Mam nadzieję. Niepotrzebna mi kobieta-towarzysz. Chcę kobiety-kochanki.

– Kiedy ja nie jestem także tym – wyszeptała.

– A więc czymże jesteś?

– Ani tym, ani owym. Strzępem, fragmentem…

– To jest najcudowniejsze. Podnieca wyobraźnię. Takie kobiety kocha się wiecznie. Skończone doskonałości zapomina się łatwo. Wartościowe także wylatują z pamięci. Tylko fragmentów się nie zapomina.

Była godzina czwarta nad ranem. Odprowadziłem Pat do domu i wracałem. Niebo już się trochę rozjaśniło. Pachniało rankiem.

Szedłem wzdłuż cmentarza, koło „Café International". Nagle drzwi jednej z szoferskich knajp, tuż przy domu związku zawodowego, otwarły się i wyszła z niej dziewczyna. Miała na sobie maleńką czapeczkę, obdarty czerwony płaszczyk, wysoko sznurowane buciki połyskujące lakierem. Już minąłem ją prawie, gdy nagle uświadomiłem sobie…

– Liza…

– Nareszcie cię widzę – odrzekła.

– Skąd idziesz? – Zrobiłem ruch ręką.

– Czekałam w tej knajpie. Myślałam, że chyba będziesz przechodził. To przecież pora, kiedy wracasz do domu.

– Tak, to prawda.

– Pójdziesz do mnie?

Zwlekałem z odpowiedzią.

– Widzisz, to będzie ciężko…

– Nie potrzebujesz przecież płacić – przecięła szybko.

– Nie o to chodzi – odpowiedziałem nieostrożnie. – Mam pieniądze.

– Ach tak… – rzekła z goryczą i odeszła krok wstecz.

Pochwyciłem jej rękę.

– Nie, Lizo…

Stała drobna i blada na pustej, szarej ulicy. Tak spotkałem ją przed laty, gdy żyłem otępiały i samotny, bezmyślnie i bez żadnej nadziei. Z początku była nieufna jak te wszystkie dziewczęta, ale potem, gdyśmy pogadali ze sobą parę razy, stała się wzruszająco ufna i oddana. Był to naprawdę osobliwy stosunek. Niekiedy nie widywałem jej całymi tygodniami, a potem nagle spotykałem ją, jak stała na ulicy i czekała na mnie. Nie mieliśmy wtedy oboje nikogo i nic na świecie. Dlatego ta odrobina ciepła i obecności, jaką mogliśmy sobie wzajemnie dać, była dla nas cenniejsza niż kiedykolwiek. Nie widziałem jej już od dawna. Od chwili poznania Pat.

– Gdzieżeś bywała, Lizo?

Ściągnęła brwi.

– Wszystko jedno. Chciałam cię tylko zobaczyć. No, mogę już iść dalej.

– Jak ci się powodzi?

– Daj spokój. Nie wysilaj się.

Usta jej drżały. Była wynędzniała.

– Pójdę z tobą na chwilę – powiedziałem.

Jej biedna, obojętna twarz zdziry ożywiła się i zrobiła się dziecinna. W jednej z knajp szoferskich otwartych całą noc kupiłem trochę rzeczy, żeby Liza miała coś do zjedzenia. Z początku odmawiała stanowczo. Dopiero kiedy powiedziałem, że ja też jestem głodny, ustąpiła. Uważała jednak, żeby mnie nie oszukano i żeby nie dostały mi się najgorsze ochłapy, nie chciała też, żebym wziął pół funta szynki, twierdząc, że ćwierć zupełnie wystarczy, jeżeli weźmiemy do tego jeszcze frankfurckie kiełbaski. Uparłem się jednak i przeforsowałem pół funta szynki oraz dwie puszki kiełbasek.

Liza mieszkała na poddaszu, które urządziła sobie własnym przemysłem. Na stole stała lampa naftowa, a koło łóżka wetknięta w butelkę świeca. Na ścianie wisiały obrazki wycięte z pism ilustrowanych, przymocowane pluskiewkami. Na komodzie leżało parę powieści detektywistycznych, obok pakiet pornograficznych fotografii. Niektórzy goście – szczególnie żonaci panowie – lubią oglądać takie rzeczy. Liza zmiotła je do szuflady i wydobyła pocerowany, ale czysty obrus.

Wypakowałem zapasy. Liza przebrała się tymczasem. Naprzód zdjęła suknię, chociaż wiedziałem, że najbardziej ją bolą nogi. Musiała się przecież tyle nachodzić. Stała przede mną w swoich lakierowanych bucikach sięgających niemal kolan, w czarnej bieliźnie.

– Co myślisz o moich nogach?

– Jak zawsze, pierwsza klasa!

Była zadowolona. Usiadła z ulgą na łóżku, ażeby rozsznurować buty.

– Kosztują sto dwadzieścia marek – powiedziała, pokazując mi je. – Zanim człowiek zarobi na nową parę, już pierwsza się rozlatuje.

Wyjęła z szuflady kimono i spłowiałe brokatowe pantofelki, pochodzące z lepszych czasów. Uśmiechała się z poczuciem winy. Chciała mi się podobać. I gdy tak siedziałem w tej izdebce na poddaszu, coś nagle ścisnęło mnie za gardło, jak gdyby umarł mi ktoś bliski.

Pałaszowaliśmy zapasy. Rozmawiałem z Lizą bardzo ostrożnie. Ona jednak zmiarkowała, że coś się zmieniło. Oczy jej stały się pełne lęku. Nigdy nie było między nami nic ponad to, co zrządził przypadek. Ale być może, że zobowiązywało to nas i łączyło silniej aniżeli inne rzeczy.

– Idziesz już? – spytała, gdym wstał, takim tonem, jakby obawiała się tego od dawna.

– Mam jeszcze spotkanie.

Spojrzała na mnie.

– Tak późno?

– Interesy. Ważna sprawa, Lizo. Muszę spróbować spotkać się jeszcze z kimś. O tej porze siedzi zazwyczaj w „Astorii".

Żadna kobieta nie ma tyle wyrozumienia dla mężczyzny, ile dziewczyna w rodzaju Lizy. Ale też żadnej nie jest tak trudno wziąć na kłamstwo. Twarz Lizy stała się nagle jakby pusta.

– Masz kogoś…

– Ależ Lizo, widywaliśmy się tak rzadko… prawie od roku nie spotykaliśmy się… musisz zrozumieć…

– Nie, nie, ja nie o tym myślę. Masz kobietę, którą kochasz! I to właśnie cię odmieniło. Ja to czuję.

– Ach, Lizo…

– Tak, tak. Powiedz otwarcie.

– Ja doprawdy sam nie wiem. Być może…

Stała przez chwilę w milczeniu. Potem kiwnęła głową.

– Tak… tak… oczywiście… Jaka ja jestem głupia… Nie mieliśmy zresztą ze sobą nic wspólnego… – Przeciągnęła ręką po czole. – Doprawdy nie wiem, jakim prawem miałabym…

Jej smukła postać stała przede mną, wzruszająco drobna i krucha. Brokatowe pantofelki, kimono, długie, puste wieczory, wspomnienia…

– Do widzenia, Lizo…

– Idziesz już… Nie zostaniesz jeszcze troszeczkę? Idziesz… już?

Wiedziałem, o czym myśli. Nie mogłem jednak zdobyć się na to. Dziwne, ale nie mogłem, czułem to wyraźnie. Dawniej nigdy nie nawiedzało mnie takie uczucie. Nie miałem przesadnych wyobrażeń na temat wierności. Ale teraz nie mogłem. Poczułem nagle, jak daleko odszedłem od tego wszystkiego.

Stanęła w drzwiach.

– Idziesz… – Pobiegła do stołu. – Wiem, położyłeś pieniądze… pod gazetą… ale nie chcę od ciebie ani grosza… Masz… tak, a teraz idź już, idź…

– Muszę, Lizo.

– Nie przyjdziesz już nigdy.

– Ależ tak, Lizo.

– Nie, nie, nie wrócisz już, ja wiem! I nie powinieneś przychodzić. Idź już, idź prędzej…

Płakała. Zszedłem po schodach, nie oglądając się za siebie.

Wałęsałem się jeszcze długo po ulicach. Była to osobliwa noc. Czułem się dziwnie trzeźwy i nie mógłbym zasnąć. Minąłem „International", myśląc o Lizie i o ubiegłych latach, o wielu rzeczach, o których już zapomniałem. Jakże daleko leżało to wszystko, zdawało się nie należeć już do mnie. A potem zaszedłem na ulicę, przy której mieszkała Pat. Wiatr przybrał na sile, wszystkie okna w kamienicy Pat były ciemne, ranek na szarych stopach pełzł wzdłuż bram domów, wreszcie i ja zawróciłem. „Mój Boże – myślałem – chyba jestem szczęśliwy".

XIII

– Chciałam panu tylko powiedzieć – oznajmiła pani Zalewska – że nie potrzebuje pan ukrywać tej pani, którą pan stale ukrywa. Może otwarcie odwiedzać pana. Podoba mi się.

– Przecież jej pani nigdy nie widziała! – zaprotestowałem.

– Niech się pan uspokoi, już ja ją widziałam – odparła pani Zalewska z naciskiem. – Widziałam ją i przypadła mi od razu do gustu. Nawet bardzo. Tylko, że to… to nie jest kobieta dla pana!

– Tak?

– Tak. Zachodziłam już w głowę, jak pan ją wyłowił w tych swoich ponurych knajpach. Ale oczywiście, najwięksi rozpustnicy…

– Zbaczamy z tematu – przerwałem jej tyradę.

– To jest kobieta – orzekła pani Zalewska, wspierając ręce na zwalistych biodrach – dla mężczyzny o pewnej i dobrej pozycji. Jednym słowem dla bogatego człowieka!

„Tam u licha – pomyślałem – masz ci los. Tego jeszcze brakowało”.

– To mogłaby pani powiedzieć o każdej kobiecie – burknąłem rozdrażniony.

Potrząsnęła siwymi loczkami.

– Niech pan poczeka! Przyszłość potwierdzi słuszność moich słów.

– Ach, przyszłość! – Cisnąłem gniewnie na stół spinki od mankietów. – Któż liczy się dzisiaj z przyszłością? Po co się nad nią zastanawiać?

Pani Zalewska pokiwała zatroskana swoją majestatyczną głową.

– Doprawdy, dziwni jesteście wy, dzisiejsza młodzież. Nienawidzicie przeszłości, gardzicie teraźniejszością, a przyszłość nic was nie obchodzi. Czy to się może dobrze skończyć?

– Jak pani rozumie słowa: „dobrze się skończyć”? Koniec może być dobry, jeżeli poprzednio wszystko było złe. W takim razie lepszy już zły koniec.

– To jest żydowskie kręcenie – odparła z godnością pani Zalewska i obróciła się zdecydowanym ruchem w stronę drzwi. Ale trzymając już rękę na klamce, przystanęła nagle jak przygwożdżona. – Smoking? – szepnęła zdumiona. – Pan w smokingu?

Wybałuszonymi oczyma spoglądała na smoking Ottona Köstera, wiszący na drzwiach szafy. Pożyczyłem go sobie na wieczór, ponieważ wybieraliśmy się z Pat do teatru.

– Tak, ja! – powiedziałem jadowicie. – Pani dar wnioskowania, szanowna pani, jest doprawdy niepojęty.

Spojrzała na mnie. Przez jej nalane oblicze przeciągnęła cała burza myśli i uczuć. Wszystko skończyło się na szerokim, wyrozumiałym uśmiechu.

– Aha! – rzekła. I raz jeszcze: – Aha! – Po czym, już w drzwiach, rozjaśniona wewnętrzną radością, jaką odczuwają kobiety przy tego rodzaju odkryciach, rzuciła przez ramię, rozsmakowując w ustach te słowa: – Ach, więc to tak!

– Tak, tak, przeklęta akuszerko – burknąłem w ślad za nią, gdy byłem już pewny, że nie może mnie dosłyszeć. Potem cisnąłem świeżo kupione lakierki razem z pudełkiem na ziemię. Bogaty człowiek – tak, jakbym o tym nie wiedział!

Wstąpiłem po Pat. Czekała już na mnie gotowa do odjazdu. Gdy ją zobaczyłem, zabrakło mi niemal tchu w piersiach. Po raz pierwszy od czasów naszej znajomości miała na sobie suknię wieczorową.

Była to suknia ze srebrnego brokatu, spływająca z jej prostych ramion miękko na ziemię. Wydawała się bardzo wąska i obcisła, a jednak była dostatecznie szeroka, by nie krępować pięknego, długiego kroku Pat. Z przodu była pod szyję, z tyłu natomiast wycięta głęboko w ostro zakończony trójkąt. W matowym,

modrym półmroku wydawała się Pat srebrną pochodnią, nagle odmieniona, uroczysta i strasznie daleka. Jak widmo wynurzyła się spoza niej zjawa pani Zalewskiej z ostrzegawczo podniesionym palcem.

– Całe szczęście, że nie poznałem cię w tej sukni – powiedziałem. – Nigdy nie odważyłbym się zbliżyć do ciebie.

– Nie bardzo w to wierzę, Robby. – Uśmiechnęła się. – Podoba ci się?

– Doprawdy niesamowita! Stałaś się w tej sukni całkiem inną kobietą.

– To nie jest wcale takie niesamowite. Po to są suknie.

– Być może. Ale mnie to przytłacza. Do takiej sukni potrzebny ci jest inny mężczyzna. Gość z pieniędzmi.

Zaśmiała się.

– Kiedy mężczyźni bogaci są przeważnie okropni, Robby.

– Ale pieniądze nie, co?

– Nie. Pieniądze nie są okropne.

– Tak właśnie myślałem.

– Czy nie jesteś tego samego zdania?

– Owszem. Pieniądze nie czynią człowieka szczęśliwym, ale niezwykle uspokajają.

– Czynią człowieka niezależnym, kochanie, a to jeszcze ważniejsze. Ale jeżeli chcesz, mogę włożyć inną suknię.

– Ani się waż. Ta jest wspaniała. Od dzisiaj stawiam krawców wyżej niż filozofów. Panowie krawcy wnoszą piękno w życie. A to jest znacznie ważniejsze aniżeli przepastne głębie myśli. Uważaj, gotów jestem się w tobie zakochać.

Zaśmiała się. Obejrzałem ukradkiem własny strój. Köster był nieco tęższy ode mnie. Musiałem spodnie u góry spiąć agrafkami, ażeby jako tako leżały. Chwała Bogu, leżały jako tako.

Pojechaliśmy do teatru taksówką. Milczałem przez drogę, nie bardzo wiedząc, dlaczego nie potrafię skleić rozmowy. Gdy wysiedliśmy i przyszło do płacenia, poczułem wewnętrzny przymus spojrzenia w twarz szoferowi. Miał oczy o zaczerwienionych z niewy-

spania powiekach, był nie ogolony i wyglądał na zmęczonego. Obojętnie wziął pieniądze.

– Jakie obroty dzisiaj? – spytałem cicho.

Obrzucił mnie wzrokiem.

– Ujdzie – rzekł wymijająco. Uważał mnie za jakiegoś ciekawskiego.

Przez chwilę opanowało mnie uczucie, że powinienem usiąść przy nim za kierownicą i odjechać stąd. Potem obróciłem się. Pat stała przed wejściem, smukła i gibka, na srebrną suknię miała narzucony krótki srebrny żakiecik o szerokich ramionach.

– Spiesz się, Robby, przedstawienie zaraz się zacznie!

Była to uroczysta premiera, teatr oświetlono reflektorami, samochody podjeżdżały jeden za drugim, kobiety w wieczorowych sukniach wysiadały z wozów, błyszcząc od klejnotów, panowie we frakach z różowymi, pulchnymi policzkami, uśmiechnięci, weseli, niefrasobliwi i wyżsi ponad tłum. A wśród tego odjeżdżała, zgrzytając i piszcząc, taksówka ze zmęczonym szoferem.

– Chodźże nareszcie, Robby! – zawołała Pat i spojrzała na mnie promienna i podniecona. – Zapomniałeś czego?

Obrzuciłem wchodzących niechętnym spojrzeniem.

– Nie, nie zapomniałem niczego.

Po czym poszedłem do kasy i wymieniłem bilety. Wziąłem dwa miejsca w loży, chociaż kosztowały majątek. Nie chciałem, żeby Pat siedziała wśród tych pewnych siebie ludzi, dla których wszystko było samo przez się zrozumiałe. Nie chciałem, żeby należała do nich. Chciałem być z nią sam.

Długi, długi czas nie byłem w teatrze. Nie poszedłbym też, gdyby Pat nie wyraziła chęci. Teatry, koncerty, książki – zatraciłem prawie te wszystkie mieszczańskie nawyki. Nie pasowały do tych czasów. Polityka zastępowała teatr, strzelanina była naszym codziennym koncertem wieczornym, a olbrzymia księga nędzy przemawiała mocniej niż książki wszystkich bibliotek razem wziętych.

Piętra i parter teatru były zapełnione. Ledwie odnaleźliśmy nasze miejsca, gdy zgaszono światła. Tylko odblask od rampy

nasycał wnętrze teatru. Nagle wybuchła muzyka i rozkołysała wszystko.

Przesunąłem moje krzesło w kąt loży. W ten sposób nie patrzyłem ani na scenę, ani na głowy widzów. Słuchałem muzyki i patrzyłem na twarz Pat.

Muzyka zaczarowała teatr. Była jak wiatr południowy, jak upalna noc, jak wydęty wiatrem żagiel pod strażą gwiazd, całkowicie, zupełnie nierzeczywista – muzyka do *Opowieści Hoffmanna*. Oddalała wszystko, czyniła nierealnym, barwnym; zdawał się szumieć w niej ciemny nurt życia, przepadał ociężały smutek, nie było granic – istniał tylko ten blask i melodia, i miłość; nie można było pojąć, że na zewnątrz panuje nędza, cierpienie i beznadziejność w tej samej chwili, gdy istnieje taka muzyka.

Twarz Pat oblana była tajemniczym światłem sceny. Była całkiem porwana melodią i kochałem ją za to, tak, nawet nie patrzyła na mnie. Zdawała się nie myśleć o mnie, zapominać zupełnie o moim istnieniu. Nie cierpiałem tego mieszania wszystkiego razem, nienawidziłem tego baraniego klejenia się do siebie, wtedy gdy rozwierało się przed człowiekiem piękno i potęga wielkiego dzieła sztuki. Nie cierpiałem maślanego spojrzenia zakochanych parek, tego przyciskania się do siebie w rozanieleniu, nieprzyzwoitego owczego szczęścia, które nie potrafiło wyjść poza siebie samo. Nienawidziłem tego całego gadania o stawaniu się jedną istotą w miłości, albowiem uważałem, że nigdy nie jest się za dwoje we dwoje i nigdy nie oddala się za często, aby móc się znowu zbliżyć. Tylko ten, kto zawsze był samotny, może ocenić szczęście obcowania z kimś drugim. Wszystko inne niweczy tajemnicę napięcia. A cóż silniej wdziera się w magiczny krąg samotności, jak nie nagły bunt uczucia, oddanie się wstrząsowi, przemoc żywiołów, burza, noc, muzyka? I miłość…

Zabłysły żyrandole. Przymknąłem na chwilę powieki. O czym to ja myślałem? Pat obejrzała się. Spostrzegłem, że ludzie tłoczą się u wejścia. Główna przerwa.

– Chcesz wyjść? – spytałem.

Pat potrząsnęła głową.

– Chwała Bogu! Nie cierpię tego wzajemnego gapienia się na siebie.

Postanowiłem przynieść Pat szklankę soku pomarańczowego. Bufet był w oblężeniu. U wielu ludzi muzyka wywołuje dziwnym trafem niebywały apetyt. Kiełbaski znikały, jakby w teatrze wybuchł tyfus głodowy.

Gdy zjawiłem się ze zdobytą szklanką w ręku, za krzesłem Pat w loży stał jakiś pan. Pat odwróciła ku niemu głowę i rozmawiała z ożywieniem.

– To pan Breuer, Robercie – przedstawiła mi go.

„Bardziej pan Byk aniżeli Breuer" – pomyślałem sobie i obrzuciłem go niezadowolonym spojrzeniem. Pat powiedziała nie Robby, lecz Robercie. Postawiłem szklankę na parapecie loży i czekałem, aż się gość wyniesie. Miał na sobie wspaniale skrojony smoking. Ale Breuer nie ruszał się, ględził na temat reżyserii i obsady i ani drgnął. Pat zwróciła się do mnie.

– Pan Breuer pytał mnie, czy nie poszlibyśmy po teatrze do „Kaskady".

– Jeżeli masz ochotę.

Tu wmieszał się pan Breuer i wyjaśnił, że można by trochę potańczyć. Był bardzo uprzejmy i właściwie podobał mi się… Miał tylko tę nieprzyjemną elegancję i lekkość, o której sądziłem, że musi działać na Pat, a której mnie brakowało. Nagle – nie chciałem wierzyć własnym uszom – usłyszałem, że zwraca się do Pat po imieniu. Chociaż mogło być sto niewinnych powodów dla wytłumaczenia tej poufałości, najchętniej strąciłbym go do pomieszczenia dla orkiestry.

Odezwał się dzwonek. Orkiestra zaczęła stroić instrumenty. Skrzypce próbowały cichutkich biegników.

– A więc załatwione, spotkamy się przy wyjściu – rzekł Breuer i nareszcie nas opuścił.

– Cóż to za pętak?

– Żaden pętak, tylko bardzo miły człowiek. Stary znajomy.

– Ze starymi znajomymi mam na pieńku.

– Kochanie, lepiej słuchaj muzyki.

„»Kaskada« – pomyślałem i obliczyłem spiesznie gotówkę. – Przebrzydła nora, gdzie obdzierają człowieka żywcem ze skóry".

Poszedłem z posępną ciekawością w sercu. Doprawdy, tylko tego typa brakowało mi do ponurego krakania pani Zalewskiej. Czekał na nas przy wyjściu.

Zawołałem taksówkę.

– Niech pan da spokój! W moim wozie jest dość miejsca.

– Dobrze – powiedziałem.

Śmiesznie byłoby zrobić co innego, ale mimo to byłem zły.

Pat znała auto Breuera. Był to wielki packard. Stał skośnie ustawiony naprzeciwko, na placu do parkowania. Pat skierowała się prosto ku temu wozowi.

– Jest inaczej polakierowany – powiedziała, zatrzymując się przy nim.

– Tak, na szaro. Jak ci się podoba?

– O wiele bardziej.

– A panu? – zwrócił się do mnie Breuer. – Podoba się panu ten kolor?

– Nie wiem, jakiego koloru był przedtem.

– Czarny.

– Czarny kolor wygląda zawsze dobrze.

– Ma pan rację. Ale czasem ma się ochotę na jakąś odmianę. No, na jesieni będzie nowy.

Pojechaliśmy do „Kaskady". Był to nader elegancki lokal z wyśmienitą orkiestrą.

– Zdaje się, że nie ma gdzie szpilki wetknąć – rzekłem uradowany, gdyśmy stanęli na progu.

– Szkoda – odezwała się Pat.

– Ach, jakoś sobie poradzimy – wmieszał się Breuer i zaczął pertraktować z kierownikiem. Wyglądało na to, że jest tu dobrze znany, bo istotnie po chwili dostawiono nam stolik i parę krzeseł w najlepszym miejscu, z którego można było objąć wzrokiem cały parkiet.

Orkiestra grała tango. Pat przechyliła się przez balustradę.

– Ach, tak dawno nie tańczyłam.

Breuer wstał.

– Pozwolisz?

Spojrzała na mnie rozjaśnionym wzrokiem.

– Zamówię coś tymczasem – powiedziałem.

– Dobrze.

Tango trwało długo. Pat, tańcząc, spoglądała na mnie raz po raz i uśmiechała się. Kiwałem jej głową, ale czułem się raczej głupio. Wyglądała cudownie i tańczyła wspaniale. Niestety, Breuer tańczył równie dobrze i wyglądali razem naprawdę świetnie. Tańczyli tak, jakby już nieraz byli razem na parkiecie. Zamówiłem duży kieliszek rumu. Wrócili z parkietu. Breuer zatrzymał się po drodze przy jakimś znajomym stoliku. Przez chwilę siedzieliśmy sami z Pat.

– Od jak dawna znasz tego faceta? – spytałem.

– Od dawna. Dlaczego pytasz?

– Ach, tak sobie. Bywałaś z nim często w tym lokalu?

Podniosła na mnie oczy.

– Nie pamiętam już, Robby.

– Takich rzeczy się nie zapomina – powiedziałem z twardym uporem, chociaż wiedziałem, co Pat ma na myśli.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Kochałem ją strasznie w tej chwili. Chciała mi dać do zrozumienia, że zapomniała o wszystkim, co było. Ale we mnie drążyło coś, co mnie samemu wydawało się śmieszne, niemniej nie mogłem się tego ani rusz pozbyć. Postawiłem kieliszek na stole.

– Możesz powiedzieć spokojnie. Przecież to nic złego.

Spojrzała na mnie znowu.

– Czy sądzisz, że moglibyśmy wybrać się we trójkę, gdyby było inaczej?

– Nie – odpowiedziałem zawstydzony.

Orkiestra zaczęła grać na nowo. Breuer wrócił do stolika.

– Blues – rzekł do mnie. – Cudowny taniec. Nie będzie pan tańczył?

– Nie!

– Szkoda.

– Powinieneś spróbować, Robby.

– Lepiej nie.

– Ale dlaczego? – spytał Breuer.

– Zupełnie mnie to nie bawi – odparłem nieuprzejmie. – Nigdy nie uczyłem się tej sztuki. Nie miałem na to czasu. Proszę, tańczcie, ja się tutaj doskonale bawię.

Pat zwlekała.

– Ależ Pat, przecież tobie sprawia to taką przyjemność.

– Owszem, ale czy ty się naprawdę bawisz?

– I jak jeszcze! – Wskazałem na kieliszek. – To także pewnego rodzaju taniec.

Odeszli na parkiet. Skinąłem na kelnera i wychyliłem kieliszek. Po czym wsparłem się na stole i począłem liczyć solone migdały. Koło mnie siedział cień pani Zalewskiej.

Beuer przyprowadził do stolika paru znajomych. Dwie ładne kobiety i młodego człowieka o łysej ptasiej główce. Potem zjawił się jeszcze ktoś na czwartego. Wszyscy leciutcy jak korek od szampana, pewni siebie i zręczni. Pat znała całą czwórkę.

Czułem się ciężki jak kłoda. Dotychczas byłem zawsze sam z Pat. Po raz pierwszy oglądałem ludzi, których znała dawniej. Nie umiałem się do nich zbliżyć. Poruszali się lekko i swobodnie, przychodzili z życia, w którym wszystko biegło gładko, w którym nie widziało się niczego, czego nie chciało się widzieć, byli to po prostu ludzie z innego świata. Gdybym był sam w tym lokalu albo w towarzystwie Lenza czy Köstera, nie troszczyłbym się o takie drobiazgi, gwizdałbym na wszystko. Ale Pat była przy mnie, Pat znała ich i dlatego wszystko się psuło, paraliżowało moje ruchy i zmuszało mnie do porównań.

Breuer zaproponował zmianę lokalu.

– Robby – szepnęła przy wyjściu Pat – może lepiej pójdziemy do domu?

– Nie. Dlaczego?

– Przecież ciebie to nudzi.

– Ani trochę. Dlaczego miałbym się nudzić? Przeciwnie! A ty bawisz się wybornie.

Spojrzała na mnie. Nie powiedziała ani słowa.

Zacząłem pić. Nie tak jak przedtem, tylko uczciwie. Młodzieniec z łysinką zaczął zwracać na mnie uwagę. Spytał, co piję.

– Rum – wyjaśniłem.

– Grog?

– Nie, rum.

Skosztował i zakrztusił się.

– Tam do licha – rzekł z uznaniem – trzeba mieć do tego trening nie lada.

Także obie kobiety zaczęły patrzeć na mnie z podziwem. Pat i Breuer tańczyli. Pat rzucała często spojrzenia na nasz stolik. Nie odpowiedziałem jej. Wiedziałem, że nie mam racji, ale jakiś głupi upór zawładnął mną nagle. Drażniło mnie także to, że inni zwrócili uwagę na moje pijackie wyczyny. Nie miałem najmniejszej ochoty imponować komuś jak sztubak. Wstałem i poszedłem do baru. Pat wydała mi się zupełnie obca. Niech ją diabli wezmą razem z jej znajomkami. Należy do tego świata. Nie, nie należy do niego. A jednak tak, do licha.

Łysoń przywlókł się za mną do baru. Wypiliśmy z barmanem po wódce. Barmani to zawsze pewna pociecha. Na całym świecie człowiek porozumiewa się z nimi w lot bez długiego gadania. Nasz barman był także jak należy. Tylko łysoń był patałachem nie do użycia. Zaraz zebrało mu się na wywnętrzanie. Miał kłopot z jakąś Fifi. Ale i ten temat szybko się wyczerpał. Zaczął mi opowiadać, że Breuer kocha się od dawna w Pat.

– Tak? – spytałem.

Zaczął chichotać. Zmusiłem go do milczenia za pomocą Prairie Oyster. Jego słowa utkwiły mi jednak w mózgu. Byłem wściekły na siebie, że wdepnąłem w to wszystko. Wściekłem się, że uwaga łysego sprawia mi przykrość. Byłem wściekły, że nie walnąłem pięścią w stół. Ale równocześnie czułem, jak wzbiera we mnie zimna żądza zniszczenia, nie skierowana przeciwko innym. Tylko przeciwko mnie samemu.

Łysoń odpadł szybko i zniknął. Zostałem przy barze. Nagle poczułem na ramieniu dotknięcie twardej, jędrnej piersi. Była to jedna z kobiet przyprowadzonych do naszego stolika przez Breuera. Usadowiła się tuż koło mnie. Jej skośne, szarozielone oczy

przesuwały się powoli po mnie. Było to spojrzenie, po którym niewiele jest do powiedzenia – należy tylko działać.

– To cudowne, móc tak pić jak pan – odezwała się po chwili.

Milczałem. Wyciągnęła rękę po mój kieliszek. Ręka ta była niby jaszczurka, błyszcząca od klejnotów, sucha i żylasta. Poruszała się powoli, jakby pełzła. Wiedziałem, co w trawie piszczy. „Z tobą prędko sobie poradzę, kochana – pomyślałem. – Nie doceniasz mnie, bo zmiarkowałaś, że coś mnie gryzie. Mylisz się, pieszczotko. Z kobietami dam sobie radę – tylko z miłością nie mogę się uporać. Z tym niespełnionym, co wywołuje we mnie smutek".

Niewiasta zaczęła opowiadać. Miała załamujący się, jakby szklany głos. Spostrzegłem, że Pat spogląda w naszą stronę. Nie obchodziło mnie to zupełnie. Ale nie obchodziła mnie także moja towarzyszka przy barze. Zdawało mi się, że ześlizguję się w jakiś gładki, bezdenny szyb. Nie miało to nic wspólnego z Breuerem i znajomkami Pat. Ani nawet z samą Pat. Była to owa tajemnicza prawda, że rzeczywistość budzi pragnienia, ale nie potrafi ich nigdy zaspokoić; że miłość zaczyna się w człowieku, ale nigdy się w nim nie kończy; że może istnieć wszystko – człowiek, miłość, szczęście, życie – ale w jakiś okropny sposób wszystko to jest za mało i topnieje, im bardziej wydaje nam się cenne. Spojrzałem ukradkiem na Pat. Przesuwała się w swojej srebrnej sukni młoda i piękna, jasny płomień życia, kochałem ją i gdy mówiłem do niej: chodź! – przychodziła, żaden mur nas nie dzielił, byliśmy sobie tak bliscy, jak tylko ludzie być mogą – a jednak w jakiś zagadkowy sposób czasem padał na nas cień, zmieniając szczęście w mękę; nie potrafiłem wyrwać jej z kręgu rzeczy, nie mogłem wyplątać jej z zaczarowanego koła istnienia, jakie toczy się koło nas, w nas, i narzuca nam swe prawa, dyktuje nam oddech, przemijanie, wątpliwy blask ustawicznie w noc zapadającej się teraźniejszości, błyskotliwą iluzję uczucia, które przez posiadanie zmienia się w stratę. Nadaremne wysiłki, aby to zatrzymać! Nie potrafisz rozerwać brzęczącego łańcucha czasu, nigdy nie zmienisz niepokoju w pokój, szukania w ciszę, upadku w trwałość. Nie potrafię oderwać jej nawet od przypadku, od tego, co było, zanim się spotkaliśmy, od tysiąca myśli, wspomnień, od tego, co ją ukształto-

wało, zanim ja się zjawiłem, nie potrafię nawet oderwać jej od tych ludzi…

Obok mnie mówiła swoim łamiącym się głosem tamta kobieta. Szukała towarzysza na jedną noc, strzępu obcego życia, ażeby podniecić się, zapomnieć o sobie i tej nadmiernie bolesnej jasności myśli, że nic nie pozostaje, żadne „ja" ani „ty", a już najmniej „my". Czy po prawdzie nie szukała tego samego co ja? Towarzysza, aby zapomnieć o samotności życia, towarzysza, aby oprzeć się bezcelowości istnienia?

– Wróćmy do stolika – powiedziałem. – To, czego pani pragnie, jest beznadziejne. A także to, czego ja pragnę.

Przez chwilę patrzała na mnie. Potem odchyliła głowę w tył i zaczęła się śmiać.

Odwiedziliśmy jeszcze parę innych lokali. Breuer płonął zapałem, nadzieją i był rozmowny. Pat przycichła jakoś. Nie pytała mnie o nic, nie robiła mi wyrzutów, nie starała się niczego wytłumaczyć: była po prostu obecna, niekiedy tańczyła, a wtedy zdawało się, że przesuwa się przez rój marionetek i karykatur jak cichy, piękny, wąski statek. Czasami uśmiechała się do mnie.

Otępiająca senność nocnych lokali muskała szarożółtymi rękoma ściany i twarze. Zdawało się, że muzyka gra pod szklaną przykrywą trumny. Łysoń popijał kawę. Niewiasta z rękoma jak jaszczurki patrzyła tępo przed siebie. Breuer kupił od umęczonej sprzedawczyni róże i obdzielił nimi Pat oraz pozostałe panie. Na wpółotwartych pączkach ważyły się małe, przejrzyste krople.

– Musimy ze sobą raz zatańczyć – rzekła do mnie Pat.

– Nie – rzekłem i pomyślałem, ile dłoni dotykało jej dziś w tańcu. – Nie – powtórzyłem i czułem się śmieszny i nieszczęśliwy.

– Kiedy ja chcę – rzekła, a oczy jej pociemniały.

– Nie. Nie, Pat.

Wreszcie wyszliśmy.

– Odwiozę pana do domu – zaproponował Breuer.

– Dobrze.

Miał w wozie pled, którym okrył kolana Pat. Zauważyłem, że wygląda blado. Była strasznie zmęczona. Znajoma z baru wsunęła

mi przy pożegnaniu karteczkę do ręki. Nie dałem nic poznać po sobie i wsiadłem do wozu. W czasie drogi wyglądałem przez okno. Pat siedziała wtulona w kąt i nie poruszyła się. Nie mogłem pochwycić nawet jej oddechu. Breuer odwiózł naprzód ją. Bez żadnego pytania. Wiedział, gdzie mieszka. Pat wysiadła. Breuer pocałował ją w rękę.

– Dobranoc – rzekłem, nie patrząc na nią.

– Gdzie pan chce wysiąść? – spytał Breuer.

– Na najbliższym rogu.

– Chętnie podwiozę pana do domu – odparł nieco zbyt pośpiesznie i zbyt grzecznie.

Chciał przeszkodzić mojemu powrotowi do Pat. Zastanawiałem się, czy mam dać mu zaraz w mordę czy nie. Ale był mi zbyt obojętny.

– Pięknie, w takim razie proszę zawieźć mnie do baru Freddy'ego.

– Czy o tej porze dostanie się pan jeszcze do środka?

– To ładnie z pana strony, że się pan tak o mnie troszczy, ale niech pan będzie spokojny, dostanę się jeszcze wszędzie.

Ledwiem to powiedział, już mi się zrobiło przykro. Facet wydawał się sobie cały wieczór swobodny, elegancki i pewny siebie. Nie powinienem mu tego psuć.

Pożegnałem się z nim serdeczniej aniżeli z Pat.

W barze było jeszcze dość ludzi. Lenz i Ferdynand Grau grali w pokera z kupcem Bollwiesem i paru innymi.

– Przysiądź się do nas – powiedział Gotfryd. – Dziś jest nastrój pokerowy.

– Nie – odrzekłem.

– Spójrz tylko – namawiał mnie i wskazał na stos pieniędzy. – Bez blefu. Roi się od fleszów.

– Dobrze. Dawaj.

Zablefowałem z dwoma królami i nabrałem ich wszystkich.

– To dopiero! – powiedziałem. – Zdaje się, że dziś jest także nastrój blefowy.

– Ten jest zawsze – skonstatował Ferdynand i podsunął mi papierosy.

Nie zamierzałem długo siedzieć w barze. Teraz jednak poczułem grunt pod nogami. Miałem paskudne samopoczucie. Tutaj jednak byłem w domu.

– Daj mi tu pół butelki rumu – zawołałem do Freda.

– Dolej sobie portwajnu – radził Lenz.

– Nie – powiedziałem. – Nie mam czasu na eksperymenty. Chcę się prędko zalać.

– To pij słodki likier. Pokłóciłeś się?

– Ale skąd?

– Nie przecz, dziecinko. Nie okłamuj starego papy Lenza, który zna wszystkie zakamarki ludzkiego serca. Powiedz: tak, i chlaj.

– Z kobietą nie można się pokłócić. Można się tylko irytować z jej powodu.

– To za subtelne różnice jak na trzecią w nocy. Poza tym ja kłóciłem się z każdą. Jeżeli człowiek przestaje się kłócić z kobietą, to znaczy, że wkrótce wszystko się między nimi skończy.

– No dobrze. Kto daje?

– Ty – oświadczył Ferdynand Grau. – Zdaje mi się, że masz jakiś żal do świata, Robby. Nie przejmuj się. Życie jest interesujące, ale niedoskonałe. Mówiąc nawiasem, jak na nastrój żalu do świata blefujesz znakomicie. Dwa króle to prawdziwa bezczelność!

– Widziałem kiedyś partię, w której postawiono siedem tysięcy franków przeciw dwóm królom – rzucił Fred zza baru.

– Szwajcarskich czy francuskich? – spytał Lenz.

– Szwajcarskich.

– Twoje szczęście. Dla francuskich nie miałbyś prawa przerywać gry.

Graliśmy jeszcze godzinę. Wygrałem sporą sumę. Bollwies przegrywał nieustannie. Piłem dużo, ale tylko rozbolała mnie głowa. Przestałem widzieć brązowe powiewające chusty. Wszystko rysowało mi się wyraźniej przed oczami. Czułem pieczenie w żołądku.

– No, teraz przestań pić i zjedz coś – powiedział Lenz. – Fred, daj mu kawałek chleba i parę sardynek. Schowaj forsę, Robby.

– Jeszcze jedną kolejkę.

– Dobrze. Ostatnią. Podwójnie?

– Podwójnie – zgodzili się inni.

Dość bez sensu dokupiłem do dziesiątki i króla treli trzy karty. Były to: walet, dama i as. Wygrałem do Bollwiesa, który miał w ręku cztery ósemki i ciągnął wysoko. Klnąc wypłacił mi kupę forsy.

– Widzisz? – przypomniał Lenz. – Fleszowy nastrój.

Usiedliśmy przy barze. Bollwies spytał o Karla. Nie mógł zapomnieć, że Köster zwyciężył w wyścigu jego sportowy wóz. Podtrzymywał nadal propozycję kupna.

– Spytaj Köstera – powiedział Lenz. – Ale wydaje mi się, że raczej dałby sobie rękę uciąć.

– No, no – powątpiewał Bollwies.

– Ty tego nie rozumiesz, skomercjalizowany synu dwudziestego wieku – oświadczył Lenz.

Ferdynand Grau roześmiał się. Fred także. W końcu śmialiśmy się wszyscy. Ten, kto by się nie śmiał z dwudziestego wieku, musiałby wpakować sobie kulkę w łeb. Ale długo nie można się było z tego śmiać, bo właściwie miało się ochotę wyć.

– Czy ty umiesz tańczyć? – spytałem Gotfryda.

– Oczywiście. Byłem przecież w swoim czasie nauczycielem tańców. Zapomniałeś już o tym?

– Czy zapomniał… Pozwól mu zapomnieć – wmieszał się Grau. – Zapominanie to tajemnica wiecznej młodości. Człowiek starzeje się tylko dlatego, że pamięta. Za mało zapominamy.

– Nie – zaprzeczył Lenz. – Tylko zapominamy nie o tym, co trzeba.

– Czy mógłbyś mnie nauczyć? – spytałem.

– Tańczenia? W jeden wieczór, dziecinko. Nie masz innego zmartwienia?

– Nie mam w ogóle zmartwienia. Głowa mnie boli.

– Choroba naszych czasów, Robby – rzekł Ferdynand. – Najlepiej byłoby rodzić się bez głowy.

Wstąpiłem jeszcze do „Café International”. Alojzy zabierał się właśnie do czyszczenia żaluzji w oknach.

– Jest jeszcze ktoś? – spytałem.

– Róża.

– Chodź, napijemy się jeszcze wszyscy troje po jednym.

– Dobra.

Róża siedziała przy ladzie i robiła na drutach wełniane pończoszki dla swojej córeczki. Pochwaliła się wzorem. Miała już także gotowy kaftanik.

– Jak tam interesy? – spytałem.

– Źle. Nikt nie ma pieniędzy.

– Chcesz, to ci pożyczę? Masz. Wygrałem dziś w pokera.

– Wygrane pieniądze przynoszą szczęście. – Róża splunęła na banknot i schowała go do kieszeni.

Alojzy przyniósł trzy kieliszki. Potem, kiedy nadeszła Fritzi, dostawił czwarty.

– Zamykamy – oświadczył. – Jestem piekielnie zmęczony.

Zgasił światło. Wyszliśmy. Róża pożegnała się przed drzwiami. Fritzi wzięła Alojzego pod rękę. Szła obok niego świeża i lekka. Alojzy powłóczył płaskimi stopami po bruku. Stanąłem i patrzałem za nimi. Widziałem, jak Fritzi pochyliła się ku brudnemu, zgarbionemu kelnerowi i pocałowała go. Odsunął ją obojętnie. I nagle, nie wiem, jak to się stało, kiedy odwróciłem się i spojrzałem na pustą ulicę, domy z ciemnymi oknami i chłodne nocne niebo, spadła na mnie niby cios pięści taka szalona tęsknota do Pat, że się niemal zachwiałem. Nie rozumiałem już nic – nie rozumiałem siebie ani swego zachowania, ani całego tego wieczoru, nic.

Oparłem się o mur i patrzyłem przed siebie. Nie pojmowałem całego swego postępowania. Wplątałem się w coś, co wywołało we mnie zamęt, co odebrało mi rozsądek i poczucie sprawiedliwości, zburzyło z trudem zdobytą równowagę. Stałem tak bezradny i nie wiedziałem, co robić. Nie chciałem wrócić do domu – tam czułbym się jeszcze gorzej. Nagle przyszło mi na myśl, że knajpa Alfonsa jest pewno jeszcze otwarta. Poszedłem do Alfonsa. Miałem zamiar przesiedzieć u niego do rana.

Alfons nie tracił wiele słów. Spojrzał na mnie i powrócił do swojej gazety. Siadłem przy stoliku i pogrążyłem się w sennych roz-

myślaniach.

Poza mną nie było w lokalu nikogo. Myślałem o Pat. Wciąż tylko o Pat. Myślałem o tym, jak się tego wieczoru zachowałem. Nagle przypomniałem sobie najdrobniejsze szczegóły. Wszystko obracało się przeciw mnie. Tylko ja byłem winien. Oszalałem chyba! Siedziałem wpatrzony w stolik. Krew pulsowała mi w skroniach. Byłem wściekły na siebie, rozgoryczony i bezradny. To ja, ja sam, wszystko zepsułem.

Nagle rozległ się trzask i brzęk. Zgniotłem w ręku kieliszek.

– Także niezła rozrywka – powiedział Alfons i wstał.

Wyciągnął mi kawałek szkła z ręki.

– Bardzo mi przykro – usprawiedliwiałem się. – Nie zastanawiałem się nad tym, co robię.

Alfons przyniósł watę i plaster.

– Idź do burdelu – poradził. – To lepsze niż tłuczenie szkła.

– Nic, nic – odparłem. – Już minęło. To tylko napad wściekłości.

– Wściekłość należy zwalczać zabawą, a nie gniewem – oświadczył.

– Słusznie – odparłem – ale trzeba też móc się bawić.

– To kwestia treningu. Wy wszyscy chcecie głową przebijać mur. Ale z latami to mija.

Założył na gramofon *Miserere* z *Trubadura*. Zaczęło się szybko rozjaśniać.

Powlokłem się do domu. Alfons dał mi jeszcze duży kieliszek Fernet-Branca. Czułem teraz, że w głowie kołaczą mi miękkie młoteczki. Asfalt wysechł. Ramiona ciążyły mi jak ołów. Miałem dosyć.

Powoli wdrapywałem się na schody i zacząłem szukać w kieszeni klucza. Nagle posłyszałem czyjś oddech dochodzący z półmroku. Coś bladego, niewyraźnego kuliło się na najwyższym stopniu. Postąpiłem dwa kroki.

– Pat… – rzekłem, nie rozumiejąc, co to się dzieje – Pat… co ty tu robisz?

Poruszyła się.

– Zdaje mi się, że trochę zasnęłam.

– Tak, ale w jaki sposób dostałaś się tutaj?

– Mam przecież klucz od bramy.

– Wiem. Nie o to chodzi. Chciałem powiedzieć… – Pijackie oszołomienie minęło, jakby ręką odjął, widziałem wyraźnie wydeptane schody, łuszczącą się ścianę, srebrną suknię, wąskie lśniące pantofelki. – Co się stało, że się tu w ogóle zjawiłaś…?

– Pytam samą siebie o to przez ten cały czas.

Wstała, przeciągnęła się swobodnie, jakby to było coś najzwyklejszego pod słońcem, że o tej porze siedziała tu na schodach. Potem pociągnęła nosem.

– Lenz powiedziałby zaraz: koniak, rum, wiśniówka, absynt!

– Nawet i Fernet-Branca – wyznałem i dopiero teraz pojąłem wszystko. – Mocny Boże, cudowna dziewczyna z ciebie, Pat, a ja jestem wstrętny idiota!

Podniosłem ją jednym ruchem z ziemi, otworzyłem drzwi i przeniosłem ją przez korytarz. Leżała na mojej piersi jak srebrne czaple pióro, jak zmęczony ptak. Odwróciłem głowę, żeby nie owiewał jej mój nasycony wódką oddech, i czułem, że drży, chociaż starała się uśmiechać.

Usadowiłem ją na krześle, zapaliłem światło i przyniosłem koc.

– Gdybym przypuszczał, Pat… Zamiast włóczyć się i wysiadywać w knajpach, mógłbym… ach, jakiż durny cap ze mnie… Dzwoniłem do ciebie od Alfonsa, gwizdałem pod twoim domem, ale myślałem, że nie chcesz mnie słyszeć i widzieć, bo nie odpowiadałaś…

– Dlaczego nie zawróciłeś do mnie zaraz po odprowadzeniu mnie do domu?

– Tak, chciałbym to także wiedzieć…

– Lepiej, żebyś mi dał na przyszłość także klucz od mieszkania. Nie będę musiała wysiadywać na schodach.

Uśmiechnęła się, ale wargi jej drżały. I nagle uświadomiłem sobie, czym to musiało być dla niej – ten powrót, czekanie i teraz jeszcze ten buńczuczny, żartobliwy ton.

– Pat! – powiedziałem całkowicie zbity z tropu. – Pat, pewnie zmarzłaś, musisz się czegoś napić, widziałem z zewnątrz światło u Orłowa, skoczę do niego, ci Rosjanie mają zawsze herbatę, zaraz wrócę… – czułem, jak uderza na mnie fala gorąca – nie zapomnę ci tego nigdy w życiu! – rzuciłem od drzwi i szybko poszedłem korytarzem.

Orłow nie spał jeszcze. Siedział w kącie pokoju pod ikoną, przed którą paliła się lampka, miał zaczerwienione oczy, na stoliku buchał parą mały samowar.

– Proszę mi wybaczyć – rzekłem – ale… nieprzewidziany wypadek… Czy mógłby mi pan dać trochę gorącej herbaty?

Rosjanie otrzaskani są z niezwykłymi wypadkami. Orłow dał mi dwie szklanki, trochę cukru i ułożył na talerzyku ciasteczka.

– Chętnie panu służę. Jestem rad, że mogę panu być w czymś pomocny. Czy mogę ofiarować panu… byłem nieraz w podobnej sytuacji… parę ziarenek kawy… do żucia…

– Dziękuję… naprawdę serdeczne dzięki. Bardzo chętnie wezmę odrobinę kawy…

– Jeżeli potrzebowałby pan jeszcze czegoś – dodał i w tej chwili wydał mi się naprawdę wspaniały – to bardzo proszę, ja jeszcze nie kładę się spać. Sprawi mi wielką przyjemność, jeżeli…

Zżułem ziarnka kawy na korytarzu. Niweczyły zapach alkoholu. Pat siedziała przy lampie i pudrowała się. Przystanąłem na chwilę w drzwiach. Dziwnie mnie wzruszyło to, że tak sobie siedzi, patrzy uważnie w lusterko i przesuwa puszkiem po twarzy.

– Napij się trochę herbaty. Jest bardzo gorąca.

Wzięła szklankę z moich rąk. Przyglądałem się, jak pije.

– Diabli wiedzą, co mnie dzisiaj opętało.

– Ja już wiem, co.

– Tak? Ja nie wiem.

– I nie trzeba, Robby, żebyś wiedział. Już i tak wiesz trochę za wiele, żebyś mógł być naprawdę szczęśliwy.

– Może i racja. Ale to naprawdę niemożliwe, żebym coraz bardziej przy tobie dziecinniał.

– Owszem! To lepsze, niż gdybyś miał stawać się coraz trzeźwiejszy.

– Także uzasadnione. Podziwiam twoją sztukę wydobywania mnie z tarapatów. Ale zdaje mi się, że to wszystko razem się zbiegło.

Postawiła filiżankę na stole. Stałem oparty o łóżko. Miałem wrażenie, jakbym wrócił do domu z długiej i ciężkiej podróży.

Ptaki zaczęły świergotać. W korytarzu trzasnęły drzwi. To wychodziła nasza pielęgniarka od bachorów, pani Bender. Spojrzałem na zegarek. Za pół godziny zjawi się w kuchni Fryda, a wtedy nie będzie można marzyć o wymknięciu się niepostrzeżenie z mieszkania. Pat spała jeszcze. Oddychała równo i głęboko. Doprawdy, to była zbrodnia budzić ją. Ale musiałem.

– Pat!

Mruknęła coś przez sen.

– Pat! – Przeklinałem wszystkie pensjonatowe pokoje na świecie. – Pat, już czas. Musisz się ubrać.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się jeszcze ciepła ze snu jak dziecko. Byłem zawsze zdumiony tą jej wesołością przy budzeniu się i kochałem to w niej bardzo. Ja nigdy nie uśmiechałem się po obudzeniu.

– Pat, pani Zalewska czyści już swoją sztuczną szczękę.

– Zostanę dzisiaj u ciebie.

– Tu?

– Tak.

Wyprostowałem się.

– Świetny pomysł, ale twoje ubranie… Masz ze sobą pantofelki i suknię wieczorową.

– To zostanę aż do wieczora.

– No, a co zrobimy z twoim domem?

– Zadzwonimy, że zatrzymano mnie u przyjaciół na noc.

– Dobrze. Jesteś głodna?

– Jeszcze nie.

– Na wszelki wypadek ukradnę zaraz parę świeżych bułeczek. Wiszą zawsze w woreczku przy drzwiach wejściowych. Mam jeszcze chwilę dla dokonania tego zabiegu.

Gdy wróciłem, Pat stała przy oknie. Miała na sobie tylko swoje srebrne pantofelki. Miękkie światło budzącego się dnia padało jak biały woal na jej ramiona.

– Zapomnieliśmy już o wczorajszym wieczorze, Pat?

Kiwnęła głową, nie odwracając się od okna.

– Po prostu nie będziemy bywać w gromadzie. Prawdziwa miłość nie znosi towarzystwa innych. Wtedy nie będziemy mieli powodu do sprzeczek ani do napadów zazdrości. Do licha z całym Breuerem i jego paczką, prawda?

– Do licha! I z tą Markowitz!

– Markowitz? Któż to taki?

– To ta pani, z którą siedziałeś przy barze w „Kaskadzie".

– Aha – rzekłem, nagle rozbawiony – aha, to ona. – Pogrzebałem w kieszeniach. – Popatrz! Na coś przydało się to wszystko. Wygrałem kupę pieniędzy w pokera. Przehulamy to wszystko dzisiaj wieczorem, dobrze? Ale sami, bez tych ludzi. Wykreślamy ich z pamięci, co?

Skinęła głową.

Słońce wytoczyło się znad dachu domu związku zawodowego. Szyby zaczęły migotać. Włosy Pat pełne były blasku, a ramiona jej zabarwiły się złotem.

– Jak to powiedziałaś wczoraj, co robi właściwie ten Breuer? To znaczy, jaki ma zawód?

– Jest architektem.

– Architektem – powtórzyłem trochę zawiedziony, ponieważ wolałbym usłyszeć, że nic nie robi. – No, architekci, to znowu nic takiego, co, Pat?

– Oczywiście, kochanie.

– Nic osobliwego, prawda?

– Nic a nic – rzekła z przekonaniem Pat, obracając się ku mnie. Śmiała się. – W ogóle nic, mięta.

– A moja nora nie jest taka okropna. Pat? Oczywiście inni ludzie mieszkają bardziej elegan…

– Twoja nora jest cudowna – przerwała mi Pat – to wspaniała nora, doprawdy, nigdy nie widziałam piękniejszej, kochanie!

– A ja, Pat, mam tyle wad, i jestem tylko szoferem taksówki, ale…

– Jesteś kochany chłopak, złodziej bułeczek, trębacz rumu i strasznie kochany! – I jednym skokiem uwiesiła mi się na szyi. – Ty głuptasie, jakie cudowne jest życie!

– Tylko z tobą. Pat. Naprawdę!

Ranek wstawał pogodny i promienny. Nad grobami na cmentarzu snuła się leciutka mgła. Korony drzew nasyciły się już blaskiem. Z kominów domów unosił się w spiralach dym. Na ulicach wykrzykiwali roznosiciele porannych gazet. Położyliśmy się, tonąc w porannej drzemce, w leniwej, nierzeczywistej jawie, ocierającej się o granicę snu. Objęci ciasno ramionami płynęliśmy w cudownym rozkołysaniu, a oddechy nasze stapiały się w jeden. Potem, o dziewiątej, zadzwoniłem do pana pułkownika Egberta von Hake, przedstawiając się jako tajny radca Burkhard, a później do Lenza, żeby objął za mnie poranny dyżur na taksówce.

Lenz przerwał mi w pół słowa.

– Nie tłumacz się, dziecinko, twój Gotfryd nie na darmo jest znawcą wszelkich przeobrażeń serc ludzkich. Liczyłem się z tą możliwością. Miłych chwil, złotko.

– Zamknij paszczę – zawołałem uradowany i zapowiedziałem w kuchni, że czuję się źle i do południa poleżę. Trzykrotnie musiałem odparować ataki zatroskanej pani Zalewskiej, która ofiarowywała mi rumianek, aspirynę i okłady.

Potem mogłem przemycić Pat do łazienki i mieliśmy święty spokój.

XIV

W tydzień później zjawił się nieoczekiwanie na naszym podwórku piekarzyna ze swoim fordem.

– Wyjdź no zobaczyć, o co chodzi, Robby – mruknął Lenz, rzucając jadowite spojrzenie przez okno. – Ten Casanova od placków ma na pewno jakąś reklamację.

Piekarz wyglądał na dosyć zbitego z tropu.

– Coś się stało z wozem? – spytałem.

Potrząsnął głową.

– Przeciwnie. Wóz chodzi wspaniale. Doprawdy jak nowy.

– Święta racja, wóz jest teraz jak nowy – potwierdziłem i spojrzałem na gębę klienta z nieco większym zainteresowaniem.

– Otóż właściwie… – zaczął piekarz – jakby to powiedzieć… Chciałbym kupić… inny wóz. Pan rozumie, większy. – Rozejrzał się wkoło. – Zdaje mi się, że panowie mieli kiedyś cadillaca?

Zrozumiałem w lot, co się stało. Czarnulka, z którą dzielił łoże, urobiła go jak należy.

– Tak, cadillac – rzekłem rozmarzonym tonem – trzeba było wtedy chwytać okazję! Okazowa sztuka! Sprzedaliśmy go za siedem tysięcy. Na wpół darmo!

– No, żeby tak znowu darmo…

– Darmo! – powtórzyłem z naciskiem i zacząłem się zastanawiać, co robić. – Mógłbym się zapytać nabywcy… byś może, że potrzebuje pieniędzy. Takie sytuacje zdarzają się dzisiaj z dnia na dzień. Chwileczkę.

Skoczyłem do warsztatu i wytłumaczyłem, o co chodzi. Gotfryd zerwał się na równe nogi. – Hej, bracia, skąd by tu wytrzasnąć

naprędce starego cadillaca?

– Zostaw mi ten kłopot – powiedziałem – lepiej uważaj, żeby nam piekarzyna nie zbiegł.

– Rozkaz! – rzekł Gotfryd i zniknął.

Zadzwoniłem do Blumenthala. Nie miałem zbyt wielkiej nadziei, ale spróbować nie zawadzi. Zastałem go w biurze.

– Czy chce pan może sprzedać swojego cadillaca? – zapytałem prosto z mostu.

Blumenthal zaśmiał się.

– Mam reflektanta na wóz – ciągnąłem. – Gotówka na stół.

– Gotówka na stół – powtórzył Blumenthal po chwili zastanowienia. – Słowo to brzmi w naszych czasach jak czysta poezja…

– Jestem tego samego zdania – potwierdziłem i nagle odwaga napłynęła mi do serca. – Więc jak? Pogadamy na ten temat?

– Pogadać można zawsze.

– Pięknie. Kiedy mógłbym się z panem spotkać?

– Dzisiaj po obiedzie jestem wolny. Powiedzmy, o drugiej po południu u mnie w biurze.

– Dobra. – Zawiesiłem słuchawkę. – Otto – powiedziałem nieco podniecony do Köstera – nigdy bym się tego nie spodziewał, ale zdaje mi się, że nasz stary cadillac wróci pod rodzinną strzechę.

Köster odłożył na bok papiery.

– Rzeczywiście? Blumenthal chce go sprzedać?

Przytaknąłem i spojrzałem przez okno na podwórko, gdzie Lenz z ożywieniem klarował coś piekarzowi.

– Źle zabrał się do rzeczy – mruknąłem zaniepokojony. – Za dużo pyskuje. Ten piekarz to istny mur nieufności. Takiego gagatka trzeba przekonać milczeniem. Skoczę zluzować Gotfryda.

Köster zaśmiał się.

– Szczęśliwych łowów, Robby!

Mrugnąłem do niego i wyszedłem z warsztatu. Nie chciałem wierzyć własnym uszom: Gotfrydowi nie śniło się nawet piać przedwcześnie hymnów na cześć cadillaca! Tłumaczył piekarzowi z wielkim zapałem, w jaki sposób Indianie w Ameryce Południowej wypiekają chleb z kukurydzy. Obdarzyłem go spojrzeniem pełnym uznania i zwróciłem się do piekarza.

– Niestety, ten gość nie ma ochoty sprzedać wozu…

– Tak przypuszczałem – rzekł skwapliwie Lenz, jakbyśmy się zmówili.

Wzruszyłem ramionami.

– Szkoda… ale nie dziwię się.

Piekarz sterczał w miejscu niezdecydowany. Spojrzałem na Lenza.

– A może by tak spróbować jeszcze raz? – spytał natychmiast.

– Oczywiście, mogę spróbować. Zdołałem uzyskać przynajmniej to, że spotkamy się dzisiaj po południu. Gdzie będę mógł pana potem zastać? – zwróciłem się do piekarza.

– Będę około czwartej niedaleko stąd. Zajdę do panów jeszcze raz.

– Doskonale, do czwartej będę mógł panu dać odpowiedź. Mam nadzieję, że mimo wszystko uda mi się wydobyć wóz.

Piekarz kiwnął głową. Po czym siadł za kierownicą forda i pogazował.

– Doprawdy, Pan Bóg ci rozum odebrał – wybuchnął Lenz, gdy ford zniknął za zakrętem. – Naprzód chcesz, żebym siłą przetrzymywał faceta, a potem pozwalasz mu uciec!

– Logika i psychologia, drogi przyjacielu – odpowiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Niestety, nie rozumiesz tego jeszcze.

Strząsnął gniewnie moją rękę z ramienia.

– Psychologia! – mruknął pogardliwie. – Najlepszą psychologią jest szczęśliwy traf! I właśnie taki traf lazł nam w ręce. Zobaczysz, że piekarzyna nie pojawi się tu więcej.

– Przyjdzie o czwartej.

Gotfryd spojrzał na mnie ze współczuciem.

– Założymy się?

– Chętnie, ale wiem, że przegrasz. Znam lepiej niż ty tego faceta. Już ktoś go dopilnuje. Poza tym nie mogę mu sprzedać czegoś, czego sam jeszcze nie mam w garści.

– Ach, mocny Boże – powiedział Gotfryd, potrząsając głową – jeżeli ci o to chodzi, to nigdy nie wyrośniesz na kupca, dziecinko. Przecież na tym właśnie polega prawdziwy interes! Chodź, udzielę

ci darmowego przeszkolenia na temat zasad nowoczesnego życia gospodarczego.

W południe poszedłem do Blumenthala. Miałem uczucie jagnięcia, które udaje się w odwiedziny do starego wilka. Słońce rozgrzewało asfalt, a ja z każdym krokiem miałem mniejszą ochotę dać się upiec na rożnie przez Blumenthala. Najlepiej będzie przeciąć od razu ten węzeł.

– Panie Blumenthal – wyrecytowałem szybko po wejściu do gabinetu, nie dopuszczając Blumenthala do głosu. – Robię panu zaraz od progu przyzwoitą propozycję. Zapłacił pan za cadillaca pięć tysięcy pięćset marek. Ofiarowuję panu sześć tysięcy, pod warunkiem, że uda mi się go sprzedać. Sprawa zdecyduje się dzisiaj wieczorem.

Blumenthal królował za swoim biurkiem i właśnie zajęty był spożywaniem jabłka. Przerwał tę czynność i przyglądał mi się przez chwilę.

– Zgoda – burknął i wziął się z powrotem do jedzenia.

Poczekałem, aż wrzuci ogryzek do kosza na papiery.

– A więc załatwione?

– Chwileczkę! – Blumenthal wydobył z szuflady biurka jeszcze jedno jabłko. – Ma pan apetyt na jabłuszko?

– Dziękuję, nie.

Wgryzł się w owoc, aż chrupnęło.

– Powiadam panu, należy jeść jak najwięcej jabłek. Jabłka przedłużają życie! Codziennie parę jabłuszek, a nie będzie pan potrzebował oglądać lekarzy.

– Nawet jeżeli złamię rękę?

Uśmiechnął się, cisnął do kosza ogryzek drugiego jabłka i wstał z fotela.

– Jeżeli będzie pan jadł jabłka, to nie przytrafi się panu w ogóle złamanie ręki!

– To bardzo praktyczny wynalazek – mruknąłem.

Czekałem, co teraz nastąpi. Cała ta jabłkowa pogadanka wydawała mi się dziwnie podejrzana.

Blumenthal wydobył pudełko cygar z małej szafki i poczęstował mnie. Były to znane mi już corony.

– Czy i cygara przedłużają życie? – spytałem.

– Nie, skracają. To się równoważy z jabłkami.

Wydmuchnął kłąb dymu i przypatrywał mi się z przechyloną na bok głową jak zamyślone ptaszysko.

– Równoważyć, proszę pana… zawsze równoważyć… oto cała tajemnica życia.

– Jeżeli tylko można…

Łysnął okiem.

– Tak, móc, to także tajemnica. Wiemy za wiele, ale możemy za mało. Dlatego właśnie, że wiemy za dużo. – Zaśmiał się. – Proszę mi wybaczyć, ale po obiedzie zbiera mi się zawsze na filozofowanie.

– Najodpowiedniejsza ku temu pora. A więc na temat cadillaca osiągnęliśmy równowagę?

Podniósł dłoń.

– Sekundeczkę.

Opuściłem zrezygnowany głowę. Blumenthal spostrzegł ten gest i wybuchnął śmiechem.

– Niech pan się nie obawia! Chciałem tylko pochwalić pańską taktykę. Zaraz od drzwi odkryć karty i zaskoczyć przeciwnika! Świetnie obliczone na psychologię starego Blumenthala. Wie pan, czego oczekiwałem?

– Że zacznę od zaofiarowania czterech tysięcy pięciuset marek…

– Właśnie! Ale źle by pan na tym wyszedł. Chce pan przecież odsprzedać za siedem tysiączków, zgadłem, hę?

Przez ostrożność wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego akurat za siedem?

– Ponieważ swojego czasu była to pierwsza pańska oferta.

– Ma pan doprawdy wspaniałą pamięć!

– Do liczb. Tylko do liczb. No więc, ażeby dobić targu: może pan mieć wóz za oferowaną cenę.

Wyciągnął łapę i przybiłem.

– Chwała Bogu! – odetchnąłem. – Pierwszy interes od niepamiętnych czasów. Ten cadillac przynosi nam szczęście.

– I mnie także. Zarobiłem na nim przecież pięćset marek.

– Racja. Ale dlaczego sprzedał pan tak prędko wóz? Nie podoba się panu?

– Po prostu jestem przesądny. Robię każdy interes, na którym zarabiam.

– Cudowna przesądność!

Pokołysał błyszczącą łysiną.

– Nie wierzy mi pan, ale to działa. Żeby nie powinęła mi się noga przy innych sprawach. Puścić interes to, powiadam panu, w dzisiejszych czasach wyzywanie losu. A na to nie może sobie obecnie nikt pozwolić.

O wpół do piątej Gotfryd Lenz postawił przede mną na stole pustą flaszkę od ginu.

– Chciałbym zobaczyć jak najszybciej tę oto butlę pełną, robaczku! I to bez kosztów z mej strony. Zapomniałeś już może o naszym zakładzie?

– Pamiętam, przyjacielu, ale pośpieszyłeś się.

Gotfryd podsunął mi bez słowa zegarek pod nos.

– Wpół do piątej – powiedziałem spokojnie. – Czas według obserwatorium astronomicznego. Każdy śmiertelnik może się przecież spóźnić. Podwajam zakład: dwa do jednego.

– Przyjmuję – odrzekł Gotfryd uroczyście. – To znaczy, cztery flaszczyny ginu dla mnie. Tego rodzaju postępowanie zwie się bohaterską odwagą na straconym posterunku. Bardzo szlachetnie z twej strony, dziecinko, ale lekkomyślnie…

– Zobaczymy.

Od dawna już nie byłem tak pewny siebie, jak to udawałem. Przeciwnie, liczyłem się coraz bardziej z tym, że piekarzyna nie pojawi się już u nas. Trzeba go było złapać za połę przed południem. Gość był zanadto płochliwy.

Gdy syrena fabryki sprężyn do materaców, mieszczącej się naprzeciwko warsztatu, wyryczała godzinę piątą, Gotfryd ustawił

w milczeniu dalsze trzy flaszki na stole. Po czym oparł się na parapecie okna i patrzał na mnie.

– Pić mi się chce – rzekł po chwili z naciskiem.

W tym samym momencie usłyszałem nieomylny warkot motoru forda na ulicy. Za chwilę wtoczył się na podwórze wóz piekarza.

– Jeżeli chce ci się pić, mój kochany – rzekłem z godnością – pobiegnij szybko i napełń rumem wygrane przeze mnie dwie butelki. Możesz sobie za darmo pociągnąć jeden łyczek. Czy widzisz piekarzynę na naszym podwórku? Oto co znaczy psychologia, młodzieńcze! A teraz sprzątnij te puste butelki! Potem możesz wyruszyć na taksówce. Jesteś za smarkaty do subtelniejszych interesów. Żegnaj, synu!

Wyszedłem z warsztatu i zawiadomiłem piekarza, że wóz będzie można przypuszczalnie odkupić. Klient żąda siedem tysięcy pięćset marek, ale jak zobaczy gotówkę na stole, zgodzi się pewno na siedem tysięcy.

Piekarz słuchał tego wszystkiego z takim roztargnieniem, że aż mnie zdziwiło.

– O szóstej mam jeszcze raz zadzwonić do tego jegomościa – dorzuciłem na zakończenie.

– O szóstej? – piekarz zbudził się nagle z zamyślenia. – O szóstej muszę… – Zwrócił się nagle ku mnie. – Pójdzie pan ze mną?

– Dokąd? – spytałem zdumiony.

– Do pańskiego przyjaciela, tego malarza. Obraz jest gotów.

– Ach, tak, do Ferdynanda Graua…

Przytaknął.

– Niech pan pojedzie ze mną. Potem będziemy mogli pogadać jeszcze o wozie.

Najwidoczniej zależało mu na tym, ażeby nie iść samemu do Ferdynanda. Mnie zależało jeszcze bardziej na tym, ażeby nie wypuszczać go z rąk.

– Dobrze – odparłem. – Chociaż to kawałek drogi. Najlepiej jedźmy tam razem.

Ferdynand Grau wyglądał marnie. Twarz jego była szarozielona, jakby obrzękła i pełna cieni. Powitał nas u progu pracowni. Piekarz nawet na niego nie spojrzał. Był dziwnie niepewny i podniecony.

– Gdzie obraz? – spytał od razu.

Ferdynand wskazał ręką w stronę okna. Obraz stał na sztalugach. Piekarz podszedł szybkim krokiem i stanął bez ruchu tuż przed obrazem. Po chwili zdjął kapelusz z głowy. Tak mu się śpieszyło, że zapomniał o tym na śmierć.

Zatrzymałem się z Ferdynandem u progu.

– Jak się miewasz, Ferdku? – spytałem.

Zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Czy coś się stało?

– Co się miało stać?

– Wyglądasz źle.

– I nic więcej?

– Nie. Nic więcej…

Położył mi swoją wielką łapę na ramieniu i uśmiechnął się. Twarz jego przypominała żywo pysk starego bernardyna.

Czekaliśmy przez chwilę. Potem podeszliśmy do piekarza. Byłem przyjemnie zdziwiony na widok obrazu. Głowa wypadła znakomicie. Na podstawie zdjęcia ślubnego oraz drugiego późniejszego Ferdynand namalował młodą jeszcze kobietę, patrzącą przed siebie poważnymi, nieco bezradnymi oczyma.

– Tak – rzekł piekarz, nie odwracając się ku nam. – To ona, jak żywa. – Powiedział to bardziej do siebie niż do nas. Odniosłem wrażenie, że nie zdawał sobie nawet sprawy z wypowiedzenia tych słów.

– Ma pan dosyć światła? – spytał Ferdynand.

Piekarz nie odpowiedział.

Ferdynand zbliżył się, aby przesunąć nieco sztalugi. Potem cofnął się i dał mi znak, żebym przeszedł z nim do małego pokoju obok pracowni.

– Doprawdy, nigdy bym nie przypuszczał – szepnął zdumiony – że ta maszyna do duszenia cen może się załamać! Beczy!

– Każdy się kiedyś załamuje. Tylko że na niego już za późno.

– Za późno, zawsze za późno – rzekł Ferdynand. – Tak to jest w życiu, Robby.

Chodził powoli tam i z powrotem.

– Zostawmy go w spokoju przez chwilę. Tymczasem zagramy sobie partię szachów.

– Masz cudowne usposobienie – powiedziałem.

Grau stanął.

– Dlaczego? Jemu to ani nie pomoże, ani nie zaszkodzi. Gdyby człowiek chciał wciąż myśleć o czymś takim, nikt na świecie nie mógłby się już śmiać.

– Masz rację. No, to zagrajmy prędko partyjkę.

Ustawiliśmy figury i zaczęliśmy grę. Ferdynand wygrał szybko i bez trudu. Dał mi mata za pomocą wieży i laufra, nie uciekając się do królowej.

– No, no, wyglądasz, jakbyś trzy noce nie spał, a grasz jak korsarz.

– Gram dobrze zawsze, kiedy mnie ogarnia melancholia – odrzekł Ferdynand.

– A dlaczego cię ogarnia melancholia?

– Ach, tak sobie. Dlatego, że jest ciemno. Przyzwoity człowiek zawsze odczuwa melancholię, kiedy wieczór zapada. Nie z jakiegoś konkretnego powodu. Tak w ogóle…

– Ale tylko, jeśli jest sam – wtrąciłem.

– Oczywiście. Pora cieni. Pora samotności. Pora, kiedy koniak najlepiej smakuje.

Przyniósł butelkę i dwa kieliszki.

– Czy nie powinniśmy zajrzeć do piekarza? – spytałem.

– Za chwilę. – Nalał. – Na zdrowie, Robby. Za to, że wszyscy musimy kiedyś zdechnąć!

– Na zdrowie, Ferdynand! Za to, że na razie żyjemy.

– Cóż, czasami już niewiele brakowało. Wypijmy za to jeszcze po jednym.

– Dobra.

Wróciliśmy do pracowni. Mrok stał się gęstszy. Piekarz sterczał ciągle jeszcze zgarbiony przed obrazem. Wyglądał na żałośnie zagubionego w wielkim, pustym pokoju i przez chwilę zdawało mi się, jakby sam zmalał.

– Czy mam zapakować panu obraz? – spytał Ferdynand.

Piekarz wzdrygnął się.

– Nie – rzekł.

– W takim razie odeślę go panu jutro.

– Czy nie mógłby jeszcze trochę zostać u pana? – wyjąkał piekarz.

– Dlaczego? – spytał Ferdynand zdziwiony i podszedł do niego. – Czy może nie podoba się panu?

– Owszem… ale chciałbym zostawić go jeszcze u pana.

– Nie rozumiem…

Piekarz spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem. Zrozumiałem: bał się zawiesić u siebie w mieszkaniu obraz w obecności czarnuli. Może też wstydził się wobec zmarłej.

– Ależ Ferdynandzie – wmieszałem się – obraz może spokojnie powisieć u ciebie, jeżeli tylko zostanie zapłacony.

– No, oczywiście…

Piekarz odetchnął z ulgą. Wydobył z kieszeni książeczkę czekową. Obaj zbliżyli się do stołu.

– Zostało jeszcze czterysta marek? – spytał.

– Czterysta dwadzieścia z potrąceniem rabatu. Chce pan pokwitowania?

– Tak, dla porządku.

W milczeniu wypisali czek i kwit. Stanąłem przy oknie i rzuciłem okiem po pracowni. W półmroku wieczoru połyskiwały ze ścian twarze z nie odebranych i nie zapłaconych portretów w złotych ramach. Wyglądały jak widmowe zebranie mieszkańców zaświata. Zdawało mi się, że wszystkie martwe spojrzenia kierują się ku portretowi przy oknie, który miał się przyłączyć do nich. Grały na nim jeszcze odpryski życia i światła. Dziwny był to nastrój: dwie pochylone nad stołem postacie piszących mężczyzn, cienie i ten rząd milczących twarzy.

Piekarz raz jeszcze podszedł do okna. Jego oczy w czerwonych obwódkach przypominały szklane kule, miał wpółotwarte usta, dolna warga zwisała, ukazując zepsute zęby. Wyglądał śmiesznie i smętnie zarazem. Na piętrze nad pracownią zaczął ktoś ćwiczyć na fortepianie wciąż tę samą palcówkę. Brzmiało to przenikliwie i męcząco. Ferdynand Grau zatrzymał się przy stole. Zapalił cygaro. Światło zapałki padło na jego twarz.

Na wpół ciemny pokój wyolbrzymiał nagle w czerwonym poblasku i stał się intensywnie niebieski.

– Czy można by jeszcze coś zmienić na obrazie? – spytał piekarz.

– Co takiego?

Ferdynand podszedł bliżej. Piekarz wskazał biżuterię.

– Można by to usunąć?

Była to masywna złota broszka, której namalowania domagał się przy zamówieniu.

– Oczywiście – odparł Ferdynand. – Prawdę powiedziawszy kłóci się ona z twarzą. Jeżeli zamalujemy broszkę, obraz zyska tylko.

– I ja tak myślę. – Przez chwilę dusił w sobie słowa. – Ile to będzie kosztować?

Spojrzeliśmy po sobie.

– Nic nie będzie kosztować – rzekł dobrodusznie Ferdynand – przeciwnie, powinien pan nawet dostać parę marek reszty. Będzie przecież mniej na portrecie.

Piekarz podniósł zdziwiony głowę. Przez chwilę zdawało się, że podchwyci tę okazję. Ale potem rzekł zdecydowanym tonem:

– Ach, niechże pan da spokój. Przecież musiał pan przedtem namalować broszkę.

– I to prawda.

Wyszliśmy. Gdy patrzyłem na schodach na zgarbioną postać piekarza, zrobiło mi się go nagle żal, że jednak ruszyło go sumienie przy próbie szwindla z tą broszką! Doprawdy nie czułem się na siłach dobierać mu się teraz do skóry z moim cadillakiem. Po chwili jednak pomyślałem sobie, że część jego z pewnością szczerej żałoby po zabitej żonie wynika stąd, że czarnulka, pilnująca ogni-

ska domowego, to skończona wydra. Myśl ta postawiła mnie od razu na nogi.

– Możemy omówić wszystko u mnie w domu – rzekł piekarz, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

Przytaknąłem. Było mi to bardziej na rękę. Piekarz łudził się co prawda, że na własnym terenie będzie mocniejszy, ale ja liczyłem na pomoc czarnuli.

Oczekiwała nas u drzwi.

– Serdecznie gratuluję – rzekłem, zanim piekarz zdołał otworzyć usta.

– Czego? – spytała szybko z błyszczącymi oczyma. – Ach, kotku! – I jednym skokiem zawisła na szyi piekarza.

– Ależ to jeszcze nie jest…

Próbował się uwolnić z uścisku, wytłumaczyć jej. Ale czarnula trzymała go mocno i kręciła się z nim w kółko, nie dając mu przyjść do słowa. Na zmianę oglądałem ponad jego ramieniem jej sprytną, uśmiechniętą mordkę, to znowu ponad jej ramionami jego pełną wyrzutu, nadaremnie protestującą gębę.

Wreszcie udało mu się uwolnić z jej objęć.

– Ależ my nie zakończyliśmy jeszcze interesu! – sapał.

– Owszem! – zawołałem z serdecznym akcentem w głosie. – Wszystko załatwione. Biorę na siebie utargowanie na moim kliencie pięciuset marek. Nie zapłaci pan za cadillaca ani grosza ponad siedem tysięcy marek. Zgoda?

– Oczywiście! – rzuciła spiesznie czarnula. – Przecież to naprawdę tanio, kotku!

– Stop! – ryknął piekarz, podnosząc rękę.

– Co to ma znaczyć? – napadła na niego. – Najpierw zapowiadasz, że już kupiłeś wóz, a potem nagle okazuje się, że nic z tego!

– On kupi, kupi – wtrąciłem – omówiliśmy już wszystko…

– No więc kotku… po co te fochy? – Przycisnęła się do niego.

Usiłował uwolnić się od niej znowu, ale jej pełne piersi coraz silniej naciskały na niego. Na chwilę twarz zapłonęła mu gniewem, ale opór słabł widocznie…

– Ale ford… – wybąkał.

– Oczywiście, przyjmiemy go na poczet zapłaty.

– Cztery tysiące marek…

– Kosztował kiedyś, hę? – spytałem przyjaznym tonem.

– Musi pan policzyć mi cztery tysiące za forda – stwierdził z mocą piekarz. Znalazł wreszcie punkt wyjściowy do przeciwnatarcia. – Wóz jest jak nowy…

– Nowy… po gruntownej naprawie.

– Dzisiaj rano sam pan to przyznał.

– Dzisiaj rano było co innego. Nowy i nowy to wielka różnica, zależnie od tego, czy się kupuje, czy też sprzedaje. Ażebyśmy mogli sprzedać pańskiego forda za cztery tysiące marek, musiałby mieć zderzaki z czystego złota.

– Cztery tysiące marek albo nic nie będzie z całego interesu – rąbnął uparcie piekarz. Był znowu dawnym sobą i zdawało się, że chce odrobić swój napad sentymentalizmu.

– W takim razie do widzenia! – rzekłem i odwróciłem się teraz do czarnuli. – Bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie mogę zrobić interesu ze stratą. Na cadillacu nie zarobimy tak czy owak ani grosza, nie możemy więc jeszcze brać forda za kolosalną cenę na poczet zapłaty. Żegnam.

Czarnula przytrzymała mnie za rękaw. Oczy jej ciskały skry. Napadła teraz na piekarza, tak że zapomniał języka w gębie.

– Sam przecież powtarzałeś co najmniej ze sto razy, że ford nie jest już wiele wart – syknęła na zakończenie ze łzami w oczach.

– Dwa tysiące marek to ostatnie słowo, chociaż i ta suma to czyste samobójstwo.

Piekarz milczał.

– No, dalej, powiedzże coś! Czemu stoisz jak cielę przed malowanymi wrotami? – parskała czarnula.

– Proszę państwa – zaproponowałem – najlepiej będzie, jeżeli pojadę po cadillaca. Może państwo tymczasem uzgodnią sprawę między sobą.

Miałem wrażenie, że najlepiej będzie zniknąć na razie. Czarnula obrobi już mojego klienta.

W godzinę później zjawiłem się z cadillakiem. Od razu spostrzegłem, że sprzeczka została rozstrzygnięta w najprostszy sposób. Piekarz robił wrażenie rozbitego, a na marynarce zawisła odrobina pierza. Natomiast czarnula promieniała, kołysała piersiami i śmiała się śmiechem zdradzieckim a sytym. Zdążyła się przebrać i miała na sobie cienką jedwabną, ściśle przylegającą suknię. W chwili nieuwagi piekarza mrugnęła do mnie oczkiem, że niby wszystko w porządku. Zrobiliśmy próbną jazdę. Czarnula rozsiadła się wygodnie na szerokim siedzeniu i gadała jak najęta. Najchętniej wyrzuciłbym ją przez okno, ale potrzebowałem jej jeszcze. Piekarz tkwił z melancholijną miną koło mnie. Już z góry opłakiwał swoje pieniądze. Jest to stanowczo najszczersza żałoba, jaka istnieje na tym świecie.

Zawróciliśmy przed dom piekarza i weszliśmy do mieszkania. Piekarz zostawił nas samych. Poszedł po gotówkę. Robił wrażenie starego człowieka i teraz dopiero spostrzegłem, że farbuje sobie włosy. Czarnula wygładziła sukienkę.

– Aleśmy go fajnie zrobili, co?

– Tak – wyrwało mi się wbrew woli.

– Sto marek z tego musi być dla mnie.

– Ach, tak…

– Stary, skąpy cap! – szepnęła poufnym tonem i zbliżyła się do mnie. – Ma forsy jak lodu. Ale nim człowiek coś z niego wydusi! Nie chce nawet zrobić testamentu. Oczywiście, wszystko potem przypadnie dzieciom, a człowiek zostanie jak był – goły! Przecież to żadna przyjemność z tym piekielnikiem… – Przysunęła się jeszcze bliżej i zakołysała piersiami. – A więc zajdę jutro po tę stówkę. Kiedy pan jest w domu? A może woli pan wpaść do mnie? – zachichotała cicho. – Jutro po południu będę sama…

– Przyślę pani pieniądze – powiedziałem.

Chichotała dalej.

– Niechże pan sam zajdzie. A może pan się boi?

Uważała najwidoczniej, że jestem nieśmiały, i chciała mnie zachęcić.

– Nie, nie boję się – odpowiedziałem – ale nie mam czasu. Właśnie jutro muszę być u lekarza. Wie pani, zadawniony syfilis. Dro-

biazg, ale zatruwa życie człowiekowi.

Odskoczyła ode mnie tak gwałtownie, że o mało nie przewróciła się na pluszowy fotel. Właśnie w tej chwili wszedł do pokoju piekarz. Nieufnym spojrzeniem przeszył czarnulę. Po czym wyliczył mi gotówką na stół należność. Liczył powoli, z widocznym ociąganiem. Cień na tapecie w róże kołysał się w takt i liczył razem z piekarzem. Gdy wypisywałem kwit, przyszło mi nagle do głowy, że dzisiaj już raz byłem świadkiem podobnej sceny, tylko że na moim miejscu był Ferdynand Grau. Chociaż nie było w tym nic osobliwego, wydało mi się to niesamowite.

Rad byłem, gdy znalazłem się na dworze. Powietrze było miękkie, pachniało latem. Cadillac błyszczał przy krawężniku.

– Dzięki, mój stary – rzekłem, klepiąc go po chłodnicy. – Wracaj jak najszybciej do nowych podbojów!

XV

Nad łąką stał jasny, przejrzysty poranek. Rozłożyliśmy się z Pat na skraju leśnej polany i pałaszowaliśmy śniadanie. Wziąłem dwa tygodnie urlopu i wyjechałem z Pat. Chcieliśmy pobyć nad morzem.

Przed nami na szosie stał mały, spracowany citroen. Wzięliśmy go jako częściową wpłatę w zamian za forda piekarza, a Köster pożyczył mi wozu na okres urlopu. Citroen wyglądał jak cierpliwy osiołek, tak straszliwie obładowany był walizami.

– Miejmy nadzieję, że nie rozleci się po drodze – rzekłem.

– Nie rozleci się.

– Skąd wiesz?

– Takie rzeczy się wie. Bo to nasz odpoczynek, Robby.

– Być może. Ale ja znam poza tym jego tylną oś. Wygląda smętnie. Szczególnie przy dużym obciążeniu.

– To brat Karla. Wytrzyma.

– Mocno rachityczny brat.

– Daj spokój zrzędzeniu, Robby. W tej chwili to dla mnie najpiękniejszy wóz w życiu.

Leżeliśmy obok siebie na łące. Pachniało żywicą i ziołami.

– Powiedz no, Robby – odezwała się Pat po chwili milczenia – co to za kwiaty rosną tam nad strumieniem?

– Zawilce! – odparłem, nie spoglądając nawet w tę stronę.

– Ależ, kochanie, to nie są zawilce! Zawilce są znacznie mniejsze. Poza tym kwitną tylko na przedwiośniu.

– Słusznie. W takim razie jest to rzeżucha.

Potrząsnęła głową.

– Znam rzeżuchę. Wygląda zupełnie inaczej.

– W takim razie jest to szczwół.

– Ależ, Robby! Szczwół kwitnie biało, a nie czerwono!

– W takim razie nie wiem. Dotychczas doskonale dawałem sobie radę z tymi trzema kwiatami, ile razy mnie pytano. Wierzono przynajmniej w jeden.

Pat śmiała się.

– Szkoda. Gdybym wiedziała, zadowoliłabym się już zawilcami.

– Szczwół… Najwięcej powodzenia miałem zawsze ze szczwołem.

Pat usiadła.

– To doprawdy zabawne! Czy często wypytywano cię o kwiaty?

– Nie bardzo. I w całkiem innych okolicznościach.

Wsparła dłonie na trawie.

– Właściwie to okropny wstyd, że człowiek chodzi po ziemi, tak strasznie mało wiedząc o niej. Nie znam nawet tych kilku głupich nazw.

– Nie martw się, kochanie. Znacznie większy wstyd, że człowiek nie wie, po co właściwie chodzi po tej ziemi. Wobec tego kilka nazw więcej lub mniej naprawdę nic nie znaczy.

– Takie jest twoje zdanie! Ale ja jestem przekonana, że mówisz tak tylko z lenistwa.

Obróciłem się ku Pat.

– Oczywiście, masz rację. Ale nad zagadnieniem lenistwa nie zastanawiano się jeszcze dostatecznie. Jest ono podstawą wszelkiego szczęścia oraz kresem wszelkiej filozofii. Chodź, połóż się przy mnie. Człowiek za mało leży. Ciągle tylko chodzi lub siedzi. Jest to stanowczo niekorzystne dla zwierzęcego dobrego samopoczucia. Dopiero kiedy człowiek leży, jest całkowicie pogodzony z sobą.

Zaszumiał z daleka jakiś samochód.

– Mały mercedes – orzekłem, nie podnosząc się. – Czterocylindrowy.

– Jeszcze jeden.

– Tak, słyszę go już. To renault. Czy ma chłodnicę podobną do świńskiego ryja?

– Tak.

– W takim razie to renault. Ale słuchaj, teraz nadciąga lepsza klasa. Lancia! Na pewno goni tamte dwa jak wilk owieczki. Posłuchaj, jak silnik gra! Istne organy!

Wóz przegrzmiał po szosie.

– W tej dziedzinie znasz więcej aniżeli trzy nazwy, co?

– Oczywiście. Co więcej, zgadzają się.

Zaśmiała się.

– Powiedz, czy to właściwie nie jest smutne?

– Ani trochę. Tylko naturalne. Wolę czasem dobry wóz aniżeli dwadzieścia łąk z kwiatkami.

– Zakamieniały synu dwudziestego wieku! Trudno oskarżać cię o sentymentalizm.

– Przeciwnie. Sama widzisz, że jestem sentymentalny. Na temat aut.

Spojrzała na mnie.

– Ja także.

Spośród jodeł odezwała się kukułka. Pat zaczęła liczyć.

– Po co to robisz?

– Nie wiesz po co? Ile razy zawoła kukułka, tyle lat pozostaje jeszcze do końca życia.

– Ach tak, prawda. Ale jest także inny przesąd. Gdy zakuka kukułka, należy potrząsnąć groszakami. Wtedy będzie ich więcej.

Wydobyłem miedziaki z kieszeni i potrząsnąłem nimi w dłoniach.

– Oto twój prawdziwy obraz – zaśmiała się Pat. – Ja pragnę życia, a ty pieniędzy.

– Żeby żyć. Uczciwy idealista dąży do forsy. Pieniądze to wytłoczona w monecie wolność. A wolność to życie.

– Czternaście – doliczyła się Pat. – Swojego czasu inaczej o tym mówiłeś.

– To było w smutnym okresie mego życia. Nie należy nigdy mówić z pogardą o pieniądzach. Wiele kobiet potrafi zakochać się nawet z powodu pieniędzy. Natomiast w mężczyznach miłość wznieca chciwość. Pieniądze sprzyjają ideałom – miłość natomiast materializmowi.

– Masz dzisiaj dobry dzień. Trzydzieści pięć.

– Mężczyzna jest chciwy na pieniądze tylko pod wpływem żądań kobiety. Gdyby nie było kobiet, nie byłoby na świecie pieniędzy, a mężczyźni stanowiliby bohaterskie plemię. W okopach nie było kobiet i posiadanie czegokolwiek nie odgrywało żadnej roli. Ważna była tylko wartość człowieka. Oczywiście, nie chcę przez to robić reklamy okopom, ale fakt ten pozwala mi oświetlić należycie problem miłości. Miłość budzi złe instynkty mężczyzny: dążenie do posiadania, do wybicia się, do zarobku, do spokoju. Nie na darmo dyktatorzy patrzą chętnie na to, jeżeli ich najbliżsi współpracownicy idą do ołtarza: stają się oni dzięki temu znacznie mniej niebezpieczni. I nie na darmo duchowieństwu katolickiemu nie wolno się żenić: inaczej nie byłoby w ich szeregach tak odważnych misjonarzy.

– Masz dzisiaj nawet niezwykle dobry dzień – rzekła Pat z uznaniem. – Pięćdziesiąt dwa.

Włożyłem groszaki do kieszeni i zapaliłem papierosa.

– Czy nie zamierzasz skończyć z tym liczeniem? Przekroczyłaś już na pewno siedemdziesiąt lat.

– Chcę dociągnąć do stu! Setka to dobra liczba. Chciałabym dożyć setki.

– Cześć zasłudze! To doprawdy odwaga. Ale co zrobisz z tak szacownym wiekiem?

Przemknęła po mnie szybkim spojrzeniem.

– To już moja sprawa. Mam na ten temat nieco odmienne poglądy od ciebie.

– Na pewno. Poza tym tylko pierwsze siedemdziesiąt lat sprawia niejakie trudności. Potem wszystko idzie podobno znacznie łatwiej.

– Sto! – ogłosiła Pat i wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Morze wyszło nam naprzeciw jak olbrzymi srebrny żagiel. Już na długo przedtem czuliśmy jego słony powiew. Horyzont stawał się coraz rozleglejszy i coraz jaśniejszy i oto nagle legło przed nami niespokojne, potężne, nieskończone morze.

Droga prowadziła łukiem niemalże nad brzegiem. Potem był pas lasu, a za nim wioska. Dowiedzieliśmy się, gdzie leży dom, w którym mieliśmy zamieszkać. Stał na uboczu za wsią. Köster dał nam ten adres. Przebył tu cały rok po wojnie.

Dom okazał się małą, samotną willą. Zatoczyłem citroenem wytworny łuk i dałem sygnał. Z okna wyjrzało szerokie oblicze, wytrzeszczyło ślepia i zniknęło.

– Miejmy nadzieję, że to nie była panna Müller.

– Wszystko mi jedno, jak wygląda – rzekła Pat.

Drzwi otwarły się. Chwała Bogu, nie była to panna Müller, tylko służąca. Panna Müller, właścicielka willi, spłynęła po schodach w chwilę potem. Było to zjawisko staropanieńskie, drobnej budowy, z siwymi włosami. Miała zapiętą pod szyję czarną suknię, a zamiast broszki wpięty złoty krzyżyk.

– Na wszelki wypadek podciągnij pończochy – szepnąłem do Pat, rzuciwszy okiem na broszkę. Po czym wysiadłem z wozu.

– Pan Köster zapowiedział, zdaje się, nasz przyjazd – zacząłem.

– Owszem, depeszował, że państwo przyjeżdżają. – Obejrzała mnie dokładnie. – Jak się powodzi panu Kösterowi?

– Ach, nie najgorzej, o ile dzisiaj można mówić o powodzeniu.

Skinęła głową i przypatrywała mi się dalej bacznie.

– Zna go pan od dawna?

„Aha, to będzie przesłuchanie" – pomyślałem sobie i udzieliłem informacji, od jak dawna znam Ottona. Pat podeszła ku nam. Podciągnęła już pończochy. Spojrzenie panny Müller złagodniało. Pat znalazła w jej oczach więcej łaski aniżeli moja osoba.

– Czy ma pani coś wolnego dla nas? – spytałem.

– Jeżeli pan Köster telegrafuje, to zawsze znajdzie się pokój – oświadczyła panna Müller i spojrzała na mnie trochę pogardliwie. – Dostaną państwo najpiękniejszy pokój – dodała, zwracając się do Pat.

Pat uśmiechnęła się. Także na obliczu panny Müller zawitał uśmiech.

– Zaraz pani pokażę.

Obie panie skierowały się wąską ścieżką, wiodącą przez ogródek. Dreptałem za nimi i zdawało mi się, że jestem niepotrzebny

w tym gronie, albowiem panna Müller zwracała się wyłącznie do Pat.

Pokój, który nam pokazała, leżał na parterze. Miał własne wyjście na ogród. Podobało mi się to bardzo. Pokój był jasny, dość duży i przytulny. Z jednej strony w niszy stały dwa łóżka.

– No i jak? – spytała panna Müller.

– Bardzo ładny – odparła Pat.

– Cudowny – dodałem, ażeby przypodobać się gospodyni. – A gdzie jest drugi pokój?

Panna Müller odwróciła się ku mnie powoli.

– Drugi? Jak to? Chce pan obejrzeć inny pokój? Czy ten się panu nie podoba?

– Jest doprawdy wspaniały, ale…

– Ale? – spytała nieco ostrym tonem panna Müller. – Niestety, nie mam lepszego pokoju.

Zamierzałem właśnie objaśnić, że chcemy mieć dwa pojedyncze pokoje, gdy dodała:

– Żonie pańskiej ten bardzo się podoba.

Żonie pańskiej… Miałem wrażenie, że cofnąłem się o krok. W rzeczywistości jednak nie ruszyłem się z miejsca. Ostrożnie rzuciłem okiem na Pat, która stała przy oknie i najwidoczniej hamowała śmiech. Musiałem wyglądać doprawdy zabawnie!

– Mojej żonie, oczywiście – wybąkałem i utkwiłem wzrok w złoty krzyż, zawieszony na szyi panny Müller. Nie było rady, nie mogłem wyprowadzić jej z błędu. Padłaby zemdlona. – Przywykliśmy do spania w dwóch pokojach. To znaczy, każde z nas w jednym.

Panna Müller z niechęcią potrząsnęła głową.

– Oddzielne sypialnie, kiedy się jest małżeństwem… to takie nowoczesne wymysły.

– Nie, wcale nie – przerwałem, ażeby nie dopuścić do powstania wątpliwości w jej głowie. – Moja żona ma bardzo lekki sen. A ja, niestety, chrapię dość głośno.

– Ach tak, pan chrapie! – odpowiedziała panna Müller, jakby się tego od dawna po mnie spodziewała.

Obawiałem się, że teraz da mi pokój na drugim piętrze, ale widocznie szanowała świętość małżeństwa. Otworzyła bowiem drzwi do maleńkiej ciupki obok, gdzie mieściło się tylko łóżko.

– Cudownie – rzekłem. – To nam zupełnie wystarczy. Ale czy nie będę nikomu przeszkadzał chrapaniem?

Chciałem wybadać, czy tu na dole będziemy mieli swobodę ruchów.

– Nie będzie pan nikomu przeszkadzał – oświadczyła panna Müller i nagle opadła z niej cała wyniosłość. – Poza państwem nie mieszka u mnie nikt. Wszystkie inne pokoje stoją pustką. – Przez chwilę trwała w milczeniu, po czym zebrała się w sobie. – Czy państwo chcą jadać u siebie w pokoju, czy w jadalni?

– W pokoju – odparłem.

Kiwnęła głową i zniknęła.

– No, pani Lohkamp – rzekłem do Pat. – Tośmy wpadli. Nie chciałem jednak ryzykować. Ta stara wiedźma dziwnie mi jakoś pachnie kruchtą. Zdaje się, że nie przypadłem jej do smaku. Zabawne, dotychczas miałem powodzenie u starszych pań.

– To nie jest starsza pani, Robby. To bardzo miła stara panna.

– Miła. – Wzruszyłem ramionami. – W każdym razie trzyma się bardzo godnie. Ani żywej duszy w całym domu, a mimo to patrzy z góry.

– No, nie tak bardzo z góry.

– Na ciebie nie.

Pat śmiała się.

– A mnie się podoba panna Müller. Ale teraz musimy przytaszczyć walizki i wypakować nasze kostiumy.

Pływałem przez całą godzinę, a teraz ległem sobie w słońcu na plaży. Pat była jeszcze w wodzie. Jej biały gumowy czepek wynurzał się raz po raz między niebieskimi zwałami fal. Parę mew krzyczało. Na horyzoncie przeciągał wolno parowiec z rozwianym sztandarem dymu.

Słońce dopiekało uczciwie. Roztapiało wszelki opór, zmieniając go w senny, wyprany z myśli błogostan. Przymknąłem oczy

i wyciągnąłem się jak długi. Gorący piasek trzeszczał. Szum słabego przypływu dochodził do moich uszu. Przypomniało mi się coś, pewien dzień, kiedy także leżałem na piasku…

Było to latem 1917 roku. Nasza kompania tkwiła wtedy w okopach flandryjskich. Meyer, Holthoff, Breyer, Lütgens, ja i jeszcze paru innych z naszej paczki otrzymaliśmy niespodziewanie parę dni urlopu. Skoczyliśmy do Ostendy. Większość z nas nigdy jeszcze nie widziała morza. Te parę dni, ta niemal niepojęta pauza między śmiercią a śmiercią, zamieniło się w jakieś dzikie oddanie słońcu, piaskowi i morzu. Siedzieliśmy cały dzień na plaży, rozprostowywaliśmy nasze nagie ciała na słońcu. Być nagim, nie obciążonym bronią ani mundurem – to pachniało już niemal pokojem. Szaleliśmy na plaży jak dzieci i co chwila rzucaliśmy się w morze; czuliśmy swoje kończyny, swój oddech, swoje ruchy, z tą siłą, z jaką odczuwało się wtedy wszystko, co było życiem. Zapomnieliśmy o wszystkim w ciągu tych godzin i chcieliśmy o wszystkim zapomnieć. Ale wieczorem, o zmroku, gdy słońce uciekło z plaży i gdy szare cienie poczęły biec od linii horyzontu przez pobladłe morze, w miarowy szum przypływu począł wplatać się inny ton, który potężniał, aż wreszcie zagłuszył wszystko niby głucha groźba: ogień armatni z frontu. Wtedy nagle milczenie przecięło nasze gawędy, unieśliśmy, nasłuchując, głowy i z rozradowanych twarzy ubawionych aż do zmęczenia chłopaków wyjrzały znowu twarde oblicza żołnierzy. Na chwilę zadrgało w nich zdziwienie, smutek, w którym zawarło się to wszystko, czegośmy nigdy nie wypowiadali: odwaga i gorycz, i żądza życia, wola spełnienia obowiązku, rozpacz, nadzieja i tajemnicze, bolesne przeczucie ludzi naznaczonych przez śmierć. W kilka dni potem zaczęła się wielka ofensywa i już trzeciego lipca kompania liczyła tylko trzydziestu dwóch ludzi. Meyer, Holthoff, Lütgens nie żyli.

– Robby! – zawołała Pat.

Otworzyłem oczy. Przez chwilę musiałem się zastanowić, gdzie jestem. Zawsze, gdy nachodziły mnie wspomnienia wojenne, gubiłem się w teraźniejszości. Z innymi wspomnieniami tak nie było.

Usiadłem na piasku. Pat wychodziła z morza. Szła szlakiem słońca na wodzie, szerokie pasmo odblasku opływało jej ramiona,

brodziła w powodzi światła, odcinając się niemal czarną sylwetą. Za każdym krokiem ku plaży wrastała wyżej w ten blask, aż wreszcie słońce późnego popołudnia zawisło nad jej głową jak aureola.

Skoczyłem na równe nogi, tak bardzo nierzeczywisty, jakby z innego świata, wydał mi się nagle ten obraz: rozległe, niebieskie niebo, białe, spienione szeregi fal i piękna, szczupła postać na piasku. Zdawało mi się, jakbym był sam na świecie i jakby z morza wychodziła pierwsza kobieta. Na ułamek sekundy doznałem niesłychanej, cichej przemocy piękna i poczułem, że jest ona silniejsza niż cała krwawa przeszłość, że musi być mocniejsza, że inaczej cały świat musiałby się rozpaść, musiałby zginąć w straszliwym zamęcie. I jeszcze silniej czułem, że jestem tutaj, po prostu jestem, że Pat jest ze mną, że żyję, że wydobyłem się z okropności, że cieszę się oczyma, rękoma, myślami i gorącym nurtem krwi i że to wszystko razem jest niepojętym cudem.

– Robby! – zawołała znowu Pat, przyzywając mnie ręką.

Pochwyciłem płaszcz kąpielowy z ziemi i pobiegłem naprzeciw niej.

– Za długo siedziałaś w wodzie – powiedziałem.

– Kiedy jest mi całkiem ciepło – odrzekła bez tchu.

Pocałowałem ją w wilgotne ramiona.

– Z początku powinnaś trochę uważać.

Potrząsnęła głową. Spojrzała na mnie promiennie.

– Już dość długo musiałam na siebie uważać.

– Tak?

– Oczywiście. Za długo! Chcę raz wreszcie być nierozsądna.

Wybuchnęła śmiechem i przyłożyła policzek do mej twarzy.

– Bądźmy raz nierozsądni, Robby! Nie myślmy o niczym, ale zupełnie o niczym, tylko o nas, o słońcu, wakacjach i morzu!

– Doskonale – rzekłem, biorąc do ręki włochate prześcieradło. – Najprzód jednak muszę cię wytrzeć do sucha. Ale gdzieś ty zdążyła się już tak opalić?

Pat włożyła płaszcz kąpielowy.

– To pochodzi z moich czasów rozsądku. Musiałam wtedy godzinę dziennie leżeć w słońcu na balkonie. A o ósmej wieczorem

chodzić spać. Dziś o ósmej pójdę jeszcze raz wykąpać się w morzu.

– Zobaczymy, zobaczymy. W zamierzeniach jest się zawsze bardzo mocnym. W realizacji znacznie mniej. W tym leży urok człowieka.

Z wieczornej kąpieli nic nie wyszło. Zrobiliśmy jeszcze mały spacer do wsi, a potem przejażdżkę citroenem o zmierzchu i nagle Pat poczuła się strasznie zmęczona i nalegała, żebyśmy wracali do domu. Zauważałem to już często u niej: to szybkie przejście od promiennego ożywienia do nagłego zmęczenia. Nie miała zbyt wiele sił i żadnych zasobów fizycznych – a jednak nie robiła wrażenia słabej. Zużywała od razu cały swój zapas sił żywotnych i wydawała się wprost niewyczerpana w swojej gibkiej młodości – ale potem nagle przychodziła chwila, gdy twarz jej powlekała się bladością, pod oczami występowały głębokie cienie – wtedy radość gasła. Nie męczyła się powoli, załamanie przychodziło w ciągu jednej sekundy.

– Jedźmy do domu, Robby – powiedziała, a jej ciemny głos miał niższy ton niż zazwyczaj.

– Do domu? Do panny Elfrydy Müller ze złotym krzyżem na biuście? Kto wie, co sobie ta jędza wymyśliła przez czas naszej nieobecności!

– Do domu, Robby – powtórzyła Pat i wsparła się zmęczona na moim ramieniu. – To przecież nasz dom.

Zdjąłem jedną rękę z kierownicy i objąłem ramieniem Pat. I tak pojechaliśmy wolno przez błękitny, zamglony mrok i gdy wreszcie ujrzeliśmy oświetlone okna domku, który skulił się w płytkiej kotlince, jak ciemne zwierzę, mieliśmy rzeczywiście uczucie powrotu do domu.

Panna Müller już nas oczekiwała. Przebrała się i zamiast czarnej wełnianej sukni miała teraz na sobie czarną jedwabną o tym samym purytańskim kroju. Dla dopełnienia stroju włożyła tym razem nie krzyżyk, lecz splecione serce, kotwicę i krzyż – symbole wiary, nadziei i miłości.

Była nastrojona przyjaźniej niż po południu i spytała, czy wystarczą nam na kolację jajka, zimne mięso i wędzone ryby.

– No, niech będzie – mruknąłem.

– Nie podoba się to panu? Będą państwo mieli świeżo wędzone flądry. – Panna Müller patrzała na mnie z pewną obawą w oczach.

– Dobrze – rzekłem chłodno.

– Świeżo wędzone flądry będą na pewno cudownie smakowały! – oświadczyła Pat i spojrzała na mnie z wyrzutem. – Naprawdę, proszę pani, to jest kolacja, o jakiej człowiek marzy pierwszego dnia pobytu nad morzem. Jeżeli moglibyśmy dostać do tego bardzo gorącej herbaty…

– Naturalnie, a jakże! Bardzo gorącej herbaty! Chętnie! Każę zaraz przynieść państwu wszystko do pokoju.

I panna Müller przeszumiała przez próg w swojej jedwabnej sukni.

– Czy rzeczywiście nie lubisz ryb? – spytała Pat.

– I jak jeszcze! Flądry! Śniłem o takiej uczcie od dawna.

– A potem robisz takie miny? To doprawdy przesada!

– Chciałem zrewanżować się jej za dzisiejsze przyjęcie.

– Ach, mój Boże – zaśmiała się Pat. – Że też ty nikomu nie darujesz! Ja już dawno o tym zapomniałam.

– A ja nie. Nie zapominam tak łatwo.

– Powinieneś się tego nauczyć.

Zjawiła się pokojówka z tacą. Flądry miały topazową skórkę i cudownie pachniały morzem i dymem. Były przy tym także świeże krewetki.

– Zaczynam zapominać – rzekłem rozmarzony. – Poza tym zauważyłem, że jestem okropnie głodny.

– Ja także. Ale nalej mi zaraz trochę gorącej herbaty. Zabawne, ale marznę. Przecież na dworze jest ciepło.

Spojrzałem na Pat. Była blada, chociaż uśmiechała się.

– Widzisz, że zbyt długo siedziałaś w wodzie. – Zwróciłem się do służącej. – Czy macie trochę rumu?

– Co?

– Rum. Taki trunek w butelce.

– Rum?

– Tak.

– Chyba nie… – Wytrzeszczyła na mnie gały głupio i bez wyrazu. Jej pyzata twarz, istny księżyc w pełni, wyglądała jak ulana z ciasta. – Nieee – beknęła raz jeszcze.

– Dobra. Nie szkodzi. Do widzenia! Bóg z tobą!

Dziewczyna poszła sobie.

– Jakie szczęście, Pat, że mamy przewidujących przyjaciół. Lenz władował mi wczoraj przed samym odjazdem wcale ciężką paczkę do wozu. Zobaczymy, co w niej tkwi.

Przyniosłem paczkę z samochodu. Była to niewielka skrzynka z dwiema flaszkami rumu, jedną koniaku i jedną portwajnu. Podniosłem z tryumfem butelkę.

– Patrz, rum St. James! Na chłopakach można polegać.

Odkorkowałem butelkę i wlałem dobry łyk do herbaty Pat. Spostrzegłem przy tym, że ręka jej drży.

– Czy ci rzeczywiście tak zimno?

– To tylko chwila. Teraz już lepiej. Rum jest wyborny. Ale niedługo pójdę do łóżka.

– Zrób to zaraz, Pat. Przysuniemy stół do łóżka i tak będziemy jedli.

Dała się przekonać. Przyniosłem jeszcze kołdrę z mego pokoju i przesunąłem stół.

– Może napijesz się uczciwego grogu, Pat, co? To jeszcze lepsze. Przyrządzę go raz dwa.

Potrząsnęła głową.

– Czuję się już zupełnie dobrze.

Spojrzałem na jej twarz. Wyglądała naprawdę lepiej. Oczy odzyskały blask, usta były mocno czerwone, a skóra połyskiwała matowo.

– Cudowne, jak to u ciebie szybko przemija. To na pewno skutek rumu.

Uśmiechnęła się.

– To także łóżko, Robby. Najlepiej odpoczywam w łóżku. To moje najpewniejsze schronienie.

– Dziwne. Oszalałbym, gdybym musiał tak wcześnie kłaść się do łóżka. Oczywiście, sam…

Roześmiała się.

– Dla kobiety to zupełnie inna sprawa.

– Nie mów o kobietach. Ty nie jesteś przecież kobietą.

– Tylko czym?

– Nie wiem. W każdym razie nie kobietą. Gdybyś była prawdziwą, normalną kobietą, nie umiałbym cię kochać.

Spojrzała na mnie.

– Czy ty w ogóle umiesz kochać?

– Wiesz, to rzeczywiście odpowiedni temat przy kolacji. Czy masz w zapasie więcej tego rodzaju pytań?

– Być może. Ale jak będzie z odpowiedzią na pierwsze?

Nalałem sobie kieliszek rumu.

– Na zdrowie, Pat. Być może, że masz rację. Być może, że nikt z nas nie potrafi kochać. Tak jak dawniej. Ale dlatego miłość nasza nie jest gorsza. Tylko po prostu inna. Inaczej patrzymy na wszystko.

Zapukano do drzwi. Weszła panna Müller. Trzymała w ręku maleńki szklany dzbanuszek, w którym kołatało się na dnie nieco płynu.

– Przyniosłam państwu rum.

– Dziękujemy – rzekłem, patrząc ze wzruszeniem na szklany naparstek. – Doprawdy, bardzo to miło z pani strony, ale jakoś sami poradziliśmy sobie.

– Mój Boże! – zawołała z przerażeniem, ujrzawszy baterię flaszek na stole. – Czy państwo piją tak dużo?

– Tylko jako lekarstwo – odparłem łagodnie, unikając spojrzenia w stronę Pat. – Przepisane przez doktora. Proszę sobie wyobrazić, droga pani, że cierpię na kurczenie się wątroby. Czy nie zechce pani wypić z nami kieliszeczka?

Otworzyłem flaszkę z portwajnem.

– Za pomyślność pani! Ażeby willa zaroiła się niedługo od gości!

– Dziękuję bardzo! – Panna Müller westchnęła, zrobiła mały dyg i łyknęła jak ptaszek. – Przyjemnych wakacji! – Potem uśmiechnęła się do mnie przebiegle. – Mocny trunek. Ale dobry.

Ze zdumienia nad tą przemianą o mało nie wypadł mi kieliszek z ręki. Pannie Müller zarumieniły się w mig policzki, rozjaśniły oczy. Zaczęła opowiadać o rozmaitych rzeczach, które nas zupełnie, ale to zupełnie nie obchodziły. Pat okazywała wobec niej iście anielską cierpliwość. Wreszcie panna Müller zwróciła się do mnie z pytaniem:

– A więc, panu Kösterowi powodzi się dobrze?

Przytaknąłem.

– Był zawsze taki cichy, spokojny. Często przez cały dzień nie powiedział do nikogo słowa. Czy ma i teraz ten zwyczaj?

– No, teraz od czasu do czasu odzywa się jednak.

– Mieszkał tu u mnie prawie cały rok. Zawsze sam.

– Tak. Wtedy człowiek zwykle bywa małomówny.

Przytwierdziła poważnym skinieniem głowy i spojrzała na Pat.

– Pani na pewno jest już zmęczona.

– Troszeczkę – rzekła Pat.

– Bardzo – wtrąciłem.

– Ach, to ja już sobie pójdę! – zawołała przerażona panna Müller. – Dobranoc! Dobranoc państwu!

Wyszła, ociągając się nieco.

– Mam wrażenie, że chętnie posiedziałaby jeszcze u nas. Zabawna ta nagła zmiana, co?

– Biedne stworzenie – rzekła Pat. – Na pewno co wieczór siedzi samotnie w swoim pokoju i trapi się.

– No tak, naturalnie. Ale myślę, że mimo wszystko zachowałem się wobec niej uprzejmie.

– Tak, byłeś bardzo miły. – Pat pogładziła mnie po ręku. – Uchyl troszeczkę drzwi, Robby.

Przeszedłem przez pokój i otworzyłem drzwi. Na dworze zrobiło się jaśniej, a smuga księżyca padała przez ścieżkę aż na pokój. Zdawało się, że ogród czekał tylko na to, ażeby otwarto drzwi: tak silnie wionął zapachem kwiatów, słodką wonią maku, rezedy i róż. Wypełnił cały pokój.

– Popatrz – pokazałem ręką na ogród.

W przybierającym księżycu widać było całą ścieżkę przez ogród. Kwiaty stały na skraju dróżki na pochylonych łodygach, liście

miały kolor oksydowanego srebra, a kiście, pełne jaskrawego blasku za dnia, połyskiwały teraz widmowo i delikatnie matowym, pastelowym tonem. Blask księżyca i noc odebrały barwom natężenie, ale za to zapach stał się pełniejszy i słodszy aniżeli w dzień.

Popatrzyłem na Pat. Jej głowa okolona ciemnymi włosami spoczywała na białej poduszce delikatna i krucha. Nie miała nadmiaru siły – ale i ona taiła w sobie tajemnicę rzeczy słabych, tajemnicę kwiatów o zmroku, w rozkołysanym blasku księżyca.

Podniosła się trochę na łóżku.

– Czuję się naprawdę straszliwie zmęczona, Robby. Czy to bardzo źle?

Usiadłem przy niej.

– Ani trochę. Będziesz spała jak suseł.

– Ale ty przecież nie chcesz jeszcze spać.

– Pójdę sobie trochę nad morze.

Kiwnęła głową i osunęła się na poduszki. Siedziałem przy niej jeszcze chwilę.

– Zostaw drzwi otwarte na całą noc – szepnęła sennie. – To tak, jakby się spało w ogrodzie.

Zaczęła oddychać głębiej. Wstałem i cicho wyszedłem do ogrodu. Przystanąłem przy płocie i zapaliłem papierosa. Mogłem zajrzeć stąd aż w głąb pokoju. Płaszcz kąpielowy Pat wisiał na krześle, sukienka i skąpa bielizna rzucona była na nie, a na podłodze stały jej pantofle. Jeden z nich przewrócił się. Doznawałem dziwnego uczucia swojskości, gdy patrzyłem na to wszystko i gdy myślałem, że teraz ktoś ze mną jest i będzie, że wystarczy zrobić tylko parę kroków, żeby go zobaczyć i być blisko, dzisiaj, jutro i może przez długie, długie lata.

„Może – myślałem – może, zawsze to małe słówko, bez którego nie sposób się obyć. Człowiekowi brakuje dziś pewności – brakuje jej wszystkiemu i wszystkim".

Poszedłem na brzeg, ku morzu i wiatrowi, ku głuchemu łomotowi fal, który rozgrzmiewał jak daleka kanonada.

XVI

Siedziałem na piasku i gapiłem się na zachód słońca. Pat nie przyszła dzisiaj na plażę. Przez cały dzień czuła się nieswojo.

Gdy zaczęło się zmierzchać, podniosłem się, by pójść do domu. Nagle ujrzałem biegnącą spod lasu służącą. Machała do mnie ręką i wołała coś. Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Wiatr i morze głuszyły wszystko. Dałem jej znak, żeby poczekała, aż podejdę do niej. Ale dziewczyna nie zrozumiała, biegła dalej ku mnie, podnosząc ręce do ust.

– Pani – zrozumiałem tylko – prędko!

Zacząłem biec.

– Co się stało?

Usiłowała złapać oddech.

– Prędko… pani… nieszczęście…

Pobiegłem ścieżką przez piasek, przez las, ku domowi. Drewniana furtka ogrodowa zacięła się jak na złość. Przeskoczyłem przez płot i wpadłem do pokoju. Pat leżała na łóżku, po jej piersi ściekała krew, ręce miała zaciśnięte kurczowo. Krew buchała ustami. Koło łóżka stała panna Müller z ręcznikami i miednicą wody.

– Co się stało? – krzyknąłem, odsuwając ją na bok.

Powiedziała coś.

– Niech pani przyniesie bandaże! Gdzie jest rana?

Spojrzała na mnie. Wargi jej drżały.

– To nie rana… – Wyprostowałem się. – To krwotok – powiedziała.

Jakby mnie ktoś zdzielił młotem w głowę.

– Krwotok? – Skoczyłem i wyrwałem jej miednicę z rąk. – Proszę przynieść lodu, prędko!

Zanurzyłem ręcznik w wodzie i położyłem Pat na piersiach.

– Nie mamy lodu w domu – wyjąkała panna Müller. Odwróciłem się. Stara panna cofnęła się przerażona.

– Proszę przynieść lodu, na miłość boską, proszę posłać do najbliższej knajpy i zadzwonić natychmiast do lekarza.

– Nie mamy przecież telefonu!

– Do diabła! Gdzie jest najbliższy telefon?

– U pana Massmanna.

– Proszę tam pobiec. Prędko. Zadzwonić zaraz do najbliższego lekarza. Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

Zanim wydukała jego nazwisko, pchnąłem ją ku drzwiom.

– Prędko, prędko, niech pani biegnie! Jak to daleko stąd?

– Trzy minuty – wyjąkała stara panna i już pobiegła.

– Proszę przynieść lodu! – zawołałem za nią.

Kiwnęła głową i pobiegła dalej.

Przyniosłem zimnej wody i zanurzyłem znowu ręcznik. Nie śmiałem ruszyć Pat. Nie miałem pojęcia, czy leży prawidłowo, byłem zrozpaczony, albowiem nie wiedziałem tego najważniejszego i jedynego, co powinienem był wiedzieć: czy należy podsunąć jej poduszkę pod głowę, czy też ułożyć ją całkiem płasko.

Rzęziła. Potem wyprężyła się i struga krwi trysnęła przez usta. Oddychała szybko, łapała powietrze z jękiem, oczy miała nieludzko przerażone, krztusiła się, kaszlała i znowu krew buchnęła ustami. Podtrzymywałem Pat mocno, to znowu opuszczałem ją leciutko na poduszki. Podłożywszy ręce pod ramiona, czułem wstrząsy jej biednych umęczonych pleców, wszystko to zdawało się trwać w nieskończoność, aż wreszcie opadła bezwolnie w tył.

Panna Müller weszła do pokoju. Spojrzała na mnie jak na widmo.

– Co mamy robić? – zawołałem.

– Lekarz przyjdzie zaraz – szepnęła. – Lód… lód… na piersi i jeżeli można także do ust.

– Jak ją ułożyć: nisko czy wysoko, niechże pani mówi, do stu diabłów. Prędko!

– Zostawić tak, jak jest. Lekarz zaraz będzie.

Położyłem Pat kawałki lodu na piersi, czułem ulgę, że mogę nareszcie coś zrobić, rozbijałem lód na drobne kawałki, kładłem je na piersi i ciągle miałem przed sobą te słodkie, ukochane, wykrzywione usta, jedyne usta, krwawiące usta…

Zaskrzypiały na drodze koła roweru. Podniosłem się z łóżka. Lekarz.

– Czy mogę panu pomóc? – spytałem.

Potrząsnął głową. Wypakował swoją teczkę. Stałem tuż przy nim przy łóżku i ściskałem jego oparcie. Spojrzał na mnie. Odstąpiłem o krok i zawisłem na nim wzrokiem. Oglądał żebra Pat. Pat jęczała.

– Czy to niebezpieczne? – szepnąłem.

– Gdzie leczyła się pańska żona? – odpowiedział pytaniem.

– Co? Gdzie się leczyła? – wyjąkałem.

– U jakiego lekarza? – pytał niecierpliwie.

– Nie wiem… nie… doprawdy nie wiem… nie przypuszczam, żeby się leczyła…

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Przecież musi pan to wiedzieć…

– Nie wiem. Nigdy nie wspominała mi o tym słowem.

Lekarz pochylił się nad Pat i spytał ją. Chciała odpowiedzieć. Ale znowu kaszel zapienił się czerwienią na ustach. Lekarz podniósł ją nieco. Zaczęła łapać powietrze i wreszcie ze świstem schwyciła oddech.

– Jaffé? Profesor Feliks Jaffé? – spytał lekarz. Przytaknęła oczyma. Lekarz zwrócił się do mnie. – Czy może pan zatelefonować do niego? Lepiej będzie, jeżeli zasięgniemy jego rady.

– Tak, tak, zaraz zadzwonię. Potem odwiozę pana do domu. Jaffé?

– Feliks Jaffé. Niech pan zażąda jego numeru w informacji.

– Czy ona wytrzyma?

– Krwotok musi ustać.

Zagarnąłem po drodze dziewczynę i rzuciłem się ku ścieżce. Kuchta pokazała mi dom z telefonem. Zadzwoniłem. Wianuszek gości siedział przy piwku i kawie. Potoczyłem po nich wzrokiem.

Nie mogłem tego pojąć: ludzie pociągają spokojnie piwo, kiedy Pat ma krwotok. Zażądałem pilnej rozmowy i czekałem przy aparacie. Wsłuchując się w brzęczący mrok, obserwowałem między portierami wycinek drugiego pokoju, szary, a jednak niesłychanie wyrazisty. Dostrzegałem poruszającą się miarowo łysinę, odbijającą w sobie żółte światło, broszkę na czarnej tafcie obcisłej sukni, podwójny podbródek, wyżej binokle, a nad tym spiętrzoną wysoko fryzurę. Na stole bębniła koścista, stara ręka o nabrzmiałych żyłach. Nie chciałem tego widzieć, ale zdawało mi się, że jestem zupełnie bezbronny: obraz wciskał się w moje oczy jak zbyt ostre światło.

Wreszcie zgłosił się żądany numer. Spytałem o profesora.

– Bardzo żałuję – odpowiedziała pielęgniarka – ale profesor Jaffé wyszedł.

Serce przestało mi bić, a potem poczęło walić jak młot kowalski.

– Gdzie jest teraz? Muszę z nim natychmiast mówić!

– Nie wiem. Może poszedł jeszcze raz do kliniki.

– Proszę zadzwonić do kliniki. Ja poczekam. Pani ma przecież na pewno drugi telefon.

– Chwileczkę.

Znowu brzęczenie, znowu bezdenna ciemność, skroś której snuje się wątła metalowa nić. Drgnąłem. Koło mnie w osłoniętej klatce zaczął świergotać kanarek. Odezwał się głos siostry.

– Profesor Jaffé wyszedł już z kliniki.

– Dokąd?

– Niestety, proszę pana, nie potrafię panu tego powiedzieć.

Koniec. Oparłem się o ścianę.

– Halo! – odezwała się siostra. – Czy pan jeszcze jest?

– Tak… proszę posłuchać, siostro… czy siostra nie wie, kiedy profesor wróci?

– Tego nie można przewidzieć.

– Czy nie mówi, wychodząc, gdzie go należy szukać? Przecież to niemożliwe! Jeżeli się coś nagle stanie, musicie wiedzieć, gdzie go szukać.

– W klinice mamy stale dyżurującego lekarza.

– Czy mogłaby siostra w takim razie tego lekarza… – Nie, to nie miało żadnego sensu, on przecież nie leczył Pat. – Dobrze, siostro – powiedziałem śmiertelnie zmęczony – kiedy profesor Jaffé przyjdzie, niech siostra powie, że proszę, aby natychmiast zadzwonił tutaj. – Podałem numer. – Ale proszę, siostro, to bardzo pilne.

– Może pan na mnie polegać, proszę pana!

Powtórzyła numer i odłożyła słuchawkę.

Stałem przy telefonie, sam. Kołyszące się głowy, łysina, broszka, cały tamten pokój odpłynął daleko, zmienił się w świecące pasmo gumowe, które migało przed oczyma. Obejrzałem się wkoło. Nie miałem tu już nic do roboty. Trzeba było tylko powiedzieć tym ludziom, żeby mnie zawezwali, kiedy profesor się odezwie. Nie mogłem się jednak zdecydować na odejście od telefonu. Tak jakbym miał wypuścić z ręki linę ratunkową. I nagle wiedziałem, co robić. Podniosłem słuchawkę i podałem numer Köstera. Musi być w domu. Nie może być inaczej.

I oto nadszedł z czarnej kipieli nocy i mroku spokojny głos Köstera. Odzyskałem natychmiast spokój i opowiedziałem mu wszystko. Czułem, że już notuje.

– Dobrze – powiedział. – Jadę zaraz, żeby odszukać lekarza. Zadzwonię do ciebie. Bądź spokojny. Znajdę go.

Skończone. Skończone? Świat pogrążył się w spokoju. Widma przepadły. Pobiegłem do domu.

– No? – spytał konował. – Znalazł go pan?

– Nie. Ale odszukałem Köstera.

– Köster. Nie znam takiego. I co powiedział? Jak ją leczył?

– Leczył? On jej nie leczył. Köster szuka tamtego.

– Kogo?

– Profesora Jaffé.

– Na Boga, któż to jest ten Köster?…

– Ach tak… proszę wybaczyć. Köster to mój przyjaciel. Szuka profesora Jaffé. Nie mogłem go sam znaleźć.

– Szkoda – rzekł lekarz i zwrócił się znowu do Pat.

– On go znajdzie. Spod ziemi go wygrzebie.

Lekarz spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że zwariowałem. Potem wzruszył ramionami.

Światło lampy rozbłysło w pokoju. Spytałem, czy mogę w czymś pomóc. Lekarz potrząsnął głową. Wyjrzałem przez okno. Pat rzęziła. Zamknąłem okno i stanąłem w drzwiach. Obserwowałem drogę.

Nagle usłyszałem wołanie:

– Telefon!

Odwróciłem się ku lekarzowi.

– Telefon. Czy mam pobiec?

Lekarz zerwał się.

– Nie, ja pójdę. Potrafię go lepiej wypytać niż pan. Niech pan zostanie. Proszę nic nie robić. Zaraz wracam. Usiadłem na łóżku przy Pat.

– Pat – zacząłem szeptać. – Jesteśmy wszyscy przy tobie. Pilnujemy cię. Nic złego nie może ci się stać. Profesor rozmawia już z lekarzem. Powie nam wszystko. Jutro przyjedzie tu na pewno. Pomoże ci. Wyzdrowiejesz. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś jeszcze chora? Troszeczkę krwi, to nic strasznego. Pat. Damy ci ją z powrotem. Köster odnalazł profesora. Wszystko będzie dobrze. Pat.

Lekarz wrócił.

– To nie był profesor.

Zerwałem się.

– Był to pański przyjaciel, pan Lenz.

– Köster nie znalazł profesora?

– Owszem, znalazł. Profesor dał mu wskazówki. Pański przyjaciel, pan Lenz, przetelefonował mi je. Zupełnie trafnie, bardzo dokładnie. Czy on jest lekarzem?

– Nie. Kiedyś miał zamiar nim zostać. A Köster?

Lekarz spojrzał na mnie.

– Lenz powiedział, że Köster odjechał parę minut temu. Z profesorem.

Musiałem się oprzeć o ścianę.

– Otto… – szepnąłem.

– Tak… ale właśnie tu przyjaciel pana popełnił jedyny błąd. Powiedział, że będą tutaj za dwie godziny. Znam tę trasę jak wła-

sną kieszeń. Nawet przy najostrzejszej jeździe trzeba na jej przebycie ponad trzy godziny. Bądź co bądź…

– Panie doktorze… – powiedziałem – może pan na tym polegać. Jeżeli mówił, że będą tu w dwie godziny, to będą na pewno.

– Ależ to niemożliwe! Droga ma mnóstwo wirażów, a teraz noc.

– Niech pan poczeka.

– W każdym razie… to dobrze, że profesor przyjedzie.

Nie mogłem wytrzymać dłużej. Wyszedłem na dwór. Opadła mgła. W dali szumiało morze. Z drzew kapały krople. Obejrzałem się wkoło. Nie byłem już sam. Tam, za południowym horyzontem, wyje silnik samochodu. Poza osłoną mgły pędzi przez widmowe szosy pomoc, reflektory rozbryzgują światło, opony gwiżdżą, dwie dłonie trzymają w żelaznym uścisku kierownicę, dwoje oczu przewierca ciemność, chłodne, opanowane oczy: oczy mojego przyjaciela…

Potem dopiero dowiedziałem się od Jaffégo, jak to było.

Zaraz po moim telefonie Köster zadzwonił do Lenza, żeby był w pogotowiu. Potem skoczył po Karla i pognali z Lenzem do kliniki Jaffégo. Siostra dyżurna wyraziła przypuszczenie, że profesor poszedł na kolację. Podała Kösterowi kilka lokali, gdzie można by go znaleźć. Köster ruszył naprzód. Lekceważył wszystkie przepisy ruchu, nie dbał o rzucających się ku niemu policjantów. Pchał wóz jak konia w największy tłok. W czwartym z kolei lokalu odnalazł profesora. Jaffé przypomniał sobie natychmiast Pat. Zostawił na stole jedzenie i pojechał z Kösterem i Lenzem. Wstąpili do jego mieszkania po najpotrzebniejsze rzeczy. Był to jedyny odcinek, na którym Köster jechał szybko, ale nie szalał. Nie chciał przedwcześnie przerazić lekarza. Po drodze Jaffé spytał, gdzie znajduje się Pat. Köster wymienił miejscowość oddaloną zaledwie o czterdzieści kilometrów. Chciał przede wszystkim mieć już profesora w wozie. Resztę pozostawił własnemu biegowi. Pakując teczkę, Jaffé podał Lenzowi, co ma powiedzieć przez telefon. Po czym wsiadł do wozu z Kösterem.

– Czy to niebezpieczne? – spytał Köster.

– Tak – odparł Jaffé.

W tej chwili Karl zmienił się w białe widmo. Ostrym zrywem wystartował i pomknął przez ulice. Prześlizgiwał się jak piskorz, przemykał dwoma kołami po chodniku, parł w odwrotnym kierunku ulicami o jednostronnym ruchu, szukał najkrótszej drogi z miasta.

– Czy pan zwariował? – spytał profesor.

Köster śmignął skosem pod wysokimi zderzakami autobusu, zdławił na chwilę gaz, po czym motor zawył znowu.

– Niech pan jedzie wolniej! – wolał lekarz. – Co panu pomoże, jeżeli będziemy mieli wypadek?

– Nie będziemy mieli wypadku.

– Jeżeli pan będzie tak dalej jechał, to za dwie minuty…

Köster zdarł wóz na lewo tuż przed tramwajem.

– Nic się nam nie stanie. – Miał teraz przed sobą długą, prostą ulicę. Spojrzał na lekarza. – Ja dobrze wiem, że muszę pana przywieźć żywego i zdrowego na miejsce. Niech pan mi ufa.

– Ale po co ten pośpiech? Zyskamy najwyżej parę minut.

– Nie – rzekł Köster i wyminął w ostatniej chwili ciężarówkę naładowaną kamieniami. – Mamy przed sobą dwieście czterdzieści kilometrów.

– Co?

– Tak. – Wóz przemknął się między ambulansem pocztowym i autobusem. – Nie chciałem panu tego przedtem powiedzieć.

– To by nic nie zmieniło – mruknął Jaffé. – Nie uzależniam mojej pomocy lekarskiej od kilometrów. Niech pan jedzie na dworzec. Będziemy prędzej koleją.

– Nie. – Köster wydobył się już na przedmieście. Wiatr porywał mu słowa z ust. – Dowiadywałem się… Pociąg odchodzi za późno… – Spojrzał raz jeszcze na lekarza, który musiał dostrzec coś w jego twarzy.

– Bóg z nami – mruknął. – Czy to pańska przyjaciółka?

Köster potrząsnął głową. Nie odpowiadał już na pytania. Zostawił za sobą ogródki działkowe i wypadł na szosę. Lekarz skulił się za wąską szybą chroniącą od wiatru. Köster podsunął mu swoją skórzaną czapkę.

Klakson ryczał bez ustanku. Lasy odbijały krzyk wozu. Köster zmniejszał szybkość, mijając wsie, tylko wtedy, gdy nie dało się tego w żaden sposób uniknąć. Rzędy domów zapadały się za grzmiącym echem pracującego bez tłumika motoru jak szare płachty, wóz ocierał się niemal o nie, rozdzierał je widmowym światłem reflektorów i wżerał się świetlnym wirem w ciemność nocy.

Opony zaczęły trzeszczeć, syczeć, wyć, gwizdać. Silnik dawał z siebie wszystko, na co było go stać. Köster leżał na kierownicy, wychylony ku przodowi, ciało jego było jednym olbrzymim uchem, filtrem, przez który przesiewał huk i gwizd i rozdzielał je na oddzielne tony. Czatował na najlżejszy obcy odgłos, na podejrzane szurnięcie czy poślizg, który mógł kryć w sobie defekt i pewną śmierć.

Szosa była teraz wilgotna. Na gliniastej drodze wóz chwiał się, wreszcie zarzucił. Köster musiał obniżyć tempo. Za to z jeszcze większą pasją wpadł na wiraż. Nie kierował się już rozumem, tylko instynktem. Reflektory rozjaśniały zakręty tylko do połowy. W chwili, gdy wóz brał krzywiznę, wiraż ział czernią, nic nie było widać ani na krok. Köster pomagał sobie bocznym światłem, ale promień lampy był zbyt nikły. Lekarz milczał. Nagle skłębiło się powietrze przed lampami, nabrało barwy, przeszło w blade, ciekłe srebro, w mglistą zasłonę. Po raz pierwszy i ostatni usłyszał Jaffé, jak Köster klnie. W minutę później wpadli w mgłę gęstą jak mleko.

Köster pogasił reflektory. Płynęli jak w wacie, cienie przelatywały koło nich, jakieś drzewa, niewyraźne zarysy w mlecznym morzu, nie było już szosy, tylko przypadek i traf, cienie, które rosły i znikały w ryku motoru.

Gdy po dziesięciu minutach wychynęli z mgły, Köster miał zapadnięte oczy. Spojrzał na Jaffégo i mruknął coś. Potem ruszył na pełnym gazie, pochylony, chłodny i opanowany.

Jak ołów ciążyło lepiące się gorąco pokoju.

– Czy jeszcze nie ustało? – spytałem.

– Nie – odparł lekarz.

Pat spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się do niej. Zmieniło się to w grymas.

– Jeszcze tylko pół godziny – rzekłem.

Lekarz podniósł głowę.

– Jeszcze półtorej godziny, jeżeli nie dwie. Deszcz pada.

Krople szumiały cicho, nuciły leciutko wśród liści i krzewów ogrodu. Oślepionymi oczyma patrzałem w mrok. Jakże to dawno było, gdy wstaliśmy nocą, usiedliśmy w ogrodzie między kwiatami laku i lewkonii, a Pat nuciła dziecięce piosenki. Jakże to dawno było, kiedy ścieżka jaśniała biało od księżyca i Pat, jak smukłe zwierzę, uciekała pomiędzy krzakami…

Po raz setny podszedłem ku drzwiom. Wiedziałem przecież, że to nie ma sensu, ale skracałem w ten sposób oczekiwanie. Powietrze było parne. Klątem. Wiedziałem, co znaczy taka pogoda dla Köstera. Jakiś ptak zaskrzeczał zza mgły.

– Stul pysk! – syknąłem. Przypomniały mi się historie o ptakach zwiastunach śmierci. – Nonsens – mruknąłem głośno, ale mimo to dreszcz mnie przeszedł. Jakiś chrząszcz brzęczał w oddali – ale nie zbliżał się – nie zbliżał się… Brzęczał równomiernie, cicho, teraz przerwał, potem odezwał się znowu; zadrżałem nagle – to nie był chrząszcz, to samochód, który gdzieś daleko na wysokich obrotach brał wiraż. Zamarłem w bezruchu, wstrzymałem oddech, ażeby lepiej słyszeć: znowu, znowu, ciche, wysokie bzyczenie, jak natrętnej, podrażnionej osy. O, teraz silniejsze, odróżniałem już wyraźniej ton kompresora. Wtedy zapadł się naprężony do ostateczności horyzont, runął w jakąś miękką nieskończoność, grzebiąc pod sobą noc, lęk, grozę – odwróciłem się, nie puszczając drzwi, i powiedziałem:

– Jadą! Doktorze, Pat, jadą! Słyszę ich już!

Lekarz uważał mnie przez cały wieczór za nieco pomylonego. Wstał i nadsłuchiwał wraz ze mną.

– To na pewno jakiś inny wóz – orzekł w końcu.

– Nie, ja przecież znam ten silnik.

Spojrzał na mnie rozdrażniony. Uważał się za znawcę samochodów. Wobec Pat okazywał cierpliwość i iście macierzyńską ostroż-

ność, ale gdy tylko zaczynałem mówić o samochodach, piorunował mnie wzrokiem zza okularów i dawał do poznania, że zna się na tym lepiej.

– Niemożliwe – powtórzył i wrócił do pokoju.

Pozostałem na dworze. Drżałem z podniecenia.

– Karl! Karl – powtarzałem.

Teraz zaczęły zmieniać się ryki motoru; raz zduszone, raz głośne – wóz musiał wpaść już do wsi, gnał w szalonym tempie między domami. Ryk osłabł – wóz znalazł się za ścianą lasu, a teraz nabrzmiał znowu, rozszalały, radosny, jasna krecha przeszyła mgłę – to reflektory, znowu grzmot, lekarz stał oniemiały koło mnie, oślepiło nas wystrzelające nagle światło i oto z piskiem hamulców wóz zatrzymał się przed furtką ogrodową. Pobiegłem naprzeciw. Profesor właśnie wysiadał. Nie zatrzymał się przy mnie, skierował się prosto ku lekarzowi. Za profesorem ukazał się Köster.

– Jak Pat? – spytał.

– Krwotok trwa jeszcze.

– To się zdarza. Nie powinieneś się lękać.

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem w twarz Köstera.

– Czy masz papierosa? – zagadnął.

Dałem mu.

– To dobrze, żeś przyjechał, Otto!

Zaciągał się głęboko dymem.

– Pomyślałem sobie, że tak będzie lepiej.

– Jechałeś diabelnie szybko.

– Nie najgorzej. Po drodze mieliśmy szmat mgły.

Usiedliśmy na ławce ogrodowej, czekając.

– Czy myślisz, że Pat się wygrzebie?

– Oczywiście. Krwotok nie jest przecież taki niebezpieczny.

– Nigdy nie pisnęła mi słowem o swojej chorobie.

Köster przytaknął.

– Musi wyjść z tego – powiedziałem.

Miał spuszczoną głowę.

– Daj mi jeszcze ćmika – rzekł – zapomniałem zabrać.

– Musi wyzdrowieć, inaczej wszystko to gówno.

Profesor wyszedł z pokoju. Wstałem z ławki.

– Niech mnie diabli wezmą, jeżeli jeszcze raz pojadę z panem – rzekł do Köstera.

– Przepraszam pana, ale pan rozumie… to żona mojego przyjaciela.

– Ach, tak – rzekł Jaffé i teraz mnie zauważył.

– Czy przetrzyma? – spytałem.

Przyglądał mi się uważnie. Odwróciłem wzrok.

– Czy myśli pan, że mógłbym tu stać i rozmawiać, gdyby nie miała przetrzymać?

Zagryzłem usta. Ścisnąłem kurczowo dłonie. Płakałem.

– Przepraszam, ale to wszystko nastąpiło tak szybko…

– W tych okolicznościach nic nie jest za szybko – rzekł Jaffé z uśmiechem.

– Nie bierz mi, Otto, za złe, że się mażę.

Wziął mnie za ramiona i pchnął ku drzwiom.

– Wejdź na chwilę, jeżeli profesor pozwala.

– Już wziąłem się w garść. Czy naprawdę mogę zajrzeć?

– Tak, ale nie wolno panu mówić. I tylko na chwileczkę. Chorej nie wolno się wzruszać.

Nie zobaczyłem nic prócz płynącego po wodzie blasku lampy. Mrugałem. Światło kołysało się, połyskiwało. Nie ośmieliłem się wytrzeć oczu, żeby Pat nie myślała, że płakałem, bo jest z nią źle. Starałem się wnieść uśmiech do jej pokoju. Po czym szybko odwróciłem się i wyszedłem.

– Czy potrzebny był pański przyjazd? – spytał Köster profesora.

– Tak, lepiej, że tu jestem.

– Mogę pana odwieźć jutro rano.

– Wolę nie.

– Przyrzekam, że będę jechał ostrożnie.

– Wolę zostać jeszcze jeden dzień i zobaczyć, jak będzie. Czy pańskie łóżko jest wolne?

Przytaknąłem.

– Doskonale, będę spał przy chorej. Czy znajdzie pan coś dla siebie we wsi?

– Oczywiście. Czy mam postarać się o szczoteczkę do zębów i pidżamę dla pana?

– Dziękuję. Mam ze sobą. Zawsze jestem przygotowany na takie niespodzianki. Co prawda, nie na udział w wyścigach samochodowych.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Doskonale rozumiem, że może pan być na mnie zły.

– Kiedy nie jestem.

– W takim razie przepraszam, że nie powiedziałem panu od razu prawdy.

Jaffé zaśmiał się.

– Ma pan złe wyobrażenie o lekarzach. Idźcie spokojnie spać. Zostanę tutaj.

Przyniosłem szybko parę rzeczy dla siebie i Köstera. Ruszyliśmy w stronę wsi.

– Zmęczony jesteś? – spytałem go.

– Ani trochę. Może posiedzimy jeszcze chwilę?

Po godzinie ogarnął mnie niepokój.

– Jeżeli profesor został, to znaczy, że istnieje niebezpieczeństwo. Dlaczego by inaczej…

– Przypuszczam, że został przez ostrożność – odparł Otto. – Poza tym bardzo lubi Pat. Opowiadał mi to w czasie jazdy. Leczył już jej matkę.

– Czy ona była także…

– Nie wiem – przeciął szybko Köster. – Może to była zupełnie inna choroba. Pójdziemy spać?

– Idź ty, Ottonie. Ja chciałem jeszcze raz… tak z daleka…

– Dobra. Pójdę z tobą.

– Słuchaj, Otto, ja bardzo chętnie sypiam na dworze. Szczególnie, gdy jest tak ciepło. Nie krępuj się mną. Już nieraz ostatnio sypiałem w ogrodzie.

– Ależ tu wilgoć.

– Nic nie szkodzi. Podniosę budę Karla i wlezę do środka.

– Dobra. Ja także prześpię się chętnie na dworze.

Zrozumiałem, że się go nie pozbędę. Wzięliśmy kilka poduszek i koców i wróciliśmy do Karla. Odpięliśmy pasy przytrzymujące

siedzenie i przesunęliśmy je do tyłu. W ten sposób można było się wyciągnąć.

– Lepiej aniżeli nieraz na froncie – rzekł Köster.

Przez wilgotne powietrze przeświecała jasna plama okna. Parę razy dostrzegłem na jego tle cień Jaffégo. Wypaliliśmy do końca pudełko papierosów. Potem światło w oknie zgasło. Paliła się tylko mała lampka przy łóżku.

– Dzięki Bogu – rzekłem.

Krople dżdżu kapały na budę. Wiał słaby wiatr. Zrobiło się chłodno.

– Możesz wziąć jeszcze jeden z moich koców, Otto.

– Dziękuję. Daj spokój, jest mi ciepło.

– Wspaniały gość ten Jaffé, co?

– Wspaniały. Myślę, że to dobry lekarz.

– Na pewno.

Ocknąłem się z niespokojnego półsnu. Na dworze było szaro i zimno. Köster już nie spał.

– Pewnie nie zmrużyłeś oka, co?

– Owszem.

Wygramoliłem się z wozu i przemknąłem ścieżką przez ogród pod okno. Mała nocna lampka paliła się wciąż jeszcze. Ujrzałem Pat. Leżała z zamkniętymi oczyma. Na chwilę zdjął mnie lęk, że może umarła. Ale zaraz spostrzegłem, że porusza prawą ręką. Była strasznie blada. Krwotok ustał. Znowu ruch ręką. W tej samej chwili Jaffé, śpiący na drugim łóżku, otworzył oczy. Odsunąłem się spiesznie od okna. Byłem spokojny. Jaffé czuwał.

– Myślę, że powinniśmy zniknąć – rzekłem do Köstera. – Stary nie powinien wiedzieć, żeśmy go kontrolowali.

– Wszystko dobrze?

– Tak, jeśli to można stwierdzić przez okno. Profesor ma sen jak się należy. Śpi jak suseł przy ogniu zaporowym, ale budzi się, kiedy mysz dobiera się do jego chlebaka.

– Moglibyśmy się wykąpać. Cudowne powietrze – rzekł, przeciągając się, Köster.

– Idź sam.

– Chodź ze mną.

Szare niebo rozdarło się nad nami. Ukazały się pomarańczowo-czerwone pręgi. Zasłona mgieł na horyzoncie uniosła się w górę i oto rozbłysła w oddali jasna zieleń.

Skoczyliśmy do wody i wypłynęliśmy na morze. Woda lśniła szaro i czerwono.

Potem wróciliśmy do domu. Panna Müller już była na nogach. Ścinała pietruszkę w ogródku. Przeraziła się, gdy się do niej odezwałem. Zmieszany usiłowałem się usprawiedliwić, że pewno za wiele wczoraj wyklinałem. Zaczęła płakać.

– Biedna pani. Taka śliczna i taka jeszcze młoda.

– Dożyje setki – mruknąłem gniewnie, bo stara panna mazała się, jakby Pat musiała umrzeć. Pat nie umrze. Chłodny poranek, wiatr, jasne, wysmagane morzem życie we mnie mówiły: Pat nie może umrzeć. Może umrzeć, tylko jeżeli stracę odwagę. Ale oto przy mnie był mój przyjaciel, Köster. Byłem ja, przyjaciel Pat. Przedtem my musielibyśmy umrzeć. Dopóki żyjemy, wydobędziemy ją z tarapatów. Tak było zawsze. Dopóki żył Köster, nie mogłem zginąć. I dopóki my obaj żyjemy, Pat nie może umrzeć.

– Trzeba znosić pokornie zrządzenia losu – rzekła stara panna i spojrzała na mnie z wyrzutem. Miała twarz opaloną i pomarszczoną jak pieczone jabłko. Chciała mi dać do poznania, że moje przekleństwa są bezbożne.

– Pokornie, dlaczego pokornie? Przecież to się na nic nie zda. W życiu trzeba płacić za wszystko, i to w dwójnasób, a nieraz w trójnasób. I co komu z pokory?

– A jednak… jednak… tak jest lepiej…

„Pokora – myślałem. – Cóż to pomoże? Walczyć, walczyć – oto jedyne hasło w tej szarpaninie, której człowiek tak czy owak musi ulec. Walczyć o tę odrobinę, którą się kocha. Pokory może się człowiek nauczyć, mając siódmy krzyżyk na karku".

Köster zamienił parę słów z panną Müller. Rozjaśniła się szybko i zaraz spytała, co by zjadł na obiad.

– Widzisz – rzekł – oto przywilej starości. Łzy i uśmiech, jedno po drugim. Bez zająknienia. Należałoby nauczyć się tej sztuki.

Włóczyliśmy się koło domu.

– Każda minuta snu jest dla niej błogosławieństwem – rzekłem.

Wróciliśmy do ogrodu. Panna Müller przygotowała nam śniadanie. Napiliśmy się gorącej jak ukrop czarnej kawy. Słońce wzeszło. Od razu zrobiło się ciepło. Listki drzew poczęły jaśnieć blaskiem i wilgocią. Od morza dolatywał wrzask mew. Panna Müller ustawiła na stole pęk róż.

– Zaniesiemy to później do pokoju pani – rzekła.

Róże pachniały murem ogrodowym i dzieciństwem.

– Wiesz co, stary, mam takie uczucie, jakbym sam przebył ciężką chorobę. Człowiek nie jest już taki jak dawniej. Powinienem był zachować się spokojniej. Rozważniej. Im bardziej jest się opanowanym, tym więcej można pomóc.

– Nie zawsze się to udaje, Robby. I ja przeżywałem takie okresy. Im człowiek jest starszy, tym gorsze ma nerwy. To tak jak z bankierem, który ponosi ciągle straty.

Drzwi od pokoju otwarły się. Jaffé wyszedł w pidżamie.

– Wszystko dobrze – zawołał, widząc, że o mało nie przewróciłem stolika ze śniadaniem. – Tak dobrze, jak może być w tej sytuacji.

– Czy mogę wejść?

– Nie. Teraz jest tam służąca. Mycie i takie tam rzeczy.

Nalałem mu kawy. Mrugał powiekami w słońcu. Zwrócił się do Köstera i rzekł:

– Właściwie powinienem być panu wdzięczny. W ten sposób spędzę przynajmniej jeden dzień na wsi.

– Mógłby pan pozwolić sobie częściej na takie wypady. Wyjechać wieczorem, a następnego dnia wieczorem być w domu.

– Mógłbym, mógłbym… Czy zauważył pan już, że żyjemy w dobie samozżerania się? Że wielu rzeczy, które można by zrobić, człowiek nie robi i nie wie właściwie, dlaczego? Praca stała się dzisiaj problemem tak wielkiej wagi, może dlatego, że wielu ludzi jej nie ma, iż przygniata sobą wszelkie inne zagadnienia. Jak tu pięknie! Od paru lat nie miałem okazji zobaczyć wsi. Mam dwa samochody, dziesięciopokojowe mieszkanie i dość pieniędzy – ale

co z tego? Cóż to wszystko znaczy wobec letniego poranka na wsi! Praca, ponura pasja, która nas opanowuje, łudząc nadzieją, że później, kiedyś, będzie inaczej. Ale nigdy nie będzie inaczej. Zabawne, co to człowiek wyczynia ze swoim życiem.

– Uważam, że lekarz jest jednym z nielicznych ludzi, którzy naprawdę wiedzą, po co żyją. Cóż w takim razie ma powiedzieć buchalter?

– Drogi przyjacielu, wielkim błędem jest przypuszczenie, że wszyscy ludzie obdarzeni są równą wrażliwością.

– Słusznie – wtrącił Köster. – Ale ludzie chwytają się zawodów niezależnie od wrażliwości.

– Racja. To ciężka sprawa. – Dał mi znak. – Teraz może pan tam wejść. Ale proszę się zachowywać spokojnie, nie dotykać chorej, nie pozwolić jej mówić.

Leżała bezsilnie na poduszkach, jak powalona ciosem. Twarz bezkrwista, niebieskie, głębokie cienie zaczajone pod oczyma, usta bezbarwne. Tylko oczy miała wielkie i błyszczące. Za wielkie i zanadto błyszczące.

Wziąłem ją za rękę. Była zimna i bezsilna.

– Pat, stary łobuzie – powiedziałem nieśmiało i chciałem usiąść na łóżku, gdy nagle przy oknie odkryłem gębę służącej, jak ulepioną z ciasta i gapiącą się na mnie ciekawie.

– Proszę stąd wyjść!

– Mam przecież zaciągnąć firanki.

– Pięknie, proszę zaciągnąć firanki, a potem jazda.

Zasunęła żółte zasłony na oknach. Ale nie okazywała zamiaru odejścia. Zaczęła powoli spinać szpilkami firanki.

– Hej tam, tutaj nie teatr! Proszę stąd zmiatać.

Odwróciła się rozlaźle.

– Najprzód każą mi spinać, a potem nie.

– Czy kazałaś jej spiąć firanki? – spytałem Pat.

Przytaknęła.

– Czy razi cię światło z zewnątrz?

Potrząsnęła głową.

– Lepiej, żebyś nie widział mnie dziś zbyt dokładnie…

– Pat – rzekłem z przerażeniem – nie powinnaś mówić! Ale jeżeli to jest jedyny powód…

Otworzyłem drzwi i wreszcie przepędziłem szturmaka. Wróciłem do Pat. Nieśmiałość ustąpiła. Byłem niemal rad z incydentu ze służącą. Pomógł mi przebrnąć pierwszą chwilę. Inaczej byłoby straszną rzeczą znieść widok tak leżącej Pat.

Usiadłem koło łóżka.

– Pat, niedługo będziesz zdrowa.

Poruszyła ustami.

– Już jutro…

– Jutro jeszcze nie, ale za parę dni. Wtedy wstaniesz i pojedziemy do domu. Nie powinniśmy byli przyjeżdżać tutaj. To powietrze jest dla ciebie za ostre.

– Dlaczego? – szepnęła. – Ja przecież nie jestem chora, Robby. To tylko wypadek…

Spojrzałem na nią. Czy nie wiedziała naprawdę, że jest chora? A może nie chciała dopuścić do siebie tej myśli? Oczy jej biegały niespokojnie.

– Nie masz się czego lękać – szepnęła.

Nie zrozumiałem od razu, co ma na myśli i dlaczego akcentuje, że właśnie ja nie powinienem się obawiać. Wiedziałem tylko, że jest niespokojna, że oczy jej mają udręczony i nastający na coś wyraz. I nagle rozjaśniło mi się w głowie. Zrozumiałem, co ma na myśli. Sądziła, że gdybym wiedział, że jest chora, bałbym się jej.

– Dobry Boże… Powiedz, Pat, czy może dlatego nigdy nie mówiłaś mi czegoś bliższego o swoim zdrowiu?

Nie odpowiedziała, ale wiedziałem, że tak było.

– Tam do diabła! Za kogo ty mnie właściwie bierzesz? – Pochyliłem się nad nią. – Leż chwilę zupełnie spokojnie, ale nie ruszaj się, proszę.

Pocałowałem ją w usta. Były suche i gorące. Kiedy się wyprostowałem, spostrzegłem, że płacze. Płakała cicho, z szeroko otwartymi oczyma, twarz miała nieruchomą. Tylko łzy płynęły niepowstrzymanie.

– Na miłość boską, Pat…

– Przecież ja jestem szczęśliwa – powiedziała.

Stałem przy łóżku i patrzałem na nią. Było to tylko jedno słowo, ale słowo, które tak wypowiedzianego nigdy jeszcze nie słyszałem. Znałem wiele kobiet, ale były to zawsze dorywcze spotkania, przygody, czasami oszałamiające godziny zapomnienia, samotne wieczory, ucieczka od rozpaczy, od pustki. Nie chciałem zresztą, ażeby zmieniło się to w coś innego, albowiem nauczyłem się prawdy, że w życiu nie można polegać na nikim, tylko na sobie samym i najwyżej jeszcze na przyjacielu. Teraz odkryłem nagle, że mogę być czymś dla drugiego człowieka, tylko przez to, że jestem przy nim i że ten człowiek jest szczęśliwy dzięki mojej obecności. Kiedy się o tym mówi, brzmi to wszystko po prostu strasznie, ale gdy się człowiek zastanowi nad tym, rozumie, że to naprawdę wielka rzecz, rzecz niewymierna. Jest to coś, co może człowieka całkiem przeorać i zmienić. Jest to miłość, ale i co innego. Coś, dla czego można żyć. Mężczyzna nie umie żyć dla miłości. Ale umie żyć dla człowieka.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Ciężko jest znaleźć słowa, kiedy człowiek ma naprawdę coś do powiedzenia. I nawet wtedy, gdy znajdzie właściwe słowa, wstydzi się je wypowiedzieć. Te wszystkie słowa należą do ubiegłych stuleci. Nasz wiek nie zdołał jeszcze urobić wyrażeń na swoje uczucia. Potrafimy być tylko rubaszni – wszystko inne brzmi nieszczerze.

– Pat… stary, dzielny łobuzie…

W tej chwili wszedł Jaffé. Przejrzał natychmiast sytuację.

– Wspaniały wyczyn – mruknął. – Przypuszczałem, że tak będzie.

Chciałem się usprawiedliwić, ale on wyrzucił mnie bez ceregieli za drzwi.

XVII

Minęły dwa tygodnie. Pat ozdrowiała na tyle, że można było wracać. Spakowaliśmy nasze manatki i czekaliśmy na Gotfryda. Miał zabrać nasz wóz. My z Pat chcieliśmy wracać koleją.

Był ciepły, przymglony dzień. Chmury zawaliły niebo nieruchome jak wata, rozgrzane powietrze drżało nad diunami, a morze leżało ołowiane w jasnym, połyskliwym oparze.

Gotfryd zjawił się po obiedzie. Już z daleka ujrzałem ponad żywopłotami jego blond czuprynę. Dopiero gdy skręcił w drogę wiodącą do willi panny Müller, spostrzegłem, że przybywa w towarzystwie. Zza szyby wozu wynurzyła się jakaś imitacja wyścigowca w kieszonkowym formacie: olbrzymia kwadratowa czapa nasadzona tyłem na przód, potężna para okularów wyścigowych, biały kombinezon i para olbrzymich, przeświecających rubinowo uszu.

– Na miły Bóg, toż to Jupp we własnej osobie! – zawołałem zdumiony.

– We własnej osobie – wykrzywił się w uśmiechu Jupp.

– Ale co to za maskarada? Co się stało?

– Widzisz przecież, co się stało – rzekł zadowolony Gotfryd, ściskając mi prawicę. – Smyk kształci się na prawdziwego zawodnika. Od ośmiu dni bierze u mnie lekcje prowadzenia. Błagał mnie, żebym go dzisiaj wziął ze sobą. Wspaniała okazja dla niego do odbycia pierwszej tury po szosach.

– Zobaczy pan, że się tego naumiem! – zawołał z zapałem Jupp.

– I jak jeszcze – uśmiechnął się Gotfryd. – Nie widziałem jeszcze podobnej manii prześladowczej. Pierwszego dnia nauki próbo-

wał już na naszej starej, poczciwej taksówce prześcignąć mercedesa z kompresorem. Powiadam ci, istne półdiablę!

Jupp aż spocił się ze szczęścia i patrzał z uwielbieniem na swojego mistrza.

– Myślałem, że potrafię złapać tego dumnego ptaszka. Chciałem go przyskrzynić na wirażu, jak to zrobił nasz pan Köster!

Nie potrafiłem powstrzymać wybuchu śmiechu.

– Nieźle zaczynasz!

Gotfryd spojrzał z ojcowską dumą na swojego ucznia.

– Najprzód złap no te walizki i zawieź je na dworzec.

– Sam? – Jupp omal nie pękł z radości. – Czy mogę naprawdę pojechać kawałek do dworca całkiem sam?

Gotfryd kiwnął przyzwalająco. Jupp skoczył jak burza do domu po rzeczy.

Nadaliśmy walizki na bagaż. Potem wróciliśmy do domu i odwieźliśmy Pat na dworzec. Zjawiliśmy się o kwadrans za wcześnie. Peron ział pustką. Tylko parę baniek z mlekiem czekało na pociąg.

– Jedźcie już – rzekłem do Gotfryda. – Inaczej przyjedziecie strasznie późno do miasta.

Jupp, tkwiący za kierownicą, spojrzał na mnie urażony.

– Tego rodzaju uwagi nie idą ci w smak, hę? – spytał go Lenz.

Jupp wyprostował się w całej swej okazałości.

– Proszę pana – rzekł tonem wyrzutu – obliczyłem sobie dokładnie naszą turę. Na ósmą będziemy w warsztacie. Spacerkiem.

– Masz rację, chłopie – rzekł Lenz, klepiąc ucznia po ramieniu. – Zaproponuj panu Lohkampowi zakład. O butelkę wody sodowej.

– O wodę sodową nie warto. Ale gotów jestem zaryzykować pudełko ćmików.

I spojrzał na mnie wyzywająco.

– Czy wiesz, że drogi są dosyć kiepskie?

– Wszystko już wliczyłem!

– A pomyślałeś o wirażach?

– Ja sobie z nich nic nie robię. O nerwach u mnie ani słychu, proszę pana.

– Dobra, Jupp – rzekłem z powagą. – Trzymam zakład. Ale pod warunkiem, że pan Lenz nie będzie brał po drodze kierownicy do rąk.

Jupp położył dłoń na sercu.

– Najświętsze słowo honoru!

– Dobrze, dobrze. Ale powiedz mi, co tam miętosisz w łapie?

– To mój stoper. Będę brał po drodze czas. Po tym będę się orientował, ile nasza karoca może wydobyć z siebie.

Lenz uśmiechnął się zadowolony.

– Tak, moje dzieci, Jupp posiada pierwszorzędne wyekwipowanie. Mam wrażenie, że poczciwy, stary citroen drży już w swoich łożyskach przed tą próbą.

Jupp puścił mimo uszu ironiczną uwagę. Poprawił nerwowo czapę.

– No, to my chyba już pojedziemy, proszę pana? Zakład rzecz święta!

– Oczywiście, ty mały kompresorze! Do widzenia, Pat. Do widzenia, Robby! – Gotfryd wlazł do wozu. – No, a teraz, Jupp, pokaż pani, jak prawdziwy dżentelmen i przyszły mistrz świata rusza ze startu.

Jupp zsunął okulary na oczy, machnął ręką jak stary wyjadacz torów i ruszył elegancko pierwszym biegiem przez kocie łby podjazdu przed dworcem ku szosie.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę z Pat na ławeczce przed dworcem. Gorące, białe słońce kładło się na drewnianej ścianie, zamykającej peron. Pachniało żywicą i solą. Pat odchyliła głowę i przymknęła oczy. Siedziała całkiem cicho, z twarzą zwróconą ku słońcu.

– Jesteś zmęczona? – spytałem.

Potrząsnęła głową.

– Nie, Robby.

– Już idzie nasz pociąg.

Lokomotywa zbliżała się, dudniąc – czarna, mała i zagubiona w drżącej, pochłaniającej przestrzeni. Wsiedliśmy. W wagonie było

pustawo. Pociąg ruszył, sapiąc. Czarny dym lokomotywy zatrzymywał się grubymi kłębami w powietrzu. Powoli przesuwał się krajobraz: wioska z brunatnymi strzechami, łąki z krowami i końmi, las i w końcu zaspany, przycupnięty w kotlinie za diunami dom panny Müller.

Pat stała przy oknie wraz ze mną. Tor kolejowy podchodził na wirażu bliżej domu i można było wyraźnie dostrzec okna naszego pokoju. Były rozwarte szeroko, wyłożona na nich pościel lśniła biało w słońcu.

– Patrz, panna Müller – rzekła Pat.

– Rzeczywiście!

Stała przed bramą domu i machała do nas. Pat wyciągnęła chusteczkę i powiewała nią przez okno.

– Nie widzi tego. To za mała i za cienka chusteczka. Weź moją płachtę.

Pat chwyciła moją chusteczkę i zaczęła nią machać. Panna Müller odpowiedziała energicznym powiewaniem.

Pociąg wydobywał się powoli na wolną przestrzeń. Dom zniknął, wycofały się piaszczyste wydmy. Przez chwilę wyglądało ku nam od czasu do czasu morze zza czarnej kresy lasu. Mrugało jak podpatrujące, zmęczone oko. Potem nadbiegła miękka, złotawa zieleń pól i rozpostarła się w łagodnym rozwiewie kłosów aż po skraj horyzontu.

Pat oddała mi chusteczkę i usiadła w kącie. Podciągnęła okno. „Minęło – myślałem – minęło, dzięki Bogu! To tylko sen! Przeklęty, zły sen!”

Tuż przed szóstą znaleźliśmy się w mieście. Wziąłem taksówkę i załadowałem nasze walizki. Pojechaliśmy do mieszkania Pat.

– Czy zajdziesz na górę? – spytała.

– Oczywiście.

Odprowadziłem ją na górę, a potem zjechałem z powrotem windą, ażeby przy pomocy kierowcy przytaszczyć walizki. Gdy zjawiłem się z bagażem, Pat stała jeszcze w korytarzu. Rozmawiała z pułkownikiem von Hake i jego małżonką.

Weszliśmy do pokoju. Na dworze był jasny wczesny wieczór. Ze szklanego wazonu na stole wyzierały bladoróżowe róże. Pat podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Potem zwróciła się do mnie.

– Jak długo właściwie nie było nas tu, Robby?

– Dokładnie osiemnaście dni.

– Osiemnaście dni. Wydaje mi się, że o wiele dłużej.

– Mnie także. Ale zawsze ma się takie uczucie, kiedy człowiek wyjedzie z miasta.

Potrząsnęła głową.

– Nie, ja nie to mam na myśli…

Otworzyła drzwi i wyszła na balkon. O ścianę wsparty był złożony biały leżak. Przysunęła go do siebie i patrzała w milczeniu.

Gdy weszła z powrotem do pokoju, twarz jej była zmieniona, a oczy pociemniały.

– Popatrz na róże – rzekłem. – To od Köstera. Tu jest jego bilet.

Wzięła do ręki bilet, a potem położyła go z powrotem na stole. Popatrzyła na bukiet, ale widziałem, że ledwie zwróciła nań uwagę. Myślami była jeszcze przy leżaku. Myślała, że go się pozbyła, a teraz – kto wie, czy nie stanie się znowu częścią jej życia.

Nie chciałem przerywać jej zadumy. Milczałem. Nie miało sensu odwodzić jej od tych myśli. Musi sama się z tym uporać. Lepiej, żeby to nastąpiło teraz, kiedy byłem przy niej. Oczywiście, można było odwlec ten moment wielu słowami, ale kiedyś musiał nadejść i kto wie, czy nie byłoby go jeszcze trudniej przetrzymać.

Zatrzymała się na chwilę przy stole z pochyloną twarzą, wsparta dłońmi o blat. Potem uniosła głowę i spojrzała na mnie. Milczałem. Obeszła powoli stół i położyła mi ręce na ramieniu.

– Stary łobuzie – rzekłem.

Oparła się na mnie. Przytrzymałem ją mocno.

– Zabierzemy się teraz ostro do ciebie, co?

Kiwnęła głową. Potem odgarnęła włosy.

– To tylko taka chwila słabości, Robby.

– Oczywiście.

Zapukano do drzwi. Pokojówka wsunęła do pokoju stolik na kółkach.

– Ach, to dobrze! – rzekła Pat.

– Chcesz herbaty?

– Nie, kawy, dobrej mocnej kawy.

Zostałem jeszcze pół godziny. Pat była zmęczona. Zmiarkowałem to po jej oczach.

– Powinnaś się przespać – zaproponowałem.

– A ty?

– Pójdę do domu i także trochę się zdrzemnę. Za dwie godziny przyjdę i zabiorę cię na kolację.

– Naprawdę jesteś zmęczony? – spytała z powątpiewaniem w głosie.

– Tak, troszeczkę. W pociągu było gorąco. Poza tym muszę jeszcze wpaść do warsztatu.

Nie zadawała mi już więcej pytań. Była strasznie zmęczona i ledwie trzymała się na nogach. Zaniosłem ją na łóżko i okryłem kocem. Zasnęła natychmiast. Ustawiłem przy niej róże i położyłem przy wazonie bilet Köstera, żeby zaraz po przebudzeniu się miała czym zająć myśli. Potem wysunąłem się z pokoju.

Po drodze zatrzymałem się przed budką telefoniczną. Postanowiłem zadzwonić od razu do Jaffégo. W domu nie było to zbyt bezpieczne. Musiałem się z tym liczyć, że cały pensjonat będzie podsłuchiwał.

Podniosłem słuchawkę i rzuciłem numer kliniki. Po chwili Jaffé zgłosił się przy aparacie.

– Mówi Lohkamp – rzekłem zachrypniętym głosem. – Wróciliśmy dzisiaj. Jesteśmy tu od godziny.

– Przyjechali państwo samochodem?

– Nie, koleją.

– Ach tak, jak chora?

– W porządku.

Lekarz rozważał coś przez chwilę.

– Jutro chciałbym zbadać pannę Hollmann. Rano, o jedenastej. Czy mógłby pan zawiadomić ją o tym?

– Nie… Nie chciałbym, żeby wiedziała, że z panem rozmawiałem. Na pewno zadzwoni jutro do pana sama. Może powie jej pan wtedy o badaniu.

– Zgoda. Powiem jej sam o tym.

Odsunąłem mechanicznie na bok grubą, wytłuszczoną książkę telefoniczną. Leżała na małym drewnianym pulpicie. Nad pulpitem nagryzmolono ołówkiem na ścianie rozmaite numery telefonów.

– Czy mógłbym w takim razie zajść jutro po południu do pana profesora? – spytałem. – Jaffé milczał. – Chciałbym bardzo wiedzieć, jaki jest jej stan.

– Nie będę mógł panu jutro nic na ten temat powiedzieć. Muszę mieć ją pod obserwacją przynajmniej tydzień. Dam panu potem znać.

– Dziękuję! – Gapiłem się tępo na pulpit. Ktoś nabazgrał na nim jakiś rysunek. Grubą dziewuchę w olbrzymim słomkowym kapeluszu. „Ela jest krową" – brzmiał podpis. – Czy na razie powinna przeprowadzić jakąś kurację?

– Zobaczymy jutro. Przypuszczam jednak, że w domu ma całkiem dobrą opiekę?

– Nie wiem. Słyszałem właśnie, że tamci ludzie wyjeżdżają w przyszłym tygodniu. Zostałaby więc sama z pokojówką.

– Tak? Dobrze, pomówię z nią jutro i na ten temat.

Przesunąłem książkę telefoniczną na rysunek.

– Czy pan profesor sądzi, że… że taki atak może się powtórzyć?

Jaffé zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

– Oczywiście, jest to możliwe, ale mało prawdopodobne. Będę mógł panu powiedzieć coś pewnego dopiero wtedy, kiedy zbadam ją dokładnie. Zadzwonię wówczas do pana.

– Dobrze, dziękuję.

Odwiesiłem słuchawkę. Stałem jeszcze przez chwilę na ulicy przed budką. Powietrze było parne i przesycone kurzem. Ruszyłem w stronę domu.

Przy drzwiach zderzyłem się z panią Zalewską. Wypadła jak kula armatnia z pokoju pani Bender. Ujrzawszy mnie, przystanęła.

– Co, już z powrotem?

– Jak pani widzi. Stało się co ciekawego?

– Nie, nikt o pana nie pytał. Nie ma też poczty. Ale pani Bender wyprowadziła się.

– Tak? Dlaczego?

Pani Zalewska podparła się pod boki.

– Dlatego, że wszędzie siedzą łotry. Wyprowadziła się do chrześcijańskiego przytułku. Z kotem i dwudziestoma sześcioma markami majątku.

Po czym opowiedziała mi, że ochronka dla dzieci, gdzie pani Bender była pielęgniarką, zbankrutowała. Kierownik jej, pewien pastor, spekulował nieszczęśliwie na giełdzie. Panią Bender zwolniono, a na dokładkę straciła jeszcze dwumiesięczną pensję, z którą ochronka zalegała.

– Czy znalazła coś nowego? – spytałem bezmyślnie.

Pani Zalewska spojrzała na mnie tylko.

– Ach, oczywiście, że nie! – powiedziałem.

– Powiedziałam jej, że może spokojnie zostać u mnie. Nie będę piliła z czynszem. Ale nie chciała.

– Biedni ludzie są przeważnie uczciwi. Kto wprowadzi się teraz do pokoju pani Bender?

– Państwo Hasse. Pokój jest tańszy od tego, który zajmowali dotychczas.

– A pokój po państwu Hasse?

Wzruszyła ramionami.

– Zobaczymy. Nie mam wielkich nadziei, żeby się ktoś znalazł.

– Kiedy pokój będzie wolny?

– Jutro. Państwo Hasse przenoszą się właśnie.

– Ile kosztuje ten pokój? – spytałem, gdyż przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Siedemdziesiąt marek.

– Za drogo – rzekłem, już zupełnie wytrzeźwiony.

– Z kawą, dwiema bułeczkami i dużą porcją masła na śniadanie?

– Właśnie, właśnie. Tę kawę przyrządzaną przez Frydę musi pani stanowczo odliczyć. Pięćdziesiąt marek i ani grosza więcej.

– Czy pan chce wynająć ten pokój?

– Być może.

Wszedłem do mej nory i w zamyśleniu zacząłem przyglądać się drzwiom łączącym ją z pokojem państwa Hasse. Pat w pensjonacie pani Zalewskiej! Nie, to nie do pomyślenia! Ale mimo to po chwili podszedłem do drzwi sąsiadów i zapukałem.

Pani Hasse było u siebie. Siedziała pośrodku na wpół opróżnionego pokoju przed lustrem, w kapeluszu na głowie, i pudrowała twarz.

Przywitałem się z nią i obejrzałem przy tej okazji pokój. Był większy, niż przypuszczałem. Widać to było dopiero teraz, kiedy zabrano część mebli. Tapety utrzymane były w jednolitym tonie, jasne i prawie nowe, drzwi i okna świeżo pomalowane. Balkon był bardzo duży i naprawdę ładny.

– Pewnie pan już słyszał, czego ten człowiek ode mnie żąda. Mam przeprowadzić się do pokoju tamtej osoby. Jaki wstyd!

– Dlaczego wstyd?

– Tak, wstyd! – wybuchnęła podnieconym głosem. – Wie pan przecież, że nie znosiłyśmy się, a teraz Hasse zmusza mnie do przeniesienia się do jej pokoiku. Bez balkonu i tylko z jednym oknem! Dlatego, że jest tańszy! Wyobraża pan sobie, jak to babsko triumfuje w swoim chrześcijańskim przytułku!

– Nie sądzę, żeby triumfowała.

– Oczywiście, że triumfuje… ta fałszywa mamka, ta szczwana pielęgniarka, ta cicha woda, której źle patrzyło z oczu! A na dodatek sąsiedztwo tej kokoty, tej panny Erny Bönig! I jeszcze do tego koci smród.

Popatrzyłem na nią zdumiony. Cicha woda z oczyma! Doprawdy, osobliwa historia: człowiek używa nowych i plastycznych wyrażeń tylko wtedy, gdy klnie. Jak monotonne, jak utarte wydają się przy tym słowa miłości! A jakże bogata jest skala przekleństw.

– Przecież koty to czyste i miłe stworzenia. Poza tym przed chwilą zaglądałem do tego pokoju. Wcale nie pachnie kotami.

– Tak? – spytała wrogim tonem pani Hasse i energicznie poprawiła na głowie kapelusz. – Wszystko zależy od subtelności powonienia. Ale ja nie przyłożę ręki do tej przeprowadzki. Niech sobie sam przenosi graty! Wychodzę. Przynajmniej ta jedna przyjemność została mi w moim nędznym życiu!

Wstała. Jej nalana twarz tak drżała z wściekłości, że aż puder sypał się na suknię. Spostrzegłem, że pomalowała sobie usta jak gwiazda filmowa i w ogóle strasznie się wyelegantowała. Gdy wyleciała z szumem, zapachniało koło niej jak w perfumerii.

Popatrzyłem za nią stropiony. Potem raz jeszcze obejrzałem pokój. Zastanawiałem się, jak można by ustawić meble Pat. Ale po chwili dałem spokój. Pat tutaj – zawsze tutaj, koło mnie – nie, nie umiałem sobie tego wyobrazić! Nigdy bym nie wpadł na podobną myśl, gdyby była zdrowa. Ale teraz… Otworzyłem drzwi i wymierzyłem balkon. Ale w końcu potrząsnąłem głową i poszedłem do mojej nory.

Gdy wróciłem do Pat, spała jeszcze. Usiadłem cichutko w fotelu przy łóżku, ale ocknęła się zaraz.

– Szkoda, zbudziłem cię.

– Czy byłeś przez cały czas przy mnie?

– Nie. Dopiero co przyszedłem.

Przeciągnęła się i przyłożyła policzek do mej dłoni.

– To dobrze. Nie lubię, jak się kto na mnie patrzy, gdy śpię.

– Rozumiem to doskonale. Ja także zbytnio za tym nie przepadam. Nie zamierzałem cię podglądać w czasie snu. Po prostu nie chciałem cię budzić. Czy nie masz ochoty podrzemać jeszcze troszkę?

– Nie, dosyć tego spania. Zaraz wstanę.

Poszedłem do sąsiedniego pokoju, podczas gdy Pat się ubierała. Na dworze ściemniało się powoli. Z okna naprzeciw skrzeczał gramofon oklepanego marsza wojskowego. Jakiś facet w szelkach krzątał się koło aparatu. Łaził po pokoju tam i z powrotem i robił

w takt muzyki ćwiczenia gimnastyczne. Jego łysina pobłyskiwała w półmroku jak nasrożony księżyc. Przypatrywałem się temu obojętnie. Czułem się otępiały i smutny.

Weszła Pat. Wyglądała cudownie, świeżo, nie było w niej śladu zmęczenia.

– Ślicznie wyglądasz – powiedziałem zdumiony tą zmianą.

– Czuję się naprawdę wypoczęta, Robby. Tak jakbym przespała uczciwie całą noc. U mnie wszystko prędko idzie.

– Na miły Bóg, to prawda! Czasami tak prędko, że człowiek nie może nadążyć.

Położyła dłonie na moich ramionach i zajrzała mi w oczy.

– Naprawdę za szybko, Robby?

– Nie. Najwyżej moje reakcje przychodzą za powoli. Jestem często zbyt ociężały, Pat.

Uśmiechnęła się.

– Co powoli, to solidnie. A co solidnie, to dobrze.

– Jestem tak solidny, jak korek unoszony na fali.

Potrząsnęła głową.

– Jesteś o wiele solidniejszy, aniżeli przypuszczasz. W ogóle jesteś zupełnie inny, niż to sobie wyobrażasz. Rzadko zdarzało mi się widzieć kogoś, kto by się tak bardzo mylił na własny temat.

Uwolniłem ramiona z jej uścisku.

– Tak, kochanie – potwierdziła jeszcze – mówię szczerą prawdę. A teraz dajmy temu spokój i chodźmy coś zjeść.

– Dokąd chcesz iść?

– Do Alfonsa, muszę koniecznie obejrzeć stare kąty. Mam uczucie, jak gdybym wieki nie była w mieście!

– Dobra! Ale czy jesteś odpowiednio głodna? Wiesz przecież, że do Alfonsa nie można przyjść bez apetytu. Takich gości wyrzuca za drzwi.

Wybuchnęła śmiechem.

– Jestem głodna jak wilk.

– A więc jazda!

Nagle wróciła mi radość.

Wkroczenie do lokalu Alfonsa było naprawdę triumfalne. Powitał nas u progu, potem przepadł na chwilę i wrócił niebawem w białym kołnierzyku i krawacie w zielone kropki. Na to nie decydował się dla byle kogo. Był też nieco speszony tymi objawami własnego upadku.

– A więc, Alfonsie, co masz dzisiaj dobrego? – spytała Pat, wspierając łokcie na stole.

Twarz Alfonsa rozanieliła się, cmoknął głośno i aż przymknął oczki z rozkoszy.

– Naprawdę macie szczęście. Dzisiaj są raki!

Odstąpił na krok, żeby zobaczyć, jakie to wywrze wrażenie. Efektowi nie można było niczego zarzucić.

– Do tego kieliszeczek młodego mozelskiego wina – szepnął w zachwyceniu i odstąpił znowu krok w tył. Zebrał huczne brawa i, rzecz zabawna, odezwały się one także od strony drzwi. Wynurzyła się z nich bowiem właśnie uśmiechnięta gęba ostatniego romantyka. Jego słomiana czupryna była zmierzwiona, a nos przypalony od słońca.

– Gotfryd? – ryknął Alfons. – Ty? We własnej osobie? Człowieku, cóż za święto! Chodź w moje ramiona!

– No, teraz się dopiero napatrzysz! – szepnąłem do Pat.

Padli sobie w objęcia. Alfons klepał przy tym Lenza po plecach tak, że roznosiło się echem po sali, jakby w pobliżu pracowała kuźnia.

– Hans – krzyknął na kelnera – dawaj tu duchem Napoleona!

Zaciągnął Gotfryda do lady. Kelner przyniósł dużą omszałą flaszkę. Alfons nalał dwa kieliszki.

– Na zdrowie, Gotfrydzie, ty trefna pieczeni wieprzowa!

– Na zdrowie, Alfonsie, stary galerniku!

Po czym obaj wychylili jednym haustem kieliszki.

– Pierwsza klasa! – oświadczył Gotfryd. – Trunek dla bogów.

– Doprawdy wstyd wlewać go tak w siebie – przyznał Alfons. – Ale jak u licha pić powoli, kiedy człowiek się cieszy? Dalej, jeszcze po jednym!

Nalał koniaku i podniósł w górę kieliszek.

– W twoje ręce, ty niewdzięczny karaluchu!

Lenz śmiał się serdecznie.

– Stary, kochany Alfons!

Alfonsowi zwilgotniały oczy.

– Kropnijmy sobie jeszcze jednego – rzekł wzruszony.

– Jazda wiara! – Lenz podsunął swój kieliszek. – Koniaku odmawiam dopiero wtedy, kiedy nie mogę już unieść głowy z podłogi.

– Oto hasło godne mężczyzny! – zawołał Alfons i nalał trzeci kieliszek.

Lenz zawinął do naszego stołu, ciężko dysząc. Wydobył zegarek z kieszeni.

– Za dziesięć ósma zajechaliśmy cytrynką przed garaż. Co wy na to?

– Rekord trasy – orzekła Pat. – Niech żyje Jupp! Ofiaruję mu od siebie również paczkę papierosów.

– A ty dostaniesz ode mnie dodatkową porcję raków – oświadczył Alfons, który przydreptał w ślad za Gotfrydem do stołu. Po czym wręczył każdemu z nas coś pośredniego między obrusem a serwetką. – Radzę wam zdjąć marynarki i przepasać się uczciwie. Pani pozwoli chyba na to?

– Uważam, że jest to nawet konieczne.

Alfonsowi rozjaśniły się oczy.

– Wiedziałem, że z pani rozsądna niewiasta. Do raków należy mieć swobodę ruchów i nie bać się poplamić ubrania. – Gęba jego przybrała znowu rozanielony wyraz. – Oczywiście pani dostanie coś wytworniejszego.

Kelner Hans przyniósł śnieżnobiały fartuch kuchenny. Alfons rozłożył go i pomógł Pat się ubrać.

– Bardzo pani w nim do twarzy – pochwalił.

– Byczo, byczo! – odpowiedziała ze śmiechem Pat.

– Cieszy mnie bardzo, że raczyła pani zakonotować sobie moje powiedzonko – rzekł dobrodusznie Alfons. – Człowiekowi robi się ciepło na sercu.

– Hej, Alfonsie! – powiedział Gotfryd, zawiązując na supeł serwetę, tak że oba końce sterczały niby ośle uszy. – Na razie lokal twój robi wrażenie golarni, a nie restauracji.

– To się zaraz zmieni, ale przede wszystkim coś dla duszy.

Alfons podszedł do gramofonu. Po chwili zagrzmiał w salce chór pielgrzymów z *Tannhäusera*. Wysłuchaliśmy go w skupieniu.

Ledwie przebrzmiał ostatni ton, gdy rozwarły się drzwi kuchni, a w progu pojawił się kelner Hans z miską wielkości dziecinnej wanienki do kąpieli. Naczynie to dymiło niby wulkan i wypełnione było rakami. Hans, dysząc, ustawił miskę na stole.

– Przynieś i dla mnie serwetę – rzekł Alfons.

– Czy rzeczywiście chcesz spożyć z nami te cuda, drogi chłopcze? – zawołał Lenz. – Cóż za wyróżnienie!

– Oczywiście, jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu…

– Ależ skądże, Alfonsie!

Pat przesunęła się nieco na bok z krzesłem, a gospodarz zasiadł koło niej.

– Ręczę, że skorzysta pani na tym sąsiedztwie – powiedział nieco zażenowany. – Widzi pani, ja bardzo szybko potrafię sprawić takiego zwierzaka. Dla kobiety jest to trochę nudna zabawa.

Zanurzył łapę w misie i zaczął z niesamowitą wprost szybkością obierać raka. Czynił to swoimi olbrzymimi łapskami tak elegancko i sprawnie, że Pat pozostawało już tylko zjadanie smakowitych kąsków, podawanych jej apetycznie na widelcu.

– Smakuje? – spytał.

– Wspaniale! – Podniosła kieliszek. – Wznoszę zdrowie Alfonsa!

Alfons trącił się z Pat z należytym nabożeństwem i powoli sączył winko. Spojrzałem na Pat. Wolałbym, żeby nie piła alkoholu. Wyczuła mój wzrok.

– Salute, Robby! – powiedziała.

Wyglądała cudownie, jaśniała radością i pogodą.

– Salute, Pat – odpowiedziałem, wychylając kieliszek.

– Czy nie cudownie jest u Alfonsa? – zagadnęła, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Bosko! – Nalałem sobie jeszcze jeden kieliszek. – Twoje zdrowie, Pat!

Przez twarz jej przeleciał cień.

– Na zdrowie, Robby! Na zdrowie, Gotfrydzie!

Wypiliśmy.

– Świetne wino – rzekł Gotfryd.

– Graacher Abtsberg z ubiegłego roku – wyjaśnił Alfons. – Cieszy mnie, że się na nim poznałeś.

Wydobył drugiego raka z miski i podsunął Pat otwarte już szczypce. Broniła się.

– Naprawdę, Alfonsie, teraz twoja kolej. Inaczej nic dla ciebie nie zostanie.

– Ja zabiorę się za chwilę do roboty. Zapewniam panią, że prześcignę was wszystkich.

– No, więc zgoda.

Wzięła z jego ręki szczypce. Z oblicza Alfonsa biło zadowolenie. Podsuwał Pat dalsze kąski. Wyglądało to tak, jakby stara, olbrzymia sowa karmiła w gniazdku drobnego białego ptaszka.

Na zakończenie uczty wypiliśmy jeszcze wszyscy po jednym Napoleonie, po czym pożegnaliśmy się z gospodarzem. Pat promieniała szczęściem.

– Było cudownie. Dziękuję panu stokrotnie, Alfonsie. Było naprawdę cudownie.

Podała mu rękę. Alfons zamamrotał coś pod wąsem i ucałował jej dłoń. Lenzowi o mało oczy nie wyskoczyły ze zdumienia.

– Zjawcie się jak najprędzej. I ty także, Gotfrydzie!

Na ulicy stał pod latarnią mały i opuszczony citroen.

– Och – szepnęła Pat i zatrzymała się nagle. Skurcz przeleciał po jej twarzy.

– Po dzisiejszym wyczynie ochrzciłem go imieniem Herkules. – Lenz otworzył drzwi wozu. – Czy mam was odwieźć do domu?

– Nie – rzekła Pat.

– Tak sobie właśnie pomyślałem. Gdzie chcecie zatem poszaleć?

– Jedźmy do naszego baru. A może nie masz ochoty, Robby? – spytała Pat, zwracając się ku mnie.

– Ależ naturalnie, jedźmy do baru.

Jechaliśmy powoli. Powietrze było ciepłe i przejrzyste. Na chodnikach przed kawiarniami ludzie obsiedli stoliki. Muzyka przewiewała mimo nas. Pat siedziała koło mnie. Nie mogłem nagle

zrozumieć, jak ona może być naprawdę chora, i oblało mnie na tę myśl gorąco. Długą chwilę nie mogłem się z tym pogodzić.

W barze natknęliśmy się na Ferdynanda i Valentina. Ferdynand był w znakomitym nastroju. Wstał z krzesełka i podszedł do Pat.

– Diana powróciła z lasów…

Uśmiechnęła się. Malarz otoczył ją ramieniem.

– Powiedz mi, opalona, śmiała łowczyni ze srebrnym łukiem… czego się napijemy?

Gotfryd odsunął ramię Ferdynanda.

– Ludzie pełni patosu nie mają ani za grosz taktu. Pani znajduje się w towarzystwie dwóch młodych ludzi. Nie zauważyłeś tego, ty żubrze!

– Romantycy nie mogą być towarzystwem dla kobiety, tylko jej orszakiem – rzekł niewzruszony Ferdynand.

Lenz wyszczerzył zęby w uśmiechu i zwrócił się do Pat.

– Przygotuję dla pani pyszny trunek. Zwie się koktajl Kolibri. Specjalność przywieziona z Brazylii.

Poszedł do baru, namieszał rozmaitości i przyniósł trunek.

– Jak pani smakuje?

– Jak na Brazylię, trochę cienki – odrzekła Pat.

Gotfryd zaśmiał się.

– W rzeczywistości jest bardzo mocny, jest w nim rum i wódka.

Przejrzałem od razu, że w mieszaninie tej nadaremno szukałbyś zarówno rumu, jak wódki. Gotfryd zmieszał jakiś sok owocowy, cytrynowy, trochę pomidorowego i zakropił być może roztwór paru kroplami angostury. Był to bezalkoholowy koktajl. Na szczęście Pat nie poznała się na podstępie.

Dostała trzy duże kieliszki Kolibri. Widziałem, jaka była zadowolona, że nie traktuje się jej jak osoby chorej. Po godzinie zabraliśmy się do odejścia. Tylko Valentin trwał na posterunku. Wszystko reżyserował Gotfryd. Wpakował Ferdzia do cytrynki i pogazował z nim do domu. W ten sposób ułatwił nam odwrót, albowiem Pat nie mogła oponować, że wychodzimy wcześniej niż inni. Wszystko to było strasznie wzruszające, ale przez chwilę było mi cholernie podle na duszy.

Pat ujęła mnie pod ramię. Szła obok mnie swoim pięknym, elastycznym krokiem, czułem ciepło jej ręki, widziałem, jak blask latarni ślizga się po jej ożywionej twarzy – nie, nie mogłem pojąć, że jest chora. Jeszcze za dnia potrafiłem się z tym pogodzić, ale nie w nocy, kiedy życie nabierało ciepła, tkliwości, stawało się pełne obietnic…

– Zajdziemy na chwilę do mnie? – zagadnąłem.

Kiwnęła głową.

W przedpokoju pensjonatu paliło się światło.

– Niech to licho porwie – zakląłem. – Co tu się dzieje? Poczekaj chwileczkę.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do wnętrza. Korytarz roztwierał się przede mną w bezlitosnym nagim świetle jak wąski przedmiejski zaułek. Drzwi do pokoju zajmowanego ongiś przez panią Bender stały otworem i tam także paliło się światło. Niby czarna mrówka pełzał po podłodze Hasse, majstrując coś przy stojącej lampie z różowym jedwabnym abażurem. Przeprowadzał się.

– Dobry wieczór – odezwałem się. – Pan jeszcze pracuje?

Podniósł ku mnie swoją bladą twarz z miękkim, ciemnym wąsikiem.

– Dopiero przed godziną wyrwałem się z biura. Tylko późnym wieczorem mam czas na przeprowadzkę.

– Żony pańskiej jeszcze nie ma?

Potrząsnął głową.

– Jest u przyjaciółki. Chwała Bogu, znalazła sobie przyjaciółkę, u której przesiaduje.

Uśmiechnął się ufnie, z zadowoleniem i powrócił do swojej roboty. Przeprowadziłem Pat przez korytarz.

– Myślę, że nie będziemy w ogóle zapalać światła? – spytałem, gdyśmy się znaleźli w pokoju.

– Owszem, kochanie. Zapal na chwileczkę, potem będziesz mógł zaraz zgasić.

– Jesteś nienasycona – rzekłem.

Na chwilę pluszowe wspaniałości pokoju zalało jaskrawe światło. Potem przekręciłem kontakt.

Okna były otwarte na oścież. Od drzew wiało nocne powietrze tak świeże jak w lesie.

– Cudownie – rzekła Pat i wtuliła się w kąt okna.

– Czy rzeczywiście uważasz, że tu jest ładnie?

– Naprawdę, Robby. Jak w wielkim parku w lecie. Bosko.

– Czy może przechodząc, zajrzałaś do sąsiedniego pokoju? – spytałem.

– Nie. Dlaczego?

– Ten piękny balkon na lewo należy do tego pokoju. Jest całkowicie zasłonięty od ludzkich oczu z przeciwka. Gdybyś zamieszkała w tym pokoju, mogłabyś brać swoje kąpiele słoneczne tak, jak cię Pan Bóg stworzył.

– Tak, gdybym tu mieszkała…

– Mogłabyś mieszkać – wtrąciłem jakby nigdy nic. – Widziałaś przecież: pokój będzie za parę dni wolny.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Czy sądzisz, że to by nam wyszło na zdrowie? Ustawicznie razem?

– Przede wszystkim nie bylibyśmy stale razem. W ciągu dnia nie ma mnie prawie nigdy w chałupie. Wieczorem także często przepadam. Ale gdybyśmy mieszkali tu oboje, nie potrzebowalibyśmy wysiadywać wieczorem w lokalach ani też rozstawać się tak szybko, jakbyśmy byli tylko z wizytą…

Poruszyła się lekko na parapecie.

– To brzmi tak, jakbyś już wszystko dokładnie przemyślał, kochanie.

– Owszem, myślałem o tym. Przez cały wieczór.

Wyprostowała się.

– Czy mówisz to na serio, Robby?

– Tak, do stu piorunów! Czy jeszcze nie zrozumiałaś, że mówię poważnie?

Milczała przez chwilę.

– Robby – rzekła, a głos jej miał dziwnie głębokie brzmienie. – Dlaczego właśnie teraz wpadłeś na ten pomysł?

– Przyszło mi to do głowy – rzekłem z większą gwałtownością, aniżeli zamierzałem, gdyż czułem, że chodzi o ważniejszą decyzję niż o zamianę pokoju – przyszło mi to do głowy, gdyż przekonałem się w ciągu ostatnich tygodni, jak cudownie jest być ze sobą razem. Nie mogę już znieść tych spotkań ograniczonych godzinami! Chcę mieć więcej z ciebie. Chcę, żebyś była ciągle przy mnie, nie mam ochoty bawić się już w tę miłosną chowankę, mam do niej wstręt, nie chcę tego, chcę po prostu ciebie i jeszcze raz ciebie, nigdy nie będę miał dosyć twojej obecności i nie chcę stracić ani jednej minuty z tobą.

Słyszałem oddech Pat. Siedziała skulona na oknie, rękoma objęła kolana. Milczała. Powoli rozwijała się czerwona taśma reklamy świetlnej naprzeciw, migotała wysoko nad koronami drzew i rzucała matowy poblask na jej jasne pantofelki. Potem zaczęła się wspinać po sukience aż do rąk.

– Oczywiście, możesz mnie wyśmiać.

– Wyśmiać?

– Tak, bo powtarzam wciąż jak papuga: ja chcę. Ostatecznie, i ty musiałabyś tego chcieć.

Podniosła na mnie wzrok.

– Czy wiesz, Robby, że się zmieniłeś?

– Nie.

– A jednak tak jest. Sam przecież powiedziałeś. Chcesz. Nie pytasz już tak wiele. Po prostu chcesz.

– To nie jest taka wielka zmiana. Możesz przecież powiedzieć: nie, choćbym ja nie wiem jak chciał.

Pochyliła się ku mnie.

– Dlaczego bym miała powiedzieć: nie? – rzekła bardzo ciepłym i czułym głosem. – Przecież ja chcę tego także.

Zmieszany chwyciłem ją w objęcia. Włosy jej muskały mi twarz.

– Czy to prawda, Pat?

– Ależ oczywiście, kochanie.

– Tam do diaska… wyobrażałem sobie, że to znacznie trudniej pójdzie.

Potrząsnęła głową.

– Przecież to zależy tylko od ciebie, Robby.

– Doprawdy, gotów jestem sam w to uwierzyć – bąknąłem zdumiony.

Objęła mnie ramieniem za szyję.

– Czasem to doprawdy dobrze nie myśleć o niczym. Nie być zmuszonym do decydowania o wszystkim. Móc oprzeć się na kimś. Ach, kochanie, w rzeczywistości wszystko jest proste i łatwe. Nie trzeba tylko sobie samemu utrudniać.

Na chwilę zacisnąłem zęby. Że też to musiało wyjść z jej ust!

– Masz rację. Pat, masz rację.

Nie, nie miała racji. Ani trochę. Staliśmy jeszcze przez chwilę przy oknie.

– Przeniesiemy tu wszystkie twoje graty. Nie powinno ci niczego brakować. Kupimy nawet stoliczek na kółkach. Fryda będzie musiała nauczyć się z nim chodzić.

– Przecież mamy stoliczek, kochanie. To moja własność.

– Tym lepiej. Od jutra zacznę trenować Frydę.

Pat oparła głowę na moim ramieniu. Czułem, że jest zmęczona.

– Czy mam cię teraz odwieźć do domu?

– Zaraz, położę się jeszcze na chwilę.

Leżała na łóżku spokojnie, w milczeniu. Zdawało się, że śpi. Ale oczy miała otwarte, a chwilami lśniło w nich odbicie reklamy świetlnej, które ślizgało się bezszelestnie po ścianach jak kolorowa zorza polarna. Na ulicy ucichł gwar. Zza drzwi dolatywały jeszcze odgłosy: to Hasse grzebał się w resztkach swoich nadziei, swojego małżeństwa, a zapewne i swojego życia.

– Powinnaś od razu zostać – powiedziałem.

Uniosła się na łóżku.

– Jeszcze nie dzisiaj, kochanie.

– Wolałbym, żebyś została.

– Jutro.

Wstała i przeszła cicho przez ciemny pokój. Przypomniałem sobie dzień, kiedy po raz pierwszy została u mnie i kiedy w szarej pomroce świtu podobnie cicho przesunęła się przez pokój, żeby się ubrać. Nie wiedziałem, co to było, dlaczego jej przejście przez pokój urzeka mnie i oszołamia. Miało ono w sobie coś dziwnie oczywistego, koniecznego, coś niemal wstrząsającego, jakby jakiś

gest z odległych czasów, jak milczące posłuszeństwo wobec przykazania, które zostało już zapomniane, którego już nikt nie zna.

Przyszła do mnie z powrotem z mroku i ujęła moją twarz w dłonie.

– Było cudownie u ciebie, kochanie. Bardzo pięknie. To dobrze, że jesteś.

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem odpowiedzieć.

Odprowadziłem ją do domu, a potem wróciłem do baru. Zastałem tam Köstera.

– Siadaj – rzekł. – Jak tam u ciebie?

– Nic szczególnego, Otto.

– Chcesz się czegoś napić?

– Jeżeli zacząłbym pić, to musiałbym trąbić do nieprzytomności. Nie chcę tego robić. Muszę dać sobie radę. Ale mogę się zająć czymś innym. Czy Gotfryd jest jeszcze z taksówką na mieście?

– Nie.

– Doskonale. W takim razie wyjadę na parę godzin naszym pudłem.

– Zajdę z tobą do garażu.

Wyprowadziłem taksówkę i pożegnałem się z Ottonem. Potem ruszyłem na postój. Przede mną parkowały tylko dwa wozy. Po chwili dołączyli się Gustaw i aktor Tommy. Niebawem oba wozy przede mną ruszyły z gośćmi, a i mnie się przytrafił kurs. Młoda dziewczyna, która chciała, bym ją zawiózł do „Vinety".

„Vineta" była popularnym dansingiem, z telefonami na stolikach, pocztą pneumatyczną i podobnymi figlami dla przybyszów z prowincji. Leżała nieco na uboczu od innych lokali nocnych, w mrocznej uliczce.

Stanęliśmy przed dansingiem. Dziewczyna zaczęła grzebać w torebce i podała mi banknot pięćdziesięciomarkowy. Wzruszyłem ramionami.

– Niestety, nie mam reszty.

Zjawił się portier.

– Ile należy się panu? – spytała dziewczyna.

– Marka siedemdziesiąt.

– Czy nie mógłby pan zapłacić za mnie? – zwróciła się do portiera. – Oddam panu pieniądze, jak tylko zmienię w kasie.

Portier otworzył drzwiczki i poszedł za dziewczyną do kasy. Po chwili wrócił.

– Masz. Przeliczyłem drobne.

– Tu jest tylko półtorej marki.

– Nie gadaj głupstw! Czy też jesteś naprawdę taki niewypierzony? Płaci się dwudziestaka portierowi za przyniesienie forsy. Odwal no się sprzed budy!

Były istotnie lokale, gdzie dawało się portierowi w łapę, ale tylko wtedy, gdy naraił gościa, a nie wtedy, gdy się przywoziło pasażera.

– Na takie kawały jestem zanadto opierzony. Należy mi się marka siedemdziesiąt.

– Oberwiesz jeszcze w mordę – mruknął. – Zjeżdżaj stąd, powiadam ci po dobroci. Sterczę tu dłużej niż ty.

Oczywiście nie zależało mi na parszywym dwudziestaku. Nie miałem jednak najmniejszej ochoty dać się nabić w butelkę.

– Nie opowiadaj tutaj bujd dla niemowląt i wydaj resztę!

Portier poczęstował mnie pięścią tak nagle, że nie zdołałem się zakryć.

Nie mogłem się zaś uchylić, siedząc w wozie. Wyrżnąłem łbem w kierownicę. Oszołomiony ciosem starałem się dźwignąć. Głowa huczała mi jak bęben, a z nosa ciekła krew. Portier stał przede mną.

– Chcesz jeszcze raz dostać, ty trupie?

W jednej chwili oceniłem moje szansę. Nie dam rady. Drab był silniejszy ode mnie. Żeby mu wlepić, trzeba by zaskoczyć drania znienacka. Walić, siedząc w taksówce, nie miało sensu – taki cios nie miałby żadnej siły. Zanim wygramolę się z auta, rozciągnie mnie trzy razy na ziemi. Spojrzałem na niego. Zapach piwa wionął mi w twarz.

– Jeszcze słowo, a twoja żona zaawansuje na wdowę.

Przyglądałem mu się. Nie poruszyłem się. Patrzyłem w tę szeroką, zdrową mordę. Pożerałem go wzrokiem. Szukałem miejsca,

gdzie trzeba go zmacać, zdrętwiałem z zimnej wściekłości. Ale nie drgnąłem. Widziałem jego pysk w zbliżeniu, niezwykle wyraźnie, jak przez szkło powiększające: odróżniałem każdy włosek na brodzie, chropowatą, czerwoną, porowatą skórę…

Błysnął hełm policjanta.

– Co tu się dzieje?

Portier ściągnął twarz w służalczym uśmiechu.

– Nic, panie wachmistrzu.

Policjant rzucił okiem na mnie.

– Nic – powiedziałem.

Przesunął znów wzrok z portiera na mnie.

– Co to, krwawicie?

– Głupstwo, wyrżnąłem o kierownicę.

Portier odstąpił krok w tył. W jego oczach kołatał się uśmiech. Myślał, że boję się powiedzieć prawdę.

– Dalej, jazda stąd – rzekł policjant.

Dałem gazu i ruszyłem na postój.

– Człowiecze, ależ cię oporządzili! – zawołał Gustaw na mój widok.

– Tylko mi z nosa cieknie – burknąłem i opowiedziałem mu całe zajście.

– Chodź ze mną do knajpy. Nie na darmo byłem kiedyś kapralem sanitarnym. To chamstwo bić gościa siedzącego za kierownicą.

Zaprowadził mnie do kuchni w knajpie, kazał sobie dać lodu i obrabiał mnie pół godziny.

– Nie powinieneś mieć nawet guza.

Nareszcie skończył.

– No jak tam z główką? Trzyma się mocno? W takim razie nie traćmy czasu.

Wszedł Tommy.

– Czy to był ten zwalisty portier z „Vinety”? Ten drań słynie ze swoich uderzeń. Dotychczas nikt go nie nauczył rozsądku.

– Teraz się nauczy – rzekł Gustaw.

– Tak, ale ode mnie.

Gustaw spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Widzisz, bracie, zanim ty się wygrzebiesz z wozu…

– Już ja sobie umyśliłem chwyt. Jeżeli mnie się nie uda, to zawsze jeszcze możesz poprawić.

– Dobra.

Wsadziłem na głowę czapkę Gustawa. Zabraliśmy także jego wóz, żeby portier nie zwąchał od razu, co się święci! Tak czy owak wiele nie mógł wyślepić, gdyż ulica była zbyt słabo oświetlona.

Podjechaliśmy pod tancbudę. Na ulicy nie było żywej duszy. Gustaw wyskoczył, trzymając dwudziestomarkowy banknot w ręku.

– Tam do diabła, znowu nie mam drobnych! Portier, może pan zmienić? Ile tego… marka siedemdziesiąt? Proszę za mnie wyłożyć.

Udawał, że zmierza do kasy. Portier zbliżył się, pokasłując, i podał mi markę pięćdziesiąt. Trzymałem dalej wyciągniętą dłoń.

– Machaj stąd, a żywo – burknął.

– Dawaj resztę, ty parszywy psie! – ryknąłem na niego.

Przez chwilę stał jak skamieniały.

– Ty draniu – rzekł cicho i oblizał wargi – popamiętasz to na parę miesięcy!

Zamachnął się. Po takim ciosie straciłbym na pewno przytomność. Byłem jednak na niego przygotowany. Odwróciłem się, skuliłem, a pięść draba runęła całą siłą na stalowy uchwyt korby od zapuszczania silnika, którą trzymałem w lewej ręce. Portier odskoczył, wyjąc jak pies i potrząsając łapą. Syczał z bólu jak lokomotywa i stał nie osłonięty.

Wyskoczyłem z wozu.

– Poznajesz mnie? – warknąłem i wymierzyłem cios w brzuch.

Zwalił się na bruk.

– Raz… – zaczął liczyć Gustaw od kasy – dwa… trzy…

Przy pięciu portier dźwignął się na nogi. Miał szkliste spojrzenie. Znowu widziałem jego mordę tuż przed sobą, wyraźnie – tę zdrową, szeroką, durną i pospolitą mordę, tego zdrowego, mocnego draba, tę świnię, która nigdy nie zachoruje na płuca, i nagle poczułem, jak na mózg pada mi czerwony opar, skoczyłem i zacząłem go walić, walić, waliłem w niego wszystko to, co się we mnie

nagromadziło przez te dni i tygodnie, waliłem w ten zdrowy, szeroki pysk, aż mnie odciągnięto…

– Człowieku, przecież ty go zabijesz! – zawołał Gustaw.

Obejrzałem się. Portier zalany krwią wspierał się o mur. Nagle złamał się wpół jak marionetka, runął na bruk i zaczął powoli, niby olbrzymi, lśniący robak, pełzać w swojej liberii na czworakach w stronę wejścia.

– No, odejdzie mu ochota do bicia – rzekł Gustaw. – A teraz wiejmy, zanim ktoś nadejdzie. Twój poczęstunek należy już do kategorii ciężkich obrażeń cielesnych.

Cisnęliśmy pieniądze na bruk, wskoczyliśmy do wozu i odgazowaliśmy.

– Czy znowu cieknie mi z nosa, czy też to krew portierska?

– Znowu twój nos. Portier zaaplikował ci pięknego sierpowego z lewej.

– Wcale nie zauważyłem.

Gustaw śmiał się.

– Wiesz, czuję się teraz o wiele raźniej – powiedziałem.

XVIII

Nasza taksówka stała przed barem. Wszedłem do środka, żeby zwolnić Lenza, wziąć od niego klucz i papiery. Gotfryd wyszedł ze mną na ulicę.

– No jak tam, miałeś duży obrót? – spytałem.

– Średni. Albo za wiele taksówek tłucze się po mieście, albo za mało ludzi jeździ taksówkami. A jak tobie poszło?

– Marnie. Sterczałem całą noc na postoju i nie zebrałem do kupy nawet dwudziestu marek.

– Podłe czasy – rzekł Gotfryd, marszcząc brwi. – No, to w takim razie nie śpieszy ci się dzisiaj zbytnio do jazdy?

– Nie, a dlaczego?

– Mógłbyś mnie kawałek podwieźć.

– Zgoda. – Wsiedliśmy. – Dokąd chcesz jechać?

– Do katedry.

– Co? Czyżbym się przesłyszał? Zdawało mi się, że powiedziałeś: do katedry.

– Nie, synu, nie przesłyszałeś się. Tak powiedziałem.

Popatrzyłem na niego zdumionym wzrokiem.

– Nie wybałuszaj ślepiów, tylko jedź.

– Niech będzie. – Ruszyliśmy.

Katedra leżała w starej dzielnicy miasta, na dużym placu okolonym domami zamieszkanymi przez księży. Zatrzymałem się przed głównym wejściem.

– Dalej, objedź dokoła.

Kazał mi stanąć przed furtką na tyle kościoła i wysiadł.

– Dobrej zabawy – powiedziałem. – Widzę, że idziesz się wyspowiadać.

– Chodź ze mną – zaproponował.

Zaśmiałem się.

– Nie dzisiaj. Modliłem się już rano. Wystarcza mi to na cały dzień.

– Nie pleć bzdur, dziecinko. Chodź ze mną. Chcę ci wspaniałomyślnie pokazać coś interesującego.

Wiedziony ciekawością poszedłem za Gotfrydem. Weszliśmy przez małe drzwi i od razu znaleźliśmy się w krużgankach kościoła. Tworzyły one olbrzymi czworobok i składały się z długiego szeregu podcieni, wspartych od strony wewnętrznej na granitowych kolumnach. Krużganki ujmowały w ramy ogród. W środku wznosił się olbrzymi, nieco zniszczony przez wiatr i deszcz krzyż z figurą Chrystusa. Po bokach umieszczono kamienne płaskorzeźby stacji Męki Pańskiej. Przed każdą stacją stał klęcznik. Ogród był zapuszczony i kwitły w nim bujnie rozmaite kwiaty.

Gotfryd wskazał parę olbrzymich krzewów białych i czerwonych róż.

– Chciałem ci to pokazać! Poznajesz?

Przystanąłem zaskoczony.

– Oczywiście, że poznaję. A więc tu zbierałeś plony, ty rabusiu kościołów!

Przed tygodniem Pat wprowadziła się do pensjonatu pani Zalewskiej i Lenz przysłał jej wieczorem przez Juppa olbrzymi pęk róż. Było ich tyle, że Jupp musiał dwa razy schodzić na dół i za każdym razem zjawiał się z olbrzymim naręczem. Już wtedy zachodziłem w głowę, skąd Gotfryd je wziął, albowiem znałem jego niewzruszoną zasadę, że kwiatów nie należy nigdy kupować. W parkach miejskich takich róż nie widziałem.

– To świetny pomysł! – rzekłem tonem uznania. – Trzeba było tylko na to wpaść.

Gotfryd napuszył się.

– Powiadam ci, że ten ogród to istna kopalnia złota. – Tu położył mi uroczyście rękę na ramieniu. – Przyjmuję cię, Robercie

Lohkamp, na wspólnika. Pomyśl, że teraz właśnie bardzo ci się to przyda.

– Dlaczego właśnie teraz?

– Albowiem parki miejskie są w tej chwili ogołocone. A stanowiły one twoje jedyne źródło, co?

Przytaknąłem.

– Poza tym – klarował dalej Gotfryd – wchodzisz w okres, w którym daje się zauważyć różnica między mieszczuchem a człowiekiem rycerskim. Mieszczuch okazuje coraz mniej względów kobiecie, im dłużej ją zna. Człowiek rycerski okazuje ich coraz więcej. – Zrobił szeroki gest. – Dzięki temu będziesz mógł się stać człowiekiem wstrząsająco rycerskim.

Śmiałem się.

– Wszystko to bardzo ładnie, Gotfrydzie, ale co się robi, jeżeli człowieka przyłapią na gorącym uczynku? Zwiać stąd nie jest tak łatwo, a pobożne duszyczki skłonne są uznać tego rodzaju czyn za świętokradztwo.

– Drogi chłopcze, czy widzisz tu żywą duszę? Od czasu wojny ludzie chodzą na zebrania polityczne, a nie do kościołów.

– Święta racja. No, a księżulkowie?

– Księżom los kwiatów jest widocznie obojętny, inaczej pielęgnowaliby ogród. A Pan Bóg cieszy się, jeśli dzięki kwiatom możesz sprawić komuś radość.

– Masz rację! – Przyglądałem się olbrzymim, starym krzewom. – No, w ciągu najbliższych tygodni będę dostatecznie zaopatrzony.

– Dłużej. Powiadam ci, chłopie, masz szczęście. Jest to niezwykle trwała odmiana. Pociągniesz tym co najmniej do września. A w jesieni będziesz tu miał astry i chryzantemy. Chodź, pokażę ci je od razu.

Łaziliśmy po ogrodzie. Róże pachniały upajająco. Jak brzęcząca chmura przelatywały od kwiatu do kwiatu roje pszczół.

– Popatrz – rzekłem, przystając. – Skąd one się tu wzięły? W środku miasta? Przecież w pobliżu nie ma uli. A może przypuszczasz, że ojcowie ustawili sobie ule na dachach?

– Nie, bracie Robercie. Pszczółki przywędrowały tu sobie z jakiejś chłopskiej zagrody. Wiedzą, gdzie prowadzi ich droga –

tu mrugnął. – Bo my nie wiemy, co?

Wzruszyłem ramionami.

– Może i wiemy. W każdym razie znamy wycinek tej drogi. Tyle, ile można znać. Ty nie znasz, Gotfrydzie?

– Nie. I nie chcę go znać. Wszelkie cele grożą zmienieniem się w mieszczucha.

Spojrzałem na wierzchołek wieży katedralnej. Wznosiła się na tle błękitnego nieba zielona i lśniąca jak jedwab, nieskończenie wiekowa i spokojna, okolona lotami jaskółek.

– Jak tu cicho – powiedziałem.

Lenz przytaknął.

– Tak, mój stary, tutaj dopiero człowiek uprzytamnia sobie, że może brakowało mu po prostu czasu, ażeby wyrósł na dobrego człowieka, hę?

– Czasu i spokoju. Także spokoju.

Zaśmiał się.

– Za późno! Teraz człowiek nie potrafi już znieść spokoju. A więc, jazda! Wracajmy do zgiełku życia!

Podwiozłem Gotfryda i pojechałem na postój. Po drodze minąłem cmentarz. Wiedziałem, że Pat leży teraz na leżaku na balkonie i dałem parokrotnie sygnał klaksonem. Nie pokazała się, wobec tego odjechałem. Za to o parę kroków dalej ujrzałem panią Hasse, żeglującą w jakiejś osobliwej taftowej pelerynie. Zniknęła za rogiem. Ruszyłem za nią, chcąc zapytać, czy mogę ją gdzieś podwieźć. Ale gdy znalazłem się na skrzyżowaniu ulic, ujrzałem, że wsiada do wozu, który czekał na nią za rogiem. Była to trochę rozklekotana limuzyna, mercedes model 1923. Samochód ruszył z miejsca. Przy kierownicy siedział mężczyzna o kaczym nosie, w ubraniu w jaskrawą, zwracającą uwagę kratę.

Patrzyłem za nimi dość długo. Takie oto są skutki, jeżeli kobieta siedzi za wiele sama w domu. Zamyślony powlokłem się na postój i ustawiłem w rzędzie czekających taksówek.

Słońce paliło budę. Drzemałem coś niecoś, ale nadaremnie starałem się zasnąć. Nie mogłem ani rusz przepłoszyć spod powiek obrazu pani Hasse. Oczywiście było to zupełnie co innego, ale Pat tkwiła także cały dzień sama w domu.

Wylazłem zza kierownicy i podszedłem do wozu Gustawa.

– Masz, łyknij! – zachęcał, podsuwając mi termos. – Cudownie zimny napój! Własny wynalazek! Kawa z lodem. Całymi godzinami zachowuje zimno, nawet w taki upał. Tak, tak, Gustaw to praktyczny chłopiec.

Wziąłem kubeczek i wypiłem.

– Jeżeli jesteś taki praktyczny, to może mi powiesz, jak rozerwać trochę kobietę, która musi przesiadywać wiele w domu.

– To całkiem proste – rzekł Gustaw, patrząc na mnie z wyższością. – Gdzieś ty się rodził, bracie? To jasne: dziecko albo pies. Może masz jakieś trudniejsze pytania?

– Pies! – powiedziałem zaskoczony. – Do diabła, to niezły pomysł, pies! Masz rację. Człowiek nie czuje się nigdy samotny, kiedy ma przy sobie psa.

Poczęstowałem go papierosem.

– Słuchaj, a może przypadkiem wiesz o jakiejś okazji? Chyba szczeniaka będzie można tanio kupić?

Gustaw z wyrzutem pokiwał głową.

– Powiadam ci, Robercie, nawet nie wiesz, jaki skarb zyskałeś we mnie. Przecież mój przyszły teść jest zastępcą prezesa Związku Hodowli Dobermanów. Jasne, że za moją protekcją możesz dostać silnego szczeniaka, i to za darmochę, z takim rodowodem, że ci oko zbieleje. Mamy tam teraz taki pomiot: babka premiowana suka, Hertha von der Toggen-burg.

Doprawdy Gustaw urodził się w czepku. Ojciec jego narzeczonej był nie tylko hodowcą dobermanów, ale także restauratorem, właścicielem gospody „Nowa Pustelnia". Poza tym narzeczona jego posiadała pralnię i zakład plisowania. Dzięki temu Gustaw opływał w dostatki. Jadł i pił za darmo u przyszłego teścia, a oblubienica prała i prasowała koszule. Na razie zwlekał z ożenkiem. Wtedy bowiem on musiałby się o wszystko troszczyć.

Wyjaśniłem Gustawowi, że doberman nie byłby w tym wypadku odpowiedni, za duży, a przy tym zbyt nieobliczalny. Gustaw zastanawiał się chwilę.

– Chodź ze mną. Spróbujemy pohandlować. Ja znam się trochę na tej sztuce. Ty stój cicho i nie wtrącaj się.

– Dobra.

Zaprowadził mnie do małego sklepiku. Na wystawie stały akwaria pełne wodorostów. W skrzyni przycupnęło parę smętnych świnek morskich. Od sufitu zwisały klatki z nieustannie wiercącymi się czyżykami, gilami oraz kanarkami.

Krzywonogi człowieczek w brązowej, szydełkowej kamizelce wyszedł do nas. Wodniste oczy, blada cera, zamiast nosa świecąca się bulwa – nałogowy konsument wódy i piwa.

– Powiedz no, Antoni, co porabia Asta? – zagadnął go Gustaw.

– Dostała drugą nagrodę i oznaczenie honorowe w Kolonii.

– A to łajdactwo! Dlaczego nie pierwszą?

– Pierwszą dali Udonowi Blankenfels – mruknął. – Koń by się uśmiał. Z takimi tylnymi łapami!

W głębi sklepu coś szczekało i skomlało. Gustaw poszedł w tę stronę. Po chwili wyniósł za kark dwa małe teriery, w lewej czarno-białego, w prawej kasztanowatego. Niepostrzeżenie wysunął rękę z kasztanowatym. Spojrzałem na Gustawa: zgoda.

Był to prześliczny, wesoły psiak. Nogi proste, tułów kwadratowy, łebek czworokątny, mądra i zuchwała bestia. Gustaw puścił oba na podłogę.

– Zabawny bękart – rzekł, wskazując na kasztanowatego. – Skądeś go wytrzasnął?

Antoni dostał go rzekomo od pewnej pani, która wyjechała do Ameryki Południowej. Gustaw ryknął niesamowitym śmiechem. Obrażony Antoni pokazał mu rodowód, który sięgał aż do arki Noego. Gustaw machnął ręką i zainteresował się czarno-białym. Antoni zażądał setkę za kasztanowatego. Gustaw ofiarował mu pięćdziesiąt marek. Nie podobał mu się wyraźnie pradziadek psiaka. Krzywił się także na ogon. Również uszy nie były takie jak należy. Ten czarno-biały to dopiero klasa.

Stałem w kącie, przysłuchując się tej rozmowie. Nagle coś chwyciło mój kapelusz. Obróciłem się zdumiony. W kąciku na drążku siedziała skulona małpeczka. Miała żółtawe futerko i smutny pyszczek, czarne krągłe oczka i smutnie ściągnięte wargi starej kobiety. Wokoło jej brzuszka szedł skórzany pasek, do

którego przymocowano łańcuszek. Łapki miała małe, czarne i przeraźliwie ludzkie.

Stałem cicho, nie ruszając się. Małpka powoli przysuwała się na swoim drążku ku mnie. Nie spuszczała mnie przy tym z oczu, śledząc spojrzeniem bynajmniej nie nieufnym, ale osobliwie powściągliwym. Potem wysunęła ostrożnie łapkę. Podałem jej palec. Cofnęła się, ale za chwilę chwyciła go. Dziwnie było czuć dotyk tej chłodnej dziecięcej rączki, ściskającej kurczowo mój palec. Zdawało mi się, że człowiek, biedny niemowa zaklęty w to skulone ciało, pragnie ratować się z toni. Nie można było wytrzymać długo śmiertelnie smutnego spojrzenia tych oczu.

Gustaw wynurzył się, sapiąc, z lasu drzew genealogicznych.

– A więc, załatwione, Antoni, dostaniesz za to szczeniaka, dobermana od Herthy! To najlepszy interes, jaki zrobiłeś w swym życiu! – Potem zwrócił się do mnie. – Zabierzesz od razu psiaka?

– Ile kosztuje?

– Ani grosza. Zamieniłem go na dobermana, którego ofiarowałem ci już poprzednio. Tak, tak, trzeba tylko pozwolić działać Guciowi! Gucio ma głowę nie do pozłoty!

Umówiliśmy się, że wpadnę po szczeniaka później, kiedy skończę dyżur na taksówce.

– Czy wiesz, szczęściarzu, coś ty dostał? – spytał Gustaw, gdyśmy znaleźli się na ulicy. – Rarytas i tyle. To irlandzki terier, pierwsza klasa. Bez feleru. A do tego ma taki rodowód, że nie radzę ci do niego zaglądać, bo musiałbyś się za każdym razem kłaniać, zanim przemówisz do bydlaka.

– Zrobiłeś mi naprawdę wielką przysługę. Chodź, napijemy się najstarszego koniaku, jaki uda się nam zdobyć.

– Nie dzisiaj! Muszę mieć pewną rękę. Wieczorem idę do mojego związku na kręgle. Musisz mi obiecać, że pójdziesz tam kiedyś ze mną. Powiadam ci, wszystko ludzie na stanowiskach, mamy nawet jednego sekretarza z dyrekcji poczty.

– Przyjdę. Nawet jeżeli nie będzie pana sekretarza z dyrekcji poczty!

Tuż przed szóstą wróciłem do garażu. Köster czekał już na mnie.

– Jaffé dzwonił po południu. Masz do niego zatelefonować.

Na chwilę zabrakło mi tchu.

– Czy powiedział ci co?

– Nie, nic szczególnego. Tylko tyle, że do piątej przyjmuje u siebie pacjentów. Potem będzie w szpitalu. Musisz zatem tam go szukać.

– Dobra.

Poszedłem do biura. W pokoju było gorąco i duszno, ale mnie chodził mróz po kościach, a słuchawka telefoniczna drżała mi w ręku.

– Bzdura – mruknąłem i oparłem mocno łokieć na stole. Długo trwało, zanim odnalazłem Jaffégo.

– Czy ma pan wolną chwilę? – spytał.

– Tak.

– To proszę przyjść zaraz do mnie do szpitala. Będę tu jeszcze godzinę.

Miałem ochotę spytać go, czy coś się stało z Pat. Nie mogłem jednak wydusić z siebie tego pytania.

– Dobrze, będę u pana za dziesięć minut.

Położyłem słuchawkę i zadzwoniłem do domu. Do telefonu zgłosiła się Fryda. Spytałem o Pat.

– Ja tam nie wiem, czy pani jest – burknęła. – Zaraz zobaczę.

Czekałem. W głowie mi huczało, skronie paliły. Czekałem w nieskończoność. Potem usłyszałem kroki i głos Pat.

– To ty, Robby?

Przymknąłem na chwilę oczy.

– Co słychać, Pat?

– Wszystko w porządku. Aż do tej chwili siedziałam na balkonie z książką. Bardzo interesująca.

– Ach, tak, interesująca książka. To świetnie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że wrócę trochę później do domu. Czy skończyłaś już tę powieść?

– Nie, jestem dopiero w połowie. Starczy jeszcze na parę godzin.

– Do tego czasu wrócę na pewno. A teraz zabieraj się z powrotem do czytania.

Posiedziałem chwilę, po czym dźwignąłem się.

– Otto, czy mógłbym wziąć Karla?

– Oczywiście. Jeżeli chcesz, pojadę z tobą. Nie mam tu nic do roboty.

– Nie, nie trzeba. Nic takiego. Dzwoniłem już do domu.

„Cóż to za światło – myślałem, wystrzelając Karlem na ulicę. – Jakiż cudowny zmierzch nad dachami, jak pełne słodyczy jest życie!”

Musiałem czekać parę minut na Jaffégo. Pielęgniarka wprowadziła mnie do małego pokoiku, w którym poniewierały się stare czasopisma. Na parapecie okiennym stały doniczki z pnączami. Wiecznie te same ilustrowane pisma w brunatnych okładkach i wiecznie te same smutne rośliny. Oglądało się je tylko w poczekalniach lekarzy i w szpitalach.

Wszedł Jaffé. Miał na sobie śnieżnobiały kitel, na którym znać było jeszcze zaprasowane kanty. Ale gdy usiadł przy mnie, spostrzegłem na wewnętrznej stronie prawego rękawa maleńką, jasnoczerwoną plamkę krwi. Oglądałem w moim życiu sporo krwi – ale ta maleńka plamka podziałała na mnie bardziej przygnębiająco, aniżeli przesiąkłe krwią bandaże. Moje opanowanie znikło.

– Obiecałem panu powiedzieć prawdę o stanie zdrowia panny Hollmann.

Kiwnąłem głową i zapatrzyłem się w serwetę na stole. Była z pluszu w różnokolorowy wzór. Gapiłem się na zachodzące na siebie sześciokąty i doznawałem paskudnego uczucia, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko nie zacznę mrugać, zanim Jaffé znów się odezwie.

– Przed dwoma laty przebywała sześć miesięcy w sanatorium. Wie pan o tym?

– Nie – rzekłem i patrzyłem dalej na serwetę.

– Po tym pobycie stan chorej uległ polepszeniu. Zbadałem ją teraz dokładnie. Będzie musiała tej zimy pojechać raz jeszcze do

sanatorium. Nie może zostać w mieście.

Gapiłem się dalej na sześciokąty. Zaczęły stapiać się i wirować mi przed oczyma.

– Kiedy musi wyjechać?

– W jesieni. Najpóźniej z końcem października.

– A więc nie był to tylko przypadkowy krwotok?

– Nie.

Podniosłem oczy.

– Nie potrzebuję chyba mówić – ciągnął dalej Jaffé – że ta choroba jest zupełnie nieobliczalna. Przed rokiem zdawało się, że proces się zatrzyma, wystąpiło zwapnienie i należało przypuszczać, że ogniska się zasklepią. Równie nagle jak obecnie choroba wybuchła, może znowu ulec zahamowaniu. Nie mówię tego, żeby pana uspokoić – tak jest naprawdę. Widziałem na własne oczy cudowne ozdrowienia.

– Ale także pogorszenia?

Spojrzał mi w oczy.

– Oczywiście, także pogorszenia.

Zaczął mi objaśniać szczegóły choroby. Oba płuca były zaatakowane, prawe słabiej, lewe silniej. W pewnym miejscu przerwał i zadzwonił na siostrę.

– Proszę przynieść moją tekę.

Siostra wróciła z teką. Jaffé wydobył dwie fotografie wielkiego formatu. Zsunął szeleszczące koperty i podniósł zdjęcia pod światło.

– Tak zobaczy pan wyraźniej. Oto dwa zdjęcia rentgenologiczne.

Na przejrzystej, szarej płycie ujrzałem kręgi kości pacierzowej, łopatki, obojczyki, stawy ramion i płaskie łuki żeber. Ale ujrzałem coś więcej: ujrzałem szkielet. Wyłaniał się ciemny i widmowy z mglistych, przenikających się wzajemnie cieni zdjęcia. Widziałem szkielet Pat. Szkielet Pat.

Jaffé rysował pincetą poszczególne linie i zaciemnienia na kliszy i objaśniał mi je. Nie spostrzegł, że nie patrzę już na zdjęcie. Ogarnęła go pasja dokładności prawdziwego naukowca. W końcu zwrócił się do mnie:

– Zrozumiał pan?

– Tak.

– Co panu jest?

– Nic. Nie mogłem tylko tego tak dokładnie zobaczyć.

– Ach tak. – Poprawił okulary. Potem włożył z powrotem zdjęcia w koperty i przyjrzał mi się badawczo. – Niech pan się nie trapi niepotrzebnie.

– Nie trapię się. Ale to przeklęty pech! Miliony ludzi cieszy się zdrowiem! Dlaczego ta jedna musi być chora?!

Jaffé milczał chwilę.

– Na to nikt nie może dać panu odpowiedzi.

– Oczywiście – zawołałem ogarnięty straszliwym rozgoryczeniem, oszołomiony pasją – na to nie ma odpowiedzi! Pewnie, że nie! Na nędzę, chorobę, na śmierć nie ma odpowiedzi! Niech to diabli! I nic nie można pomóc!

Jaffé patrzył na mnie długą chwilę.

– Niech mi pan wybaczy ten wybuch – powiedziałem. – Ale ja nie umiem nic w siebie wmawiać. I to jest najgorsze.

Przypatrywał mi się dalej.

– Czy ma pan trochę czasu?

– Tak, czasu mam pod dostatkiem.

Wstał.

– Muszę teraz zrobić obchód wieczorny. Chciałbym zabrać pana ze sobą. Siostra da panu biały kitel. Pacjenci będą myśleli, że jest pan moim asystentem.

Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale naciągnąłem na siebie kitel podany mi przez siostrę.

Poszliśmy długimi korytarzami. Przez szerokie okna padał różowy pobrzask wieczoru. Było to miękkie, przytłumione, całkowicie nierealne, płynne światło. Kilka okien stało otworem. Zapach kwitnących lip płynął na korytarz.

Jaffé otworzył jedne drzwi. Gęsty, stęchły odór uderzył nam w nozdrza. Kobieta z cudownymi włosami barwy starego złota, na których światło grało jasnymi refleksami, podniosła zmęczonym ruchem rękę. Miała szlachetne czoło, wąskie w skroniach. Ale pod oczyma zaczynał się opatrunek. Sięgał aż po usta. Jaffé uniósł go

ostrożnie. Ujrzałem, że kobieta nie ma nosa. W tym miejscu znajdowała się chropowata, zropiała czerwona rana o dwóch dziurkach. Jaffé przykrył ją z powrotem opatrunkiem.

– Dobrze – rzekł przyjaznym tonem i zwrócił się ku wyjściu. Zamknął za sobą drzwi.

Przystanąłem na chwilę na korytarzu i zapatrzyłem się w miękkie światło wieczoru.

– Proszę za mną! – rzekł Jaffé i wszedł do następnego pokoju.

Do uszu naszych dobiegł zdyszany, chrapliwy oddech chorego męczonego wysoką gorączką. Był to mężczyzna o twarzy ołowianoszarej, na której występowały osobliwie jaskrawe, czerwone plamy. Usta miał otwarte, oczy wysadzone na wierzch, ręce poruszały się niespokojnie na kołdrze. Chory był nieprzytomny. Wykres gorączki wskazywał, że temperatura utrzymuje się stale powyżej czterdziestu stopni. Przy łóżku siedziała zaczytana siostra. Gdy Jaffé wszedł, odłożyła książkę na bok i wstała. Profesor spojrzał na wykres i pokręcił głową.

– Obustronne zapalenie płuc i opłucnej. Chory walczy od tygodnia z chorobą jak tur. Recydywa. Był już prawie zdrowy. Za wcześnie zaczął pracować. Ma żonę i czworo dzieci. Stan beznadziejny. – Osłuchał piersi i zbadał puls. Siostra pomagała mu. Przy tych zabiegach książka spadła na podłogę. Podniosłem ją i spostrzegłem, że była to książka kucharska. Chory drapał nieprzerwanie kołdrę pajęczymi rękoma. Był to jedyny dźwięk słyszalny w pokoju. – Proszę zostać na noc, siostro – rzekł Jaffé.

Wyszliśmy z separatki. Różowy zmierzch za oknami nabrał barw. Wypełnił teraz korytarz jak chmura.

– Przeklęte światło – mruknąłem.

– Dlaczego?

– Te rzeczy się nie zgadzają. To i tamto.

– Owszem, zgadzają się.

W następnej separatce leżała rzężąca kobieta. Przywieziono ją po południu: ciężkie zatrucie weronalem. Poprzedniego dnia mąż jej uległ wypadkowi. Złamał kręgosłup – odwieziono go do domu i pozostawiono żonie przytomnego, krzyczącego z bólu. W nocy umarł.

– Czy wyjdzie z tego? – spytałem.

– Przypuszczalnie.

– Po co?

– W ostatnich latach miałem pięć podobnych przypadków. Tylko jedna kobiety próbowała po raz drugi odebrać sobie życie. Za pomocą gazu. Umarła. Z pozostałych czterech dwie wyszły powtórnie za mąż.

W następnym pokoju leżał mężczyzna sparaliżowany od dwunastu lat. Miał woskową cerę, rzadką czarną bródkę i ogromne, ciche oczy.

– No, jak pan się czuje? – spytał Jaffé.

Chory zrobił nieokreślony ruch. Potem wskazał na okno.

– Proszę spojrzeć na niebo! Będzie na pewno deszcz, czuję to w kościach. – Uśmiechnął się. – Człowiek śpi lepiej, kiedy pada. – Na kołdrze przed nim leżała skórzana szachownica z figurami do wpinania. Obok stos gazet i parę książek.

Poszliśmy dalej. Zobaczyłem młodą kobietę o przerażonych oczach i zsiniałych wargach – dosłownie rozdartą na skutek ciężkiego porodu; kalekie dziecko z wykrzywionymi, słabymi nóżkami i wodogłowiem; mężczyznę z wyciętym żołądkiem; podobną do sowy staruszkę, która żaliła się, że krewni się o nią nie troszczą – za długo umierała; zobaczyłem niewidomą, która wierzyła, że odzyska wzrok; syfilityczne dziecko z czerwoną wysypką – przy łóżku siedział ojciec. Zobaczyłem kobietę, której rano odjęto drugą pierś, kobietę wykrzywioną wskutek reumatyzmu stawowego, kobietę, której usunięto jajnik, i robotnika ze zgniecionymi nerkami – i tak szedł pokój za pokojem, i w każdym witało nas to samo: jęczące, skurczone z bólu ciała, nieruchome, dogasające już powłoki ludzkie, kłąb męki, w nieskończoność ciągnąca się nędza, trwoga, poddanie, ból, rozpacz, nadzieja, nieszczęście. I za każdym razem, gdy zamknęły się za nami drzwi, na korytarzu kładło się różowe światło nieziemskiego wieczoru, po grozie cel szpitalnych ukazywała się ta delikatna chmura z miękkiego, szarozłotego poblasku, o której nie sposób było powiedzieć, czy działa na człowieka jak straszliwe szyderstwo, czy też jak nadludzka pociecha. U wejścia do sali operacyjnej Jaffé przystanął. Ostre światło

przedostawało się przez matową szybę drzwi. Dwie pielęgniarki wsuwały właśnie niski wózek. Spoczywała na nim kobieta. Spojrzałem na nią. Nie zauważyła mnie. Patrzyła gdzieś w przestrzeń, w nieokreśloną dal. Drgnąłem pod spojrzeniem tych oczu – tyle w nich było męstwa i spokoju.

Na twarzy Jaffégo odbiło się nagle zmęczenie.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, ale nie miałoby sensu uspokajać pana za pomocą słów. Nie uwierzyłby mi pan. Zobaczył pan teraz na własne oczy, że wielu ludzi jest poważniej chorych niż Pat Hollmann. Niektórym nie pozostało już nic poza nadzieją. Ale większość z tego wychodzi. Są znowu zdrowymi ludźmi. To właśnie chciałem panu pokazać.

Przytaknąłem.

– Pańska lekcja była słuszna.

– Przed dziewięciu laty umarła moja żona. Miała dwadzieścia pięć lat. Nigdy nie chorowała. Grypa. – Milczał przez chwilę. – Rozumie pan, dlaczego to panu mówię?

Skinąłem głową.

– Nie można nic przewidzieć. Śmiertelnie chory może przeżyć zdrowego. Życie jest osobliwą sprawą. – Na twarzy jego pojawiła się teraz gęsta sieć zmarszczek. Podeszła do niego siostra i szepnęła mu coś na ucho. Wyprostował się i wskazał na drzwi sali operacyjnej. – Muszę tam iść. Proszę nie okazywać Pat swojego niepokoju. To jest najważniejsze w tej chorobie. Czy potrafi pan to?

– Tak.

Podał mi rękę i wszedł szybko z siostrą przez szklane drzwi do biało oświetlonej sali.

Powoli schodziłem z nie kończących się schodów. Im niżej schodziłem, tym bardziej nasilał się mrok, a na pierwszym piętrze paliło się już światło. Gdy znalazłem się na ulicy, dostrzegłem, jak od strony horyzontu podnosi się raz jeszcze różowo zabarwiony zmierzch – jakby w ostatnim głębokim wydechu nieba. Zaraz potem zgasł. Poszarzało.

Siedziałem przez chwilę w samochodzie, zapatrzony przed siebie. Potem wziąłem się w garść i pojechałem z powrotem do warsztatu. Köster czekał na mnie u wrót. Zajechałem wozem na podwórze i wysiadłem.

– Wiedziałeś o tym? – spytałem.

– Tak. Ale Jaffé chciał ci to powiedzieć osobiście.

Kiwnąłem głową.

Köster patrzał na mnie.

– Otto, nie jestem dzieckiem i wiem, że nie wszystko jeszcze stracone. Ale byłoby mi może trudno nie zdradzić się czymś dzisiaj wieczorem, gdybym został sam na sam z Pat. Jutro już jakoś pójdzie. Potrafię to zmóc. Może pójdziemy gdzieś dzisiaj wieczorem całą paczką?

– Oczywiście, Robby. Pomyślałem już o tym i szepnąłem słówko Gotfrydowi.

– Pożycz mi więc jeszcze raz Karla. Pojadę do domu i przywiozę Pat, a za godzinę zajadę po was.

– Dobra.

Ruszyłem. Na Nikolaistrasse przypomniałem sobie, że zapomniałem o psiaku. Zawróciłem i pojechałem po niego.

W sklepie nie paliło się światło, ale drzwi były otwarte. Antoni siedział w głębi na łóżku polowym. W ręku trzymał butelkę.

– Gustaw mnie nabrał – mruknął. Jechało przy tym od niego spirytusem jak z gorzelni.

Terier podskoczył ku mnie, obwąchał mnie i polizał rękę. Oczy mu błyszczały zielono w skośnym świetle, sączącym się z ulicy. Antoni dźwignął się z łóżka. Chwiał się na nogach i nagle zaczął beczeć.

– Psino kochana… teraz i ty idziesz… wszystko mnie opuszcza… Thilda umarła… Minna uciekła… niech mi pan powie, po co właściwie się żyje?

Tego mi tylko brakowało do szczęścia.

Mała, beznadziejna żarówka, którą zapalił teraz, cichy szupot żółwi i ptaków i ten człowieczek z obrzękłą twarzą.

– Ci wielcy… grubasy… oni wiedzą, po co żyją… ale niech mi pan powie, dziedzicu, po co my żyjemy? Po co żyjemy my, takie

pokręcone jamniki? – Małpka krzyknęła coś rozpaczliwie i zaczęła skakać po swym drążku jak opętana. Jej wyolbrzymiony cień rzucał się po ścianie.

– Koko – załkał człowieczek, który siedział tu samotnie w mroku i pił – chodź do mnie, jedyna podporo.

Wyciągnął do niej flaszkę. Małpka złapała za szyjkę.

– Struje pan zwierzę alkoholem!

– Choćby nawet… wielkie rzeczy – bełkotał. – Kilka lat dłużej czy krócej na łańcuchu… wszystko jedno… wszystko jedno, dziedzicu…

Wziąłem psa, który tulił się do mnie drobny i ciepły, i wyszedłem. Zwinnie, miękkimi, długimi skokami pobiegł za mną do wozu.

Wysiadłem przed domem i wdrapałem się ostrożnie na schody, trzymając psa na smyczy. Na korytarzu przystanąłem i spojrzałem w lustro. Twarz nic nie zdradzała. Zapukałem do drzwi Pat, uchyliłem je i wpuściłem pieska.

Sam zostałem za drzwiami, przytrzymując smycz. Czekałem. Ale zamiast głosu Pat posłyszałem nieoczekiwanie bas pani Zalewskiej.

– Mocny Boże.

Zajrzałem z ulgą do pokoju. Bałem się pierwszych chwil powitania z Pat bez świadków. Teraz wszystko pójdzie łatwiej: pani Zalewska jest falochronem, na którym można polegać. Królowała majestatycznie za stołem, obok stała filiżanka kawy. Przed nią rozłożona była mistycznie uszeregowana talia kart. Pat siedziała obok z błyszczącymi oczyma i słuchała wróżb.

– Dobry wieczór – rzekłem, nagle rozradowany tym widokiem.

– Oto przychodzi – rzekła z godnością pani Zalewska. – Z drogi, wieczorową porą, obok niego brunet dla domu…

Piesek wyrwał się i ujadając, wyskoczył między moimi nogami na środek pokoju.

– O Boże! – zawołała Pat. – Ależ to irlandzki terier!

– Skłaniam głowę przed twoją wiedzą. Przed paru godzinami nie miałem pojęcia, jaka to rasa.

Pochyliła się ku szczeniakowi skaczącemu koło niej.

– Jak on się nazywa, Robby?

– Nie mam pojęcia. Sądząc według jego ostatniego właściciela, powinien się wabić koniak albo whisky.

– Czy… czy on należy do nas?

– Jeśli żywe stworzenie w ogóle może do kogoś należeć, to tak.

Pat aż zaparło dech z radości.

– Wiesz, nazwiemy go Billy! Moja matka miała jeszcze jako panna takiego psiaczka. Często opowiadała mi o nim. Wabił się także Billy!

– Widzę, że doskonale utrafiłem.

– Czy piesek nie brudzi? – spytała pani Zalewska.

– Ma drzewo genealogiczne jak książę. A książęta umieją się zachowywać w pokoju.

– Gdy są smarkaci, to nie. Ile ma ten szczeniak?

– Osiem miesięcy. To tyle, co u człowieka szesnaście lat.

– Prawdę mówiąc, nie wygląda na takiego, co by nie paskudził – orzekła pani Zalewska.

– Trzeba go tylko wykąpać, to wszystko.

Pat wstała z kanapy i objęła panią Zalewska za szyję. Spojrzałem na nią zdumiony.

– Ja zawsze marzyłam, żeby mieć psa. Możemy go zatrzymać, prawda, proszę pani? Przecież pani nie ma nic przeciw temu?

Po raz pierwszy, od kiedy ją znałem, mama Zalewska wyglądała na zakłopotaną.

– No więc… jeżeli o mnie chodzi… Poza tym karty powiedziały, że będzie niespodzianka w domu przez mężczyznę…

– Czy karty powiedziały także, że wieczorem pójdziemy szaleć? – spytałem.

Pat zaśmiała się.

– Nie doszłyśmy jeszcze do tego, Robby. Zatrzymałyśmy się na twojej osobie.

Pani Zalewska wstała i zebrała karty.

– Można wierzyć, można nie wierzyć i można wierzyć na opak, jak nieboszczyk mój mąż. Wychodziła mu stale dziewiątka pik, zwiastun nieszczęścia, w połączeniu z płynnym żywiołem. Nie-

boszczyk sądził zatem, że powinien wystrzegać się wody. Tymczasem chodziło o wódkę i piwo pilźnieńskie.

– Pat – powiedziałem, biorąc ją w ramiona, gdy gospodyni znikła za drzwiami – to naprawdę cudowne wracać do domu i zastawać tu ciebie. Wiesz, to dla mnie zawsze jeszcze niespodzianka. Kiedy wchodzę na ostatnie półpiętro schodów i otwieram drzwi, czuję zawsze bicie serca: boję się, że mogłoby to być złudzeniem.

Spojrzała na mnie z uśmiechem. Nie odpowiadała niemal nigdy na tego rodzaju wyznania. Nie umiem też sobie wyobrazić, że mogłaby mi odpowiedzieć czymś podobnym, i kto wie, jak bym to strawił. Uważałem, że kobieta nie powinna mówić mężczyźnie, że go kocha. Tylko oczy Pat napełniały się wtedy blaskiem i szczęściem i przez to mówiły więcej, niż gdyby zasypała mnie najczulszymi słowami.

Trzymałem ją tak długo przy sobie, czułem ciepło jej ciała i lekki zapach jej włosów – była przy mnie blisko i nie istniało nic poza nią, ciemność przepadła, Pat była, oddychała, żyła, nic nie było jeszcze stracone.

– Czy rzeczywiście idziemy szaleć? – spytała z twarzą tuż przy mojej twarzy.

– I to całą paczką: Köster i Lenz. Karl waruje już przy bramie.

– A Billy?

– Billy'ego zabieramy oczywiście ze sobą. Cóż zrobilibyśmy z resztkami ze stołu? A może jadłaś już kolację?

– Nie, jeszcze nie. Czekałam na ciebie.

– Nie powinnaś czekać na mnie. Nigdy. To straszne czekać na coś.

Potrząsnęła głową.

– Ty tego nie rozumiesz, Robby. Strasznie jest tylko nie mieć nic, na co by się czekało. – Zapaliła lampę przy toaletce. – No, ale teraz muszę zacząć się ubierać, inaczej nie zdążę. Czy przebierzesz się także?

– Za chwileczkę, będę raz dwa gotów. Pozwól mi trochę zostać przy tobie.

Zawołałem psa i usadowiłem się z nim razem w fotelu przy oknie. Lubiłem siedzieć cicho i przyglądać się, jak Pat się ubiera.

Nigdy nie odczuwałem silniej tajemnicy wiecznej obcości kobiety, jak właśnie przy tym cichym odsuwaniu się i podchodzeniu do lustra, przy tym uważnym badaniu, zupełnym zatopieniu się w sobie, cofaniu się do nieświadomej mądrości swej płci. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby prawdziwa kobieta ubierała się, trajkocząc i chichocząc. Jeżeli to czyni, nie ma w niej tajemnicy i nie dającego się określić czaru ustawicznego wymykania się. Lubiłem w Pat jej miękkie, a jednak sprężyste poruszanie się przed lustrem. Cudownie było przyglądać się, jak czesze włosy albo pociąga ołówkiem brwi ostrożnie i uważnie, jak strzałą przyłożoną do skroni. Miała w sobie wtedy coś z sarny i coś ze smukłej pantery, a także coś z amazonki przygotowującej się do walki. Zapominała zupełnie o otoczeniu, twarz jej zdradzała powagę i skupienie, obserwowała pilnie i spokojnie swoje odbicie w lustrze, a gdy pochylała się ku niemu całkiem blisko, zdawało się, że nie jest to w ogóle odbicie w zwierciadle, lecz oto spoglądają sobie w oczy śmiało i pytająco, poprzez mrok rzeczywistości i tysiącleci, dwie kobiety z prastarą mądrością utajoną w źrenicach.

Świeży powiew wieczoru wpadał od cmentarza przez otwarte okno do pokoju. Siedziałem cicho w fotelu, nie zapomniałem niczego z popołudniowej lekcji, pamiętałem wszystko dokładnie – ale gdy podnosiłem oczy na Pat, czułem, że tępy smutek, który zapadł się we mnie jak kamień, zalewa raz po raz fala szalonej nadziei, że zmywa ten głaz, że wszystko miesza się i jedno zmienia się w drugie: smutek i nadzieja, wiatr, wieczór i piękna dziewczyna, stojąca między oświetlonymi lustrami i świecznikami. Tak, przez chwilę doznawałem osobliwego uczucia, że dopiero to jest w jakimś niezwykle głębokim sensie życiem, może nawet i szczęściem: miłość obarczona smutkiem, lękiem i milczącą wiedzą.

XIX

Sterczałem na postoju taksówek i wyglądałem gości. Gustaw nadjechał swoim klekotem i ustawił się za mną w kolejce.

– Co porabia szczeniak? – spytał.

– Świetnie mu się powodzi.

– A tobie?

Machnąłem obojętnie ręką.

– Mnie by się także nieźle powodziło, gdybym więcej zarabiał. Wyobraź sobie, dziś miałem dwa pięćdziesięciofenigowe kursy.

Gustaw przytaknął.

– Coraz parszywsze czasy. I tak ze wszystkim. Czego my się jeszcze doczekamy, bracie?!

– A tu jak na złość potrzeba mi gwałtownie forsy! Właśnie teraz! Kupę forsy!

Gustaw podrapał się w brodę.

– Kupę forsy… – Po czym spojrzał na mnie. – Jeżeli mam być szczery, to uczciwą pracą nie można wiele zwojować. Tylko przez różne spekulacje. Może by tak spróbować totka? Dzisiaj właśnie są wyścigi. Znam pierwszorzędny punkt przyjmowania zakładów. Niedawno wygrałem dwudziestoośmiokrotną stawkę na Aidę.

– Wszystko mi jedno, na czym zarobię. Grunt, żeby była jakaś szansa.

– Stawiałeś już kiedy na wyścigach?

– Nie.

– Niewinna ręka przynosi szczęście! Można zrobić kokosy. – Spojrzał na zegarek. – Może skoczymy od razu? Zdążymy jeszcze na czas.

– Dobra!

Od czasu transakcji ze szczeniakiem miałem ogromne zaufanie do Gustawa.

Kantor przedstawiał się wcale imponująco. Spory lokal, na prawo część odgrodzona na sklep tytoniowy, na lewo kasa totalizatora. Okno wystawowe kwitło zielono i różowo pismami sportowymi, obok nich wisiały wypisane na maszynie wyniki wyścigów. Przy ścianie biegł pulpit z przyborami do pisania. Szalało przy nim trzech mężczyzn. Jeden darł się w telefon, drugi kręcił się z papierkami w łapie, trzeci sterczał z melonikiem zsuniętym głęboko na tył głowy, obracając w zębach grube, czarne, pogryzione cygaro brazylijskie; był bez marynarki, rękawy koszuli zakasał po łokcie i wsparłszy się na jednym z pulpitów, notował stawki. Miał na sobie koszulę jaskrawofioletowej barwy.

Ku mojemu zdumieniu w kantorze panował ożywiony ruch. Przewijali się tu przeważnie ludzie skromniejszego pokroju: rzemieślnicy, robotnicy, drobni urzędnicy, parę dziwek i alfonsów. Tuż przy drzwiach zatrzymał nas mężczyzna w brudnych, szarych kamaszach, szarym meloniku i zniszczonej szarej jaskółce.

– Von Bieling, do usług. Polecić panom faworytów? Pewniaki tylko u mnie!

– Na Księżycu! – mruknął Gustaw, którego twarz po przekroczeniu progu lokalu zmieniła się nie do poznania.

– Kosztuje tylko pięćdziesiąt fenigów – nastawał Bieling. – Znam osobiście trenera. Oczywiście z dawnych dobrych czasów – dodał po chwili pod moim adresem.

Gustaw studiował już program wyścigów.

– Kiedy będą wyniki z Auteuil? – zawołał w stronę lady.

– O piątej – beknął pomocnik szefa.

– Filomena, dobre ścierwo – mruczał Gustaw. – Pierwszorzędny galop. – Pocił się już z podniecenia. – Jaki jest następny bieg?

– Na torze Hoppegarten – odpowiedział mu ktoś.

Gustaw w dalszym ciągu studiował programy.

– Na początek postawimy obaj po dwa kawałki na Tristana – oświadczył.

– Masz o tym jakieś pojęcie? – spytałem.

– Pojęcie? – parsknął. – Znam każde jedno końskie kopyto.

– I stawiasz pan na Tristana? – odezwał się ktoś obok nas. – Pracowita Liza, człowieku, tylko ona ma szansę! Znam osobiście Johnny'ego Burnsa.

– A ja – odpalił Gustaw – jestem właścicielem tej stajni i wiem, co myśleć o Pracowitej Lizie!

Podał nasze stawki człowiekowi za pulpitem. Dostaliśmy bilety i usiedliśmy w frontowej części lokalu, gdzie stało kilka stolików i krzeseł. Nad naszymi głowami wykrzykiwano nazwy koni. Paru robotników dyskutowało na temat wyścigów w Nicei, dwaj pocztowcy studiowali komunikat o pogodzie w Paryżu, a jakiś woźnica chełpił się wspomnieniami z czasów, kiedy powoził wyścigowymi kłusakami. Tylko grubas uczesany na jeża siedział przy stoliku i obojętnie pochłaniał jedną bułkę po drugiej. Dwaj mężczyźni podpierający ścianę przyglądali mu się pożądliwie. Każdy z nich trzymał w ręku bilet, ale twarze mieli tak zapadłe, jakby od wielu dni nic nie mieli w ustach.

Zadźwięczał ostry dzwonek telefonu. Wszyscy nastawili uszu. Urzędnik głośno wywołał nazwy koni. O Tristanie ani słychu.

– Cholera! – zaklął Gustaw i twarz mu nabiegła krwią. – Salomon przyszedł pierwszy. Kto by się tego spodziewał? Może pan? – spytał gniewnie zwolennika Pracowitej Lizy.

Przed nami wyrósł nagle von Bieling.

– Gdyby panowie chcieli skorzystać z mojej rady, typowałbym Salomona. Tylko Salomona! Czy życzą sobie panowie do następnego biegu…

Gustaw w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Uspokoił się już i zatopił w fachowej dyskusji ze zwolennikiem Pracowitej Lizy.

– Czy zna się pan na koniach? – zagadnął mnie Bieling.

– Ani w ząb.

– Niech pan stawia! Niech pan stawia! Ale tylko dzisiaj – dodał szeptem – i już nigdy więcej. Niech pan posłucha mojej rady. Niech pan postawi… wszystko jedno na co… na Króla Leara, Srebrną Ćmę, a może nawet na L'heure Bleue. Ja nie chcę nic zarobić. Proszę mi dać tylko parę groszy, jeśli pan wygra. – Pod-

bródek dygotał mu z namiętności starego gracza. Znałem tę zasadę z pokera: początkujący często wygrywają.

– Zgoda – rzekłem. – A więc na co?

– Jak pan uważa… jak pan chce.

– L'heure Bleue brzmi niebrzydko. A więc dziesięć marek na L'heure Bleue.

– Czyś zwariował? – spytał Gustaw.

– Nie.

– Dziesięć kawałków na tego rupiecia, którego już dawno powinni byli puścić na kiełbasy?

Wielbiciel Pracowitej Lizy, który dopiero przed chwilą zwymyślał Gustawa od hyclów, teraz poparł go pełnym głosem.

– Coś podobnego! Facet stawia na Lerble! Przecież to krowa nie koń! Majowe Marzenie prześcignie ją na dwóch nogach! Trzyma pan?

Bieling zaklinał mnie spojrzeniem i pokazywał coś na migi.

– Trzymam – powiedziałem.

– A niech cię szlag trafi!

– Robert! – Gustaw patrzył na mnie również takim wzrokiem, jak gdybym się nagle zamienił w Hotentota. – Tylko Gipsy II, to wie każde dziecko!

– Pozostanę przy mojej L'heure Bleue – oświadczyłem.

Jakakolwiek zmiana sprzeciwiałaby się tajemnym prawom szczęścia w grze.

Człowiek z zakasanymi rękawami podał mi bilet. Gustaw i Pracowita Liza spoglądali na mnie z takimi minami, jakbym nagle dostał czarnej ospy. Demonstracyjnie odsunęli się ode mnie i przepchnęli do pulpitu, gdzie uśmiechając się drwiąco, ale nie bez wzajemnego respektu należnego fachowcom, typowali jeden na Gipsy II, drugi na Majowe Marzenie.

W tej chwili ktoś się przewrócił. Był to jeden z wychudzonych mężczyzn, którzy stali w pobliżu stolików. Osunął się po ścianie, o którą był oparty, i ciężko upadł na podłogę. Dwaj pocztowcy podnieśli go i posadzili na krześle. Miał szarobiałą twarz i otwarte usta.

– O Boże – powiedziała jedna z dziwek, kobieta o ciemnych, gładkich włosach i niskim czole. – Przynieś no który kubek wody.

Ze zdziwieniem obserwowałem, jak niewielu z obecnych zajęło się zemdlonym. Większość spojrzała na niego przelotnie i powróciła do zakładów.

– To się teraz często zdarza – powiedział Gustaw. – Bezrobotni. Stawiają ostatnie grosze. Zawsze czatują na wielką wygraną, tysiąc do dziesięciu.

Woźnica wyszedł z części lokalu odgrodzonej na sprzedaż papierosów, niosąc szklankę wody. Czarna zanurzyła w niej chusteczkę i zwilżyła czoło i skronie zemdlonego. Westchnął i otworzył oczy. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie, kiedy nagle oczy ożyły w zgaszonej twarzy mężczyzny, tak jakby inna, obca istota wyjrzała z chłodną ciekawością przez otwory w tej sztywnej, szarobiałej masce.

Dziewczyna przytknęła do ust mężczyzny szklankę z wodą. Otoczyła go przy tym ramieniem jak matka dziecko. Potem bez ceremonii zabrała obojętnemu grubasowi z włosami na jeża jedną z leżących przed nim bułek.

– Masz, opchnij to – ale powoli, powoli, nie odgryź mi palca… Tak, a teraz popij jeszcze.

Siedzący przy stole mężczyzna zerknął ku swojej bułce, ale nic nie powiedział. Tamten zaczął powoli odzyskiwać normalną barwę twarzy. Jadł jeszcze chwilę, potem chwiejąc się, wstał. Dziewczyna, podtrzymując go, pomogła mu dojść do drzwi. Potem rzuciła szybkie spojrzenie w głąb lokalu i otworzyła torebkę.

– Masz, a teraz zmiataj stąd i żryj zamiast grać na wyścigach!

Jeden z sutenerów, który cały czas stał tyłem do niej, teraz odwrócił się szybko. Miał twarz drapieżnego ptaka i odstające uszy. Rzucały się w oczy jego lakierki i cyklistówka.

– Coś ty mu dała? – spytał.

– Dziesięć fenigów.

Pchnął ją łokciem w piersi.

– Pewno więcej! Na przyszły raz masz się mnie spytać!

– Nie przesadzaj, Edek! – wtrącił się ktoś.

Dziwka wyjęła puderniczkę i zaczęła malować sobie usta.

– Przecież mam rację – mruknął Edek.

Dziwka nie odpowiadała.

Zadzwonił telefon. Nie zwróciłem na to uwagi, obserwując Edka.

– Doprawdy, to się nazywa szczęście! – usłyszałem grzmiący głos Gustawa. – Ludzie, to już nie zwykłe, ale drańskie szczęście! – Mocno klepnął mnie po ramieniu. – Wpadło ci sto osiemdziesiąt maronów, szczęściarzu! Twoja kobyła z tą śmieszną nazwą wygrała!

– Co, naprawdę? – spytałem.

Mężczyzna z pogryzionym cygarem brazylijskim i w bajecznie kolorowej koszuli przytaknął z kwaśną miną i wziął ode mnie bilet.

– Kto panu dał ten typ?

– Ja – pośpieszył Bieling z uśmieszkiem, w którym pokora mieszała się z oczekiwaniem, i wcisnął się w ukłonach między nas. – Ja, jeżeli pan pozwoli… moje stosunki na torze.

– Dobra, dobra. – Szef nawet na niego nie spojrzał i wypłacił mi wygraną.

Na chwilę zapadła cisza w całym lokalu. Wszyscy patrzyli na mnie. Nawet nienasycony grubas podniósł głowę.

Włożyłem banknoty do kieszeni.

– Przestać grać! – szeptał Bieling. – Przestać! – Miał wypieki na twarzy. Wetknąłem mu dziesięć marek w łapę.

Gustaw, śmiejąc się, szturchnął mnie w bok.

– Widzisz, a co ci mówiłem? Słuchaj tylko Gustawa, a będziesz zgarniał pieniądze łopatą!

Nie chciałem przypominać byłemu sierżantowi sanitarnemu o Gipsy II. Zresztą sam o niej pamiętał.

– Trzeba się wynosić – oświadczył. – Zdaje się, że dziś nie jest właściwy dzień dla artystów.

Przy drzwiach ktoś mnie złapał za rękaw. Pracowita Liza.

– Co pan by typował w biegu imienia Masłowskiego? – spytał chciwie i z respektem.

– Tylko Choinkę – odrzekłem bez namysłu i ruszyłem za Gustawem do najbliższego szynku, by wypić kieliszek za zdrowie

L'heure Bleue.

Po godzinie przegrałem już trzydzieści marek. Trudno mi było przerwać grę. W końcu jednak zdobyłem się na to. Kiedy wychodziłem, Bieling wetknął mi w rękę jakąś karteczkę.

– Jeśliby pan czegoś takiego potrzebował… Albo może ktoś ze znajomych… Mam przedstawicielstwo. – Kartka był reklamą domowych kinematografów. – Pośredniczę także w sprzedaży używanej garderoby – wołał za mną. – Płacę gotówką.

O siódmej pojechałem do warsztatu. Karl stał na podwórzu z zapuszczonym silnikiem.

– Dobrze, żeś przyszedł, Robby – zawołał Köster. – Właśnie chcemy go wypróbować. Wsiadaj.

Cały personel naszej firmy był w gotowości. Otto zmienił i ulepszył coś w silniku Karla, ponieważ chciał na nim startować za dwa tygodnie w rajdzie górskim. Właśnie miała się odbyć pierwsza próbna jazda.

Wpakowaliśmy się do wozu. Jupp, w olbrzymich okularach ochronnych, siadł obok Köstera. Gdybyśmy go nie zabrali, pękłoby mu serce z bólu. Lenz i ja usadowiliśmy się z tyłu.

Karl wystrzelił z miejsca. Wpadliśmy w długą ulicę wylotową, szybkość wzrosła do stu czterdziestu kilometrów. Obaj z Lenzem skuliliśmy się za oparciem przedniego siedzenia; zdawało się, że wiatr nam głowy pourywa. Topole po obu stronach drogi umykały w tył, opony gwizdały, a wspaniałe granie silnika przenikało nas na wskroś, jak krzyk wolności. Po kwadransie zobaczyliśmy przed sobą czarny punkt rosnący w oczach. Był to dość ciężki wóz, jadący z szybkością mniej więcej osiemdziesięciu do stu kilometrów na godzinę. Nie trzymał się dobrze szosy, rzucało nim to w tę, to w tamtą stronę. Na tym odcinku droga była dość wąska. Köster zmniejszył szybkość. Kiedyśmy zeszli do stu na godzinę i zamierzali dać sygnał, dostrzegliśmy nadjeżdżającego boczną drogą z prawej strony motocyklistę, który w chwilę później zniknął za żywopłotem przed skrzyżowaniem.

– Cholera, może być kraksa! – zawołał Lenz.

W tym samym momencie motocyklista wynurzył się na szosie dwadzieścia metrów przed wozem. Zapewne błędnie ocenił jego szybkość i próbował minąć go łukiem z przodu. Wóz skręcił gwałtownie w lewo, żeby wyminąć motocykl, ale ten zarzucił również w lewo. Samochód skręcił teraz w prawo i zaczepił błotnikiem o motocykl, wywracając go. Motocyklista wyleciał górą na szosę. Wóz zarzucił, przewrócił drogowskaz, zgiął latarnię i z łomotem wpadł na drzewo.

Wszystko to stało się w ciągu paru sekund. W chwilę później, wciąż jeszcze szybko jadąc, znaleźliśmy się na miejscu wypadku; opony zapiszczały, Köster puścił Karla jak konia między motocyklistę, jego motor i stojący w poprzek drogi, dygocący samochód, omal nie zaczepił z lewej strony o rękę leżącego, z prawej o wóz; silnik ryknął, Otto zmusił Karla do powrotu na prosty tor, hamulce zaskrzypiały i zapadła cisza.

– Wspaniale, Otto – powiedział Lenz.

Pobiegliśmy do tyłu i otworzyliśmy drzwi wozu. Silnik pracował jeszcze. Köster sięgnął do tablicy rozdzielczej i wyciągnął z niej kluczyk. Sapanie silnika zamarło, usłyszeliśmy jęki.

W limuzynie poszły wszystkie szyby. W ciemnawym wnętrzu ujrzeliśmy kobietę z zalaną krwią twarzą. Obok niej mężczyznę, wtłoczonego między siedzenie a kierownicę. Wynieśliśmy najpierw kobietę i położyliśmy ją na skraju szosy. Twarz miała pociętą, tkwiło w niej jeszcze kilka odłamków szkła, ale krew spływała równomiernie. Gorzej było z prawym ramieniem. Rękaw białego żakietu był jasnoczerwony od krwi, która kapała obficie. Lenz przeciął rękaw. Trysnęła fala krwi, potem spływała w rytmie pulsu. Tętnica przecięta. Lenz skręcił chustkę w mocną pytkę.

– Wydobądźcie mężczyznę, ja tu sobie dam radę – powiedział. – Trzeba będzie szybko pojechać do najbliższego szpitala.

Musieliśmy odśrubować oparcie siedzenia, żeby oswobodzić mężczyznę. Na szczęście mieliśmy ze sobą narzędzia i uporaliśmy się z tym dość prędko. Ranny porządnie krwawił i zapewne miał również parę żeber złamanych. Kiedyśmy go wyciągnęli, przewrócił się, krzycząc z bólu. Coś tam było nie w porządku także z kolanem. Na razie jednak nie mogliśmy mu pomóc.

Köster cofnął Karla aż do miejsca wypadku. Kobieta zaczęła spazmatycznie krzyczeć ze strachu, gdy ujrzała zbliżający się samochód, choć jechał bardzo wolno. Opuściliśmy oparcie jednego z przednich siedzeń i udało nam się ułożyć na nim rannego. Kobietę ulokowaliśmy z tyłu. Stanąłem obok niej na stopniu, Lenz z drugiej strony podtrzymywał mężczyznę.

– Zostań tu i pilnuj wozu – przykazał Lenz Juppowi.

– A co się stało z motocyklistą? – spytałem.

– Zwiał, kiedy panowie byli zajęci tamtymi – wyjaśnił Jupp.

Ruszyliśmy powoli. W pobliżu wsi znajdowało się niewielkie sanatorium. Często widywaliśmy je, przejeżdżając tamtędy. Był to niski, biały budynek na niewielkim wzniesieniu. Słyszeliśmy, że mieści się tam coś w rodzaju prywatnego zakładu dla psychicznie chorych bogatych pacjentów. Musieli mieć na miejscu lekarza i salę opatrunkową.

Wjechaliśmy na wzniesienie i zadzwoniliśmy. Drzwi otworzyła bardzo przystojna pielęgniarka. Na widok krwi zbladła i uciekła. W chwilę później wyszła do nas druga pielęgniarka, o wiele starsza od tamtej.

– Bardzo żałuję – powiedziała – ale nie jesteśmy przygotowani na udzielanie pierwszej pomocy. Musicie panowie udać się do szpitala Virchow. To niedaleko stąd.

– Godzina drogi – odparł Köster.

Pielęgniarka spojrzała na niego niechętnie.

– Nie jesteśmy nastawieni na tego rodzaju przypadki. Nie mamy także lekarza…

– W takim razie wykraczacie przeciw ustawie – oświadczył Lenz. – Prywatne zakłady tego rodzaju obowiązane są mieć stałego lekarza. Czy mogę skorzystać z telefonu? Chciałbym skomunikować się z policją i z redakcją dziennika.

Pielęgniarka zaczęła się wahać.

– Sądzę, że może pani być spokojna – powiedział chłodno Köster. – Za zajęcie się rannymi otrzymacie z pewnością dobrą zapłatę. Przede wszystkim potrzebne nam są nosze. Z lekarzem może się pani skomunikować telefonicznie, prawda?

Pielęgniarka wciąż się jeszcze wahała.

– Nosze – zauważył Lenz – zgodnie z przepisami należą podobnie jak dostateczny zapas środków opatrunkowych do…

– Tak, tak – przerwała spiesznie pielęgniarka, wyraźnie przytłoczona okazywaną przez Lenza znajomością tych spraw. – Zaraz kogoś przyślę.

Zniknęła.

– Pierwsza klasa, Gotfryd – rzekłem.

– Takie rzeczy zdarzają się również w szpitalach miejskich – odpowiedział obojętnie. – Najważniejsza rzecz to pieniądze, potem biurokracja, dopiero na końcu udzielenie pomocy.

Wróciliśmy do samochodu i pomogliśmy wysiąść kobiecie. Nie odzywała się, patrzyła na swoje ręce. Zaprowadziliśmy ją do małego gabinetu na parterze. Potem przyniesiono nosze dla mężczyzny. Podnieśliśmy go. Jęczał.

– Chwileczkę…

Spojrzeliśmy na niego. Zamknął oczy.

– Chciałbym, żeby się nikt o tym nie dowiedział – wyrzekł z trudem.

– Z pańskiej strony nie było najmniejszej winy – uspokoił go Köster. – Widzieliśmy dokładnie cały przebieg wypadku i chętnie będziemy świadczyć.

– Nie o to chodzi – wyjąkał mężczyzna. – Mam inne powody, dla których nie chciałbym, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Pan rozumie… – Spojrzał w kierunku drzwi, za którymi znikła kobieta.

– W takim razie dobrze pan trafił – wyjaśnił Lenz. – To jest prywatny zakład, ale nieźle byłoby usunąć gdzieś pański wóz, zanim go zobaczy policja.

Mężczyzna próbował się unieść na noszach.

– Czy mogliby się panowie tym zająć? Zatelefonować do jakiegoś warsztatu naprawy samochodów? I proszę mi podać swój adres. Chciałbym… Poczuwam się do…

Köster lekceważąco machnął ręką.

– Ależ tak! – obstawał mężczyzna. – Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób mogę…

– W bardzo prosty – oświadczył Lenz. – My właśnie mamy warsztat naprawy samochodów i jesteśmy specjalistami od takich wozów jak pański. Jeżeli pan sobie życzy, to od razu go zabierzemy i doprowadzimy do porządku. W ten sposób dopomożemy panu, a w pewnym sensie i sobie.

– Bardzo chętnie – powiedział mężczyzna. – Oto mój adres. Sam się zgłoszę po wóz albo przyślę kogoś.

Köster schował wizytówkę do kieszeni. Potem wnieśliśmy rannego. Tymczasem zjawił się lekarz, całkiem jeszcze młody człowiek. Obmył już krew z twarzy kobiety; teraz dopiero wyraźnie wystąpiły głębokie cięcia. Kobieta uniosła się na zdrowym ramieniu i wpatrywała się w błyszczącą niklową miseczkę, stojącą na stole opatrunkowym.

– Och! – powiedziała cicho i z przerażeniem w oczach opadła w tył.

Pojechaliśmy do wsi i zapytaliśmy o jakiś warsztat. Wypożyczyliśmy od kowala urządzenia do odciągania wozów i linkę, obiecując mu za to dwadzieścia marek. Ale kowal był podejrzliwy i oświadczył, że najpierw musi zobaczyć samochód. Wzięliśmy go więc do wozu i pojechaliśmy z powrotem.

Jupp stał na środku szosy i dawał nam jakieś znaki. Ale i tak od razu zrozumieliśmy, co się dzieje. Na skraju drogi stał stary mercedes o wysokim podwoziu, a czterech ludzi zabierało się do odciągania wraku.

– No, przyjechaliśmy w samą porę – powiedział Köster.

– To bracia Vogtowie – wyjaśnił kowal. – Niebezpieczne ptaszki. Mieszkają tam, niedaleko. Tego, co im raz w łapy wpadnie, nie oddadzą po dobroci.

– Ano, zobaczymy – mruknął Köster.

– Ja im już wszystko tłumaczyłem – szeptał Jupp. – Brudna konkurencja. Chcą zabrać samochód do swojego warsztatu.

Köster podszedł do najwyższego z czterech drabów i zaczął z nim rozmawiać. Wyjaśnił, że wóz należy do nas.

– Masz coś twardego przy sobie? – spytałem Lenza.

– Tylko pęczek kluczy, ale sam go potrzebuję. Weź sobie mały klucz francuski.

– Wolę go nie używać. To by mogło spowodować ciężkie uszkodzenie ciała. Szkoda, że mam na nogach takie lekkie obuwie. Najlepszy byłby w tym wypadku porządny kopniak.

– Przyłączy się pan do nas? – spytał Lenz kowala. – Wtedy bylibyśmy czterej przeciw czterem.

– Niech pan Bóg broni! Po to, żeby mi jutro zdemolowali całą budę? Zachowam ścisłą neutralność.

– Też racja – przyznał Gotfryd.

– Ale ja idę z panami! – zawołał Jupp.

– Ani mi się waż! – powiedziałem. – Masz tylko pilnować, czy nikt nie nadchodzi.

Kowal odszedł na bok, aby wyraźniej zaznaczyć swoją ścisłą neutralność.

– Bzdury! – usłyszałem opryskliwy głos najwyższego z braci Vogtów. – Kto pierwszy, ten lepszy! Nie ma co gadać. A teraz zjeżdżajcie stąd!

Köster raz jeszcze usiłował wytłumaczyć, że wóz jest nasz. Zaproponował, że zawiezie Vogta do sanatorium, żeby mógł to sprawdzić. Tamten jednak wykrzywił się tylko pogardliwie. Lenz i ja podeszliśmy bliżej.

– Chcecie znaleźć się także w szpitalu, co? – pytał właśnie Vogt.

Köster nie odpowiedział, tylko zbliżył się do wozu. Pozostali trzej Vogtowie przybrali zaczepną postawę. Stali teraz zbici w gromadkę.

– Dajcie no linkę – rzucił do nas Köster.

– Te, frajer – warknął najstarszy Vogt.

– Przykro mi, ale wóz zabierzemy – powiedział Köster.

My obaj przysunęliśmy się bliżej, z rękami w kieszeniach. Köster pochylił się nad samochodem. W tej samej chwili Vogt odrzucił go silnym kopnięciem. Ale Otto spodziewał się ataku; chwycił Vogta za nogę i przewrócił go na ziemię. Potem zerwał się i wymierzył cios w żołądek najbliżej stojącemu spośród braci, który zabierał się właśnie do podnoszenia wozu lewarem. Drugi

Vogt zachwiał się i przewrócił na ziemię. W następnej sekundzie my obaj skoczyliśmy na pozostałych dwóch. Poczułem uderzenie kułakiem w twarz. Nie było ono groźne, ale zaczęła mi ciec krew z nosa, chybiłem ciosu, gdyż ręka ześliznęła mi się po tłustym podbródku napastnika, znów dostałem, tym razem w oko, i potknąłem się tak nieszczęśliwie, że Vogt uderzeniem w żołądek przygwoździł mnie do ziemi. Przyciskał mnie do asfaltu, chwyciwszy moją szyję jak w kleszcze. Napiąłem mięśnie, żeby uniknąć uduszenia się, i próbowałem skulić się i przekręcić tak, by móc odepchnąć Vogta nogami lub kopnąć go w brzuch. Ale Lenz walczył ze swoim Vogtem nad moimi nogami i nie mogłem się uwolnić z kleszczy. Trudno mi było oddychać mimo napięcia mięśni szyi, gdyż nie mogłem zaczerpnąć powietrza przez krwawiący nos. Stopniowo zaczynałem widzieć wszystko jak przez szybę, twarz Vogta drgała mi przed oczami, czarny cień obejmował mi głowę. Ostatnim spojrzeniem pochwyciłem sylwetkę Juppa: klęczał w rowie, spokojnie i uważnie śledził moje drgawki i kiedy nastąpił moment spokoju, uważał, że nadeszła chwila działania; walnął Vogta młotkiem w przegub ręki. Po drugim uderzeniu Vogt puścił moją szyję i zamachnął się z ziemi na Juppa, który cofnął się o pół metra i z całym spokojem wymierzył trzeci cios, w palce, a potem w głowę Vogta. Wydostałem się na wierzch, runąłem na Vogta i z kolei ja zacząłem go dusić. W tej chwili rozległ się zwierzęcy ryk, a potem skomlenie:

– Puszczaj! Puszczaj!

Był to najstarszy Vogt. Köster wykręcił mu ramię na plecy. Vogt przewrócił się głową naprzód, a Köster klęczał teraz na nim i wykręcał mu coraz silniej ramię, pchając je zarazem kolanem w kierunku karku. Vogt wył, ale Köster wiedział, że jeśli mamy mieć spokój z jego strony, to musimy go gruntownie rozłożyć. Jednym ruchem wywichnął mu ramię i wtedy go dopiero puścił. Vogt leżał chwilę na ziemi. Rozejrzałem się. Jeden z braci stał jeszcze, ale krzyki drugiego zupełnie go obezwładniły.

– Jazda stąd, inaczej zaczniemy na nowo – powiedział Köster.

Na pożegnanie raz jeszcze huknąłem głową mojego Vogta o ziemię, potem go puściłem. Lenz stał już obok Köstera. Miał roz-

dartą marynarkę, z kącika ust sączyła mu się krew. Walka była chyba nie rozstrzygnięta, bo jego Vogt wprawdzie również krwawił, ale stał także o własnych siłach. Dopiero klęska najstarszego Vogta rozstrzygnęła sprawę. Bracia nie odezwali się już do nas. Pomogli najstarszemu wstać i poszli ku swojemu wozowi. Ten, który wyszedł cało z bitki, wrócił jeszcze po lewarek. Spoglądał z ukosa na Köstera jak na diabła wcielonego. Potem mercedes zawarczał i odjechał.

Nagle kowal wyrósł jak spod ziemi.

– No, teraz mają dosyć – stwierdził. – Dawno im się coś podobnego nie wydarzyło. Ten najstarszy to już siedział za usiłowanie zabójstwa.

Żaden z nas nie odpowiedział. Köster wstrząsnął się nagle.

– Drańst wo – powiedział. Potem odwrócił się do nas. – Jazda.

– Już się robi – odezwał się Jupp, ciągnąc przystawkę.

– Chodź no tutaj, Jupp – powiedziałem. – Od dziś jesteś podoficerem i wolno ci palić cygara.

Podnieśliśmy przód wozu i przywiązaliśmy go stalową linką do Karla.

– Jak myślisz, nie zaszkodzi mu to? – spytałem Köstera. – Ostatecznie, to wyścigowy koń, a nie osioł do taszczenia ciężarów.

Köster potrząsnął głową.

– Nie mamy daleko. Równa droga.

Lenz wsiadł do wraka i ruszyliśmy powoli. Przyciskając chustkę do nosa, patrzyłem ponad szarymi polami na gasnące słońce. Był w tym widoku ogromny, niewzruszony spokój i czuło się, że przyroda jest absolutnie obojętna na to, co wyczyniają na świecie te kąśliwe mrówki, ludzie. Znacznie ważniejsze było dla niej w tej chwili, że obłoki zmieniają się w złote góry, że fioletowe cienie zmroku bezgłośnie napływają od strony horyzontu, że skowronki powracają z niezmierzonych przestrzeni nieba do swoich polnych bruzd i że powoli zapada noc.

Wjechaliśmy na podwórze warsztatu. Lenz wygrzebał się z wraka i zdjął przed nim kapelusz w uroczystym ukłonie.

– Witaj błogosławiony! Przybywasz tu w smutnych okolicznościach, ale przyniesiesz nam lekko licząc trzy do trzech i pół

tysięcy marek! A teraz dajcie mi duży kieliszek wiśniaku i kawałek mydła – muszę spłukać z siebie wspomnienie rodu Vogtów.

Wypiliśmy wszyscy po kieliszku, a potem zabraliśmy się do możliwie gruntownego rozebrania samochodu. Nie zawsze bowiem wystarczało, by właściciel wydał polecenie przeprowadzenia remontu; czasem zjawiało się później towarzystwo ubezpieczeń i odbierało wóz, aby oddać go gdzie indziej do naprawy, warsztatowi, z którym miało stałą umowę. Im więc dalej była posunięta robota, tym lepiej. Koszty zmontowania wozu były wtedy już tak wysokie, że taniej wypadało zostawić go. Było już ciemno, kiedyśmy skończyli pracę.

– Wyjedziesz jeszcze dziś taksówką? – spytałem Lenza.

– Wykluczone – odrzekł. – Nie należy przesadzać w gonitwie za zarobkiem. Wrak zupełnie mi na dziś wystarcza.

– A mnie nie. Jeśli ty nie jedziesz, to ja spróbuję złowić między jedenastą a drugą parę kursów pod nocnymi lokalami.

– Daj spokój – uśmiechnął się Lenz. – Spójrz lepiej w lusterko. Ostatnio masz pecha ze swoim nosem. Nikt nie wsiądzie do taksówki, której kierowca ma nos jak rozkwaszony pomidor. Idź do domu i rób okłady.

Gotfryd miał rację. Z moim nosem rzeczywiście było niedobrze. Pożegnałem się więc i powędrowałem do domu. Po drodze spotkałem Hassego i ostatni kawałek drogi przeszliśmy razem. Hasse wyglądał szaro i nędznie.

– Schudł pan – powiedziałem.

Kiwnął głową i powiedział, że ostatnio źle jada. Jego żona przesiaduje prawie co wieczór u znajomych, z którymi się zaprzyjaźniła, i wraca późno do domu. Hasse cieszy się, że żona ma jakąś rozrywkę, ale zwykle nie ma ochoty wieczorem sam sobie czegoś przyrządzać. Zresztą nie chce mu się jeść; jest zbyt zmęczony.

Spojrzałem na niego; człapał obok mnie z opuszczonymi ramionami. Może nawet wierzył w to, co mówił, ale słuchając go, miałem paskudne wrażenie. Całe to małżeństwo i skromne życie tych ludzi rozbijało się o brak odrobiny poczucia pewności i odrobiny

pieniędzy. Myślałem o tym, że istnieją miliony takich ludzi i że wszystkim im brakuje odrobiny poczucia pewności i odrobiny pieniędzy. W jakiś przerażający sposób życie ludzkie skurczyło się do nieszczęsnej walki o podstawy egzystencji. Myślałem o popołudniowej bijatyce, o tym, co widziałem w ciągu ostatnich tygodni, o wszystkim, czego dotychczas dokonałem, potem pomyślałem o Pat i doznałem wrażenia, że to się nie daje ze sobą pogodzić. Zbyt duży był przeskok, zbyt brudne życie, aby mogło w nim istnieć takie szczęście; nie może ono trwać, trudno w nie uwierzyć – to chwila wytchnienia, ale nie bezpieczna przystań.

Weszliśmy na górę i otworzyliśmy drzwi pensjonatu.

W przedpokoju Hasse stanął.

– No, to do widzenia.

– Niechże pan dziś coś zje – poradziłem.

Potrząsnął głową, uśmiechnął się, jakby chciał prosić o przebaczenie, i wszedł do swego pustego, ciemnego pokoju. Popatrzyłem za nim. Potem powędrowałem dalej wąskim korytarzem. Nagle usłyszałem cichy śpiew. Stanąłem i słuchałem. To nie grał patefon Erny Bönig, jak myślałem z początku; to był głos Pat. Była sama w pokoju i śpiewała. Spojrzałem na drzwi, za którymi zniknął Hasse, pochyliłem się i nasłuchiwałem, a potem nagle zacisnąłem mocno dłonie. Do diabła, niechby to po tysiąc razy było tylko chwilą wytchnienia, a nie przystanią, niechby po tysiąc razy wszystko się nie zgadzało, tak żeby nie można w to uwierzyć – ale właśnie dlatego, że nie można w nie uwierzyć, szczęście jest wciąż tak porywająco nowe i wspaniałe!

Pat usłyszała, że przyszedłem. Siedziała na podłodze przed lustrem i majstrowała coś przy małej, czarnej czapeczce. Obok na dywanie stała lampka. Pokój tonął w ciepłym, brązowozłotym zmierzchu, tylko twarz Pat zalana była jasnym światłem. Przysunęła krzesełko, z którego zwisał kawałek jedwabiu. Na krzesełku leżały błyszczące nożyczki.

Przystanąłem na progu i patrzałem, z jaką powagą pracuje. Lubiła siadywać na podłodze i czasem znajdowałem ją śpiącą w jakimś kąciku pokoju, a obok niej na dywanie leżącą książkę i psa.

I teraz pies leżał obok Pat i gdy wszedłem, zaczął warczeć. Pat uśmiechnęła się, a mnie się wydało, że cały świat pojaśniał. Przeszedłem przez pokój, klęknąłem koło niej i po całym trudzie przeżytego dnia przytknąłem usta do ciepłej, delikatnej skóry jej karku.

Pat podniosła w górę czarną czapeczkę.

– Przerobiłam ją, kochanie. Podoba ci się?

– Prześliczna – odparłem.

– Ależ ty w ogóle na nią nie patrzysz! Obcięłam rondko z tyłu i podniosłam je na przodzie.

– Wszystko widzę – powiedziałem z twarzą zanurzoną w jej włosach. – Paryscy królowie mody zbledliby z zazdrości na widok tego kapelusika.

– Ależ, Robby! – Śmiejąc się, odsunęła mnie od siebie. – Nie znasz się na tym. Czy ty w ogóle kiedy widzisz, co mam na sobie?

– Widzę każdy najdrobniejszy szczegół – oświadczyłem, usadawiając się przy niej na podłodze, na wszelki wypadek trochę w cieniu, ze względu na swój nos.

– Tak? A w czym byłam wczoraj wieczorem?

– Wczoraj?

Zastanawiałem się. Rzeczywiście nie pamiętałem.

– No, widzisz, kochanie! W ogóle wiesz o mnie bardzo mało.

– Słusznie! I tak jest właśnie dobrze. Im więcej ludzie nawzajem o sobie wiedzą, tym więcej między nimi nieporozumień. I im bliżej ze sobą żyją, tym bardziej są sobie obcy. Spójrz tylko na Hassów: wszystko o sobie wiedzą, a są sobie bardziej wstrętni niż całkiem obcy ludzie.

Pat włożyła czapeczkę i przyglądała się w lustrze.

– To, co mówisz Robby, jest tylko na wpół słuszne.

– Jak każda prawda. Dalej zajść nie umiemy. Jesteśmy tylko ludźmi. I dość głupstw wyczyniamy z naszymi półprawdami. Z całą nie moglibyśmy w ogóle żyć.

Pat zdjęła czapeczkę i odłożyła ją na bok. Potem odwróciła się. I wtedy spostrzegła stan mego nosa.

– Co się stało? – spytała z przerażeniem.

– Nic wielkiego. To tylko tak źle wygląda. Pracowałem pod wozem i coś mi spadło na nos.

Pat spojrzała z niedowierzaniem.

– Czy ja wiem, gdzieś ty się podziewał?! Nigdy mi tego nie mówisz. Wiem o tobie równie mało, jak ty o mnie.

– I tak jest lepiej – powiedziałem.

Przyniosła miskę wody i ręcznik i zrobiła mi zimny okład. Potem jeszcze raz uważnie obejrzała mój nos.

– To wygląda jak uderzenie pięścią. I szyja też podrapana! Pewno miałeś jakąś przygodę, kochanie.

– Moja największa przygoda dopiero się zacznie! – powiedziałem.

Pat spojrzała zaskoczona.

– Tak późno, Robby? Co masz zamiar zrobić?

– Zostać tutaj! – odrzekłem. Zrzuciłem okład i wziąłem Pat w ramiona. – Zostanę tutaj z tobą przez cały wieczór.

XX

Sierpień był ciepły i pogodny, a i we wrześniu utrzymała się niemalże letnia pogoda. Ale potem, w końcu września, zaczęło lać, chmury wisiały całymi dniami nisko nad miastem, kapało z dachów, raz po raz zrywała się wichura, a gdy zbudziłem się pewnej niedzieli i podszedłem do okna, ujrzałem, że drzewa na cmentarzu mają siarczanożółte plamy i prawie ogołocone gałęzie.

Stałem przez chwilę przy oknie. Osobliwe było to życie w owych miesiącach od czasu powrotu znad morza. Każdej chwili, każdej godziny zdawałem sobie sprawę, że Pat musi wyjechać na jesieni, ale uświadamiałem to sobie na równi z innymi rzeczami: że lata mijają, że człowiek się starzeje i że nie można żyć wiecznie. Teraźniejszość była mimo wszystko silniejsza, usuwała wszelkie myśli na bok i dopóki Pat była koło mnie, dopóki drzewa stały pełne zielonych liści, takie słowa, jak jesień, odjazd, pożegnanie, nie były niczym więcej niż bladym cieniem na horyzoncie, cieniem, który kazał mi odczuwać jeszcze mocniej i głębiej szczęście bliskości i tego, że jesteśmy jeszcze razem.

Patrzyłem na mokry, zadeszczony cmentarz i na nagrobki pokryte brudnymi, brunatnymi liśćmi. Jak blady stwór wypiła mgła, która spadła na miasto w nocy, całą zieloną krew z liści – zwisały osłabłe, bezsilne na gałęziach, każdy podmuch wiatru odrywał je i gnał przed siebie. I oto jak ostry, przeszywający ból odczułem po raz pierwszy, że rozstanie jest blisko, że jest czymś rzeczywistym, taką samą prawdą jak jesień, która wśliznęła się przez korony drzew, pozostawiając za sobą zwiędły trop.

Nasłuchiwałem odgłosów od strony sąsiednich drzwi. Pat spała jeszcze. Podszedłem do drzwi i przystanąłem na progu. Spała spokojnie, nie kaszlała. Na chwilę zapaliła się we mnie nadzieja: wyobraziłem sobie, że dzisiaj albo jutro, albo w najbliższych dniach zadzwoni do mnie Jaffé, ażeby powiedzieć, że Pat może nie wyjeżdżać. Ale potem przypomniałem sobie noce, w których słyszałem lekkie rzężenie jej oddechu, równomierny, stłumiony chrobot, który przybliżał się i oddalał jak odległy zgrzyt cienkiej piły. I nadzieja zgasła we mnie równie szybko, jak zapłonęła.

Powróciłem do okna i gapiłem się na deszcz. Potem usiadłem przy biurku i zacząłem rachować mój kapitał. Liczyłem, na jak długo wystarczy dla Pat, ale przy tej robocie ogarnęła mnie taka rozpacz, że zamknąłem szufladę.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma. Co najmniej dwie godziny, zanim Pat się zbudzi. Ubrałem się szybko, żeby wyjechać jeszcze na miasto. Lepiej, aniżeli tkwić samemu w pokoju z takimi myślami.

Poszedłem do warsztatu, wyciągnąłem taksówkę i ruszyłem powoli ulicami. Po drodze spotykałem niewielu ludzi. W dzielnicach robotniczych długie rzędy koszar-domów stały puste i smętne jak dziewki uliczne na deszczu. Fasady były obtłuczone i brudne, zamglone szyby łypały niechętnie w stronę świtu, a łuszcząca się wyprawa murów ukazywała w wielu miejscach głębokie, żółtoszare dziury, jak gdyby wyżarte przez wrzody.

Przemierzyłem dzielnicę staromiejską i pojechałem do tumu. Zatrzymałem wóz przed bocznym wejściem i wysiadłem. Przez ciężkie drzwi dębowe dobiegł mnie stłumiony dźwięk organów. Był to właśnie czas mszy porannej i zmiarkowałem po organach, że zaczęło się właśnie Ofiarowanie – potrwa zatem jeszcze ze dwadzieścia minut, nim msza się skończy i ludzie zaczną wychodzić.

Poszedłem do ogródka przy Stacjach Męki. Spoczywał w szarym świetle. Krzaki róż kapały rosą dżdżu – większość z nich kwitła jeszcze. Mój płaszcz gumowy był wcale obszerny, toteż mogłem doskonale ukryć pod nim obcinane gałązki. Chociaż była to niedziela, nie zjawił się żywy duch. Przeniosłem bez żadnych prze-

szkód pierwsze naręcze róż do samochodu. Potem wróciłem, żeby zabrać jeszcze jedno. Kiedy je już miałem pod płaszczem, usłyszałem czyjeś kroki. Przycisnąłem ramieniem róże i przystanąłem przed jedną ze stacji, jak gdybym się modlił.

Kroki zbliżyły się, ale nie minęły mnie, lecz zatrzymały się w pobliżu. Patrząc ze skupieniem na kamienną figurę, przeżegnałem się i ruszyłem ku następnej stacji, położonej nieco dalej od krużganku. Kroki towarzyszyły mi i zatrzymały się znowu. Nie wiedziałem, co zrobić. Nie mogłem pójść od razu dalej, musiałem postać przynajmniej tyle czasu, ile trzeba było do odmówienia dziesięciu Zdrowaś Mario i jednego Ojcze Nasz – w przeciwnym razie zdradziłbym się natychmiast. Stałem więc, odwróciwszy tylko głowę, aby zobaczyć, kto za mną chodzi. Zrobiłem to ostrożnie, z obojętnym wyrazem twarzy, jak ktoś, komu przeszkodzono w modlitwie.

Ujrzałem sympatyczne, krągłe oblicze duchownego i odetchnąłem z ulgą. Zdawało mi się, że jestem uratowany, wiedziałem bowiem, że nie przerwie mi modlitwy. Raptem zauważyłem, że na nieszczęście stanąłem przed ostatnią stacją. Żebym się nie wiem jak długo modlił, kiedyś musiało się to skończyć, a on najwidoczniej na to czekał. Nie miało sensu przeciągać tej zabawy. Powoli i obojętnie skierowałem się ku wyjściu.

– Dzień dobry – powiedział proboszcz. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedziałem.

Była to katolicka forma pozdrowienia.

– Rzadko się zdarza, aby tu ktoś był już o tej porze – powiedział ksiądz uprzejmie i spojrzał na mnie swoimi dziecięcymi błękitnymi oczami.

Mruknąłem coś niezrozumiale.

– Tak, niestety w dzisiejszych czasach jest to coraz rzadszym zjawiskiem – mówił z nutą żalu w głosie. – Szczególnie rzadko spotykamy mężczyzn odbywających Drogę Męki Pańskiej. Ucieszyłem się więc na widok pana i dlatego pana zagadnąłem. Z pewnością ma pan jakąś szczególną intencję modlitwy, jeśli przyszedł pan tutaj tak wcześnie i mimo tej pogody…

„Tak, tę, żebyś sobie stąd jak najprędzej poszedł” – pomyślałem i z pewną ulgą kiwnąłem głową. Widocznie nie zauważył jeszcze kwiatów pod moim płaszczem. Teraz chodziło tylko o to, żeby go się raz dwa pozbyć, zanim je zauważy. Znowu uśmiechnął się do mnie.

– Za chwilę odprawię mszę świętą. Włączę pańską modlitwę do moich.

– Dziękuję – powiedziałem zaskoczony i nieco zakłopotany.

– Czy to modlitwa za duszę kogoś zmarłego?

Spojrzałem na niego i nagle poczułem, że pęk róż zaczyna się obsuwać.

– Nie – odrzekłem spiesznie i silniej przycisnąłem ramię do płaszcza.

Ksiądz patrzał na mnie badawczo swoim ufnym wzrokiem. Zapewne oczekiwał, że powiem mu, o co chodzi. Ale mnie nic takiego nie przychodziło do głowy, a przy tym nie chciałem go okłamywać bardziej, niż to było konieczne. Milczałem więc.

– Będę się w takim razie modlił o pomoc w potrzebie nieznanej osoby – powiedział wreszcie.

– Tak, proszę, jeśli ksiądz taki dobry. I bardzo dziękuję księdzu.

Z uśmiechem się bronił.

– Niechże pan nie dziękuje. Wszyscy jesteśmy w rękach Boga. – Przyglądał mi się jeszcze chwilę z pochyloną na bok głową i zdawało mi się, że coś przemknęło po jego twarzy. – Niech pan tylko ufa – powiedział. – Ojciec w niebiesiech dopomaga. Dopomaga zawsze, nawet jeśli my tego czasem nie rozumiemy.

Kiwnął mi głową i odszedł.

Patrzyłem za nim, aż zatrzasnęła się furtka. „Hm – myślałem – gdybyż to było takie proste! Dopomaga, zawsze dopomaga! Ale czy dopomógł Bernhardowi Wiesemu, kiedy ten leżał z rozdartym brzuchem w lesie pod Houtholst; czy pomógł Katczinskyemu, kiedy padł, pozostawiając chorą żonę i dziecko, którego jeszcze nie widział; albo Müllerowi, Leerowi, Kemmerichowi i małemu Friedmannowi, i Jürgensowi, i Bergerowi, i milionom innych? Do dia-

bła, za dużo krwi polało się na świecie, aby można było tak wierzyć w Ojca w niebiesiech!”

Przywiozłem kwiaty do domu, potem odprowadziłem wóz do warsztatu i wróciłem. Z kuchni dochodził teraz zapach świeżo zaparzonej kawy. Słychać było także hałaśliwe krzątanie się Frydy. Dziwna rzecz, zapach kawy nastroił mnie nieco pogodniej. Nauczyłem się już tej mądrości na wojnie: człowieka pocieszają nie jakieś wielkie rzeczy, ale zawsze niepozorne drobiazgi.

Ledwo zamknąłem drzwi od korytarza, gdy ze swojego pokoju wypadł Hasse. Twarz miał pożółkłą i obrzękłą, oczy przemęczone z niewyspania i zaczerwienione. Wyglądał tak, jakby spał w ubraniu. Na mój widok na twarzy jego pojawiło się niezmierne rozczarowanie.

– Ach, tak, to pan…

Spojrzałem na niego zdumiony.

– Czy oczekiwał pan kogoś o tak wczesnej godzinie?

– Tak – szepnął cicho – mojej żony. Nie wróciła jeszcze do domu. Nie widział jej pan przypadkiem?

Potrząsnąłem głową.

– Byłem tylko godzinę na mieście.

Kiwnął potakująco.

– Ja tak sobie tylko myślałem… Mógł pan ją gdzieś spotkać…

Wzruszyłem ramionami.

– Przypuszczalnie przyjdzie później. Czy nie dzwonił pan do niej?

Spojrzał na mnie nieśmiało.

– Poszła wczoraj wieczorem do swoich znajomych. Nie wiem dokładnie, gdzie mieszkają.

– A zna pan nazwisko tych państwa? Można by wtedy spytać w informacji.

– Już próbowałem. Informacja nie zna takiego nazwiska. – Miał spojrzenie zbitego psa. – Zawsze robiła taką tajemnicę z tych swoich znajomości, a gdy tylko poruszyłem ten temat, zaraz wybuchała gniewem. Wobec tego dałem spokój. Cieszyłem się

nawet, że ma koło siebie ludzi. Zawsze docinała mi, że ja jej i tego żałuję.

– Może przyjdzie jeszcze. Jestem nawet pewny, że się zjawi. Czy na wszelki wypadek telefonował pan do pogotowia i na policję?

Kiwnął głową.

– Wszędzie. Nic nie wiedzą.

– No, to nie powinien się pan tym przejmować. Może zrobiło jej się niedobrze wieczorem u znajomych i przenocowała u nich? Takie rzeczy zdarzają się nieraz. Przypuszczalnie za godzinę czy dwie zjawi się w domu.

– Sądzi pan?

Drzwi kuchenne otworzyły się i zjawiła się w nich Fryda z tacą w ręce.

– Dla kogo to?

– Dla panny Hollmann – odpowiedziała już podrażniona moim spojrzeniem.

– Czy już wstała?

– Pewnie że tak – odpowiedziała przytomnie kuchta – inaczej nie dzwoniłaby na śniadanie.

– Bóg z tobą, Frydo. Niekiedy jesteś rano kojąca jak balsam. Czy możesz się przezwyciężyć i nalać także dla mnie kawy?

Mruknęła coś niewyraźnie i polazła korytarzem, kręcąc tyłkiem z wyraźną pogardą. Znakomicie opanowała tę sztukę. Była jedyną znaną mi istotą, u której wypadało to z taką ekspresją.

Hasse stał na boku. Gdy obróciłem się i ujrzałem go czekającego tak cicho i pokornie, zrobiło mi się wstyd.

– Za godzinkę albo dwie na pewno rozwieją się pańskie obawy – rzekłem i wyciągnąłem do niego rękę.

Nie uścisnął jej, ale spojrzał na mnie osobliwym wzrokiem.

– Czy nie moglibyśmy wyruszyć razem na poszukiwania? – spytał cicho.

– Przecież pan nie wie, gdzie jest pańska żona!

– Można by jednak poszukać – powtórzył z naciskiem. – Gdybyśmy wzięli pańską taksówkę… oczywiście wszystko bym zapłacił – dorzucił spiesznie.

– Nie o to chodzi. Tylko że to całkowicie bezcelowe. Dokąd mamy jechać? Przecież o tej porze nie będzie spacerować po ulicy.

– Nie wiem – rzekł wciąż tym samym cichym tonem. – Myślę tylko, że jednak można by spróbować jej poszukać.

Fryda wróciła z pustą tacą.

– Muszę teraz iść – powiedziałem do Hassego. – Jestem przekonany, że niepotrzebnie się pan trapi. Pomimo to chętnie bym panu służył, ale panna Hollmann musi niebawem wyjechać i chciałbym dotrzymać jej dziś trochę towarzystwa. Być może, że jest to jej ostatnia niedziela w mieście. Chyba mnie pan rozumie?

Przytaknął.

Było mi przykro patrzeć na stojącego w kącie biedaka, ale śpieszyłem się do Pat.

– Jeżeli pan obstaje przy szukaniu, to może pan złapać taksówkę na dole… ale nie doradzałbym panu tego. Lepiej niech pan jeszcze trochę poczeka… zadzwonię później do mojego przyjaciela Lenza, który pomoże panu w poszukiwaniach.

Miałem wrażenie, że Hasse w ogóle nie słucha, co mówię.

– Nie widział pan jej naprawdę dzisiaj rano? – spytał nagle.

– Nie – odparłem zdumiony. – Inaczej dawno bym to już panu powiedział.

Kiwnął znowu głową i odszedł bez słowa, zamyślony, z powrotem do swej nory.

Pat zajrzała już do mojego pokoju i znalazła róże. Gdy wszedłem do jej pokoju, przyjęła mnie śmiechem.

– Robby – rzekła – musisz przyznać, że jestem niewinną dziewczyną. Dopiero Fryda musiała mnie uświadomić, że świeże róże w niedzielę o tak wczesnej godzinie pachną kradzieżą. Ponadto uświadomiła mnie jeszcze, iż tego gatunku róż stanowczo nie można dostać w żadnej z pobliskich kwiaciarni.

– Myśl sobie, co chcesz – odparłem. – Grunt, że się nimi cieszysz.

– Tym razem jeszcze bardziej niż zwykle, kochanie. Zdobyłeś je przecież z narażeniem życia!

– Racja! – Pomyślałem o księdzu. – Ale dlaczego tak wcześnie wstałaś?

– Nie mogłam spać! A poza tym śniły mi się różne rzeczy – nic przyjemnego.

Przyjrzałem się jej dokładnie. Wyglądała na zmęczoną, pod oczyma zakradły się cienie.

– Od kiedyż to śnisz o takich rzeczach? Myślałem, że to moja specjalność.

Potrząsnęła głową.

– Czy zauważyłeś, że na bożym świecie robi się już jesień?

– U nas nazywa się to babim latem. Róże jeszcze kwitną. Na razie deszcz pada, oto wszystko, co zauważyłem.

– Pada – powtórzyła. – Już za długo pada. Czasami, gdy się budzę nocą, zdaje mi się, że jestem pogrzebana pod tymi masami wody.

– Musisz sypiać u mnie. Wtedy nie będziesz miała takich smutnych myśli. Przeciwnie, słodko jest być blisko siebie, gdy za oknami leży mrok i pada deszcz.

– Może – rzekła, wspierając się na mnie.

– Osobiście lubię, jeżeli w niedzielę jest słota. Wtedy człowiek głębiej odczuwa swój skromny błogostan. Jesteśmy razem, mamy ciepły, ładny pokój i cały wolny dzień przed sobą – uważam, że to skarb nie lada!

Twarz jej rozjaśniała się.

– Tak, dobrze nam, prawda?

– Uważam, że cudownie. Gdy sobie przypomnę dawne czasy… Mój Boże! Naprawdę, nie śniło mi się nawet, że kiedyś w życiu będzie mi jeszcze tak dobrze.

– To ładnie, że tak mówisz. Zaraz gotowa jestem w to uwierzyć. Musisz mi to częściej powtarzać.

– Czy nie mówię ci tego dostatecznie często?

– Nie.

– Być może. Zdaje mi się, że nie jestem zbyt czuły. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię. A bardzo chciałbym być.

– Nie potrzeba, kochanie, ja i tak ciebie rozumiem. Tylko czasami chciałabym mimo wszystko to usłyszeć.

– Dobrze, od dzisiaj będę ci to mówił za każdym razem. Nawet jeżeli będę przy tym wyglądał na głupca.

– Ach, głupca! W miłości nie ma rzeczy głupich.

– Chwalić Boga. Inaczej człowiek przeraziłby się własnym obrazem.

Zjedliśmy razem śniadanie, potem Pat położyła się znowu do łóżka. Takie było zalecenie Jaffégo.

– Zostaniesz przy mnie? – spytała spod kołdry.

– Jeżeli chcesz.

– Chciałabym, ale ty przecież nie…

Usiadłem przy niej na łóżku.

– Nie o to mi chodzi. Pamiętam, że przedtem nie lubiłaś, żeby ci się przyglądać w czasie snu.

– Przedtem tak… ale teraz boję się czasem, taka sama…

– Znam to uczucie. Doświadczyłem go kiedyś w szpitalu polowym po operacji. Bałem się wtedy zasnąć. Leżałem z otwartymi oczyma, czytałem albo myślałem i dopiero gdy szarzało, zasypiałem. Ale takie lęki mijają.

Przyłożyła twarz do mej dłoni.

– Człowiek boi się, że już nie wróci, Robby…

– Tak, ale wracamy i trwoga mija. Widzisz po mnie. Wraca się do życia, chociaż nie zawsze do tego samego punktu.

– Właśnie – odpowiedziała sennym głosem. Miała już na wpół przymknięte oczy. – Tego się boję. Ale ty mnie pilnujesz, co?

– Pilnuję cię – powiedziałem i pogłaskałem ją po czole i włosach, które także wyglądały jak zmęczone.

Oddychała głębiej i powoli obróciła się na bok. Po minucie spała jak kamień.

Usiadłem przy oknie i zapatrzyłem się w deszcz. Smagał teraz szyby szarymi strugami, a dom zdawał się być małą wyspą wśród nieskończoności smutku. Ogarnął mnie niepokój: rzadko zdarzało się, ażeby Pat była rano smutna i bojaźliwa. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że przed kilku dniami była taka wesoła i żywa i że może będzie inaczej, gdy się obudzi. Wiedziałem, że nurtuje ją myśl o chorobie, i wiedziałem także od Jaffégo, że nie ma jeszcze poprawy. Widziałem jednak w życiu tylu nagle zmarłych, że

wszelka choroba oznaczała dla mnie jeszcze życie i nadzieję. Wiedziałem, że można umrzeć na skutek ran, i miałem w tej dziedzinie rozległe doświadczenia – trudno mi jednak było pojąć, że choroba, przy której zewnętrzna powłoka człowieka pozostaje cała i zdrowa, może być niebezpieczna. Dlatego też przezwyciężałem w sobie szybko tego rodzaju napady rozpaczy.

Ktoś zapukał do drzwi. Poszedłem otworzyć. Na progu stał Hasse. Położyłem palec na ustach i wyszedłem na korytarz.

– Przepraszam… – wybąkał.

– Niech pan wejdzie do mego pokoju – rzekłem, otwierając sąsiednie drzwi.

Hasse przystanął na progu. Zdawało się, że jego twarz zmalała. Była kredowoblada.

– Chciałem panu tylko powiedzieć, że nie mamy po co jechać – powiedział, nie poruszając niemal wargami.

– Niech pan wejdzie. Panna Hollmann śpi, mam czas.

Hasse trzymał w ręku list. Wyglądał przy tym jak człowiek, który dostał postrzał, ale łudzi się, że to tylko uderzenie.

– Najlepiej, żeby pan sam to przeczytał – rzekł, podając mi list.

– Pił pan już kawę?

Potrząsnął głową.

– Niech pan przeczyta list.

– Dobrze, ale tymczasem może pan się czegoś napić…

Wyszedłem z pokoju i kazałem Frydzie przynieść kawę. Potem przeczytałem list. Pochodził od pani Hasse i zawierał tylko parę linijek. Zawiadamiała go, że oczekuje jeszcze czegoś od życia. Dlatego nie wróci. Jest ktoś, kto rozumie ją lepiej niż mąż. Wszelkie próby z jego strony nie mają celu – nie wróci pod żadnym pozorem. I dla niego takie rozwiązanie jest najlepsze. Nie będzie się już martwił, czy jego pensja wystarczy czy nie. Wzięła ze sobą część rzeczy – po resztę przyśle przy okazji.

Był to jasny i rzeczowy list. Złożyłem go i oddałem Hassemu. Spojrzał na mnie, jak gdyby wszystko zależało ode mnie.

– Co powinienem zrobić?

– Przede wszystkim niech pan wypije filiżankę kawy i przekąsi coś. Nie ma celu biegać po pokoju i szarpać sobie nerwów. Potem zastanowimy się. Musi pan się opanować, wtedy na pewno powe-mie pan najrozsądniejsze postanowienie.

Wypił posłusznie filiżankę kawy. Ręka mu drżała. Nie mógł nic zjeść.

– Co mam teraz zrobić? – spytał raz jeszcze.

– Nic. Poczekać. – Wykonał jakiś niewyraźny ruch. – A co by pan chciał zrobić?

– Nie wiem. Nie mogę tego wszystkiego pojąć.

Milczałem. Trudno było doradzić coś temu biedakowi, można go było tylko uspokoić, na resztę musi sam znaleźć receptę. Zapewne nie kochał już żony – ale przywykł do niej, a dla takiej buchalteryjnej duszy przyzwyczajenie mogło znaczyć więcej niż miłość.

Po chwili zaczął coś zawile opowiadać, widać było, jak straszliwie szamoce się ten człowiek. Z kolei zaczął robić sobie wyrzuty. Nie powiedział ani jednego słowa przeciw żonie. Usiłował wszelkimi sposobami wmówić w siebie, że wina leży po jego stronie.

– To wszystko, co pan mówi, Hasse, nie ma najmniejszego sensu. W tego rodzaju sprawach nie może być mowy o winie czy niewinności. Pańska żona odeszła od pana, a nie pan od niej. Nie widzę powodu, dlaczego miałby pan sobie robić wyrzuty.

– A jednak – powtórzył, patrząc na swoje ręce. – Nie umiałem… nie udało mi się…

– Co?

– Po prostu nie powiodło mi się. To wina człowieka, jeżeli nie umie sobie poradzić.

Patrzyłem ze zdziwieniem na małą, zbiedzoną postać, zatopioną w czerwonym pluszowym fotelu.

– Hasse – powiedziałem spokojnie po chwili – to może stanowić najwyżej powód, ale nie winę. Poza tym dotychczas radził pan sobie jakoś.

Potrząsnął energicznie głową.

– Nie, nie, doprowadzałem żonę do szaleństwa wieczną trwogą przed wypowiedzeniem. A poza tym rzeczywiście nie umiałem sobie poradzić. Cóż ja jej mogłem ofiarować? Nic…

Zatonął w otępieniu. Wstałem, żeby przynieść flaszkę koniaku.

– Niech pan się napije, nie wszystko jeszcze stracone.

Podniósł głowę.

– Nie wszystko jeszcze stracone – powtórzyłem. – Człowieka traci się dopiero wtedy, kiedy umarł.

Przytaknął spiesznie i sięgnął po kieliszek, ale odstawił go, nie napocząwszy.

– Wczoraj zostałem kierownikiem biura – rzekł cicho. – Naczelnym buchalterem i szefem biura. Powiedział mi o tym wieczorem nasz prokurent. Mianowali mnie na to stanowisko, bo w ostatnich miesiącach zawsze przesiadywałem po godzinach pracy. Połączono dwa biura. Tamten kierownik został zwolniony. Będę dostawał o pięćdziesiąt marek więcej. – Spojrzał na mnie z wyrazem rozpaczy. – Czy sądzi pan, że zostałaby przy mnie, gdyby wiedziała o tym?

– Nie.

– Pięćdziesiąt marek więcej. Mógłbym je dawać żonie. Mogłaby sobie za to coś kupować. A na książeczce oszczędnościowej mam przecież tysiąc dwieście marek! Po co ja tak ciułałem? Chciałem mieć dla niej coś na czarną godzinę. A ona odeszła ode mnie dlatego, że oszczędzałem na ten cel.

Zapatrzył się znowu przed siebie.

– Hasse, wydaje mi się, że to wszystko ma znacznie mniej ze sobą wspólnego, niż pan przypuszcza. Nie powinien pan w ogóle grzebać się w tych rozmyślaniach. Musi pan wziąć się w garść i przetrzymać najbliższe dni. Wtedy zrozumie pan lepiej, co robić. Być może, że pańska żona zjawi się w domu już dzisiaj wieczorem albo jutro. Przecież ona także rozmyśla nad tym wszystkim, podobnie jak pan.

– Nie, ona nie wróci.

– Tego pan nie może przewidzieć.

– Gdyby jej można było powiedzieć, że podwyższono mi pensję, że moglibyśmy wziąć urlop i za zaoszczędzone pieniądze odbyć jakąś podróż…

– To wszystko będzie jej pan mógł powiedzieć. Ludzie nie rozstają się przecież w ten sposób.

Dziwiłem się, że Hasse nie bierze zupełnie w rachubę innego mężczyzny. Ale widocznie jeszcze nie potrafił tego ogarnąć myślą. Zdołał tylko pojąć, że jego żona uciekła; wszystko poza tym leżało jakby przesłonięte niewyraźną mgłą. Chętnie bym mu powiedział, że za parę tygodni będzie może błogosławił los za to, że jego żona sobie poszła – ale wydawało mi się, że przy jego zgnębieniu tego rodzaju słowa musiałyby brzmieć zbyt brutalnie. Dla zranionych uczuć prawda jest zawsze czymś brutalnym, niemal nie do zniesienia.

Rozmawiałem z nim jeszcze chwilę – tylko po to, żeby mógł się wygadać. Nie wskórałem nic: kręcił się ciągle w kółko, ale odniosłem wrażenie, że się nieco uspokoił. Wypił także kieliszek koniaku. Nagle usłyszałem, że Pat mnie woła ze swego pokoju.

– Chwileczkę! – rzekłem, wstając z fotela.

– Tak – odpowiedział jak grzeczny chłopaczek, podnosząc się także z krzesła.

– Niech pan zostanie, ja zaraz wrócę.

– Proszę mi wybaczyć…

– Zaraz wrócę – powiedziałem, wchodząc do pokoju Pat.

Siedziała na łóżku, wyglądała świeżo i radośnie.

– Cudownie spałam, Robby! Pewnie już południe.

– Spałaś dokładnie godzinę – rzekłem, pokazując jej zegarek.

Spojrzała na tarczę.

– Tym lepiej, mamy więc moc czasu dla siebie. Zaraz wstanę.

– Doskonale. Za dziesięć minut wrócę.

– Jest ktoś u ciebie?

– Hasse. Ale to nie potrwa długo.

Wróciłem do siebie, ale nie zastałem już Hassego. Otworzyłem drzwi na korytarz – był pusty. Zapukałem do pokoju Hassego. Nie odpowiedział. Uchyliłem drzwi i ujrzałem, że stoi przed szafą. Kilka szuflad było wyciągniętych.

– Radzę panu wziąć środek nasenny, położyć się do łóżka i przespać całą sprawę. Jest pan zdenerwowany.

Odwrócił się powoli do mnie.

– Zawsze, co wieczór sam! Zawsze tak, jak wczoraj, tkwić samemu w pokoju, niech pan pomyśli, jakie to…

Powiedziałem mu, że to się zmieni i że jest więcej ludzi, którzy siedzą wieczorami samotnie w domu. Nie odpowiedział mi, tylko mruknął coś pod nosem. Raz jeszcze doradziłem mu, żeby się położył. Kto wie, może jeszcze wszystko okaże się nie tak straszne. Może już wieczorem żona wróci. Przytaknął i podał mi rękę.

– Wieczorem zajdę do pana – rzekłem na wychodnym.

Byłem rad, że mogę uciec.

Pat miała przed sobą rozłożoną gazetę.

– Moglibyśmy pójść dziś do muzeum – zaproponowała.

– Do muzeum?

– Tak. Jest tam wystawa perskich dywanów. Pewno nieczęsto bywałeś w muzeum?

– Nigdy! – odparłem. – Po cóż miałbym tam chodzić?

– Też racja! – roześmiała się Pat.

– Ale nic nie szkodzi. W taką pogodę można podjąć coś dla pogłębienia swych wiadomości.

Ubraliśmy się i wyruszyliśmy. Powietrze było wspaniałe. Pachniało lasem i wilgocią. Mijając „Café International" dojrzałem przez otwarte drzwi Różę siedzącą przy barze. Przed nią stała filiżanka czekolady, jako że była niedziela. Na stoliku leżała paczka. Róża zamierzała widocznie, jak w każde święto, odwiedzić swoją małą. Dawno już nie byłem w „Internationalu" i wydało mi się dziwne, że Róża siedzi tam, obojętna jak zawsze. W moim życiu zaszło tyle zmian, zdawało mi się więc, że i dla innych musiało się wszystko zmienić.

Weszliśmy do muzeum. Myślałem, że będzie pusto, i ze zdziwieniem stwierdziłem, jak wielu ludzi się zeszło. Spytałem dozorcę, czy coś się tu dzieje.

– Nic szczególnego – odparł. – Tak bywa zawsze w te dni, kiedy wstęp jest bezpłatny.

– Widzisz – powiedziała Pat. – Jest mnóstwo ludzi, którzy się czymś interesują.

Dozorca zsunął czapkę z czoła.

– E, względem tego to nie bardzo, proszę pani. Tu są prawie sami bezrobotni. Nie przychodzą dla sztuki, ale dlatego, że nie mają nic innego do roboty. Przynajmniej mogą sobie popatrzeć.

– Takie wyjaśnienie jest dla mnie bardziej przekonujące – powiedziałem.

– Teraz to jeszcze nic – ciągnął dozorca – ale żeby państwo zobaczyli, co się dzieje zimą! Szpilki nie można wetknąć. Dlatego, że gmach jest opalany.

Weszliśmy do sali z dywanami. Było to ciche, nieco na uboczu położone pomieszczenie. Wysokie okna wychodziły na ogród, w którym rósł olbrzymi platan. Miał już całkiem pożółkłe liście, od których światło wpadające do sali nabierało przyćmionego żółtego blasku.

Dywany wyglądały cudownie. Były wśród nich dwa z szesnastego wieku, z wzorem o motywach zwierzęcych, kilka isfahańskich i kilka polskich, jedwabnych w kolorze łososiowym ze szmaragdowymi otokami. Starość i światło słoneczne nadały ich tonom łagodną patynę, tak że robiły wrażenie dużych, bajecznych pasteli. Dzięki nim sala zyskiwała nastrój i harmonię, jakiej nigdy by jej nie dały obrazy. Okno ukazujące jesienne listowie platanu i perłowoszare niebo wyglądało również jak stary dywan.

Zatrzymaliśmy się tam jakiś czas, a potem wróciliśmy do innych sal muzeum. Było w nich jeszcze tłoczniej niż poprzednio i rzucało się w oczy, że ludzie ci właściwie nie pasują do tego otoczenia. Mieli blade twarze i znoszone ubrania, z pewnym onieśmieleniem chodzili po salach z rękami założonymi w tył, z oczami widzącymi całkiem co innego niż obrazy z epoki Odrodzenia i ciche marmurowe posągi antyczne. Wiele osób przycupnęło na ustawionych wokół sali czerwonych, wyścielanych ławeczkach. Siedzieli znużeni, w takiej pozycji, jak gdyby gotowi byli w każdej chwili wstać, jeśliby im ktoś kazał się stąd wynosić. Widoczne było, że niezupełnie pojmują, jakim cudem wolno im siedzieć bezpłatnie na wyścielanych ławeczkach. Przywykli do tego, że nie dostają nic za darmo.

We wszystkich salach panowała zupełna cisza, mimo tylu zwiedzających ledwie od czasu do czasu padało jakieś słowo – a jednak

mnie się zdawało, że patrzę na straszliwą walkę, na bezgłośną walkę ludzi, którzy ponieśli klęskę, ale nie chcą się jej poddać. Byli wyrzuceni poza nawias swej pracy, swych dążeń i zawodów – przyszli jednak do tego cichego przybytku sztuki, aby nie ulec rozpaczy i otępieniu. Myśleli o chlebie, wciąż tylko o chlebie i o pracy, ale przyszli tu, aby na parę godzin uciec od tych myśli. Sunęli ciężko, z opuszczonymi ramionami, jak ludzie dążący bez celu, wśród rzymskich głów o czystych rysach i greckich posągów kobiecych o nieprzemijającym wdzięku – tworząc wstrząsający kontrast, beznadziejny obraz tego, co ludzkość mogła osiągnąć na przestrzeni tysiącleci i czego osiągnąć nie mogła: szczyty wiecznotrwałej sztuki, ale nie zapewnienie każdemu kawałka chleba.

Po południu wybraliśmy się do kina. Gdy wyszliśmy na ulicę, niebo przetarło się. Miało teraz kolor niedojrzałego jabłka, było niezwykle jasne. Na ulicach i w sklepach paliło się już światło. Szliśmy powoli do domu, oglądając po drodze wystawy.

Przystanąłem przed jasno oświetloną wystawą wielkiego magazynu futrzarskiego. Wieczorami panował już chłód i w oknach wystawiono grube pęki srebrnych lisów oraz kolekcję futer. Spojrzałem na Pat. Miała na sobie swoją krótką kurtkę futrzaną i właściwie ubrana była o wiele za lekko.

– Gdybym zmienił się teraz nagle w bohatera filmu, wszedłbym od razu do sklepu i wybrał dla ciebie płaszcz.

Uśmiechnęła się.

– Który?

– Ten.

Pokazałem futro, które wydawało mi się najcieplejsze.

– Masz dobry gust, Robby – zaśmiała się. – To bardzo piękne nurki kanadyjskie.

– Chciałabyś mieć taki płaszcz?

Spojrzała na mnie.

– Czy ty wiesz, kochanie, ile kosztuje takie futro?

– Nie i nie chcę nawet wiedzieć. Wolę zachować złudzenie, że mógłbym ci ofiarować, co tylko zechcę. Dlaczego tylko innych ludzi ma być stać na takie gesty?

Podniosła na mnie oczy.

– Ale ja nie chcę takiego płaszcza, Robby.

– Dlaczego? Dostaniesz go! Ani słowa. Jutro każemy go przysłać do domu.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, kochanie – rzekła, całując mnie na środku ulicy. – A teraz pomyślimy o tobie. – Przystanęła przed magazynem konfekcji męskiej. – O, ten frak! Musisz go mieć do moich nurków. Dostaniesz także tamten cylinder. Ciekawa jestem, jakbyś wyglądał w cylindrze.

– Jak kominiarz!

Obejrzałem dokładnie frak. Leżał na wystawie obitej srebrnym aksamitem. Przyjrzałem się sklepowi. Był to ten sam, w którym na wiosnę kupiłem sobie krawat – po pierwszym spotkaniu z Pat, kiedy to zalałem się gruntownie. Nagle ścisnęło mnie coś w gardle – nie wiedziałem, dlaczego. Na wiosnę… wtedy jeszcze nic nie przeczuwałem…

Wziąłem wąską dłoń Pat i podniosłem ją do ust.

– Musisz mieć jeszcze do futra parę rzeczy. Takie nurki to jak samochód bez motoru. Dwie albo trzy suknie wieczorowe…

– Wieczorowe suknie… – powtórzyła, stając przed wystawą. – To prawda, tych trudniej by mi było odmówić.

Wyszukaliśmy trzy cudowne suknie. Widziałem, jak zabawa ożywia Pat. Pochłaniała ją zupełnie, suknie wieczorowe stanowiły jej słabość. Wyszukaliśmy od razu wszystkie fatałaszki, które należały do kompletu, a Pat przejmowała się coraz bardziej. Oczy jej błyszczały. Stałem przy niej, słuchałem jej wyjaśnień, śmiałem się i myślałem, że to przeklęta historia, kiedy kocha się kobietę i jest się nędzarzem.

– Chodź – rzekłem z pewnego rodzaju szubienicznym humorem – jeżeli coś się robi, to już dokładnie! – Zaciągnąłem ją do sklepu jubilerskiego. – Patrz, ta bransoletka ze szmaragdami! Do tego te dwa pierścionki i te kolczyki. Bez dyskusji! Szmaragdy idealnie pasują do twej urody.

– Wobec tego ty musisz dostać platynowy zegarek i perły do gorsu.

– A ty cały sklep! Nie zgodzę się na mniej!

Śmiała się, opierając się o mnie.

– Już dosyć, kochanie, dosyć! Teraz kupimy sobie tylko parę walizek, pójdziemy do biura podróży, spakujemy się i wyjedziemy w świat – precz z miasta, od jesieni i tego wstrętnego deszczu.

„Tak – pomyślałem sobie – szybko powróciłabyś wtedy do zdrowia!"

– Ale dokąd? Do Egiptu? A może jeszcze dalej? Do Indii czy do Chin?

– Do słońca, kochanie, gdzieś, gdzie jest słońce, ciepło, na południe. Gdzie ulice są wysadzane palmami, gdzie są skały i białe domki nad morzem, i agawy. Ale może i tam będzie padać? Może pada wszędzie, na całym świecie?

– W takim razie pojedziemy dalej, aż wreszcie dotrzemy do kraju, gdzie nie pada deszcz. Prosto do krajów tropikalnych, nad południowe morze.

Staliśmy przed jasno oświetlonymi oknami biura linii okrętowej Hamburg–Ameryka. W środku umieszczono model statku. Płynął po niebieskich falach z tektury, a na drugim planie rysowało się potężnym konturem powiększone zdjęcie drapaczy chmur Manhattanu. Na wystawie wisiały wielkie kolorowe mapy z czerwono nakreślonymi trasami statków.

– Pojedziemy także do Ameryki – mówiła Pat. – Do Kentucky, Teksasu, Nowego Jorku, San Francisco i na Wyspy Hawajskie. A potem dalej przez Amerykę Południową. Przez Meksyk, Kanał Panamski, Buenos Aires. I wrócimy przez Rio de Janeiro do domu.

– Tak…

Spojrzała na mnie promiennym wzrokiem.

– Nie byłem tam nigdy – rzekłem. – Wtedy, pamiętasz… nakłamałem ci…

– Wiem.

– Wiesz?

– Ależ, Robby! Oczywiście, że wiem. Wiedziałam to od razu.

– Byłem wtedy trochę zwariowany. Niepewny, durny i oszalały. Dlatego nablagowałem.

– A dzisiaj?

– Tym bardziej. Widzisz przecież. – Wskazałem na parowiec w oknie wystawowym. – Niech to diabli, dlaczego człowiek nie może zabrać się tym pudłem!

Uśmiechnęła się i ujęła mnie pod ramię.

– Ach, kochanie, dlaczego nie jesteśmy bogaci? Wiedzielibyśmy, co zrobić z groszem! Tylu jest bogaczy, którzy nie potrafią wymyślić nic lepszego, jak chodzić całe życie do swoich biur czy banków.

– Dlatego właśnie są bogaci. Gdybyśmy my mieli forsę, na pewno długo by się nas nie trzymała.

– I ja tak myślę. Przepuścilibyśmy wszystko.

– A może z obawy, ażeby nie stracić pieniędzy, nic byśmy z nich nie mieli? Być bogatym to dzisiaj zawód. I wcale nie najłatwiejszy.

– Biedni bogacze! Może lepiej, jeżeli wmówimy w siebie, że mieliśmy forsę i już ją straciliśmy. Ty właśnie przed tygodniem zbankrutowałeś i musiałeś sprzedać wszystko – nasz dom, moje klejnoty i twoje auta. Jak myślisz?

– To bardzo na czasie.

– No to chodź! – zaśmiała się. – Dwoje bankrutów wróci teraz do pokoju w pensjonacie i będzie sobie opowiadać historyjki z dawnych, dobrych czasów.

– Doskonały pomysł.

Szliśmy dalej wolno ulicami. Coraz więcej świateł się zapalało, a gdy zbliżyliśmy się do cmentarza, ujrzeliśmy, jak po zielonym niebie przeciąga samolot z jasno oświetlonymi kabinami. Leciał samotny i piękny przez jasne, wysokie, samotne niebo, niby cudowny ptak tęsknoty ze starej bajki. Przystanęliśmy, patrząc za nim, aż znikł za widnokręgiem.

Nie byliśmy jeszcze i pół godziny w domu, gdy rozległo się pukanie do drzwi mojego pokoju. Pomyślałem, że to znowu Hasse, i poszedłem otworzyć. Była to jednak tym razem pani Zalewska. Miała zafrasowaną i zalęknioną minę.

– Niech pan przyjdzie prędko – szepnęła.

– Cóż takiego się stało?

– Hasse.

Spojrzałem na nią pytająco. Wzruszyła ramionami.

– Zamknął się w pokoju i nie odpowiada na pukanie.

– Chwileczkę.

Wróciłem do pokoju i powiedziałem Pat, żeby się troszkę wyciągnęła, a ja muszę pogadać z Hassem.

– Doskonale, Robby. Znowu czuję zmęczenie.

Poszedłem za panią Zalewska korytarzem. Przed drzwiami Hassego stał zebrany w komplecie prawie cały pensjonat: Erna Bönig w jaskrawym kimonie w chińskie smoki, z wichurą rudych włosów (przed dwoma tygodniami była jeszcze jasną blondynką), zbierający znaczki pocztowe radca skarbowy w bonżurce wojskowego kroju, blady i spokojny Orłow, który dopiero co wrócił z tańczącej herbatki, nerwowo pukający do drzwi i ściszonym głosem wołający Hassego Jerzyk, a wreszcie Fryda, zezująca ze zdenerwowania, trwogi i ciekawości.

– Jak długo pukasz już, Jerzyku? – spytałem.

– Przeszło kwadrans – wyrwała się Fryda, czerwona jak piwonia.

– A przecież jest na pewno u siebie, nie wychodził w ogóle z domu, nie wyjrzał od południa z pokoju, tylko słyszałem, że krząta się, a potem było już cicho… Klucz tkwi od wewnątrz w zamku – rzekł Jerzyk. – Przekręcony.

Spojrzałem na panią Zalewska.

– Musimy wypchnąć klucz z zamka i otworzyć pokój. Czy ma pani klucz zapasowy?

– Zaraz przyniosę pęk kluczy – oświadczyła niespodziewanie usłużna Fryda. – Może któryś się nada.

Kazałem sobie dać drut, naprostowałem klucz w zamku i wypchnąłem go z dziurki. Upadł z brzękiem po drugiej stronie drzwi. Fryda wrzasnęła i zasłoniła sobie twarz rękoma.

– Proszę wynieść się stąd możliwie najdalej – rzekłem i zacząłem próbować klucze. Jeden z nich się nadawał. Otworzyłem zamek i uchyliłem drzwi.

W pokoju panował półmrok i w pierwszej chwili nie można było dostrzec nikogo. Dwa łóżka odcinały się szarą bielą, krzesła były puste, szafa zamknięta.

– Tam, stoi tam! – syknęła Fryda tuż nad moim uchem. Pchała się jak na jarmark. Przesycony cebulą oddech kuchty muskał mi gorącem policzek. – Tam, przy oknie!

– Nie – rzekł Orłow, który przeszedł szybko parę kroków w głąb pokoju i wrócił do progu. Odepchnął mnie w tył, ujął za klamkę i zamknął drzwi. Potem zwrócił się do obecnych. – Lepiej, żeby państwo sobie poszli. Nie jest to przyjemny widok.

Mówił wolno, twardą niemczyzną z rosyjskim akcentem, i zabarykadował sobą drzwi.

– O Boże! – jęknęła pani Zalewska, zataczając się w tył.

Również Erna Bönig cofnęła się parę kroków. Tylko Fryda próbowała przecisnąć się i chwycić za klamkę. Orłow odepchnął ją na korytarz.

– Naprawdę będzie lepiej – powtórzył.

– Mój panie! – fuknął nagle radca skarbowy, prostując się w całej okazałości. – Pan sobie pozwala na zbyt wiele. I to cudzoziemiec!

Orłow spojrzał na niego nieporuszony tym wybuchem.

– Cudzoziemiec czy nie cudzoziemiec, to obojętne… Nie o to chodzi…

– Trup, co? – syknęła Fryda.

– Proszę pani – rzekłem do naszej gospodyni – i ja uważam, że lepiej będzie, jeżeli zostanie tu tylko pani, Orłow i ja.

– Proszę zadzwonić zaraz po lekarza – rzucił Orłow.

Jerzyk już podniósł słuchawkę. Rozmowa nie trwała nawet i pięciu sekund.

– Ja zostanę także – oświadczył, czerwony jak indor, radca skarbowy. – Jako Niemiec mam prawo…

Orłow wzruszył ramionami i otworzył znowu drzwi. Zapalił światło elektryczne. Kobiety odskoczyły z krzykiem. Na tle okna wisiał Hasse z siną twarzą i czarnym wywalonym na wierzch językiem.

– Odciąć! – zawołałem.

– Nie ma sensu – powiedział spokojnie, twardo i smutno Orłow. – Znam się na tym… taka twarz… nie żyje, już od paru godzin.

– Musimy przynajmniej spróbować.

– Lepiej nie… niech najpierw przyjdzie policja…

W tej samej chwili odezwał się dzwonek u drzwi. Przybył lekarz, mieszkający naprzeciwko. Rzucił tylko okiem na chude, złamane ciało.

– Nic nie pomoże. Mimo to musimy zastosować sztuczne oddychanie. Proszę zadzwonić na policję i dać mi nóż.

Hasse powiesił się na grubym, różowym sznurze jedwabnym od szlafroka żony. Umocował go bardzo sprytnie na haku przy oknie. Sznur nasmarował mydłem. Stanął zapewne na parapecie okiennym, a stamtąd osunął się w dół. Ręce denata były kurczowo zaciśnięte, a twarz wyglądała strasznie. Dziwne, ale zdołałem zauważyć, że ma na sobie inne ubranie aniżeli rano. Był to jego najlepszy, znany mi granatowy garnitur z kamgarnu. Twarz ogolona. Czysta bielizna. Na stole ułożone pedantycznie, pod rząd: paszport, książeczka kasy oszczędności, cztery banknoty dziesięciomarkowe, trochę drobnych srebrem. Obok dwa listy: do żony i do policji. Koło listu do żony leżała srebrna papierośnica i ślubna obrączka.

Musiał to starannie obmyślić i wszystko uporządkować. W pokoju panował idealny ład. Gdyśmy go dokładniej obeszli, znaleźliśmy na komodzie pieniądze wraz z kartka ze słowami: „Reszta czynszu za bieżący miesiąc". Kwotę tę położył Hasse osobno, jak gdyby chcąc przez to zaznaczyć, że nie ma ona nic wspólnego z jego samobójstwem.

Odezwał się dzwonek. Zjawiło się dwóch urzędników policji po cywilnemu. Lekarz, który tymczasem odciął ciało, powstał.

– Trup. Nie ulega kwestii: samobójstwo.

Urzędnicy nie odpowiedzieli ani słowem. Zamknąwszy drzwi, obejrzeli dokładnie cały pokój. Wydobyli z szuflady w szafie parę listów i porównali je z pismem na kopertach leżących na stole. Młodszy kiwnął głową.

– Czy kto z państwa zna powód samobójstwa?

Opowiedziałem pokrótce to, co wiedziałem. Urzędnik znowu kiwnął głową i zapisał sobie moje nazwisko i adres.

– Czy można go stąd zabrać? – spytał lekarz.

– Zamówiłem już w szpitalu karetkę – odpowiedział młodszy z urzędników. – Zaraz przyjedzie.

Czekaliśmy. W pokoju było cicho. Lekarz ukląkł na podłodze koło Hassego. Rozpiął mu ubranie, nacierał ręcznikiem piersi i robił próby sztucznego oddychania. Słychać było tylko gwizd i rzężenie powietrza wtłaczanego i uchodzącego z martwych płuc.

– Dwunasty w tym tygodniu – rzekł młodszy agent.

– Z tego samego powodu? – spytałem.

– Nie. Prawie wszyscy z powodu bezrobocia. Dwie rodziny, w tym jedna z trojgiem dzieci. Oczywiście gazem. Rodziny trują się prawie zawsze gazem.

Weszli sanitariusze z noszami. Fryda wemknęła się za nimi. Z jakąś osobliwą chciwością wpiła się oczyma w żałosnego trupa. Miała czerwone wypieki i świeciła się od potu.

– Czego panienka tu chce? – spytał szorstko starszy urzędnik.

Cofnęła się.

– Ja przecież muszę złożyć zeznanie – wyjąkała.

– Jazda za drzwi! – burknął urzędnik.

Sanitariusze okryli ciało Hassego kocem i wynieśli je na korytarz. Obaj urzędnicy poszli za nimi. Zabrali ze sobą papiery pozostawione przez denata.

– Zdeponował pieniądze na pogrzeb – rzekł młodszy urzędnik. – Oddamy to odpowiednim władzom. Jeśli wróci jego żona, proszę powiadomić ją, że ma się zgłosić do komisariatu policji kryminalnej. Zapisał jej pieniądze. Czy reszta rzeczy może na razie pozostać w pokoju?

Pani Zalewska przytaknęła.

– Przecież i tak nie będę go już mogła wynająć.

– Dobrze.

Urzędnik pożegnał się i odszedł. Wyszliśmy także na korytarz. Orłow zamknął drzwi i oddał klucz pani Zalewskiej.

– Najlepiej będzie, jeżeli o całej sprawie będzie się możliwie mało mówiło – powiedziałem.

– I ja tak uważam – rzekła pani Zalewska.

– Mam na myśli przede wszystkim ciebie, Frydo – rzekłem do kocmołucha.

Fryda ocknęła się z transu. Oczy jej błyszczały podnieceniem. Nic nie odpowiedziała.

– A jeżelibyś pisnęła słówko pannie Hollmann, to niech się Bóg nad tobą zlituje.

– Ja wiem o tym bez cudzego gadania – odpowiedziała bezczelnie. – Biedna panienka jest zanadto chora, ażeby ją martwić takimi tam rzeczami!

Oczy jej ciskały skry. Musiałem się pohamować, ażeby nie dać jej w gębę.

– Biedny Hasse! – szepnęła pani Zalewska.

Na korytarzu było ciemno jak w studni.

– Zachował się pan dość nieuprzejmie wobec hrabiego Orłowa – rzekłem do radcy skarbowego. – Czy nie zechciałby go pan przeprosić?

Stary spiorunował mnie wzrokiem.

– Rasowy Niemiec nie przeprasza! A już zwłaszcza Azjatów – oświadczył podniesionym głosem.

Po czym wszedł do swego pokoju i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

– Co się stało temu albumowi znaczków pocztowych? – spytałem zdumiony. – Przecież zawsze był łagodny jak baranek.

– Od paru miesięcy lata na każde zebranie wyborcze – odparł Jerzy z ciemności.

– Ach, tak!

Orłow i Erna Bönig wrócili do swych pokojów. Pani Zalewska zaczęła nagle płakać.

– Niechże pani nie bierze sobie tej sprawy tak bardzo do serca. Nic na to nie możemy pomóc.

– To straszne – szlochała. – Muszę się wyprowadzić, nie potrafię się przemóc!

– Jakoś się pani przyzwyczai. Widziałem przed laty kilkuset ludzi w takim stanie. Anglików zatrutych gazem. I także jakoś zapomniałem.

Uścisnąłem dłoń Jerzyka i wróciłem do swojego pokoju. Było ciemno. Machinalnie spojrzałem na okno, zanim zapaliłem światło. Potem zacząłem nasłuchiwać. Pat spała. Podszedłem do szafy,

wydobyłem flaszkę koniaku i nalałem sobie kieliszek. Doskonały koniak, dobrze, że człowiek ma go pod ręką! Postawiłem butelkę na stole. Ostatnio pił go dzisiaj rano Hasse. Myślałem sobie teraz, że lepiej było nie zostawiać go samego. Byłem przygnębiony, ale nie mogłem sobie robić z tego powodu wyrzutów. Przeszedłem już tyle w życiu i wiedziałem, że albo to wszystko, co człowiek robi, staje się powodem wyrzutów, albo ich w ogóle nie ma. Nieszczęściem Hassego było to, że cała historia wydarzyła się akurat w niedzielę. W dzień powszedni poszedłby do biura i może jakoś przemógł to w sobie.

Wypiłem jeszcze kieliszek. Nie ma sensu rozmyślać o tym wszystkim. Kto wie, co mnie samego jeszcze czeka? Nikt nie wie, czy tego, któremu się dzisiaj współczuje, nie będzie się jeszcze kiedyś uważać za szczęściarza.

Usłyszałem, że Pat się rusza, i przeszedłem do jej pokoju. Spojrzała na mnie.

– Powiadam ci, Robby, to prawdziwa rozpacz. Znowu zasnęłam jak kamień.

– Ależ to doskonale!

– Nie. – Wsparła się na łokciach. – Nie chcę tyle spać.

– Dlaczego? Niekiedy chciałbym przespać jednym ciągiem najbliższych pięćdziesiąt lat.

– Ale nie chciałbyś po obudzeniu się być starszy o pięćdziesiąt lat!

– Nie wiem. O tym można mówić dopiero potem.

– Jesteś smutny?

– Nie, przeciwnie. Właśnie postanowiłem, że ubierzemy się i pójdziemy zjeść jak królowie. Wszystkie twoje ulubione potrawy. A w dodatku trochę się upijemy.

– Znakomicie. Czy wliczyłeś tę ucztę do naszego bankructwa?

– Tak, należy już do tego.

XXI

W połowie października Jaffé wezwał mnie do siebie. Przyszedłem przed dziesiątą, ale pogoda była tak ponura, że w klinice paliły się jeszcze lampy. Blask ich mieszał się z przymglonym światłem dziennym w jakąś chorowitą jasność.

Jaffé siedział sam w swoim wielkim gabinecie. Gdy wszedłem, uniósł świecącą łysinę. Markotnie wskazał na wielkie okno, o które pluskał deszcz.

– Co pan mówi na tę przeklętą słotę?

Wzruszyłem ramionami.

– Mam nadzieję, że niedługo ustanie.

– Nie, nie ustanie.

Patrzał na mnie w milczeniu. Potem wziął z biurka ołówek, przyjrzał mu się, stuknął nim i odłożył znowu na bok.

– Domyślam się, dlaczego mnie pan wezwał, panie profesorze.

Jaffé mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

Poczekałem chwilę. Potem rzekłem:

– Pat musi pewno niedługo wyjechać…

– Tak. – Jaffé patrzył gniewnie przed siebie. – Liczyłem, że wypadnie to na koniec października. Ale przy takiej pogodzie…

Chwycił znowu srebrny ołówek.

Wicher cisnął w okno strugę deszczu, aż klasnęło. Brzmiało to jak odległy ogień karabinów maszynowych.

– Jak pan uważa… kiedy powinna jechać? – spytałem.

Spojrzał na mnie najprzód spode łba, a potem prosto w oczy.

– Jutro.

Na chwilę ziemia uciekła mi spod nóg. Powietrze zmieniło się w watę i oblepiło mi płuca. Potem skurcz minął. Spytałem, jak tylko potrafiłem najspokojniej, ale głos mój dochodził gdzieś z daleka, jakby to pytał ktoś inny:

– Czy nastąpiło nagłe pogorszenie?

Jaffé potrząsnął energicznie głową i wstał z fotela.

– Gdyby zaszło pogorszenie, nie mogłaby w ogóle wyjechać – rzekł niechętnym tonem. – Uważam tylko, że tak będzie lepiej. Przy tego rodzaju pogodzie każdy dzień stanowi niebezpieczeństwo. Zaziębienia i takie tam rzeczy…

Wziął ze stołu kilka listów.

– Przygotowałem już wszystko. Tylko jechać. Naczelnego lekarza sanatorium znam z czasów moich studiów. To bardzo zdolny lekarz. Poinformowałem go dokładnie o przebiegu choroby.

Wręczył mi listy. Wziąłem je, ale nie włożyłem do kieszeni. Spojrzał na mnie, potem stanął przede mną i położył mi rękę na ramieniu. Była lekka jak dotknięcie skrzydła ptaka, nie czułem jej w ogóle.

– Ja wiem – rzekł cicho, zmienionym zupełnie głosem – ja wiem, że to ciężko. Dlatego czekałem, dopóki było można.

– Nie jest ciężko… – zacząłem.

Żachnął się.

– Niechże pan da spokój.

– Nie, ja nie tak myślałem. Chciałbym wiedzieć tylko jedno: czy ona stamtąd wróci?

Jaffé milczał przez chwilę. Jego ciemne oczy błyszczały w smętnym, żółtym świetle.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – zagadnął po chwili.

– W przeciwnym bowiem razie lepiej, żeby w ogóle nie jechała.

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

– Co takiego?

– Lepiej, żeby pozostała tutaj.

Przeszył mnie wzrokiem.

– Czy pan wie, co by to znaczyło? Z wszelką pewnością? – spytał cicho, ale ostro.

– Tak. Znaczyłoby to, że nie będzie umierała sama. A co to znaczy, to ja wiem.

Jaffé skulił się, jakby nagle zmarzł. Potem podszedł powoli do okna i patrzał na ulewę. Gdy odwrócił się, twarz jego była jakby zastygłą maską. Stanął tuż przede mną.

– Ile pan ma lat? – spytał.

– Trzydzieści – odparłem, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Trzydzieści lat – powtórzył osobliwym tonem, jak gdyby mówił do siebie i nie zrozumiał mojej odpowiedzi. – Mój Boże, trzydzieści lat! – Podszedł do biurka, przystanął, mały i osobliwie nieobecny na tle olbrzymiego, błyszczącego szkłem i metalem mebla. – Niedługo skończę sześćdziesiąt – rzekł, nie patrząc na mnie – ale nie potrafiłbym się na to zdobyć. Zawsze próbowałbym wszystkiego, absolutnie wszystkiego, ciągle, nawet gdybym wiedział, że jest to bezcelowe.

Milczałem. Jaffé stał przy biurku, jakby zapomniał o istnieniu wszystkiego dokoła. Potem poruszył się, a twarz jego zmieniła wyraz. Uśmiechał się.

– Jestem przekonany, że znakomicie przetrzyma tam, w górach, zimę.

– Tylko zimę?

– Mam nadzieję, że na wiosnę będzie mogła wrócić.

– Nadzieja… co znaczy nadzieja?

– Wszystko. Zawsze – wszystko. Nic więcej nie mogę panu teraz powiedzieć. Wszystko inne to możliwości. Musimy zobaczyć, jak jej się tam będzie powodziło. Ale mam głęboką nadzieję, że na wiosnę będzie mogła wrócić do miasta.

– Na pewno?

– Tak. – Obszedł biurko i kopnął nogą otwartą szufladę z taką siłą, że aż szklanki na stole zadźwięczały. – Tam do licha – mruknął – niechże pan zrozumie, że mnie samemu jest ciężko ją wysyłać.

Weszła pielęgniarka. Jaffé machnął ręką. Mimo to stała dalej, krępa, kwadratowa, z twarzą buldoga, ocienioną siwymi włosami.

– Później! – mruknął Jaffé. – Proszę przyjść później.

Siostra odwróciła się gniewnym ruchem. Wychodząc, zgasiła światło elektryczne. W wielkim gabinecie zapanował nagle szary, mleczny dzień. Twarz Jaffégo wydała mi się teraz pusta i blada.

– Stara wiedźma! Od dwudziestu lat noszę się z zamiarem wyrzucenia jej. Ale to zbyt dobra siła. – Potem zwrócił się do mnie. – No, cośmy postanowili?

– Jedziemy dzisiaj wieczorem.

– Dzisiaj?

– Tak. Jeżeli już tak być musi, to lepiej zrobić to dzisiaj, aniżeli jutro. Odwiozę Pat na miejsce. Mogę sobie pozwolić na parę dni urlopu.

Kiwnął głową i podał mi rękę.

Wyszedłem. Droga do drzwi wydała mi się niezmiernie długa.

Przystanąłem na ulicy. Teraz dopiero spostrzegłem, że trzymam w ręce listy profesora. Deszcz klaskał o koperty. Otarłem listy i włożyłem je do kieszeni na piersiach. Potem rozejrzałem się wkoło. Przed kliniką zatrzymał się właśnie autobus. Był pełny po brzegi. Hurma ludzi wysypała się z wozu. Kilka dziewcząt, ubranych w czarne, lśniące płaszcze nieprzemakalne, żartowało i śmiało się z konduktorem. Był młody, a jego białe zęby błyskały w opalonej twarzy. „To niemożliwe – myślałem – to chyba nieprawda! Tyle życia, a Pat musi jechać!”

Autobus odjechał z brzęczeniem i dzwonieniem. Koła rozprysnęły kałużę wody aż na chodnik. Ruszyłem, aby zawiadomić Köstera o wyjeździe i kupić bilety.

W południe wróciłem do domu. Załatwiłem wszystko i wysłałem także depeszę do sanatorium.

– Pat – powiedziałem od drzwi – czy zdążysz spakować się do wieczora?

– Czy muszę już jechać?

– Tak. Tak, Pat.

– Sama?

– Nie. Pojedziemy razem. Odwiozę cię.

Krew napłynęła z powrotem do twarzy Pat.

– Kiedy mam być gotowa?

– Pociąg odchodzi o dziesiątej wieczorem.

– Czy wyjdziesz jeszcze raz na miasto?

– Nie, zostanę aż do naszego odjazdu.

Odetchnęła głęboko.

– To świetnie, Robby. Czy zaczniemy zaraz pakować?

– Mamy jeszcze trochę czasu.

– Wolę zabrać się zaraz do roboty. Potem będę miała wolną głowę.

– Dobra.

Wrzuciłem do walizki parę rzeczy, które chciałem zabrać ze sobą. Nie zajęło mi to nawet pół godziny. Potem zaszedłem do pani Zalewskiej i oznajmiłem jej, że wyjedziemy dzisiaj wieczorem. Umówiłem się z nią, że pokój Pat będzie wolny od pierwszego listopada, oczywiście jeżeli go nie zdoła wynająć wcześniej. Chciała wdać się w dłuższą pogawędkę, ale odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Pat klęczała przed kufrem-szafką, wokoło rozłożone były jej sukienki, na łóżku bielizna. Pakowała właśnie obuwie. Przypomniałem sobie, że podobnie klęczała przed kufrem, gdy wprowadziła się do tego pokoju i rozpakowywała rzeczy. Zdało mi się, że było to nieskończenie dawno, a równocześnie jakby zdarzyło się dopiero wczoraj.

Podniosła oczy.

– Czy zabierasz także srebrną sukienkę? – spytałem.

Kiwnęła główką.

– A co zrobimy z wszystkimi innymi rzeczami? Z meblami?

– Omówiłem już wszystko z panią Zalewską. Zabiorę do mego pokoju tyle, ile się zmieści. Resztę oddamy na przechowanie do spedytora. Kiedy wrócisz, odbierzemy wszystko ze składu.

– Kiedy wrócę…

– Tak, na wiosnę, gdy wrócisz opalona górskim słońcem.

Pomogłem jej w pakowaniu i po południu, gdy na dworze zapadł mrok, uporaliśmy się z całą robotą. Dziwne to było: wszyst-

kie meble stały jeszcze na swoim miejscu, opróżnione były tylko szafy i szuflady, a jednak pokój wydawał się smutny i pusty. Pat usiadła na łóżku. Wyglądała na zmęczoną.

– Czy mam zapalić światło? – spytałem.

Potrząsnęła głową.

– Nie, zostaw jeszcze trochę tak, jak jest.

Usiadłem przy niej.

– Chcesz papierosa?

– Nie, Robby. Chciałabym tylko trochę posiedzieć tak cicho.

Wstałem i podszedłem do okna. Na ulicy paliły się już niespokojnie smagane deszczem latarnie. Wiatr szalał w gałęziach drzew. Chodnikiem szła Róża, połyskiwały jej wysokie buty. Pod pachą niosła zawiniątko, zdążała do „Internationalu". Prawdopodobnie zabrała ze sobą robotę na drutach, żeby zrobić coś dla swej małej. Za nią sunęły Fritzi i Marion, obie w nowych, białych, obcisłych płaszczach nieprzemakalnych. Po chwili ich śladem podreptała zmęczona, wynędzniała Mimi.

Odwróciłem się. W pokoju zrobiło się tak ciemno, że nie dostrzegałem już Pat. Słyszałem tylko jej oddech. Powoli i smutnie zaczęły się za drzewami cmentarza wspinać w górę świetlne reklamy. Czerwony napis reklamy papierosów zawisł nad dachami jak czerwona wstęga orderowa, błękitne i szmaragdowe kręgi jakiejś marki wina zaczęły pryskać światłem, jasne zarysy reklamy proszku do prania wystrzeliły z mroku. Światło ich rzucało matowy, rozpierzchnięty blask przez okna na ściany i sufit. Wędrował on tam i z powrotem, a pokój wydał się nagle jakimś zgubionym na dnie morza dzwonem nurka, wokół którego szumiały fale deszczu i z daleka wciskał się słaby odblask barwnego świata.

Była ósma wieczorem. Na ulicy zahuczał klakson.

– To Gotfryd zajechał taksówką. Zabierze nas na kolację.

Wstałem, podszedłem do okna i zawołałem, że zaraz schodzimy. Potem zapaliłem małą lampkę na stole i przeszedłem do mego pokoju. Wydał mi się diabelnie obcy. Wyjąłem flaszkę rumu i łyk-

nąłem kieliszek. Usiadłem w fotelu i zapatrzyłem się na tapetę. Po chwili wstałem, podszedłem do umywalni, aby przyczesać sobie włosy. Zapomniałem jednak o tym zamiarze, gdy ujrzałem w lustrze własną twarz. Patrzyłem na nią zimno i ciekawie. Ściągnąłem wargi i uśmiechnąłem się do odbicia. Oddało mi uśmiech, blady i kurczowy.

– Ty – powiedziałem bezgłośnie.

Potem wróciłem do pokoju Pat.

– No, idziemy już, stary łobuzie?

– Tak, ale chciałabym jeszcze zajrzeć do twego pokoju.

– Po co? Ot, stara buda…

– Zostań u mnie. Zaraz wrócę.

Czekałem chwilę, a potem poszedłem za Pat. Stała na środku pokoju i drgnęła na mój widok. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego wyrazu jej twarzy. Była całkiem zgaszona. Trwało to tylko chwilę, po czym uśmiechnęła się.

– Chodź, teraz możemy iść.

W kuchni czatowała na nas pani Zalewska. Jej szare loczki chwiały się zalotnie, a na tle czarnej jedwabnej sukni jaśniała broszka z wizerunkiem nieboszczyka męża.

– Trzymaj się mocno – szepnąłem do Pat. – Na pewno weźmie cię w ramiona!

W chwilę potem Pat znikła na olbrzymiej piersi pani Zalewskiej. Tłusta twarz gospodyni drgała. Jeszcze parę sekund, a Pat byłaby zalana potopem łez: gdy mama Zalewska zaczynała beczeć, to z oczu jej tryskało jak z syfonu wody sodowej.

– Proszę wybaczyć – wmieszałem się – ale nam się strasznie śpieszy. Najwyższy czas!

– Najwyższy czas? – Pani Zalewska zmierzyła mnie druzgocącym wzrokiem. – Przecież pociąg odchodzi dopiero za dwie godziny! Do tego czasu chce pan pewnie jeszcze spoić to biedne dziecko.

Pat nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie, proszę pani. Musimy pożegnać się jeszcze z resztą naszej paczki.

Mama Zalewska potrząsnęła niedowierzająco głową.

– Ach, panno Hollmann, pani myśli, że ten młodzieniec to brylant. A to tylko szkiełko… i to od kieliszka.

– Poetyczny obraz! – zauważyłem.

– Moje dziecko – jęknęła pani Zalewska, porwana nawrotem czułości. – Niech pani wraca jak najszybciej! Pani pokój będzie zawsze czekał. Nawet gdyby sam cesarz w nim zamieszkał, musiałby się wyprowadzić, gdy pani się zjawi.

– Dziękuję pani bardzo. Za wszystko. Także za wróżenie z kart. Zapamiętałam sobie wszyściuteńkie rady i ostrzeżenia.

– To bardzo ładnie z pani strony. Niechże pani sobie uczciwie odpocznie i wróci całkiem zdrowa!

– Tak, postaram się. Do widzenia, droga pani. Do widzenia, Frydo.

Wyszliśmy. Drzwi od korytarza trzasnęły za nami. Klatka schodowa była na wpół ciemna – parę żarówek się przepaliło. Pat milczała, zstępując lekkim, miękkim krokiem ze schodów. Miałem takie wrażenie, jak gdyby skończył się nasz urlop i jakbyśmy szli o szarym świcie na dworzec, ażeby wyruszyć z powrotem na front.

Lenz otworzył drzwiczki taksówki.

– Uwaga! – ostrzegł.

Wóz wyładowany był po brzegi różami. Dwa olbrzymie naręcza białych i czerwonych pąków leżały na tylnych siedzeniach. Poznałem natychmiast, skąd pochodzą kwiaty: ogród katedralny.

– Ostatnie – wyjaśnił Gotfryd wielce zadowolony z siebie. – Zdobycie ich było połączone z pewnymi trudnościami. Musiałem dłuższy czas dyskutować na ten temat z proboszczem.

– Czy on miał takie błękitne, dziecięce oczy? – spytałem.

– Ach, więc to o ciebie chodziło! Opowiadał mi o tobie! Był ogromnie rozczarowany, kiedy się zorientował, dlaczego odbywamy pielgrzymki do Stacji Męki Pańskiej. Myślał, że znowu wzrasta pobożność wśród mężczyzn.

– Ale pozwolił ci wynieść tyle kwiatów?

– Doszliśmy do porozumienia. W końcu pomagał mi je nawet zrywać.

Pat roześmiała się.

– Naprawdę?

Gotfryd mrugnął porozumiewawczo.

– Oczywiście! Wspaniale to wyglądało, kiedy ksiądz niemal po ciemku skakał do najwyższej gałęzi. Opanowała go po prostu gorączka sportowa. Opowiadał mi zresztą, że w czasach szkolnych był niezłym graczem w piłkę nożną. Prawy skrzydłowy, zdaje mi się.

– Namówiłeś księdza do kradzieży. To kosztuje ładne paręset lat pobytu w piekle. Ale gdzie się podziewa Otto?

– Jest już u Alfonsa. Bo przecież pójdziemy chyba do Alfonsa?

– Naturalnie – potwierdziła Pat.

– No, to jazda!

U Alfonsa podano nam zająca szpikowanego słoninką, z czerwoną kapustą i duszonymi jabłuszkami. Po uczcie gospodarz na zakończenie nastawił płytę z chórem dońskich kozaków. Była to cicha pieśń, przy której chór wtórował stłumionymi głosami jak dalekie organy. Jeden tylko samotny, dźwięczny głos unosił się na ich tle. Wydawało mi się, że oto otwierają się bezgłośnie drzwi, wychodzi z nich zmęczony wiekiem starzec, siada w milczeniu przy stole i słucha pieśni swej młodości.

– Dzieci – rzekł Alfons, gdy szmer chóru ściszał się i bladł, aż wreszcie rozwiał się niby westchnienie. – Wiecie, o czym muszę zawsze myśleć, słuchając tego chóru? O Ypres… pamiętasz, Gotfryd, w marcu 1917 roku. O jednym takim wieczorze, kiedyśmy siedzieli z Bertelsmannem…

– Tak, pamiętam doskonale, Alfonsie. To był wieczór, kiedy kwitły czereśnie…

Alfons kiwnął głową.

Köster wstał.

– Zdaje mi się, że czas na nas. – Spojrzał na zegarek. – Tak, musimy się śpieszyć.

– Jeszcze łyk koniaku – rzekł Alfons. – Prawdziwego Napoleona! Kazałem przecież specjalnie dla was przynieść go z piwnicy.

Wychyliliśmy po kieliszku i zabieraliśmy się do odejścia.

– Do widzenia, Alfonsie – powiedziała Pat. – Zawsze chętnie bywałam u pana. – Podała mu rękę.

Alfons poczerwieniał. Trzymał mocno jej dłoń w obu swoich łapach.

– A więc… jeżeli pani będzie czego potrzebować, proszę tylko dać znać. – Spojrzał na nią wyraźnie zmieszany. – Przecież pani należy teraz do naszej paczki. Nigdy mi się nie marzyło, żeby kobieta mogła się do nas wkupić.

– Dziękuję, Alfonsie, dziękuję. Doprawdy, to najpiękniejsze, co mogłeś mi powiedzieć. Do widzenia i powodzenia!

– Do widzenia! Proszę wracać jak najprędzej!

Köster z Lenzem odwieźli nas na dworzec. Zatrzymaliśmy się na chwilę przed domem, a ja sprowadziłem pieska. Walizki zawiózł już przedtem na stację Jupp.

Przyjechaliśmy na ostatnią chwilę. Ledwieśmy wsiedli, pociąg ruszył. Gdy lokomotywa zaczęła wynurzać się z hali dworca, Gotfryd wyciągnął z kieszeni opakowaną flaszkę.

– Zabierz to ze sobą, Robby. W podróży zawsze może się przydać.

– Dzięki, wypijcie sami wieczorem, moi drodzy! Już mam tego rodzaju apteczkę.

– Bierz, tego nigdy nie za dużo! – Idąc przy jadącym już pociągu, rzucił mi paczkę przez okno. – Do widzenia, Pat! – zawołał. – Jak zbankrutujemy doszczętnie, przyjedziemy wszyscy do ciebie w góry. Otto jako instruktor narciarski, ja jako nauczyciel tańca, a Robby jako grajek. Stworzymy trupę do spółki z tobą i będziemy się włóczyć od hotelu do hotelu!

Pociąg przyśpieszył biegu i Gotfryd został na peronie. Pat wychyliła się z okna i kiwała ręką, dopóki dworzec nie zniknął za zakrętem toru. Potem odwróciła się ku mnie. Była bardzo blada, a oczy jej połyskiwały wilgotno. Objąłem ją mocno.

– Chodź, napijemy się dla kurażu. Trzymałaś się naprawdę wspaniale.

– Ale nie jest mi bynajmniej wspaniale na duszy – odparła, próbując się uśmiechnąć.

– I mnie także nie. Dlatego powinniśmy się czegoś napić.

Otworzyłem flaszkę i podałem jej kubeczek koniaku.

– Dobry?

Kiwnęła głową i wsparła się na moim ramieniu.

– Ach, kochanie, co z nami będzie?

– Nie powinnaś płakać. Byłem tak dumny z ciebie, że przez cały dzień nie uroniłaś ani jednej łezki.

– Ja nie płaczę – szepnęła i potrząsnęła głową.

Łzy leciały jak groch po jej szczupłej twarzy.

– Dalej, napij się jeszcze – rzekłem, ujmując ją mocno wpół. – To tylko pierwsza chwila, potem jest lepiej.

Przytaknęła.

– Tak, Robby. Ale ty się tym za bardzo nie trap. Zaraz minie. Lepiej, żebyś tego nie widział. Zostaw mnie na chwilę w przedziale, już ja wezmę się w garść.

– Po co? Przez cały dzień byłaś taka dzielna. Możesz się teraz wypłakać.

– Nie byłam wcale taka dzielna. Tylko ty nie widziałeś tego.

– Być może. Ale w takim razie właśnie byłaś dzielna.

Starała się zdobyć na uśmiech.

– Dlaczego, Robby?

– Bo to znaczy, że człowiek się nie poddaje. – Pogłaskałem ją po włosach. – Dopóki człowiek się nie poddaje, jest silniejszy niż los.

– Kiedy we mnie nie ma ani na lekarstwo odwagi, kochanie… – szepnęła. – Tylko całkiem po prostu lęk. Wstrętna trwoga przed ostatnią wielką trwogą.

– To wszystko należy do odwagi, Pat.

Wsparła się na mnie.

– Ach, Robby, ty wcale nie wiesz, co to lęk.

– Wiem, Pat.

Otwarły się drzwi przedziału. Konduktor spytał o bilety. Wręczyłem mu je.

– Czy miejsce sypialne jest dla pani?

Przytaknąłem.

– Musi pani przejść do sypialnego. Bilet nie jest ważny do innych przedziałów.

– Dobrze.

– A psa musi pan oddać do wozu bagażowego. Przedział dla psów znajduje się w wozie bagażowym.

– Doskonale – odezwałem się. – Gdzie jest wagon sypialny?

– Trzeci na prawo. Bagażowy całkiem na przodzie.

Poszedł. Na jego piersi kołysała się mała latarka. Wyglądało to, jakby dokonywał obchodu szybów w kopalni.

– Musimy się przenieść, Pat. Potem przemycę do twego przedziału szczeniaka. To nie dla niego, miejsce w wozie bagażowym.

Nie wziąłem dla siebie miejsca sypialnego. Nie sprawiało mi różnicy spędzenie nocy w kącie przedziału. Poza tym kosztowało to mniej.

Jupp umieścił już bagaż Pat w sypialnym. Przedział był ładnym, niewielkim, wykładanym mahoniem pokoikiem. Pat dostało się dolne łóżko. Spytałem konduktora, czy górne będzie zajęte.

– Tak. Od Frankfurtu.

– Kiedy będziemy we Frankfurcie?

– O wpół do trzeciej.

Dałem mu napiwek i wróciłem do swego wagonu.

– Za pół godziny zjawię się u ciebie z psiakiem – powiedziałem Pat na odchodnym.

– Ta sztuczka ci się nie uda. Konduktor jedzie w tym wagonie.

– Już ja sobie dam radę. Tylko nie zamykaj przedziału.

Wróciłem do siebie, mijając konduktora, który bacznie mi się przyjrzał. Na najbliższej stacji wysiadłem z psem i przespacerowałem po peronie za wóz sypialny, aż do sąsiedniego wagonu. Przeczekałem, aż konduktor wysiądzie, ażeby pogadać z prowadzącym pociąg. Wskoczyłem do pociągu, przeszedłem do wagonu sypialnego i wśliznąłem się do przedziału Pat, nie zauważony przez nikogo.

Miała na sobie miękki biały szlafrok i wyglądała cudownie. Oczy jej błyszczały.

– Już się przemogłam, Robby.

– Doskonale. Może się położysz? Z miejscem tu nieco skąpo. Siądę przy tobie na łóżku.

– Dobrze, ale… – ociągała się, wskazując górne łóżko. – Ale jeżeli nagle stanie w progu prezesowa związku opieki nad upadłymi dziewczętami…

– Do Frankfurtu jest szmat drogi. Będę uważał. Nie zaśpię.

Na krótko przed Frankfurtem przemknąłem do mojego przedziału. Usiadłem w kącie przy oknie i usiłowałem zasnąć. Ale we Frankfurcie wpakował się do przedziału jakiś brodaty wilk morski, który natychmiast rozpakował swoje zawiniątko i zaczął się posilać. Zażerał się tak intensywnie, że ani rusz nie mogłem zasnąć. Żucie i mlaskanie trwało niemal godzinę. Po czym wilk morski otarł sobie brodę, wyciągnął się na ławce i zaczął koncert, jakiego uszy moje nigdy jeszcze nie słyszały. Nie było to pospolite chrapanie: dochodziły mnie ryczące westchnienia, przerywane urywanym jękiem oraz przeciągłym gulgotaniem. Nie mogłem ani rusz odkryć systemu tego różnorakiego chrapania. Na szczęście facet opuścił mój przedział o wpół do szóstej.

Kiedy się obudziłem, na dworze wszystko wirowało od bieli. Padał wielkimi płatkami śnieg, a przedział tonął w osobliwie nierzeczywistej poświacie. Pociąg przedzierał się już przez góry. Dochodziła dziewiąta. Przeciągnąłem się i poszedłem się umyć i ogolić. Gdy wróciłem, w przedziale czekała na mnie Pat. Wyglądała na wypoczętą i świeżą.

– Wyspałaś się dobrze?

Przytaknęła.

– Jakaż jest ta stara spirytystka, która zajęła górne łóżko?

– Młoda i ładna. Nazywa się Helga Guttmann i jedzie do tego samego sanatorium co ja.

– Naprawdę?

– Tak, Robby. Ale ty się nie wyspałeś, widać to po tobie. Musisz przynajmniej zjeść porządne śniadanie.

– Kawa postawi mnie na nogi. Kawa i naparstek wiśniówki.

Przeszliśmy do wozu restauracyjnego. Ogarnął mnie nagle dobry nastrój. Wszystko wydawało mi się teraz jakieś nie tak groźne, jak ubiegłego wieczoru.

Helga Guttmann siedziała już przy stoliku. Była to szczupła, żywa dziewczyna o południowym typie urody.

– To rzeczywiście zbieg okoliczności – powiedziałem do niej – że pani jedzie do tego samego sanatorium.

– To nie jest zbieg okoliczności – odpowiedziała.

Spojrzałem na nią. Zaśmiała się.

– O tej porze wszystkie ptaki zbierają się do odlotu. Cały ten stół – wskazała w kąt wagonu – jedzie tam także.

– Skąd pani wie?

– Znam ich z zeszłego roku. Tam na górze wszyscy się przecież znają.

Zjawił się kelner z kawą.

– Proszę przynieść dla mnie duży kieliszek wiśniówki – powiedziałem.

Musiałem coś wypić. Nagle wszystko wydało mi się proste i oczywiste. Tam oto siedzieli ludzie, którzy jechali także do sanatorium, jechali już po raz drugi i robili wrażenie, jakby to było dla nich zwykłą przejażdżką. Cały ten strach nie ma sensu. Pat wróci, tak jak wrócili tamci wszyscy. Nie myślałem o tym, że jadą już po raz drugi – wystarczyło mi, że się stamtąd wraca i że znowu ma się przed sobą rok życia w mieście. W ciągu roku wiele może się zmienić. Przeszłość nauczyła nas myśleć na krótki dystans.

Przyjechaliśmy późnym popołudniem. Przejaśniło się zupełnie, słońce kładło się złotem na śniegu, a tak błękitnego nieba nie oglądaliśmy już od wielu tygodni. Na dworcu czekało mnóstwo ludzi. Wołali i machali rękoma, a z pociągu odpowiadano im także machaniem. Helgę Guttmann porwała z miejsca jakaś roześmiana blondyna z dwoma panami, ubranymi w jasne pumpy. Helga była podniecona i wierciła się jak fryga. Robiła wrażenie, jakby po długiej nieobecności wróciła do domu.

– Do widzenia na górze! – zawołała do nas i wsiadła z przyjaciółmi do sanek.

Pasażerowie rozproszyli się szybko, a w kilka minut później pozostaliśmy sami na dworcu. Podszedł do nas tragarz.

– Państwo do jakiego hotelu? – spytał.

– Sanatorium Waldfrieden – rzuciłem.

Kiwnął głową i dał znak dorożkarzowi. Razem z woźnicą załadowali walizki do jasnobłękitnych sanek, zaprzężonych w parę siwków. Konie przystrojone były w kolorowe pióropusze, a para unosiła się wokół ich pysków jak chmura perłowej barwy.

Wsiedliśmy do sanek.

– Czy chcą państwo jechać kolejką linową, czy też sankami aż na górę?

– Jak długo jedzie się sankami?

– Pół godziny.

– Pojedziemy sankami.

Woźnica cmoknął na konie i ruszyliśmy z kopyta. Droga wychodziła ze wsi i podążała w górę. Sanatorium leżało na wzgórzu ponad wsią. Był to biały budynek z długim szeregiem okien. Przed każdym oknem znajdował się balkon. Na dachu trzepotała w słabym podmuchu chorągiew. Przypuszczałem, że sanatorium będzie urządzone w stylu szpitalnym, tymczasem przypominało ono – przynajmniej, jeśli chodzi o parter – raczej hotel. W hallu paliło się na kominku, a małe stoliczki nakryte były do herbaty.

Zameldowaliśmy się w biurze przyjęć. Służący wniósł nasze rzeczy, a starsza dama objaśniła nas, że Pat ma pokój nr 79. Zapytałem, czy mógłbym na parę dni dostać tutaj także pokój.

Potrząsnęła głową.

– Nie w gmachu sanatorium. Ale może pan zamieszkać w dependence.

– A gdzie to jest?

– Tuż obok.

– Doskonale, to proszę mi dać pokój i polecić przenieść tam mój bagaż.

Całkowicie bezszelestną windą wjechaliśmy na drugie piętro. Na górze pachniało już bardziej szpitalem, co prawda bardzo komfortowym, ale zawsze – szpitalem. Białe korytarze, białe drzwi, wszystko błyszczące szkłem, niklem i czystością. Na górze przyjęła nas starsza siostra.

– Panna Hollmann?

– Tak. Mam pokój 79, prawda?

Siostra skinęła głową, poszła przodem i otworzyła drzwi.

– Oto pani pokój.

Był jasny, średniej wielkości. Przez szerokie okno wlewało się światło wieczoru. Na stoliku pysznił się bukiet żółtych i czerwonych astrów, a za oknami leżały rozelśnione pola śnieżne, w które wtuliła się wioska, jak w wielką, miękką pierzynę.

– Podoba ci się tutaj? – spytałem Pat.

Przyglądała mi się chwilę.

– Tak – rzekła potem.

Służący wniósł walizki.

– Kiedy będę musiała pójść na badanie? – spytała Pat siostrę.

– Jutro przed południem. Najlepiej będzie, jeżeli dzisiaj wieczorem położy się pani wcześnie spać, ażeby jutro być wypoczętą.

Pat zdjęła płaszcz i rzuciła go na białe łóżko, nad którym powieszono już nową kartę gorączki.

– Czy w pokoju nie ma telefonu? – spytałem.

– Jest kontakt. Można wstawić telefon.

– Czy dzisiaj mam jeszcze coś robić? – spytała Pat.

Siostra potrząsnęła głową.

– Dzisiaj nic. Dopiero jutro po badaniu ustalony zostanie rozkład pani dnia. Badanie lekarskie odbędzie się o dziesiątej. Przyjdę po panią.

– Dziękuję, siostro.

Siostra wyszła. Służący czekał jeszcze u drzwi. Wsunąłem mu w rękę napiwek. Zniknął. W pokoju zapanowała nagle przejmująca cisza. Pat stała przy oknie. Głowa jej rysowała się ciemno na tle blasku za oknem.

– Jesteś zmęczona?

Odwróciła się.

– Nie.

– Wyglądasz, jakbyś była.

– To zupełnie innego rodzaju zmęczenie, Robby. Ale na takie zmęczenie jest jeszcze dużo czasu.

– Czy chcesz się przebrać? A może lepiej zejdziemy na godzinkę na dół? Myślę, że lepiej będzie zejść jeszcze na trochę do hallu.

– Tak. Lepiej będzie.

Zjechaliśmy bezszelestną windą na dół i usiedliśmy przy stoliku w hallu. Po chwili zjawiła się Helga Guttmann z gronem przyjaciół. Przysiedli się do naszego stolika. Helga Guttmann była ożywiona i nienaturalnie wesoła, ale ja cieszyłem się, że jest tutaj i że Pat ma już parę osób znajomych. Zawsze najtrudniej jest przebrnąć przez pierwszy dzień.

XXII

Wyjechałem w tydzień później. Prosto z dworca poszedłem do warsztatu. Wieczór zapadał, deszcz lał dalej w najlepsze i wydawało mi się, że wyjechałem stąd z Pat chyba przed rokiem.

Köster i Lenz siedzieli w biurze.

– Zjawiasz się w samą porę! – rzekł Gotfryd.

– Co się stało?

– Dajże mu wejść do budy – mitygował go Köster.

Usiadłem przy nich.

– Jak się czuje Pat? – spytał Otto.

– Dobrze. Tak dobrze, jak może się czuć. A teraz powiedzcie mi wreszcie, co tu słychać?

Chodziło o wóz marki Stutz. Naprawiliśmy go i przed dwoma tygodniami dostarczyliśmy właścicielowi. Köster poszedł wczoraj po forsę. Tymczasem jednak właściciel wozu zrobił plajtę i samochód został włączony do masy upadłościowej.

– To jeszcze nic strasznego – orzekłem. – Przecież będziemy mieli do czynienia z towarzystwem ubezpieczeń.

– Myśmy też tak myśleli – rzekł sucho Lenz. – Ale wóz nie był ubezpieczony.

– Niech to diabli! Czy to prawda, Otto?

Köster przytaknął.

– Dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj.

– I po to cackaliśmy się z facetem jak siostry miłosierdzia i jeszcze biliśmy się o tego grata! – mruknął Lenz. – Żeby nam teraz cztery tysiące marek przeszły koło nosa.

– Któż mógł się tego spodziewać? – zauważyłem.

Lenz zaczął się śmiać.

– Idiotyczna sytuacja!

– Co teraz zrobimy? – spytałem Ottona.

– Oczywiście zgłosiłem nasze pretensje do masy upadłościowej, ale obawiam się, że niewiele z tego wyniknie.

– Zamkniemy budę na kłódkę, oto co z tego wyniknie! – mruknął Gotfryd. – Urząd skarbowy buntuje się już z powodu naszych zaległości podatkowych.

– Może i tak – przystał Köster.

Lenz podniósł się z krzesła.

– Spokój i dzielna postawa są ozdobą żołnierza w ciężkich sytuacjach. – Podszedł do szafy i wydobył koniak.

– Przy kieliszku zdobędziemy się nawet na bohaterską postawę – oświadczyłem. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to ostatnia nasza butelka dobrego chowu.

– Bohaterska postawa, chłopie – pouczał mnie Lenz – nadaje się na ciężkie czasy. A my żyjemy w rozpaczliwych czasach. W takich wypadkach jedyną uczciwą postawą jest humor. – Wychylił kieliszek. – Tak, a teraz dosiądę naszego Rosynanta i uzbieram trochę miedziaków.

Przeszedł przez ciemne podwórze i wyjechał taksówką. Siedzieliśmy jeszcze chwilę z Ottonem.

– To pech! – rzekłem. – W ostatnich czasach mamy diabelnego pecha.

– Nauczyłem się nie myśleć więcej, aniżeli to konieczne. I tak jest tego dość. Powiedz, jak tam było w górach?

– Gdyby nie ta choroba, powiadam ci, raj na ziemi. Śnieg i słońce.

Uniósł głowę.

– Śnieg i słońce. To brzmi trochę nieprawdopodobnie, co?

– Tak. Diablo nieprawdopodobnie. Tam na górze wszystko jest nieprawdopodobne.

Spojrzał na mnie.

– Jakie masz plany na wieczór?

Wzruszyłem ramionami.

– Najpierw odniosę walizkę do domu.

– Muszę wyjść na godzinkę na miasto. Zjawisz się później w barze?

– Murowane. Cóż mam innego do roboty?

Zabrałem walizkę z przechowalni i zawiozłem do domu. Otworzyłem drzwi, jak mogłem najciszej, nie miałem bowiem ochoty wdawać się z nikim w pogawędkę. Udało mi się przemknąć do pokoju, nie dostając się w rączki pani Zalewskiej. Przez chwilę siedziałem w swojej norze. Na stole poniewierały się listy i gazety. W kopertach tylko reklamy i druki. Nie miałem nikogo, kto by pisał do mnie listy. „Teraz będę je dostawał" – pomyślałem sobie.

Po chwili wstałem z fotela, umyłem się i przebrałem. Nie wypakowałem rzeczy z walizki. Chciałem mieć coś do roboty, gdy w nocy wrócę sam do domu. Nie poszedłem także do pokoju Pat, chociaż wiedziałem, że stoi pusty. Cichutko przekradłem się korytarzem i odetchnąłem, znalazłszy się na schodach.

Zaszedłem do „Internationalu", żeby coś przekąsić. U progu powitał mnie kelner Alojzy.

– Wrócił pan do nas?

– Tak. Ostatecznie człowiek wraca zawsze na stare śmiecie.

Róża prezydowała wśród gromady dziewcząt przy dużym stole. Zebrał się prawie cały komplet. Była to pora między jednym a drugim obchodem.

– O Boże, przecież to Robert! – zawołała Róża. – Rzadki gość!

– Nie pytaj za wiele. Grunt, że jestem z powrotem.

– Jak to? Czy będziesz teraz zaglądał częściej?

– Prawdopodobnie.

– Nie trap się – rzekła Róża, patrząc mi w oczy. – Wszystko przemija.

– Racja. Jest to najpewniejsza prawda na świecie.

– Oczywiście – przytaknęła Róża. – Lili mogłaby coś niecoś na ten temat powiedzieć.

– Lili? – Dopiero teraz zauważyłem ją obok Róży. – Co ty tu robisz? Przecież wyszłaś za mąż, miałaś siedzieć w domu i pomagać w przedsiębiorstwie instalacyjnym?

Lili nie odpowiedziała.

– Przedsiębiorstwo instalacyjne! – parsknęła drwiąco Róża. – Dopóki miała pieniądze, wszystko było w porządku – Lili, Liluchna, jej przeszłość nie miała najmniejszego znaczenia. Akurat pół roku trwała ta sielanka. Kiedy facet wyciągnął od niej wszystko co do grosza i zmienił się za jej pieniądze w eleganckiego pana, zaczęło mu przeszkadzać, że jego żona była kiedyś dziwką. – Róża aż sapała z przejęcia. – Nagle okazało się, że o niczym nie wiedział! Był okropnie zaskoczony jej przeszłością! Tak okropnie zaskoczony, że aż wystąpił o rozwód. No, a pieniądze, oczywiście, rozeszły się tymczasem.

– Ile tego było? – spytałem.

– Drobiazg, cztery tysiące marek! Masz pojęcie, z iloma draniami musiała Lili spać, żeby tyle uciułać!

– Cztery tysiące – powtórzyłem. – Znowu cztery tysiące. Zdaje się, że dziś ta liczba wszędzie straszy.

Róża spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Zagraj coś lepiej – powiedziała. – Może to nam poprawi nastrój.

– Dobrze. Skoro znowu znaleźliśmy się tu wszyscy…

Usiadłem do fortepianu i zagrałem parę szlagierów. Myślałem przy tym o pieniądzach: że wystarczy ich na pobyt Pat w sanatorium mniej więcej do końca stycznia i że muszę więcej zarabiać. Mechanicznie waliłem w klawisze i widziałem wzruszoną Różę, siedzącą na kanapie, a obok niej bladą, jakby skamieniałą twarz Lili, zimniejszą i bardziej martwą, niż gdyby była martwa naprawdę.

Czyjś okrzyk wyrwał mnie z zadumy. Róża oprzytomniała ze swych marzeń. Stała za stolikiem, kapelusz jej się przekrzywił, miała szeroko otwarte oczy, ale nie widziała, że kawa z przewróconej filiżanki ścieka prosto do jej otwartej torby.

– Artur! – wyjąkała wreszcie. – Czy to naprawdę ty?

Przestałem grać. Do salki wszedł chudy mężczyzna o niedbałych ruchach, w meloniku zsuniętym na tył głowy. Miał żółtą, niezdrową cerę, wydatny nos i stosunkowo za małą, jajowatą głowę.

– Artur! – mamrotała Róża. – To ty?

– No, a niby kto? – warknął Artur.

– O Boże, jak się tu znalazłeś?

– A jak się miałem znaleźć? Wszedłem z ulicy przez drzwi.

Jak na powrót po tak długiej nieobecności, Artur nie był szczególnie uprzejmy. Przyglądałem mu się ciekawie. A więc to było legendarne bożyszcze Róży, ojciec jej dziecka. Wyglądał, jakby się zjawił wprost z więzienia. Nie mogłem dopatrzeć się niczego, co by usprawiedliwiało małpią miłość Róży do tego draba. Ale może właśnie to było powodem. Dziwne, na co potrafiły się dać nabrać te zaprawione przez życie znawczynie mężczyzn!

Artur sięgnął bez pytania po stojący na sąsiednim stoliku kufel piwa i wypił je duszkiem. Grdyka poruszała mu się przy tym na żylastej szyi jak winda, w górę i w dół. Róża przyglądała mu się rozpromieniona.

– Chcesz jeszcze kufelek? – spytała.

– Pewno! – mruknął Artur. – Ale większy.

– Alojzy! – Róża ruchem ręki przywołała kelnera. – On chce jeszcze piwa.

– Przecież widzę – odparł niewzruszony Alojzy i napełnił kufel.

– A nasza mała! Arturze, tyś w ogóle jeszcze nie widział Elwirki!

– Te! – Artur pierwszy raz się ożywił. Podniósł rękę gestem obrony. – Tylko mnie nie czaruj! To mnie guzik obchodzi. Chciałem, żebyś się pozbyła bachora. I pozbyłabyś się, gdyby mnie nie… – Pogrążył się w posępnej zadumie. – A teraz wydajesz na chłopaka kupę pieniędzy.

– Nie tak dużo, Arturze. I wiesz, to jest dziewczynka.

– Dziewucha też kosztuje – oświadczył Artur i wtrąbił dwa dalsze piwa. – Może zresztą uda się znaleźć jakąś bogatą wariatkę, która ją zaadoptuje. Oczywiście, za grubszą odprawą. To byłoby jeszcze najlepsze wyjście. – Ocknął się z rozmyślań. – Masz przy sobie forsę?

Róża gorliwie sięgnęła po zachlapaną kawą torebkę.

– Tylko pięć marek, Arturze, nie spodziewałam się przecież, że przyjedziesz. Ale w domu mam więcej.

Artur z miną paszy wsunął srebrne monety do kieszonki w kamizelce.

– Pewno, że niewiele możesz zarobić, kiedy tu wygniatasz tyłkiem kanapę – mruknął niezadowolony.

– Już idę, Arturze. Ale teraz i tak przerwa w interesie. To pora kolacji.

– Drobna zwierzyna także daje gnój – oświadczył Artur.

– Już idę.

– No, to cześć! – Artur przytknął dwa palce do melonika. – Zajrzę tu koło dwunastej.

Wyszedł niedbałym krokiem z lokalu. Róża patrzyła za nim wniebowzięta. Artur nie obejrzał się i nie zamknął za sobą drzwi.

– Bydlę! – zaklął Alojzy i zamknął za nim.

Róża spoglądała na nas z dumą.

– No, czy on nie jest nadzwyczajny? Jemu nic nie da rady. Gdzie on też tkwił cały ten czas?

– To chyba widać po jego cerze – odrzekła Wally. – W ciupie. Drań z najwyższymi odznaczeniami!

– Nie znasz go…

– Mam ich wszystkich dość.

– Ty tego nie rozumiesz. – Róża wstała z kanapy. – To jest prawdziwy mężczyzna. Nie żaden łzawy ciamajda. No, to ja już pójdę. Serwus, dzieci!

Jak odmłodzona wyszła lekkim, kołyszącym się krokiem. Znowu miała kogoś, komu będzie mogła oddawać zarobione pieniądze, żeby je przepijał, a potem ją prał. Była szczęśliwa.

W pół godziny później poszły za nią inne. Tylko Lili z kamienną twarzą nie ruszyła się z miejsca. Pobrzdąkałem jeszcze trochę na fortepianie, potem zjadłem jakąś kanapkę i ulotniłem się. Trudno było wysiedzieć dłużej sam na sam z milczącą Lili.

Powlokłem się przez mokre, ciemne ulice. Pod cmentarzem ustawili się członkowie Armii Zbawienia. Przy wtórze trąbek śpiewali o niebiańskim Jeruzalem. Zatrzymałem się. Nagle ogarnęło mnie uczucie, że nie potrafię znieść tego sam, bez Pat. Wpatrywałem się w blado połyskujące nagrobki i powtarzałem sobie, że przed rokiem byłem bardziej samotny, że nie znałem wtedy Pat,

a teraz mam ją przecież, choć jest daleko. Nic nie pomagało – byłem zupełnie bezradny i wytrącony z równowagi. W końcu poszedłem do domu zobaczyć, czy nie ma dla mnie poczty. Nie miało to najmniejszego sensu, bo list nie mógł jeszcze nadejść i oczywiście go nie było, mimo to poszedłem sprawdzić.

Wychodząc, spotkałem w drzwiach Orłowa. Miał pod płaszczem smoking; szedł jak co wieczór do hotelu, pełnić swoje obowiązki na dansingu. Spytałem go, czy pani Hasse odezwała się w czasie mojej nieobecności.

– Nie – odpowiedział. – Nie była ani tu, ani w komisariacie. I lepiej, żeby się nie zjawiała.

Doszliśmy do hotelu, w którym Orłow pracował. Jakaś dama wysiadła właśnie z buicka i rzuciła się ku nam z radosnym okrzykiem. Była dość tęga, elegancka i miała nic nie mówiącą bezmyślną twarz czterdziestoletniej blondynki, która nigdy w życiu nie miała kłopotów.

– Przepraszam – rzekł Orłow, spoglądając na mnie znacząco. – Pan rozumie, obowiązki zawodowe.

Skłonił się przed blondynką i ucałował jej dłoń.

W barze siedzieli Valentin, Köster i Ferdynand Grau. Lenz zjawił się później. Przysiadłem się do nich i zamówiłem sobie pół butelki rumu. Czułem się wciąż jeszcze pod psem.

Ferdynand siedział w kącie, szeroki i zwalisty. Twarz miał porytą zmarszczkami, ale oczy jasne i błękitne. Wypił już sporo.

– No, mój mały – rzekł, uderzając mnie po ramieniu – co się z tobą dzieje?

– Nic, Ferdynandzie, i to jest właśnie najgorsze.

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Nic? Naprawdę nic? To bardzo dużo. Nic to zwierciadło, w którym widzi się świat.

– Brawo! – zawołał Gotfryd. – Niesłychanie oryginalna uwaga, Ferdek!

– Siedź cicho, Gotfrydzie – ofuknął go Ferdynand, zwracając ku niemu swoją olbrzymią głowę. – Romantyk, taki jak ty, to tylko patetyczny konik polny na skraju życia. Zawsze pojmuje wszystko

błędnie i robi sobie z tego sensację. Cóż ty wiesz o nicości, wago piórkowa?

– Dostatecznie dużo, ażeby pozostawać przy mojej wadze. Przyzwoici ludzie mają szacunek dla nicości, Ferdziu. Nie grzebią się w niej jak kret.

Grau przyglądał mu się uważnie.

– Na zdrowie! – zawołał Gotfryd.

– Na zdrowie! – zawtórował Ferdynand. – Na zdrowie, ty korku od butelki!

Wychylili kieliszki do dna.

– I ja chciałbym być korkiem – rzekłem, opróżniwszy kieliszek. – Człowiekiem, który wszystko robi tak jak trzeba i któremu wszystko idzie jak z płatka. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Apostata! – ryknął Ferdynand, rzucając się w swoim fotelu w tył, aż trzasnęło. – Chcesz zdezerterować? Chcesz zdradzić braterstwo broni?

– Nie, nie chcę nic zdradzić. Ale chciałbym, żeby nie rozłaziło mi się zawsze wszystko w palcach.

Ferdynand pochylił się w przód. Jego dzika, olbrzymia twarz drżała.

– Za to należysz do zakonu, bracie… do zakonu ludzi, którym się nie wiedzie, ludzi niezaradnych, z pragnieniami bez celu, z tęsknotą, która nic im nie daje, z miłością bez przyszłości i rozpaczą bez rozumu. – Uśmiechnął się. – Do tajnego bractwa, które raczej woli zdechnąć, aniżeli robić karierę, które woli przegrać życie, roztrwonić je, zgubić, niż sfałszować nieosiągalny obraz lub o nim zapomnieć… obraz, bracie, który nosi w sercu, który wyrył się w nim nieprzemijalnie w owych dniach i nocach, kiedy nie było nic prócz nagiego życia i nagiej śmierci… – Podniósł kieliszek i dał znak Fredowi tkwiącemu za barem. – Daj mi czegoś do picia.

Fred przyniósł flaszkę.

– Czy mam zagrać coś na gramofonie?

– Nie – rzekł Lenz. – Wyrzuć to swoje pudło i przynieś większe kieliszki. A potem zgaś połowę świateł, daj nam tu parę flaszek i zmykaj do swojej kancelarii.

Fred kiwnął głową i zgasił światła u sufitu. Paliły się teraz tylko lampki z pergaminowymi abażurami, wyciętymi ze starych map. Lenz napełnił kieliszki.

– Na zdrowie, dzieci! Za to, że żyjemy! Że oddychamy! Że tak mocno odczuwamy tętno życia i nie wiemy, co z nim począć!

– Racja – wtrącił Ferdynand. – Tylko nieszczęśliwy człek wie, co to szczęście. Szczęśliwy jest manekinem instynktu życiowego. Popisuje się szczęściem, ale go nie ma. Światło nie świeci się w świetle, jaśnieje tylko w ciemności. Za zdrowie mroku! Kto raz miał do czynienia z piorunami, temu nic po maszynie do elektrycznego masażu. Niech diabli porwą burzę! Błogosławione niech będą nasze strzępy życia! A ponieważ je kochamy, nie składajmy go na procent! Niszczmy je! Pijcie, dziatki! Są gwiazdy, które świecą co noc, chociaż rozpadły się w pył przed dziesięcioma tysiącami lat świetlnych! Pijcie, dopóki czas! Niech żyje nieszczęście! Niech żyje mrok!

Nalał sobie pełną szklankę koniaku i wychylił ją duszkiem.

Rum kołatał mi w skroniach. Wstałem po cichu i wyśliznąłem się do biura Freda. Zbudziłem go i poleciłem zamówić rozmowę z sanatorium.

– Niech pan poczeka przy aparacie – rzekł Fred. – O tej porze dostaje się połączenie raz-dwa.

W pięć minut później zadzwonił telefon. Zgłosiło się sanatorium.

– Chciałbym mówić z panną Hollmann.

– Chwileczkę, łączę z oddziałem.

Po chwili zgłosiła się siostra dyżurna.

– Panna Hollmann już śpi.

– Czy w pokoju nie ma telefonu?

– Nie.

– Czy nie mogłaby pani zbudzić panny Hollmann?

W głosie siostry wyczułem wahanie.

– Nie. Poza tym nie wolno jej dzisiaj wstawać.

– Czy coś się stało?

– Nie. Ale musi parę dni poleżeć w łóżku.

– Czy na pewno nic nie zaszło?

– Nie, nie, zawsze tak jest na początku. Musi przeleżeć się w łóżku i przywyknąć do klimatu.

Odwiesiłem słuchawkę.

– Za późno? Co? – spytał Fred.

– Jak to za późno?

Wskazał na zegarek.

– Dochodzi dwunasta.

– Rzeczywiście. Nie powinienem był w ogóle dzwonić.

Wróciłem do baru i piłem dalej.

O drugiej zebraliśmy się do wyjścia. Lenz odwiózł Valentina i Ferdynanda taksówką do domu.

– Chodź – rzekł do mnie Köster, zapuszczając silnik Karla.

– Te parę kroków mogę doskonale przejść pieszo.

Spojrzał na mnie.

– Wyjedziemy jeszcze trochę za miasto.

– Dobra.

Wsiadłem do wozu.

– Prowadź – rzekł Otto.

– Nonsens. Jestem przecież zalany.

– Jedź. Na moją odpowiedzialność.

– No, zobaczysz, co będzie – mruknąłem, sadowiąc się za kierownicą.

Motor ryknął. Kierownica drżała mi w rękach. Ulice spiętrzyły się przede mną, domy chwierutały, latarnie pochylały krzywo w ukośnie siekącym deszczu.

– Nie da rady, Ottonie. Wpieprzę się na jakiś mur.

– Wal naprzód.

Spojrzałem na niego. Twarz jego była wyrazista, pełna napięcia, opanowana. Śledził leżącą przed nami drogę. Wparłem się grzbietem w oparcie i ująłem mocniej kierownicę. Zwarłem zęby i przymrużyłem oczy. Powoli trasa stawała się coraz bardziej wyraźna.

– Gdzie jechać, Otto?

– Dalej. Przed siebie.

Wydostaliśmy się na ulicę wylotową i zagrzechotaliśmy na autostradzie.

– Daj szosowe światła – rzekł Köster.

Betonowa nawierzchnia przed nami miała jasnoszary połysk. Deszcz już ustawał, ale zmiatane pędem krople siekły mi twarz jak grad. Wicher nadlatywał w potężnych uderzeniach, chmury wisiały nisko, tuż nad lasem rozdarły się i przez wyrwę przeciekało srebro. Mgła pod powiekami roztapiała się. Łomot motoru wędrował przez ramiona i przenikał w ciało. Czułem dokładnie maszynę i jej moc. Wybuchy cylindrów wstrząsały tępym osłupieniem, zalegającym mózg. Tłoki łomotały w krwi jak pompy ssące. Ująłem mocniej kierownicę. Wóz rwał otwartą drogą.

– Prędzej – rozkazał Köster.

Opony zaczęły gwizdać. Drzewa i słupy telegraficzne przelatywały z brzękiem koło nas. Jakaś wieś zapadła się w mrok. Byłem już zupełnie trzeźwy.

– Dodaj gazu.

– Czy utrzymam wóz? Droga jest mokra.

– Sam się zorientujesz. Przed wirażem włącz trzeci bieg i dodaj gazu.

Motor zagrzmiał. Powietrze biło mi w twarz. Pochyliłem się za szybą. I nagle wciągnął mnie w siebie grzmot maszyny, wóz i ciało zlały się w jedno jedyne napięcie, w wysoką wibrację; czułem koła pod nogami, szosę, szybkość, coś się we mnie nagle wyrównało, noc wyła i gnała, wymiatała ze mnie wszystko, usta zacisnęły się twardo, ręce zmieniły się w stalowe uchwyty, byłem już tylko jazdą i pędem, szalonym i niewiarygodnie przytomnym zarazem.

Na jednym z wirażów wóz zarzuciło jak się patrzy. Wykręciłem kierownicę raz i drugi i dodałem gazu. Przez chwilę wszystko zrobiło się lekkie jak balon, ale potem wóz schwycił równowagę.

– Doskonale – pochwalił Köster.

– Mokre liście, ścierwo – usprawiedliwiłem się i poczułem ciepło i odprężenie, które wpływa w krew po zwalczeniu niebezpieczeństwa.

Köster przytaknął.

– Tak, liście to paskudna rzecz na jesieni przy braniu wiraży w lesie. Chcesz zapalić?

– Tak.

Osadziłem wóz w miejscu. Zaciągnęliśmy się dymem.

– Teraz możemy zawrócić – rzekł Köster.

Pojechaliśmy z powrotem do miasta. Wysiadłem przed domem.

– Dobrze, żeśmy wyjechali, Otto. Już się przemogłem.

– Na drugi raz pokażę ci inną technikę brania wiraży – odpowiedział. – Trzeba w odpowiedniej chwili przerzucić się na hamulce. Ale to się udaje tylko na suchej drodze.

– Doskonale, Otto. Dobranoc.

– Śpij dobrze, Robby.

Karl prychnął i znikł. Wszedłem na schody. Byłem straszliwie zmęczony, ale zupełnie spokojny. Smutek gdzieś przepadł.

XXIII

Z początkiem listopada sprzedaliśmy citroena. Pieniądze zdobyte w ten sposób wystarczyły na to, ażeby jakiś czas jeszcze prowadzić warsztat, ale nasze położenie pogarszało się z tygodnia na tydzień. Ludzie odstawiali na zimę wozy do garażu, żeby oszczędzić na benzynie i podatkach, a naprawy zdarzały się coraz rzadziej. Próbowaliśmy łatać biedę za pomocą taksówki, ale zarobku nie wystarczało na nas trzech. Byłem więc całkiem zadowolony, gdy gospodarz z „Internationalu" zaproponował mi, żebym od grudnia grywał znowu co wieczór na fortepianie. W ostatnich czasach szczęście uśmiechnęło się do niego. Związek Handlarzy Bydła postanowił odbywać swoje cotygodniowe zebrania w pokoiku na tyle knajpy, w jego ślady poszedł Związek Handlarzy Koni, a wreszcie dołączyło się Towarzystwo Palenia Zwłok na Zasadzie Wzajemności. Dzięki temu zajęciu mogłem pozostawić eksploatację taksówki Lenzowi i Kösterowi. Było mi to nawet na rękę – nie wiedziałem, co ze sobą robić wieczorami.

Pat pisywała do mnie regularnie. Czekałem na jej listy, ale nie umiałem sobie ani rusz wyobrazić, jak właściwie żyje, i nieraz w mrocznych i brudnych tygodniach grudnia, gdy nawet w południe nie rozwidniało się uczciwie, miałem wrażenie, że wymknęła mi się z rąk i że wszystko się skończyło. Wydawało mi się, że wyjechała z miasta nieskończenie dawno, i nie mogłem sobie wyobrazić, że kiedyś wróci. A potem przychodziły wieczory wypełnione ciężką, dziką tęsknotą, kiedy nie było innej rady, jak siedzieć z kurwami i handlarzami bydła aż do rana i pić na umór.

Gospodarz otrzymał zezwolenie na otwarcie knajpy także w czasie Wigilii. Miał urządzić wielką ucztę dla kawalerów ze wszystkich bywających u niego związków. Przewodniczący Związku Handlarzy Bydła, kupiec od trzody chlewnej Stefan Grigoleit, ofiarował na ten cel dwa prosiaki oraz pewną liczbę nóżek wieprzowych. Owdowiał przed dwoma laty i był uczciwym facetem. Chciał spędzić święta w towarzystwie.

Gospodarz szarpnął się na czterometrową choinkę, którą ustawiono tuż koło lady. Róża, autorytet we wszystkich sprawach dotyczących uroczystości domowych i rodzinnych, podjęła się dzieła przyozdobienia drzewka. Marion i pedek Kiki, który na skutek swoich skłonności odznaczał się dużym poczuciem piękna, pomagali jej w tym dziele. We trójkę zaczęli pracować już od południa. Zużyli nieprawdopodobne ilości kolorowych kulek, świeczek i lamety, ale też chojak wyglądał pod koniec urodziwie. Jako specjalny dowód hołdu dla Grigoleita zawieszono na gałęziach różowe świnki z marcepanu.

Położyłem się po południu do łóżka, żeby trochę się przespać. Gdy zbudziłem się, było już ciemno. Musiałem zastanawiać się przez chwilę, czy to rano, czy wieczór. Śniło mi się coś, ale nie pamiętam dokładnie, co to było. Zawędrowałem gdzieś daleko w tym śnie i zdawało mi się, że słyszę jeszcze, jak zatrzaskują się za mną jakieś czarne wrota. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że ktoś puka do drzwi.

– Kto tam?

– To ja, proszę pana.

Poznałem głos pani Zalewskiej.

– Proszę wejść! – zawołałem. – Drzwi są otwarte.

Szczęknęła klamka i na tle żółtego światła z korytarza zarysowała się postać pani Zalewskiej.

– Przyszła pani Hasse – szepnęła. – Niech pan prędko przyjdzie. Ja jej tego nie powiem.

Nie poruszyłem się na łóżku. Musiałem najprzód oprzytomnieć.

– Niech pani ją odeśle na policję – mruknąłem wreszcie.

– Ależ, proszę pana! – Tu pani Zalewska podniosła obie ręce ku niebu. – W całym pensjonacie nie ma prócz pana żywej duszy.

Musi mi pan pomóc. Przecież jest pan podobno chrześcijaninem!

Stała jak roztańczony, czarny cień w czworoboku drzwi.

– Niechże pani da spokój – rzekłem rozdrażniony. – Już idę.

Ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Pani Zalewska czekała na korytarzu.

– Czy ona już wie?

Potrząsnęła głową i przycisnęła chusteczkę do ust.

– Gdzie jest?

– W swoim dawnym pokoju.

U wejścia do kuchni stała spocona z emocji Fryda.

– Ma na głowie taki kapelusz… wie pan, cały z rajerami… i jeszcze broszkę diamentową! – szepnęła.

– Niech pani uważa, ażeby ten przeklęty szturmak nie podsłuchiwał – powiedziałem do pani Zalewskiej i wszedłem do dawnego pokoju Hassów.

Pani Hasse stała u okna. Obróciła się spiesznie, gdym wszedł do pokoju. Najwidoczniej oczekiwała kogoś innego. Było to strasznie głupie, ale pierwsze moje spojrzenie padło na kapelusz i broszkę, chociaż bynajmniej tego nie chciałem. Fryda miała rację. Kapelusz był paradny. Broszka mniej. Niewiasta była wystrojona jak ktoś, kto chce pokazać, że mu się doskonale powodzi. Wyglądała nawet nieźle. W każdym razie lepiej, aniżeli w czasie całorocznego pobytu w pensjonacie.

– Hasse pracuje pewnie jeszcze i w Wigilię! – spytała zaczepnie.

– Nie.

– Gdzież więc jest? Na urlopie?

Podeszła do mnie, kołysząc się w biodrach. Uderzyła mnie woń zbyt silnych perfum.

– Czego pani chce od niego?

– Chciałam załatwić moje sprawy. Rozliczyć się. Ostatecznie część rzeczy należy do mnie.

– Nie potrzebuje się pani rozliczać. Teraz wszystko należy do pani.

Gapiła się na mnie.

– Hasse umarł – rzekłem.

Chętnie byłbym ją zawiadomił o tym inaczej. Powoli, przygotowawszy ją na to. Ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Poza tym w głowie szumiało mi jeszcze od popołudniowej drzemki. Snu, po którym, kiedy się człowiek budzi, bliski jest popełnienia samobójstwa.

Pani Hasse stała pośrodku pokoju i – rzecz zabawna – w chwili, gdy jej powiedziałem o śmierci męża, uprzytomniłem sobie wyraźnie, że jeżeli się przewróci, nie uderzy się o żaden mebel. Dziwne to, ale naprawdę nie widziałem nic poza tym obrazem i nie myślałem o niczym innym.

Ona się jednak nie przewróciła. Stała jak wryta i wytrzeszczała na mnie oczy.

– Tak… tak…?

Tylko pióra na jej kapeluszu drżały. I nagle – nie zdążyłem nawet połapać się w tym, co się dzieje – ujrzałem, jak wystrojona, uperfumowana kobieta starzeje się w moich oczach. Było to tak, jakby czas spadł na nią niby burza, a każda sekunda stanowiła rok. Napięcie znikło, triumf zgasł, a twarz jakby zbutwiała. Zmarszczki wypełzły na nią niby robaki. A gdy potem czepiającym się, błędnym ruchem chwyciła poręcz krzesła i usiadła tak niepewnie, jakby bała się coś złamać, zdawało mi się, że nie jest to już ten sam człowiek – tak bardzo była zmęczona, rozbita i stara.

– Co mu się stało? – spytała, nie poruszając wargami.

– To przyszło nagle.

Nie słuchała moich słów. Patrzyła tępo na własne ręce.

– Co ja teraz zrobię? – szeptała. – Co ja teraz zrobię?

Czekałem chwilę. Czułem się podle.

– Na pewno ma pani kogoś, u kogo może pani szukać schronienia – ozwałem się w końcu. – Lepiej będzie, jeżeli pani nie zostanie tutaj. Nie zamierzała pani zresztą tu pozostać…

– Teraz wszystko się zmieniło – odpowiedziała, nie podnosząc oczu. – Co ja mam ze sobą począć?

– Przecież ma pani na pewno człowieka, który czeka na panią. Niech pani wraca do niego i omówi z nim całą sprawę. A po świętach niech pani pójdzie do komisariatu policji. Są tam w depozycie

rzeczy po nieboszczyku, a także książeczka oszczędnościowa. Musi się pani tam zgłosić, ażeby móc odebrać pieniądze.

– Pieniądze, pieniądze? – mamrotała w otępieniu. – Jakie pieniądze?

– Dość spora sumka. Tysiąc dwieście marek.

Podniosła głowę. Oczy jej nabrały nagle obłąkanego wyrazu.

– Nie! – wrzasnęła. – To nieprawda!

Milczałem.

– Niech pan powie, że to nieprawda – szepnęła.

– Być może, że to nieprawda. Ale być może, że nieboszczyk składał grosz do grosza na czarną godzinę.

Wstała z krzesła. Zmieniła się w jednej chwili. Ruchy jej miały teraz w sobie coś kanciastego, twardego, jak ruchy maszyny. Zbliżyła swoją twarz do mojej.

– Tak, to prawda – syknęła – czuję, że to prawda! Łajdak! O, ten łajdak! Każe mi znosić biedę, a potem takie rzeczy wyłażą na jaw! Ale ja wezmę te pieniądze, przepuszczę je jednego wieczoru, wyrzucę przez okno, żeby nic z nich nie pozostało. Nic! Nic!

Milczałem. Miałem wyżej uszu tej przeprawy. Wdowa przeszła już najgorsze, wiedziała, że Hasse umarł. Być może, że zemdleje, kiedy usłyszy, że biedaczysko się powiesił, ale to już jej sprawa. Nie można było dla niej wskrzesić biedaka.

Pani Hasse zaczęła teraz płakać. Rozpływała się dosłownie w łzach. Płakała piskliwie i żałośnie jak dziecko. Trwało to dość długo. Dałbym wiele za to, żeby móc zapalić papierosa. Nie znoszę widoku ludzi płaczących.

Wreszcie przestała. Otarła oczy, wydobyła mechanicznie puderniczkę i upudrowała się, nie zaglądając do lusterka. Potem wsadziła z powrotem srebrne puzderko, ale zapomniała zamknąć torebkę.

– Już nic nie wiem – rzekła złamanym głosem – nic nie wiem. To był na pewno dobry człowiek.

– Tak.

Podałem jej jeszcze adres komisariatu policji i zaznaczyłem, że dzisiaj jest już nieczynny. Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeżeli nie pójdzie tam od razu. Na dzisiaj wystarczy.

Gdy drzwi zamknęły się za wdową, pani Zalewska wyszła ze swojego salonu.

– Czy rzeczywiście poza mną nie ma tu żywej duszy? – spytałem wściekły na siebie samego.

– Tylko pan Jerzyk. Co powiedziała?

– Nic.

– Tym lepiej.

– Zależy, czasami to nie jest lepiej.

– Nie mam ani trochę współczucia dla tej kobiety – oświadczyła energicznie pani Zalewska. – Ani odrobiny.

– Współczucie jest najbardziej nieużytecznym artykułem na świecie – powiedziałem zły. – Powinna pani wiedzieć, że jest to odwrotna strona satysfakcji z czyjegoś nieszczęścia. Która to godzina?

– Za kwadrans siódma.

– Chciałbym o siódmej porozmawiać telefonicznie z panną Hollmann, ale tak, żeby nikt nie podsłuchiwał. Czy da się to zrobić?

– Poza panem Jerzykiem nie ma nikogo w mieszkaniu. Frydę wysłałam już z domu. Jeżeli pan chce, może pan usiąść w kuchni. Sznur sięgnie tam.

– Dobrze.

Zapukałem do Jerzyka. Dawno już nie zaglądałem do niego. Ślęczał pochylony nad biurkiem i był bardzo mizerny. Naokoło leżały sterty podartych papierów.

– Dzień dobry, Jerzyku. Co ty robisz?

– Inwentarz – odpowiedział z bladym uśmiechem. – Piękne zajęcie na święta.

Pochyliłem się, ażeby podjąć jeden z papierków. Były to strzępy zeszytów zapisanych formułami chemicznymi.

– Dlaczego drzesz to wszystko?

– Bo to już nie ma żadnego sensu, Robby!

Miał twarz całkiem przezroczystą. Uszy jak ulepione z wosku.

– Coś jadł dzisiaj?

Machnął ręką.

– Wszystko jedno. Nie o to chodzi. Jedzenie nie jest ważne. Po prostu nie mogę tak dalej ciągnąć. Muszę dać spokój.

– Czy jest naprawdę tak źle?

– Tak.

– Jerzyku – rzekłem spokojnie – spójrz na mnie. Czy nie sądzisz, że ja także chciałem być czymś innym niż grajkiem w tej kurewskiej budzie, „Internationalu”?

Splótł ręce, aż trzasnęło.

– Wiem, Robby. Ale to mi nie pomaga. Dla mnie studia były wszystkim. A teraz zrozumiałem, że to nie ma sensu. Że nie ma rzeczy, która by miała cel. Po co właściwie poniewieramy się po świecie?

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, tak żałośnie wyglądał i tyle powagi brzmiało w jego głosie.

– Ach, ty osiołku, odkryłeś Amerykę! Czy myślisz, że ty jeden doszedłeś do tej wspaniałej wiedzy? Oczywiście, cały ten bałagan nie ma celu. Ale człowiek nie żyje dla jakiegoś celu. Nie jest to takie proste. Dalej, ubierz się. Pójdziesz ze mną do „Internationalu”. Będziemy obchodzić uroczyście święto twojego pasowania na mężczyznę. Dotychczas byłeś uczniakiem. Za pół godziny zajdę po ciebie.

– Nie.

Wyglądał na straszliwie zgnębionego.

– Pójdziesz. Zrobisz mi tym wielką przyjemność. Nie chciałbym być dzisiaj sam.

Spojrzał na mnie zrozpaczonym wzrokiem.

– No, jeżeli tak… – mruknął zbity z tropu. – Ostatecznie wszystko jedno.

– No, widzisz. Na początek jest to wcale ładne hasło wyborcze.

O siódmej zamówiłem rozmowę z Pat. Od siódmej płaciło się połowę taryfy, mogłem więc dwa razy dłużej rozmawiać. Usiadłem przy stole w przedpokoju i czekałem. Nie chciałem iść do kuchni. Woniało tam haniebnie groszkiem, a z tego rodzaju zapachami nie chciałem wiązać osoby Pat nawet przez telefon. W kwadrans później otrzymałem rozmowę. Pat znalazła się zaraz przy aparacie. Gdy posłyszałem tuż blisko jej ciepły, niski, nieco wahający się

głos, ogarnęło mnie takie wzruszenie, że nie mogłem wydusić z siebie słowa. Opanowało mnie drżenie, tętnienie krwi, przeciwko któremu, mimo największego wysiłku, nic nie mogłem zrobić.

– Mój Boże… Pat… Czy to rzeczywiście ty?

Zaśmiała się.

– Gdzie jesteś, Robby? W biurze?

– Nie, siedzę przy stole w pensjonacie Zalewskiej. Jak się czujesz?

– Dobrze, kochanie.

– Czy wstałaś?

– Tak. Siedzę na parapecie mojego okna i mam na sobie biały płaszcz kąpielowy. Za oknami pada śnieg.

Ujrzałem ją wyraźnie przed oczyma. Widziałem wirujące płatki śniegu, widziałem jej wąską, ciemną główkę, proste, nieco pochylone do przodu ramiona, złotawą skórę.

– Mój Boże, Pat… te przeklęte pieniądze! Gdyby było inaczej, zaraz bym wsiadł w samolot i zjawił się u ciebie jeszcze dzisiaj wieczorem.

– Ach, kochanie…

Milczała. Słuchałem lekkiego chrobotu i brzęczenia przewodu.

– Czy jesteś jeszcze, Pat?

– Tak, Robby. Ale nie powinieneś mówić takich rzeczy. Od razu zakręciło mi się w głowie.

– Mnie także kręci się we łbie. Opowiedz mi, co ty tam robisz w tych górach?

Zaczęła mówić, ale po chwili przestałem uważać na słowa. Słuchałem tylko jej głosu i gdy tak tkwiłem w ciemnym przedpokoju, pomiędzy czaszkami dzików a kuchnią z zapachem groszku, zdawało mi się, że otwierają się jakieś drzwi i wpływa przez nie fala ciepła i blasku, zalotna i barwna, pełna snów, tęsknoty i młodości. Wciągnąłem nogi na stół, wsparłem głowę na dłoni, widziałem łby dzików i odrapane drzwi kuchenne – ale nic mi to nie przeszkadzało – bo oto nagle nawiedziło mnie lato, wiatr, wieczór nad łanem zboża i zielonkawe światło zaczajone na leśnych ścieżkach. Głos zamilkł nagle. Odetchnąłem głęboko.

– To cudownie tak rozmawiać z tobą, Pat. Co robisz dzisiaj wieczorem?

– Dzisiaj wieczorem jest mały bankiet. Zaczyna się o ósmej. Właśnie ubieram się na tę uroczystość.

– Co wkładasz? Srebrną sukienkę?

– Tak, Robby. Srebrną sukienkę, w której niosłeś mnie kiedyś przez korytarz.

– A z kim idziesz?

– Z nikim. Przecież to sanatorium. Zbieramy się na dole w hallu. Wszyscy się znają.

– Ciężko ci będzie nie zdradzić mnie w tej srebrnej sukni?

Śmiała się.

– Nie w tej sukni! Co do niej mam już wspomnienia.

– Ja także. Przekonałem się na własnej skórze, jak działa. Zresztą nie chcę wiedzieć o niczym. Możesz mnie zdradzić, bylebym o tym nie wiedział. Potem, gdy wrócisz, wszystko wyda ci się snem, zapomnianym i minionym.

– Ach, Robby – rzekła powoli, a głos jej brzmiał głębiej aniżeli poprzednio. – Nie potrafię cię zdradzić. Za wiele myślę o tobie. Nie wiesz, jak to jest tutaj na górze. Błyszczące, piękne więzienie. Człowiek zabija czas, jak może, i to jest wszystko. Gdy pomyślę sobie czasem o twoim pokoju, to nie wiem, co ze sobą począć. Wtedy idę na dworzec i patrzę na pociągi przychodzące z równiny, i myślę, że będę bliżej ciebie, jeżeli wsiądę na chwilę do przedziału albo udam, że mam kogoś powitać na stacji.

Zagryzłem wargi. Jeszcze nigdy nie słyszałem takich słów z jej ust. Była zawsze powściągliwa i nieśmiała, a jej uczucie dla mnie objawiało się raczej w ruchach, w spojrzeniu aniżeli w słowach.

– Postaram się odwiedzić cię niedługo, Pat.

– Naprawdę, Robby?

– Tak, może z końcem stycznia.

Wiedziałem, że to marzenie ściętej głowy, bo od lutego musieliśmy jeszcze ciułać grosze na zapłacenie sanatorium. Ale powiedziałem to, ażeby miała o co zaczepić myśli. Potem nie będzie już tak trudno przesuwać termin i zwlekać, aż do chwili, kiedy będzie mogła wrócić do miasta.

– Do widzenia, Pat. Niech ci się dobrze wiedzie. Bądź wesoła, a wtedy i ja będę wesoły. Bądź wesoła dzisiaj wieczorem.

– Tak, Robby, dzisiaj jestem szczęśliwa.

Zaszedłem po Jerzyka i powędrowaliśmy razem do „Internationalu". Trudno było poznać starą, zadymioną budę. Choinka płonęła, a blask świec odbijał się w szkle butelek, kieliszków, w niklu i w miedzianych okuciach baru. Dziwki siedziały wokół stołu pełne oczekiwania, w sukniach wieczorowych, obwieszone fałszywymi klejnotami.

Z uderzeniem ósmej wmaszerował oddział chóru połączonych związków handlarzy bydła. Śpiewacy ustawili się u drzwi według głosów, na prawo pierwszy tenor, całkiem na lewo drugi bas. Wdowiec i handlarz nierogacizną, Stefan Grigoleit, wyciągnął stroik, poddał ton, po czym zabrzmiało na cztery głosy:

O święta nocy, wlej niebiańską radość w serca,
pielgrzymim stopom pokój daj i ukojenie męce.
Jasno rozbłysły gwiazdy, światła błękitnej dali,
chcą mnie pociągnąć wzwyż, ku Tobie, Wieczysty Panie.

– Wzruszające – szepnęła Róża, ocierając łzy.

Przebrzmiała druga strofa. Zagrzmiały huczne brawa. Chór skłonił się, dziękując za owację. Stefan Grigoleit otarł sobie pot z czoła.

– Co Beethoven, to Beethoven – rzekł. Nikt nie zaprzeczył. Stefan wsadził do kieszeni swoje prześcieradło. – A teraz do szturmu, towarzysze!

Ucztę przygotowano w dużej sali zebrań. W środku pyszniły się ułożone na srebrnych półmiskach, nad płonącymi lampkami spirytusowymi, brunatne i chrupiące prosiątka. Trzymały w pyszczkach cytryny, w grzbiety miały wbite malutkie, jarzące się choinki i nie dziwiły się już niczemu na tym świecie.

Alojzy zjawił się w świeżo przefarbowanym fraku, który podarował mu na gwiazdkę gospodarz. Wniósł kilka gąsiorków jałowcówki i napełnił kieliszki. Za nim wsunął się Potter z przedsię-

biorstwa krematoryjnego, który musiał jeszcze asystować przy spaleniu zwłok.

– Pokój ludziom dobrej woli! – rzekł uroczyście, podał Róży rękę i usiadł obok niej.

Stefan Grigoleit, który od razu zaprosił Jerzyka do stołu, powstał i wygłosił najkrótszą i najlepszą mowę w swoim życiu. Podniósł kieliszek z błyszczącą jałowcówką, rozejrzał się wokoło promiennym wzrokiem i zawołał:

– Na zdrowie!

Potem usiadł, a Alojzy zaczął roznosić nóżki wieprzowe w galarecie, kapustę i ziemniaki. Gospodarz wniósł ogromne kufle złotożółtego pilznera.

– Jedz powoli, Jerzyku. Twój żołądek musi się najprzód przyzwyczaić do tłustego mięsa.

– W ogóle muszę się przyzwyczaić – rzekł, patrząc mi w oczy.

– To idzie szybko. Nie należy tylko robić porównań. Wtedy ani się obejrzysz, a już nawykłeś.

Kiwnął głową i pochylił się nad talerzem.

Nagle u krańca stołu powstała sprzeczka. Słychać było skrzekliwy głos Pottera. Chciał przypić do innego gościa, handlarza cygar Buscha, ale Busch odmówił, zaznaczając, że nie chce pić, ażeby móc więcej jeść.

– To bzdura – dowodził Potter. – Człowiek musi pić przy wcinaniu. Kto pije, potrafi więcej zmieścić.

– Brednie! – burknął Busch, wychudły, długi facet w rogowych okularach na spłaszczonym nosie.

Pottera aż poderwało.

– Brednie, opowiadasz, ty obcinaczu cygar?

– Spokój – ryknął Stefan Grigoleit. – Tylko bez awantur w czasie Wilii, panowie!

Kazał sobie wyjaśnić, o co chodzi, i wydał iście salomonowy wyrok. Należy wypróbować, kto ma rację. Przed dwoma zapaśnikami ustawiono po kilka jednakowych półmisków z mięsem, kartoflami i kapustą. Były to olbrzymie porcje. Potter mógł zakrapiać żarcie, czym chciał. Buschowi nie wolno było wziąć do ust alko-

holu. Ażeby dodać pieprzyka zawodom, zaczęto stawiać na obu zawodników. Grigoleit objął totka.

Potter ustawił wokół swego nakrycia całą baterię szklanek z piwem, a między nimi lśniące jak diamenty kieliszki z jałowcówką. Zakłady stały 3:1 na jego korzyść. Po czym Grigoleit dał znak do startu.

Busch żarł zawzięcie, pochylony nisko nad talerzem.

Potter walczył w postawie otwartej wyprostowanej. Przy każdym łyku wołał pod adresem Buscha zaczepnie:

– Na zdrowie! – na co przeciwnik odpowiadał nienawistnym spojrzeniem.

– Niedobrze mi – szepnął Jerzyk.

– Chodź.

Zaprowadziłem go do umywalni, a sam usiadłem we frontowej salce, żeby poczekać na niego. Słodki zapach świeczek mieszał się z trzaskaniem i wonią spalonych igieł sosnowych. I nagle zwidziało mi się, że słyszę lekkie, ukochane kroki, że czuję ciepły oddech i widzę pochylone nade mną oczy…

– Tam do licha – zakląłem, wstając. – Co się ze mną dzieje?

W tej samej chwili posłyszałem potężny ryk.

– Potter! Brawo! Alojzy!

Krematorium wygrało zawody.

W pokoju na tyle knajpy dymiły już cygara i wniesiono koniak. Tkwiłem wciąż jeszcze przy szynkwasie. Dziewczęta przychodziły do sali i szeptały zawzięcie.

– Co tam ćwierkacie? – spytałem.

– Bo my także dostaniemy podarunki pod drzewkiem – odpowiedziała Marion.

– Ach tak!

Wsparłem głowę o ladę i myślałem, co też może teraz robić Pat. Wyobraziłem sobie hall sanatorium, palący się kominek i Pat we wnęce okiennej z Helgą Guttmann i jeszcze jakimiś znajomymi. Jak strasznie dawno było to wszystko! Nieraz myślałem sobie, że jutro człowiek się zbudzi i spostrzeże, że wszystko, co było przedtem, minęło zapomniane, zalane falą. Nie było nic pewnego w życiu – nawet wspomnienia.

Zabrzmiał głos dzwonka. Dziewczęta zerwały się jak stado spłoszonych kur i pobiegły do pokoju bilardowego. Tam z dzwonkiem w ręce czekała Róża. Dała mi znak, żebym przyszedł. Pod małą choinką stał na stole bilardowym rząd talerzy przykrytych bibułką. Na każdym leżała kartka z nazwiskiem, a pod tym paczuszki z podarunkami, które sobie wzajemnie ofiarowywały dziewczęta. Wszystko to zaaranżowała Róża. Każda musiała wręczyć jej zapakowane podarunki dla koleżanek, a Róża ułożyła to wszystko na talerzach.

Dziewczęta paplały podniecone, śpieszyło się im jak dzieciom, żeby jak najprędzej zobaczyć, co dostały.

– Nie chcesz spojrzeć na swój talerz? – spytała Róża.

– Na jaki znowu talerz?

– Na twój. Dostałeś także upominki.

Istotnie, ujrzałem swoje nazwisko, wymalowane w dwóch kolorach, czerwonym i czarnym, i to pismem rondowym. Jabłka, orzechy, pomarańcze – od Róży własnoręcznie zrobiony szydełkiem sweter, od gospodyni trawiastozielony krawat, od pedzia Kiki para różowych skarpetek ze sztucznego jedwabiu, od pięknej Wally pasek skórzany, od kelnera Alojzego pół butelki rumu, od Marion, Liny i Mimi do spółki pół tuzina chusteczek do nosa, wreszcie od gospodarza dwie flaszki koniaku.

– Moi drodzy… – rzekłem – ależ to… ja nie spodziewałem się tego…

– Niespodzianka, co? – spytała Róża.

– Jeszcze jaka!

Stałem zawstydzony i, do diabła, czułem się wzruszony do głębi.

– Moi drodzy – powiedziałem – czy wiecie, kiedy ostatni raz dostałem podarek gwiazdkowy? Nie pamiętam już nawet. Musiało to być chyba przed wojną. Ale ja nie mam nic dla was…

Zapanowała szalona radość, gdy zobaczono, jakie to zrobiło na mnie wrażenie.

– To dlatego, że zawsze dla nas grasz – bąknęła, czerwieniąc się, Lina.

– Tak, zagrasz teraz i to będzie twój podarunek dla nas – orzekła Róża.

– Co chcecie? Zagram wszystko.

– *Z czasów naszej młodości* – zawołała Marion.

– Nie, coś wesołego – sprzeciwił się Kiki.

Został przegłosowany. Jako pedzia nie brano go za pełnowartościowy głos. Usiadłem przy fortepianie i zacząłem grać. Wszyscy wtórowali chórem.

Z czasów naszej młodości przybiega do mnie pieśń.
O, jakże daleko to wszystko, co kiedyś moim było…

Gospodyni zgasiła lampy. W sali pozostało tylko łagodne światło świec. Cicho pluskało piwo z beczki, niby odległe źródło leśne, a cierpiący na platfusa Alojzy kręcił się w mrocznym kącie jak niespokojny faun. Zacząłem drugą strofę. Wkoło pianina stały dziewczęta z błyszczącymi oczyma i poczciwymi twarzami mieszczek. Ale patrzcie… któż to łka i szlocha? Kiki, pedzio Kiki z przedmieścia Luckenwalde.

Cicho otwarły się drzwi dużej sali zebrań. Wtórując mruczando, przeciągnął gęsiego chór i ustawił się za dziewczętami. Na czele kroczył Grigoleit z cygarem brazylijskim w łapie.

Gdy pożegnałem mój dom, świat cały zdał się bogaty,
gdy powróciłem w te ściany, pustka zajrzała mi w twarz…

Cicho zawtórowało echo chóru.

– Cudowne – rzekła Lina.

Róża zapaliła zimne ognie. Syczały i rozsiewały deszcz iskier.

– No, a teraz coś wesołego! – zawołała. – Musimy rozweselić naszego Kiki.

– I mnie także – rzekł Stefan Grigoleit.

O jedenastej zjawili się Köster i Lenz. Usiedliśmy z bladym Jerzykiem przy stoliku koło szynkwasu. Daliśmy mu parę kromek suchego chleba, żeby go postawić na nogi. Niebawem Lenz zniknął

w gromadzie handlarzy bydła. W kwadrans potem wynurzył się przy ladzie w towarzystwie Grigoleita. Splótłszy się ramionami, pili bruderszaft.

– Stefan! – zawołał Grigoleit.

– Gotfryd! – odpowiedział Lenz i obaj wychylili kieliszki.

– Przyślę ci jutro paczkę z pasztetówką i kaszanką. Dobra?

– I jak jeszcze! – Tu Lenz klepnął go po ramieniu. – Stary, poczciwy Stefan.

Handlarz nierogacizny promieniał.

– Umiesz się tak wspaniale śmiać! – rzekł rozanielony. – Strasznie lubię, jak się ktoś tak serdecznie śmieje. Moją słabą stroną jest to, że zbyt łatwo poddaję się smutkowi.

– Moją też i dlatego śmieję się, ile wlezie. Chodź, Robby, wypij jednego za nieskończony śmiech wszechświata!

Podszedłem do pary nowych przyjaciół.

– Co się stało temu małemu? – spytał Stefan, wskazując na Jerzyka. – Temu też smutek patrzy z oczu.

– Łatwo go uszczęśliwić – rzekłem. – Trzeba mu tylko dać pracę.

– Sztuka! W dzisiejszych czasach…

– Będzie robił chętnie wszystko.

– Wszyscy robimy w dzisiejszych czasach wszystko – rzekł Stefan, któremu nagle zebrało się na trzeźwość.

– Chłopak potrzebuje siedemdziesięciu pięciu marek na miesiąc.

– Nonsens. To mu nie wystarczy.

– Wystarczy – wtrącił Lenz.

– Gotfrydzie – rzekł Grigoleit – jestem starym pijakiem! Zgoda. Ale robota to poważna rzecz. Nie można jej komuś dzisiaj dać, a jutro odebrać. To gorsze aniżeli kazać się komuś z kimś żenić, a po jednym dniu odebrać mu żonę. Ale jeżeli chłopak jest uczciwy i jeżeli da sobie radę z siedemdziesięcioma pięcioma markami, no, to ma szczęście. Może się zgłosić u mnie we wtorek o ósmej rano. Potrzebuję pomocy do biegania w sprawach związkowych i takich tam. Poza tym od czasu do czasu dostanie trochę mięsa. Zdaje mi się, że powinien się nieco podpaść.

– Słowo? – spytał Lenz.

– Słowo Stefana Grigoleita.

– Jerzyku! – zawołałem. – Chodź tu do nas.

Gdy usłyszał nowinę, zaczął drżeć na całym ciele.

Wróciłem do Köstera.

– Słuchaj, Otto, gdybyś tak mógł raz jeszcze przeżyć swoje życie, czy chciałbyś zaczynać na nowo?

– Dokładnie tak samo?

– Tak.

– Nie – rzekł Köster.

– Ja także nie chciałbym.

XXIV

Trzy tygodnie później, w zimowy wieczór styczniowy, siedziałem w „Internationalu" i grałem w karty z gospodarzem. W lokalu było pusto, nawet kurwy się nie zjawiły. W mieście panował niepokój. Ulicami maszerowały co chwila kolumny – niektóre przy wtórze szumnych marszów wojskowych, inne z *Międzynarodówką* na ustach, a potem znowu milczące, długie pochody z transparentami wołającymi o chleb i pracę. Słuchało się ich kroków na bruku jak tykania olbrzymiego, nieubłaganego zegara. Po południu doszło już do starcia między policją i strajkującymi. Raniono dwunastu ludzi, a cała policja w mieście była od wielu godzin w pogotowiu alarmowym. Gwizdki wozów policyjnych rozdzierały mrok ulic.

– Nie ma spokoju – mruknął gospodarz, odkrywając szesnastkę. – Od czasu wojny nie było ani chwili spokojnej. A przecież wtedy nie pragnęliśmy niczego innego, tylko spokoju. Świat zwariował.

Odkryłem siedemnastkę i zgarnąłem pulę.

– Świat nie zwariował. Tylko ludzie.

Alojzy, kibicujący za krzesłem gospodarza, zaprotestował.

– Nie, ludzie nie zwariowali. Są tylko chciwi. Jeden drugiemu wszystkiego żałuje. A ponieważ za wielu czerpie z jednego koryta, dla innych zostaje guzik. To wszystko kwestia podziału.

– Jasne – rzekłem, pasując. – Ale to trwa już parę tysięcy lat.

Gospodarz odkrył karty. Miał piętnastkę i patrzał nieufnie na mnie. Potem dokupił jeszcze jedną kartę, asa, i wpadł. Pokazałem

moje karty. Miałem tylko dwunastkę i byłby wygrał ze swoją piętnastką.

– Tam do licha, przestaję grać – zaklął. – Bezczelne blefowanie! Myślałem, że ma pan co najmniej osiemnaście!

Alojzy rechotał.

Zagarnąłem forsę. Gospodarz ziewnął i spojrzał na zegar.

– Dochodzi jedenasta. Myślę, że zamkniemy budę. Ani psa z kulawą nogą.

– Właśnie ktoś idzie – rzekł Alojzy.

Otwarły się drzwi. Wszedł Köster.

– Są jakieś nowiny z miasta, Otto?

Kiwnął głową.

– Bijatyka w sali „Borusii". Dwóch ciężko rannych, kilkunastu lekko i około stu aresztowań. Dwie strzelaniny w dzielnicy północnej. Jeden policjant zabity. Nie wiem, ilu rannych. No, ale zacznie się dopiero wtedy, gdy skończą się duże zebrania. Musisz tu jeszcze siedzieć, Robby?

– Nie. Właśnie chcieliśmy zamykać lokal.

– To chodź ze mną.

Spojrzałem pytająco na gospodarza. Kiwnął głową.

– No, to serwus! – zawołałem.

– Serwus! – odrzekł zmęczonym głosem. – A uważajcie na siebie.

Wyszliśmy na ulicę. Pachniało śniegiem. Ulotki leżały na bruku jak wielkie martwe, białe motyle.

– Gotfryda nie ma w warsztacie – rzekł Köster. – Tkwi na jednym z wieców. Słyszałem, że mają być rozbite, i obawiam się, że może tam być gorąco. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli go wyciągnąć przed końcem. Nie należy do najspokojniejszych.

– Czy wiesz, gdzie jest? – spytałem.

– Niezbyt dokładnie. Ale prawie na pewno na jednym z trzech głównych wieców. Musimy na nie zajrzeć po kolei. Łatwo będzie poznać Gotfryda po jego płomiennej czuprynie.

– Dobra.

Wsiedliśmy do wozu i pognaliśmy Karlem do pierwszego lokalu.

Na ulicy stał wóz ciężarowy wyładowany policją. Policjanci mieli rzemyki od hełmów pod brodą. Lufy karabinów migotały w matowym świetle latarń. Barwne chorągwie zwisały z okien. Przed wejściem cisnęła się grupa ludzi w mundurach. Niemal wszyscy byli bardzo młodzi.

Kupiliśmy dwie karty wstępu, odrzucając podsuwane broszury, puszki i zgłoszenia członkowskie. Weszliśmy na salę. Była pełna po brzegi i jasno oświetlona, ażeby można było natychmiast rozpoznać przeszkadzających mówcom. Przystanęliśmy u wejścia, a Köster, który miał sokoli wzrok, przeszukiwał rzędy siedzących.

Na trybunie stał zwalisty, krępy człowiek i gadał. Miał pełny, piersiowy głos, który dochodził do najdalszych kątów sali. Był to głos, który przekonywał, choćby człowiek nie zważał na to, co słyszy. Ale to, co głos mówił, było zrozumiałe. Mówca poruszał się swobodnie na scenie, robił nieprzesadne gesty ramionami, od czasu do czasu pił łyk wody ze szklanki i rzucał jakiś dowcip. Potem nagle przystawał zwrócony twarzą do widzów i chłostał salę, zdaniem po zdaniu, smagał ją prawdami, dobrze znanymi każdemu, o nędzy, głodzie i bezrobociu, zapalał się, porywał ze sobą słuchaczy, aż wreszcie kończył wściekłym furioso: „Tak nie może być dalej! To musi się zmienić!”

Publiczność waliła brawo i ryczała, jakby już przez to samo wszystko się zmieniło. Mówca na trybunie czekał. Twarz jego świeciła się od potu. A potem zaczął sypać hojnie, przekonywająco, nieodparcie przyrzeczeniami i obietnicami, grad obietnic spadał na słuchaczy, nad ich głowami powstawał raj na ziemi, wszystko zabarwiało się bajecznie kolorowo, była to loteria, na której wszystkie losy były głównymi wygranymi, w której każdy znajdował swoje osobiste szczęście, prawo i zemstę.

Rozejrzałem się wśród słuchaczy. Byli to ludzie wszelkich zawodów: buchalterzy, drobni rzemieślnicy, urzędnicy, trochę robotników i dużo kobiet. Siedzieli w przegrzanej sali, wsparci o poręcz krzesła albo pochyleni wprzód, rząd za rzędem, twarz przy twarzy, potok słów spływał po nich, i oto działa się rzecz osobliwa: chociaż

twarze ich były tak różne, wszystkie miały ten sam trochę nieprzytomny wyraz, jakieś śpiąco-tęskne zapatrzenie się w dal na mglistą fatamorganę, tkwiła w nim pustka, a równocześnie jakieś przepotężne oczekiwanie, które wszystko gasi: krytykę, zwątpienie, sprzeczność i pytania, dzień powszedni, teraźniejszość, rzeczywistość. Ten na górze wiedział to wszystko, miał odpowiedź na każde pytanie, radę na każdą niedolę. Jak wygodnie było mu zawierzyć! Jak dobrze mieć kogoś, kto o nas myśli. Jak dobrze móc wierzyć.

Köster szturchnął mnie w bok. Lenza nie było na sali. Wskazał głową w stronę wyjścia. Przytaknąłem i wysunęliśmy się. Straż porządkowa spojrzała na nas ponuro i podejrzliwie. W sieni stała już orkiestra, gotowa do wymarszu na salę. Za nią las chorągwi i transparentów.

– Dobrze zrobione, co? – spytał Köster na ulicy.

– Pierwsza klasa. Mogę to doskonale ocenić, jako były szef propagandy.

Pojechaliśmy parę ulic dalej. Odbywał się tam drugi wiec polityczny. Inne chorągwie, inne mundury, inna sala – ale z resztą wszystko to samo. Na twarzach identyczny wyraz niejasnej nadziei i ufnej pustki. W poprzek przed rzędami widzów biało nakryty stół prezydialny; za nim sekretarze partii, przewodniczący, parę rozentuzjazmowanych starych panien. Mówca, typ urzędnika, był słabszy niż poprzednik. Gadał jak z książki, przytaczał liczby, dowody, wszystko, co mówił, było słuszne, ale znacznie mniej przekonujące aniżeli słowa tamtego, który w ogóle nic nie udowadniał, tylko stwierdzał. Sekretarze partii drzemali za stołem, zmęczeni ględzeniem – mieli za sobą już setki podobnych wieców.

– Chodźmy – rzekł po chwili Köster. – I tu go nie ma. Nie przypuszczałem zresztą, ażeby tu się zawieruszył.

Pojechaliśmy dalej. Powietrze wydawało się chłodne i świeże po zaduchu przepełnionej sali. Wóz śmigał przez ulicę. Dojechaliśmy do kanału. Latarnie rzucały oleistożółte refleksy na ciemną wodę, chlupiącą cicho o betonowe nabrzeża. Powoli przeciągała czarna berlinka. Holownik wywiesił już zielone i czerwone światła sygna-

łowe. Na barce zaszczekał pies, potem jakiś mężczyzna przeciął krąg światła i znikł w kajucie, która na chwilę zajaśniała złotem. Po drugiej stronie kanału leżały jasno oświetlone domy wytwornej dzielnicy zachodniej. Po moście, którego łuk łączył oba brzegi, bezustannie sunęły w obu kierunkach samochody, autobusy i tramwaje. Wyglądał jak rozjarzony kolorowy wąż, prześlizgujący się ponad zmęczoną, czarną wodą.

– Lepiej będzie zostawić tutaj wóz i przejść ten kawałek na piechotę – rzekł po chwili Köster. – Mniej będziemy zwracali na siebie uwagę.

Zaparkowaliśmy Karla pod latarnią, przed jakąś knajpą. Gdy wysiedliśmy, wyprysnął skądś biały kot i przebiegł nam drogę. Parę dziwek w fartuchach gaworzyło w sieni domu; gdy mijaliśmy je, zamilkły. We wnęce domu drzemał kataryniarz. Jakaś staruszka grzebała w odpadkach na skraju chodnika.

Doszliśmy do olbrzymiej brudnej kamienicy czynszowej z mnóstwem oficyn, podwórek i przejść. Na parterze znajdowały się sklepy, piekarnia, składnica starzyzny i złomu. Na ulicy przed bramą wartowały dwie ciężarówki z policją.

W kącie pierwszego podwórza zbudowano z desek podium, na którym wisiało parę wielkich map gwiazdozbiorów. Przed stolikiem, zarzuconym papierami, stał człowiek w turbanie. Nad jego głową wisiał szyld: „Astrologia, chiromancja, przepowiadanie przyszłości – twój horoskop: 50 fenigów". Tłoczyła się do niego gromada ludzi. Jaskrawe światło lampy karbidowej padało na żółtą, pomarszczoną twarz wróżbity. Przemawiał do widzów, zapatrzonych w niego w milczeniu; gapili się z takim samym zagubionym, nieobecnym, czekającym na cud spojrzeniem, jakie mieli słuchacze na zebraniach z chorągwiami i orkiestrami.

– Otto – rzekłem do Köstera, idącego przede mną. – Teraz już wiem, czego chcą ludzie. Oni wcale nie chcą polityki. Chcą natomiast religii.

Obejrzał się.

– Oczywiście. Chcą znowu w coś wierzyć. Wszystko jedno, w co. I dlatego właśnie są takimi fanatykami.

Dobrnęliśmy na drugie podwórze, w którym znajdował się lokal wiecowy. Wszystkie okna sali były oświetlone. Nagle usłyszeliśmy wrzawę. W tej samej chwili, jakby na dany znak, z ciemnego bocznego wyjścia wypadła na podwórze gromada młokosów w wiatrówkach i przemknęła pod murem aż do drzwi lokalu. Pierwszy otworzył drzwi i wpadli do wnętrza.

– Bojówka – rzekł Köster. – Schrońmy się pod ścianę, za te beczki od piwa.

W sali wybuchł ryk i rwetes. Po chwili rozległ się brzęk szyby w oknie i ktoś wypadł na podwórze.

Równocześnie rozleciały się drzwi, zbity kłąb ludzi przetoczył się przez próg, pierwsi padli, inni wywracali się na nich. Jakaś kobieta, przeraźliwie wzywając pomocy, wybiegła przez bramę na ulicę. Wytoczył się drugi rozszalały, splątany kłąb ludzi, uzbrojonych w nogi od krzeseł i kufle. Ogromnego wzrostu cieśla wyskoczył z gęstwy, stanął nieco z boku i ilekroć ujrzał przed sobą wynurzającą się z sali głowę przeciwnika, robił swym długim ramieniem szeroki zamach, niby przy koszeniu trawy, i walił w stłoczoną masę. Wykonywał tę robotę z zupełnym spokojem, jak gdyby rąbał drzewo.

Wypadł nowy kłąb i oto nagle, w odległości trzech metrów od naszej kryjówki, ujrzeliśmy żółtą czuprynę Gotfryda w rękach jakiegoś rozwścieczonego wąsacza.

Köster skulił się i dał nura w tłum. W kilka sekund potem wąsacz puścił Gotfryda, wyrzucił z wyrazem najwyższego zdumienia ramiona w górę i padł w tłum jak wyrwane z korzeniami drzewo. Ujrzałem Köstera, ciągnącego za sobą za kołnierz Gotfryda.

Lenz bronił się.

– Pozwól mi jeszcze skoczyć tam na chwilę, Otto.

– Nonsens – zawołał Köster – za chwilę tu będzie policja. Dalej, zmykajmy.

Pognaliśmy przez podwórze w stronę ciemnego bocznego wyjścia. Nie było ani minuty do stracenia. W tej samej bowiem chwili rozległ się na podwórzu ostry gwizd, błysnęły hełmy policjantów i zamknięto podwórze. Pobiegliśmy w górę schodami, żeby nas nie

zaciągnęli na komisariat. Z okna na piętrze śledziliśmy dalszy przebieg akcji. Policja zwijała się gracko. Otoczyła podwórze, wbiła klin w tłum ludzi, rozdzieliła walczących, rozpędziła ich i zaraz zaczęła ich wywozić. Pierwszą ofiarą stał się zaskoczony wpadkami cieśla, który nadaremnie próbował się tłumaczyć.

Za nami otworzyły się drzwi. Jakaś niewiasta w koszuli, z gołymi cienkimi nogami, że świecą w ręku, wystawiła głowę.

– Czy to ty? – spytała mrukliwie.

– Nie – rzekł Lenz, który zdołał już przyjść do siebie.

Kobieta trzasnęła drzwiami. Lenz oświetlił je kieszonkową latarką. Okazało się, że tym, na którego kobieta czekała, był Gerhard Peschke, majster murarski.

Na dole zrobiło się cicho. Policja odjechała, podwórze opustoszało. Przeczekaliśmy jeszcze chwilę, a potem zeszliśmy na dół. Za jakimiś drzwiami płakało dziecko. Łkało cicho i żałośnie w ciemności.

Minęliśmy pierwsze podwórze. Astrolog stał samotny przed swoimi mapami nieba.

– Panowie pozwolą horoskop? – zawołał za nami. – A może powróżyć przyszłość z ręki?

– Jazda – rzekł Gotfryd i podsunął mu dłoń.

Człowiek wpatrywał się przez chwilę w jego rękę.

– Ma pan wadę serca – rzekł stanowczo. – Uczucie bujnie rozwinięte, linia rozumu bardzo krótka, za to jest pan muzykalny. Marzyciel, nie nadaje się pan na męża. Pomimo to widzę troje dzieci… Ma pan usposobienie dyplomaty, jest pan zamknięty w sobie i dożyje pan osiemdziesiątki jak nic.

– Zgadza się. Przepowiadała mi to wszystko moja panna matka, mawiając: złego licho nie weźmie. Moralność jest wynalazkiem człowieka, a nie konsekwencją życia.

Wsunął w łapę wróżbity monetę i poszliśmy dalej. Ulica była pusta. Drogę przebiegł nam czarny kot. Lenz wskazał na niego.

– Powinniśmy zawrócić.

– Dajże spokój – rzekłem. – Przedtem widzieliśmy białego. To się wzajemnie znosi.

Szliśmy ulicą. Przeciwległym chodnikiem nadciągała grupka ludzi. Było to czterech chłopców. Jeden z nich miał jasnożółte, nowe skórzane sztylpy, pozostali wysokie buty, przypominające wojskowe. Przystanęli na chodniku i patrzyli w naszą stronę.

– To ten! – zawołał nagle młokos w sztylpach i zaczął biec w naszą stronę skosem przez ulicę. Zaraz potem huknęły dwa strzały, młokos odskoczył, a cała czwórka prysła, jak mogła najszybciej. Ujrzałem, jak Köster zbiera się do skoku, ale potem nagle, jakimś osobliwie zwolnionym ruchem odwrócił się w tył, wyciągnął ramiona, wydał zduszony, dziki okrzyk i usiłował podtrzymać Gotfryda, który walił się ciężko na bruk.

Przez chwilę zdawało mi się, że Gotfryd się tylko przewrócił. Ale zaraz potem ujrzałem krew. Köster rozpiął mu marynarkę, koszulę – krew płynęła gęstym strumieniem. Próbowałem zatamować ją chusteczką.

– Zostań tu, podjadę wozem – rzekł Köster i pobiegł.

– Gotfrydzie! Słyszysz mnie?

Twarz jego poszarzała. Oczy miał wpółprzymknięte. Nie ruszał powiekami. Jedną ręką przytrzymywałem mu głowę, a drugą przyciskałem chusteczkę do rany. Ukląkłem przy nim, nasłuchując rzężenia, oddechu, ale nic nie słyszałem – wszystko było nieme; nie kończąca się ulica, nie kończący się szereg domów, nieskończona noc. Słyszałem tylko, jak z cichym pluskiem ścieka krew na bruk, wiedziałem, że to działo się już kiedyś, dawniej, i że nie może być prawdą.

Köster przygnał Karlem. Opuścił oparcie lewego siedzenia w tył. Dźwignęliśmy ostrożnie Gotfryda i ułożyliśmy go na obu siedzeniach. Wsiadłem do wozu i Köster ruszył jak wariat. Zajechaliśmy do najbliższego punktu pogotowia ratunkowego. Köster zahamował łagodnie.

– Skocz zobaczyć, czy jest jakiś lekarz. Jeśli nie, musimy jechać dalej.

Wbiegłem na schody. Na moje spotkanie wyszedł sanitariusz.

– Czy jest jakiś lekarz?

– Tak. Macie rannego?

– Tak. Niech pan idzie ze mną. Szybko, nosze.

Ułożyliśmy Gotfryda na noszach i wnieśliśmy go do środka. Lekarz stał już z zawiniętymi rękawami.

– Proszę tutaj! – wskazał na niski stół opatrunkowy.

Podnieśliśmy nosze. Lekarz ściągnął lampę na dół, tuż nad leżące ciało.

– Co to było?

– Strzał rewolwerowy.

Wziął tampon waty, otarł krew, ujął Gotfryda za puls, wysłuchał, po czym wyprostował się.

– Nic się już nie da zrobić.

Köster spojrzał na niego błędnie.

– Ależ strzał przeszedł bokiem. To nie może być takie groźne!

– Oddano dwa strzały – rzekł lekarz.

Otarł powtórnie krew. Pochyliliśmy się nad Gotfrydem. I wtedy ujrzeliśmy, że nieco w skos od silnie krwawiącej rany była druga: niewielka, ciemna dziurka w okolicy serca.

– Śmierć musiała nastąpić natychmiast – rzekł lekarz. Köster wyprostował się. Wlepił wzrok w Gotfryda. Lekarz położył na ranach tampony waty i przykleił je plastrami. – Czy chce się pan umyć? – spytał mnie.

– Nie.

Twarz Gotfryda była teraz żółta i zapadnięta. Usta lekko skrzywione, oczy wpółzamknięte, jedna powieka szerzej uchylona niż druga. Patrzał na nas bezustannie.

– Jak to się stało? – spytał lekarz.

Nikt nie odpowiedział. Gotfryd patrzał na nas. Patrzał uparcie.

– Można go tu zostawić – rzekł lekarz.

Köster poruszył się.

– Nie – odparł. – Zabierzemy go ze sobą!

– Nie wolno. Musimy zatelefonować do komisariatu. Wezwać policję kryminalną. Trzeba natychmiast przedsięwziąć wszystko, ażeby znaleźć sprawcę.

– Sprawcę? – spytał Köster lekarza takim tonem, jak gdyby go nie zrozumiał. – Dobrze – rzekł po chwili – pojadę i sprowadzę policję.

– Lepiej zadzwonić. Zjawią się tu znacznie prędzej.

Köster powoli potrząsnął głową.

– Nie. Ja ich sprowadzę.

Wyszedł i usłyszałem, jak zapuszcza silnik. Lekarz podsunął mi krzesło.

– Nie chce pan usiąść?

– Dziękuję – rzekłem i stałem dalej.

Jasne światło padało ciągle na skrwawioną pierś Gotfryda. Lekarz podniósł lampę nieco wyżej.

– Jak to się stało? – powtórzył pytanie.

– Nie wiem. Najwidoczniej zaszła tu omyłka. Wzięto go za kogoś innego.

– Był na wojnie?

Przytaknąłem.

– Widać to po bliznach. I po strzaskanym ramieniu. Był kilkakrotnie ranny.

– Tak. Cztery razy.

– To świństwo – mruknął sanitariusz. – Przecież to strzelają gówniarze, którzy w czasie wojny siusiali jeszcze w pieluszki.

Nie odpowiedziałem. Gotfryd patrzał na mnie. Ciągle.

Długo trwało, zanim Köster wrócił. Był sam. Lekarz odłożył gazetę.

– Przyszli agenci?

Köster stał, nie słyszał, o co go spytał lekarz.

– Czy policja przyszła? – powtórzył lekarz pytanie.

– Ach tak – powiedział Köster. – Policja. Musimy zadzwonić po nich.

Lekarz spojrzał na niego i nic nie mówiąc, podszedł do telefonu. W kilka minut potem zjawiło się dwóch agentów. Usiedli przy stole i jeden z nich zaczął notować personalia Gotfryda. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się bezsensem zeznawać, jak się nazywał i kiedy się urodził i gdzie mieszkał – teraz, kiedy już nie żył. Patrzyłem tępo na czarny ogryzek ołówka, który urzędnik od czasu do czasu zwilżał w ustach, i mechanicznie odpowiadałem na pytania.

Drugi urzędnik zaczął spisywać protokół. Köster składał zeznania.

– Czy może mi pan mniej więcej określić, jak wyglądał sprawca? – zagadnął urzędnik.

– Nie. Nie zwróciłem na niego uwagi.

Spojrzałem na Köstera. Pomyślałem o żółtych sztylpach i mundurach.

– Czy nie wie pan, do jakiej partii politycznej należał? Nie widział pan odznaki albo szczegółów umundurowania?

– Nie. Nie zauważyłem nic aż do chwili strzałów. A potem zajmowałem się już tylko moim… – zająknął się na chwilę – moim towarzyszem.

– Należy pan do jakiejś partii?

– Nie.

– Pytam dlatego, ponieważ pan mówi, że był to pański towarzysz…

– Był moim towarzyszem z wojny.

Urzędnik zwrócił się z kolei do mnie.

– Czy potrafi pan opisać sprawcę?

Köster spojrzał mi ostro w oczy.

– Nie – odrzekłem. – Ja także nic nie zauważyłem.

– To dziwne – mruknął agent.

– Byliśmy zajęci rozmową i nie uważaliśmy na nic. Potem wszystko poszło bardzo szybko.

Urzędnik westchnął.

– W tych warunkach mamy mało widoków na przyłapanie mordercy. – Zakończył spisywanie protokołu.

– Czy możemy go zabrać? – spytał Köster.

– Właściwie… – Agent spojrzał na lekarza. – Powód śmierci został bezspornie ustalony?

Lekarz przytaknął.

– Wypisałem już świadectwo.

– A gdzie jest kula? Muszę ją zabrać.

– Były dwie. Trzeba by w takim razie… – ociągał się lekarz.

– Muszę mieć obie kule – rzekł urzędnik. – Trzeba ustalić, czy pochodzą z tej samej broni.

– Dobrze – odparł Köster na pytające spojrzenie lekarza.

Sanitariusz ustawił właściwie nosze i opuścił lampę. Lekarz wziął pincetę i wsunął do rany. Pierwszą kulę znalazł szybko; nie tkwiła głęboko. Przy drugiej musiał już krajać. Naciągnął na ręce gumowe rękawice i sięgnął po klamry i nóż. Köster podszedł szybko do noszy i zamknął powieki Gotfryda, które wciąż jeszcze były wpółotwarte. Odwróciłem się, posłyszawszy cichy odgłos noża krającego skórę. Chciałem przyskoczyć, odepchnąć lekarza – na chwilę opanował mnie lęk, że może Gotfryd tylko zemdlał i lekarz zabije go dopiero teraz – ale potem uświadomiłem sobie, że tak nie jest. Widzieliśmy zbyt wiele trupów, aby mieć wątpliwości.

– Oto druga – rzekł lekarz, prostując się. Otarł kulę i podał ją agentowi. – Taka sama. Z tej samej broni, co?

Köster pochylił się i obejrzał dokładnie małe, błyszczące kulki, które toczyły się na dłoni urzędnika.

– Tak.

Agent zawinął je w papier i wsadził do kieszeni.

– Właściwie to nie wolno… ale skoro panowie chcą go wziąć do domu… stan faktyczny jest przecież jasny, prawda, panie doktorze? – Lekarz przytaknął. – Pan jest przecież także lekarzem sądowym – ciągnął agent – a więc… jeśli panowie chcą… muszą panowie jednak… może się zdarzyć, że jutro przyjdzie jeszcze komisja.

– Wiem – rzekł Köster. – Zostawimy wszystko tak, jak jest.

Lekarz opatrzył rany Gotfryda i zakleił je plastrem.

– Jak panowie chcą go przewieźć? – spytał. – Możecie zabrać nosze. Musicie je tylko jutro w ciągu dnia zwrócić do pogotowia.

– Dobrze, dziękuję. Chodź, Robby.

– Mogę panom pomóc – zaproponował sanitariusz.

Potrząsnąłem głową.

– Damy sobie radę.

Wzięliśmy nosze, wynieśliśmy je na ulicę i ułożyliśmy na dwóch siedzeniach z lewej strony, które po opuszczeniu oparć tworzyły jedną równą płaszczyznę. Sanitariusz i lekarz wyszli przed dom i przyglądali się. Okryliśmy Gotfryda jego płaszczem i ruszyliśmy. Po chwili Köster zwrócił się do mnie.

– Przejedziemy jeszcze raz tą ulicą. Zrobiłem już to przedtem. Wtedy było za wcześnie. Być może, że wracają dopiero teraz.

Zaczął padać śnieg. Köster jechał niemal niedosłyszalnie. Wyłączał bieg i często gasił motor. Nie chciał, żeby słyszano nadjeżdżający wóz, chociaż tamci czterej nie wiedzieli, że mamy samochód. Przemykaliśmy się bezszelestnie, jak duchy, przez coraz gęściej padający śnieg. Wyjąłem ze schowka z narzędziami młotek i położyłem koło siebie, aby móc od razu wyskoczyć z wozu i zdzielić kogo trzeba. Przejechaliśmy ulicą, na której to się stało. Pod latarnią widać było jeszcze czarną plamę krwi. Köster wyłączył światła. Posuwaliśmy się tuż przy chodniku i obserwowaliśmy ulicę. Nie widać było żywej duszy. Tylko z oświetlonej knajpy dochodziły głosy.

Köster zatrzymał się na skrzyżowaniu.

– Zostań, zajrzę do lokalu.

– Pójdę z tobą.

Spojrzał na mnie wzrokiem znanym mi z czasów, kiedy samotnie wyprawiał się na zwiad.

– Nie będę go załatwiał w knajpie. Mógłby mi umknąć. Chcę tylko zobaczyć, czy go tam nie ma. Wtedy zaczaimy się na niego. Zostań przy Gotfrydzie.

Kiwnąłem głową. Köster zniknął w zadymce. Płatki śniegu padały mi na twarz i roztapiały się na ciepłej skórze. Nie mogłem znieść myśli, że Gotfryd leży przykryty, jak gdyby nie należał już do nas. Odsunąłem mu płaszcz z głowy. Śnieg padał teraz na jego twarz, na oczy i usta, ale nie topniał. Wziąłem chusteczkę, otarłem twarz Gotfryda i nasunąłem płaszcz z powrotem.

Köster wrócił.

– Nie ma go?

– Nie.

Wsiadł do wozu.

– Przejedziemy jeszcze parę sąsiednich ulic. Czuję, że wpadniemy na nich lada chwila.

Silnik ryknął, ale Köster zdławił go natychmiast. Powoli sunęliśmy przez białą, wirującą noc, z ulicy na ulicę. Na zakrętach przytrzymywałem Gotfryda, żeby się nie zsunął. Od czasu do czasu

zatrzymywaliśmy się sto metrów za jakąś knajpą, a Köster długimi krokami biegł zajrzeć do wnętrza. Był opętany zimną, ponurą pasją – nie myślał o tym, żeby najpierw odwieźć ciało Gotfryda, dwa razy kierował już wóz w stronę domu, ale potem zawracał, gdyż łudził się, że właśnie w tej chwili tropiona czwórka może się zjawić.

Nagle ujrzeliśmy przed sobą na długiej, opustoszałej ulicy ciemną grupę ludzi. Köster wyłączył natychmiast silnik i cicho, bez światła, podjechaliśmy. Ludzie nie słyszeli nas. Rozmawiali.

– Jest ich czterech – szepnąłem.

W tej samej chwili wóz warknął, przeleciał ostatnich dwieście metrów, wjechał jednym kołem na chodnik i zatrzymał się z piskiem hamulców, zarzucając ostro przed grupą ludzi, którzy rozbiegli się z krzykiem. Köster wychylił się z wozu. Ciało jego podobne było do stalowego łuku, gotowe do skoku, a twarz nieubłagana jak śmierć.

Ale byli to tylko jacyś starsi, nieszkodliwi panowie. Jeden z nich był zalany. Zaczęli kląć na nas, ile wlezie. Ruszyliśmy dalej.

– Otto, nie znajdziemy ich już dzisiaj. Nie wierzę, ażeby ten człowiek odważył się włóczyć teraz po ulicy.

– Być może – odparł po chwili i zawrócił wozem.

Pojechaliśmy do mieszkania Köstera. Miało osobne wejście, tak że nie potrzebowaliśmy nikogo budzić. Gdy wysiedliśmy, spytałem:

– Dlaczego nie chciałeś powiedzieć policji, jak to wygląda? Byłaby to dla nas pomoc w poszukiwaniu. Widzieliśmy go przecież dosyć wyraźnie.

Köster rzucił mi przenikliwe spojrzenie.

– Bo musimy to załatwić sami, bez policji, rozumiesz? Czy myślisz – tu głos jego zabrzmiał nagle cicho, znękany i straszny – że oddam go policji? Żeby dostał za to parę lat więzienia? Wiesz przecież, jak się kończą wszystkie takie procesy! Te dranie wiedzą, że mogą liczyć na łagodność sędziów. Nie, tego nie zrobię! Nawet gdyby policja go złapała, powiem, że to nie ten, żeby go dostać w swoje ręce. Gotfryd nie żyje, a tamten chodzi po ziemi! Nie, tak być nie może!

Wzięliśmy nosze z siedzenia i ponieśliśmy przez zadymkę i wicher, i było tak, jak wtedy we Flandrii, kiedyśmy wynosili zabitego towarzysza z okopów.

Kupiliśmy trumnę i grób na cmentarzu gminnym. Dzień pogrzebu był jasny i słoneczny. Sami zabiliśmy trumnę i znieśliśmy ją na dół. Niewielu ludzi szło za pogrzebem. Ferdynand, Valentin, Alfons, barman Fred, Jerzyk, Jupp, pani Stoss, Gustaw, Stefan Grigoleit i Róża.

Przed bramą cmentarną musieliśmy poczekać. Przed nami były jeszcze dwa pogrzeby, które miały pierwszeństwo. Jedną trumnę przywieziono czarnym samochodem-karawanem, drugą wozem zaprzężonym w czarne konie ze srebrnymi pióropuszami; za trumną postępował nie kończący się kondukt ludzi, rozmawiających z ożywieniem.

Zdjęliśmy trumnę z wozu i sami opuściliśmy ją na sznurach do dołu. Grabarz był wielce rad tej pomocy, gdyż miał moc roboty przy innych grobach. Zamówiliśmy także klechę. Nie wiedzieliśmy co prawda, co by na to powiedział Gotfryd, ale Valentin obstawał przy udziale duchownego. Poprosiliśmy jednak pastora, żeby nie wygłaszał mowy, tylko odczytał jakiś ustęp z Pisma świętego. Pastor był stary i niedowidział. Podchodząc do grobu, potknął się o bryłę ziemi i byłby się zwalił do dołu, gdyby Köster z Valentinem nie pochwycili go na czas. Jednakże zarówno Biblia, jak okulary, które właśnie zamierzał nasadzić na nos, wymknęły mu się z rąk. Wpadły do dołu. Pastor rozejrzał się z zakłopotaniem wokoło.

– Proszę się nie martwić – rzekł Valentin. – Pokryjemy tę stratę.

– Tu nie chodzi o Biblię – rzekł cicho pastor – ale o szkła, które są mi potrzebne.

Valentin ułamał gałąź z żywopłotu cmentarnego. Potem ukląkł nad grobem i udało mu się schwycić okulary i wydobyć je spośród wieńców. Okulary były w złotej oprawie. Może dlatego pastor chciał je odzyskać. Biblia zsunęła się z trumny. Żeby ją wydostać, trzeba by wyjąć trumnę i zejść na dno grobu. Duchowny nie nalegał na to. Stał zakłopotany.

– Czy zamiast tego mam powiedzieć parę słów? – zapytał.

– Niech sobie ksiądz daruje – rzekł Ferdynand. – On ma tam teraz przy sobie całe Pismo święte.

Rozkopana ziemia pachniała mocno. Po jednej ze skib pełzała biała gąsienica. Przyrzucona ziemią zostanie w głębi, zmieni się w poczwarkę, a na przyszły rok przebije się przez skorupę i wypełznie na światło. Ale Gotfryd był niepowrotnie martwy. Zgasł. Staliśmy nad jego grobem, wiedząc, że jego ciało, włosy, oczy są jeszcze, choć zmienione – ale on sam odszedł i nie wróci. Nie można było tego pojąć. Nasza skóra była ciepła, mózg pracował, serce tłoczyło krew w żyły, byliśmy tacy jak dawniej, jak jeszcze wczoraj, nie utraciliśmy nagle ramienia, nie oślepliśmy ani też nie oniemieliśmy – wszystko było tak jak zawsze, zaraz opuścimy cmentarz, a Gotfryd Lenz zostanie tutaj, nie pójdzie za nami. Nie sposób było tego pojąć.

Grudy ziemi zagrzechotały na trumnie. Grabarz dał nam łopaty i oto zagrzebywaliśmy naszego towarzysza we czterech: Valentin, Köster, Alfons i ja, tak jak już nieraz przedtem zagrzebywaliśmy niejednego kolegę. W mózgu tłukła mi się, huczała stara piosenka żołnierska, stara, smutna piosenka, którą Gotfryd tak często nucił: „Lesie Argoński, o Lesie Argoński… zmienisz się wkrótce w cichy grób…”

Alfons przyniósł ze sobą prosty, czarny krzyż drewniany, taki jakich setki tysięcy stoją na nie kończących się rzędach grobów we Francji. Wetknęliśmy go w mogiłę.

– Chodźcie – rzekł wreszcie ochrypłym głosem Valentin.

– Dobrze – powiedział Köster, ale nie ruszył się z miejsca.

Staliśmy wszyscy. Valentin spojrzał po nas.

– Na co to? – spytał wolno. – Na co? Niech to diabli!

Nikt nie odpowiedział.

Valentin zrobił zmęczony ruch ręką.

– Chodźmy.

Skierowaliśmy się żwirem wysypanymi ścieżkami ku wyjściu. Przy bramie cmentarnej czekali na nas Fred, Jerzy i inni.

– Umiał się tak wspaniale śmiać – rzekł Stefan Grigoleit, a po jego bezsilnej, gniewnej twarzy spływały łzy.

Obejrzałem się. Nikt nie szedł za nami.

XXV

W lutym siedzieliśmy z Kösterem po raz ostatni w naszym warsztacie. Musieliśmy go zlikwidować, a teraz czekaliśmy na licytatora, który miał sprzedać urządzenie i taksówkę. Köster miał widoki na otrzymanie z wiosną posady kierowcy wyścigowego w jednej z mniejszych firm samochodowych. Ja grywałem stale w „Internationalu", chciałem zaś załapać jeszcze jakieś dodatkowe dzienne zajęcie, żeby więcej zarobić.

Na podwórzu zbierali się powoli ludzie. Zjawił się licytator.

– Wyjdziesz na podwórze? – spytałem Ottona.

– Po co? Wszystko jest przygotowane, licytator wie, co robić.

Köster miał wygląd człowieka zmęczonego do cna. Nie tak łatwo można było poznać to po nim, ale gdy się go dobrze znało, było to widoczne. Twarz jego wyglądała wtedy bardziej surowa i napięta niż zwykle. Co wieczór wyjeżdżał na miasto i tropił zawsze w tej samej okolicy. Od dawna już znał nazwisko młokosa, który zastrzelił Gotfryda. Nie mógł go jednak odnaleźć, albowiem ten, w obawie przed policją, zmienił mieszkanie i ukrywał się, nie wiadomo gdzie. Tego wszystkiego wywiedział się Alfons. On także czekał. Było jednak całkowicie możliwe, że sprawca opuścił miasto. Nie wiedział, że Köster i Alfons zaczaili się na niego. Czekali, aż młokos poczuje się bezpieczny i wróci.

– Wyjdę i przyjrzę się przedstawieniu, Otto.

– Dobrze.

Wyszedłem na podwórze. Nasz warsztat i wszystkie pozostałe graty ustawiliśmy pośrodku dziedzińca. Na prawo przy murze sterczała taksówka. Umyliśmy ją starannie. Obejrzałem siedzenia

i gumy. Gotfryd nazywał stale taksówkę naszą poczciwą mleczną krową. Nie było nam łatwo rozstać się z nią.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Obejrzałem się zdumiony. Młody, nieprzyjemnie pewny siebie facet w palcie z paskiem stał przede mną. Mrugał i wymachiwał bambusową laseczką w powietrzu.

– Halo! My się przecież znamy!

Rozjaśniało mi się w mózgu.

– Czyżby Gwido Thiess z firmy „Augeka”?

– Oczywiście – potwierdził z zadowoleniem. – Spotkaliśmy się przecież swojego czasu przy tym samym gracie. Był pan wtedy w towarzystwie obrzydliwego faceta. Mało brakowało, a byłbym mu dał po mordzie.

Odruchowo ściągnąłem usta, kiedy pomyślałem, że gość wybierał się dać po mordzie Kösterowi. Thiess uznał to za uśmiech i ze swej strony odpowiedział ukazaniem nieco niekompletnego uzębienia.

– Ach, dajmy temu spokój, Gwido nie jest mściwy. Zapłaciliście wtedy za tego staruszka kupę forsy. Czy rzeczywiście wyszliście wtedy na swoje?

– Tak. Wóz jest dobry.

Thiess zarechotał.

– Gdyby pan posłuchał mojej rady, zarobiłby pan więcej. I ja także. No, spuśćmy zasłonę na te sprawy. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ale dzisiaj możemy zrobić siuchtę. Za pięćset marek dostaniemy lekko to pudło. Przecież poza nami nie ma psa z kulawą nogą do licytowania? Zgoda?

Zrozumiałem. Przypuszczał, że odsprzedaliśmy wtedy wóz, i nie domyślał się, że garaż należy do nas. Przeciwnie, był święcie przekonany, że chcemy znowu odkupić taksówkę.

– Wóz wart jest dzisiaj jeszcze półtora tysiąca – powiedziałem. – Nie licząc koncesji na taksówkę.

– Otóż właśnie – tłumaczył gorliwie Gwido. – Dociągniemy do pięciuset, to znaczy ja. Jeżeli dostaniemy wóz, to bulę panu na rękę trzysta pięćdziesiąt żywą gotówką.

– Nie da się zrobić. Mam już reflektanta na wóz.

– Ale przecież… – próbował zasypać mnie nowymi propozycjami.

– Niech się pan nie trudzi.

Poszedłem na środek dziedzińca. Wiedziałem już, że jego firma pozwoliła mu ciągnąć do tysiąca dwustu.

Licytator zaczął wywoływać graty. Najprzód urządzenia warsztatu. Niewiele to przyniosło. To samo narzędzia. Potem przyszła kolej na taksówkę. Pierwsza oferta brzmiała trzysta marek.

– Czterysta – rzekł Gwido.

– Czterysta pięćdziesiąt – zaofiarował po długim wahaniu jakiś mężczyzna w bluzie ślusarskiej.

Gwido poszedł na pięćset. Licytator rozejrzał się wkoło. Ślusarz milczał. Gwido mrugnął pod moim adresem i podniósł cztery palce.

– Sześćset – rzuciłem.

Gwido potrząsnął głową i skoczył na siedemset. Podbijałem dalej. Gwido przelicytowywał mnie z rozpaczą w sercu. Przy tysiącu zaczął mi dawać błagalne znaki i pokazywać na palcach, że mogę zarobić jeszcze setkę. Zaofiarował tysiąc dziesięć. Przy tysiąc stu poczerwieniał i spojrzał na mnie jak na wroga, ale wydusił z siebie tysiąc sto dziesięć. Skoczyłem na tysiąc sto dziewięćdziesiąt i oczekiwałem jego oferty na tysiąc dwieście. Potem chciałem zaprzestać.

Ale Gwido wpadł teraz w szał. Wściekły był, że zostanie – według swego mniemania – raz jeszcze zdystansowany przeze mnie i nagle rzucił: tysiąc trzysta. Zastanowiłem się szybko. Gdyby rzeczywiście chciał kupić, to zatrzymałby się na tysiąc dwustu. Teraz chciał tylko podbić moją cenę i zemścić się na mnie. Z naszej rozmowy miarkował, że jako granicę wyznaczyłem sobie tysiąc pięćset, i czuł się bezpieczny.

– Tysiąc trzysta dziesięć – rzuciłem.

– Tysiąc czterysta – zareplikował szybko Gwido.

– Tysiąc czterysta dziesięć – odparłem z ociąganiem. Bałem się, że teraz Gwido mnie puści.

– Tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt – ryknął Gwido, patrząc na mnie z drwiącym triumfem. Był przekonany, że mnie wykiwał.

Wytrzymałem spokojnie jego spojrzenie i milczałem. Licytator spytał raz, drugi, po czym podniósł młotek. W chwili, gdy przyznał wóz Gwidonowi, wyraz twarzy mego rywala zmienił się z triumfu na bezradne zdumienie. Bez tchu podbiegł do mnie.

– Byłem przekonany, że pan…

– Nie – odparłem.

Przyszedł do siebie i zaczął się skrobać w głowę.

– Niech to diabli! Ciężko będzie wytłumaczyć się przed szefem firmy. Byłem przekonany, że dociągnie pan do tysiąca pięciuset. No, bądź co bądź – tym razem sprzątnąłem panu sprzed nosa to pudło!

– O to chodziło.

Gwido nie zrozumiał, co mam na myśli. Dopiero gdy ujrzał Köstera, wychodzącego z garażu, pojął nagle i chwycił się za głowę.

– O Boże, wóz należał do panów? Ach, to osioł ze mnie, głupi osioł do kwadratu! Wpadłem! Nabiliście mnie w butelkę! Gwido, że też to akurat tobie musiało się zdarzyć! Dałem się nabrać na najbardziej ograny trik! No, trudno. Właśnie najsprytniejsi wpadają przy najprostszych okazjach. Jeszcze się w przyszłości na panu odkuję!

Usiadł przy kierownicy i odjechał. Patrzyliśmy w ślad za taksówką i było nam ciężko na sercu.

Po południu przyszła Matylda Stoss. Musieliśmy się z nią jeszcze rozliczyć za ostatni miesiąc. Köster wręczył jej pieniądze i poradził, aby postarała się o pracę u nowego właściciela warsztatu. Umieściliśmy już u niego Juppa. Ale Matylda potrząsnęła głową.

– Nie, proszę pana. Ja już skończyłam z tym zajęciem. Mam na to za sztywne kości.

– A cóż pani ze sobą zrobi?

– Pójdę do córki. Wyszła za mąż do Bunzlau. Był pan kiedy w Bunzlau?

– Nie, Matyldo.

– Ale pan Köster pewno był?

– I ja nie byłem.

– To zabawne – stwierdziła Matylda – nikt nie zna Bunzlau. Pytałam już tylu ludzi! A przecież moja córka mieszka w Bunzlau od dwudziestu lat. Jej mąż jest sekretarzem zarządu miejskiego.

– No, to Bunzlau jednak istnieje. Może pani być tego zupełnie pewna, skoro jest tam sekretarz zarządu miejskiego.

– Jestem pewna. Ale jednak to zabawne, że nikt nie zna Bunzlau, no nie?

Przyznaliśmy jej całkowitą słuszność.

– Dlaczego pani przez cały ten czas nie odwiedziła córki i zięcia w Bunzlau?

Matylda uśmiechnęła się przebiegle.

– Ano, były tam takie powody. Ale teraz mam się zająć dziećmi. Całą czwórką. I Edwarda też mam ze sobą zabrać.

– Zdaje mi się, że okolice Bunzlau wyrabiają doskonałą wódkę – rzekłem. – Śliwowicę, czy coś takiego…

Matylda gwałtownie zamachała rękami.

– O to właśnie chodziło. Bo widzi pan, mój zięć jest abstynentem. To są tacy całkiem nietrunkowi ludzie.

Köster wyjął butelkę z opróżnionej szafy.

– No, w takim razie musimy jeszcze wypić na pożegnanie.

– Ja zawsze nie od tego – zapewniła gorliwie pani Stoss.

Köster postawił kieliszki na stole i nalał rumu. Matylda przełknęła trunek z taką piorunującą szybkością, jakby go wlewała przez sito. Aż jej się trzęsły wargi i obfity wąsik.

– Może jeszcze jednego? – spytałem.

– Nie odmówię, proszę pana.

Wypiła jeszcze jeden duży kieliszek napełniony po brzegi, po czym pożegnała się z nami.

– Powodzenia w Bunzlau! – powiedziałem.

– Dziękuję! Ale jednak to zabawne, że nikt tego miasta nie zna, co?

Wyżeglowała z warsztatu. Zostaliśmy jeszcze chwilę w pustej budzie.

– Pójdziemy już chyba – rzekł wreszcie Köster.

– Pewno. Nie mamy tu już nic do roboty – odparłem.

Zamknęliśmy drzwi na klucz i poszliśmy po Karla. Stał teraz w sąsiednim garażu, nie był włączony do ruchomości sprzedanych z licytacji. Pojechaliśmy do banku i na pocztę, gdzie Köster wpłacił pieniądze na rachunek kuratora masy upadłości.

– Pójdę się teraz przespać – powiedział, kiedyśmy wyszli z urzędu. – Co robisz później?

– Zwolniłem się na cały wieczór.

– Dobrze, wstąpię po ciebie koło ósmej.

Przekąsiliśmy coś w małej podmiejskiej knajpce, potem zawróciliśmy w stronę śródmieścia. Zaraz na początku nawaliła nam przednia kicha. Wymieniliśmy koło. Karla nie myliśmy już od niepamiętnych czasów, toteż ubrudziłem się solidnie przy tej robocie.

– Muszę gdzieś umyć ręce – rzekłem do Ottona.

W pobliżu była wcale duża kawiarnia. Weszliśmy do lokalu i usiedliśmy przy stoliku niedaleko wejścia. Ku naszemu zdumieniu sala była niemal pełna. Grała damska kapela i panował duży ruch. Orkiestra miała na głowach barwne papierowe kapelusiki, wielu gości ubranych było w karnawałowe kostiumy, rzucano od stołu do stołu serpentyny, baloniki ulatywały w górę, kelnerzy zwijali się jak w ukropie, niosąc wysoko naładowane tace, cały lokal aż kipiał ruchem, śmiechem i gwarem.

– Co tu się dzieje? – spytał Köster.

Jasnowłosa dziewczyna, siedząca nieopodal, zasypała nas chmurą konfetti.

– Spadli z księżyca! – zaśmiała się. – Czy nie wiecie, że dzisiaj jest początek zapustów?

– Ach, tak – mruknąłem. – No, to pójdę sobie umyć ręce.

Żeby dostać się do toalet, trzeba było przejść przez cały lokal. Na chwilę utknąłem w gromadce pijaków, którzy chcieli postawić na stole jakąś kobietę i zmusić ją do śpiewu. Kobieta broniła się z piskiem, przy zapasach runął stół, a z nim całe towarzystwo. Czekałem, aż przejście będzie wolne. Nagle poczułem, jakby mnie przeszedł prąd elektryczny. Stałem oszołomiony, zdrętwiały, cały lokal zapadł się gdzieś, gwar, muzyka, wszystko znikło, gdzieś w głębi przesuwały się jakieś mgliste cienie – ale wyraźnie, ostro zarysowany, wyodrębniał się jeden jedyny stolik, a za nim młokos

z błazeńską czapką przekrzywioną na głowie, obejmujący ramieniem zalaną dziewoję; miał szkliste, głupie oczy, bardzo wąskie wargi, a pod stolikiem wyzywające, jasnożółte, do połysku wyczyszczone skórzane sztylpy. Jakiś kelner potrącił mnie w przejściu. Poszedłem dalej jak zalany i znowu przystanąłem. Zrobiło mi się gorąco, jednocześnie zaś drżałem na całym ciele. Dłonie miałem wilgotne od potu. Teraz dopiero dostrzegłem inne osoby przy tamtym stoliku. Usłyszałem, że śpiewają chórem z wyzywającym wyrazem twarzy jakąś piosenkę i uderzają do taktu w stół kuflami od piwa. Ktoś znowu mnie potrącił.

– Niechże pan nie sterczy w przejściu! – mruknął.

Poszedłem mechanicznie dalej, znalazłem umywalnię, podstawiłem ręce pod kran i spostrzegłem to dopiero wtedy, gdy niemal poparzyłem sobie dłonie. Potem wróciłem.

– Co się z tobą dzieje? – spytał Köster.

Nie mogłem wydobyć słowa.

– Niedobrze ci? – spytał.

Potrząsnąłem głową i spojrzałem na stolik, od którego blond dziewuszka robiła do nas zawzięcie oko. Nagle twarz Köstera zbladła. Oczy zwęziły się. Pochylił się ku mnie.

– Tak? – spytał całkiem cicho.

– Tak.

– Gdzie?

Popatrzyłem w kierunku stolika.

Köster podniósł się powoli. Tak jakby wyprężył się wąż.

– Ostrożnie – szepnąłem. – Nie tutaj, Otto.

Odpędził mnie krótkim ruchem ręki i poszedł powoli naprzód. Byłem gotów skoczyć za nim w razie potrzeby. Jakaś kobieta nasadziła na głowę Kösterowi zielono-czerwoną papierową czapeczkę i uwiesiła się u jego ramienia. Odpadła jak dojrzała gruszka, chociaż Köster nie poruszył się nawet, i wytrzeszczyła na niego oczy. Köster przeszedł łukiem przez kawiarnię, po czym wrócił do mnie.

– Już go nie ma – rzekł.

Wstałem i rozejrzałem się po sali. Köster miał rację.

– Czy przypuszczasz, że mnie poznał? – spytałem.

Köster wzruszył ramionami. Dopiero teraz zauważył, że ma papierową czapeczkę na głowie, i strącił ją.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać – rzekłem. – Byłem w umywalni najwyżej minutę lub dwie.

– Byłeś tam co najmniej kwadrans.

– Co? – Raz jeszcze spojrzałem ku stolikowi. – Inni także zwiali. Siedziała z nimi jeszcze dziewczyna, ale i tej już nie ma. Gdyby mnie poznał, zniknąłby sam.

Köster skinął na kelnera.

– Czy jest stąd drugie wyjście?

– Tak, na Hardenbergstrasse.

Köster wydobył monetę z kieszeni i podał ją kelnerowi.

– Chodźmy – rzekł.

– Jaka szkoda! – zaśmiała się blondynka przy sąsiednim stoliku. – Tacy poważni panowie!

Wiatr uderzył w nas, gdyśmy wyszli na ulicę. Po gorącym zaduchu kawiarni ulica wydawała się lodowato zimna.

– Idź do domu – rzekł Köster.

– Było ich kilku – odparłem, sadowiąc się przy nim.

Wóz ruszył z miejsca pędem. Przetrząsnęliśmy wszystkie ulice wokół kawiarni, rozszerzaliśmy coraz bardziej krąg, ale nie znaleźliśmy nikogo. Wreszcie Köster zatrzymał wóz.

– Umknął nam – rzekł. – Ale to nic nie szkodzi. Teraz go już prędzej czy później dostaniemy.

– Otto, powinniśmy dać temu spokój. – Spojrzał na mnie. – Gotfryd umarł. – Dziwiłem się sam temu, co mówię. – Nie ożyje przez to.

Köster nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Robby – rzekł powoli – nie wiem, ilu ludzi zabiłem na wojnie. Ale pamiętam doskonale, jak zestrzeliłem jednego młodego Anglika. Miał defekt w silniku i nic nie mógł zrobić. Gnałem na swojej maszynie parę metrów za nim i widziałem dokładnie jego przerażoną, dziecinną twarz i przerażone oczy. Był to – jakeśmy później ustalili – jego pierwszy lot, miał ledwie osiemnaście lat i w tę przerażoną, bezradną, ładną twarz dziecka wygarnąłem z odległości paru metrów całą serię z karabinu maszynowego, aż

czaszka rozprysnęła się niby kurze jajo. Nie znałem tego chłopca i nie zrobił mi nic złego. Trwało dłużej niż zwykle, zanim przemogłem się i stłumiłem głos sumienia owym przeklętym zdaniem: wojna to wojna. Ale powiadam ci, jeżeli tego człowieka, który zamordował Gotfryda, który bez powodu zastrzelił go jak psa, nie sprzątnę, to zabicie tego młodego Anglika było straszliwą zbrodnią. Rozumiesz?

– Tak.

– A teraz idź do domu. Muszę nareszcie doprowadzić tę sprawę do końca. Stoi przede mną jak mur. Nie będę mógł zrobić kroku, dopóki nie usunę tego muru.

– Nie pójdę do domu, Otto. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to musimy się trzymać razem.

– Nonsens – rzekł niecierpliwie. – Nie jesteś mi potrzebny. – Podniósł rękę, kiedy dostrzegł, że chcę mu przerwać. – Będę na siebie uważał. Spotkam się z nim bez świadków, w pojedynkę. Nie bój się!

Wypchnął mnie niecierpliwie z wozu i pognał dalej. Wiedziałem, że żadna siła nie powstrzyma go teraz. Wiedziałem także, dlaczego nie chciał zabrać mnie ze sobą. Ze względu na Pat. Gotfryda zabrałby na pewno.

Poszedłem do Alfonsa. Był to jedyny człowiek, z którym mogłem pogadać. Chciałem naradzić się z nim, czy nie dałoby się czegoś zrobić w tej sprawie. Nie zastałem jednak Alfonsa w lokalu. Zaspana dziewucha oświadczyła, że przed godziną poszedł na jakieś zebranie. Usiadłem przy stoliku i czekałem.

W lokalu było pusto. Tylko jedna mała żarówka paliła się nad szynkwasem. Dziewczyna usiadła i zaraz zasnęła. Myślałem o Ottonie, o Gotfrydzie, wyglądałem oknem na ulicę, która oświetlona była teraz przez powoli wspinający się ponad dachy księżyc w pełni. Myślałem o grobie z czarnym drewnianym krzyżem i zawieszonym na nim hełmem stalowym i nagle spostrzegłem, że płaczę. Szybko otarłem łzy.

W jakiś czas później słyszałem szybkie, ciche kroki. Drzwi prowadzące na podwórze otworzyły się i stanął w nich Alfons. Twarz jego lśniła od potu.

– To ja, Alfonsie!

– Chodź no szybko.

Poszedłem za nim do pokoju mieszczącego się na prawo od salki. Alfons podszedł do szafy i wydostał z niej dwa stare wojskowe pakieciki z opatrunkami.

– Możesz mnie opatrzyć? – rzekł i zdjął spodnie. Na udzie miał krwawą ranę.

– To wygląda jak rana postrzałowa.

– Tak też jest – mruknął Alfons. – Duchem, rób opatrunek.

– Alfonsie – rzekłem, prostując się – gdzie jest Otto?

– Skąd ja mam wiedzieć, gdzie jest Otto? – mruknął, wyciskając krew z rany.

– Czy nie byliście razem?

– Nie.

– Nie widziałeś go?

– Skąd. Rozwiń drugi pakiecik i połóż na wierzch. To tylko draśnięcie. – Zajął się dalej swoją raną, pomrukując pod nosem.

– Alfonsie… my tego… wiesz, tego, co to Gotfryda… widzieliśmy go dzisiaj wieczorem i Otto tropi go teraz.

– Co? Otto? – Alfons nastawił uszu. – Gdzież on jest? Przecież to już nie ma sensu. Musi dać spokój!

– On nie da spokoju.

Alfons cisnął na bok nożyczki.

– Jedź zaraz po niego! Wiesz, gdzie może być? Niech wieje. Powiedz, że sprawa Gotfryda jest już załatwiona. Dowiedziałem się wcześniej od was. Widzisz przecież, że załatwiona. Strzelił do mnie, ale podbiłem mu rękę. Potem ja strzeliłem. Gdzie jest Otto?

– Gdzieś w okolicy Mönkestrasse.

– Chwała Bogu. Tamten od dawna już tam nie mieszkał. Ale lepiej będzie, jeżeli odwołasz Ottona.

Podszedłem do telefonu i zadzwoniłem na postój taksówek, gdzie zwykle zatrzymywał się Gustaw. Był na szczęście.

– Słuchaj, Gustaw, czy mógłbyś przyjechać na róg Wiesenstrasse i Bellevueplatz? I to raz-dwa? Będę czekał.

– Zrobione. Za dziesięć minut.

Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do Alfonsa. Wciągnął już na siebie inne spodnie.

– Nie wiedziałem, że polujecie także – rzekł. Twarz jego ciągle jeszcze była mokra od potu. – Lepiej by było, żebyście gdzieś spokojnie siedzieli. Ze względu na alibi. Nigdy nie wiadomo…

– Lepiej myśl o sobie.

– Ech, głupstwo! – Alfons mówił szybciej niż zwykle. – Byłem z nim sam na sam. Czekałem na niego w pokoju. Mieszkał w altance w ogródku działkowym. Wokoło nie ma sąsiadów. Poza tym działałem w obronie własnej. Jak tylko wszedł i zobaczył mnie, strzelił. Nie potrzeba mi alibi. Zresztą mogę ich mieć tuzin, jeśli będę chciał. – Patrzał na mnie. Siedział na krześle, z wilgotną, szeroką twarzą zwróconą ku mnie. Spocone, sklejone włosy, wykrzywione, szerokie usta. Nie mogłem znieść wyrazu jego oczu – tyle beznadziejnej męki, bólu i miłości biło z nich naraz. – No, teraz Gotfryd będzie miał spokój – rzekł cicho, ochrypłym głosem. – Czułem, że nie miał go przedtem.

Stałem przed nim w milczeniu.

– Idź już – powiedział.

Wyszedłem przez lokal. Dziewczyna spała jak kamień. Oddychała głośno. Księżyc wspiął się już wysoko i na dworze było bardzo jasno. Poszedłem ku Bellevueplatz. Okna domów świeciły w blasku księżyca jak srebrne lustra. Wiatr przywarował. Było zupełnie cicho.

W kilka minut potem zjawił się Gustaw.

– Co się stało, Robert? – spytał.

– Dzisiaj wieczorem skradziono nam wóz. Dowiedziałem się właśnie, że widziano go w okolicy Mönkestrasse. Czy możesz mnie tam zawieźć?

– Ależ oczywiście! – Gustaw ochoczo dał gazu. – Czegóż to dzisiaj ludziska nie kradną. Co dzień parę wozów. Ale przeważnie tylko tyle ujadą wozem, ile benzyny w baku, a potem ciskają wóz, gdzie popadnie.

– Tak, przypuszczam, że i z naszym było podobnie.

Gustaw wyznał mi, że niedługo się żeni. U narzeczonej zanosi się na coś małego, a w takich wypadkach na nic wymigiwanie. Przejechaliśmy Mönkestrasse, a potem parę bocznych ulic.

– Patrz, tu jest wóz! – zawołał nagle Gustaw.

Rzeczywiście, Karl stał w ukrytej, ciemnej uliczce. Wysiadłem, dobyłem mój kluczyk, włączyłem silnik.

– Wszystko w porządku, Gustawie. Piękne dzięki za podwiezienie.

– Nie pójdziemy gdzie na jednego? – spytał.

– Nie, dzisiaj nie… Jutro. Muszę szybko gonić do domu. – Wsadziłem rękę do kieszeni, ażeby zapłacić za kurs.

– Zwariowałeś? – zawołał.

– A więc jeszcze raz dzięki. Nie trać już czasu dla mnie. Do widzenia.

– A co byś tak powiedział, gdybyśmy zaczaili się i poczekali na faceta, który zwędził wóz?

– Nie, nie, pewnie zwiał już dawno gdzie pieprz rośnie. – Ogarnęła mnie nagle straszna niecierpliwość. – Do widzenia, Gustawie.

– Masz benzynę?

– Tak, wystarczy. Już zajrzałem. A więc dobranoc!

Odjechał. Poczekałem chwilę, po czym pogazowałem za nim, wpadłem na Mönkestrasse i przejechałem ją powoli na trzecim biegu. Gdy zawróciłem po raz drugi, natknąłem się na Köstera. Stał na rogu.

– Co to znaczy?

– Wsiadaj szybko – rzekłem. – Nie masz tu już po co stać. Alfons także o nim wiedział. On już… on już go spotkał.

– I co?

– Tak – powiedziałem.

Köster wsiadł w milczeniu. Nie ujął kierownicy. Osunął się, nieco skulony, koło mnie, ja prowadziłem wóz.

– Może pojedziemy do mnie? – spytałem.

Skinął głową. Dałem gazu i pognałem aleją nad kanałem. Woda była jak jeden długi, srebrny pas. Szopy na przeciwległym brzegu

spoczywały w głębokim cieniu, ale ulice przewiane były drgającym, bladym błękitem, w którym koła obracały się jak w niewidzialnym śniegu. Szerokie wieże barokowe tumu unosiły się nad rzędami dachów. Połyskiwały zielono i srebrnie na tle dalekiego, fosforyzującego nieba, na którym zawisł księżyc jak wielka świetlna kula.

– Jestem rad, Otto, że tak się to skończyło.

– Ja nie – odparł.

U pani Zalewskiej paliło się jeszcze światło. Gdy otworzyłem drzwi, wytoczyła się ze swojego saloniku.

– Jest dla pana telegram.

– Telegram? – spytałem zdumiony.

Ciągle jeszcze zaprzątnięty byłem wypadkami tego wieczoru. Potem dopiero zrozumiałem i pobiegłem do pokoju. Depesza leżała pośrodku stołu, kredowobiała w jaskrawym świetle. Rozerwałem ją, poczułem ucisk w piersiach, litery rozpłynęły się, zatarły, powróciły, odetchnąłem, wszystko zatrzymało się w ciszy; podałem telegram Kösterowi.

W telegramie były tylko trzy słowa: „Robby przyjeżdżaj szybko".

Wziąłem do rąk blankiet. Uczucie ulgi minęło, powróciła trwoga.

– Co to może znaczyć, Otto? Na Boga, dlaczego nie pisze nic więcej? Na pewno coś się stało!

Köster położył depeszę na stole.

– Kiedy miałeś ostatnią wiadomość od niej?

– Przed tygodniem. Nie, dawniej.

– Zamów rozmowę. Jeżeli coś się stało, pojedziemy zaraz. Wozem. Masz rozkład jazdy?

Zamówiłem rozmowę z sanatorium i przyniosłem rozkład z salonu pani Zalewskiej. Czekaliśmy, Köster przerzucał rozkład.

– Najbliższy pociąg, mający dobre połączenie, odchodzi dopiero jutro w południe. Lepiej będzie, jeżeli weźmiemy wóz i pojedziemy tak daleko, jak się da. Wtedy zawsze jeszcze możemy złapać po

drodze pociąg. W ten sposób zyskamy na pewno parę godzin. Jak myślisz?

– Tak, tak będzie najlepiej.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak potrafiłbym wytrzymać w pociągu bezczynnie przez tyle godzin.

Zadzwonił telefon. Köster poszedł z rozkładem jazdy do mojego pokoju. Zgłosiło się sanatorium. Spytałem o Pat. W minutę później siostra dyżurna powiedziała mi, że nie jest wskazane, by Pat rozmawiała przez telefon.

– Co się stało? – krzyknąłem.

– Miała mały krwotok przed kilku dniami. I dzisiaj trochę gorączki.

– Proszę powiedzieć, że przyjeżdżam – zawołałem. – Z Kösterem i Karlem. Wyjeżdżamy zaraz. Czy siostra zrozumiała?

– Tak, z Kösterem i Karlem – powtórzył głos w aparacie.

– Tak. Ale proszę jej to powiedzieć natychmiast. Odjeżdżamy zaraz.

– Natychmiast wszystko powtórzę.

Poszedłem z powrotem do pokoju. Nogi niosły mnie dziwnie lekko. Köster siedział przy stole i wypisywał pociągi.

– Spakuj walizkę – rzekł. – Pojadę do domu i wezmę swoją. Za pół godziny wrócę.

Zdjąłem z szafy walizkę. Była to ta od Lenza z kolorowymi nalepkami hotelowymi. Spakowałem się prędko i zawiadomiłem o wyjeździe panią Zalewską oraz właściciela „Internationalu". Potem usiadłem przy oknie w pokoju i czekałem na Köstera. Było bardzo cicho. Myślałem o tym, że jutro wieczorem znajdę się przy Pat, i nagle chwyciło mnie w szpony gorące, dzikie oczekiwanie, wobec którego wszystko zbladło: trwoga, troska, smutek i rozpacz. Jutro wieczorem będę przy niej – było to niepojęte szczęście, coś, w co już niemal przestałem wierzyć. Od czasu naszego rozstania tyle rzeczy straciłem.

Wziąłem walizkę i zszedłem na dół. I nagle wszystko stało się bliskie i ciepłe, nawet schody, stęchły zapach sieni, zimna, błyszcząca gumowa szarość asfaltu, po którym właśnie nadjechał Karl.

– Zabrałem ze sobą parę koców – rzekł Köster. – Na pewno będzie zimno. Zawiń się porządnie.

– Pojedziemy na zmianę, co?

– Tak. Ale na razie ja poprowadzę. Wyspałem się po południu.

W pół godziny później zostawiliśmy za sobą miasto. Objęło nas przeogromne milczenie jasnej nocy księżycowej. Biała szosa biegła przed nami aż po widnokrąg. Było tak jasno, że jechaliśmy bez świateł. Dźwięk silnika brzmiał jak głuche dudnienie organów. Nie zakłócał jednak ciszy; sprawiał, że odczuwało się ją jeszcze silniej.

– Powinieneś się trochę zdrzemnąć – rzekł Köster.

Potrząsnąłem głową.

– Nie mogę, Otto.

– Wyciągnij się przynajmniej, żebyś na jutro rano był świeży. Musimy przejechać całe Niemcy.

– Odpoczywam i tak.

Siedziałem obok Köstera. Księżyc przesuwał się powoli po niebie. Pola błyszczały jak odlane z perłowej macicy. Od czasu do czasu przemykały mimo nas wioski, niekiedy miasteczka, zaspane, puste, wąwozy ulic między szeregami domów, wypełnione widmowym, niematerialnym światłem, które zmieniało noc w jakiś nierzeczywisty film.

Nad ranem zrobiło się zimno. Łąki zalśniły nagle szronem, drzewa stały jak odlane ze stali na tle coraz bardziej blednącego nieba, w lasach zrywały się podmuchy wiatru, z kominów podnosiły się samotne smugi dymu. Zmieniliśmy się przy kierownicy i prowadziłem wóz do dziesiątej.

Zjedliśmy szybko śniadanie w przydrożnej gospodzie, po czym prowadziłem do dwunastej. Od tej chwili Köster nie wypuścił z rąk kierownicy. Jechaliśmy szybciej, kiedy on prowadził.

Po południu, gdy zaczęło się już zmierzchać, wjechaliśmy w góry. Zabraliśmy łańcuchy i łopatę i wywiedzieliśmy się po drodze, jak daleko można dojechać.

– Mogą panowie spróbować śmiało z łańcuchami – rzekł sekretarz Automobilklubu. – Tego roku mamy niewiele śniegu. Nie

wiem dokładnie, jak jest na ostatnich paru kilometrach. Być może, że tam panowie utkną.

Wyprzedziliśmy już znacznie pociąg i postanowiliśmy, że spróbujemy wjechać aż na samą górę. Było zimno i mogliśmy nie obawiać się mgły. Wóz odrabiał serpentyny z dokładnością zegarka. W połowie drogi nałożyliśmy łańcuchy. Droga była odgarnięta, ale w paru miejscach oblodzona, wóz tańczył i zarzucał. Kilkakrotnie musieliśmy wysiadać i pchać Karla. Dwa razy zapadliśmy się w śnieg i trzeba było odkopywać wóz. W ostatniej wiosce kazaliśmy dać sobie wiadro piasku, gdyż wywindowaliśmy się już dosyć wysoko i baliśmy się, że przy zjeżdżaniu będziemy mieli do czynienia z oblodzonymi wirażami. Zapadła zupełna ciemność, osaczyły nas strome i nagie stoki gór, przełęcz zwężała się, silnik ryczał na pierwszym biegu, zjeżdżaliśmy serpentyną z góry. Nagle światło reflektorów ześlizgnęło się ze skalnych ścian, zawisło w próżni, góry rozstąpiły się i ujrzeliśmy w dole światła wioski.

Wóz przegrzmiał pomiędzy barwnymi sklepikami, które obsiadły główną ulicę. Przechodnie uskakiwali na bok, przerażeni niezwykłym widokiem, konie płoszyły się, jakieś sanki ześliznęły się w rów, wóz gnał jak wariat wirażami ku sanatorium i zatrzymał się przed podjazdem. Wyskoczyłem, ujrzałem jak przez mgłę zaciekawione twarze ludzi, biuro, windę, potem przebiegłem przez biały korytarz, szarpnąłem drzwi i ujrzałem Pat, tak jak widziałem ją setki razy w snach i tęsknocie, szła ku mnie i oto trzymałem ją w ramionach, bezcenną jak życie i więcej niż życie.

– Chwała Bogu – powiedziałem, ochłonąwszy nieco. – Myślałem, że leżysz w łóżku.

Potrząsnęła głową opartą na moim ramieniu. Potem wyprostowała się, ujęła w dłonie moją twarz i spojrzała na mnie.

– Jesteś tu – szeptała – przyjechałeś!

Ucałowała mnie ostrożnie, poważnie i delikatnie, jak coś kruchego, co może się rozlecieć. Gdy poczułem jej wargi, zacząłem dygotać. Wszystko poszło zbyt szybko, nie mogłem jeszcze teraz ogarnąć tego myślą. Nie byłem jeszcze w pełni tutaj. Szumiało mi w głowie od jazdy, huku silnika i szosy. Byłem jak ktoś, kto

z zimna i nocy wchodzi do ciepłego pokoju, czuje ciepło, wchłania je oczyma – ale jeszcze nie jest mu ciepło.

– Jechaliśmy bardzo szybko – rzekłem.

Nie odpowiadała. Patrzyła na mnie dalej w milczeniu. Jej skupiona twarz miała jakiś przejmujący wyraz, oczy tuż przy moich, zdawało się, że szukają czegoś niezwykle ważnego i chcą to znaleźć. Zmieszałem się. Położyłem ręce na jej ramionach i opuściłem wzrok.

– Czy zostaniesz tutaj? – spytała.

Przytaknąłem.

– Powiedz mi zaraz. Powiedz mi, czy znowu odjedziesz, żebym od razu wiedziała.

Chciałem jej odpowiedzieć, że jeszcze nie wiem na pewno, że może za parę dni będę musiał wyjechać, bo nie mam pieniędzy na pozostanie w sanatorium. Ale nie mogłem. Nie mogłem, dlatego że tak na mnie patrzyła.

– Tak – rzekłem – zostanę tutaj. Zostanę tak długo, aż będziemy mogli razem odjechać.

Twarz jej nie drgnęła, tylko rozjaśniła się nagle, jakby rozświetlona od wewnątrz.

– Ach – szepnęła – ja bym już tego nie zniosła.

Próbowałem odczytać ponad jej ramieniem wykres gorączki, zawieszony w głowach łóżka. Zauważyła to, wyrwała szybko kartkę z ramki, zmięła i cisnęła pod łóżko.

– To już nie ma znaczenia.

Zapamiętałem sobie, gdzie leży kulka papieru, i postanowiłem podnieść ją, gdy Pat nie będzie uważała.

– Chorowałaś? – spytałem.

– Troszkę. Ale teraz minęło.

– Co mówi lekarz?

Zaśmiała się.

– Nie pytaj teraz o lekarza. Nie pytaj o nic. Jesteś tutaj, to wystarczy!

Zmieniła się. Nie wiedziałem, czy wynikało to z tego, że nie widziałem jej tak długo, ale wydała mi się odmieniona. Jej ruchy zyskały na sprężystości, od ciała biło ciepło, sposób, w jaki zbli-

żyła się do mnie, był inny – nie była to już tylko młoda, śliczna dziewczyna, którą trzeba ochraniać. Dołączyło się coś nowego i jeżeli dawniej nie wiedziałem często, czy mnie kocha, teraz czułem to wyraźnie, nie starała się już nic ukryć, była żywsza i bliższa mi niż kiedykolwiek, żywsza, bliższa i piękniejsza, darząca szczęściem i w jakiś dziwny sposób także bardziej niepokojąca.

– Pat, muszę zbiec szybko na dół. Zostawiłem tam Köstera. Musimy pomyśleć o noclegu.

– Köster? A gdzie Lenz?

– Lenz… został w domu.

Nic nie zauważyła.

– Czy wolno ci schodzić na dół? Czy też mamy przyjść tutaj?

– Wolno mi wszystko. Teraz wolno mi wszystko. Zejdziemy na dół i napijemy się czegoś. Będę się przyglądała, jak wy pijecie.

– Dobra. Będziemy czekać na ciebie w hallu.

Podeszła do szafy, żeby wyjąć suknię. Wykorzystałem sposobność, by wpakować do kieszeni zmięty wykres gorączki.

– A więc do zobaczenia za chwilę.

– Robby! – Podeszła do mnie i objęła mnie za szyję. – Właściwie miałam ci tyle do powiedzenia.

– Ja tobie także, Pat. Ale teraz będziemy mieli dużo czasu. Cały dzień będziemy sobie tylko opowiadać. Jutro. Nie można tak od razu.

Przytaknęła.

– Tak, opowiemy sobie wszystko. Wtedy cały czas rozstania przestanie w ogóle być czasem, który nas dzielił. Będziemy wiedzieć o sobie wszystko, tak jakbyśmy cały czas byli razem.

– Bo też tak było.

Uśmiechnęła się.

– Nie. Nie dla mnie. Nie mam tyle siły. Mnie było ciężej. Kiedy jestem sama, nie mogę pocieszać się rozmyślaniem. Jestem wtedy po prostu sama i nic więcej. Znacznie łatwiej znieść człowiekowi samotność, jeżeli nikogo nie kocha.

Uśmiechała się ciągle. Był to jakiś dziwny, szklisty uśmiech, który przywarł do jej twarzy, ale można go było przejrzeć.

– Pat, stary, dzielny łobuzie.

– Tak dawno nie słyszałam tych słów – rzekła z oczyma pełnymi łez.

Zszedłem na dół do Köstera. Walizki były już wyładowane z wozu. Dano nam dwa pokoje obok w dependence.

– Spójrz tylko – rzekłem do Köstera, pokazując mu wykres gorączki. – Jak to skacze w górę i w dół.

Przeszliśmy po trzeszczącym śniegu do sąsiedniego budynku.

– Spytaj jutro lekarza. Z samego wykresu gorączki niewiele można zmiarkować.

– Mnie to wystarcza – odparłem, mnąc wykres i wsadzając go do kieszeni.

Umyliśmy się. Potem Köster przyszedł do mego pokoju. Wyglądał tak świeżo, jakby dopiero co wstał.

– Musisz się przebrać, Robby.

– Tak.

Ocknąłem się z rozmyślań i zacząłem wypakowywać walizkę. Wróciliśmy do sanatorium. Karl stał jeszcze na dworze. Köster okrył chłodnicę kocem.

– Kiedy pojedziemy z powrotem, Otto?

Przystanął.

– Myślę, że pojadę jutro wieczorem albo pojutrze rano. Ty chyba zostaniesz tutaj…

– Ale jak to zrobić? – zagadnąłem zrozpaczony. – Forsy wystarczy mi najwyżej na dziesięć dni. A za pobyt Pat w sanatorium zapłacone jest zaledwie do piętnastego. Nie sądzę, żeby potrzebowano tutaj takiego rzępoły jak ja.

Köster pochylił się nad Karlem i uniósł koc.

– Postaram się o pieniądze – rzekł, prostując się. – Możesz więc spokojnie zostać.

– Otto, przecież ja wiem, ile ci zostało z licytacji. Nawet niecałe trzysta marek.

– Ja też nie myślę o tych pieniądzach. Zdobędę więcej. Nie trap się tym. Za tydzień dostaniesz forsę.

– Czyżbyś liczył na spadek? – spytałem z ponurą ironią.

– Coś w tym guście. Licz na mnie. Przecież nie możesz teraz stąd odjechać.

– Nie. Nie umiałbym jej nawet tego powiedzieć.

Köster okrył z powrotem kocem chłodnicę Karla. Pogłaskał go lekko po masce. Potem poszliśmy do hallu i usiedliśmy przy kominku.

– Która to właściwie godzina? – spytałem.

Köster spojrzał na zegarek.

– Wpół do siódmej.

– Zabawne. Byłem przekonany, że jest znacznie później.

Pat zeszła z góry. Miała na sobie futrzaną kurtkę. Przesunęła się szybko przez hall, żeby przywitać się z Kösterem. Teraz dopiero zauważyłem, jak bardzo jest opalona. Skóra jej miała odcień czerwonawego brązu. Wyglądała jak młoda Indianka o jasnej cerze. Ale twarz jej zeszczuplała, a oczy błyszczały nadmiernie.

– Masz gorączkę?

– Troszeczkę – odpowiedziała szybko i niechętnie. – Wieczorem wszyscy tutaj mają podniesioną temperaturę. To dlatego, że przyjechaliście. Czy jesteście zmęczeni?

– Czym?

– W takim razie chodźmy do baru, dobrze? Przecież pierwszy raz mam tutaj gości.

– Macie tu naprawdę bar?

– Owszem, taki malutki. W każdym razie kącik, który pozuje na bar. To należy do kuracji. Unika się wszystkiego, co przypomina chorobę. Zresztą nie podają tam nic, co jest wzbronione.

W barze było pełno. Pat przywitała się z paru ludźmi. Zwróciłem uwagę na jakiegoś Włocha. Zajęliśmy stolik, który właśnie zwolniono.

– Czego się napijesz?

– Koktajlu z rumem. Takiego, jaki pijałam zawsze w naszym barze. Znasz przepis?

– To bardzo proste. – Po czym zwróciłem się do usługującej dziewczyny. – Pół na pół portwajn z rumem jamajka.

– Dwa – zawołała Pat. – I jeden specjalny.

Dziewczyna przyniosła dwa Porto-Ronco i jakiś jasnoczerwony napój.

– To dla mnie – rzekła Pat, podsuwając nam rum. – Salute! – Postawiła kieliszek, nie umoczywszy w nim ust, obejrzała się, chwyciła mój kieliszek i wychyliła go do dna. – Ach, jakie to pyszne!

– A co ty zamówiłaś dla siebie? – spytałem, kosztując podejrzanie jasnoczerwonego płynu. Miał smak soku malinowego z cytryną. Nie było w nim kropli alkoholu. – Całkiem dobre – stwierdziłem.

Pat spojrzała na mnie.

– Na pragnienie – dorzuciłem.

Zaśmiała się.

– Zamów jeszcze jednego Porto-Ronco. Dla siebie. Mnie by nie podali.

Skinąłem na dziewczynę.

– Porto-Ronco i jeszcze jeden specjalny – rzekłem. Zauważyłem, że przy stolikach pito również tę lurę.

– Dzisiaj wolno mi, Robby, prawda? Tylko dzisiaj! Tak jak za dawnych czasów. Prawda, Otto?

– Ten specjalny jest całkiem niezły – zaopiniowałem i wypiłem drugi kieliszek.

– Nienawidzę go! Biedny Robby, co za świństwo musisz tu pić!

– Nie szkodzi. Jeżeli będziemy zamawiali w tym tempie, to jeszcze zdążę i ja napić się czegoś przyzwoitego.

Pat śmiała się.

– Potem, do kolacji, wolno mi się będzie trochę napić. Czerwonego wina.

Zamówiliśmy jeszcze kilka Porto-Ronco, po czym przeszliśmy do sali jadalnej. Pat wyglądała cudownie. Twarz jej promieniała. Usiedliśmy przy małym, biało nakrytym stoliku pod oknem. Było ciepło, w dole leżała wioska z oświetlonymi uliczkami zasypanymi śniegiem.

– Gdzie się podziewa Helga Guttmann? – spytałem.

– Wyjechała – rzekła Pat po chwili.

– Wyjechała? Tak szybko?

– Tak – odparła Pat i zrozumiałem, co miała na myśli.

Dziewczyna przyniosła karafkę czerwonego wina. Köster nalał do pełna kieliszki. Wszystkie stoliki były teraz zajęte. Wszędzie siedzieli ludzie, gawędząc ze sobą. Poczułem rękę Pat na mojej.

– Kochanie – rzekła bardzo cicho i tkliwie. – Nie mogłam tego dłużej wytrzymać.

XXVI

Wyszedłem z gabinetu naczelnego lekarza. Köster czekał na mnie w hallu. Gdy ujrzał mnie, wstał z krzesła. Wyszliśmy na dwór i usiedliśmy na ławce przed sanatorium.

– Jest źle, Otto. Gorzej, aniżeli się obawiałem.

Gromada narciarzy z hałasem przeciągnęła tuż koło nas. Było tam kilka kobiet o wysmarowanych olejkiem, czerstwych, spalonych od słońca twarzach i mocnych białych zębach. Pokrzykiwały do siebie, że mają wilczy apetyt. Poczekaliśmy, aż znikną.

– Oczywiście, takie typy żyją. Żyją i cieszą się końskim zdrowiem. Rzygać się chce!

– Czy mówiłeś z samym naczelnym lekarzem?

– Tak. Wyjaśnił mi wszystko w sposób ogromnie zagmatwany i z wieloma zastrzeżeniami. Ale wynika z tego, że nastąpiło pogorszenie. Mimo to on twierdzi, że się polepszyło.

– Nie rozumiem.

– Powiedział, że gdyby Pat została w mieście, stan jej byłby już od dawna beznadziejny. Tutaj proces rozwija się powoli. On to nazywa polepszeniem.

Köster rysował obcasem krechy na twardym śniegu. Potem podniósł głowę.

– Więc ma nadzieję?

– Lekarz ma zawsze nadzieję. To należy do jego zawodu. Ale ja mam jej cholernie mało. Spytałem go, czy nie należałoby założyć odmy. Odpowiedział, że już się nie da. Pat miała odmę przed paru laty. Teraz oba płuca są zaatakowane. Przeklęta historia, Otto.

Jakaś starsza dama w rozdeptanych kaloszach przystanęła przed naszą ławką. Miała siną, zapadniętą twarz i zgasłe, szare oczy, które robiły takie wrażenie, jakby była ślepa. Wokoło szyi okręciła staroświeckie boa ze strusich piór. Powoli podniosła do oczu lorgnon i przypatrywała się nam. Potem podreptała dalej.

– Wstrętna jędza! – rzekłem.

– Co jeszcze powiedział lekarz?

– Objaśnił mnie, co jest przypuszczalnie przyczyną tego stanu Pat. Miał już wielu pacjentów w jej wieku. Są to następstwa wojny. Niedożywienie w okresie pokwitania. Ale co mnie to wszystko obchodzi? Byleby ona wyzdrowiała! – Spojrzałem na Köstera. – Oczywiście, pocieszył mnie, że często oglądał cudowne uzdrowienia. Szczególnie w tej chorobie zdarza się, że nagle proces zatrzymuje się, następuje wysycenie i zwapnienie, nawet w najbardziej beznadziejnych wypadkach. Jaffé wspomniał o tym także. Ale ja nie wierzę w cuda.

Köster nie odpowiedział. Siedzieliśmy w milczeniu. I cóż mieliśmy mówić? Za wieleśmy wspólnie przeszli, żeby uciekać się do mdłego lekarstwa pociechy.

– Pat nie powinna się niczego domyślić – rzekł wreszcie Köster.

– Oczywiście, że nie.

Siedzieliśmy na ławce, aż zjawiła się Pat. Nie myślałem już. Nie byłem już nawet zrozpaczony, tylko otępiały, szary, martwy.

– Oto i Pat! – rzekł Köster.

– Tak – rzekłem, dźwigając się z ławki.

– Halo! – zawołała Pat, machając do nas ręką. Zataczała się trochę i śmiała. – Jestem trochę pijana. Słońcem. Ilekroć leżę na słońcu, zataczam się potem jak stary wilk morski.

Spojrzałem na nią i nagle wszystko się odmieniło. Nie wierzyłem już słowom lekarza. Wierzyłem w cud. Przecież Pat jest tutaj – żyje – stoi obok i śmieje się – wszystko inne zniknęło.

– Cóż wy macie takie dziwne miny? – spytała.

– Typowe miejskie pyski, które nie nadają się do górskiego otoczenia – zażartował Köster. – Nie możemy się przyzwyczaić do słońca.

Śmiała się.

– Dzisiaj mam szczęśliwy dzień. Bez gorączki. Mogę wychodzić. Zejdziemy do wioski i napijemy się tam aperitifu.

– Świetnie.

– A więc w drogę!

– Czy nie lepiej byłoby pojechać sankami? – zaproponował Köster.

– Doskonale mogę przejść ten kawałek – broniła się Pat.

– Wiem, wiem – uspokoił ją Köster. – Ale ja jeszcze nigdy w życiu nie jechałem czymś takim. Chciałbym raz spróbować.

Daliśmy znak woźnicy i zjechaliśmy serpentyną na sam dół. Zatrzymaliśmy się przed małą kawiarenką ze zwróconym ku słońcu tarasem.

Wysiedliśmy z sanek. Siedziało tam wielu gości i rozpoznałem twarze kilku pacjentów z sanatorium. Włoch, którego zauważyłem w barze, był także tutaj. Wołano na niego Antonio. Podszedł do naszego stolika, żeby przywitać się z Pat. Opowiedział nam, że kilku żartownisiów przesunęło ubiegłej nocy łóżko ze śpiącym pacjentem z jego pokoju do pokoju pewnej starej nauczycielki.

– Dlaczego to zrobili? – spytałem.

– Tamten jest już zdrowy i opuszcza jutro sanatorium – odparł Antonio. – Zawsze przy takich okazjach robi się podobne kawały.

– To słynny szubieniczny humor tych, którzy tu zostają – dorzuciła Pat.

– Naprawdę w sanatorium ludzie strasznie dziecinnieją – usprawiedliwiał się Antonio.

„Zdrowy – pomyślałem – jeden z nich wyzdrowiał i wraca!”

– Czego się napijesz, Pat? – spytałem.

– Martini. Wytrawnego martini.

Zaczęło grać radio. Walce wiedeńskie powiewały w ciepłym, przesyconym słońcem powietrzu jak lekkie, jasne chorągwie. Kelner przyniósł zamówiony trunek. Był zimny jak lód i perlił się, prześwietlony słońcem.

– Miło tu posiedzieć, prawda? – zagadnęła Pat.

– Cudownie.

– Ale chwilami nie można już tego znieść.

Zostaliśmy we wsi na obiad. Pat miała na to wielką ochotę. W ostatnich czasach musiała pokutować w swoim pokoju i tego dnia po raz pierwszy pozwolono jej wyjść. Twierdziła, że jeżeli będzie mogła raz zjeść obiad we wsi, poczuje się dwa razy bardziej zdrowa. Antonio zjadł z nami. Potem wróciliśmy na górę, a Pat poszła do swojego pokoju, gdyż musiała leżeć po południu dwie godziny. Wyciągnęliśmy z Kösterem Karla z garażu i zrobiliśmy dokładny przegląd. Trzeba było wymienić dwa pęknięte resory. Na szczęście dozorca garażu miał narzędzia, więc zabraliśmy się ostro do roboty. Potem wleliśmy oliwę i wysmarowaliśmy całe podwozie jak należy. Gdy wóz był gotów, wyciągnęliśmy go nieco dalej. Stał w śniegu, obryzgany błotem, nasz poczciwy kłapouch.

– Umyjemy go? – spytałem.

– Nie, nigdy w czasie drogi. Nie lubi tego.

Pat podeszła do nas. Promieniała ciepłem, była cudownie wyspana. Pies szalał koło jej nóg.

– Billy! – zawołałem. Nastawił uszy, ale nie okazywał nadmiernej radości. Nie poznał mnie i był bardzo zakłopotany, gdy Pat chciała zwrócić jego uwagę na mnie.

– Tak to bywa w życiu – rzekłem. – Chwała Bogu, że ludzie mają lepszą pamięć. Gdzież on się chował wczoraj?

– Cały czas warował pod łóżkiem – zaśmiała się Pat. – Jest zazdrosny, kiedy ktoś mnie odwiedza, i wycofuje się gniewnie pod łóżko.

– Wyglądasz cudownie.

Przesłała mi pełne szczęścia spojrzenie. Potem podeszła do Karla.

– Chciałabym znowu wsiąść do niego i przejechać się kawałek.

– Dlaczego nie? Co ty na to, Otto?

– Oczywiście. Masz na sobie ciepły płaszcz, a w wozie jest stos szali i koców.

Pat usiadła z przodu przy Kösterze. Karl ryknął. Z rury wydechowej buchnął w mroźne powietrze białoniebieski dym. Silnik nie rozgrzał się jeszcze. Łańcuchy, powoli poszczekując, zaczęły mleć zbity śnieg. Karl pełzł, prychając, parskając i burcząc na dół

przez główną ulicę wsi. Lazł jak zgarbione wilczysko wśród truchtu koni i brzęczenia dzwonków u sanek.

Wyjechaliśmy ze wsi. Było późne popołudnie, zaśnieżone pola lśniły rdzawo od zachodzącego słońca. Stogi siana były niemal po czuby zagrzebane w śniegu. Ostatni narciarze zjeżdżający w dolinę wyglądali jak cienkie przecinki. Przez chwilę sylwetki ich rysowały się na tle czerwonego słońca, które raz jeszcze władczo wyjrzało zza góry jak rozżarzona kula.

– Czy przyjechaliście wczoraj tą drogą?

– Tak.

Wóz wydostał się na wierzchołek pierwszego wzniesienia. Köster zatrzymał auto. Widok z góry był wspaniały. Kiedyśmy pobrzękiwali tędy łańcuchami w szklisty, błękitny wieczór, nie widzieliśmy tego. Uważaliśmy tylko na drogę.

Poprzecinana wzgórzami otwierała się naszym oczom tarasowata dolina. Krawędzie dalekich gór odcinały się ostro i wyraziście na tle bladozielonego nieba. Lśniły złotem. Złote plamy, opadłe z świetlistego pułapu, spoczywały także na śnieżnych polach pod szczytami. Na skłonach wzgórz z każdą chwilą coraz silniej grała wspaniała biel i purpura, a cienie stawały się coraz bardziej błękitne. Słońce wyjrzało właśnie spomiędzy dwóch pałających wierzchołków, a rozległa dolina ze swymi stokami i kotlinami wyglądała jak potężna, niema płomienna parada przed odchodzącym władcą. Fioletowy pas drogi wił się wokół wzgórz, niknął, wynurzał się przy wsiach, tając mrok w zakrętach, a potem biegł prosto jak strzelił ku przełęczy rozsiadłej na horyzoncie.

– Nigdy jeszcze nie zapędziłam się tak daleko od wsi. Czy to jest droga do domu?

– Tak.

Patrzyła w milczeniu. Potem wysiadła i przesłoniła ręką oczy. I tak patrzała na północ, jakby mogła dojrzeć już wieże miasta.

Jak to daleko stąd?

– Około tysiąca kilometrów. W maju pojedziemy tędy. Köster przyjedzie po nas.

– W maju – powtórzyła. – Mój Boże, w maju!

Słońce zapadło się powoli. Dolina ożywiła się: cienie, które dotychczas trwały nieruchomo w zagłębieniach, poczęły przemykać się bezgłośnie, wspinać się coraz wyżej jak błękitne, olbrzymie pająki. Powiało chłodem.

– Musimy wracać, Pat.

Spojrzała na mnie, a twarz jej nagle jakby zapadła się z bólu. I zrozumiałem, że wie o wszystkim. Wiedziała, że nigdy już nie przekroczy bezlitosnego łańcucha górskiego, zamykającego horyzont, wiedziała i chciała ukryć to, podobnie jak my pragnęliśmy ukryć prawdę przed nią. Ale oto na chwilę straciła panowanie i cała nędza świata wyjrzała z jej źrenic.

– Pojedźmy maleńki kawałeczek dalej, na drugą stronę.

– Chodź – powiedziałem, spojrzawszy na Köstera.

Usiadła przy mnie w tyle wozu, utuliłem ją w moich ramionach i okryłem nas oboje kocem. Wóz sunął powoli w dół, w dolinę ku cieniom.

– Robby, kochanie – szeptała Pat na moim ramieniu. – Teraz jest tak, jakbyśmy jechali do domu, z powrotem do naszego życia.

– Tak – rzekłem, podciągając koc aż po czubek jej głowy.

Im niżej się opuszczaliśmy, tym silniejsza zagarniała nas ciemność. Pat na wpół leżała, okryta kocem. Wsunęła mi dłoń pod koszulę na piersi, czułem jej rękę na ciele, jej oddech, wargi, a potem łzy.

Ostrożnie, tak ażeby nie zauważyła, że zawracamy, zatoczył Köster szeroki łuk na rynku najbliższej wioski i jechał powoli z powrotem.

Gdyśmy wspięli się na przełęcz, słońce zgasło już, a na wschodzie stał blady i jasny księżyc wśród nadciągających chmur. Jechaliśmy z powrotem, łańcuchy mełły śnieg z monotonnym szumem, było bardzo cicho, siedziałem bez ruchu, czułem łzy Pat na sercu, jak gdyby tam krwawiła rana.

W godzinę później siedziałem w hallu. Pat poszła do pokoju, Köster postanowił zajść do stacji meteorologicznej, ażeby wywiedzieć się, czy spodziewany jest śnieg. Na dworze było mglisto,

księżyc naciągnął lisią czapę, a za oknami stał wieczór miękki i szary jak aksamit. Po chwili zjawił się Antonio i przysiadł się do mojego stolika. Parę stolików dalej rozpierał się jakiś grubas w samodziałowej kurtce i za krótkich pumpach. Beczka miała gębę dziecka, wywinięte wargi, chłodne spojrzenie i krągły, czerwony bezwłosy czerep, lśniący niby kula bilardowa. Koło niego przycupnęła drobna kobiecina o głębokich cieniach pod oczyma i błagalnym, zatroskanym wyrazie twarzy. Grubas był pełen życia, kręcił głową, różowe, pulchniutkie łapy wykonywały ustawicznie gładkie i miękkie gesty.

– Wspaniale jest tu w górach, cudownie! Ten widok, to powietrze, ten wikt! Masz szczęście…

– Bernardzie! – odezwała się cicho kobiecina.

– Doprawdy, chciałbym, żeby na mnie tak kiedy chuchano i wszystko podsuwano pod nos. – Tu przemknął po twarzy jego słodki jak miód turecki uśmiech. – No, nie żałuję ci tego…

– Ach, Bernardzie – rzekła beznadziejnym głosem żona.

– Cóż znowu, cóż znowu? – zaczął hałasować wesoło grubas. – Przecież lepiej nie możesz mieć! Żyjesz tu, jak u Pana Boga za piecem. Nie masz pojęcia, co się teraz wyrabia na dole. Jutro muszę dać znowu nura w to bagno. Bądź szczęśliwa, że nie oglądasz tego na własne oczy. No, cieszę się, bo przekonałem się, jak doskonale się tu czujesz.

– Bernardzie, kiedy ja naprawdę nie czuję się dobrze.

– Ależ, dziecinko – huczał Bernard – nie pieść się zanadto ze sobą! Cóż mamy powiedzieć my, zaprzęgnięci do kieratu! Ciągle w ruchu, naokoło same plajty, podatki walą na nas bez litości…

Kobieta milczała.

– Chwacki parobas – rzekłem do Antonia.

– I jak jeszcze! Bawi tu od przedwczoraj i jak tylko żona chce się użalić, aplikuje jej swoje „wspaniale ci się tu wiedzie!” Pan rozumie, ten facet nie chce nic widzieć – ani jej lęku, ani choroby, ani samotności. Przypuszczalnie żyje już od dawna w Berlinie z inną babą jak beczka i raz na pół roku nawiedza z obowiązku swoją żonę, zaciera jowialnie łapska, myśląc tylko o własnej wygo-

dzie. Byle nic nie słyszeć! Jakże często widzi się tutaj podobne komedie!

– Jak długo przebywa tu jego żona?

– Mniej więcej od dwóch lat.

Horda młodych ludzi przebiegła, chichocząc, przez hall. Antonio zawtórował im śmiechem.

– Wracają z poczty. Wysłali depeszę do Rotha.

– Któż to jest ten Roth?

– To gość, który ma wkrótce odjechać. Zatelegrafowali do niego, że z powodu epidemii grypy, jaka panuje w jego mieście, musi tu jeszcze zostać. To takie zwykłe kawały. Dlatego, że sami muszą tu zostać. Rozumie pan?

Patrzyłem przez okno na szary aksamit zamglonych gór. „Przecież to wszystko nieprawda – myślałem – to wszystko nie jest rzeczywistością, tak przecież nie może być. To tylko scena, na której rozgrywa się śmierć. Przecież śmierć jest straszliwie poważna". Miałem ochotę pobiec za tymi młokosami, położyć im rękę na ramieniu i rzec: „Prawda, że to tylko teatralna śmierć, że wy jesteście amatorami? Że potem każdy z was podniesie się z ziemi i ukłoni przed publicznością? Przecież od tego się nie umiera, że ma się trochę gorączki i chrapliwy oddech. Na to, żeby umrzeć, potrzebne są strzały i rany, przecież ja to znam…"

– Czy pan także jest chory? – spytałem Antonia.

– Oczywiście – odparł z uśmiechem.

– Naprawdę wyborna kawa – hałasowała beczka koło nas – takiej kawy nie dostaniesz u nas w mieście za żadne pieniądze. Prawdziwy kraj mlekiem i miodem płynący!

Köster wrócił ze stacji meteorologicznej.

– Muszę jechać, Robby. Barometr zleciał na łeb na szyję i przypuszczalnie jeszcze tej nocy zacznie padać śnieg. W takim razie jutro rano nie przebiję się przez zaspy. Dzisiaj wieczorem jeszcze sobie poradzę.

– Dobra. Czy zjesz z nami kolację?

– Tak. Teraz spakuję się szybko.

– Pójdę z tobą.

Spakowaliśmy walizkę Köstera i zanieśliśmy ją do garażu. Potem wróciliśmy do sanatorium, żeby zabrać Pat na kolację.

– Jeśliby się coś stało, Robby, to dzwoń do mnie – rzekł Otto.

Kiwnąłem głową.

– Za parę dni dostaniesz forsę. Wystarczy ci to na jakiś czas. Zrób wszystko, co można.

– Tak, Otto. – Przez chwilę ociągałem się. – Słuchaj, mamy jeszcze w domu kilka ampułek morfiny. Czy możesz mi ją przysłać?

Spojrzał mi w oczy.

– Po co?

– Nie wiem, jak to się potoczy. Być może, że nie będzie potrzebna. Mimo wszystko mam jeszcze odrobinę nadziei. Zawsze, kiedy patrzę na Pat. Ale nie chciałbym, żeby cierpiała. Żeby leżała bezsilna i już tylko cierpiała, rozumiesz? Może oni sami dadzą jej coś takiego. Ale będę spokojniejszy, wiedząc, że mogę jej pomóc.

– Tylko po to, Robby?

– Tylko. Na pewno. Inaczej nie prosiłbym ciebie.

Köster kiwnął głową.

– Zostało nas teraz już tylko dwóch – rzekł powoli.

– Tak.

– Zgoda, Robby.

Wróciliśmy do hallu, a ja zaszedłem po Pat. Zjedliśmy szybko kolację, jako że chmurzyło się coraz bardziej. Köster wyprowadził Karla z garażu i podjechał pod dom.

– Powodzenia, Robby, sprawuj się dobrze! – zawołał.

– Ty także, Otto.

– Do widzenia, Pat. – Podał jej rękę i spojrzał w oczy. – Na wiosnę przyjadę po ciebie.

– Żegnaj! – Pat trzymała w mocnym uścisku jego dłoń. – Tak bardzo się cieszę, że cię jeszcze widziałam. Pozdrów ode mnie Gotfryda.

– Tak – rzekł Köster.

Wciąż jeszcze trzymała jego rękę. Wargi jej drżały. I nagle zrobiła krok naprzód i pocałowała go.

– Żegnaj – szepnęła zdławionym głosem.

Po twarzy Köstera przeleciał jasnoczerwony płomień. Chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się, wsiadł do wozu, ruszył na pełnym gazie i gnał na złamanie karku na dół wirażami, nie oglądając się już. Patrzyliśmy za nim. Wóz przegrzmiał przez główną uliczkę wioski i parł teraz w górę jak samotny świetlik, rzucając słaby blask reflektorów na zaśnieżoną drogę. Na przełęczy wóz zatrzymał się, a Köster pomachał do nas ręką. Stał ciemny na tle świateł. Potem znikł, ale długo jeszcze słyszeliśmy coraz słabsze granie silnika.

Pat stała pochylona do przodu i nasłuchiwała, dopóki można było ułowić jeszcze jakiś szmer maszyny. Potem zwróciła się do mnie.

– Ostatni okręt odpłynął, Robby.

– Przedostatni. Ostatni to ja. A wiesz, jakie zamiary lęgną się w mojej głowie? Chcę poszukać sobie innego portu dla zarzucenia kotwicy. Pokój w dependence nie podoba mi się wcale. Nie widzę powodu, dlaczego mamy mieszkać oddzielnie. Spróbuję dostać pokój obok ciebie.

Uśmiechnęła się.

– Wykluczone. Nie dostaniesz, mój drogi! Jak chcesz dokonać tej sztuki?

– Czy będziesz się cieszyła, jeżeli jej dokonam?

– Też pytanie! To byłoby cudownie, kochanie! Prawie tak, jak u mamy Zalewskiej.

– Doskonale, w takim razie daj mi swobodę ruchów na pół godziny.

– Dobrze. Pogram z Antoniem w szachy. Nauczyłam się tego tutaj.

Poszedłem do biura i oświadczyłem, że zostaję dłuższy czas i że chciałbym dostać pokój na piętrze, na którym mieszka Pat. Jakaś starsza dama z płaskim biustem popatrzyła na mnie oburzona i odrzuciła moją prośbę, jako sprzeciwiającą się regulaminowi.

– A kto jest autorem regulaminu?

– Dyrekcja – odrzekła dama i wygładziła fałdy sukni. Wreszcie poinformowała mnie niechętnie, że tylko lekarz naczelny może robić takie wyjątki. – Ale nie ma go już tutaj – dodała. – A wieczorem wolno go niepokoić w domu tylko w sprawach służbowych.

– Doskonale, w takim razie zaniepokoję go w sprawach służbowych. W sprawie regulaminu.

Lekarz naczelny mieszkał w małym domku obok sanatorium. Przyjął mnie natychmiast i udzielił zezwolenia.

– Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że to tak gładko pójdzie.

– Aha – zaśmiał się – pewnie wpadł pan w szpony starej panny Rexroth? No dobrze, zadzwonię do niej.

Poszedłem z powrotem do biura. Stara panna Rexroth znikła z godnością, ujrzawszy moje wyzywające oblicze. Załatwiłem wszystko z sekretarką i poleciłem służącemu, żeby przeniósł moje rzeczy i wytrzasnął dla mnie parę butelczyn. Potem wróciłem do hallu.

– Udało się? – spytała Pat.

– Jeszcze nie, ale załatwię to w najbliższych dniach.

– Szkoda. – Przewróciła figury szachowe i wstała od stołu.

– Co będziemy robić? Pójdziemy do baru? – spytałem.

– Często wieczorami grywamy w karty – odezwał się Antonio. – Nadciąga wiatr halny, to się czuje. Wtedy gra w karty to jeszcze najlepsze, co można robić.

– Gra w karty? Jakże to, Pat? – spytałem zdumiony. – Cóż ty za gry uprawiasz? Pewnie w Czarnego Piotrusia i pasjans, hę?

– Pokera, kochanie.

Zaśmiałem się.

– Naprawdę, pani umie grać. Tylko zanadto ryzykuje. Blefuje potwornie.

– Ja także – odrzekłem. – W takim razie musimy spróbować.

Usiedliśmy w kącie i zaczęliśmy grać. Pat grała nie najgorzej. Blefowała rzeczywiście, aż drzazgi leciały. Po godzinie Antonio wskazał na okno. Padał śnieg. Powoli, jakby z ociąganiem, padały wielkie płatki śniegu niemalże prostopadle.

– Ani śladu wiatru – rzekł Antonio. – Napada dużo śniegu.

– Gdzie może być teraz Köster? – spytała Pat.

– Minął już na pewno główną przełęcz.

Przez chwilę widziałem przed sobą wyraźnie Karla: mknął równo, z Kösterem przy kierownicy, przez białą noc i nagle wszystko wydało mi się trochę nierzeczywiste – to, że ja tu siedzę, że Köster gna drogą i że Pat jest przy mnie. Uśmiechała się do mnie pełna szczęścia, z rękoma, trzymającymi karty, wspartymi na stole.

– No, dalej, Robby, wychodź!

Beczka od piwa przetoczyła się przez hall, stanęła za naszym stolikiem i zaczęła nam protekcjonalnie kibicować. Przypuszczalnie żona już spała, a mężulo szukał towarzystwa. Położyłem karty na stole i popatrzyłem na niego tak jadowicie, że się wycofał.

– Nie jesteś zbyt uprzejmy – rzekła rozbawiona Pat.

– Nie. I nie mam tego zamiaru.

Poszliśmy jeszcze do baru i wypiliśmy po parę specjalnych. Potem Pat musiała iść spać. Pożegnałem się z nią w hallu. Wstępowała powoli na schody i zanim skręciła w korytarz, przystanęła i obejrzała się za siebie. Przeczekałem chwilę, po czym zabrałem z biura klucz od pokoju. Mała sekretarka uśmiechnęła się do mnie.

– Numer 78.

Był to pokój obok Pat.

– Może z polecenia panny Rexroth? – spytałem.

– Nie, panna Rexroth jest w kaplicy.

– Kaplice są niekiedy błogosławieństwem – rzekłem i pobiegłem spiesznie na górę. Moje rzeczy były już wypakowane. W pół godziny potem zapukałem do drzwi dzielących oba pokoje.

– Kto tam? – zawołała Pat.

– Policja obyczajowa!

Klucz szczęknął w zamku i drzwi otwarły się gwałtownie.

– To ty, Robby? – wyjąkała zaskoczona Pat.

– Ja! Pogromca panny Rexroth! Posiadacz koniaku i Porto-Ronco! – Wydobyłem butelki z kieszeni płaszcza kąpielowego. – A teraz powiedz mi prędko, ilu mężczyzn cię tu odwiedzało?

– Nikt prócz miejscowego klubu piłki nożnej i powiększonej orkiestry filharmonii – odpowiedziała ze śmiechem. – Ach, kochanie, nasze dawne czasy wróciły!

Zasnęła w moich ramionach. Czuwałem jeszcze długo. W kącie pokoju paliła się maleńka lampa. Płatki śniegu pukały cichutko w szyby. Czas, zda się, wstrzymał oddech w matowej, brązowozłotej pomroce. W pokoju było bardzo ciepło. Niekiedy trzaskało coś w kaloryferach. Pat poruszyła się przez sen i powoli, szeleszcząc, kołdra zsunęła się na podłogę. „Ach – myślałem – brązowa, lśniąca skóro! Cudzie delikatnych kolan! Słodka tajemnico piersi!" Czułem na ramieniu łaskotanie jej włosów, a pod wargami bicie pulsu w przegubie ręki. „I ty miałabyś umrzeć? Nie możesz umrzeć. Jesteś szczęściem".

Ostrożnie naciągnąłem z powrotem kołdrę. Pat wybełkotała coś, ucichła i przez sen wolno otoczyła ramieniem moją szyję.

XXVII

Przez parę następnych dni padał bezustannie śnieg. Pat miała gorączkę i musiała leżeć w łóżku. Wielu pacjentów gorączkowało.

– To ta pogoda – wyrokował Antonio. – Za ciepło i za wietrznie. Typowa pogoda gorączkowa.

– Kochanie – rzekła Pat – wyjdź trochę na dwór. Umiesz jeździć na nartach?

– Nie. Jak się miałem tego nauczyć? Nigdy nie byłem w górach.

– Antonio cię nauczy. Zrobi to z przyjemnością. Bardzo cię lubi.

– Kiedy ja wolę zostać tutaj.

Usiadła w łóżku. Koszula zsunęła się z jej ramion. Strasznie były chude. Strasznie chudy był także jej kark.

– Robby, zrób to dla mnie. Nie chcę, żebyś wysiadywał przy łóżku. Wczoraj i przedwczoraj to aż nadto.

– Kiedy mnie to sprawia przyjemność. Wcale nie mam ochoty dreptać po śniegu.

Oddychała głośno. Słyszałem nieregularne rzężenie w jej płucach.

– W tych sprawach ja mam więcej doświadczenia niż ty – rzekła, wspierając się na łokciu. – Tak będzie lepiej dla nas obojga. Przekonasz się później. – Uśmiechnęła się z trudem. – Będziesz miał dosyć siedzenia przy mnie po południu i wieczorem. Rano wprowadza mnie to w niepokój. Kiedy człowiek ma gorączkę, wygląda rano haniebnie. Wieczorem to całkiem co innego. Jestem głupia i powierzchowna… ale nie chcę, żebyś mnie widział, kiedy wyglądam paskudnie.

– Ależ Pat! – Wstałem. – Dobrze, wyjdę trochę z Antoniem. Wrócę w południe. Miejmy nadzieję, że nie połamię sobie wszystkich kości na tych nartach.

– Na pewno szybko się nauczysz, kochanie. – Twarz jej straciła wyraz lękliwego napięcia. – Bardzo szybko zaczniesz świetnie jeździć.

– A ty bardzo szybko chcesz się mnie pozbyć z pokoju – rzekłem, całując ją w usta. Ręce jej były wilgotne i gorące, wargi suche i spękane.

Antonio mieszkał na drugim piętrze. Pożyczył mi buty i narty. Pasowały doskonale, gdyż byliśmy jednakowego wzrostu. Ruszyliśmy na oślą łączkę, leżącą kawałek za wsią. Antonio spoglądał na mnie badawczo w ciągu drogi.

– Gorączka dziwnie podminowuje człowieka. Osobliwe rzeczy dzieją się tutaj w takie dni. – Położył przed sobą narty i zapiął wiązania. – Najgorsze jest czekanie bez możności zrobienia czegokolwiek. To człowieka wykoleja i doprowadza do szaleństwa.

– Także zdrowych. Stać obok, patrzeć na to i nie móc nic pomóc.

Kiwnął głową.

– Niektórzy z nas pracują – ciągnął dalej – niektórzy wyczytują całe biblioteki od góry do dołu. Ale wielu zmienia się w uczniaków, którzy wymigują się od leżaka jak niegdyś od lekcji gimnastyki i chichocząc lękliwie, chowają się w sklepach lub cukierniach, gdy przypadkowo natkną się na lekarza. Potajemne palenie papierosów, potajemne pijaństwo, intymne wieczorynki, plotki i głupie kawały – ratują się tym przed pustką. A także przed prawdą. Jest to jakieś lekkomyślne, dziecinne, a równocześnie bohaterskie ignorowanie śmierci. Cóż im zresztą pozostaje?

„Tak – pomyślałem – cóż pozostaje nam wszystkim?"

– No, może spróbujemy? – spytał Antonio i wbił kijki w śnieg.

– Dobrze.

Pokazał mi, jak się przypina deski i jak utrzymuje równowagę. Nie była to zbyt wielka filozofia. Waliłem się na śnieg dosyć często, ale potem nawykłem i szło mi nie najgorzej. Po godzinie przerwaliśmy naukę.

– Dosyć – powiedział Antonio. – Dzisiaj wieczorem będą pana bolały wszystkie mięśnie.

Odpiąłem narty i poczułem, że krew krąży we mnie szybciej.

– Jak to dobrze, Antonio, żeśmy wyjrzeli trochę na dwór.

Kiwnął głową.

– Jeżeli pan zechce, możemy to robić co dzień przed południem. Człowiek zapomina o zmartwieniach.

– Może napijemy się czegoś?

– Chętnie. Kieliszek Dubonneta w knajpce Forstera.

Wychyliliśmy po kieliszku i ruszyliśmy do sanatorium. W biurze sekretarka oznajmiła mi, że pytał się o mnie listonosz. Pozostawił zlecenie, ażebym się zjawił na poczcie. Są pieniądze dla mnie. Spojrzałem na zegarek. Miałem jeszcze czas. Wróciłem do wsi. Na poczcie wypłacono mi dwa tysiące marek. Znalazłem także list od Köstera. Żebym się o nic nie troszczył. Ma jeszcze więcej forsy. Czeka listu.

Patrzyłem na banknoty. Skąd je wytrzasnął? I to tak prędko? Znałem przecież wszystkie nasze źródła. I nagle rozjaśniło mi się w głowie. Przypomniał mi się namiętny samochodziarz, fabrykant Bollwies, kiedy po przegraniu zakładu chciwie poklepywał Karla przed barem i powiedział: „Ten wóz zawsze gotów jestem kupić!" Niech to diabli porwą! Köster sprzedał Karla! I stąd forsa! Karla, o którym mówił, że chętniej straci rękę, aniżeli pozbędzie się tego wozu. Nie ma już Karla! Prowadzi go teraz tłustymi łapskami fabrykant gotowej konfekcji, a Otto, którego ucho potrafiło z odległości paru kilometrów rozpoznać granie silnika, będzie teraz słyszał, jak Karl wyje po ulicach niby wygnany z domu pies.

Włożyłem do kieszeni list Köstera i pakiecik z ampułkami morfiny. Ale w dalszym ciągu stałem bezradny przed okienkiem pocztowym. Najchętniej odesłałbym z punktu pieniądze, ale nie mogłem tego zrobić. Były nam potrzebne. Wygładziłem banknoty i włożyłem je do kieszeni. Potem wyszedłem z poczty. Do diabła, będę teraz obchodził szerokim łukiem każdy samochód! Wozy to przyjaciele, ale Karl był dla nas czymś więcej. Był naszym towa-

rzyszem! Karl, widmo dróg. Należeliśmy do jednej kompanii. Karl i Köster, Karl i Lenz, Karl i Pat. Strząsnąłem gniewnie śnieg z butów. Lenz nie żył. Karl był stracony. A Pat? Oślepionymi oczyma patrzyłem w niebo, to szare, nieskończone niebo oszalałego boga, który wynalazł dla swojej rozrywki życie i śmierć.

Po południu wiatr zmienił kierunek, przejaśniło się, oziębiło i Pat poczuła się zaraz lepiej. Następnego ranka pozwolono jej wstać, a w kilka dni później, gdy Roth – ów uzdrowiony pacjent – opuszczał sanatorium, mogła go nawet odprowadzić na stację.

Cała gromada kuracjuszy eskortowała Rotha. Taki był tu zwyczaj przy odjeździe każdego pacjenta. Sam Roth nie radował się zbytnio. W pewnym sensie gość miał pecha. Przed dwoma laty jakaś sława lekarska na pytanie, ile pozostaje mu życia, zawyrokowała, że najwyżej dwa lata, jeżeli będzie na siebie bardzo uważał. Dla pewności zasięgnął jeszcze zdania drugiego lekarza, zaklinając go, żeby nie ukrywał przed nim prawdy. Ten przepowiedział mu jeszcze krótszy żywot. Wówczas Roth upłynnił swój kapitał, podzielił całą sumę na dwa lata i zaczął puszczać pieniądze na prawo i lewo, nie troszcząc się o swoją chorobę. Pewnego dnia przewieziono go po ciężkich krwotokach do sanatorium. I oto tutaj, zamiast umrzeć, zaczął się czuć coraz lepiej. Kiedy przyjechał do sanatorium, ważył tylko czterdzieści pięć kilogramów. Teraz doszedł do siedemdziesięciu pięciu i tak wydobrzał, że mógł wracać na nizinę. Ale forsa się rozpłynęła.

– Co ja tam będę robił? – spytał mnie, drapiąc się w rudą głowę. – Pan przecież przyjechał stamtąd. Niech pan powie, jaka jest właściwie sytuacja?

– Wiele rzeczy się zmieniło – rzekłem, patrząc na jego krągłe, wypasione oblicze i bezbarwne rzęsy. Wyzdrowiał, chociaż stracono już na to nadzieję. Poza tym nic mnie nie interesowało w tym gościu.

– Będę musiał poszukać sobie jakiejś posady. Jak przedstawia się dzisiaj rynek pracy?

Wzruszyłem ramionami. Po co miałem mu mówić, że przypuszczalnie nie znajdzie zajęcia. Będzie miał sam dosyć czasu, aby się o tym przekonać.

– Ma pan stosunki, wpływowych przyjaciół czy coś w tym guście?

– Przyjaciół… no, pan wie, jak to jest – zaśmiał się drwiąco. – Kiedy człowiek nie śmierdzi już groszem, przyjaciele uciekają od niego jak pchły od zdechłego psa.

– W takim razie trudno panu będzie.

Zmarszczył czoło.

– Nie mam pojęcia, jak to w ogóle będzie. Zostało mi całego majątku zaledwie kilkaset marek. I nie nauczyłem się w życiu niczego, poza wydawaniem pieniędzy. Mimo wszystko zdaje się, że mój sławny profesor miał rację, chociaż nie w ten sposób, jak myślał: w dwa lata będzie ze mną koniec, ale od rewolwerowej kulki.

Nagle ogarnęła mnie bezmyślna złość na tego głupiego gadułę. Czy on nie wie, co to jest życie? Widziałem idących przed nami Pat i Antonia, widziałem jej wychudły pod wpływem choroby kark, wiedziałem, jak bardzo chce żyć, i gdyby dzięki temu Pat mogła wyzdrowieć, zabiłbym tego Rotha bez skrupułów.

Pociąg odjechał. Roth machał kapeluszem. Pozostający na peronie wołali za nim różne głupstwa i śmiali się głośno. Jakaś dziewczyna biegła, potykając się, za pociągiem i wołała dziwnie załamującym się wątłym głosikiem:

– Do widzenia, do widzenia! – Po czym zawróciła i nagle wybuchnęła płaczem.

Wszyscy zrobili zakłopotane miny.

– Halo! – zawołał Antonio. – Kto płacze na dworcu, musi zapłacić karę. Tak mówi stare prawo sanatoryjne. Karę do wspólnej kasy na cel przyszłej zabawy.

Wyciągnął szerokim gestem rękę. Wszyscy parsknęli na nowo śmiechem. I dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy, płynące po biednej twarzy o zaostrzonych rysach. Wyciągnęła wytartą portmonetkę z kieszeni płaszcza.

Zrobiło mi się podle na sercu. Te twarze dokoła – przecież to nie był w ogóle śmiech, to była kurczowa, bolesna wesołość,

sztuczny grymas.

– Chodźmy – rzekłem do Pat, ujmując ją mocno pod ramię.

Przeszliśmy w milczeniu przez wiejską ulicę. Przy najbliższej cukierni zatrzymałem się i kupiłem bombonierkę.

– Palone migdały – rzekłem, podając jej pudełko. – Lubisz to gryźć, prawda?

– Robby – szepnęła Pat. Wargi jej drżały.

– Chwileczkę – rzekłem, i czmychnąłem do pobliskiej kwiaciarni. Możliwie opanowany wyszedłem z naręczem róż…

– Robby…

Uśmiechnąłem się trochę żałośnie.

– Zobaczysz, Pat, że na starość zmienię się jeszcze w szarmanta.

Nie wiem, co nas chwyciło. Przypuszczalnie wszystkiemu zawinił ten przeklęty odjeżdżający pociąg. Był jak ołowiany cień, jak szary wiatr, który porywa wszystko, co człowiek z trudem chce utrzymać. Czyż nie staliśmy się nagle dwojgiem zbłąkanych dzieci, które nie wiedziały, co z sobą począć, choć chciały być strasznie, ale to strasznie odważne?

– Chodź, napijemy się po kieliszku – rzekłem.

Kiwnęła głową. Weszliśmy do najbliższej kawiarni i usiedliśmy przy pustym stoliku pod oknem.

– Czego chcesz się napić, Pat?

– Rumu – rzekła, patrząc mi w oczy.

– Rumu! – powtórzyłem, ujmując pod stołem jej rękę. Wcisnęła ją mocno w moją dłoń.

Przyniesiono trunek. Był to Bacardi z cytryną.

– W twoje ręce, kochanie! – rzekła Pat, podnosząc kieliszek.

– Stary, dzielny łobuzie!

Siedzieliśmy przez chwilę w lokalu.

– Zabawnie się czasem robi człowiekowi, co? – spytała Pat.

– Tak. Czasem coś nas nachodzi. Ale i odchodzi.

Kiwnęła głową. Poszliśmy ulicą, przytuleni do siebie. Parujące konie, zaprzężone do sanek, przebiegały mimo nas. Zmęczeni, spaleni na brąz narciarze, drużyna hokejowa w czerwono-białych swetrach, gromki śmiech.

– Jak się czujesz. Pat?

– Doskonale, Robby.

– Damy sobie radę, co?

– Tak, kochanie. – Przycisnęła mocniej moje ramię.

Ulica opustoszała. Czerwień zachodu kładła się na zaśnieżonych górach jak różowa kołdra.

– Pat, nie wiesz jeszcze, że mamy górę pieniędzy. Köster przysłał mi dzisiaj.

Przystanęła.

– To cudownie, Robby. Będziemy mogli zabawić się raz uczciwie.

– Oczywiście. Ile razy nam przyjdzie na to ochota.

– W takim razie pójdziemy w sobotę do kasyna. To ostatni wielki bal w tym sezonie.

– Ale tobie nie wolno wychodzić wieczorem.

– Większości nie wolno, a mimo to wszyscy wychodzą.

Zrobiłem dość niepewną minę.

– Robby, w czasie twojej nieobecności robiłam wszystko, co mi przepisano. Zmieniłam się w zalęknioną receptę. Nic nie pomogło. Przyszło pogorszenie. Nie przerywaj mi, wiem, co chcesz powiedzieć. Wiem także, o co idzie gra… Ale przez ten czas, jaki mi pozostał, przez ten czas z tobą… pozwól mi robić to, na co mam ochotę.

Twarz jej oblała czerwień zachodu. Była poważna, cicha i pełna głębokiej czułości. „O czym my mówimy? – pytałem siebie z wyschniętym gardłem. – Przecież to niemożliwe, żebyśmy tu stali i rozprawiali o czymś, co nigdy się stać nie może, nie powinno. Przecież to usta Pat mówią te słowa, swobodnie, niemal bez smutku, jak gdyby nie było już na to rady, nawet strzępka nędznej nadziei, przecież to mówi Pat, jeszcze dziecko niemal, które powinienem osłaniać, Pat, która nagle oddaliła się ode mnie, bliska już bezimiennym cieniom po tamtej stronie”.

– Nie powinnaś tak mówić – mruknąłem wreszcie. – Myślałem tylko, że może lepiej będzie poradzić się przedtem lekarza.

– Nie będziemy się już pytać nikogo, nikogo! – Potrząsnęła swoją piękną, wąską główką i patrzyła na mnie kochanymi

oczami. – Nie chcę już o niczym wiedzieć. Chcę być tylko szczęśliwa.

Wieczorem na korytarzach sanatorium panowała bieganina. Zjawił się u mnie Antonio z zaproszeniem. W pokoju pewnego Rosjanina miało się odbyć zebranie towarzyskie.

– Czy mogę pójść, nie znając gospodarza? – spytałem.

– Tutaj? – odpowiedziała pytaniem Pat.

– Tutaj uchodzi wiele rzeczy, które nie uchodzą gdzie indziej – rzekł z uśmiechem Antonio.

Rosjanin był starszym, ciemnowłosym mężczyzną. Zajmował dwa pokoje, zasłane dywanami. Na komodzie stała bateria butelek. Oba pokoje tonęły w półmroku. Paliły się tylko świece. Wśród gości była także bardzo piękna, młoda Hiszpanka. Miała tego dnia urodziny i na jej cześć urządzono zabawę.

Dziwaczny nastrój panował w tych rozmigotanych świecami pokojach; swoim półmrokiem i osobliwym zbrataniem ludzi dzielących wspólny los przypominały one ziemianki na froncie.

– Czego się pan napije? – spytał mnie gospodarz. Miał ciepły, głęboki głos.

– Wszystko jedno, co pan ma.

Podniósł flaszkę koniaku i karafkę wódki.

– Pan jest zdrowy?

– Tak – odparłem speszony.

Podał mi rosyjskie papierosy z długimi ustnikami. Wypiliśmy.

– Zapewne wiele u nas wydaje się panu dziwne?

– Nie tak bardzo. Nie nawykłem do normalnego trybu życia.

– Tak – rzekł rzucając ciemne spojrzenie w stronę Hiszpanki – życie tutaj na górze to świat sam dla siebie. Gruźlica zmienia ludzi.

Przytaknąłem.

– Osobliwa choroba – dodał po chwili namysłu. – Wzmaga żywotność. Niekiedy nawet uszlachetnia. Mistyczna choroba. Odcedza męty.

Podniósł się z krzesła, kiwnął mi głową i podszedł do uśmiechającej się z daleka Hiszpanki.

– Glicerynowa filozofia, co? – spytał ktoś za mną. Twarz bez brody. Guzowate czoło. Niespokojne, gorączkowe spojrzenie.

– Jestem tutaj gościem – rzekłem. – Pan chyba też?

– Na takie komunały chwyta się kobiety – ciągnął nieznajomy, nie zważając na moje słowa. – On na to łapie baby. Tę małą także złapał.

Nie odpowiedziałem.

– Kto to? – spytałem Pat, gdy dziwak odszedł.

– To muzyk. Skrzypek. Jest beznadziejnie zakochany w Hiszpance. Tak jak to ludzie tutaj potrafią. Ale ona nie chce o nim słyszeć. Kocha Rosjanina.

– Robiłbym to samo na jej miejscu.

Pat zaśmiała się.

– Uważam, że jest to mężczyzna, którego można pokochać. Nie sądzisz?

– Nie.

– Czy nie kochałaś się tutaj nigdy?

– Nie bardzo.

– Byłoby mi to obojętne.

– Piękne wyznanie – rzekła, prostując się, Pat. – Nie powinno być ci to jednak zupełnie obojętne.

– Ja też tak tego nie rozumiem. Nie potrafię ci nawet powiedzieć, co mam na myśli. A nie potrafię dlatego, że po dziś dzień nie wiem właściwie, co ty we mnie widzisz.

– Zostaw już mnie ten kłopot.

– A ty wiesz?

– Niezbyt dokładnie – odparła z uśmiechem. – Inaczej nie byłaby to miłość.

Rosjanin zostawił przyniesione butelki. Nalałem sobie kilka kieliszków pod rząd i wypijałem je do dna. Nastrój panujący w tym pokoju ciążył mi nieznośnie. Nie lubiłem, kiedy Pat obracała się wśród tych chorych.

– Nie podoba ci się tutaj?

– Nie bardzo. Muszę się dopiero przyzwyczaić.

– Biedne kochanie! – Pogłaskała mnie po ręce.

– Nie jestem biedny, skoro ty jesteś przy mnie.

– Czy nie uważasz, że Rita jest bardzo piękna?

– Nie, ty jesteś piękniejsza.

Młoda Hiszpanka trzymała na kolanach gitarę. Brzdąknęła parę akordów. Potem zaczęła śpiewać i zdawało się, że w pokoju kołuje czarny ptak. Śpiewała pieśni hiszpańskie stłumionym, ochrypłym, łamiącym się głosem chorej. Nie wiedziałem, czy to sprawiały obce, melancholijne melodie, czy wstrząsający, smutny głos dziewczyny, czy te cienie chorych na fotelach i na podłodze, czy też może wielka, pochylona, ciemna twarz Rosjanina – ale nagle zdało mi się, jakby to wszystko było jakimś łkającym, cichym zaklinaniem losu, który stał u zasłoniętych okien i czekał, prośbą, krzykiem i trwogą, trwogą przed samotnością, przed zostaniem sam na sam z pożerającą pustką.

Następnego dnia Pat była wesoła i pogodna. Zabrała się do swoich sukienek.

– Wszystkie są za luźne, dużo za luźne – mruczała, przeglądając się w lustrze. Potem zwróciła się do mnie. – Czy zabrałeś ze sobą smoking, kochanie?

– Nie. Nie przypuszczałem, że będę go tu potrzebował.

– Biegnij więc zaraz do Antonia. Pożyczy ci chętnie. Macie taką samą figurę.

– Ależ on sam potrzebuje smokingu!

– Włoży frak. – Zapięła szpilką fałdę. – A potem idź na narty. Ja muszę tu popracować. Nie potrafię nic robić w twojej obecności.

– Biedny Antonio. Wyzyskuję go po prostu. Co byśmy poczęli bez niego?

– To dobry chłopak, prawda?

– Tak, to właśnie najlepsze określenie: dobry chłopak.

– Nie wiem, co bym zrobiła w czasie mojej samotności, gdyby nie on.

– Lepiej już o tym nie myśl. To było dawno.

– Tak. – Pocałowała mnie. – A teraz idź na narty.

Antonio czekał już na mnie.

– Już sobie pomyślałem, że pewnie pan nie zabrał smokingu. Niech pan przymierzy marynarkę.

Marynarka była nieco przyciasna, ale jakoś uszła. Antonio gwizdnął zadowolony i powiesił ubranie na szafie.

– Jutro zapowiada się wspaniała zabawa. Na szczęście dyżur w biurze ma ta mała sekretarka. Stara panna Rexroth na pewno by nas nie wypuściła. Oficjalnie jest to zakazane. Ale nieoficjalnie wszyscy wiedzą, że nie jesteśmy dziećmi.

Poszliśmy na narty. Poduczyłem się już wcale nieźle i wziąłem rozbrat z oślą łączką. Po drodze spotkaliśmy jakiegoś jegomościa z brylantowymi pierścieniami na palcach, w spodniach w kratkę i z rozwianym krawatem artysty.

– Zabawne typy tu się spotyka – rzekłem.

Antonio śmiał się.

– To ważna figura. Konwojent umrzyków.

– Co takiego? – spytałem zdumiony.

– Tak, konwojuje trupy. Mamy tu przecież chorych z całego świata. Szczególnie wielu z Ameryki Południowej. No, a oczywiście większość rodzin chce chować swoich bliskich w ojczyźnie. Wtedy taki konwojent przyjeżdża tu za odpowiednio słone honorarium i zabiera ze sobą cynkową trumnę. W ten sposób bogacą się ci ludzie, a przy okazji zwiedzają szmat świata. Jak pan widzi, ten jegomość dzięki śmierci zrobił się dandysem.

Szliśmy jeszcze jakiś czas w górę, potem przypięliśmy narty i zjechaliśmy w dół. Białe wzgórza falowały, a za nami gnał, ujadając i zapadając się po pierś, nasz Billy, podobny do brunatnej piłki. Przywykł znowu do mnie, chociaż często zawracał nagle i gnał z rozwianymi uszami w stronę sanatorium.

Ćwiczyłem krystianie i za każdym razem, gdy zjeżdżałem ze stoku i przygotowywałem się do obrotu, zwalniając mięśnie, myślałem: „Jeżeli ta krystiania mi się uda bez upadku, Pat wyzdrowieje”. Wiatr smagał mi policzki, śnieg był ciężki i oporny, ale hamowałem śmiało i wyszukiwałem coraz bardziej strome

zjazdy, coraz trudniejszy teren, a gdy udawało mi się, myślałem: „Uratowana!” Wiedziałem, że to głupio z mojej strony, ale mimo to czułem radość, jakiej nie zaznawałem od dawna.

W sobotę wieczorem dokonała się gromadna potajemna ucieczka. Antonio zamówił sanki, które czekały nieco na uboczu, w połowie drogi do sanatorium. Sam zbiegał ze wzgórza, wesoło jodłując, w lakierkach, rozpiętym płaszczu, spod którego lśnił biały gors.

– Wariat! – orzekłem.

– On tak często postępuje – rzekła Pat. – Jest bezgranicznie lekkomyślny. Dzięki temu wytrzymuje tutaj. Inaczej nie byłby stale w dobrym humorze.

– Za to ciebie owiniemy w podwójną ilość koców.

Opatuliłem Pat we wszystkie możliwe koce i szale, jakie były pod ręką. Potem sanki ruszyły w dół. Jechała ich cała kompania. Wszyscy, którzy tylko mogli, wyrwali się z sanatorium. Można by pomyśleć, że jedzie w dolinę jakiś orszak ślubny, tak uroczyście kiwały się kolorowe pęki piór na łbach końskich w świetle księżyca, tak wiele było śmiechu i nawoływań między saniami.

Kasyno udekorowano rozrzutnie. Gdy weszliśmy, pląsy już się rozpoczęły. Dla gości z sanatorium zarezerwowano kąt, osłonięty przed przeciągami od strony okien. Było ciepło, pachniało kwiatami, perfumami i winem.

Stolik nasz obsiadła cała gromada ludzi: Rosjanin, Rita, skrzypek, jakaś starsza niewiasta, uszminkowana trupia czaszka, żigolo, który obsługiwał to truchło, Antonio i jeszcze parę osób.

– Chodź, Robby, spróbujemy pohasać.

Parkiet obracał się wolno wkoło nas. Skrzypce i wiolonczela podniosły głosy w miękkiej kantylenie nad cicho szemrzącą orkiestrę. Stopy tańczących powoli sunęły po podłodze.

– Ach, kochanie, przecież ty teraz wspaniale tańczysz! – wykrzyknęła zdziwiona Pat.

– No, tak znowu wspaniale…

– Naprawdę! Gdzieżeś się tego nauczył?

– To jeszcze Gotfryd mi pokazał.

– U was w warsztacie?

– Tak… i w „Café International”. Potrzebna nam przecież była pomoc dam. Ostatniego szlifu użyczyły mi Róża, Marion i Wally. Obawiam się tylko, że wskutek tego taniec mój nie zyskał na elegancji.

– Przeciwnie! – Oczy jej promieniały. – Pierwszy raz tańczymy tak ze sobą, Robby!

Koło nas przesunął się w tańcu Rosjanin z Hiszpanką. Uśmiechnął się do nas i skinął nam głową. Hiszpanka była bardzo blada. Czarne, błyszczące włosy okalały jej czoło niby krucze skrzydło. Tańczyła z nieruchomą, skupioną twarzą. Na jej przegubie błyszczała bransoleta z czworokątnych olbrzymich szmaragdów. Miała osiemnaście lat. Od stolika śledził ją pożądliwym spojrzeniem skrzypek.

Wróciliśmy do stołu.

– Chciałabym teraz zapalić papierosa.

– Może lepiej nie – odparłem przezornie.

– Tylko zaciągnąć się parę razy, Robby. Tak dawno nie paliłam. – Wzięła papierosa, ale szybko odłożyła go na bok. – Nie smakuje mi, Robby. Nie smakuje mi już ani trochę.

– To tak zawsze – zaśmiałem się – kiedy człowiek musi się czegoś dłuższy czas wyrzekać.

– Przecież ty musiałeś się mnie także długo wyrzekać?

– To dotyczy tylko trucizn. Alkoholu i tytoniu.

– Kochanie, ludzie to gorsza trucizna aniżeli alkohol i tytoń. – Zaśmiała się.

– Mądre z ciebie dziecko, Pat.

Wsparła łokcie na stole i spojrzała mi w oczy.

– Nigdy mnie chyba nie brałeś tak całkiem na serio, co?

– Siebie samego także nigdy nie brałem na serio.

– Mnie nie. Powiedz prawdę!

– Nie wiem. Ale wiem, że nas oboje brałem strasznie na serio.

Uśmiechnęła się.

Antonio poprosił ją do tańca. Przeszli na parkiet. Obserwowałem Pat w czasie tańca. Za każdym razem, gdy przesuwała się

koło naszego stolika, przesyłała mi uśmiech. Jej srebrne trzewiczki ledwo dotykały podłogi. Miała ruchy antylopy.

Rosjanin tańczył znowu z Hiszpanką. Oboje milczeli. Jego wielkie, ciemne oblicze pełne było przymglonej czułości. Skrzypek próbował poprosić Hiszpankę do tańca, ale ona potrząsnęła tylko głową i poszła tańczyć z Rosjaninem.

Skrzypek rozkruszył papierosa swoimi długimi, kościstymi palcami. Zrobiło mi się go nagle żal. Podsunąłem mu papierosy. Odmówił.

– Dziękuję, muszę się szanować – rzekł urywanym głosem.

Przytaknąłem.

– Ale ten – chichocząc, wskazał na Rosjanina – ten wypala dziennie pięćdziesiąt papierosów.

– Jeden robi tak, drugi inaczej.

– I tak ją dostanę, chociaż nie chce ze mną teraz tańczyć.

– Kogo?

– Ritę.

Przysunął się z krzesłem bliżej.

– Wie pan, byliśmy zaprzyjaźnieni. Grywaliśmy razem. A potem zjawił się Rosjanin i sprzątnął mi ją sprzed nosa swoimi deklamacjami. Ale ja ją jeszcze dostanę.

– Będzie pan musiał porządnie się wysilić – rzekłem. Facet wcale mi się nie podobał.

Wybuchnął beczącym śmiechem.

– Wysilić? Ach, święta naiwności! Muszę tylko poczekać.

– No to niech pan czeka.

– Pięćdziesiąt papierosów dziennie – szeptał. – Widziałem wczoraj jego zdjęcie rentgenowskie. Kawerna na kawernie. Gość jest gotów. – Parsknął znowu śmiechem. – Z początku staliśmy jednakowo. Można było pomylić nasze zdjęcia! A teraz, żeby pan mógł zobaczyć, jaka różnica! Przybył mi kilogram na wadze. Nie, mój kochany, ja muszę tylko czekać i się szanować. Cieszę się już na następne zdjęcie. Siostra pokazuje mi je za każdym razem. Jak tamtego diabli wezmą, przyjdzie na mnie kolej.

– Także sposób.

– Także sposób – przedrzeźniał mnie. – To jedyny sposób, żółtodziobie! Gdybym teraz spróbował wejść mu w paradę, zepsułbym sobie u niej szansę na przyszłość. Nie, nie. Pan jest nowicjuszem. Tylko grzecznie, spokojnie, czekać…

Powietrze zrobiło się ciężkie i zawiesiste. Pat pokasływała. Zauważyłem, że spogląda przy tym na mnie bojaźliwie, starałem się więc udawać, że tego nie słyszę. Stara dama, obwieszona perłami, siedziała cicho, zatopiona w myślach. Od czasu do czasu wybuchała jazgotliwym śmiechem. Potem znowu cichła i trwała w bezruchu. Trupia główka sprzeczała się z żigolakiem. Rosjanin palił jednego papierosa za drugim. Skrzypek podawał mu ogień. Nagle jakaś dziewczyna zakrztusiła się spazmatycznie, podniosła chusteczkę do ust, spojrzała na nią i zbladła.

Rzuciłem okiem po sali. Oto stoliki, które obsiedli sportowcy, zdrowi obywatele wioski, tam siedzą Francuzi, tam Anglicy, tam Holendrzy, rzucający rozlewne zgłoski swej mowy, pachnące łąkami i morzem – a między nimi przycupnęła mała kolonia choroby i śmierci, gorączkująca, pełna blasku urody, skazana na zagładę. Łąki i morze – spojrzałem na Pat – łąki i morze – piana i piasek, i rozkosz pływania… „Ach – myślałem – ukochane, wąskie czoło! Ukochane dłonie! Ty, ukochane życie, które można tylko kochać, ale nie można uratować”.

Wstałem i wyszedłem na dwór. Zrobiło mi się gorąco ze smutku i straszliwej niemocy. Szedłem powoli drogą. Zimno przenikało mnie aż do kości, a wiatr wypadający zza węgła domów smagał mi twarz. Zacisnąłem pięści i patrzyłem długo na surowe białe góry. Szalała we mnie ślepa wściekłość i ból.

W dole ulicy odezwały się dzwonki sanek. Zawróciłem. Pat wyszła naprzeciw mnie.

– Gdzieś był?

– Wyszedłem trochę na dwór.

– Jesteś w złym humorze?

– Skądże znowu.

– Kochanie, bądź wesoły! Bądź dziś wesoły! Zrób to dla mnie! Kto wie, kiedy będę mogła wybrać się znowu na bal.

– Na pewno jeszcze nieraz.

Położyła główkę na moim ramieniu.

– Jeśli ty tak mówisz, to chyba jest prawda. Chodź, zatańczymy. Pierwszy raz tańczymy ze sobą.

Tańczyliśmy, a ciepłe, miękkie światło było pełne litości: ukrywało cienie, które noc rysowała na twarzach chorych.

– Jak się czujesz, Pat?

– Dobrze, Robby.

– Jesteś piękna.

Oczy jej jaśniały.

– Ładnie, że mi to mówisz.

Poczułem na policzku jej ciepłe, suche wargi.

Wróciliśmy późno do sanatorium.

– Niech pan tylko spojrzy, jak on wygląda – chichotał skrzypek, wskazując ukradkiem na Rosjanina.

– Zupełnie tak samo, jak pan – rzekłem gniewnie.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– No tak, pan jest okazem zdrowia! – syknął jadowicie.

Uścisnąłem dłoń Rosjanina. Skłonił się. Troskliwie i czule pomagał młodej Hiszpance wejść na schody. Jego olbrzymie, zgarbione plecy i wąskie ramiona dziewczyny wyglądały przy tym w słabym świetle, jakby spoczywał na nich ciężar całego globu. Trupia główka ciągnęła za sobą nadąsanego żigolaka przez korytarz. Antonio powiedział nam dobranoc. Wszystkie te niemal bezgłośne, szeptem wymieniane pożegnania robiły jakieś upiorne wrażenie.

Pat ściągała suknię przez głowę. Stała pochylona i szarpała rękawy sukni. Brokat pękł. Pat przyjrzała się rozdarciu.

– Na pewno był już przetarty – powiedziałem.

– Nic nie szkodzi. Nie będzie mi już potrzebna.

Złożyła powoli suknię i nie powiesiła jej już w szafie. Włożyła ją do walizki. Z twarzy Pat wyjrzało nagle zmęczenie.

– Spójrz, co ja tu mam – rzekłem spiesznie, wyciągając butelkę szampana z kieszeni płaszcza. – Teraz urządzimy sobie nasz własny, prywatny bal.

Przyniosłem kieliszki i nalałem. Uśmiechnęła się znowu i wypiła do dna.

– Za nasze zdrowie, Pat.

– Tak, kochanie. Za nasze piękne życie.

Jakże osobliwe było to wszystko: ten pokój, ta cisza i nasz smutek. Czyż za tymi drzwiami nie leżało życie, nieskończone, szumiące lasami, rzekami, życie o mocnym oddechu, kwitnące i niespokojne, czyż po drugiej stronie białych gór nie pukał już niecierpliwie marzec do wrót budzącej się ziemi?

– Czy zostaniesz ze mną na noc, Robby?

– Tak, położymy się. Będziemy tak blisko siebie, jak tylko ludzie mogą, postawimy na kołdrze kieliszki i będziemy pili.

Trunek. Złotobrązowa skóra. Czekanie. Czuwanie. Cisza i lekkie rzężenie w ukochanej piersi.

XXVIII

Zerwał się wiatr halny. Rozdygotane, wilgotne ciepło smagało dolinę. Śnieg topniał. Z dachów kapały krople. Krzywa gorączki pięła się w górę. Pat musiała leżeć w łóżku. Lekarz zaglądał do niej co parę godzin. Na twarzy jego malowała się coraz większa troska.

Któregoś dnia, podczas obiadu, przyszedł Antonio i usiadł przy mnie.

– Rita umarła.

– Rita? Pan ma chyba na myśli Rosjanina?

– Nie, Ritę, tę Hiszpankę.

– Przecież to niemożliwe – rzekłem, czując, jak krew ścina mi się w żyłach. – Przecież Rita była o wiele mniej poważnie chora aniżeli Pat.

– Tu wiele rzeczy staje się możliwymi – rzekł melancholijnie Antonio. – Umarła dzisiaj rano. Wywiązało się zapalenie płuc.

– Zapalenie płuc. To zupełnie inna sprawa – rzekłem z ulgą.

– Osiemnaście lat. Straszne. I takie ciężkie konanie.

– A Rosjanin?

– Ach, niech pan nie pyta. Nie chce wierzyć, że dziewczyna nie żyje. Twierdzi, że to tylko letarg. Siedzi przy jej łóżku i nie daje się wyprowadzić z pokoju.

Antonio poszedł. Patrzyłem przez okno. Rita umarła; ale ja siedziałem tu i myślałem: „To nie Pat. To jeszcze nie Pat".

Przez oszklone drzwi na korytarz ujrzałem skrzypka. Zanim zdołałem wstać od stolika, już mnie dopadł. Wyglądał strasznie.

– Pan pali? – spytałem, żeby coś powiedzieć.

Zaśmiał się.

– Oczywiście! Dlaczego nie miałbym palić? Teraz? Przecież to już wszystko jedno.

Wzruszyłem ramionami.

– A pan się cieszy, chodząca cnoto? – spytał drwiąco.

– Pan zwariował!

– Zwariował? Nie, tylko wpadłem. – Runął jak długi na stolik i tchnął mi zapachem koniaku w twarz. – Wpadłem. Nabrali mnie. Świnie. Same świnie. Z pana także cnotliwa świnia.

– Gdyby pan nie był chory, wyrzuciłbym pana przez okno.

– Chory? Jaki chory? – przedrzeźniał mnie. – Jestem zdrowy, prawie całkiem zdrowy, właśnie wracam od lekarza! Cudowny wypadek nagłego zwapnienia! Dobry kawał, co?

– Niech pan dziękuje Bogu. Kiedy pan stąd wyjedzie, zapomni pan o wszystkich zmartwieniach.

– Tak? Tak pan myśli? Ach, praktyczny ptasi móżdżku! Niech Bóg czuwa nad pańską pucołowatą duszą!

Zatoczył się, odszedł parę kroków, ale zaraz zawrócił.

– Niech pan ze mną idzie! Niech pan zostanie przy mnie! Napijemy się! Płacę za wszystko. Nie mogę zostać sam!

– Nie mam czasu. Niech pan sobie poszuka innego towarzystwa.

Wróciłem do Pat. Leżała, oddychając ciężko, wsparta o stertę poduszek.

– Nie chcesz pojeździć na nartach?

Potrząsnąłem głową.

– Śnieg do niczego. Wszędzie taje.

– Może zagrasz z Antoniem w szachy?

– Nie. Chcę zostać przy tobie.

– Biedny Robby! – Próbowała zrobić ruch ręką. – Przynieś sobie przynajmniej coś do picia.

– Dobra myśl.

Poszedłem do swego pokoju, przyniosłem butelkę koniaku i kieliszek.

– Chcesz troszkę? Wiesz przecież, że ci wolno.

Wypiła łyczek, a po chwili drugi. Potem oddała mi kieliszek. Nalałem go do pełna i wypiłem.

– Nie powinieneś pić z tego samego kieliszka.

– Także coś!

Nalałem do pełna i wychyliłem.

Potrząsnęła głową.

– Naprawdę, Robby, nie powinieneś tego robić. Nie powinieneś mnie już także całować. Nie możesz w ogóle tak wiele przebywać ze mną. Nie chcę, żebyś zachorował.

– Właśnie, że będę cię całował, nic mnie nie obchodzi.

– Nie, nie powinieneś. Nie możesz także sypiać w moim łóżku.

– Dobrze, w takim razie ty będziesz sypiać w moim.

Odwróciła ode mnie twarz.

– Daj spokój, Robby. Musisz długo żyć. Chcę, żebyś był zdrów, miał żonę i dzieci.

– Nie chcę mieć żony ani dzieci prócz ciebie. Jesteś moją żoną i dzieckiem.

Leżała chwilę cicho.

– Chciałabym mieć z tobą dziecko, Robby – rzekła, kładąc mi główkę na ramieniu. – Przedtem nie chciałam tego. Nie umiałam sobie tego nawet wyobrazić. Ale teraz często myślę o tym. Byłoby pięknie, gdyby coś po mnie zostało. Dziecko spoglądałoby na ciebie i przypominałoby ci mnie. Byłabym wtedy znowu przy tobie.

– Jeszcze będziemy mieli dziecko. Jak wyzdrowiejesz. Chciałbym bardzo mieć z tobą dziecko, Pat. Ale musi to być dziewczynka i także mieć na imię Pat.

Wzięła z moich rąk kieliszek i upiła łyk.

– Może to i lepiej, kochanie, że nie mamy dziecka. Nie powinieneś nic brać po mnie. Musisz o mnie zapomnieć. A jeśli będziesz myślał o mnie, powinieneś myśleć, że było nam razem dobrze – i nic więcej. Tego, że wszystko minęło, i tak nie potrafimy nigdy zrozumieć. Ale nie powinieneś być smutny.

– Muszę być smutny, kiedy mówisz takie rzeczy.

Patrzyła na mnie przez chwilę.

– Kiedy człowiek tak leży całymi dniami, rozmyśla dużo o tym i o owym. I wtedy rzeczy, na które by nigdy nie zwrócił uwagi, wydają mu się dziwne. Wiesz, czego ja nie mogę zrozumieć? Jak można się tak kochać jak my i żeby mimo to jedno z nas musiało umrzeć?

– Cicho, cicho. Zawsze ktoś musi umrzeć pierwszy. Ale nam jeszcze do tego daleko.

– Człowiek powinien umierać, kiedy jest sam. Albo jeżeli dwoje ludzi się nienawidzi. Ale nie wtedy, kiedy się kochają.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Tak, Pat – rzekłem, ujmując jej białe ręce. – Gdybyśmy my urządzali świat, na pewno lepiej by wyglądał.

Przytaknęła.

– Tak, kochanie. Nie dopuścilibyśmy do podobnych nonsensów. Gdyby tylko człowiek wiedział, co jest po tamtej stronie… Czy wierzysz, że istnieje jakiś dalszy ciąg?

– Tak. Życie jest tak podle zrobione, że nie może się tutaj kończyć.

Uśmiechnęła się.

– To także powód. Ale czy uważasz, że to jest także źle zrobione? – spytała, wskazując na wiązankę żółtych róż, stojących przy łóżku.

– Otóż to właśnie. Szczegóły są cudowne, ale całość pozbawiona sensu. Tak jakby wszystko stworzył ktoś, komu na widok cudownej różnorodności życia nie przyszło do głowy nic innego, tylko to, by wszystko zniszczyć.

– I potem zrobić na nowo.

– W tym także nie widzę sensu. Świat się przez to do dziś nic nie polepszył.

– A jednak, kochanie, jeśli o nas chodzi, dobrze to urządził. W ogóle nie można było lepiej. Tylko za krótko to trwało. O wiele za krótko.

W kilka dni potem poczułem kłucie w piersi i zacząłem pokasływać. Lekarz naczelny usłyszał to, przechodząc przez korytarz,

i zaraz zajrzał do mnie.

– Niech pan wpadnie do mego gabinetu.

– Ależ to głupstwo!

– Wszystko jedno. Z tego rodzaju kaszlem nie może pan siedzieć przy pannie Hollmann. Niech pan zaraz do mnie zejdzie.

Z osobliwym uczuciem zadowolenia ściągnąłem koszulę z grzbietu. Tu, w sanatorium, zdrowie wydawało się jakimś nieuzasadnionym przywilejem. Człowiek czuł się jak oszust czy dekownik.

Lekarz naczelny przyjrzał mi się bystro.

– Pan jeszcze się cieszy – rzekł, marszcząc czoło.

Potem zbadał mnie dokładnie. Patrzyłem na lśniące instrumenty w szafkach, oddychałem głęboko i powoli, potem płytko i szybko, tak jak ode mnie żądał. Odczuwałem przy tym znowu ukłucia i cieszyłem się, że nie jestem już tak bardzo w tyle za Pat.

– Jest pan zaziębiony – rzekł wreszcie lekarz. – Proszę położyć się na dzień albo dwa do łóżka, a w każdym razie nie wychodzić z pokoju. Nie może pan odwiedzać panny Hollmann. Nie ze względu na pana, ale ze względu na nią.

– Czy mogę rozmawiać z nią przez drzwi? Albo przez balkon?

– Przez balkon owszem, ale tylko parę minut, a ostatecznie i przez drzwi, ale pod warunkiem, że będzie pan często płukał gardło. Oprócz zaziębienia ma pan typowy bronchit od nadmiernego palenia.

– A płuca?

Spodziewałem się, że wynalazł przynajmniej jakiś drobiazg w płucach. Czułbym się wtedy jakoś raźniej wobec Pat.

– Z pańskich płuc można by wykroić trzy sztuki – oświadczył lekarz. – Jest pan najzdrowszym człowiekiem, jakiego udało mi się spotkać od dawna. Tylko wątroba jest trochę uczulona. Przypuszczalnie za dużo pan pije.

Zapisał mi jakieś lekarstwo. Wróciłem do pokoju.

– Robby? – spytała Pat przez drzwi. – Co doktor powiedział?

– Chwilowo nie wolno mi cię odwiedzać – zaraportowałem przez szparę pod drzwiami. – Surowy zakaz. Obawa zarażenia.

– A widzisz! – zawołała przerażona. – Ja dawno ci to mówiłam.

– Obawa zarażenia dla ciebie, nie dla mnie, Pat.

– Daj spokój niemądrym żartom. Powiedz wyraźnie, jak jest.

– Właśnie tak, jak mówię. Siostro – dałem znak siostrze dyżurnej, która przyniosła przepisane leki – niech siostra powie pannie Hollmann, kto z nas obojga jest niebezpieczniejszy dla otoczenia.

– Oczywiście, że pan – oświadczyła siostra. – Nie może pan wchodzić do pani pokoju, żeby pani nie zarazić.

Pat przeniosła niedowierzające spojrzenie z siostry na mnie. Pokazałem jej przez drzwi lekarstwa. Zrozumiała, że jej nie oszukujemy, i zaczęła się śmiać, śmiała się coraz gwałtowniej, aż jej z oczu popłynęły łzy i zaczęła boleśnie kaszleć. Siostra musiała przebiec do jej pokoju i unieść ją na poduszkach.

– Mój Boże, kochanie – szeptała Pat – jakież to zabawne! I jesteś przy tym dumny jak paw!

Przez cały wieczór była pogodna. Oczywiście nie zostawiłem jej samej. Siedziałem aż do północy na balkonie w grubym płaszczu i z szalem owiniętym wokół szyi, trzymając w jednej ręce cygaro, w drugiej kieliszek, z flachą koniaku u nóg, i opowiadałem historie z mojego życia, przerywane jej cichym śmiechem ptaka; łgałem, ile wlezie, ażeby ujrzeć przemykanie się uśmiechu po jej twarzy, radowałem się moim szczekającym kaszlem, wypróżniłem butelkę do dna i następnego ranka byłem zdrów jak ryba.

Wiatr halny powrócił. Wicher szarpał oknami, chmury wisiały nisko, śnieg kurczył się, spadał w nocy z hukiem z dachów, chorzy leżeli rozdrażnieni, trapieni bezsennością i nasłuchiwali niespokojnie. Na osłoniętych stokach zaczęły kwitnąć krokusy, a na drodze pojawiły się obok sanek pierwsze wozy o wysokich kołach.

Pat słabła coraz bardziej. Nie mogła się już dźwignąć z łóżka. W nocy miewała częste napady duszności. Wtedy twarz jej szarzała z trwogi. Trzymałem mocno jej wilgotne, bezsilne ręce.

– Byle przetrwać tę godzinę – dyszała – tylko tę godzinę, Robby. O tej godzinie umierają najczęściej…

Bała się godziny między nocą a świtem. Była przekonana, że u schyłku nocy tajemniczy nurt życia słabnie, prawie zanika – bała się tej godziny i nie chciała być wtedy sama. Poza tym była tak dzielna, że często musiałem zagryzać usta do krwi.

Kazałem wstawić moje łóżko do jej pokoju i gdy się budziła, a w oczach jej pojawiało się rozpaczliwe błaganie, siadałem przy niej. Często myślałem o ampułkach morfiny ukrytych w walizce i bez namysłu byłbym ich użył, gdyby nie to, że była tak wdzięczna za każdy nowy dzień życia.

Siedziałem przy jej łóżku i opowiadałem, co mi przychodziło na myśl. Nie wolno jej było dużo mówić, a słuchała chętnie, gdy opowiadałem jej, jakie przygody wydarzyły mi się w życiu. Najbardziej podobały się jej historie z moich czasów szkolnych i nieraz, kiedy po ataku leżała blada i zmęczona na poduszkach, żądała ode mnie, ażeby naśladować któregoś z nauczycieli. Chrząkając i sapiąc, gładząc wyimaginowaną rudą brodę, łaziłem po pokoju i grzmiącym głosem wygłaszałem perory z katedry. Co dzień wymyślałem nowe historie i Pat znała już doskonale wszystkich urwisów i wałkoni z naszej klasy, która przysparzała tyle kłopotów naszym nauczycielom. Raz weszła dyżurna nocna pielęgniarka, zwabiona grzmiącym basem naszego dyrektora, i trwało dłuższą chwilę, zanim, ku uciesze Pat, zdołałem jej wyjaśnić, że nie jestem wariatem, chociaż skaczę w nocy po pokoju w pelerynie Pat i wciśniętym na oczy kapeluszu i łaję niejakiego Karola Ossege, który potajemnie podpiłował katedrę.

A potem powoli światło dzienne zaczęło się sączyć przez okna. Grzbiety gór nabierały ostrych jak nóż, czarnych zarysów. Niebo za nami zaczynało odsuwać się, zimne i blade. Światło lampy na nocnym stoliku nabierało rdzawożółtego odcienia, a Pat kładła wilgotną twarz w moje ręce.

– Minęło, Robby. Mam jeszcze jeden dzień przed sobą.

Antonio przyniósł mi swoje radio. Włączyłem je do kontaktu, uziemiłem, łącząc z kaloryferem, i wypróbowałem wieczorem w pokoju Pat. Trzeszczało i piszczało, ale potem sponad tego chrobotu uleciała delikatna, dźwięczna muzyka.

– Co to takiego, kochanie?

Antonio dał mi także pismo radiowe. Zajrzałem do programu.

– Zdaje się, że to Rzym.

Zaraz potem odezwał się głęboki, metaliczny głos spikerki: Radio Roma, Napoli, Firenze…

Kręciłem dalej. Solo fortepianowe.

– Nie potrzebuję tego nawet szukać w programie. To sonata waldsteinowska Beethovena. Umiałem ją grać w tych czasach, kiedy wierzyłem jeszcze, że zostanę radcą ministerstwa, profesorem albo kompozytorem. Teraz nie potrafię jej już zagrać. Lepiej pokręćmy dalej. Nie są to miłe wspomnienia.

Ciepły alt, bardzo cichy i pieszczotliwy. *Parlez moi d'amour*.

– Paryż, Pat.

Potem odczyt o zwalczaniu pasożytów w winnicach. Kręciłem dalej. Reklamy. Kwartet.

– Co to? – spytała Pat.

– To Praga. Kwartet smyczkowy. Opus 59, nr 2, Beethoven – odczytałem z programu.

Przeczekałem, aż fraza się skończy, potem pokręciłem dalej i oto nagle rozśpiewały się skrzypce, cudownie brzmiące skrzypce.

– To chyba Budapeszt, Pat. Muzyka cygańska.

Nastawiłem dokładniej aparat. Teraz melodia płynęła dźwięcznie i miękko na tle orkiestry, złożonej z cymbałów, skrzypiec i piszczałek.

– Cudownie, Pat, prawda?

Milczała. Odwróciłem się. Płakała z szeroko otwartymi oczyma. Jednym ruchem zamknąłem radio.

– Co ci jest, Pat? – spytałem, obejmując ramieniem jej wychudłe plecy.

– Nic, Robby. To głupio, że płaczę. Tylko jak człowiek słyszy: Paryż, Rzym, Budapeszt… mój Boże, a ja cieszyłabym się, gdybym mogła raz jeszcze zejść na dół do wsi.

– Ależ Pat!

Powiedziałem jej wszystko, co tylko mogłem wymyślić, aby odwieść ją od tych rozważań. Ale ona potrząsnęła głową.

– Ja nie jestem smutna, kochanie. Nie myśl tak. Nie jestem smutna, kiedy płaczę. Czasem mnie coś nachodzi, ale to nie trwa długo. Za wiele teraz rozmyślam.

– O czymże tak rozmyślasz? – spytałem, całując jej włosy.

– O jedynej rzeczy, o jakiej mogę jeszcze myśleć: o życiu i o śmierci. Kiedy mnie ogarnia smutek i już nic nie rozumiem, powiadam sobie, że lepiej jest umrzeć, kiedy człowiek chce jeszcze żyć, niż umierać wtedy, kiedy człowiek chce już tylko umrzeć. Jak myślisz?

– Nie wiem.

– Chyba tak – rzekła, wspierając głowę na mym ramieniu. – Kiedy człowiek chce żyć, to znaczy, że ma coś, co kocha. Ciężej mu wtedy umierać, ale i łatwiej. Widzisz, tak czy owak musiałabym umrzeć, ale jestem wdzięczna losowi, że miałam ciebie. Mogłabym przecież być samotna i nieszczęśliwa. Wtedy umierałabym chętnie. Teraz jest mi ciężko, ale jestem pełna miłości, jak pszczoła opita miodem, kiedy wraca wieczorem do ula. Gdybym miała wybierać między tymi dwiema możliwościami – wybrałabym zawsze tę.

Spojrzała na mnie.

– Pat, jest jeszcze trzecia możliwość: kiedy wiatr halny ustanie, poczujesz się lepiej i będziemy mogli stąd wyjechać.

Patrzyła na mnie dalej badawczo.

– Lękam się tylko o ciebie, Robby. Tobie będzie ciężej niż mnie.

– Nie mówmy już o tym dobrze. Dobrze?

– Powiedziałam to tylko dlatego, żebyś nie myślał, że jest mi smutno.

– Ja tak nie myślę.

Położyła rękę na moim ramieniu.

– Może nastawisz radio na tę cygańską muzykę?

– Masz na to ochotę?

– Tak, kochanie.

Przekręciłem gałkę i oto najprzód cicho, a potem coraz pełniej zabrzmiały w pokoju skrzypce, flety i przytłumione arpeggia cymbałów.

– To ładne – powiedziała Pat. – Jak wiatr. Jak wicher, który porywa.

Był to koncert wieczorny z ogrodu jakiejś restauracji w Budapeszcie. Chwilami poprzez dźwięki muzyki można było ułowić rozmowę gości, a od czasu do czasu słychać było wyraźnie dźwięczne,

radosne wołanie. Można sobie wyobrazić, że na Wyspie Św. Małgorzaty kasztany przystroiły się już w liście, które poruszają się w świetle księżyca, jakby rozkołysane wiewem cygańskich skrzypiec. Może wieczór jest już ciepły, goście są w ogrodzie, mają przed sobą kielichy z jasnym winem węgierskim, kelnerzy krzątają się w swoich białych kurtkach. Cyganie grają, potem człowiek wraca znużony do domu przez zielony zmierzch wczesnej wiosny, a tu oto leży Pat i uśmiecha się, i nigdy już nie wyjdzie z tego pokoju, nigdy już nie podniesie się z tego łóżka.

Potem nagle wszystko poszło błyskawicznie. Twarz jej malała w oczach. Kości policzkowe wystąpiły ostro, zapadły się skronie. Ramiona stały się cienkie jak ramionka dziecka, skóra napięła się na żebrach, a przez chude ciało parła gorączka w coraz nowych atakach. Siostra przyniosła balony z tlenem, a lekarz przychodził co godzina.

Któregoś popołudnia gorączka spadła nagle w sposób niewytłumaczony. Pat obudziła się i patrzyła na mnie długo.

– Podaj mi lusterko – szepnęła.

– Po co ci lusterko? Odpocznij, Pat. Myślę, że kryzys minął. Nie masz już gorączki.

– Nie – szeptała chrapliwym przepalonym głosem. – Podaj mi lusterko.

Obszedłem łóżko, wziąłem lusterko i upuściłem je na podłogę. Pękło.

– Przepraszam, straszna ze mnie niezgraba. Wypadło mi z ręki i rozprysło się na tysiąc kawałków.

– Jest jeszcze drugie, Robby, w mojej torebce.

Było to maleńkie lusterko z chromowanego niklu. Przeciągnąłem po nim ręką, żeby je nieco zamazać, i podałem je Pat. Wytarła je jednak pracowicie i wpatrzyła się w nie z napięciem.

– Musisz odjechać – szepnęła po chwili.

– Dlaczego? Czy masz mnie już dosyć?

– Nie powinieneś mnie już oglądać. To już nie jestem ja.

Wyjąłem jej lusterko z rąk.

– Te metalowe lusterka są do niczego, Pat. Popatrz, jak ja w tym wyglądam. Blady i wychudły. A przecież jestem opalony i pełen sił. Cała powierzchnia jest nierówna.

– Powinieneś zachować po mnie inne wspomnienie – szeptała. – Jedź, kochanie. Ja już dam sobie sama radę.

Uspokoiłem ją. Zażądała na nowo lusterka i torebki. Potem zaczęła pudrować swoją biedną, umęczoną twarz, spękane wargi, podkrążone oczy.

– Tylko trochę, kochanie – rzekła, usiłując się uśmiechnąć. – Nie powinieneś widzieć, jaka jestem brzydka.

– Możesz sobie robić, co chcesz, nie będziesz nigdy brzydka. Dla mnie jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu.

Wyjąłem z jej ręki lusterko i puderniczkę i ostrożnie objąłem jej głowę dłońmi. Po chwili poczęła się niepokoić.

– Co ci jest, Pat?

– Tyka tak głośno – szepnęła.

– Co? Zegarek?

Kiwnęła.

– Tak huczy…

Zdjąłem zegarek z ręki.

Spojrzała z lękiem na wskazówkę sekundnika.

– Odłóż go…

Cisnąłem zegarkiem o ścianę.

– Tak, teraz już nie tyka. Teraz czas przystanął. Przerwaliśmy go pośrodku. Zostaliśmy tylko my dwoje, tylko my dwoje, ty i ja, oprócz nas nie ma już nikogo.

Spojrzała na mnie. Oczy jej były szeroko otwarte.

– Kochanie… – szepnęła.

Nie mogłem znieść jej spojrzenia. Przychodziło gdzieś z daleka, przenikało mnie na wskroś, szło przeze mnie, nie wiadomo gdzie.

– Stary łobuzie – szepnąłem – mój ukochany, dzielny, stary łobuzie.

Umarła w ostatniej godzinie nocy, zanim nadszedł świt. Konała ciężko, w męce, i nikt nie mógł jej pomóc. Trzymała mnie mocno za rękę, ale nie wiedziała już, że jestem przy niej. Ktoś obok mnie powiedział:

– Umarła…

– Nie – rzekłem – nie umarła jeszcze. Ściska mocno moją rękę.

Światło. Nieznośne, jaskrawe światło. Ludzie. Lekarz. Powoli rozwarłem dłoń. Ręka Pat osunęła się. Krew. Rozdarta jak rana twarz, twarz uduszonej. Udręczone, martwe oczy. Brąz jedwabisty włosów.

– Pat – powiedziałem. – Pat.

I po raz pierwszy mi nie odpowiedziała.

– Chciałbym zostać sam – rzekłem.

– Czy nie należałoby najpierw… – zaczął ktoś.

– Nie. Proszę wyjść. Nie dotykać.

Obmyłem jej krew z twarzy. Byłem jak z drewna. Uczesałem jej włosy. Była zimna. Ułożyłem ją na swoim łóżku i okryłem kocami. Usiadłem przy niej i nie mogłem myśleć. Usiadłem na krześle i patrzyłem na nią. Pies wśliznął się do pokoju i przycupnął przy mnie. Widziałem, jak zmienia się jej twarz. Nie miałem siły zrobić najmniejszego ruchu. Mogłem tylko tak siedzieć, pusty i otępiały, i patrzeć na nią. A potem przyszedł świt i to nie była już ona.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Dedykacja
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Drei Kameraden*

DREI KAMERADEN © 1937 by New York University, successor-in-interest to the literary rights of The Estate of the Late Paulette Goddard Remarque
Published by arrangement with Graal Ltd and Mohrbooks AG Literary Agency.
All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015, 2021

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© Fox Photos/Getty Images Poland

Wydanie II e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Trzej towarzysze*, wyd. III, dodruk, Poznań 2022)

ISBN 978-83-7818-905-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**